

HENNING  
**MANSELL**

**nim  
nadejdzie  
mróz**



W  
ab  
wzrost  
two



MROCNIA SERIA

HENNING  
MANKELL

## NIM NADEJDZIE MRÓZ

przełożyła Ewa Wojciechowska

Tytuł oryginału: *Innan Frosten*

Copyright © by Henning Mankell, 2002

Published by agreement with Leopard Förlag, Stockholm and Leonhardt &  
Høier Literary Agency A/S, Copenhagen.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B.

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B.

Wydanie I

Warszawa 2012

# Spis treści

- [Prolog](#)
- [Część I: Węgorzowe ciemności](#)
  - [1](#)
  - [2](#)
  - [3](#)
  - [4](#)
  - [5](#)
  - [6](#)
  - [7](#)
  - [8](#)
  - [9](#)
  - [10](#)
  - [11](#)

- [12](#)
- [13](#)
- [14](#)
- [15](#)
- [Część II: Pustka](#)
  - [16](#)
  - [17](#)
  - [18](#)
  - [19](#)
  - [20](#)
  - [21](#)
  - [22](#)
  - [23](#)
  - [24](#)
  - [25](#)
  - [26](#)

- [27](#)
- [28](#)
- [29](#)
- [Część III: Cuma](#)
  - [30](#)
  - [31](#)
  - [32](#)
  - [33](#)
  - [34](#)
  - [35](#)
  - [36](#)
  - [37](#)
  - [38](#)
  - [39](#)
  - [40](#)
- [Część IV: Trzynasta wieża](#)

- [41](#)
- [42](#)
- [43](#)
- [44](#)
- [45](#)
- [46](#)
- [47](#)
- [48](#)
- [49](#)
- [50](#)
- [51](#)
- [Epilog: Dziewczyna na dachu](#)
- [Posłowie](#)
- [Przypisy](#)
- [Biogram autora](#)

## Prolog

*Jonestown, listopad 1978*

Myśli kotłowały mu się w głowie jak chmura rozżarzonych igieł. Ból był nie do wytrzymania. Desperacko usiłował uporządkować myśli, chcąc w ten sposób odzyskać spokój. Co najbardziej go dręczyło? Nie musiał zastanawiać się nad odpowiedzią. Dobrze ją znał. To był strach. Paniczny lęk, że Jim spuści psy i każe im go wytropić, jakby był dziką zwierzyną. Choć właściwie dokładnie tak się w tej chwili czuł. Najbardziej bał się psów Jima. Przez całą długą noc z 18 na 19 listopada, kiedy nie miał już sił dłużej biec i skrył się pod zbutwiałym pniem powalonego drzewa, zdawało mu się, że słyszy zbliżające się bestie.

Jim nigdy nikomu nie daruje, pomyślał. Człowiek, za którym kiedyś zdecydowałem się podążyć, gdyż zdawał się od stóp do głów przepelniony bezgraniczną miłością do Boga, okazał się kimś zupełnie innym. Niepostrzeżenie zmienił się we własny cień lub też stał się wcielonym diabłem, przed którym zawsze tak gorliwie przestrzegał. Naraz stał się nieznoszącym sprzeciwu demonem, który odwodzi nas od posłuszeństwa Bogu. To, co kiedyś brałem za miłość, okazało się nienawiścią w najczystszej postaci. Powinienem był wcześniej to dostrzec, w końcu w zachowaniu Jima coraz częściej dawało się wychwycić niepokojące sygnały. Niby przekazywał nam prawdę, lecz nie od razu, przemyślał ją niczym jakiś podstęp, stopniowe objawienie. Jednak ani ja, ani nikt inny nie miał odwagi usłyszeć tego, co dochodziło do naszych uszu, tego, co Jim ukrywał między słowami. Sam jestem sobie winien, bo nie chciałem



zrozumieć. Kiedy gromadził nas na swoich kazaniach lub wysyłał do każdego z nas wiadomości, mówił nie tylko o tym, że mamy być przygotowani na nadejście Sądu Ostatecznego. Dawał nam wyraźnie do zrozumienia, że w każdej chwili winniśmy być gotowi na śmierć.

Przerwał rozmyślenia i wyteńczył słuch w ciemności. Czyżby z oddali dobiegało szczekanie psów? Najwyraźniej zaciekle zwierzęta ujadły w jego głowie, strach powodował, że wciąż je gdzieś słyszał. Skołowany, pogrążony w panice umysł znów pchnął jego myśli ku wydarzeniom z Jonestown. Starał się to ogarnąć, zrozumieć. Jim był ich przewodnikiem, przywódcą, pasterzem. Podążając za nim, dotarli w to miejsce aż z Kalifornii, po tym jak lokalne władze i media urządziły im piekło, którego już nie mogli wytrzymać. To właśnie tu, w Gujanie, mieli spełnić marzenie o wolnym życiu w bliskości z Bogiem i naturą. I rzeczywiście, na początku wszystko było tak, jak przepowiedział Jim. Zgodnie uznali, że odnaleźli utracony raj. Potem jednak coś się zmieniło. Być może nie mogli urzeczywistnić swoich wielkich snów w Gujanie? Może byli tu zagrożeni tak samo jak w Kalifornii? Najwyraźniej, by móc żyć w Bogu i zbudować przystań, którą sobie obiecali, musieli nie tylko opuścić kraj, ale i doczesny świat. „Widziałem to w moich myślach – powiedział pewnego dnia Jim. – Tym razem dane mi było zajrzeć dużo głębiej niż kiedykolwiek wcześniej. Zbliża się Dzień Sądu. Jeśli mamy nie dać się wciągnąć w wir potworności, być może będziemy musieli umrzeć. Tylko śmierć nas wyzwoli”.

Mieli popełnić zbiorowe samobójstwo. Pewnego dnia Jim stanął na placu modlitw i oznajmił im swoją decyzję, uspokajając, że w jego słowach nie ma nic przerażającego. W pierwszej kolejności rodzice mieli podać dzieciom rozpuszczony w wodzie cyjanek, który Jim przechowywał w dużych plastikowych pojemnikach, pod kluczem, na tyłach swojego

domu. Następnie zażyliby truciznę dorośli, a jeśli w decydującym momencie ktoś by się zawahał i stracił wiarę, z pomocą miał przyjść sam Jim lub jeden z jego pomocników. Zaopatrzyli się w broń, na wypadek gdyby trucizna się skończyła. Jim osobiście miał dopilnować, by wszyscy opuścili ten świat, zanim on przystawi broń do swojej skroni.

Mężczyzna leżał pod pnem, ciężko dysząc w tropikalnym upale. Wciąż nasłuchiwał, czy z oddali nie dobiega szczekanie psów. Ogromnych, czerwonoookich potworów, których wszyscy tak bardzo się bali. Jim oznajmił kiedyś, że skoro zdecydowali się na życie w jego zgromadzeniu, na długą wędrówkę z Kalifornii i przeprowadzkę te odludne tereny, nie mieli innego wyjścia jak tylko dalej podążać drogą, którą wyznaczył im Bóg. A konkretnie tą, którą Jim Warren Jones uznał za najodpowiedniejszą.

Wtedy jego słowa dodawały nam otuchy, rozmyślał. Nikt tak jak Jim nie potrafił sprawić, że słowa „śmierć”, „samobójstwo”, „cyjanek” i „broń”, zamiast budzić przerażenie, brzmiały pięknie i skłaniały do głębokiej refleksji.

Dopadły go dreszcze. Jim chodził wkoło i widział wszystkich zabitych, pomyślał. Zorientuje się, że mnie nie ma i spuści psy. Zadrżał na myśl o tym, co może go spotkać. *Wszystkich zabitych*. Z oczu pociekły mu łzy. Dopiero w tej chwili naprawdę zrozumiał, co tam się wydarzyło. Maria i mała, one również zginęły. Nie chciał w to uwierzyć. Szeptali z Marią po nocach, obawiali się, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Wyglądało na to, że Jim traci rozum. Nie był już tym, który kiedyś porwał ich obietnicą zbawienia. Zapewniał, że jeśli przyłączą się do utworzonej przez niego Świątyni Ludu, ich życie zyska sens. Kiedyś żarliwe słowa Jima były dla nich prawdziwą otuchą. Zapewniał, że jedyną drogą do szczęścia jest zatracenie się w Bogu, w Chrystusie, wiara w to, co ich czeka, gdy ziemskie życie dobiegnie końca. Te słowa szybko straciły moc. Maria pierwsza powiedziała na głos: „Spojrzenie Jima stało się rozbiegane. On wcale już na nas nie patrzy.

Spogląda gdzieś obok, a jego oczy są zimne, zupełnie jakby przestał nam dobrze życzyć”.

Szeptali nocami, zastanawiając się, czy nie uciec. Jednak każdego następnego poranka dochodzili do wniosku, że nie mogą porzucić życia, które sami sobie wybrali. Jim z pewnością wkrótce znów będzie taki jak kiedyś. Prawdopodobnie przechodzi kryzys, który niebawem pokona. W końcu był najsilniejszy z nich wszystkich. Gdyby nie on, nie żyliby w miejscu mimo wszystko przypominającym raj.

Mężczyzna przerwał rozmyślenia, odganiając owada, który natrętnie kleił się do jego spoconej twarzy. Dżungla była gorąca, buchała parą, insekty przypełzały ze wszystkich stron. Jakaś gałąź dotykała jego nogi. Poderwał się, myśląc, że to wąż. W Gujanie było wiele gatunków jadowitych węży. Zaledwie w ciągu ostatnich trzech miesięcy trzy osoby z kolonii zostały ukąszone przez gady. Jednej z nich potężnie spuchła noga, która potem stała się niebieskoczarna, i w końcu pękła skóra, a z rany wypłynęła cuchnąca ciecz. Inna ukąszona osoba, pewna kobieta z Arkansas, umarła. Pochowali ją na małym cmentarzu przy kolonii, a Jim podczas pogrzebu wygłosił jedno ze swoich wspaniałych kazań, przypominające te, z którymi kiedyś przybył do San Francisco wraz ze swym kościołem, Świątynią Ludu, i szybko zyskał ogromną popularność jako płomienny kaznodzieja.

W pamięci mężczyzny tkwiło pewne wspomnienie, silniejsze niż cokolwiek, co go dotąd spotkało. Pewnego dnia był tak wycieńczony przez alkohol, narkotyki i wyrzuty sumienia powodowane świadomością, że opuścił córeczkę, że nie chciał już dłużej żyć. Uznał, że właśnie tego dnia powinien umrzeć, rzucić się pod ciężarówkę lub pociąg, a kiedy będzie już po wszystkim, z pewnością nikt nigdy za nim nie zatęskni. To właśnie podczas ostatniego spaceru po mieście, kiedy zamierzał pożegnać się

z ludźmi, którym i tak było obojętne, czy żyje, przypadkiem natknął się na siedzibę Świątyni Ludu. „To był znak od Boga – powiedział mu później Jim. – Bóg cię zobaczył i uznał, że zostaniesz jednym z wybranych, jednym z tych, którzy dostąpią łaski życia w bliskości z Panem”. Nigdy później nie umiał odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego wszedł do tego budynku przypominającego kościół, jaka siła go tam zaciągnęła. Nawet w chwili, gdy wszystko się skończyło i ukrywał się pod zbutwiałym drzewem, czekając, aż psy Jima go w końcu odnajdą i rozszarpią na strzępy.

Miał świadomość, że powinien ruszyć się z miejsca, kontynuować ucieczkę, lecz jakaś jego część nie chciała opuścić kryjówki. Poza tym nie mógł przecież zostawić Marii i dziewczynki. Raz już porzucił swoje życie i własne dziecko. Nie mógł pozwolić, by znów tak się stało.

Co się właściwie wydarzyło? Starał się uporządkować myśli. Rankiem tego dnia wszyscy wcześniej wstali, jak zawsze. Zebrali się na placu modlitwy przed domem Jima i czekali. Jednak drzwi pozostały zamknięte, jak to zresztą zdarzało się dość często ostatnimi czasy. Pomodlili się więc sami, dziewięciuset dwunastu dorosłych i trzysta dwadzieścioro dzieci, a potem rozeszli się i zajęli codzienną pracą. Nie miałby szans przeżyć, gdyby z samego rana nie wybrał się wraz z dwoma innymi mężczyznami na poszukiwanie zaginionych krów. Kiedy zegnał się z Marią i dzieckiem, nie miał pojęcia, co niebawem wydarzy się w kolonii. Dopiero gdy znaleźli się po drugiej stronie wąwozu stanowiącego granicę kolonii z lasem deszczowym, dotarło do niego, że stało się jakieś nieszczęście.

Na odgłos wystrzałów stanęli jak wryci. Zdawało im się, że słyszą też jakieś krzyki, choć trudno było wychwycić pojedyncze dźwięki wśród świergotu ptaków. Spojrzeli na siebie, po czym puścili się biegiem w stronę kolonii. Po chwili mężczyzna oddzielił się od towarzyszy, nie mając pewności, czy tamci, zamiast lecieć z powrotem, nie zaczęli uciekać. Wybiegł spomiędzy drzew, wdrapał się na ogrodzenie okalające uprawy

Świątyni Ludu i zeskoczył po drugiej stronie. W kolonii panowała absolutna cisza. Nikt nie zbierał owoców, wokół nie było żywej duszy. Ruszył w stronę najbliższych domów i wkrótce zrozumiał, że stało się coś potwornego. Jim w końcu wyszedł z domu. Wreszcie otworzył drzwi, lecz zamiast spojrzeć na ludzi z miłością, wbił w nich spojrzenie kipiące nienawiścią.

Mężczyzna poczuł, że łapie go skurcz, więc ostrożnie zmienił pozycję. Nie przestawał nasłuchiwać, w każdej chwili spodziewając się ataku psów. Jednak wszystkim, co słyszał, było cykanie świerszczy i cichy łopot skrzydeł nocnych ptaków przelatujących nad głową. Co takiego zobaczył w kolonii? Biegając przez opustoszałe pola, uczynił dokładnie to, co zawsze doradzał im Jim. Jediną możliwością, by człowiek dostał łaski Pana, było powierzenie Mu całego swojego życia. Tak właśnie zrobił. Modląc się żarliwie, oddał swoje życie w ręce Boga. „Panie spraw, by Maria i dziewczynka były całe i zdrowe, cokolwiek się tu wydarzyło”. Lecz Bóg go nie wysłuchał. Mężczyzna pamiętał, że w tamtej chwili, powodowany desperacją pomyślał, że być może to właśnie Pan przemówił do nich poprzez Jima, że to On rozpętał strzelaninę, którą usłyszeli z drugiej strony wąwozu.

Biegając przez Jonestown, przez chwilę miał wrażenie, że zaraz ujrzy Boga i pastora Jima Warrena Jonesa stojących naprzeciwko siebie, by oddać ostatnie dwa strzały. Boga tam jednak nie zobaczył. Był tylko Jim Jones, a jego zamknięte w klatkach psy ujadły jak oszalałe. Wszędzie wokół leżały ciała zabitych mężczyzn, kobiet i dzieci. Wyglądały zupełnie tak, jakby powaliła je na ziemię jakaś oszalała pięść, która uderzyła prosto z nieba. Jim Jones zaś i jego najbliżsi współpracownicy, sześciu braci, którzy zawsze mu towarzyszyli, jako pomocnicy i ochroniarze, chodzili pośród leżących i dobijali dzieci czołgające się w stronę martwych

rodziców. Biegał między zwłokami, w panice szukając ciała Marii i dziewczynki. Nie mógł ich nigdzie znaleźć.

To właśnie wtedy, kiedy zaczął wołać Marię, zobaczył go Jim. Odwróciwszy się, ujrzał, że pastor wymierzył w niego broń. Stali w odległości dwudziestu metrów, dzieliły ich trupy leżące na brunatnej ziemi. Zginęli wszyscy, znajomi i przyjaciele, ich ciała były powykęcane przedśmiertnymi drgawkami. Jim objął kolbę pistoletu obiema dłońmi i nacisnął spust. Chybił. Zanim zdążył oddać drugi strzał, mężczyzna rzucił się do ucieczki. Słyszał śmigające za sobą kule, ale jakimś cudem żadna go nie trafiła. Z oddali dobiegły go przekleństwa rozwścieczonego Jima. Pędził, aż wokół zrobiło się ciemno. Dopiero wtedy zatrzymał się i wczołgał pod zwalony pień. Nie miał pojęcia, czy masakrę przeżył ktoś jeszcze. Gdzie jest Maria i dziewczynka?, myślał. Dlaczego tylko mnie udało się przeżyć? Czy człowiek może ujść cało w dniu Sądu Ostatecznego? Niczego nie pojmował. Miał jednak pewność, że to, czego właśnie doświadczył, nie było snem.

W końcu nadszedł świt. Upał buchnął nad drzewami jak gorąca para. Wówczas mężczyzna zrozumiał, że Jim nie spuści psów. Ostrożnie wyszedł spod pnia, potrząsnął zdrtwiałymi nogami i ruszył przed siebie. Zmierzał prosto do kolonii. Był śmiertelnie zmęczony, dokuczał mu głód i potworne pragnienie. Zataczał się. Wokół panowała zupełna cisza. Psy też nie żyją, pomyślał. Jim zapowiedział, że nikt nie ocaleje. Nawet psy. Mężczyzna przeszedł przez ogrodzenie i zaczął biec. Już po chwili natknął się na leżące na ziemi ciała, najwyraźniej tych, którzy próbowali uciekać. Strzelono im w plecy.

Przebiegłszy jeszcze kawałek, nagle się zatrzymał. U jego stóp leżało twarzą do ziemi ciało mężczyzny. Powoli się schylił i ostrożnie, na drżących nogach, obrócił je na plecy. Jim zobaczył twarz. W jego

spojrzeniu nie było już nienawiści. Znow patrzy mi prosto w oczy, pomyślał. Nawet nie mruga, przyszła mu do głowy bezsensowna myśl. Martwi nie mrugają. Poczul nagłą chęć, żeby uderzyć Jima, kopnąć go w twarz. Nie zrobił tego. Był ostatnim żyjącym pośród setek zabitych. Zaczął szukać dalej i chodził tak długo, aż znalazł ciała Marii i dziewczynki.

Widać było, że Maria próbowała uciekać. Upadła na twarz, gdy trafił ją w plecy śmiertelny strzał. Dziewczynkę trzymała na rękach. Mężczyzna kucnął przy zwłokach, płakał. Teraz nie ma już nic, pomyślał. Jim zamienił raj w piekło.

Został przy ich ciałach długo, nad okolicą zaczął krążyć helikopter. Wówczas wstał i odszedł. Przypomniał sobie, co powiedział kiedyś Jim, jeszcze za dobrych czasów, zaraz po przybyciu do Gujany. „Prawdę o człowieku da się poznać za pomocą węchu, wzroku i słuchu. W człowieku czai się diabeł, ale on zawsze śmierdzi siarką. Kiedy poczujesz zapach siarki, podnieś krzyż”.

Nie wiedział, co go czeka. Obawiał się każdego następnego dnia. Nie miał pojęcia, jak wypełnić wielką pustkę, jaka pozostała po Bogu i Jimie Jonesie.

Część I  
Węgorzowe ciemności



Tuż po dziewiątej wieczorem 21 sierpnia 2001 roku zerwał się wiatr. Fale zmarszczyły taflę jeziora Marebo, leżącego w kotlinie, u południowego zbocza wzgórza Romele. Mężczyzna stojący w cieniu przy plaży uniósł dłoń, by sprawdzić, z której strony wieje. Po chwili stwierdził z zadowoleniem, że tego dnia jest sprzyjający wiatr z południa. Doszedł do wniosku, że wybrał odpowiednie miejsce, by zwabić zwierzęta, które miał zamiar złożyć w ofierze.

Usiadł na dużym kamieniu, rozścieliwszy na nim gruby sweter. Nie chciał zmarznąć. Księżyc był w ostatniej kwadrze, a otulająca niebo warstwa chmur była tak gęsta, że nie przepuszczała żadnego światła. Węgorzowe ciemności, pomyślał. Tak nazywał taką noc mój szwedzki kolega, z którym bawiłem się w dzieciństwie. W sierpniowych ciemnościach zaczynają wędrować węgorze. To właśnie wtedy najłatwiej dają się złapać w sieci. Wpadają w pułapkę.

Mężczyzna nasłuchiwał w skupieniu. Po chwili jego wyczulony słuch wyłapał dobiegający z oddali pomruk silnika samochodu jadącego drogą. Poza tym wokół panowała kompletna cisza. Podniósł z ziemi latarkę i zaczął muskać powierzchnię jeziora strumieniem światła. Wkrótce dostrzegł, że zaczęły nadpływać. Na tle ciemnej wody zobaczył dwie powoli rosnące plamy. Po kilku chwilach spodziewał się ujrzeć ich jeszcze więcej.

Wyłączył latarkę i starał się odgadnąć, która jest godzina, wyęzając umysł, który udało mu się ujarzmić i wyszkolić do roli swego oddanego współpracownika. Trzy minuty po dziesiątej, ocenił w myślach, po czym podniósł rękę i spojrział na zegarek. Wskazówki świeciły w ciemności. Nie

pomylił się. Jasne, że się nie pomylił. Za pół godziny wszystko miało być już gotowe, nie będzie musiał dłużej czekać. Nauczył się, że nie tylko ludzie dążą do punktualności. Można jej było nauczyć również zwierzęta. Przygotowanie tego, co miało nastąpić wieczorem, zajęło mu trzy miesiące. Stworzenia, które zamierzał złożyć w ofierze, przyzwyczajał do swojej obecności powoli i metodycznie. Stał się ich przyjacielem.

To był właśnie jego największy dar. Potrafił nawiązać przyjaźń z każdym. Nie tylko z ludźmi, ale i ze zwierzętami. Grał rolę przyjaciela, choć nikt nie miał pojęcia, co tak naprawdę myśli. Znów zapalił latarkę. Jasne plamy były liczniejsze i większe, zbliżały się do plaży. Wkrótce nie będzie już musiał czekać. Skierował strumień światła na piasek, oświetlając dwie puszki z benzyną w sprayu i rozsypane kawałki chleba. Po chwili wyłączył latarkę i czekał.

Gdy nadeszła pora, przystąpił do działania, spokojnie i metodycznie, dokładnie tak, jak to wcześniej zaplanował. Łabędzie wyszły na plażę i zaczęły zjadać okruchy, zupełnie nie zauważając obecności człowieka. Być może wiedziały, że tam jest, ale przywykły do niego i uznały, że im nie zagraża. Mężczyzna znów zgasił latarkę. Nie potrzebował już światła, założył okulary z noktowizorem. Ptaków było sześć, trzy pary. Dwa z nich usiadły, a pozostałe spokojnie czyściły sobie pióra lub szukały okruchów na piasku.

W końcu nadszedł czas na działanie. Mężczyzna wstał, wziął puszki z benzyną i ostrożnie spryskał mgiełką paliwa każdego ptaka. Zanim uciekły, zdołał wyrzucić opróżnioną puszkę i podpalić strumień benzyny z drugiego pojemnika. Pióra łabędzi zapłonęły natychmiast. Zwierzęta w panice rzuciły się do ucieczki, desperacko uderzając skrzydłami nad powierzchnią jeziora. Wyglądały jak ogniste kule. Mężczyzna odprowadził je wzrokiem, starając się zachować w pamięci obraz i pisk oddalających się, płonących ptaków, zanim runą do wody, która z sykiem zgasi płomień.

Brzmia zupełnie jak zepsute trąbki, pomyślał. Tak właśnie zapamiętam ich ostatni krzyk.

Wszystko odbyło się bardzo szybko. Podpalił łabędzie w niecałą minutę, zaraz potem ptaki rzuciły się do ucieczki, chwilę łopotały płonącymi skrzydłami nad taflą jeziora, po czym wokół znów zrobiło się ciemno. Mężczyzna był zadowolony. Wszystko poszło zgodnie z planem. Chciał, żeby ten wieczór wyglądał dokładnie tak; miał być nieśmiałym początkiem.

Wrzucił puszki po benzynie do wody, zwinął sweter i spakował go do plecaka. Na koniec poświecił wokół latarką, żeby sprawdzić, czy czegoś nie zapomniał. Upewniwszy się, że nie zostawił żadnych śladów, wyjął z kieszeni telefon. Kupił go parę dni wcześniej w Kopenhadze, chcąc mieć pewność, że nie doprowadzi do niego żaden trop. Wystukał numer i czekał.

Kiedy wreszcie ktoś odebrał, mężczyzna poprosił o połączenie z policją. Rozmowa była krótka. Rozłączywszy się, cisnął telefon do wody, założył plecak i zniknął w ciemności.

Tymczasem wiatr zaczął wiać w kierunku zachodnim i stawał się coraz bardziej porywisty.

Był koniec sierpnia. Linda Caroline Wallander zastanawiała się, czy ma jeszcze jakieś cechy upodabiające ją do ojca, których nie jest świadoma, choć wkrótce skończy trzydzieści lat i powinna już dobrze wiedzieć, kim jest. Próbowwała go o to pytać, czasem nawet starała się siłą wydobyć z niego odpowiedź, on jednak odpowiadał wymijająco i wmawiał jej, że jest najbardziej podobna do jego własnego ojca. „Rozmowa o podobieństwach”, jak Linda zwykła ją nazywać, nierzadko kończyła się sprzeczką, a czasem nawet ostrą kłótnią. Jednak awantury gasły równie szybko, jak wybuchały, a o większości z nich Linda prędko zapomniała. Na dodatek spostrzegła, że ojciec również do nich nie wracał.

Niemniej pośród wszystkich kłótni, jakie odbyli tego lata, była jedna, o której nie mogła zapomnieć. Zaczęło się od drobiazgu. Linda poczuła się nagle tak, jakby zaczęła odkrywać dawno wyparte z pamięci wspomnienia z dzieciństwa i z czasów, kiedy była nastolatką. Pewnego lipcowego dnia przyjechała do Ystad ze Sztokholmu i niemal od razu posprzeczała się z ojcem o jedno takie wspomnienie. Kiedyś, kiedy była małą dziewczynką, wybrali się na wycieczkę na Bornholm. Byli we troje: ojciec, matka Lindy, Mona, i ona sama, wówczas sześć- lub siedmioletnia. Powodem kłótni był idiotyczny szczegół, czy tamtego dnia wiało, czy nie. Zaczęli rozmawiać o wycieczce w czasie kolacji, siedząc na lekkim wietrze na wąskim balkonie. Ojciec twierdził, że podczas tamtej wyprawy Linda cierpiała na chorobę morską i zwymiotowała mu na kurtkę. Ona natomiast pamiętała coś innego. Błękitne, bezchmurne niebo i gładką tafłę wody. Wycieczki nie mogły im się pomylić, ponieważ odbyli wspólnie tylko jedną wyprawę na Bornholm. Mona nie przepadała za morskimi podróżami i ojciec Lindy

dokładnie zapamiętał swoje zdziwienie, kiedy zdecydowała się im towarzyszyć.

Tamtego wieczoru, po absurdalnej kłótni, która i tak do niczego nie doprowadziła, Linda nie mogła zasnąć. Za ponad dwa tygodnie miała zacząć pracę jako aspirant w komendzie policji w Ystad. Odbyła szkolenie w Sztokholmie i chętnie zaczęłaby pracować od razu. Wcześniej spędzała lato, snując się beczynn timer tu i tam, ojciec zaś nie mógł dotrzymać jej towarzystwa, ponieważ wykorzystał już większość wolnego w maju. Wiosną myślał, że kupi dom, i zaplanował urlop na maj, żeby się przeprowadzić. Chciał zamieszkać w Svarte, na południe od drogi krajowej, tuż nad samym morzem, jednak w ostatniej chwili, kiedy została już wpłacona zaliczka, właścicielka domu, samotna emerytowana nauczycielka, doszła do wniosku, że nie może oddać swoich ukochanych krzaków róż i rododendronów w ręce mężczyzny mówiącego tylko o tym, gdzie postawi budę dla psa, którego dopiero sobie kupi. Zerwała umowę, i choć pośrednik namawiał ojca Lindy, by się na to nie godził albo przynajmniej zażądał odszkodowania, on już zdążył w myślach pożegnać się z domem, w którym nie dane mu było zamieszkać.

Przez resztę urlopu, przy niesprzyjającej wietrznej i deszczowej aurze, próbował znaleźć inny dom. Każdy kolejny okazywał się jednak albo za drogi, albo nie był taki, o jakim marzył przez wiele lat, mieszkając przy Mariagatan w Ystad. W końcu odpuścił i zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek wyprowadzi się z miasta. Linda tymczasem kończyła ostatnie kursy w szkole policyjnej. Ojciec wybrał się do niej na weekend i jadąc z powrotem, przewiózł część rzeczy, które zamierzała zabrać do domu. We wrześniu miała dostać mieszkanie, a do tego czasu chciała zatrzymać się u niego, w swoim dawnym pokoju.

Kiedy wróciła do Ystad, natychmiast zaczęli sobie działać na nerwy. Linda miała do ojca pretensje, bo uważała, że mógłby pociągnąć za kilka

sznurków i załatwić jej wcześniejsze przyjęcie do pracy. Raz nawet rozmawiał o tym ze swoją szefową, Lisą Holgersson, ale ona nie była w stanie mu pomóc. Młodzi aspiranci byli rzecz jasna bardzo potrzebni, policja jak zawsze potrzebowała rąk do pracy, brakowało jednak dodatkowych pieniędzy na wynagrodzenia. Linda nie mogła więc rozpocząć służby wcześniej niż 10 września, niezależnie od tego, jak bardzo by się przydała.

Spędzając lato w rodzinnym mieście, odświeżyła dwie przyjaźnie, które zaniedbała, gdy przestała być nastolatką. Pewnego dnia przypadkiem spotkała na rynku Zebę, a raczej „Zebrę”, bo tak ją wszyscy nazywali w szkole. Linda w pierwszej chwili jej nie poznała. Dawna przyjaciółka przefarbowwała czarne włosy na rudo i na dodatek ścięła je bardzo krótko. Zeba była z pochodzenia Iranką i chodziła z Lindą do tej samej klasy. Z czasem ich drogi się rozeszły. Tamtego lipcowego dnia, gdy przypadkiem na siebie wpadły, Zeba pchała przed sobą dziecięcy wózek. Poszły na kawę.

Zebra skończyła kurs barmański, ale potem zaszła w ciążę z Markusem, który był dawnym znajomym Lindy. Pamiętała, że chłopak uwielbiał egzotyczne owoce i już w wieku dziewiętnastu lat założył przy południowym wjeździe do Ystad szkółkę ogrodniczą. Jego związek z Zebrą po jakimś czasie się rozpadł, mieli jednak syna.

Rozmawiały długo, aż mały zaczął tak głośno płakać, że musiały wyjść na ulicę. Po tym przypadkowym spotkaniu obiecały sobie pozostać w kontakcie, Linda zauważyła, że stała się mniej niecierpliwa w porównaniu z czasami, gdy znała świat wyłącznie z perspektywy niewielkiego miasteczka.

Kiedy wracała do domu na Mariagatan, nagle zaczął padać deszcz. Schroniła się w sklepie z ubraniami i czekając, aż przejdzie ulewa, szukała w książce telefonicznej numeru telefonu do Anny Westin. Coś w niej drgnęło, gdy wreszcie go znalazła. Nie kontaktowała się z Anną od niemal

dziesięciu lat. Ich wielka przyjaźń została brutalnie przerwana, gdy mając po siedemnaście lat, zakochały się w tym samym chłopaku. Kiedy jednej i drugiej przeszło, bezskutecznie próbowały odnowić znajomość. W końcu uznały, że wszystko się między nimi skończyło, i przestały się ze sobą kontaktować. Przez ostatnie lata Linda prawie wcale nie myślała o Annie. Jednak spotkanie z Zebrą obudziło w niej dawne wspomnienia i Linda ucieszyła się, widząc, że Anna wciąż mieszka w Ystad, i to blisko Mariagatan, tuż przy południowo-wschodnim wyjeździe z miasta.

Zadzwoiła do Anny tego samego wieczoru i spotkały się kilka dni później. Potem widywały się parę razy w tygodniu, czasem nawet we trzy, choć najczęściej tylko Linda z Anną, która mieszkała sama i utrzymywała się z uniwersyteckiego stypendium. Planowała zostać lekarką, choć pieniądze ledwie wystarczały jej na opłacenie studiów.

Po kilku spotkaniach Linda doszła do wniosku, że Anna, o ile to w ogóle możliwe, stała się jeszcze bardziej nieśmiała niż za szkolnych czasów. Ojciec porzucił ją i jej matkę, kiedy Anna miała pięć lub sześć lat. Potem już nigdy się z nimi nie kontaktował. Teraz matka Anny przeniosła się na wieś, w pobliżu Löderup, niedaleko miejsca, w którym mieszkał dziadek Lindy. On spędził na wsi długie lata, malując wciąż te same obrazy.

Anna wydawała się zadowolona, że przyjaciółka odezwała się do niej po latach i zamierzała znów zamieszkać w Ystad. Linda zaś mocno czuła, że powinna z nią postępować niezwykle ostrożnie. Anna miała w sobie jakąś kruchość, zdawało się, że bardzo łatwo ją spłoszyć. Linda wiedziała, że nie może się do niej zbyt zbliżyć. Tak czy inaczej, spotkania z Zebrą, jej synkiem i Anną pomogły Lindzie przetrwać ciągnące się w nieskończoność lato. Czekala, aż wreszcie będzie mogła pójść na komendę, stawić się u pani Lundberg, grubej magazynierki, pokwitować odbiór munduru i reszty wyposażenia.

Przez całe lato ojciec pracował niemal bez przerwy. Niestety śledztwo w sprawie serii brutalnych napadów na banki oraz urzędy pocztowe w Ystad i okolicach niczego nie wykazało. Co jakiś czas Linda słyszała od niego relacje o kradzieżach środków wybuchowych. Akcje te obliczone były na dużą skalę i wyglądały na dobrze zaplanowaną operację. Kiedy ojciec zasypiał, Linda przeglądała jego notatnik oraz akta, które często przynosił do domu. Jednak za każdym razem, gdy próbowała się czegoś od niego dowiedzieć, odpowiadał wymijająco. Nie pracowała jeszcze w policji. Musiała poczekać z pytaniami do września.

Lato powoli dobiegało końca. Pewnego sierpniowego dnia ojciec wrócił do domu wczesnym popołudniem i zakomunikował, że zadzwonił do niego pośrednik. Miał do zaoferowania dom, który jak twierdził, z pewnością mu się spodoba. Nieruchomość znajdowała się nieopodal wybrzeża Mossby, nad zboczem wpadającym do morza. Zapytał, czy Linda wybierze się tam z nim, żeby obejrzeć dom. Zgodziwszy się, zadzwoniła do Zebry i przełożyła zaplanowane na ten dzień spotkanie. Wsiadła do należącego do ojca peugeota i pojechali na zachód. Popołudniem morze było zupełnie szare, zapowiadało zbliżającą się jesień.



Dom był pusty i podupadły. Wiatr zrzucił kilka dachówek, a jedna z rynien oberwała się do połowy. Budynek stał na niewielkim wzgórzu, skąd rozpościerał się widok na morze. Według Lindy miejsce sprawiało nieprzyjemne wrażenie. To z pewnością nie jest dom, w którym mój ojciec odnajdzie spokój, pomyślała. Tutaj tym bardziej dopadną go zatruwające mu życie demony. Od razu zaczęła się zastanawiać, co najbardziej mu dokuczało. Starła się uszeregować w myślach jego ciemne strony, na pierwszym miejscu umieściła samotność, potem stale rosnącą nadwagę i niedołączające ciało. W końcu porzuciła te rozmyślenia i przyjrzała się ojcu, który chodził po domu, zaglądając we wszystkie zakamarki. Wiatr szumiał cicho, jakby z namysłem, w koronach wysokich buków rosnących wokół domu. W oddali rozciągało się morze. Zmrużywszy oczy, Linda dostrzegła niewielki statek. Kurt Wallander zatrzymał się i popatrzył na córkę.

– Jesteś do mnie podobna, kiedy mrużysz oczy w ten sposób.

– Tylko wtedy?

Obeszli dom dokoła. Z tyłu natknęli się na szczątki przegniłej skórzanej kanapy. Spośród sprężyn wyskoczył nagle nornik i uciekł w panice, chowając się w trawie. Kurt rozejrzał się, kręcąc głową.

– Dlaczego właściwie chcę przeprowadzić się na wieś?

– Chcesz, żebym zadała ci takie pytanie? Dobrze. Dlaczego chcesz się przeprowadzić na wieś?

– Zawsze marzyłem o tym, żeby zbudziwszy się rano, móc wyjść przed dom i wysikać się na trawę.

Linda spojrzała na niego z rozbawieniem.

- Tylko dlatego?
- A czy można mieć lepszy powód? Jedziemy?
- Rozejrzyjmy się jeszcze trochę.

Tym razem Linda obejrzała dom z większą uwagą, zupełnie jakby to ona miała zamiar go kupić, a towarzyszący jej ojciec występował w roli pośrednika. Węszyła wokół jak czujny zwierz.

- Ile kosztuje ten dom? – zapytała.
- Czteryście tysięcy koron.
- Potrząsnęła głową zdziwiona.
- Mówię poważnie – odparł ojciec.
- Masz tyle pieniędzy?

– Nie, ale mój bank obiecał przyjąć mnie z otwartymi ramionami. Jestem wiarygodnym klientem, policjantem, który dobrze się sprawował przez całe życie. Właściwie trochę mi smutno, że niezbyt mi się podoba to miejsce. Opuszczony dom sprawia równie przygnębiające wrażenie, co samotny człowiek.

Po chwili wsiedli do samochodu i odjechali. Nagle Linda wbiła wzrok w drogowskaz, który mieli przed sobą. „Wybrzeże Mossby”. Ojciec spojrzał na nią kątem oka.

- Chcesz, żebym skręcił? – zapytał.
- Tak, jeśli mamy czas.

Na parkingu przy plaży stała jedna przyczepa kempingowa. Kiosk był zamknięty. Przed przyczepą na plastikowych krzesłach siedzieli kobieta i mężczyzna, rozmawiali ze sobą po niemiecku. Między nimi stał stół. Grali w karty, oboje w wielkim skupieniu. Linda i Kurt skierowali się w dół, na plażę.

To właśnie w tym miejscu przed paroma laty Linda oznajmiła ojcu, jaką podjęła decyzję. Nie zamierzała już zostać tapicerem, wyglądało na to, że pożegnała się również z marzeniem o aktorstwie. Poza tym właśnie minął

w jej życiu okres niespokojnych podróży po świecie. Upłynęło już sporo czasu, odkąd rozstała się z pewnym chłopakiem z Kenii, studentem medycyny w Lund i jej największą miłością, a wspomnienie o nim zaczynało powoli blednąć. Chłopak wrócił do domu, a Linda została w Szwecji. Przez pewien czas próbowała znaleźć jakiś pomysł na siebie, obserwując matkę, Monę. Dostrzegła w niej jednak kogoś, kto wszystko zaczyna i robi tylko do połowy. Mona zawsze chciała mieć dwoje dzieci, lecz urodziła jedno. Myślała też, że Kurt Wallander pozostanie jej największą miłością do końca życia, a rozwiodła się z nim i zamieszkała w Malmö, gdzie prowadziła spokojne życie z drugim mężem, byłym golfistą na emeryturze.

Po tym wszystkim Linda zaczęła intensywnie przyglądać się ojcu, komisarzowi kryminalnemu, który zawsze zapominał odebrać ją z lotniska, kiedy wracała do domu. Nadała mu nawet specjalne przezwisko: Ten-który-wciąż-zapomina-że-istnieję. Choć nigdy nie miał dla niej czasu, w pewnej chwili spostrzegła, że mimo wszystko to właśnie on jest najbliższą jej osobą. Zwłaszcza odkąd zmarł jego ojciec. Poczuli się wówczas tak, jakby odwróciła lornetkę i zaczęła się przyglądać ojcu z miejsca, które wciąż było blisko, ale nie *za blisko*. Pewnego dnia, zaraz po przebudzeniu, nagle doszła do wniosku, że chce być taka jak on. Postanowiła zostać policjantką. Przez rok nic mu o tym nie powiedziała, podzieliła się swoimi planami jedynie z ówczesnym chłopakiem, ale upewniwszy się w końcu, że tego właśnie chce, zerwała tamtą znajomość, pojechała do Skanii, zabrała ojca na tę plażę i o wszystkim mu opowiedziała. Doskonale pamięta jego zdziwienie. Poprosił ją o minutę na oswojenie się z tym, co właśnie usłyszał i wyrobienie sobie na ten temat opinii. Wtedy nagle dopadły ją wątpliwości. Sądziła, że ojciec ucieszy się z jej decyzji. Zapamiętała, że w tamtej chwili, kiedy na moment odwrócił się do niej plecami, żeby się zastanowić, a ona patrzyła, jak wiatr rozwiera i szarpie jego rzadkie włosy, była pewna, że ich

spotkanie zakończy się kłótnią. Gdy się jednak odwrócił i spojrzął na nią z uśmiechem, wiedziała, że podjęła słuszną decyzję.

Weszli na plażę i stanęli nad wodą. Linda czubkiem buta dłubała w śladzie pozostawionym na piasku przez końską podkowę. Kurt Wallander spokojnie przyglądał się mewie chwiejnie utrzymującej się na wietrze, tuż nad ich głowami.

– I co teraz o tym myślisz? – zapytała.

– O czym? O domu?

– O tym, że niedługo stanę przed tobą w mundurze.

– Trudno mi to sobie wyobrazić, ale chyba będę trochę zły.

– Zły? – zdziwiła się Linda.

– Dlatego, że wiem, jak będziesz się w nim czuła. Nietrudno jest włożyć mundur, ale publiczne pokazanie się w nim to coś innego. Nagle zdajesz sobie sprawę, że wszyscy cię widzą. Stajesz się policjantem, który chodząc po ulicach, musi w każdej chwili być przygotowany na to, żeby rozdzielić bijących się ludzi. Po prostu wiem, co cię czeka.

– Nie boję się.

– Nie mam na myśli strachu. Staram się ci powiedzieć, że od momentu, w którym zostaniesz policjantką i założysz mundur, już zawsze będziesz go miała na sobie.

Linda czuła, że ojciec ma rację.

– Jak myślisz, poradzę sobie? – spytała.

– Poradziłaś sobie w szkole, poradzisz sobie i tu. Sama decydujesz o tym, czy idzie ci dobrze, czy źle.

Powoli przechadzali się po plaży. Linda oznajmiła ojcu, że za parę dni będzie musiała na krótko pojechać do Sztokholmu. Ludzie z jej roku postanowili zorganizować uroczysty bal na koniec studiów, by po raz ostatni miło spędzić czas, zanim wszyscy rozjadą się po kraju.

– My nie mieliśmy żadnego balu – powiedział Kurt. – Właściwie trudno powiedzieć, że zdobyłem jakiegokolwiek wykształcenie, zanim zacząłem służbę. Do dziś nie mogę sobie przypomnieć, jakim wtedy testom poddawano ludzi mających pracować w policji, jeśli w ogóle były jakiegokolwiek testy. Chyba po prostu chodziło o siłę. No, może jeszcze o to, żeby nie być kompletnym idiotą. Dobrze pamiętam, że w dniu, w którym dostałem mundur, poszliśmy na piwo. Nie piliśmy go na ulicy rzecz jasna, ale w domu u kolegi, przy Södra Förstadsgatan w Malmö.

Kurt Wallander pokręcił głową. Linda nie umiała odgadnąć, czy to wspomnienie go bawi, czy raczej męczy.

– Wtedy jeszcze mieszkałem w domu. Myślałem, że ojciec mnie zabije, kiedy pokazałem mu się w mundurze.

– Dlaczego tak się złościł, że zostałeś policjantem?

– Zrozumiałem to dopiero, kiedy zmarł. Dotarło do mnie, że mnie oszukał.

Linda zatrzymała się, zaskoczona.

– Oszukał? – zapytała.

Ojciec spojrzał na nią z uśmiechem.

– Tak naprawdę był z tego zadowolony. Ale zamiast mi to po prostu powiedzieć, dla zabawy trzymał mnie w niepewności. Świetnie mu się to udało, jak wiesz.

– Jak to? Chyba nie mówisz poważnie.

– Nikt nie znał go lepiej niż ja. Dobrze wiem, że mam rację. Z ojca był kawał drania, wspaniałego drania. Był jedynym ojcem-dranem, jakiego miałem.

Ruszyli w stronę samochodu. Chmury trochę się rozrzedziły, a kiedy zaświeciło słońce, od razu zrobiło się cieplej. Gdy przechodzili obok dwojga Niemców, turyści nawet nie podnieśli wzroku znad kart. Podszedłszy do auta, Kurt spojrzał na zegarek.

– Spieszysz się do domu? – zapytał.

– Spieszno mi tylko, żeby wreszcie zacząć pracować. Dlaczego o to pytasz?

– Muszę jeszcze coś sprawdzić. Opowiem ci po drodze.

Wyjechali na szosę do Trelleborga, po czym skręcili z niej przy zjeździe do zamku Charlottenlund.

– Właściwie to nie jest sprawa, którą się zajmuję, ale skoro jestem w pobliżu, mogę coś sprawdzić.

– Co takiego? – spytała Linda.

– Okolice jeziora Marebo.

Droga była wąska i wyboista. Kurt opowiadał równie wolno, jak jechał. Linda zastanawiała się, czy ojciec pisze tak samo słabe raporty, jak referuje zdarzenie, z powodu którego postanowił przedłużyć wycieczkę.

Wszystko, co jej opowiedział, brzmiało dość prosto. Wieczorem, dwa dni temu, dyżurny w Ystad odebrał zgłoszenie. Na policję zadzwonił mężczyzna, który nie chciał podać nazwiska ani powiedzieć, skąd dzwoni. Mówiąc w jakimś nieokreślonym dialekcie, oznajmił, że nad jeziorem Marebo widziano płonące łabędzie. Dokładniejszych informacji mężczyzna nie miał lub nie chciał przekazać. Kiedy dyżurny zaczął zadawać mu pytania, rozłączył się. Drugi raz nie zadzwonił. Rozmowę nagrano i zaprotokołowano, ale nikt się tym później nie zajął, bo akurat w ten wieczór wszyscy mieli mnóstwo roboty przy sprawie brutalnego napadu w Svarte i dwóch włamań w centrum Ystad. W końcu uznano, że ktoś musiał mieć przywidzenia lub był to po prostu głupi żart. Jedynie Kurt Wallander, kiedy usłyszał tę historię od Martinssona, stwierdził, że brzmi ona na tyle nieprawdopodobnie, że naprawdę mogła się wydarzyć.

– Płonące łabędzie? – zdziwiła się Linda. – Kto mógłby zrobić coś podobnego?

– Sadysta. Dręczyciel zwierząt.

– I ty w to wierzysz?

Kurt zaparkował samochód na poboczu, przy głównej drodze. Odpowiedział na pytanie dopiero wtedy, gdy przeszli przez jezdnię i skręcili w ścieżkę wiodącą nad jezioro.

– Niczego nie nauczyli cię w szkole? Policjanci nie mają w coś *wierzyć*. *Oni chcą wiedzieć*. I są zarazem przygotowani na to, że absolutnie wszystko może się wydarzyć. Nie wyłączając telefonów z informacją, że gdzieś płoną łabędzie. Bo potem okazuje się, że to prawda.

Linda nie zadawała mu więcej pytań. Skręcili na parking i szli dalej, w dół zbocza. Trzymała się tuż za ojcem, myśląc, że ma już na sobie mundur, choć wciąż jeszcze był niewidzialny.

Obeszli jezioro, ale nigdzie nie natknęli się na martwe łabędzie. Żadne z nich nie zorientowało się, że ktoś ich obserwuje, śledząc przez lornetkę każdy krok.

Parę dni później, pewnego pogodnego poranka, Linda poleciała do Sztokholmu. Zebra pomogła jej uszyć suknię na bal, jasnoniebieską, z głębokim dekoltem z przodu i na plecach. Znajomi z roku Lindy wynajęli stary lokal taneczny przy Hornsgatan. Stawili się wszyscy, nawet kolega, któremu nadali przezwisko Syn Marnotrawny. Wśród sześćdziesięciu ośmiu studentów znalazł się nawet ten zmuszony do odejścia z powodu problemów alkoholowych. Nie potrafił ani ich ukryć, ani sobie z nimi poradzić. Nie wiadomo, kto na niego doniósł w szkole. Wszyscy więc zawarli niepisaną umowę, że razem biorą za to odpowiedzialność. Linda uznała go za złego ducha całego roku. Potem zawsze już krążył gdzieś w jesiennych ciemnościach, nie tracąc nadziei, że znów zostanie przyjęty do ich kręgu.

Tamtego wieczoru, kiedy wszyscy zebrali się po raz ostatni w towarzystwie swoich nauczycieli, Linda wypła zdecydowanie za dużo wina. Upijanie się nie było jej obce, zazwyczaj jednak wiedziała, kiedy powinna przestać. Tym razem stało się inaczej, być może z powodu narastającego zniecierpliwienia. Po balu spotkała wielu znajomych, którzy już rozpoczęli pracę. Jej najlepszy kolega ze studiów, Matias Olsson, zdecydował się nie wracać do domu, do Sundsvall, tylko zatrudnił się w wydziale prewencji w Norrköping. Zdążył się już nawet wyróżnić, rozprawiając się z przetrenowanym na siłowni szaleńcem, który wpadł w furję, będąc pod wpływem sterydów anabolicznych. Linda należała do mniejszości, która wciąż czekała.

Towarzystwo dobrze się bawiło, prawie wszyscy tańczyli, a suknia uszyta przez Zebra otrzymała mnóstwo pochwał. Ktoś wygłosił przemowę,



ktoś odśpiewał złośliwą piosenkę o nauczycielach i wieczór mógłby należeć do naprawdę udanych, gdyby kucharze nie mieli u siebie telewizora.

W ostatnim serwisie informacyjnym podano, że w okolicach Enköping został zastrzelony na ulicy policjant. Ta szokująca wiadomość szybko rozeszła się między podпитыi studentami i nauczycielami. Wyłączono muzykę, przyniesiono z kuchni telewizor. Linda poczuła się tak, jakby dostała kopniaka w brzuch. Nagle zabawa się skończyła. W swoich odświętnych strojach wszyscy siedzieli nieruchomo w bladym świetle i patrzyli na zdjęcia zabitego na służbie mężczyzny. Wyglądało to tak, jakby poddano go brutalnej egzekucji. Kiedy wraz z kolegą z patrolu próbował zatrzymać skradziony samochód, wyskoczyło dwóch mężczyzn z bronią automatyczną. Strzelali, by zabić, nie oddając żadnego strzału ostrzegawczego. Bal został przerwany, rzeczywistość dała o sobie gwałtownie znać.

Późną nocą, kiedy wszyscy już się pożegnali i Linda była w drodze do ciotki Krystyny, u której miała nocować, zatrzymała się na Mariatorget i zadzwoniła do ojca. Była trzecia nad ranem. Usłyszała w słuchawce jego zaspany głos. Zezłościło ją to. Nie powinien spać, kiedy zamordowali jego kolegę, pomyślała. Powiedziała mu o tym.

– Czy będę spał, czy nie, i tak niczego to nie zmieni – odparł. – Gdzie jesteś?

– W drodze do Krystyny.

– Już skończyliście zabawę? Która jest w ogóle godzina?

– Trzecia. Przerwaliśmy imprezę, kiedy podali to w wiadomościach.

Usłyszała w słuchawce ciężki oddech ojca, jakby nie zdecydował, czy wciąż śpi, czy już się obudził.

– Co tam słyhać w tle?

– Ruch na ulicy. Szukam taksówki.

– Czy ktoś jest z tobą?

– Nie.

– Nie powinnaś włączyć się sama nocą po Sztokholmie!

– Dam sobie radę. Nie jestem już dzieckiem. Przepraszam, że cię obudziłam.

Ze złością wyłączyła telefon. Za często tak się dzieje, pomyślała. Ja wpadam w szal, a on nawet nie zauważa, że mnie wkurza.

Przywoławszy taksówkę, pojechała do domu przy Gärdet, gdzie Krystyna mieszkała z mężem i nastoletnim synem. Czekala na nią rozłożona kanapa w salonie. Do pokoju wpadało światło ulicznej latarni. Linda sięgnęła po stojące na półce zdjęcie. Był na nim jej ojciec, matka i ona sama. Fotografie zrobiono wiele lat temu. Linda miała wtedy czternaście lat i dobrze pamiętała ten dzień. To była sobota albo niedziela. Pojechali w odwiedziny do dziadka, do Löderup. Ojciec wygrał aparat w jakimś konkursie w pracy i kiedy właśnie miał zrobić zdjęcie, dziadek nagle się rozmyślił, odmówił pozowania i zamknął się w pracowni ze swoimi obrazami. Ojciec się zezłościł, Monie też popsuł się humor. Linda poszła za dziadkiem i próbowała go namówić, żeby zrobił sobie z nimi to zdjęcie.

– Nie będę pozował do zdjęć, na których ludzie mający lada dzień się rozstać, stoją obok siebie i głupkowato się szczerzą – zakomunikował.

Dobrze zapamiętała, jak jego słowa ją wtedy zraniły. Chociaż powinna zdawać sobie sprawę, jak bezduszny potrafił być dziadek, poczuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej policzek. Zebrała się jednak w sobie i zapytała go, czy to prawda, czy on wie coś więcej niż ona.

– Nie będzie lepiej, jeśli uznasz, że wolisz być ślepa – odparł oschle. – Idź już. Zrób sobie z nimi to zdjęcie. Może się myłę.

Siedząc na pościelonej kanapie, rozmyślała o tym, że dziadek prawie zawsze się mylił. Jednak tamtego dnia dobrze wiedział, o czym mówi. Ostatecznie odmówił pozowania do wspólnego zdjęcia, które w końcu

zrobili sobie we troje, ustawiając w aparacie samowyzwalacz. Przez cały następny rok, ostatni, który rodzice spędzili razem, napięcie między nimi narastało.

To właśnie wtedy Linda dwukrotnie próbowała popełnić samobójstwo. Za pierwszym razem kiedy podcięła sobie żyły, znalazł ją ojciec. Nigdy nie zapomniała strachu, jaki malował się na jego twarzy. Ale lekarze musieli mu chyba powiedzieć, że w ten sposób Linda nie wyrządziłaby sobie żadnej krzywdy. Rodzice nie robili jej potem wyrzutów, nie usłyszała od nich żadnego przykrego słowa. Ich żal objawiał się raczej w spojrzeniach i wymownym milczeniu. Próba samobójcza Lindy wywołała natomiast potężną kłótnię między obojgiem, po której Mona spakowała swoje rzeczy i opuściła mieszkanie.

Po jakimś czasie Linda uznała za dziwne, że wówczas nie czuła się winna rozvodu rodziców. Wręcz przeciwnie, na przekór wszystkiemu myślała, że wyświadcza im przysługę, przyczyniając się do rozpadu małżeństwa, które od lat było już martwe. Często zaskakiwała ją myśl, że ani razu z charakterystycznego dla niej płytkiego snu nie wyrwały jej więcej żadne odgłosy z sypialni, świadczące o tym, że rodzice uprawiają seks. W końcu uznała, że wbiła między nich klin, który z czasem pozwolił im się od siebie uwolnić.

O drugiej próbie samobójczej ojciec nawet nie wiedział. Była to największa tajemnica, jaką Linda przed nim skrywała. Czasem zdawało jej się, że jednak udało mu się w jakiś sposób o tym dowiedzieć, ale już po chwili dochodziła do wniosku, że w jego świadomości, córka tylko raz próbowała się zabić. Tymczasem ten drugi raz mógł skończyć się tragicznie. Nawet po wielu latach Linda miała te chwile przed oczami.

Była wówczas szesnastolatką i pewnego dnia pojechała do matki do Malmö. Dla Lindy rozpoczął się wtedy czas wielkich porażek, tak wielkich, jakie przeżywa się tylko będąc nastolatkiem. Nie znosiła siebie,

z obrzydzeniem odwracała wzrok od lustra, a równocześnie kochała swoje odbicie. Była przekonana, że z jej ciałem jest wszystko nie tak. Depresja zakradła się po cichu, tak niezauważalnie, że objawy choroby były trudne do rozpoznania. Potem nagle zrobiło się za późno i zwątpienie dopadło ją z całą siłą, wprost proporcjonalną do braku zrozumienia, jaki okazywała jej matka. Tym, co najbardziej Lindę wówczas zabolowało, była odmowa Mony, kiedy zapytała, czy może zamieszkać z nią w Malmö. Nie narzekała na mieszkanie z ojcem, po prostu chciała się wyrwać do większego miasta. Matka okazała obojętność.

Linda wyszła wtedy z jej mieszkania rozwścieczona. Była wczesna wiosna, na rabatach i trawnikach leżał jeszcze śnieg, a od strony cieśniny Sund wiał przejmujący, zimny wiatr. Zaczęła snuć się po ulicach, aż wreszcie ruszyła wzdłuż Regementsgatan i znalazła się przy samym wyjeździe z Ystad. Gdzieś po drodze musiała zabłądzić, ponieważ miała ten sam zwyczaj co ojciec, idąc, patrzyła pod nogi, przez co już wielokrotnie zdarzało jej się wpaść na latarnię lub zaparkowany samochód. W końcu znalazła się na wiadukcie nad autostradą. Nie mając właściwie pojęcia dlaczego, wdrapała się na barierkę i stanęła na niej, z trudem łapiąc równowagę na wietrze. Patrzyła, jak w dole pędzą samochody, przecinając ciemność strumieniami świateł. Nie wie, jak długo tam stała. Czuła się wówczas tak, jakby czyniła jakieś ostatnie przygotowanie. Nie bała się ani nie było jej żal samej siebie. Czekwała tylko na to, aż przemożne zmęczenie i ziąb zepchną ją w wielką ciemną pustkę.

Nagle zorientowała się, że ktoś za nią stoi. A może obok, nie potrafiła tego ocenić. Usłyszała czyjś szept. Po chwili zobaczyła młodą kobietę o dziecinnej twarzy, niewiele starszą od niej. Nieznajoma miała na sobie mundur, była policjantką. Nieco dalej na moście stały dwa radiowozy migoczące niebieskimi światłami. Do Lindy podeszła jednak tylko kobieta o twarzy dziecka. W oddali Linda dostrzegła cienie jakichś ludzi, lecz

widocznie to na młodą policjantkę spadła cała odpowiedzialność za sprowadzenie z barierki niedoszłej samobójczyni. Przemawiała do niej spokojnym tonem, powiedziała, że ma na imię Annika, i prosi jedynie o to, żeby Linda zeszła na ziemię, bo skok w dół nie jest rozwiązaniem żadnego problemu. Linda w pierwszej chwili odmówiła, czuła, że musi bronić swojej decyzji. Skąd niby ta Annika miała wiedzieć, od czego ona chce się uwolnić? Policjantka jednak nie poddała się, nie straciła cierpliwości, wyglądała wręcz na osobę, która nigdy się nie denerwuje. Kiedy w końcu Linda zeszła z barierki i zaczęła szlochać, Annika przytuliła ją i płakała razem z nią. Linda powiedziała, że jej ojciec jest policjantem i nigdy nie może się o tym dowiedzieć. Matka też nie, ale przede wszystkim on nie może o tym usłyszeć. Policjantka obiecała, że nie zawiadomi rodziców. Po tym zdarzeniu Linda wielokrotnie miała ochotę skontaktować się z Anniką. Już brała do ręki telefon, żeby zadzwonić na posterunek w Malmö, nigdy jednak tego nie zrobiła.

Odstawiła fotografię na półkę, chwilę pomyślała o zastrzelonym policjancie, po czym położyła się wreszcie spać. Z ulicy dobiegały odgłosy jakiejś kłótni. Przyszło jej na myśl, że wkrótce będzie musiała stawać między awanturującymi się ludźmi, rozdzielać ich, uspokajać. Czy tego właśnie chciała? Nie miała pewności, zwłaszcza tej nocy, kiedy tak niespodziewanie w jej świat wdarła się przykra rzeczywistość z informacją o zamordowanym gdzieś w okolicach Enköping policjancie.

Nie mogła spać, nie zmrużyła oka prawie do samego rana. W końcu z łóżka wygoniła ją ciotka, która śpieszyła się do pracy. Krystyna była absolutnym przeciwieństwem swego brata. Wysoka, szczupła, miała pociągłą twarz i mówiła nieco piskliwym głosem, z którego ojciec Lindy bardzo często żartował. Linda lubiła ciotkę. Była w niej jakaś prostota, nic się przy niej niepotrzebnie nie komplikowało. Również to odróżniało ją od

Kurta, który wszędzie wokół widział nierozwiązywalne problemy, zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym, z tą różnicą, że na te drugie rzucał się z energią szarżującego niedźwiedzia.

Tuż przed dziewiątą rano Linda pojechała na lotnisko Arlanda, licząc na to, że może złapie jakiś samolot do Malmö. Pierwsze strony gazet pełne były wiadomości o zabitym funkcjonariuszu. Udało jej się kupić bilet na lot o dwunastej, a kiedy wylądowała na lotnisku Sturup, zadzwoniła do ojca z prośbą, żeby ją stamtąd odebrał.

– Dobrze się bawiłaś? – zapytał na powitanie.

– A jak myślisz? – odparła.

– Skąd mam wiedzieć? Nie było mnie tam.

– Przecież dzwoniłam do ciebie w nocy, nie pamiętasz?

– Pewnie, że pamiętam. Byłaś niemiła.

– Byłam zmęczona i zła. Zastrzelono policjanta, więc przerwaliśmy imprezę. Po czymś takim nie można być w dobrym nastroju.

Ojciec pokiwał głową w milczeniu. Podwiózł ją na Mariagatan.

– Jak tam sprawa tego sadysty?

W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co Linda pyta.

– Tego dręczyciela zwierząt. Od płonących łabędzi – wyjaśniła.

– Wygląda na to, że ten ktoś, dzwoniąc na komisariat, po prostu próbował zwrócić na siebie uwagę. Wokół jeziora mieszka sporo ludzi, więc jeśli to prawda, musieliby coś zauważyć.

Kurt Wallander pojechał z powrotem na komendę, Linda zaś, wszedłszy do mieszkania, zastała przy telefonie wiadomość. Zeszłego wieczoru dzwoniła Anna. *Oddzwoń, to pilne*, przekazała. Ojciec nabazgrał też parę słów z boku, ale nie zdołała ich odczytać. Od razu postanowiła do niego zadzwonić.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że dzwoniła Anna?

- Zapomniałem.
- Co tu jest napisane? Obok tej wiadomości?
- Zanotowałem, że Anna była zdenerwowana.
- Co masz na myśli?
- To, co powiedziałem. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Najlepiej od razu do niej zadzwoń.

Rozłączywszy się, Linda wystukała numer przyjaciółki. Najpierw było zajęte, potem nikt nie odbierał. Próbowwała dodzwonić się później, też bezskutecznie. Po siódmej, po kolacji z ojcem, włożyła kurtkę i poszła do domu Anny. Gdy tylko zobaczyła przyjaciółkę w drzwiach, od razu zrozumiała, co miał na myśli ojciec. Anna wyglądała inaczej, była zmieniona na twarzy. W jej oczach widać było niepokój. Wciągnęła Lindę do środka i zamknęła drzwi.

Wyglądało to tak, jakby chciała jak najszybciej zostawić cały świat za nimi.

Lindę nagle uderzyło to, że Anna wygląda jak jej matka Henrietta. Szczupła, wręcz chuda kobieta o nerwowych ruchach. Linda zawsze się trochę o nią bała, nie mogąc pozbyć się uporczywej myśli, że matka Anny jest kruchą wazą, która może się stłuc w każdej chwili, kiedy ktoś za głośno coś powie lub wykona jakiś gwałtowny ruch. Cisza i spokój zdawały się najważniejsze w jej życiu.

Linda dobrze zapamiętała swoją pierwszą wizytę u Anny. Miała wówczas osiem lub dziewięć lat, Anna chodziła do równoległej klasy, lecz żadna z nich nigdy nie umiała powiedzieć, co je do siebie zbliżyło. Coś nas do siebie przyciągnęło, myślała Linda. Ludzie zarzucają na siebie nawzajem niewidzialne lasso. Tak właśnie było ze mną i z Anną. Byliśmy nierozłączne aż do dnia, w którym stanął między nami tamten chłopak.

Ojciec Anny istniał tylko na paru wyblakłych fotografiach, ale i tak ani jedna nie stała na kredensie lub na półce. Henrietta zatarła wszelkie ślady po mężu, jakby chciała dać córce do zrozumienia, że ojciec nigdy nie wróci. Odszedł i żadna z nich już go nie zobaczy. Anna przechowywała parę jego zdjęć na samym dnie szuflady z bielizną. Linda ujrzała na nich mężczyznę z długimi włosami, w okularach i o spojrzeniu dającym wyraźnie do zrozumienia, że sfotografowano go bez jego zgody. Anna pokazała jej te fotografie w największej tajemnicy. Kiedy zostały przyjaciółkami, ojca nie było już od dwóch lat. Anna zaś prowadziła cichą wojnę z matką, opróżniając mieszkanie ze wszystkich kojarzących się z nim rzeczy. Gdy kiedyś Henrietta spakowała jego ostatnie ubrania do worka i postawiła w piwnicy obok śmieci, Anna zeszła w nocy na dół i zabrała parę butów oraz koszulę. Ukryła zdobycz pod łóżkiem. Dla Lindy nieobecny ojciec



Anny był swego rodzaju przygodą. Życzyła sobie w duchu, by stało się na odwrót, żeby to jej ciągle skłóceni rodzice pewnego dnia rozplynęli się w powietrzu jak smuga dymu.

Usiadły na kanapie. Anna oparła się plecami o poduszkę, tak że jej twarz znalazła się w półcieniu.

– Jak się udał bal? – zapytała.

– W pewnym momencie do tańca przyłączył się martwy policjant i wtedy zakończyliśmy zabawę. Ale suknia była naprawdę piękna.

Dobrze to znam, pomyślała Linda. Anna nigdy nie przechodzi od razu do rzeczy. Jeśli ma coś ważnego do powiedzenia, musi to trochę potrwać.

– A co u twojej mamy? – spytała Linda.

– Wszystko w porządku. – Anna wzruszyła ramionami w reakcji na własne słowa. – W porządku. Dlaczego mówię, że wszystko u niej w porządku? Czuje się gorzej niż kiedykolwiek wcześniej. W ciągu ostatnich dwóch lat napisała requiem o swoim życiu. *Bezimienna msza*, tak je nazywa. Już dwukrotnie wrzucała partyturę do kominka i jak dotąd za każdym razem udawało się jej w ostatniej chwili wyciągnąć ją z płomieni. Poczucie własnej wartości ma tak samo niskie, jak ktoś, komu został w ustach ostatni ząb.

– Jak brzmi jej muzyka?

– Niewiele z tego słyszałam. Raz próbowała mi coś przedstawić, podśpiewując pod nosem. To była jedna z tych nielicznych chwil, kiedy udaje jej się uwierzyć, że to, co robi, ma jakąś wartość. Nie zdołałam wyłowić z tego żadnej melodii. Zastanawiam się czasem, czy w ogóle może istnieć muzyka niezłożona z melodii. Jej utwory brzmią jak krzyk, kiedy ich słuchasz masz wrażenie, że ktoś cię kłuje albo bije. Nie sądzę, aby kiedykolwiek chciano tego słuchać, choć równocześnie ją podziwiam, że się nie poddaje. Dwukrotnie próbowałam ją namówić, żeby zajęła się

w życiu czymś innym, przecież nie skończyła jeszcze nawet pięćdziesiątki. Za każdym razem napadała na mnie, krzyczała, szarpała się, drapała i pluła. Myślałam wtedy, że moja matka najpewniej niedługo zwariuje.

Anna zamilkła, jakby nagle się wystraszyła, że powiedziała zbyt wiele. Linda czekała na ciąg dalszy. Przypomniało jej się, że tamtego dnia, kiedy odkryły, że obie kochają się w tym samym chłopaku, też siedziały razem na kanapie i żadna nie chciała odezwać się pierwsza. W ciszy kontemplowały przerażającą myśl, że ich przyjaźń została wystawiona na ciężką próbę. Wówczas milczenie trwało cały wieczór, aż do późna w nocy. Były w mieszkaniu przy Mariagatan, matka Lindy już się wyprowadziła, a ojciec krążył gdzieś po lesie w okolicach Kadesjö, szukając szaleńca, który napadł na taksówkarza. Linda pamiętała nawet, że Anna pachniała wtedy wanilią. Czy istnieją perfumy o zapachu wanilii?, zastanowiła się. Albo jakieś mydło? Nie zapytała o to tamtego wieczoru i nie zamierzała wspominać o tym w tej chwili.

Anna usiadła prosto i jej twarz wyłoniła się z półcienia.

– Czy kiedykolwiek miałaś wrażenie, że tracisz rozum? – zapytała.

– Prawie codziennie je mam.

Anna pokręciła głową, wyraźnie poirytowana.

– Nie żartuję. Pytam poważnie.

Linda natychmiast spoważniała.

– Przecież wiesz, że tak.

– Podcięłaś sobie żyły, no i weszłaś na tę barierkę. Ale to były objawy rozpacz. To nie to samo. Każdy czasem czuje, że życie straciło sens, i chyba każdy musi to przeżyć. To niemal jak krok w dorosłość, inicjacja. Jeśli się choć raz nie wrzeszczało tak w opętaniu w stronę wzburzonego morza, do księżyca lub na rodziców, nie można dorosnąć. Księżniczka i książę Beztroscy to przeklęte istoty, którym wstrzyknięto jakiś środek

odurzający prosto w duszę. My, którzy żyjemy, musimy wiedzieć co to rozpacz.

Linda zazdrościła przyjaciółce umiejętności dobierania słów. Myśl i język. Jeśli chciałabym mówić tak pięknie jak ona, najpierw musiałabym sobie wszystko napisać na kartce.

– Nigdy się nie bałam, że zwariuję – odparła.

Anna wstała, podeszła do okna i po chwili znów wróciła na kanapę. Z czasem wszyscy upodabniamy się do rodziców, pomyślała Linda. Tak samo przecież robiła jej matka, kiedy chciała opanować zdenerwowanie. Wstawała, podchodziła do okna i wracała na miejsce. Mój ojciec spleta ręce na piersi i mocno je zaciska, a Mona pociera nos. Co w takich sytuacjach robiła moja babcia? Umarła, kiedy byłam mała, i prawie wcale jej nie pamiętam. A dziadek? On nie zaciskał pięści ani nie podchodził do okna. Machał na wszystko ręką i wracał do malowania tych swoich koszmarnych obrazów.

– Wydaje mi się, że wczoraj widziałam na ulicy w Malmö mojego ojca – oznajmiła Anna niespodziewanie.

Linda zmarszczyła czoło, czekając na wyjaśnienie, przyjaciółka jednak milczała.

– Wydaje ci się, że widziałas na ulicy w Malmö twojego ojca? – zapytała z niedowierzaniem.

– Tak.

Linda zastanowiła się chwilę.

– Ale przecież nigdy go nie widziałas. To znaczy widziałas, ale bylas wtedy tak mała, że nie mogłas go zapamiętać.

– Zapominasz, że mam jego zdjęcia.

Linda szybko policzyła coś w głowie.

– Zniknął dwadzieścia pięć lat temu – powiedziała.

– Dwadzieścia cztery – poprawiła ją Anna.

– No dobrze, dwadzieścia cztery. Jak wygląda człowiek po dwudziestu czterech latach? Nie wiadomo. Można tylko przypuszczać, że całkiem inaczej.

– Ale to był on. Mama opowiedziała mi kiedyś o jego spojrzeniu. Jestem pewna, że to go widziałam. To musiał być on.

– Nie wiedziałam nawet, że wczoraj byłeś w Malmö. Sądziłam, że kiedy cię tu nie ma, jesteś w Lund, na uczelni, czy gdzie tam się uczysz.

Anna spojrzała na Lindę uważnie.

– Nie wierzysz mi – powiedziała.

– Ty sama sobie nie wierzysz.

– Mężczyzna, którego widziałam na ulicy, jest moim ojcem – powtórzyła, sadowiąc się na kanapie. – Masz rację. Powinnam być w Lund, ale kiedy dotarłam do Malmö i miałam się przesiąść, okazało się, że pociąg ma jakąś awarię, a następny będzie dopiero za dwie godziny. Byłam zła, bo nie znoszę czekać. Poszłam więc do miasta i snułam się po ulicach bez celu. Chciałam tylko, żeby minął już ten okropny pusty czas. Weszłam do jakiegoś sklepu i kupiłam rajstopy, których wcale nie potrzebowałam. Przed hotelem S:t Jörgen zemdląła jakaś kobieta i upadła na chodnik. Nie podeszłam blisko, bo czuję się bardzo nieswojo, kiedy komuś obcemu nagle coś złego się dzieje. Kobiecie podwinęła się spódnica i wkurzyło mnie to, że nikt jej nie poprawił ubrania. Byłam pewna, że ona nie żyje. Ludzie stali dokoła niej i patrzyli, jakby była jakimś martwym, wyrzuconym na plażę zwierzęciem. Odeszłam stamtąd i ruszyłam w stronę centrum handlowego Triangeln. Jest tam taki hotel ze szklaną windą. Weszłam do środka, żeby wjechać na ostatnie piętro. Zawsze to robię, kiedy tam jestem, lubię wznosić się w górę jak w szklanej bańce. Tym razem jednak mi się nie udało, bo wprowadzono jakąś zmianę i teraz windę można uruchomić tylko za pomocą klucza do pokoju. To była naprawdę niemiła niespodzianka, poczułam się tak, jakby mi ktoś odebrał zabawkę. Usiadłam więc w fotelu

przy oknie z zamiarem pozostania tam, aż przyjdzie pora, by wrócić na dworzec.

To właśnie wtedy go zauważyłam. Stał na chodniku, na dworze zerwał się tak mocny wiatr, że podmuchy wprawiały szybę w drgania. Spojrzałam na zewnątrz i on tam był. Patrzył na mnie. Wpatrywaliśmy się w siebie jakieś pięć sekund, potem on spuścił wzrok i odszedł. Byłam tak wstrząśnięta, że w pierwszej chwili nie wpadłam na to, by za nim pójść. Nie od razu też uwierzyłam, że to właśnie jego widziałam. Uznałam to za przywidzenie albo coś w rodzaju *déjà vu*, uczucie, kiedy nagle rozpoznajemy kogoś znajomego w mijanym na ulicy, zupełnie obcym człowieku. Gdy w końcu wybiegłam na ulicę, oczywiście nigdzie go już nie było. Postanowiłam wrócić na dworzec, lecz po drodze rozglądałam się za nim po ulicach, węszyłam jak dziki zwierz. Nigdzie go nie spotkałam. Byłam tak podekscytowana, że wcale nie wsiadłam do pociągu, tylko jeszcze raz poszłam do centrum i wszędzie szukałam. Choć nie udało mi się go odnaleźć, jestem pewna, że to był on. Na chodniku przed tamtym hotelem stał mój ojciec. Był starszy niż na fotografii, ale poczułam się tak, jakby na dnie szuflady udało mi się odnaleźć więcej zdjęć, których nigdy wcześniej nie widziałam. To na pewno był on. Mama kiedyś opisała mi jego spojrzenie, powiedziała, że miał zwyczaj zerkać w górę, w niebo, zanim na cokolwiek popatrzył. Dokładnie coś takiego widziałam przez hotelowe okno. Nie miał tak długich włosów, jak na zdjęciach, i inne okulary, bez tych grubych plastikowych oprawek, niemal same szkła. To był on. Jestem tego pewna. Zadzwoiłam do ciebie, bo musiałam o tym z kimś porozmawiać, żeby nie zwariować. To *był* mój ojciec. Na dodatek nie tylko ja go rozpoznałam, to on pierwszy mnie zauważył i zatrzymał się. Staął, bo też mnie rozpoznał.

Linda zrozumiała, że Anna naprawdę wierzy w to, że na ulicy w Malmö widziała swojego ojca. Próbowwała przypomnieć sobie zajęcia, jakie miała

jakiś czas temu na uczelni. Dotyczyły przywidzeń świadków zdarzeń. Pomyślała o tym, czego nauczyła się na temat rysopisów, oraz o ćwiczeniach, jakie wykonywali na komputerach. Każdy z nich miał za zadanie stworzyć wizerunek samego siebie starszego o dwadzieścia lat. Przekonała się wówczas, że w miarę upływu czasu coraz bardziej upodabnia się do ojca, może nawet do dziadka. Nieubłagane podążamy śladem rodziców i dziadków, doszła do wniosku tamtego dnia. Na naszych twarzach widać ślady wszystkich przodków. Jeśli będąc dzieckiem, jest się podobnym do matki, być może na starość skończy się z twarzą ojca. A jeżeli w podeszłym wieku człowiek nie rozpoznaje swojej twarzy, zapewne do głosu doszły cechy dawno zapomnianych przodków. Trudno jej było uwierzyć, że Anna naprawdę spotkała swojego ojca. Jemu zaś z pewnością byłoby niełatwo rozpoznać córkę w dorosłej kobiecie. Ostatni raz widział ją przecież, kiedy była małą dziewczynką. Chyba że przez cały ten czas śledził z ukrycia jej dorastanie, towarzyszył jej jak cień, a ona nic o tym nie wiedziała.

Linda szybko przebiegła w myślach wszystkie znane jej fakty na temat tajemniczego Eryka Westina. Kiedy Anna przyszła na świat, jej rodzice byli jeszcze bardzo młodzi. Oboje wychowali się w wielkich miastach, lecz potem dali się porwać fali niosącej młodych ludzi do proekologicznych komun, powstających w małych skańskich miasteczkach i wsiach. Linda zapamiętała, że ojciec Anny miał opinię „złotej rączki” i pewnego dnia zajął się wytwarzaniem oryginalnych, zdrowych dla stóp sandałów. Równocześnie miała świadomość, że matka Anny często opisywała go jako nieodpowiedzialnego lekkoducha, palącego haszysz wiecznego chłopca, który pasywność uczynił swoim sposobem na życie i nie miał pojęcia, co oznacza odpowiedzialność za dziecko. Ale dlaczego odszedł? Nie zostawił żadnego listu i nic też nie zapowiadało jego nagłego zniknięcia. Policja

szukała go jakiś czas, nie natrafiła jednak na żaden ślad świadczący o tym, by padł ofiarą zbrodni.

Eryk Westin musiał dobrze zaplanować swoją ucieczkę. Wraz z nim zniknął jego paszport i wszystkie zgromadzone przez niego pieniądze. Nie mogło ich być wiele, w końcu mieli skromne dochody. Większość zdobył, sprzedając samochód, który właściwie był samochodem matki Anny, bo to ona zarobiła na niego, biorąc nocne dyżury w szpitalu. Pewnego dnia Eryk Westin po prostu zniknął. Ponieważ wcześniej już się zdarzało, że przepadał na trochę, matka Anny odczekała dwa tygodnie, zanim powiadomiła policję o jego zniknięciu.

Linda zapamiętała, że jej ojciec w jakiś sposób uczestniczył w poszukiwaniach Westina. Ponieważ jednak śledztwo wykazało, że z jego zniknięciem nie wiąże się żadne przestępstwo, sprawę umorzono. Poza tym nic go nie obciążało, nie był o nic oskarżony, nie miał do odbycia żadnej kary. Nic też nie wskazywało na to, by stracił rozum. Parę miesięcy przed zniknięciem przechodził szczegółowe badania, z których wynikało, że był zdrowszy jak ryba, z wyjątkiem nieznacznej anemii.

Linda знала statystyki, wiedziała więc, że większość poszukiwanych osób po jakimś czasie się odnajduje. Znaczna liczba tych, którzy nigdy nie wracają do domu, okazuje się samobójcami, reszta zaś ukrywa się świadomie. Zaledwie niewielki odsetek zaginionych pada ofiarą jakiejś zbrodni. To ci, których pochowano w nieznanym miejscu lub utopiono w rzece albo jeziorze, z nogami spętanymi łańcuchem.

– Rozmawiałaś już o tym z matką? – zapytała Linda.

– Jeszcze nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Chyba wciąż jestem w szoku.

– Może po prostu w głębi ducha czujesz, że to jednak nie mógł być on.

Anna spojrzała na Lindę z wyrzutem.

– Jestem pewna, że to on. Jeśli to nie był mój ojciec, w moim mózgu musiało dojść do jakiegoś spięcia. To dlatego zapytałam cię, czy kiedyś miałaś wrażenie, że zaraz zwariujesz.

– Ale po co miałyby teraz wracać? Po dwudziestu czterech latach? Dlaczego się tam zatrzymał i wpatrywał się w ciebie przez okno? Skąd wiedział, że tam jesteś?

– Nie mam pojęcia.

Anna znów wstała z kanapy, podeszła do okna i za moment wróciła.

– Czasem myślę, że może on nigdy tak naprawdę nie zniknął. Może po prostu wolał być niewidzialny.

– Ale dlaczego?

– Pewnie najzwyczajniej w świecie uznał, że nie da rady. I nie chodziło w tym o mnie ani o mamę. Wydaje mi się, że mogło chodzić o coś poważniejszego. Być może chciał czegoś jeszcze i w końcu to go od nas oddaliło. A może uciekał przed samym sobą? Istnieją przecież ludzie, którzy są jak węże, potrzebują czasem zmienić skórę. Pomyśl, może on przez ten cały czas był tuż obok, a ja nie miałam o tym pojęcia.

– Poprosiłaś mnie, żebym tu przyszła, wysłuchała cię i potem powiedziała, co o tym sądzę. Nawet jeśli jesteś pewna, że to jego widziałaś za oknem, trudno mi uwierzyć, że to naprawdę był on. Po prostu bardzo chcesz, żeby wrócił, bardzo chcesz go zobaczyć. Dwadzieścia cztery lata to kawał czasu.

– Ale ja wiem, że to on. To naprawdę był mój ojciec. Pokazał mi się po tych wszystkich latach. Nie mylę się.

Linda wyczuła, że Anna chciałyby zostać sama, równie mocno, jak chwilę temu potrzebowała z kimś pogadać.

– Porozmawiaj z mamą – dodała na zakończenie. – Albo naprawdę go widziałaś, albo widziałaś to, co bardzo chciałaś zobaczyć.

– Nie wierzysz mi?



– Nie chodzi o to, w co ja wierzę. Tylko ty wiesz, co widziałas przez okno hotelu. Musisz zrozumieć, że trudno mi uznać to za prawdopodobne. Oczywiście nie zarzucam ci, że mnie okłamujesz, bo i po co miałabyś to robić? Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że rzadko kiedy ludzie wracają po dwudziestu latach. To się prawie nie zdarza. Pomyśl o tym, prześpij się z tym, wrócimy do tej rozmowy jutro. Mogę przyjść o piątej, odpowiada ci?

– Wiem, że go widziałam.

Linda zmarszczyła czoło. W głosie Anny pobrzmiwała niepokojąca nuta. Coś w tym wszystkim się nie zgadza, pomyślała. Ale po co kłamie? Chyba widzi, że udało mi się ją przejrzeć.

Wracała do domu pustymi ulicami. Przed kinem przy Stora Östergatan minęła grupkę nastolatków. Młodzi ludzie stali zupełnie spokojnie, wpatrzeni w jakiś plakat. Linda była ciekawa, czy zobaczyli niewidzialny mundur, który miała na sobie.

Następnego dnia Anna Westin przepadła bez śladu. Linda od razu poczuła niepokój, kiedy tylko zadzwoniła do drzwi jej mieszkania i nikt nie otworzył. Po chwili zadzwoniła jeszcze raz, wreszcie zawołała Annę przez szczelinę skrzynki na listy. Nikogo nie było w domu. Linda poczekała pół godziny, po czym z pewnym wahaniem, wyjęła z kieszeni zestaw wytrychów. Jeden z jej kolegów z roku kupił ich trochę w USA i rozdał znajomym w prezencie. Linda też taki dostała i potem wszyscy przez jakiś czas potajemnie uczyli się otwierać różne zamki. Niewiele było takich, z którymi Linda by sobie nie poradziła.

Dostawszy się do środka, szybko zamknęła za sobą drzwi. Obeszła mieszkanie, pokój po pokoju. Było starannie wysprzątane, tak samo jak poprzedniego dnia. Zlewozmywak pusty, ścierki świeżo wyprasowane. Anna należała do osób punktualnych. Ale choć umówiły się na konkretną godzinę, nie było jej w domu. Coś musiało się stać, pomyślała Linda. Tylko co? Usiadła na kanapie, na tym samym miejscu, co zeszłego wieczoru. Przyjaciółce wydawało się, że widziała swojego zaginionego ojca, rozmyślała. A dziś sama zniknęła. Jedno z drugim musi się jakoś łączyć, to oczywiste. Najpierw niespodziewane pojawienie się ojca, które prawdopodobnie było tylko złudzeniem, teraz to tajemnicze zniknięcie. Czy ono też jest złudzeniem? Linda siedziała na kanapie dość długo, starała się uporządkować myśli. W gruncie rzeczy po prostu czekała na przyjaciółkę w nadziei, że ta tylko wyszła, bo czegoś zapomniała lub coś jej wypadło i mocno się spóźni.

Nietypowe zniknięcie Anny było kulminacją dnia, który dla Lindy zaczął się bardzo wcześnie. Już o wpół do ósmej stawiała się w komendzie, żeby spotkać się z Martinssonem, jednym z najstarszych kolegów Kurta Wallandera, wyznaczonym na jej opiekuna. Nie mieli razem pracować, ponieważ Linda, jak każdy młody aspirant, musiała zacząć od pracy w patrolu i jeździć z różnymi policjantami. Martinsson był tym, do kogo powinna się ze wszystkim zwracać. Pamiętała go jeszcze z dzieciństwa. Wówczas on sam był dużym dzieckiem i został najmłodszym współpracownikiem jej ojca. To właśnie od ojca dowiedziała się, że Martinsson często tracił chęć do pracy i wielokrotnie planował zwolnić się z policji. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Kurt Wallander aż trzy razy odwiódł go od tej myśli.

Linda dokładnie wypytała ojca, czy przypadkiem nie brał udziału w procesie przydzielania aspirantom opiekunów. Decyzję tę podejmowało zwierzchnictwo, z Lisą Holgersson na czele. Kurt Wallander stanowczo zaprzeczył. Twierdził, że trzymał się z daleka od wszystkich spraw, które dotyczyły przyjęcia do pracy jego córki. Linda wysłuchała go uważnie, nie do końca mu wierząc. Jeśli istniało coś, czego naprawdę się obawiała, to tylko to, że ojciec będzie wtrącał się do jej pracy. Właśnie dlatego miała poważne wątpliwości, czy powinna zatrudnić się w Ystad, a nie w innej części kraju. Starając się o posadę, obok Ystad podała w formularzu również Kirunę i Luleå, miasta położone jak najdalej od Skanii. Dostała się jednak do Ystad i z czasem każde inne rozwiązanie uznała za niedorzeczne. Doszła do wniosku, że być może w przyszłości przeniesie się w jakiś inny rejon Szwecji. Jeśli zostanie policjantką na zawsze, co wcale nie było oczywiste. Tak podchodzono do pracy kiedyś, ale zarówno ona, jak i jej koleżanki i koledzy z roku bynajmniej nie uważali, że muszą całe życie poświęcić policji. Doświadczenie zdobyte na służbie otwierało drogę do innych zajęć. Można było znaleźć pracę na wielu stanowiskach,

i ochroniarza, i dyrektora odpowiedzialnego za bezpieczeństwo w jakiejś firmie.

Martinsson odebrał Lindę z recepcji. Usiedli w jego pokoju. Na biurku miał zdjęcia dwójki swych dzieci i uśmiechniętej żony. Lindzie szybko przebiegła przez głowę myśl, czyje zdjęcie ona postawi na swoim biurku. Martinsson streścił jej pokrótce obowiązki, które czekały ją w pracy, na początek miała jeździć w patrolu z dwoma bardziej doświadczonymi kolegami.

– Obaj są dobrzy – powiedział. – Ekman może ci się wydać trochę powolny i nieco leniwy, ale kiedy naprawdę coś się dzieje, nie ma nikogo lepszego. Sundin to jego dokładne przeciwieństwo. Tryska energią i zużywa ją na nieistotne sprawy. Wciąż jeszcze chce mu się zaczepiać ludzi za przejście przez ulicę na czerwonym świetle. Ale i on wie, co to znaczy być policjantem, tak więc na początek będziesz miała dwóch naprawdę dobrych kompanów.

– A co oni na to, że jestem kobietą?

– Dopóki robisz, co do ciebie należy, nie ma to najmniejszego znaczenia. Dziesięć lat temu wyglądałoby to inaczej.

– A mój ojciec?

– Co z nim?

– Jestem jego córką.

Martinsson zamyślił się, zanim odpowiedział.

– Z pewnością znalazłoby się parę osób mających nadzieję, że się zbłąznisz. Ale przecież wiedziałaś o tym od samego początku.

Potem rozmawiali jeszcze godzinę o sytuacji w okręgu ystadzkiej policji. „Sytuacja” to słowo, które Linda słyszała od zawsze. Powtarzano je, kiedy jako mała dziewczynka bawiła się pod stołem, przy którym podzwaniali szklankami ojciec i jego koledzy. *Sytuacja* zazwyczaj była

ciężka. Linda nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wspomniano o *sytuacji*, w której nie było kłopotów, choć *sytuacja* mogła dotyczyć absolutnie wszystkiego. Wprowadzenia nowych mundurów, które okazały się nieodpowiednie, wymiany radioodbiorników w samochodach, przyjmowania nowego personelu, zmian w przepisach prawnych, wszelkich nowych zarządzeń, słowem wszystkiego, co powodowało, że *sytuacja* stawała się trudna. Linda wyobrażała sobie wówczas, że bycie policjantem oznacza codzienne narady z kolegami, odbywane w przerwie w walce z przestępczością, podczas których omawiano, jak *sytuacja* zmieniła się w stosunku do poprzedniego dnia i co to oznacza dla dnia następnego. No proszę, o tym akurat nie uczono nas na studiach, pomyślała. Wiem sporo o zapewnianiu bezpieczeństwa na ulicach i placach, ale o tym, jak samemu oceniać *sytuację*, nie wiem prawie nic.

Po rozmowie poszli do stołówki na kawę. Martinsson swój ogląd *sytuacji* przedstawił krótko: coraz mniej śledczych pracuje w terenie.

– Ostatnio sporo czytałem na ten temat – powiedział. – Wygląda na to, że przestępczość nigdy nie była w Szwecji tak opłacalna jak dziś. Jeśli miałbym tę sytuację z czymś porównać, musiałbym się cofnąć do czasów, zanim Gustaw Waza zebrał nas do kupy w jedno państwo. Wtedy, zanim Szwecja stała się Szwecją, panował chaos i kwitło bezprawie. Coraz trudniej jest nam panować na porządkiem. Nasze działania właściwie ograniczają się do utrzymywania bezprawia w akceptowalnych granicach.

Odprowadził Lindę do recepcji.

– Nie chodziło mi o to, żeby cię zdołować. Nie ma nic gorszego niż policjant pozbawiony motywacji do pracy. Jeśli chce się tu wytrzymać, nigdy nie należy tracić ducha. Poza tym zawsze należy mieć dobry humor.

– Jak mój ojciec?

Martinsson spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Kurt Wallander jest dobrym gliniarzem. Dobrze o tym wiesz. Ale nie można go posądzić o zbytnią wesołość. O tym chyba też doskonale wiesz.

Stali jeszcze chwilę przy wyjściu. Jakiś wściekły mężczyzna awanturował się przy ladzie recepcyjnej z powodu odebrania mu prawa jazdy.

– A ten zabity policjant – odezwał się Martinsson. – Jak na to zareagowałaś?

Linda opowiedziała mu o zabawie, o telewizorze kucharzy i smutnym końcu imprezy.

– Tak, to ciężkie chwile – odparł na zakończenie. – Wszystkimi to wstrząsnęło, choć zdajemy sobie sprawę, że każdego dnia ktoś może wymierzyć w nas broń. Kiedy jeden z nas ginie, wielu zastanawia się, czy nie rzucić tej roboty. Ale potem zawsze zostają. Ja jestem jednym z nich.

Po wyjściu z komendy Linda ruszyła w stronę dzielnicy Öster, gdzie Zebra wynajmowała mieszkanie w czynszowej kamienicy. Zmagając się z silnym wiatrem, analizowała w myślach słowa Martinssona. Rozmyślała też o tym, czego jej nie powiedział. Ojciec zawsze jej powtarzał, że umiejętność słuchania nie polega na tym, żeby słyszeć to, co zostaje powiedziane, ale i to, co rozmówca przemilcza. Często właśnie to okazuje się najważniejszą informacją. Jednak w rozmowie z Martinssonem nie doszukała się niedomówień. Widocznie on należy do ludzi prostolinijnych i szczerych, pomyślała. Pewnie nic nie wie o jakichś ukrytych przekazach w komunikacji między ludźmi.

Spędziła u Zebry zaledwie chwilę, bo jej synka bolał brzuch i chłopiec płakał bez przerwy. Ustaliły, że spotkają się w weekend. Wtedy Linda będzie mogła w spokoju opowiedzieć o balu i sukni, która wszystkim tak bardzo się podobała.

Jednak tamtego dnia, 27 sierpnia, to nie spotkanie z Martinssonem było dla Lindy najważniejszym wydarzeniem. Okazało się nim nagle zniknięcie Anny. Kiedy włąmała się do mieszkania przyjaciółki i siedząc na kanapie w salonie, próbowała odtworzyć w pamięci obraz Anny z poprzedniego wieczoru. Usiłowała przypomnieć sobie jej słowa, opowieść o widzianym na ulicy w Malmö mężczyźnie, podobnym do ojca Anny. Istnieją przecież sobowtóry, przyszło jej na myśl. To chyba nie legenda, że każdy z nas ma swe lustrzane odbicie gdzieś w świecie, kogoś, kto urodził się i umrze w tym samym czasie. Sobowtóry istnieją naprawdę. Sama przecież widziałam kiedyś moją matkę w sztokholmskim metrze. O mało do niej wtedy nie podeszłam. Przestała być Moną, kiedy rozłożyła fińską gazetę i zaczęła ją czytać.

Co właściwie Anna mi powiedziała, Linda próbowała sobie przypomnieć. Jej ojciec nagle zmartwychwstał lub ma sobowtóra. Ciągłe się upierała, że to na pewno był on. Ale ona często się w ten sposób upiera, to nie pierwszy raz. Zdarzało się już, że za prawdziwe brała coś, co jej się tylko zdawało lub co wręcz zmyśliła. Jednak z całą pewnością nie zapomniaby o umówionym spotkaniu.

Linda znów obeszła mieszkanie. Zbliżyła się do regału z książkami, który stał w kącie do nauki urządzonym w jadalni. Rzuciła okiem na grzbiety książek. W większości były to powieści i reportaże z podróży. Nie dostrzegła żadnej literatury fachowej. Zmarszczyła czoło. Dlaczego nie ma tu żadnej biblioteczki medycznej, pomyślała. Sprawdziła półki z książkami w innych pokojach, lecz jedyne, co znalazła, to popularny leksykon chorób. Czy Anna nie powinna mieć góry lektur i podręczników, zastanawiała się. Coś tu się nie zgadza.

Zajrzała do lodówki. Nie było w niej nic nadzwyczajnego, nie świeciła też pustkami. Planowanie najbliższej przyszłości zdradzał otwarty karton mleka z datą ważności do drugiego września. Wróciwszy do salonu, Linda

zaczęła analizować to, co udało jej się do tej pory ustalić i zaobserwować. Jak student medycyny może obejść się bez medycznych książek, myślała. Chyba że Anna trzyma je gdzie indziej? To niemożliwe. Przecież mieszka w Ystad i jak twierdzi, tu głównie odbywa swoje studia.

Czekała jeszcze chwilę w salonie, a o siódmej zadzwoniła do ojca. Odebrał z ustami pełnymi jedzenia.

– Myślałem, że zjemy razem kolację – powiedział.

Linda krótko się zawahała. Chciała opowiedzieć mu o zniknięciu Anny, ale czuła, że nie powinna.

– Jestem zajęta – odparła.

– Czym?

– Moim życiem.

Odpowiedziały jej niezrozumiałe pomruki.

– Widziałam się dziś z Martinssonem.

– Wiem.

– Co ci powiedział?

– Tyle, co ty. Że się spotkaliście. Nic poza tym. Nie musisz się martwić.

Rozmowa dobiegła końca. Linda wciąż czekała, a kiedy zrobiła się ósma, zadzwoniła do Zebry, by ją zapytać, czy ma pojęcie, co mogło się stać z Anną. Ona jednak nie widziała się z Anną od paru dni, nie słyszała też nic o jej planach. Kiedy wybiła dziewiąta i Linda zrobiła sobie coś do jedzenia z tego, co znalazła w lodówce i spiżarni, wybrała numer do Henrietty. W słuchawce rozległo się wiele sygnałów, zanim matka Anny odebrała. Linda postanowiła być ostrożna, nie chciała zdenerwować tej kruchej kobiety. Czy Anna pojechała do Lund, zapytała. A może jest w Malmö lub Kopenhadze? Starła się zadawać jak najniewinniejsze pytania.

– Nie rozmawiałam z nią od czwartku – odparła Henrietta.



To aż cztery dni, pomyślała Linda. A więc nic nie powiedziała matce o mężczyźnie, którego zobaczyła pod hotelem w Malmö. Nie podzieliła się z nią swoim odkryciem, mimo że są sobie tak bliskie.

– Dlaczego wypytujesz o Annę? – zapytała nagle Henrietta.

– Dzwoniłam do niej, ale nie odebrała.

Linda wyczuła w głosie Henrietty niepokój.

– Ale przecież nie dzwonisz do mnie za każdym razem, kiedy nie możesz się z nią skontaktować.

Była przygotowana na to pytanie i miała w zanadru odpowiedź. Drobne, miłe kłamstwo.

– Nagle poczułam ochotę, żeby zjeść z Anną kolację. To wszystko – odparła, po czym skierowała rozmowę na inny tor: – Wiesz, że zaczynam pracę w Ystad?

– Tak, Anna mi wspominała. Mówiąc szczerze, żadna z nas nie pojmuje, dlaczego chcesz zostać policjantką.

– Jeślibym została tapicerem, każdego dnia klęczałabym nad jakimś krzesłem z ćwiekami w ustach. Praca na policji wydaje się trochę ciekawsza.

Gdzieś w tle zaczął bić zegar. Linda szybko zakończyła rozmowę. A więc Anna nie wspomniała matce ani słowem o mężczyźnie, którego widziała. Potem umówiła się ze mną na konkretny dzień i godzinę, ale jej nie ma. Nie zostawiła też żadnej wiadomości.

Spróbowała raz jeszcze pomyśleć, że to wszystko złudzenie i że Anna za chwilę się znajdzie. Bo co właściwie mogło się stać, uspokajała samą siebie. Anna nigdy nie należała do ryzykantek. W przeciwieństwie do Zebry i niej samej, zawsze najtrudniej było namówić ją na przejażdżkę kolejką górską. Nie ufała obcym, nigdy nie wsiadła do taksówki, nie spojrzawszy wcześniej kierowcy prosto w oczy. Po chwili rozmyślań Linda doszła do najprostszego wniosku. Anna była poruszona i pewnie wróciła do Malmö,

żeby odnaleźć mężczyznę, którego widziała. Z drugiej strony, nigdy nie zaważyła terminu żadnego spotkania. Jednak nigdy też się nie zdarzyło, żeby zobaczyła na ulicy swojego ojca.

Linda została w mieszkaniu Anny aż do północy.

Dopiero wtedy zyskała pewność. Nie było żadnego normalnego wytłumaczenia, dlaczego Anna nie wróciła do domu. Coś musiało się stać. Nie miała pojęcia co.

Kiedy wróciła do domu po północy, ojciec spał na kanapie, ale zbudziło go trzaśnięcie drzwi. Linda spojrzała z niechęcią na jego obfite ciało.

– Ty chyba puchniesz – powiedziała. – Pewnego dnia pęknie jak balon.

Kurt demonstracyjnie zacisnął pasek szlafroka.

– Robię, co mogę – odburknął.

– Akurat.

Ciężko usiadł.

– Miałem przyjemny sen – powiedział. – W tej chwili nie mam ochoty na rozmowę o mojej tuszy. Wyobraź sobie, że śniły mi się drzwi, przez które właśnie tu weszłaś. Pamiętasz Baibę?

– Tę z Łotwy? Ciągłe jesteście w kontakcie?

– Raz w roku, nie częściej. Poznała mężczyznę, jakiegoś niemieckiego inżyniera, który pracuje nad modernizacją wodociągów w Rydze. Kiedy mówi o tym swoim Hermanie z Lubeki, brzmi jak zakochana po uszy. Aż się dziwię, że nie jestem zazdrosny.

– Śniła ci się?

Kurt Wallander się uśmiechnął.

– Tak, mieliśmy dziecko – powiedział. – Chłopca, który bawił się grzecznie w ogromnej piaskownicy, a w oddali słyhać było orkiestrę dętą. Baiba i ja staliśmy obok siebie, patrzyliśmy na chłopca, a ja myślałem we śnie, że to wcale nie sen, że to naprawdę się dzieje. Poczułem wielką radość.

– Ty, który zazwyczaj skarżysz się na koszmary.

Nie słuchał jej, odpłynął gdzieś myślami.

– Potem trzasnęły drzwi. Te prawdziwe były we śnie drzwiami w samochodzie. Trwało lato, potworny upał. Wszystko wokół wydawało się jakby przerysowane. Baiba i chłopiec mieli całkiem białe twarze, bez żadnych cieni. To był piękny sen. Mieliśmy właśnie odjechać, kiedy nagle się obudziłem.

– Najmocniej przepraszam.

Kurt wzruszył ramionami.

– Cóż znaczy sen?

Linda chciała opowiedzieć ojcu o Annie, ale on wstał z kanapy, poczłapał do kuchni i napił się wody prosto z kranu. Poszła za nim. Spojrzał na córkę, przyglądając rękami włosy.

– Dlaczego tak późno wróciłaś? Nic mi do tego, wiem, ale wyczuwam, że *chcesz*, żebym cię o to zapytał.

Linda wszystko mu powiedziała. Słuchał jej, oparty o lodówkę, ze splecionymi na piersi rękami. Zawsze tak stoi, kiedy uważnie słucha, pomyślała. Pamiętam ten obrazek z dzieciństwa. Stojący nade mną olbrzym ze skrzyżowanymi rękami. Kiedyś myślałam, że mój tato jest wielką górą. Tata Góra.

Gdy skończyła, pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – To nie tak się odbywa.

– Co?

– Zniknięcie człowieka.

– Ale to do niej takie niepodobne. Znam ją, od kiedy skończyłyśmy siedem lat. Nigdy się nie spóźniła, nigdy nie zapomniała o żadnym spotkaniu.

– Może to idiotycznie zabrzmie, ale mówi się, że kiedyś musi być ten pierwszy raz. I dokładnie tak jest w tym przypadku. Prawdopodobnie była podekscytowana tym, co się stało. Może jest właśnie tak, jak sama powiedziałaś. Może pojechała go szukać.

Linda kiwnęła głową. Wiedziała, że ojciec ma rację. Myśl, że jej przyjaciółce mogło stać się coś złego, zdawała się przecież całkiem niedorzeczna.

Kurt usiadł na ławie pod oknem.

– Z czasem nauczysz się, że we wszystkim, co się dzieje, zawsze jest ogromna doza prawdopodobieństwa. Ludzie się zabijają, okłamują, popełniają różne przestępstwa, napadają na siebie lub po prostu znikają. Jeśli zajrzysz do studni każdej takiej sprawy odpowiednio głęboko, bo ja patrzę na każde śledztwo jak na studnię, prawie zawsze znajdziesz sensowne wytłumaczenie. I potem wytłumaczalny wydaje się fakt, że zaginął ten właśnie człowiek lub że ta właśnie osoba napadła na bank. Nie mówię, że nie dzieje się nic zaskakującego, ale stwierdzenie nigdy-bym-się-tego-po-nim-lub-po-niej-nie-spodziewała prawie zawsze mija się z prawdą. Jeśli się dobrze zastanowisz, zdrapiesz wierzchnią warstwę farby, znajdziesz pod nią inne odpowiedzi, inne kolory.

Ziewnął głośno i ciężko opuścił dłonie na stół.

– Idziemy spać.

– Zaczekaj jeszcze chwilę.

Kurt spojrzał na Lindę z zaskoczeniem.

– Nie przekonałem cię? Ciągłe myślisz, że Annę spotkało coś złego?

– Nie. Z pewnością masz rację.

Siedzieli w milczeniu. Zerwał się gwałtowny podmuch wiatru i gałąź uderzyła o szybę.

– Dużo mi się ostatnio śni – odezwał się Kurt. – Może dlatego, że często się budzę, kiedy wracasz do domu. A może wcale nie śni mi się więcej niż normalnie, tylko pamiętam te sny. Wczoraj przytrafiło mi się coś dziwnego. We śnie spacerowałem po cmentarzu, nagle znalazłem się przed paroma nagrobkami i rozpoznałem wszystkie nazwiska. Był tam grób Stefana Fredmana.

Linda zadrżała.

– Pamiętam go. Czy to prawda, że kiedyś włamał się do tego mieszkania?

– Zapewne, chociaż nigdy nie udało nam się tego do końca wyjaśnić. Kiedy z nim rozmawialiśmy, odpowiadał na pytanie bardzo niejasno.

– Byłeś na jego pogrzebie. Co się wtedy właściwie stało?

– Siedział zamknięty w szpitalu. Pewnego dnia pomalował sobie twarz w barwy wojenne, jak miał w zwyczaju, wdrapał się na dach i skoczył.

– Ile miał wtedy lat?

– Osiemnaście albo dziewiętnaście.

Gałąź znów uderzyła o szybę.

– A jakie inne nazwiska tam były?

– Przede wszystkim nazwisko pewnej kobiety, Yvonne Ander. Zdaje mi się nawet, że zgadzała się data jej śmierci, mimo że minęło już sporo lat.

– Kim ona była?

– Pamiętasz, kiedy postrzelono Ann-Britt Höglund?

– Jak mogłabym o tym zapomnieć? Uciekłeś wtedy do Danii i próbowałeś się tam zapić na śmierć.

– Nie było aż tak źle.

– Racja, było znacznie gorzej. Nie, nie pamiętam żadnej Yvonne Ander.

– Mściła się na mężczyznach, którzy dręczyli kobiety.

– Chyba coś sobie przypominam. Jak przez mgłę.

– W końcu ją zatrzymaliśmy. Wszyscy myśleli, że zwariowała albo jest zwykłym potworem. Ja natomiast wiem, że była jedną z najmądrzejszych osób, jakie spotkałem.

– Może z policjantami jest jak z lekarzami i ich pacjentami.

– Co masz na myśli?

– Że policjanci czasem zakochują się w kobietach, które zatrzymali.

Kurt mruknął coś jakby w proteście.

– Gadasz głupoty. Przesłuchiwałem ją. Poza tym napisała do mnie list, zanim się zabiła. Twierdziła w nim, że sprawiedliwość jest jak sieć o dużych oczkach. Nie udaje nam się albo świadomie nie chcemy osiągnąć wielu przestępców, którymi powinniśmy się zająć.

– Kto o tym decyduje?

Wallander pokręcił głową.

– Nie wiem. Chyba my wszyscy. Prawo wzięło się przecież z jakichś wspólnie przyjętych zasad, powstawało na drodze wspólnych ustaleń. Yvonne Ander ukazała mi to w zupełnie innym świetle i dlatego nigdy jej nie zapomnę.

– Kiedy to było?

– Jakieś pięć, sześć lat temu.

Nagle zadzwonił telefon.

Wallander aż podskoczył w miejscu. Spojrzeli na siebie. Dochodziła pierwsza. W końcu Kurt sięgnął po zawieszoną na ścianie słuchawkę. Lindzie przyszło na myśl, że to pewnie ktoś z jej znajomych, kto nie ma pojęcia, że ona w Ystad mieszka u ojca, że nie dostała jeszcze własnego mieszkania. Ojciec przedstawił się i słuchał w milczeniu. Po chwili Linda próbowała domyślić się czegoś z zadawanych rozmówcy krótkich, niemal jednosylabowych pytań. Zrozumiała, że dzwonił jakiś policjant. Być może Martinsson, może nawet Ann-Britt Höglund. Coś się stało w okolicach Rydsgård. Ojciec skinął w jej stronę, by podała mu z parapetu notes i coś do pisania. Notował, ściskając słuchawkę między barkiem a uchem. Linda zajrzała mu przez ramię. „Rydsgård, skrzyżowanie w stronę Charlottenlund, gospodarstwo Vik”. Niedawno tamtędy przejeżdżaliśmy, pomyślała. Kiedy wybraliśmy się do tego domu nad morzem, którego ojciec nie chciał. Wallander znów coś zapisał: „Płonące ciele. Åkerblom”. Na koniec jakiś

numer telefonu. Wreszcie przestał rozmawiać i odwiesił słuchawkę na miejsce. Linda usiadła naprzeciwko niego przy stole.

– Płonące ciele? O co chodzi?

– Też chciałbym wiedzieć – odparł, podnosząc się z krzesła. – Muszę tam jechać.

– Co się stało?

Kurt zawahał się i stanął w drzwiach. Zamyślił się na moment i po chwili podjął decyzję.

– Jedziesz ze mną.

Byłaś przy tym od samego początku – powiedział, kiedy siedzieli już w samochodzie. – Masz więc prawo brać udział w dalszym ciągu.

– W dalszym ciągu czego?

– Sprawy płonących łabędzi.

– Znowu je ktoś widział?

– I tak, i nie. Tym razem nie płonęły ptaki. Wygląda na to, że jakiś szalenciec wypędził z obory cielaka, oblał go benzyną i podpalił. Na policję zadzwonił gospodarz i na miejsce pojechał patrol. Wcześniej zgłosiłem im, żeby dali mi znać, jeśli coś takiego się powtórzy. Atak sadysty, dręczyciela zwierząt. Nie podoba mi się to.

Linda zawsze wiedziała, kiedy ojciec ukrywa jakieś swoje podejrzenia.

– Nie powiedziałaś, co o tym myślisz.

– Nie.

Wallander uciął rozmowę. Linda zastanawiała się, dlaczego właściwie pozwolił jej jechać.

Zboczywszy z głównej drogi, przejechali przez opustoszałą miejscowość Rydsgård, potem skręcili na południe, w stronę morza. Przy wylocie jednej z bocznych dróg czekał na nich radiowóz. Pojechali tuż za nim. Po chwili



wtoczyli się na wyłożony kamieniem dziedziniec gospodarstwa o nazwie Vik.

– W jakim charakterze tu jestem? – spytała Linda.

– Mojej córki – odparł Wallander. – Twoja obecność nie będzie nikomu przeszkadzać pod warunkiem, że nie będziesz starała się być kimś jeszcze poza moją córką. Na przykład policjantką.

Wysiedli z auta. Silne podmuchy wiatru uderzały o ściany domu. Powitało ich dwóch funkcjonariuszy. Jeden nazywał się Wahlberg, drugi Ekman. Wahlberg był bardzo przeziębiony, więc Linda, nie chcąc się od niego zarazić, szybko cofnęła rękę. Ekman spojrział na nią i zmrużył oczy w sposób charakterystyczny dla krótkowidza. Uśmiechnął się.

– Myślałem, że zaczynasz dopiero za parę tygodni.

– Linda mi towarzyszy – wtrącił Wallander. – Co tu się stało?

Wyszli przez bramę i skręcili w szutrową dróżkę wiodącą do nowo wybudowanej obory. Gospodarz klęczał obok martwego zwierzęcia tuż przy dużym składowisku obornika. Mężczyzna był młody, w wieku Lindy. Zawsze wydawało mi się, że taki gospodarz powinien być stary, pomyślała. Nie sądziłam, że są rolnicy w moim wieku.

Kurt Wallander podał mu dłoń na powitanie. Przedstawił się, po czym skinął głową na Lindę.

– To moja córka.

– Tomas Åkerblom – odparł gospodarz.

Kiedy się odwrócił, by spojrzeć na Lindę, padł mu na twarz strumień światła z obory. Linda zauważyła, że mężczyzna ma wilgotne oczy.

– Kto robi takie rzeczy? – odezwał się drżącym głosem. – Kto mógł coś takiego zrobić?

Odsunął się na bok, zupełnie jakby chciał odsłonić niewidzialną kurtynę skrywającą potworny widok. Linda zdążyła już wyczuć swąd spalonego mięsa, lecz nagle jej oczom ukazało się leżące na ziemi na wpół zwęglone

zwierzę. W miejscu, gdzie wcześniej było jedno z oczu, ziała czarna dziura. Znad spopielalej skóry wciąż jeszcze unosił się dym. Zapach benzyny sprawił, że Lindzie zrobiło się niedobrze. Cofnęła się o krok. Kurt Wallander przyjrzał się jej uważnie, pokręciła więc głową na znak, że nie zemdleje. Ojciec skinął, po czym rozejrzał się wkoło.

– Co tu się stało? – zapytał.

Tomas Åkerblom zaczął opowiadać. Jego głos wciąż brzmiał tak, jakby mężczyzna lada chwila miał się rozpłakać.

– Właśnie się położyłem spać i zasnąłem. Obudziło mnie wycie. W pierwszej chwili pomyślałem, że to ja sam, bo czasem budzę się z krzykiem. Zerwałem się z łóżka i wtedy dotarło do mnie, że hałas dochodzi z obory. Zwierzęta ryczały, a jednemu z nich coś się działo. Odsunąłem zasłony i zobaczyłem, że coś się pali. Jabłek płonął, chociaż wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to on, domyślałem się tylko, że to któryś z byczków. Rzucił się jak oszalały, wpadł prosto na ścianę obory. Był cały w ogniu. Nie wierzyłem w to, co widzę. Zbiegłem na dół, wciągnąłem kalosze, ale kiedy wyskoczyłem na dwór, on już leżał. Miał drgawki. Próbowałem zdusić ogień brezentem, jednak było już za późno. To potworne. Pamiętam, że myślałem wtedy: „To się nie dzieje naprawdę, takie rzeczy się nie dzieją, nie podpala się zwierząt”.

Gospodarz zamilkł.

– Widział pan coś? – zapytał Wallander.

– Przecież właśnie opowiedziałem.

– Powiedział pan „nie podpala się zwierząt”. Dlaczego pan tak pomyślał? Nie bierze pan pod uwagę, że to mógł być wypadek?

– A jak niby młody byczek miałby wylać na siebie benzynę i się podpalić? Jak inaczej to się mogło stać? Nigdy nie słyszałem, żeby zwierzęta popełniały samobójstwo.

– A więc ktoś musiał to zrobić. I o to właśnie pana pytam. Czy widział pan kogoś, kiedy odsunął pan zasłonę?

Tomas Åkerblom zastanowił się chwilę. Linda próbowała wczuć się w rolę ojca, uprzedzić w myślach jego następne pytanie.

– Widziałem tylko płonące zwierzę – odparł gospodarz.

– A czy ma pan jakieś podejrzenie, kto to mógł być?

– Jakiś szaleniec. Tylko szaleniec może zrobić coś tak potwornego.

Kurt Wallander pokiwał głową.

– Na ten moment nic więcej nie zdołamy ustalić – powiedział. – Niech pan zostawi zwierzę na miejscu. Wrócimy za dnia, żeby się rozejrzeć.

Ruszyli w stronę samochodu.

– Tylko szaleniec mógł zrobić coś tak potwornego – powtórzył Tomas Åkerblom.

Wallander nie odpowiedział. Linda dostrzegła, że jest potwornie zmęczony i ma czoło pokryte głębokimi bruzdami. Nagle wydał jej się bardzo stary. Ojciec się niepokoi, pomyślała. Najpierw płoną jakieś łabędzie, teraz cielak o imieniu Jabłek.

Kurt jakby czytał w jej myślach. Odwrócił się do gospodarza, trzymając dłoń na klawecie.

– Jabłek – powiedział. – To dziwne imię dla cielaka.

– W młodości grałem w ping-ponga i teraz moje zwierzęta noszą nazwiska znanych graczy<sup>1</sup> – wyjaśnił Åkerblom. – Inny byczek ma na imię Waldner<sup>2</sup>.

Wallander pokiwał głową. Linda dostrzegła, że się uśmiecha. Wiedziała, że ojciec lubi oryginalnych ludzi.

Ruszyli z powrotem do Ystad.

– Jak myślisz, o co tu chodzi? – zapytała.

– W najlepszym razie mamy do czynienia z sadystycznym dręczycielem zwierząt.

– W najlepszym razie?

Minęła dłuższa chwila, nim odpowiedział.

– W najgorszym to ktoś, kto nie zadowolony się zabiciem zwierzęcia – odezwał się w końcu.

Linda zrozumiała, co ojciec ma na myśli. Wyczuła też, że najlepsze, co mogła w tej chwili zrobić, to nie zadawać więcej pytań.

Kiedy Linda się obudziła, była już sama w mieszkaniu. Zegar wskazywał wpół do ósmej. Przeciągnęła się, podejrzewając, że zbudziło ją trzaśnięcie drzwi. Ojciec zamknął je zdecydowanie za głośno, pomyślała. Próbuje być dla mnie surowy. Nie lubi, kiedy zbyt długo się wyleguję.

Wstała i otworzyła okno. Była ładna pogoda i wciąż jeszcze całkiem ciepło. Lindzie nagle przypomniały się wydarzenia ostatniej nocy. Przed oczami stało jej spalone zwierzę oraz twarz ojca, który niespodziewanie wydał się jej bardzo stary. Widać po nim niepokój, pomyślała. Potrafi przede mną ukryć prawie każde inne uczucie, poza niepokojem.

Zjadła śniadanie i włożyła na siebie to samo, co poprzedniego dnia. Po chwili jednak się rozmyśliła i przebrała się jeszcze dwa razy, zanim poczuła się zadowolona z rezultatu. Potem zadzwoniła do Anny. Po pięciu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Linda zaczęła nagrywać wiadomość, krzycząc na Annę, żeby odebrała. Najwyraźniej nikogo tam nie było. Odłożywszy słuchawkę, stanęła przed lustrem w przedpokoju i zadała sobie na głos pytanie, czy wciąż niepokoi ją fakt, że słowna i punktualna Anna zniknęła bez uprzedzenia. Nie, odparła sama sobie, nie niepokoję się o nią. Anna z pewnością miała jakiś powód. Po prostu wybrała się na poszukiwania tamtego mężczyzny, który miał czelność być podobny do jej ojca.

Wyszła z domu i ruszyła spacerem do portu dla żaglówek. Snując się po molo, przyglądała się gładkiej i błyszczącej powierzchni morza. Kiedy mijiała jedną z łódek, zobaczyła śpiącą na dziobie półnagą kobietę. Nieznajoma głośno chrapała. Jeszcze trzynaście dni, pomyślała. Po kim

odziedziczyłam tę niecierpliwość? Zdecydowanie nie po ojcu, ale nie mam jej też po matce.

Dotarwszy do końca moło, zawróciła. Na jednym ze słupków do cumowania leżała gazeta. Linda zaczęła przeglądać strony z ogłoszeniami sprzedaży używanych samochodów. Saab za dziewiętnaście tysięcy koron. Ojciec obiecał jej dołożyć dziesięć tysięcy. Samochód jest jej potrzebny. Ale saab za dziewiętnaście tysięcy, zastanowiła się. Ciekawe, jak długo takie coś pojeździ.

Wsunęła gazetę do kieszeni i ruszyła w stronę mieszkania Anny. Dotarwszy na miejsce, kilka razy zadzwoniła do drzwi, lecz nikt się nie pojawił. Kiedy weszła do przedpokoju, ponownie otworzywszy drzwi wytrychem, nagle poczuła, że od jej ostatniej wizyty ktoś był w mieszkaniu. Stała bez ruchu, uważnie badając wzrokiem ściany, wiszące na wieszakach ubrania i ustawione równo buty. Czy coś się zmieniło, zadawała sobie w myślach pytanie. Nie dostrzegła nic, co by ją utwierdziło w początkowym wrażeniu.

Weszła do salonu i usiadła na kanapie. Siedzę w pustym pokoju, analizowała. Gdybym była moim ojcem, spróbowałabym znaleźć jakieś ślady tego, co się tu działo, usiłowałabym dostrzec ludzi, jakieś dramatyczne zdarzenia. Ja jednak nic tu nie widzę, stwierdzam tylko, że Anny tu nie ma.

Wstała i dwukrotnie powoli obeszła całe mieszkanie. W końcu uznała, że Anny nie było tu w nocy. Ani Anny, ani nikogo innego. Jedyne, co znalazła, to niewidoczne ślady swojej obecności.

Weszła do sypialni i usiadła przy biurku. Zawahała się przez chwilę, ale ciekawość była silniejsza. Linda wiedziała, że Anna prowadzi pamiętnik. Zawsze to robiła. W pamięci Lindy zachowały się obrazy ze szkoły średniej, jak Anna, wciśnięta w jakiś kąt, notuje coś w pamiętniku. Chłopiec, który kiedyś odważył się jej go wyrwać, spotkał się z tak

gwałtownym atakiem furii, że nigdy więcej nikt nie próbował go naśladować. Linda zapamiętała, że Anna ugryzła ciekawskiego kolegę w ramię.

Wysunęła jedną z szuflad biurka. Była po brzegi wypełniona starymi pamiętnikami, zapisanymi od deski do deski, z odcisniętymi śladami palców. W kolejnych szufladach było to samo. Na okładkach widniały roczniki. Do szesnastego roku życia Anna używała notatników czerwonych, potem nagle coś się zmieniło i zastąpiła je klasycznymi czarnymi.

Linda zamknęła szuflady i zajrzała pod stertę papierów zalegających na biurku. Znalazła tam aktualny pamiętnik Anny. Rzucę tylko okiem na ostatnią stronę, tłumaczyła się sama przed sobą. Uznała, że usprawiedliwia ją niepokój o przyjaciółkę. Ostatnie zapiski pojawiły się w pamiętniku tego samego dnia, kiedy miały się spotkać. Linda pochyliła się nad notatkami. Anna miała drobny styl pisma, wyglądał tak, jakby starała się ukryć litery. Przeczytała tekst dwukrotnie. Za pierwszym razem nic z niego nie rozumiała, za drugim tylko utwierdziła się w swym zdziwieniu. Anna zamieściła w pamiętniku jakieś bezsensowne słowa: JOMATOT, JOMATOT. Czy to jakiś szyfr, zastanawiała się Linda. Jakies hasło dla wtajemniczonych?

Łamiąc złożoną sobie samej obietnicę, cofnęła się o parę kartek. Wcześniejsze zapiski wyglądały całkiem inaczej. Parę dni wcześniej Anna zanotowała: „Podręcznik Saxhusena do podstaw medycyny klinicznej to nic innego jak pedagogiczna hucpa. Nie da się go czytać i nic z niego nie można zrozumieć. Kto to widział, żeby tak wyglądał podręcznik? Tylko odstraszy przyszłych lekarzy i zachęci ich do zmiany profesji. Wyjdzie im to na korzyść, bo zarobią więcej pieniędzy”. Potem zanotowała jeszcze: „Rano miałam lekką gorączkę, wieje wiatr”. Linda zgodziła się z obserwacją dotyczącą pogody. Na samym końcu widniał jeszcze dopisek: „Nie mogę znaleźć zapasowych kluczyków do auta”. Wróciła do ostatniej

strony pamiętnika i przeczytała niezrozumiałe słowo jeszcze raz, starając się wyobrazić, że sama jest Anną i właśnie je pisze. Tekst nie był nigdzie pokreślony, nie było zmian, najmniejszego zawahania. Równy, zdecydowany styl. „JOMATOT, JOMATOT. Widzę, że tego roku przeznaczyłam dziewiętnaście dni na pranie. Jeśli o czymkolwiek marzę, to chciałabym zostać lekarzem rodzinnym na jakimś przedmieściu. Może gdzieś na północy. Ale czy miasta na północy mają przedmieścia?”

W tym miejscu tekst się urywał. W pamiętniku nie było ani słowa o mężczyźnie, którego Anna widziała na ulicy w Malmö. Ani słowa, ani jednej wzmianki, dosłownie nic, myślała Linda. Czy nie o takich właśnie rzeczach pisze się w pamiętniku w pierwszej kolejności?

Cofnęła się jeszcze o parę stron, żeby zyskać pewność, że ostatnie zapiski różnią się od poprzednich. Gdzieś tam znalazła coś na swój temat. „Linda jest moją przyjaciółką”, zanotowała Anna 20 lipca, w samym środku notatek o wizycie jej matki i o tym, że pokłóciły się o nic. Tego samego dnia Anna zamieściła notatkę: „Wieczorem wybieram się do Malmö obejrzeć rosyjski film”.

Linda wertowała pamiętnik prawie całą godzinę, szukając z narastającymi wyrzutami sumienia zapisków na swój temat. „Linda bywa wymagająca”, zanotowała Anna 4 sierpnia. Co wtedy robiłyśmy, zastanowiła się Linda. Nie mogła sobie przypomnieć. 4 sierpnia był dla niej dniem podobnym do reszty ciągnących się w nieskończoność dni oczekiwania na koniec lata. Ona sama nie miała nawet kalendarza, nie używała notesów. Organizowała swój czas za pomocą luźnych karteczek, a numery telefonów najczęściej zapisywała na dłoni.

W końcu zamknęła pamiętnik, nie znalazłszy w nim nic ciekawego poza dziwnym ostatnim wpisem. To zupełnie nie brzmi jak Anna, pomyślała. Reszta zapisków to słowa kogoś, kto żyje we względnej równowadze z samym sobą i nie ma problemów większych niż inni. Jednak ostatniego



dnia, zaraz po tym, jak jej się zdawało, że zobaczyła zaginionego przed dwudziestoma czterema laty ojca, nagle pisze coś niezrozumiałego. To jakieś szaleństwo. Dlaczego ani słowem nie wspomniała o ojcu? Dlaczego zanotowała coś tak dziwnego?

Linda poczuła powracający niepokój. Czyżby Anna rzeczywiście miała powody, by bać się, że traci rozum? Podeszła do okna i stanęła w tym samym miejscu, w którym ostatnio stała jej przyjaciółka. Słońce świeciło ostro, a promienie odbijające się w oknie naprzeciw sprawiły, że Linda zmrużyła oczy. Czy Annie mogło pomieszać się w głowie, rozmyślała. Upierała się, że widziała swojego ojca. Może to zdarzenie tak nią wstrząsnęło, że doznała szoku, straciła nad sobą kontrolę i zrobiła coś, czego zaraz pożałowała? Ale co takiego mogła zrobić?

Wzdrygnęła się. Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Samochód. Auto Anny. Czerwony golf. Jeśli gdzieś wyjechała, auta nie powinno tu być.

Linda zbiegła po schodach i weszła na dziedziniec, na którym parkowali mieszkańcy. Czerwony golf stał na miejscu. Był zamknięty, ale wyglądał na świeżo umyty. Lindę ogarnęło zdziwienie. Przecież auto Anny zawsze jest brudne, pomyślała. Za każdym razem, kiedy po mnie przyjeżdżała, zwracałam uwagę na to, że ma nieumyty samochód. A teraz nagle aż błyszczący, nawet felgi ma wypucowane.

Wróciwszy na górę, usiadła w kuchni i próbowała znaleźć wytłumaczenie całej tej sytuacji, świadoma, że jedyny niezaprzeczalny fakt to nieobecność Anny na umówionym spotkaniu. Nie mogło to wynikać z jakiegoś nieporozumienia. Anna nie mogła też o spotkaniu zapomnieć. Podsumowując, rozmyślała Linda, *Anna sama zdecydowała*, że jej w tym czasie nie będzie. Widocznie miała do zrobienia coś ważniejszego i nie potrzebowała do tego samochodu. Linda odsłuchiwała automatyczną sekretarkę, ale nie odkryła tam żadnej wiadomości, poza swoim własnym

wołaniem. Bezradnie powiodła wzrokiem ku drzwiom wyjściowym. Wyobraziła sobie, że ktoś za nimi stoi i naciska dzwonek. Nie jestem to ja, rozmyślała, ani Zebra, ani nawet Henrietta. Jakich innych znajomych ma Anna? Twierdziła, że mieszka tu sama od kwietnia, odkąd wyrzuciła niejakiego Månsa Perssona, którego nie zdążyłam poznać. Måns studiował w Lund i specjalizował się w elektromagnetyzmie, okazał się jednak mniej wiarygodny, niż Anna sądziła. Przyjaciółka zwierzyła się Lindzie, że wciąż ją to boli, i dlatego z pewnością trochę zaczeka, zanim zaangażuje się w jakiś nowy związek.

Linda przestała na moment rozmyślać o Annie i skupiła się wyłącznie na sobie. Ona też do niedawna miała swojego Månsa Perssona, lecz skreśliła go ze swojego życia w połowie marca. Miał na imię Ludwik i wydawało się, że z jakiegoś tajemniczego powodu imię to jest dla niego wprost idealne. Ludwik okazał się połączeniem wyniosłego cesarza i kapryśnej operowej diwy. Linda poznała go pewnego wieczoru w barze, kiedy spotkała się na piwie z paroma znajomymi z roku. Ludwik i jego towarzystwo siedzieli przy sąsiednim stoliku, wszystkim im było bardzo ciasno. Jej nowy znajomy pracował w miejskich służbach komunalnych jako kierowca śmieciarki. Opowiadał o tym tak, jakby na co dzień rozbijał się po ulicach sportowym samochodem, a przy tym był nadzwyczaj dumny ze swojej pracy. Linda zachwyciła się jego głośnym śmiechem, wesołymi oczami oraz tym, że nie przerywał jej, kiedy mówiła, ale naprawdę starał się jej słuchać, mimo że wokół panował potworny harmider.

Wkrótce zostali parą, a Linda była nawet gotowa uwierzyć, że spotkała idealnego mężczyznę w świecie pełnym przeciętnych facetów. Pewnego dnia jednak dowiedziała się od kogoś, kto z kolei dowiedział się od kogoś innego, że Ludwik, kiedy nie pracuje i akurat nie jest z Lindą, spędza czas z pewną młodą kobietą, właścicielką firmy cateringowej z Vallentuny.

Doszło do burzliwej awantury, Ludwik błagał Lindę, by z nim została, ona jednak wyrzuciła go na mróz i płakała potem przez tydzień.

Odpędziła myśli o Ludwiku, które wciąż jeszcze były dla niej bolesne. Doszła do wniosku, że być może i ona, podobnie jak Anna, choć sama nie jest tego całkiem świadoma, na razie nie dojrzała do kolejnego związku. Dobrze wiedziała, że ojca martwią jej ciągle zmiany chłopaków, choć nigdy jej o to nie wypytywał.

Postanowiła obejść mieszkanie Anny jeszcze raz. Nagle wydało jej się, że cała ta sytuacja jest śmieszna, a ona sama godna pożalowania. Co takiego mogło się stać Annie, pomyślała. Pewnie nic. Radziła sobie w życiu lepiej niż większość ludzi. Fakt, że nie było jej w domu w umówionym terminie, nie musi przecież niczego oznaczać. Linda zatrzymała się w kuchni, przy półce, na której leżały zapasowe kluczyki do auta. Anna pożyczała jej czasem samochód. Teraz z pewnością też nie miałaby nic przeciwko. Tym bardziej że wybiorę się nim z wizytą do jej matki. Nim wyszła, Linda zostawiła na kuchennym stole wiadomość, że pożycza auto i zamierza wrócić za parę godzin. Nie napisała nic o swoim niepokoju.

Wstąpiła jeszcze do domu na Mariagatan, głównie po to, żeby przebrać się w coś lżejszego, bo zrobiło się bardzo ciepło. Potem wyjechała z miasta, skręciła w drogę wiodącą do Kåseberga i zatrzymała się na chwilę w porcie. Tafla wody połyskiwała jak lustro, w samym porcie zaś kąpał się jakiś pies. Na ławce obok sklepiku z wędzonymi rybami siedział starszy mężczyzna, który na widok Lindy przyjaźnie skinął głową. Odwzajemniła powitanie, nie mając pojęcia, kim jest nieznajomy. Może to jakiś emerytowany kolega ojca, pomyślała.

Niedaleko miejsca, gdzie mieszkała i komponowała swoją przedziwną muzykę matka Anny, Linda skręciła w niewielką dróżkę wiodącą do domu, w którym do śmierci mieszkał jej dziadek. Zaparkowała i podeszła do

budynku. Od czasu, gdy Gertrud, wdowa po dziadku, przeniosła się do swojej siostry, dom miał już dwóch właścicieli. Pierwszym był młody człowiek, właściciel firmy komputerowej z Simrishamn. Kiedy firma zbankrutowała, mężczyzna sprzedał dom parze ceramików z Huskvarny, którzy chcieli przeprowadzić się do Skanii. Do furtki przytwierdzono szyld z napisem „Wyrób doniczek”. Drzwi do budynku gospodarczego, w którym dziadek malował swoje obrazy, stały otwarte na oścież. Linda zawahała się, po chwili jednak otworzyła furtkę i podeszła do domu. Na wystawionej na dwór suszarce do bielizny powiewały dziecięce ubranka.

Kiedy zapukała do drzwi pracowni, odpowiedział jej kobiecy głos. Weszła do środka. Musiało minąć parę sekund, nim jej wzrok przyzwyczaił się do panującego wewnątrz półmroku. Po chwili ujrzała około czterdziestoletnią kobietę siedzącą przy glinianej rzeźbie przedstawiającej ludzką twarz. Pracowała, okrawając ją nożem i formując ucho. Linda powiedziała, kim jest, i przeprosiła, że przeszkadza. Kobieta odłożyła narzędzie, wytarła ręce i zaproponowała, by wyszły na słońce. Miała bladą twarz i wyglądała na niewyspaną, ale jej oczy spoglądały przyjaźnie.

– Słyszałam o nim – powiedziała. – O mężczyźnie, który tu mieszkał i malował wciąż te same obrazy.

– Niezupełnie – odparła Linda. – Malował dwa motywy. Jednym był pejzaż z głuszcem, a drugim pejzaż bez głuszca, z jeziorem, zachodem słońca i paroma drzewami. Stosował szablony do wszystkiego, poza słońcem. Je zawsze malował osobno.

– Czasem mi się zdaje, że wciąż tu jest. Czy często się złościł?

Linda spojrzała na nią zaskoczona.

– Co jakiś czas mam wrażenie, że ktoś tu gdzieś chodzi i narzeka – wyjaśniła kobieta.

– To z całą pewnością on.

Kobieta miała na imię Barbara, przedstawiła się Lindzie i zaproponowała kawę.

– Dziękuję, ale będę już lecieć – odparła Linda. – Zatrzymałam się tu z ciekawości.

– Przenieśliśmy się tu z Huskvarny – ciągnęła Barbara. – Chcieliśmy zamieszkać z dala od miasta, chociaż ono nie jest wielkie. Lars, mój mąż, należy do młodego pokolenia ludzi o wszechstronnych umiejętnościach. Potrafi naprawiać rowery i zegarki, a jednocześnie umie ocenić, na co chorują krowy, i przede wszystkim opowiada fantastyczne bajki dzieciom. Mamy dwójkę.

Barbara zamilkła, jakby nagle pożałowała, że mówi tak dużo całkiem obcej osobie. Zamyśliła się.

– Chyba tego najbardziej im teraz brakuje – dodała. – Tych jego wspaniałych bajek.

Wyszła z Lindą na drogę i odprowadziła ją do samochodu.

– A więc już go tu nie ma? – odezwała się ostrożnie Linda.

– Wśród wszystkich tych wspaniałych rzeczy, które potrafił, było coś, czego nigdy się nie nauczył. Nie zrozumiał, że nigdy nie opuszcza się dzieci. Dostał ataku paniki. Wsiadł na rower i po prostu odjechał. Teraz znów mieszka w Huskvarnie. Ale normalnie rozmawiamy, poza tym odkąd nie czuje presji, lepiej zajmuje się dziećmi.

Rozstały się przy aucie.

– Kiedy grzecznie prosiło się dziadka, żeby się nie złościł, zazwyczaj się uspokajał – powiedziała Linda na pożegnanie. – Musi to jednak zrobić kobieta, inaczej nie posłucha. Przynajmniej tak było, kiedy żył. Być może zadziała to i teraz, kiedy go już nie ma.

– Czy on był szczęśliwy? – spytała Barbara.

Linda zamyśliła się chwilę. Słowo „szczęśliwy” niezbyt pasowało do obrazu dziadka, który zachowała w pamięci.

– Największą przyjemność sprawiało mu siedzenie tam w ciemności i robienie dokładnie tego samego, co poprzedniego dnia. W powtarzalności odnajdywał spokój. Jeśli to można nazwać szczęściem, był szczęśliwy.

Linda otworzyła drzwi do samochodu.

– Jestem do niego podobna – dodała z uśmiechem. – Dlatego wiem, jak można go podejść.

Odjeżdżając, spojrzała na Barbarę we wstecznym lusterku. Nigdy w życiu, pomyślała. Nigdy nie dam się zamknąć w starym domu na wietrznym wybrzeżu z dwójką dzieci. Nigdy w życiu.

Sama myśl o tym wyprowadziła ją z równowagi. Po chwili zorientowała się, że jedzie za szybko. Zahamowała ostro dopiero, kiedy dotarła do wyjazdu na główną drogę.

Matka Anny, Henrietta Westin, mieszkała w domu, który jakby przycupnął za dwoma gęstymi zagajnikami. Drzewa najwyraźniej go strzegły. Linda chwilę błędziła i musiała zawrócić, zanim trafiła na właściwą drogę. Kiedy wreszcie dotarła na miejsce, zaparkowała obok zardzewiałej żniwiarki i wysiadła z samochodu. Uderzyła ją fala gorąca i ożywiła w pamięci obrazy z wycieczki do Grecji, którą kiedyś odbyła z Ludwikiem. Pokręciła głową, chcąc odpędzić wspomnienie, i zaczęła szukać drogi wśród potężnych drzew. Po chwili zatrzymała się i rozejrzała, osłaniając dłonią oczy przed ostrym słońcem. Jej uwagę przykuł jakiś dźwięk przypominający trzeszczenie lub energiczne stukanie. Za moment dostrzegła w gęstym listowiu dzięcioła, uderzającego o pień w jednostajnym, równym tempie. Być może to element jej muzyki, pomyślała. O ile dobrze zrozumiała słowa Anny, jej matce nie jest obcy żaden dźwięk. Dzięcioł to prawdopodobnie jej perkusista.

Zostawiła za sobą bębniącego w drzewo ptaka i ruszyła w stronę domu. Minęła zaniedbane i nieuprawiane od wielu lat grządki. Co ja o niej wiem?,

zadała sobie pytanie. I co właściwie tutaj robię? Zatrzymała się i zamyśliła. Doszła do wniosku, że kiedy tak stoi w cieniu wielkich drzew, nie czuje niepokoju. Nieobecność Anny na pewno da się jakoś sensownie wyjaśnić. Obróciła się i ruszyła z powrotem do samochodu.

Dzięcioł przestał stukać w pień i gdzieś zniknął. Wszystko w pewnej chwili znika, pomyślała. Dzięcioły, ludzie, moje marzenia i cały ten czas, który wydawał się jeszcze przede mną. Tymczasem on przemija, a ja nie umiem go zatrzymać. Nagle przystanęła, jakby ktoś pociągnął ją za niewidzialne cugle. Dlaczego zawróciłam, zapytała samą siebie w myślach. Skoro wybrałam się na wycieczkę samochodem Anny, równie dobrze mogę odwiedzić Henriette. Bez nerwów, bez specjalnego zaskoczenia, nie dziwiąc się nagłemu zniknięciu Anny. Być może ona po prostu pojechała do Lund. Nie mam numeru telefonu do tamtejszego mieszkania, więc mogę poprosić o niego Henriette.

Ponownie ruszyła ścieżką w stronę domu. Budynek był z muru pruskiego, pomalowany na biało i obrośnięty zdziczałymi krzakami róż. Na kamiennych schodach wygrzewał się w słońcu kot. Obrzucił Lindę nieufnym spojrzeniem. Podeszła bliżej. Jedno z okien było otwarte. Właśnie się pochylała, żeby pogłaskać kota, gdy nagle usłyszała dobiegający ze środka dziwny dźwięk. To muzyka Henrietty, pomyślała.

Nagle gwałtownie się wyprostowała i wstrzymała oddech.

Z okna nie wydobywały się dźwięki muzyki. Linda wyraźnie słyszała płaczącą kobietę.

W domu zaczął szczekać pies. Linda poczuła się jak przyłapana na gorącym uczynku i szybko zadzwoniła do drzwi. Minęła dłuższa chwila, nim się otworzyły i ukazała się w nich Henrietta, trzymająca za kark szarego szpica.

– Nic ci nie zrobi – powiedziała. – Wejdz.

Linda zawsze czuła się nieswojo w towarzystwie obcych psów. Zawahała się na moment, zanim weszła do przedpokoju. Ale gdy tylko przestąpiła próg, pies przestał szczekać, zupełnie jakby minęła jakąś niewidzialną granicę. Henrietta puściła zwierzaka. Patrząc na nią, Linda doszła do wniosku, że jeszcze nigdy nie widziała jej tak drobnej i wychudzonej. Co takiego powiedziała ostatnio Anna? Chyba, że jej matka nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat. Mimo młodej twarzy sprawiała wrażenie dużo starszej. Pies, który wabił się Patos, obwąchał nogi Lindy, po czym poszedł do swojego koszyka i ułożył się w nim wygodnie.

Pomyślała o słyszonym przed chwilą płaczu, ale na twarzy Henrietty nie było widać śladów łez. Rzuciła okiem ponad jej głową, nikogo jednak nie dostrzegła. Kobieta zauważyła jej ukradkowe spojrzenia.

– Szukasz tu Anny? – zapytała.

– Nie.

Henrietta wybuchnęła śmiechem.

– W życiu bym się tego nie spodziewała. Najpierw dzwonisz, a potem przyjeżdżasz z wizytą. Czy coś się stało? Czy Anna się nie znalazła?

Lindę zaskoczyła ta bezpośrednia reakcja, choć właściwie była jej na rękę.

– Nie, nadal jej nie ma – odparła.



Henrietta wzruszyła ramionami i lekko popchnęła Lindę do wielkiego salonu, który powstał po wyburzeniu wielu ścian. Pomieszczenie służyło jej za pracownię i pokój dzienny.

– Anna na pewno jest w Lund. Od czasu do czasu się tam zaszywa. Zdaje mi się, że to z powodu ogromu niełatwej teorii, którą muszą przyswoić przyszli lekarze. Anna nie jest teoretykiem. Właściwie nie wiem, do kogo jest podobna. Ani do mnie, ani do ojca. Chyba jest podobna tylko do samej siebie.

– Czy ona ma w Lund jakiś telefon?

– Nie wiem. Wynajmuje tam pokój, ale nawet nie znam adresu.

– Czy to nie dziwne?

Henrietta zmarszczyła czoło.

– Dlaczego? Anna to tajemnicza osoba. Jeśli nie zostawi się jej w spokoju, potrafi wpaść w szal. Nie wiedziałaś?

– Nie. A może ma komórkę?

– Należy do nielicznych osób, które do dziś opierają się temu wynalazkowi. Ja mam komórkę i nie rozumiem, po co komu dziś telefon stacjonarny. Anna myśli inaczej. Nie kupiła sobie komórki.

Henrietta nagle zamilkła, jakby przyszła jej do głowy niespodziewana myśl. Linda rozejrzała się po pokoju. Ktoś tu przed chwilą płakał. Gdyby matka Anny nie zapytała jej o to wprost, w ogóle by na to nie wpadła, że przyjaciółka może gdzieś tu być. Kto jak kto, ale z pewnością nie Anna, uznała. Po co miałyby siedzieć u mamy i płakać? Poza tym Anna nie jest z tych, co płaczą. Kiedyś, kiedy były jeszcze małe, spadła z rusztowania i mocno się uderzyła. Wtedy płakała, ale tylko ten jedyny raz. A kiedy obie zakochałyśmy się w Tomaszu, ja byłam tą, która roniła łzy, natomiast Anna wpadła we wściekłość, chociaż nie aż tak wielką, jaką przypisywała jej matka.

Linda przyglądała się matce Anny stojącej na środku zniszczonej drewnianej podłogi. Promień światła muskał jej twarz. Ma ostry profil, tak samo jak Anna, pomyślała.

– Rzadko ktoś mnie tu odwiedza – odezwała się nagle Henrietta, zupełnie jakby tylko o tym przez tę długą chwilę myślała. – Ludzie mnie unikają tak samo, jak ja unikam ich. Poza tym większość ma mnie za dziwaczkę. Źle widziane jest zaszywanie się w jakiejś dziurze z psem, żeby komponować muzykę, której nikt nie chce słuchać. Poza tym sytuacji nie polepsza fakt, że wciąż jestem żoną mężczyzny, który odszedł ode mnie dwadzieścia cztery lata temu.

Linda wyczuła w jej głosie niewypowiedzianą gorycz i żal.

– Czym się teraz zajmujesz? – zapytała.

– Nie musisz się wysilać. Po co przyjechałaś? Niepokoisz się o Annę?

– Pożyczyłam od niej samochód. Niedaleko stąd mieszkał mój dziadek. Pojechałam tam, więc byłam w pobliżu. Po prostu wybrałam się na wycieczkę. Dłużą mi się dni.

– Nie możesz się doczekać, kiedy włożysz mundur?

– Dokładnie tak.

Henrietta postawiła na stole kubki i termos z kawą.

– Nie rozumiem, dlaczego taka ładna dziewczyna jak ty chce zostać policjantką. W moim wyobrażeniu policjanci co chwilę muszą wdawać się w jakieś bijatyki. Pewna część społeczeństwa wciąż kotłuje się między sobą i policja jest skazana na to, żeby tych ludzi rozdzielać.

Nalała kawy do kubków.

– Ale może ty będziesz siedzieć za biurkiem – dodała.

– Będę jeździć w patrolu i robić dokładnie to, co mówisz. Będę wchodzić między awanturujących się ludzi.

Henrietta usiadła przy stole i oparła podbródek na dłoni.

– Naprawdę chcesz poświęcić swoje życie czemuś takiemu?

Linda poczuła się zaatakowana, jakby Henrietta próbowała zarazić ją swoją goryczą. Postanowiła się bronić.

– Nie jestem żadną śliczną i słodką dziewczynką. Za chwilę skończę trzydzieści lat, poza tym wyglądam dość przeciętnie. Mężczyźni uważają, że mam ładną twarz i niezły biust, nawet się z nimi zgadzam, przynajmniej w tych momentach, kiedy się sobie podobam. Cała reszta mnie jest zupełnie przeciętna. Nigdy nie marzyłam o tym, żeby zostać królową piękności. A nietrudno chyba sobie wyobrazić, jak wyglądałby świat, gdyby nie było policjantów. Mój ojciec jest jednym z nich, nie wstydzę się tego, czemu poświęcił swoje życie.

Henrietta powoli pokręciła głową.

– Nie chciałam cię urazić – powiedziała.

Linda wciąż jeszcze była zła. Czuła, że musi głośno zaprotestować, choć właściwie nie wiedziała do końca, przeciwko czemu.

– Kiedy podeszłam do domu, zdawało mi się, że słyszę płacz.

Henrietta uśmiechnęła się.

– Mam płacz nagrany na taśmę. To materiał do mojego requiem, w którym mieszam muzykę z głosami płaczących ludzi.

– Nie wiem, co to jest requiem.

– To msza żałobna. Ostatnio piszę wyłącznie takie rzeczy.

Henrietta wstała z krzesła i podeszła do fortepianu znajdującego się przy oknie z widokiem na pola i łagodne pagórki. Tuż obok instrumentu, na dużej ławie, stał magnetofon i jakieś urządzenie z wieloma przyciskami, wyglądające jak stół mikserski. Henrietta włączyła magnetofon i nagle w pokoju rozległ się kobiecy płacz, ten sam, który Linda słyszała przez okno. Poczuła, że narasta w niej zainteresowanie niezwykłą matką Anny.

– Dlaczego nagrywasz płaczące kobiety?

– Ta ścieżka jest z amerykańskiego filmu. Nagrywam płacz z filmów, które oglądam, lub z programów radiowych. Mam archiwum

z czterdziestoma czterema takimi nagraniami zdobytymi w szpitalu, od płaczących niemowląt po łkanie starej kobiety. Jeśli chcesz, chętnie nagram próbkę twojego płaczu.

– Nie, dziękuję.

Henrietta usiadła przy fortepianie i zagrała kilka pojedynczych dźwięków. Linda stanęła tuż obok niej. Kobieta uniosła dłonie, a potem uderzyła palcami o klawiaturę, równocześnie naciskając jeden z pedałów. Całe pomieszczenie wypełnił niezwykle, tęskny, powoli cichnący akord. Henrietta skinieniem dała Lindzie znak, by usiadła na taborecie obok. Linda zgarnęła z niego stertę nut. Matka Anny przyglądała się jej badawczo.

– Po co tu przyjechałaś? – zapytała. – Odkąd pamiętam, zawsze miałam wrażenie, że niespecjalnie mnie lubisz.

– Kiedy byłam mała i bawiłam się z Anną, zawsze trochę się ciebie bałam.

– Mnie? Nikt się mnie nie boi.

Akurat, pomyślała Linda. Anna też się ciebie bała. Nocami miała o tobie koszmary.

– Przyjechałam, bo po prostu poczułam taką ochotę. Nie planowałam tego. Zastanawia mnie, gdzie podziewa się Anna, ale nie jestem tym tak zaniepokojona, jak wczoraj. Na pewno masz rację, ona prawdopodobnie jest w Lund.

Linda przerwała, zawiesiwszy głos. Henrietta to wyczuła.

– Jest coś, czego mi nie mówisz. Czy powinnam zacząć się martwić?

– Anna powiedziała mi, że parę dni temu na ulicy w Malmö widziała swojego ojca. Nie powinnam ci o tym mówić, ona sama powinna to zrobić.

– To wszystko?

– A czy to mało?

Henrietta, jakby nieobecna, unosiła dłonie nad klawiaturę, ale nie uderzała w klawisze.

– Anna zawsze mówi, że widziała ojca na ulicy – powiedziała. – Robi to, odkąd od nas odszedł.

Nagle Linda zrobiła się czujna. Anna nigdy dotąd niczego podobnego nie powiedziała. Jeśliby kiedykolwiek wcześniej sądziła, że widziała ojca, na pewno by się jej z tego zwierzyła. Kiedy były bliskimi przyjaciółkami, powierzały sobie najskrytsze sekrety. Anna należała do tych nielicznych osób, które wiedziały, że Linda weszła na barierkę nad autostradą. To, co właśnie powiedziała Henrietta, nie mogło być prawdą.

– Pod tym względem Anna nigdy już nie odpuści. Kurczowo trzyma się myśli, że Eryk kiedyś wróci. O ile w ogóle jeszcze żyje.

Linda milczała, czekając na ciąg dalszy. Henrietta jednak nie powiedziała nic więcej.

– Dlaczego od was odszedł? – zapytała.

Matka Anny spojrzała na nią zaskoczona.

– Odszedł, bo się rozczarował.

– Czym?

– Życiem. W młodości miał ogromne ambicje. To właśnie tymi swoimi wielkimi marzeniami mnie uwiódł. Później już nigdy nie spotkałam nikogo, kto potrafiłby tak cudownie uwodzić jak on. Chciał zmienić świat i był święcie przekonany, że po to właśnie się urodził. Poznaliśmy się, kiedy on miał szesnaście, a ja piętnaście lat. Byliśmy bardzo młodzi, ale nigdy wcześniej ani później nie spotkałam nikogo takiego jak Eryk. Dosłownie promieniował energią i kipiał tymi swoimi wielkimi marzeniami. Już wówczas, kiedy się poznaliśmy, miał postanowione, że do dwudziestki zajdzie na szczyt. Nie wiedział tylko, czy zacznie zmieniać świat od sztuki, sportu, polityki czy jeszcze czegoś innego. Dla niego życie i świat były wciąż jeszcze nieodkrytym systemem jaskiń, przez które on miał się przedrzeć. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zwątpił w swoje siły, zanim skończył dwadzieścia lat. Wtedy nagle zaczął być niespokojny.

Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wcześniej miał mnóstwo czasu, potem nagle zaczął szukać tego, co nada jego życiu sens. A kiedy ja zaczęłam stawiać warunki, wymagać od niego, żeby zatroszczył się o rodzinę, zwłaszcza gdy na świat przyszła Anna, bywało, że wpadał w szal i na mnie krzyczał. Wcześniej nigdy się to nie zdarzało. To wtedy zaczął produkować sandały, żeby zarobić trochę pieniędzy. Był bardzo zdolny. Mówił na nie „próżniacze sandały”. Myślę, że robił to w proteście przeciwko temu, że musi poświęcać swój cenny czas na zajmowanie się ponizającym zajęciem, jakim jest zarabianie pieniędzy. Pewnie już wtedy zaczął planować zniknięcie. Chociaż powinnam to raczej nazywać ucieczką. Nie uciekał ani przede mną, ani przed Anną, ale przed sobą samym. Wydawało mu się, że można uciec od rozczarowania. Kto wie, może mu się udało. Nigdy się już tego nie dowiem. Pewnego dnia po prostu zniknął. To było dla mnie wielkie zaskoczenie, niczego nie przeczuwałam. Dopiero potem zaczęło do mnie docierać, jak dokładnie wszystko zaplanował. Nie zniknął pod wpływem nagłego impulsu. Mogę zrozumieć, że sprzedał samochód, ale nigdy mu nie wybaczę, że porzucił Annę. Byli sobie bliscy, bardzo ją kochał. Ja nigdy nie byłam dla niego tak ważna jak ona. Może trochę, na samym początku, kiedy widział, że cierpliwie znoszę te jego wielkie marzenia. Gdy urodziła się Anna, coś się zmieniło, ale do dziś nie umiem pojąć, jak mógł ją zostawić. Jak gorycz po straconych marzeniach może być silniejsza niż miłość do najważniejszej istoty na świecie? To z tego powodu umarł, to dlatego nigdy już do nas nie wrócił.

– Sądziłam, że nikt nie wie, czy on żyje, czy nie.

– Ależ oczywiście, że nie żyje. Nie ma go od dwudziestu czterech lat. Gdzie miałyby się tyle czasu podziewać?

– Anna upiera się, że widziała go na ulicy.

– Anna widzi go za każdym rogiem. Próbowалаm jej wytłumaczyć, chciałam, żeby to wreszcie do niej dotarło. Nikt nie wie, co się z nim stało,

jak poradził sobie ze swoim rozczarowaniem. Ale dla mnie jest jasne, że Eryk nie żyje. Jego marzenia były nie do udźwignięcia.

Henrietta zamilkła. Śpiący w koszyku pies głośno westchnął.

– Jak myślisz, co się z nim stało? – spytała Linda.

– Nie mam pojęcia. Próbowałam go odnaleźć, wyobrażałam sobie, gdzie się mógł podziewać. Czasem zdaje mi się, że go widzę, spacerującego po plaży, w ostrym słońcu. Muszę wtedy mocno zmrużyć oczy, żeby go dostrzec. Potem on nagle się zatrzymuje i wchodzi do wody, aż wreszcie wystaje mu tylko głowa. W końcu znika.

Henrietta znów układała palce w powietrzu, ledwie muskając opuszkami palców klawisze.

– Myślę, że się po prostu poddał, kiedy do niego dotarło, że marzenia to tylko marzenia, a Anna, którą porzucił, to prawdziwy człowiek. Ale wtedy było już za późno. Zawsze miał mnóstwo wyrzutów sumienia, choć bardzo starał się to ukrywać.

Zatrzęsnęła z hukiem klapę fortepianu i wstała.

– Może jeszcze kawy? – zaproponowała.

– Nie, dziękuję – odparła Linda. – Już sobie pójdę.

Henrietta wydawała się niespokojna. Linda bacznie jej się przyglądała. Nagle matka Anny złapała ją za ramię i zaczęła nucić jakąś znaną Lindzie melodię. Jej głos wznosił się i opadał, raz brzmiał ostro i piskliwie, po chwili miękko i czysto.

– Znasz tę piosenkę? – zapytała.

– Poznaje ją, ale nie pamiętam tytułu.

– *Buena Sera*.

– To po hiszpańsku?

– Po włosku. To znaczy „dobranoc”. Była popularna w latach pięćdziesiątych. Często się dziś zdarza, że ludzie zapożyczają, kradną lub haniebnie przerabiają starą muzykę. Z Bacha robi się pop. Ja robię coś

odwrotnego. Nie przerabiam chorałów Bacha na muzykę pop, ale sięgam po *Buena Sera* i robię z niej muzykę poważną.

– Da się to zrobić?

– Rozbijam frazy na mniejsze struktury, zmieniam rytm, partię gitary przepisuję na smyczki. Z banalnej trzyminutowej melodii tworzę wielką symfonię. Puszczę ci ją, kiedy będzie gotowa. Być może wtedy ludzie wreszcie zrozumieją, czym się zajmowałam przez te wszystkie lata.

Henrietta wyprowadziła Lindę przed dom. Pies ruszył za nimi, kot gdzieś sobie poszedł.

– Przyjedź jeszcze kiedyś.

Linda obiecała, że wpadnie, i odjechała. Nad morzem kłębiły się burzowe chmury. Zmierzały w kierunku Bornholmu. Zjechawszy na pobocze, Linda zatrzymała się i wysiadła z samochodu. Miała ochotę zapalić. Rzuciła palenie przed trzema laty, ale chęć na papierosa raz na jakiś czas powracała.

Matki nie wiedzą wszystkiego o swoich córkach, pomyślała. Henrietta nie ma pojęcia, jak bardzo Anna i ja zbliżyłyśmy się do siebie. Gdyby była tego świadoma, nie twierdziłaby, że Anna wciąż gdzieś widzi swojego ojca. Ja wiedziałabym o tym. O ile co do wielu innych rzeczy mogę mieć wątpliwości, akurat tego jestem pewna.

Przyglądała się ciemnym chmurom.

Istniało tylko jedno wytłumaczenie. Henrietta nie powiedziała prawdy o swojej córce i jej zaginionym ojcu.



Podniosła rolety w sypialni tuż po piątej nad ranem. Termometr pokazywał dziewięć stopni. Niebo było niebieskie, a chorągiewka wiatromierza stojącego w ogródku zwisała bez ruchu. Wspaniały dzień na wyprawę, pomyślała. Zabrawszy wszystko, co przygotowała zeszłego wieczoru, wyszła z mieszkania w szeregowce stojącej naprzeciwko starej stacji kolejowej w Skurup. Przed domem, pod specjalnie wykonanym pokrowcem, stała jej vespa. Miała ją od prawie czterdziestu lat, a ponieważ tak znakomicie o nią dbała, skuter wciąż był w świetnym stanie. Wieść o jej czterdziestoletniej vespie dotarła aż do samej fabryki we Włoszech. Wielokrotnie ją pytano, czy nie zgodziłaby się, żeby ten tak świetnie służący jej pojazd doczekał swoich dni w przyfabrycznym muzeum, w zamian za co każdego roku otrzymywałaby nowy model skutera. Ona jednak zawsze grzecznie odmawiała, choć za każdym kolejnym razem robiła to coraz ostrzejszym tonem. Vespa, którą kupiła, kiedy skończyła dwadzieścia dwa lata, miała jej towarzyszyć do końca życia. Nie martwiła się o to, co ze skuterem stanie się później. Może zainteresuje się nim któryś z wnuków? Bynajmniej nie zamierzała zawracać sobie głowy testamentem tylko po to, żeby vespa trafiła po jej śmierci w dobre ręce. Przypięła mocno plecak do bagażnika, włożyła kask i nacisnęła pedał gazu. Skuter odpowiedział natychmiast.

Tak wczesnym rankiem miasteczko było opustoszałe. Wkrótce nadejdzie jesień, pomyślała, przejeżdżając przez tory i mijając szkółkę ogrodniczą po lewej stronie wyjazdu na drogę z Ystad do Malmö. Zanim przecięła szosę, uważnie popatrzyła w prawo i w lewo, po czym ruszyła na północ, w stronę wzgórza Romelle. Zmierzała do lasu leżącego między jeziorem Led

a zamkiem Rannesholm. Są to największe objęte ochroną tereny leśne w tej części Skanii. Las był stary, nigdy niewycinany, i dlatego znajdowały się w nim miejsca, do których nikt jeszcze nie dotarł. Zamek Rannesholm należał do pewnego maklera, który postanowił, że stary las pozostanie nietknięty.

Dotarcie na mały parking nad jeziorem Led zajęło jej niewiele ponad pół godziny. Wtoczyła vespę w zarośla za dużym dębem. Droga nad parkingiem przejechał jakiś samochód, lecz po chwili znów zapadła cisza.

Założyła plecak i już była gotowa, by zrobić kilka pierwszych kroków, dzięki którym za moment znów stanie się niewidzialna dla reszty świata. Czy może być lepszy sposób wyrażenia swojej niezależności, rozmyślała. Wystarczyło zebrać się na odwagę, zejść z głównej drogi, zagłębić w prastary las i stać się niewidzialnym, a tym samym przestać istnieć dla świata.

Kiedy była młodsza, czasem myślała, że to, co robi, zupełnie różni się od tego, co sobie wcześniej wyobrażała. Odbierała to nie jako oznakę wewnętrznej siły, ale słabości, wyraz jakiejś kryjącej się w niej goryczy. Nauczył ją tego starszy brat Håkan. To on uzmysłowił jej, że istnieją dwa rodzaje ludzi. Jedni zawsze wybierają prostą, najkrótszą i najszybszą drogę, drudzy zaś szukają drogi innej, pełnej niespodziewanych zdarzeń, zakrętów i wzniesień. Kiedy dorastali, bawili się w lasach nieopodal Älmhult. Pewnego dnia ich ojciec, monter linii telefonicznych, spadł z wysokiego słupa i po wypadku przenieśli się do Skanii, ponieważ ich matka dostała pracę w szpitalu w Ystad. Ona była wówczas nastolatką i zajmowały ją inne sprawy niż drogi z zakrętami. Dopiero kiedy już jako studentka stanęła przed bramą uniwersytetu w Lund i uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, co zrobić ze swoim życiem, wróciła do wspomnień z dzieciństwa. Jej brat Håkan wybrał zawód nieodłącznie związany z przemierzaniem wielkich

odległości. Zaciągał się na różne okręty, a potem zdobył wykształcenie w szkole morskiej. Od czasu do czasu przysyłał listy do siostry, w których opisywał, jak pięknie jest nawigować statkiem nocą, gdy wokół rozciąga się nieskończony ocean. Zazdrościła mu, ale zarazem czuła, że brat ją inspiruje.

Pewnego jesiennego dnia, podczas pierwszego uciążliwego roku na uniwersytecie, gdy z braku innego pomysłu zaczęła studiować prawo, wybrała się na wycieczkę rowerową w kierunku Staffanstorp i nagle znalazła się na jakiejś polnej drodze. Zatrzymała się, postawiła rower, a potem ruszyła ścieżką prowadzącą do ruin starego młyna. To właśnie wtedy przyszła jej do głowy pewna myśl. Przeszyła jej umysł jak błyskawica. Czym właściwie jest ścieżka, pomyślała. Dlaczego omija drzewo lub kamień właśnie z tej, a nie z innej strony? Kto szedł nią jako pierwszy? I kiedy to było?

Wpatrując się w ścieżkę pod stopami, zdecydowała, czym zajmie się w życiu. Postanowiła zostać badaczką i obrończynią szwedzkich ścieżek. Wymyśliła, że spisze ich historię. Biegiem wróciła do roweru, następnego dnia przerwała studia prawnicze i zaczęła uczyć się na wydziale historii i geografii kultury. Miała tam szczęście spotkać mądrego profesora, który zrozumiał, że nowa studentka znalazła sobie przedmiot badań, który do tej pory nikogo nie interesował. Dostrzegłszy jej ogromne zaangażowanie, udzielił jej wsparcia.

Ruszyła ścieżką łagodnie wijącą się wzdłuż brzegu jeziora Led. Drzewa wokół były wysokie, a ich korony nie przepuszczały promieni słońca. Kiedyś wybrała się do Amazonii i wędrowała przez parujący deszczowy las, miała wrażenie, że weszła do ogromnej katedry, w której liście filtrowały światło, jakby korony drzew były wielkimi witrażami. Podobnie czuła się, idąc tego dnia ścieżką nad jeziorem.

Akurat tę dróżkę oznaczyła na swojej mapie już dawno temu. Był to zwykły szlak wędrowny, który – jak ustaliła – powstał w latach trzydziestych XX wieku, kiedy Rannesholm wciąż pozostawał w rękach rodu Havermannów. Jeden z hrabiów, Gustaw Havermann, był zapalonym sportowcem i kazał wykarczować zarośla wokół jeziora i wytyczyć ścieżkę zdrowia. Lecz znacznie głębiej w tym lesie, pomyślała, w miejscu, gdzie inni nie dostrzegają niczego poza mchem, zбочę z tej dróżki i pójde zupełnie inną, którą odkryłam parę dni temu. Nie mam pojęcia, dokąd ona prowadzi, ale przecież nie ma nic bardziej kuszącego i magicznego niż wędrowka nowo odkrytą ścieżką. Wciąż jeszcze miała nadzieję, że pewnego dnia znajdzie taką, która okaże się dziełem sztuki, ścieżkę bez celu, którą ktoś stworzył tylko po to, żeby istniała.

Stanąwszy na szczycie pagórka, starała się opanować zadyszkę. Przyglądała się tafli jeziora połyskującej między drzewami. Miała sześćdziesiąt trzy lata i potrzebowała jeszcze tylko pięciu, by ukończyć dzieło swojego życia, *Historię szwedzkiej ścieżki*. Dzięki tej książce chciała powiedzieć, że ścieżki są jednymi z najważniejszych śladów pozwalających lepiej poznać dawne społeczeństwa. Jej zdaniem to nie tylko drogi łączące dwa miejsca. Istnieją bowiem, na co zebrała dowody, nawet filozoficzne i religijne aspekty ich powstawania. Opublikowała już wiele mniejszych, najczęściej regionalnych studiów i map, ale dzieło życia wciąż domagało się ukończenia.

Ruszyła przed siebie. Myśli swobodnie krążyły jej w głowie. Zawsze tak robiła, zmierzając w stronę kolejnego celu wędrowki. Uwalniała myśli, jakby na co dzień były trzymanymi na uwiezi psami. Potem, kiedy docierała na miejsce i zabierała się do pracy, sama zmieniała się w psa, który powoli, z wyostrzonymi zmysłami, odkrywał tajemnice nowych ścieżek. Miała świadomość, że wielu ludzi uważa ją za wariatkę. Jej dzieci, kiedy dorastały, często zastanawiały się, czym właściwie zajmuje się ich

matka. Jednak jej zmarły zeszłego roku mąż zawsze ją wspierał, choć niekiedy czuła, że w głębi ducha uważał, iż poślubił przedziwną kobietę. Teraz była już sama, w całej rodzinie rozumiał ją tylko brat Håkan. Oboje dzielili fascynację choćby najmniejszymi stworzonymi przez człowieka ścieżkami, drogami oplatającymi kulę ziemską.

Nagle się zatrzymała. W miejscu, w którym stanęła, niewprawne oko zobaczyłoby jedynie zarośla i mech. Ona jednak zdołała ją dostrzec. To był początek zarośniętej, nieużywanej od wielu lat ścieżki. Zanim zniknęła między drzewami, ostrożnie zeszła nad wodę, usiadła na dużym kamieniu i wyjęła z plecaka termos. Spojrzała na pływającą po jeziorze parę łabędzi. Piła kawę, mrużąc oczy przed ostrym słońcem. Jestem szczęśliwa, pomyślała. Całe życie robiłam to, o czym marzyłam. Kiedyś, kiedy byłam małą dziewczynką, pożyczyłam od brata książkę o Indianach. Miała tytuł *Tropiciel ścieżek*. To stało się całym moim życiem. Właśnie tym się zajęłam. Odnajduję ścieżki, tak jak inni starają się odczytywać stare inskrypcje, malowidła w jaskiniach i kamienie runiczne.

Schowała termos do plecaka i opłukała kubek w brunatnej wodzie. Łabędzi już nie było, zniknęły za cyplem. Wspięła się po stromym brzegu, uważnie patrząc pod nogi. Przed rokiem skręciła kostkę, wyróciwszy się na ścieżce gdzieś w okolicach Brösarp. Wypadek zmusił ją do wielotygodniowego odpoczynku. Był to dla niej ciężki czas. Chociaż potrafiła skupić się na pisaniu, brak ruchu powodował, że zrobiła się niespokojna i poirytowana. W tym samym czasie zmarł jej mąż, więc na dodatek musiała zajmować się domem. Potem go sprzedała i przeprowadziła się z Rydsgård do mieszkania w Skurup.

Odchyliwszy kilka wiszących nisko gałęzi, weszła między drzewa. Kiedyś przeczytała o *przesmyku, który mógł znaleźć jedynie ten, kto się zgubił*. Według niej, w tym właśnie tkwiła cała tajemnica bycia człowiekiem. Jeśli znajdzie się w sobie odwagę, by się zgubić, na końcu

drogi czeka coś niespodziewanego. Wystarczy zdecydować się na okrężną drogę, a można przeżyć przygody, o których podróżujący prostymi autostradami nie mają bladego pojęcia. Ja odnajduję zapomniane ścieżki, pomyślała. Drogi, które czekają, aż ktoś zbudzi je z głębokiego snu. Porzucone domy niszczeją. To samo dzieje się ze ścieżkami. Nieużywane drogi są skazane na śmierć.

Weszła już głęboko w las. Zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. Gdzieś nieopodal trzasnęła gałązka. Po chwili zapadła cisza. Nagle z gałęzi poderwał się ptak i odleciał. Tropicielka ścieżek ruszyła dalej, szła pochylona. Poruszała się powoli, krok za krokiem. Dróżka była prawie niewidoczna, ale ona widziała jej zarys pod mchem, trawą i zwalonymi pniami.

Powoli jednak zaczęła odczuwać rozczarowanie. Ścieżka wcale nie wyglądała na starą. Na początku kobieta podejrzewała, że trafiła na ślad po dawnym szlaku pielgrzymkowym w okolicach jeziora. Urywał się gdzieś wcześniej, a potem znów pojawiał się na północ od wzgórza Romelle. Nad jeziorem zupełnie zniknął i nikt go do tej pory nie znalazł, choć zaczynał się na północny zachód od Sturup. Czasem podejrzewała, że może pradawni pielgrzymi wykopali w tych okolicach tunel. Powinna szukać otworu w ziemi, myślała, doskonale wiedząc jednak, że pielgrzymi nie kopali w ziemi, lecz podążali zwykłymi ścieżkami. Sądziła, że tego dnia wreszcie jej się to uda i jako pierwsza odkryje ich drogę. Jednak po przejściu mniej niż stu metrów była pewna, że nowo odkryta ścieżka powstała niedawno. Ma jakieś dziesięć, może dwadzieścia lat, pomyślała. Postanowiła, że dotrze do jej końca, żeby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ktoś tę dróżkę porzucił. Zagłębiwszy się na mniej więcej trzysta metrów w las, znalazła się w miejscu prawie nie do przebycia.

Nagle stanęła jak wryta. Dostrzegła coś, czego zupełnie się nie spodziewała. Przykucnęła i podniosła coś z mchu. Jej uwagę przykuło coś

białego. Pióro, pomyślała. Białe pióro. Może zgubił je leśny gołąb. Ale czy one są białe? Pióro powinno być brunatne lub raczej niebieskoszare. Wstała i dokładnie przyjrzała się znalezisku. To pióro łabędzia, stwierdziła. Skąd się wzięło tak głęboko w lesie? Łabędzie nie wchodzą do lasu, nie wędrują nieznanymi ścieżkami.

Ruszyła dalej. Po przejściu kilku metrów znów się zatrzymała. Ponownie dostrzegła coś nieoczekiwanego. Ziemia w tym miejscu była wydeptana, jakby ktoś tędy niedawno przechodził. Ale skąd nadszedł? Skąd się wzięły te ślady? Cofnęła się parę metrów i raz jeszcze przeszła ostatni odcinek ścieżki. Po blisko dziesięciu minutach zorientowała się, że ktoś musiał przedrzeć się przez las i dopiero w tym miejscu wszedł na ścieżkę. Ruszyła przed siebie, krok za krokiem, choć odkąd odkryła, że nie jest to zaginiony szlak pielgrzymów, nie była już tak ciekawa tej drogi. Doszła do wniosku, że zapewne jest to zwykłe odgałęzienie ścieżki zdrowia założonej przez wysportowanego Havermanna. A ślady, które miała przed sobą, mógł pozostawić jakiś myśliwy.

Podążała nimi jeszcze kilkaset metrów. W końcu dotarła do wąwozu, szczeliny w ziemi gęsto porośniętej krzewami. Ścieżka urywała się u jego wylotu. Postawiła na ziemi plecak, przełożyła latarkę do kieszeni i zaczęła powoli spuszczać się w dół stromego zbocza, chwytając się zarośli. Dotarwszy na dno, podniosła z ziemi sporą gałąź. Zauważyła, że została ona odpiłowana. Zmarszczyła czoło i sięgnęła po następną. Również ta miała podobne ślady. Gałęzie zostały odpiłowane albo odrąbane siekierą. W końcu spostrzegła, że stoi przed czymś, co celowo zamaskowano. Pewnie bawili się tu jacyś chłopcy, pomyślała. Håkan i ja też budowaliśmy leśne szałas. Zaczęła usuwać gałęzie. Ktoś postawił na dnie wąwozu porządny szałas. Nie mogły tego zrobić dzieciaki. Nagle przypomniało jej się zdjęcie w gazecie, które kiedyś pokazał jej Håkan. Widniał na nim leśny szałas, zbudowany przez ukrywającego się włamywacza, który był

poszukiwany. Zapamiętała, że nosił niezwykle przezwisko: „Cudny Bengtsson”. Bardzo długo mieszkał w lesie, a jego szałas odkrył przypadkiem ktoś, kto zabłądził.

Podeszła bliżej. Szałas był z desek, przykryty plandeką. Nie miał komina. Z tyłu opierał się o strome zbocze wąwozu. Wymacała drzwi, nie było w nich zamka. Skarciła się w myślach za idiotyczne pukanie do drzwi. Czy ktoś mógłby być w środku i nie usłyszeć, jak ona schodzi na dół i odsuwa gałęzie? Ogarniało ją coraz większe zdziwienie. Kto ukrywał się w lesie Rannesholm?

Nagle w głowie zabrzączał jej ostrzegawczy dzwonek. W pierwszej chwili odegnała absurdalną myśl, że może ją spotkać coś złego. Prawie nigdy się nie bała, choć zdarzało jej się spotykać na odludnych ścieżkach nieprzyjemnych facetów. Nawet jeśli się wtedy bała, skrywała swój lęk za butną miną. Nigdy nic się nie stało, nie stanie się i tym razem, pomyślała. W głębi ducha czuła jednak, że zaprzecza zdrowemu rozsądkowi. Ktoś, kto ukrywa się głęboko w lesie, musi mieć ku temu poważne powody. Powinnam stąd iść, stwierdziła, równocześnie nie mogąc powstrzymać narastającej ciekawości. Odkryta przez nią ścieżka wiodła jednak w konkretne miejsce. Nikt, kto nie miał tak wyszkolonych oczu jak ona, nigdy by jej nie wypatrzył. Lecz ten, kto zbudował ten szałas, docierał w to miejsce przez las. To najbardziej ją zainteresowało. Czyżby ścieżka, którą znalazłam, była jedynie drogą ewakuacyjną z wąwozu, zastanawiała się. Czy ten, kto tu mieszka, rozumuje jak lis? A może ona pełni jeszcze inną zagadkową funkcję? Ciekawość wygrała.

Otworzyła drzwi do szałasu i weszła do środka. Dwa malutkie okienka wycięte w krótszych ścianach wpuszczały niewiele światła. Włączyła latarkę. Krąg światła ślizgał się po wnętrzu kryjówki. Pod jedną ścianą stała prycza, poza tym mały stolik, krzesło, na stole dwie lampy gazowe i kuchenka turystyczna. Rozglądała się, próbując odgadnąć, kto może tu



mieszkać. A może szalas stoi pusty, pomyślała. Jeśli tak, to kiedy ktoś go porzucił? Schyliwszy się, pomacała pościel na pryczy. Nie była wilgotna, więc ktoś musiał niedawno w niej spać. Znów przyszło jej na myśl, że powinna jak najszybciej opuścić to miejsce. Ten, kto zbudował kryjówkę, z pewnością nie życzył sobie żadnych odwiedzin.

Właśnie miała wyjść, gdy krąg światła latarki padł na książkę leżącą na ziemi przy łóżku. Schyliła się. To była Biblia, Stary i Nowy Testament. Podniosła ją i zajrzała do środka. Na drugiej stronie okładki widniało jakieś imię i nazwisko, ale zamazane. Biblia była zużyta, najwyraźniej ktoś często ją czytał. Niektóre kartki miała podarte. Wiele wersów zostało podkreślonych. Po chwili odłożyła książkę na miejsce. Zgasila latarkę i wtedy zorientowała się, że coś jest nie tak. Światło. Światło wewnątrz szalasu zrobiło się jaśniejsze. Nie wpadało tylko przez okna. Ktoś musiał otworzyć drzwi. Odwróciła się szybko, ale było za późno. Przez ułamek sekundy zdawało jej się, że rzucił się na nią jakiś dziki zwierz. Potem ogarnęła ją ciemność, która miała nigdy się nie skończyć.

Po wizycie u Henrietty Linda siedziała do późna i czekała, aż ojciec wróci do domu. Kiedy wreszcie tuż po drugiej w nocy cichutko otworzył drzwi, zastał ją śpiącą na kanapie, z kocem naciągniętym na głowę. Kilka godzin potem Linda obudziła się z sennego koszmaru. Nie pamiętała, co jej się przyśniło, wiedziała tylko, że o mało się nie udusiła. W mieszkaniu rozlegało się jednostajne chrapanie. Weszła do sypialni, w której świeciła się nocna lampka, i spojrzała na ojca. Leżał na plecach, szczelnie owinięty pościelą. Doszła do wniosku, że przypomina jej wylegującego się na skale morsa. Pochyliła nad nim głowę między jednym a drugim chrapaniem. Poczowała odór alkoholu.

Próbowała odgadnąć, kto był jego wczorajszym kompanem do picia. Obok łóżka leżały spodnie, ubrudzone tak, jakby brodził po kostki w błocie. Pojechał na wieś, pomyślała. Do swojego dawnego kumpla od kieliszka, Stena Widéna. Pewnie siedzieli u niego w szopie i opróżnili butelkę wódki.

Wyszła z sypialni ojca, walcząc z chęcią zbudzenia go i wypytania o to, co wczoraj robił. Ale dlaczego on miałby mi się tłumaczyć, pomyślała. Sten Widén to jeden z jego najstarszych przyjaciół. Ostatnio chorował, i to ciężko. Gdy ojciec Lindy popadał w bardzo poważny nastrój, mówił w trzeciej osobie. Kiedy Sten umrze, Kurt Wallander będzie samotnym człowiekiem, powtarzał. Sten Widén miał raka płuc. Linda dobrze знаła niezwykłą historię ośrodka treningowego dla koni wyścigowych, który Sten prowadził w należącym do niego gospodarstwie nieopodal ruin twierdzy Stjärnsund. Przed paroma laty zamknął ośrodek i sprzedał posiadłość. Jednak gdy tylko pojawił się nowy właściciel, Sten Widén się rozmyślił. Ojciec opowiadał Lindzie o specjalnej klauzuli, dającej Stenowi możliwość

wycofania się z umowy. I tak oto Widén znów sprawił sobie kilka koni, ale tuż po tym przyszła choroba i zaczął się dla niego bardzo trudny czas. Teraz załatwił sobie miejsce w hospicjum pod Malmö i musiał pozbyć się koni. Gospodarstwo zostanie sprzedane po raz drugi, tym razem skutecznie. Tej transakcji nie da się już anulować.

Linda zrzuciła ubranie i weszła do łóżka. Zegar wskazywał prawie piątą nad ranem. Wbiła wzrok w sufit i stwierdziła, że ma wyrzuty sumienia. Dlaczego mam nie pozwolić ojcu, by upił się ze swoim najlepszym przyjacielem, do tego umierającym, pomyślała. Przecież nie mam pojęcia, o czym oni rozmawiają, kim są dla siebie nawzajem. Zawsze sobie wyobrażałam, że z ojca musi być dobry przyjaciel, a to oznacza, że spędza się noc w szopie, pijąc wódkę z umierającym kolegą. Nagle nasza ją ochota, by wstać, zbudzić ojca i poprosić go o wybaczenie. To byłoby najlepsze. Ale on tylko by się na nią zezłościł, że nie daje mu spać. Ma dziś wolne, przypomniała sobie, więc pewnie wymyśli dla nas jakieś wspólne zajęcie.

Zanim zasnęła, pomyślała o spotkaniu z Henriettą. Matka Anny nie powiedziała mi prawdy, podsumowała. Coś ukrywała. Czyżby wiedziała, gdzie podziewa się córka? A może ma jakiś inny powód, żeby unikać rozmowy? W końcu Linda położyła się na boku, zwinęła w kłębek i zasypiając, pomyślała, że wkrótce pewnie zatęskni za mężczyzną u swego boku, żeby był przy niej w dzień i w nocy. Ale gdzie ja tu znajdę chłopaka? Odzwyczaiłam się od tego miejsca tak bardzo, że trudno mi będzie uwierzyć komuś, kto w skańskim dialekcie będzie zapewniał mnie o swojej miłości. Odegnęła tę myśl, poprawiła poduszkę i zasnęła.

O dziewiątej ktoś obudził ją potrząsaniem za ramię. Wzdrygnęła się ze strachu, że zasnęła, i otworzywszy oczy, zobaczyła pochyloną nad sobą

twarz ojca. Nie wyglądał na skacowanego. Przeciwnie, był już ubrany i wyjątkowo tego dnia się uczesał.

– Śniadanie – powiedział wesoło. – Wstawaj, bo prześpisz całe życie.

Kiedy wykąpana i ubrana weszła do kuchni, ojciec układał na stole pasjansa.

– Domyślam się, że wczoraj byłeś u Stena Widéna – powiedziała.

– Zgadza się.

– Podejrzewam też, że dużo wypiliście.

– Nie. Wypiliśmy *cholernie* dużo.

– Jak wróciłeś do domu?

– Taksówką.

– I jak on się czuje?

– Chciałbym się czuć tak jak on, wiedząc, że mój czas powoli się kończy. Sten mówi tak: „W życiu ma się określoną liczbę okrążeń do wykonania. Nic więcej. Jedyne, co można zrobić, to wygrać tyle razy, ile się da”.

– Czy on cierpi?

– Z pewnością. Ale o tym nie mówi. Jest zupełnie jak Rydberg.

– Kto?

– Evert Rydberg. Nie pamiętasz go? Stary policjant ze znamieniem na policzku.

Lindzie coś zaświtało w głowie.

– Jak przez mgłę – powiedziała.

– To on zrobił ze mnie prawdziwego policjanta, kiedy byłem młody i niczego jeszcze nie rozumiałem. On też umarł o wiele za wcześnie, ale do samego końca ani razu się nie poskarżył. Ani słowem. Wiedział, że niedługo przebiegnie swoje ostatnie okrążenie, i zaakceptował to.

– A kto mnie wszystkiego nauczy?

– Sądziłem, że Martinsson ma być twoim opiekunem.

– Jest dobry?

– To świetny policjant.

– Nie mam żadnych wyraźnych wspomnień dotyczących tego Rydberga. Co innego Martinsson. Dobrze pamiętam, jak często wracałeś do domu wściekły na niego, bo coś zrobił albo czegoś nie zrobił.

Kurt Wallander przestał układać pasjansa i zebrał karty.

– Rydberg mnie wszystkiego nauczył. Ja zaś swego czasu nauczyłem paru rzeczy Martinssona. To oczywiste, że się czasem na niego wściekam. Poza tym on jest trochę powolny. Ale jak już się czegoś nauczy, to jakby zostało wyryte w kamieniu.

– A zatem wychodzi na to, że pośrednio to ty jesteś moim opiekunem.

Kurt wstał od stołu.

– Nie wiem kto to taki, opiekun. Siadaj do śniadania, bo niedługo jedziemy.

Linda spojrzała na niego z zaskoczeniem. Czyżbym zapomniała o czymś, co ustaliliśmy, pomyślała.

– Zaplanowaliśmy coś? – zapytała.

– Tylko tyle, że się dokądś wybierzemy. I tak będzie. Ma być ładny dzień. Zanim zdążymy się namyślić, nadejdzie mgła. A ja nienawidzę skańskiej mgły. Człowiek ma wrażenie, że ona wszędzie wchodzi, wpełza nawet do głowy. Nie umiem logicznie myśleć, kiedy wokół jest szaro. Poza tym mamy już cel wyprawy.

Zamilkł na moment, usiadł przy stole i wlał sobie do kubka reszkę kawy.

– Hansson. Pamiętasz go?

Linda pokręciła głową.

– Zniknął, kiedy byłaś jeszcze mała. To jeden z moich kolegów. Zeszłego roku wrócił i teraz chce sprzedać rodzinny dom pod Tomelilla. Jego matka nie żyje od dawna, ale ojciec dożył stu jeden lat. Hansson

twierdzi, że dziadek do ostatniej minuty był tak samo trzeźwy na umyśle i wredny, jak przez całe życie. Dom jest wystawiony na sprzedaż, więc pomyślałem, że możemy go razem obejrzeć. Jeśli Hansson nie przesadza, być może to jest miejsce, którego szukam.

Po śniadaniu wsiedli do auta i wyjechali z miasta. Było ciepło, chociaż wiał silny wiatr. Po drodze wyprzedzili kolumnę zabytkowych samochodów. Linda zaskoczyła ojca, wymieniając prawie wszystkie marki mijanych aut.

– Gdzie nauczyłaś się tyle o samochodach? – zapytał.

– Od Magnusa, mojego ostatniego chłopaka.

– Myślałem, że miał na imię Ludwik.

– Nie jesteś na bieżąco, ojczulku. A tak z innej beczki, czy Tomelilla przypadkiem nie jest zupełnie chybionym pomysłem? Sądziłam, że na starość chcesz siedzieć na ławce przed domem, głaskać psa i patrzeć na morze.

– Nie stać mnie na dom z widokiem na morze. Muszę się zadowolić czymś innym.

– Pożycz od mamy. Ten jej golfista na emeryturze ma sporo kasy.

– Nigdy w życiu.

– To pożycz ode mnie.

– Nigdy w życiu.

– No to nie będzie widoku na morze.

Linda spojrzała na niego kątem oka. Może się na mnie zezłościł, pomyślała. Nie była tego pewna. Uderzyła ją jednak nagła myśl, że mają wspólną cechę. Tendencję do niespodziewanej irytacji i obrażania się z byle powodu. Odległość między mną a ojcem jest zmienna, rozmyślała. Czasem jesteśmy sobie bliscy, czasem zionie między nami ogromna przepaść. Wówczas musimy budować mosty, często bardzo chwiejne, ale wtedy tylko one trzymają nas razem.

Kurt Wallander wyjął z kieszeni kurtki zwiniętą kartkę.

– Mapa – powiedział. – Poprowadzisz mnie. Za chwilę dotrzemy do ronda, tego narysowanego na samej górze. Tam mamy skręcić na Kristianstad. Potem mów mi, jak jechać.

– Skoro koniecznie chcesz, żebyśmy zabłądzili... – odparła, rozkładając mapę.

Dom rodzinny Hanssona okazał się pięknie położony, na pagórku otoczonym niewielkim laskiem, nieopodal rozciągały się pola i podmokłe łąki. Nad oknami, pod dachem, nieruchomo siedziała jaskółka. Za domem rósł stary sad. Trawnik nie był skoszony, a róże pod białymi odrapanymi ścianami domu wyglądały na połamane. Gdzieś niedaleko rozlegało się warczenie to zbliżającego się, to oddalającego traktora. Linda usiadła na kamiennej ławce między dwoma krzakami czerwonych porzeczek. Spoglądała na ojca, który z przymrużonymi oczami oglądał dom. Zadarłszy głowę, oceniał stan dachu, potrząsnął jedną z rynien i próbował zajrzeć do środka przez szybę. W końcu zniknął za węglem.

Linda znów zaczęła rozmyślać o matce Anny. Im więcej czasu minęło od ich spotkania, tym większą miała pewność, że Henrietta nie powiedziała jej prawdy. Ukrywała coś, co wiązało się z Anną. Linda wyjęła z kieszeni komórkę i kolejny raz spróbowała zadzwonić do przyjaciółki. W słuchawce rozległo się kilka sygnałów, a potem uruchomiła się sekretarka. Nie nagrała żadnej wiadomości. Wyłączyła telefon, wstała i ruszyła za ojcem. Zastała go przy pompie. Próbował pompować wodę, poruszając skrzypiącą rączką. Po chwili do zardzewiałej metalowej balii trysnął strumień brązowej cieczy. Kurt Wallander pokręcił głową.

– Gdybym mógł wziąć ten dom na plecy i postawić go gdzieś nad morzem, nie wahałbym się ani chwili. Tu jest za dużo lasu.

– Może powinieneś sprawić sobie campera – odparła Linda. – Jego mógłbyś bez problemu postawić sobie nad morzem, poza tym każdy proponowałby ci swoją działkę.

– Niby dlaczego?

– Bo każdy chciałby mieć darmowego policjanta pod bokiem.

Wallander zrobił dziwny grymas, wylał brudną wodę z balii i ruszył w kierunku drogi. Linda poszła za nim. Nie odwrócił się, pomyślała. To znaczy, że zapomniał już o tym domu.

Znalazszy się w samochodzie, siedzieli chwilę w milczeniu. Linda odprowadziła wzrokiem lecącą w stronę pól jaskółkę.

– Co chcesz robić? – zapytał Kurt.

Pomyślała o Annie, poczuła, że musi o niej porozmawiać z ojcem.

– Chcę z tobą pogadać – powiedziała. – Ale nie tutaj.

– W porządku, znam odpowiednie miejsce.

– Jakie?

– Zobaczysz.

Ruszyli na południe, potem skręcili na zachód, w stronę Malmö, a po chwili jeszcze raz, przy drogowskazie prowadzącym do Kadesjö. Rósł tam las, jeden z najpiękniejszych, jakie Linda знаła. Przeczynała, że właśnie tam ojciec ją zawiezie. Kiedyś często po nim spacerowali, zwłaszcza gdy Linda miała dziesięć, jedenaście lat. Jak przez mgłę pamiętała też, że raz była tu z matką. Nie przypominała sobie jednak, aby wybrali się tam we troje.

Zostawili samochód przy stercie drewnianych bali. Grube pnie pachniały jeszcze świeżym sokiem. Ruszyli jedną z wijących się przez las ścieżek, minęli dość niezwykłą blaszaną rzeźbę Karola XII, upamiętniającą jego prawdopodobną wizytę w Kadesjö. Linda właśnie miała zacząć mówić o Annie, kiedy ojciec uniósł rękę. Stali przed niewielkim prześwitem między drzewami.



– To jest mój mały cmentarz – powiedział. – Mój prawdziwy cmentarz.

– Co masz na myśli?

– Zaraz zdradzę ci jedną ze swoich tajemnic, być może jedną z największych. Pewnie pożałuję tego już jutro. Drzewa, które tam widzisz, każde z nich należy do jednego z moich zmarłych przyjaciół. Twój dziadek też jedno ma, poza tym babcia i inni krewni.

Wskazał dłonią młody dąb.

– To drzewo podarowałem Stefanowi Fredmanowi. Zagubionemu Indianinowi. On także jest jednym z moich zmarłych.

– A kobieta, o której opowiadałeś?

– Yvonne Ander? Jej drzewo jest tam. – Wskazał na dąb o imponującej koronie. – Przychodziłem tu przez parę tygodni po śmierci ojca. Czułem się tak, jakbym stracił grunt pod nogami. Ty byłaś o wiele silniejsza ode mnie. Pamiętam, że siedziałem wtedy w pracy i próbowałem skupić się nad sprawą jakiegoś pobicia. Widziałem w tym ironię losu, bo sprawa dotyczyła człowieka, który o mało nie zatłukł własnego ojca pałką. Ten chłopak cały czas kłamał. Nagle po prostu coś ścisnęło mnie za gardło. Przerwałem przesłuchanie i przyjechałem w to miejsce. Pożyczyłem radiowóz i pędziłem z włączonymi lampami, chcąc jak najszybciej wyrwać się z miasta. Potem miałem z tego powodu nieprzyjemności. Ale dotarłem tu i postanowiłem, że te drzewa będą nagrobkami wszystkich moich zmarłych. I odtąd przychodzę tutaj, nie na cmentarz, żeby się z nimi spotkać. Znajduję tu spokój, jakiego nie ma nigdzie indziej. Mogę tu przytulić wszystkich moich bliskich, mimo że oni mnie nie widzą.

– Nie zdradzę twojej tajemnicy – odezwała się Linda. – Dziękuję, że mi o niej powiedziałaś.

Stali dłuższą chwilę wśród drzew. Linda nie zapytała, które drzewo należy do dziadka. Domyśliła się, że to potężny, rosnący nieco na uboczu dąb.

Promienie słońca przebijały przez gęste korony drzew. Znów zerwał się wiatr i od razu zrobiło się zimno. W końcu Linda zebrała się w sobie i opowiedziała ojcu o Annie, o jej matce, która nie powiedziała jej prawdy, oraz o przeczuciu, że przyjaciółkę spotkało coś złego.

– Możesz teraz zrobić coś głupiego – dodała. – Na przykład pokręcić głową i powiedzieć mi, że wszystko sobie wmówiłam. Zezłoszczę się wtedy. Ale jeśli powiesz, że twoim zdaniem się mylę, i wyjaśnisz dlaczego, wysłucham cię.

– Dopiero zaczniesz zdobywać podstawowe doświadczenie zawodowe – odparł Kurt. – Pamiętaj, że nieprawdopodobne rzeczy zdarzają się rzadko. Prawie nigdy. Nawet czyjeś zniknięcie ma najczęściej jakieś sensowne, choć może nieoczekiwane wytłumaczenie. Jako policjantka nauczysz się rozróżniać to, co niewytłumaczalne, od tego, co niespodziewane. Nieoczekiwane zdarzenia mogą być całkiem logiczne, choć niemożliwe do wyjaśnienia, zanim nie pozna się ich przyczyny. Tak jest w przypadku większości zaginięć. Nie wiesz, co przytrafiło się Annie, niepokoisz się, to zrozumiałe. Ale moje doświadczenie podpowiada mi, że powinnaś wykorzystać cechę, z której policjanci są najbardziej dumni.

– Z cierpliwości? – zapytała.

– Dokładnie tak. Z cierpliwości.

– Jak długo mam czekać?

– Parę dni. Anna z pewnością się odnajdzie. Albo się do ciebie odezwie.

– I tak jestem pewna, że jej matka mnie okłamała.

– Ja też zawsze podejrzewałem, że Mona nie mówiła mi całej prawdy, kiedy opowiadała o tobie.

– Spróbuję uzbroić się w cierpliwość. Ale czuję, że w tej sprawie jest coś podejrzanego.

Wrócili do samochodu. Było już po pierwszej, więc Linda zaproponowała, żeby pojechali coś zjeść. Wkrótce zaparkowali przy

przydrożnym barze o osobliwej nazwie Kapelusze Ojca. Kurt Wallander przypomniał sobie nagle, że kiedyś był tu z ojcem i obiad skończył się wielką kłótnią. Nie pamiętał już, o co im poszło.

– Knajpa, w której się kłóciłem – odezwała się Linda. – Tak można by ją nazwać. Pewnie chodziło o to, że postanowiłeś zostać policjantem. Nie pamiętam, żebyście kiedykolwiek kłócili się z innego powodu.

– Nawet sobie nie wyobrażasz. Awantury były o wszystko. Chociaż dziś dochodzę do wniosku, że byliśmy jak dwaj chłopcy, którzy nigdy nie dorosli i cały czas ze sobą walczyli. On wściekał się na mnie, że go nie szanuję, gdy spóźniłem się pięć minut na umówione spotkanie. Niekiedy potrafił być tak paskudny, że specjalnie przestawiał zegarek i potem mi udowadniał, że nie jestem na czas.

Właśnie zamówili kawę po jedzeniu, gdy nagle zadzwonił telefon. Linda sięgnęła po swój, ale szybko się zorientowała, że to brzęczy komórka ojca, która miała taki sam sygnał. Kurt Wallander odebrał i długo słuchał w milczeniu, a potem zadał kilka zdawkowych pytań, zanotował coś na odwrocie rachunku i zakończył rozmowę.

– O co chodziło? – spytała Linda.

– Mamy zaginięcie.

Położywszy pieniądze na stole, zmiął rachunek i wepchnął go do kieszeni.

– Co robimy? – dopytywała się Linda. – Kto zniknął?

– Wracamy do Ystad, ale pojedziemy przez Skurup. Zniknęła wdowa, niejaka Birgitta Medberg. Jej córka jest przekonana, że matkę spotkało coś złego.

– W jakich okolicznościach zniknęła?

– Córka nie ma pewności, ale powiedziała, że matka jest jakimś naukowcem, który pracuje w terenie, szuka starych ścieżek, czy coś w tym rodzaju. Dziwne zajęcie.

- Może się zgubiła?
- Właśnie tak pomyślałem. Wkrótce się wszystkiego dowiemy.

Ruszyli w kierunku Skurup. Wiał coraz silniejszy wiatr. Zegar wskazywał dziewięć po trzeciej, była środa, dwudziesty dziewiąty dzień sierpnia.

Kamienica miała dwa piętra i była zbudowana z czerwonej cegły. Typowo szwedzki budynek, pomyślała Linda. Gdziekolwiek by w tym kraju pojechać, domy wyglądają tak samo. Szwecja to kraj, w którym prawie wszystkie jego części można zamienić miejscami. Rynek w Västerås mógłby zastąpić ten w Örebro, kamienica ze Skurup mogłaby stać w Sollentunie.

– Widziałeś już kiedyś taki budynek? – zapytała, kiedy wysiedli z samochodu i ojciec majstrował przy zamku w drzwiach auta. Podniósł wzrok i rzucił okiem na fasadę.

– Wygląda jak ten, w którym mieszkałaś w Sollentunie. Zanim się przeniosłaś do internatu szkoły policyjnej.

– Masz dobrą pamięć. Co mam teraz robić?

– Pójdiesz ze mną. Potraktuj to jako szkolenie.

– Nie złamiesz żadnych reguł? Osobom trzecim nie wolno uczestniczyć w przesłuchaniu, nie jest tak?

– To nie będzie żadne przesłuchanie, tylko zwykła rozmowa. Posłużę temu, żeby uspokoić kogoś, kto się niepotrzebnie zamartwia.

– Niby tak, ale mimo wszystko...

– Nie ma żadnego *mimo wszystko*. Łamię reguły, odkąd zacząłem pracować w policji. Martinsson kiedyś podsumował, że za to, co nabroilem, dostałbym ze cztery lata odsiadki. Ale według niego to się nie liczy, dopóki dobrze wykonuję swoją robotę. To jedna z niewielu spraw, w których zgadzam się z Nybergiem.

– Nybergiem? Tym technikiem?

– O ile wiem, mamy w Ystad tylko jednego Nyberga. Niedługo przejdzie na emeryturę i nikt nie będzie za nim tęsknił. Chociaż może się okazać, że stanie się zupełnie na odwrót i wszystkim nam nagle zabraknie jego potwornego poczucia humoru.

Przeszli przez ulicę. Wiatr wciąż przybierał na sile. Gwałtowne podmuchy porywały z jezdni kurz, który wirował im pod stopami. Przed bramą do kamienicy stał rower bez tylnego koła. Jego rama była tak powykręcana, jakby pojazd padł ofiarą ataku sadysty. Weszli do środka. Kurt Wallander przebiegł wzrokiem listę mieszkańców.

– Birgitta Medberg – odczytał. – Nasza zaginiona. Jej córka ma na imię Vanja. Podobno kiedy dzwoniła, była w hysterii i mówiła strasznie piskliwym głosem.

– Nie jestem w żadnej hysterii – krzyknęła jakaś kobieta piętro wyżej, przechylając się przez barierkę.

– Mówię za głośno na klatkach schodowych – mruknął Wallander.

Ruszyli w górę po schodach.

– Tak właśnie myślałem – zagadnął przyjaźnie, podając rękę zdenerwowanej kobiecie, wpatrującej się w niego podejrzliwie. – Chłopcy na komendzie są jeszcze młodzi. Nie nauczyli się odróżniać hysterii od uzasadnionego zdenerwowania.

Kobieta o imieniu Vanja była po czterdziestce, dość otyła i miała na sobie bluzkę brudną na kołnierzyku i na mankietach. Linda zauważyła, że kobieta dawno nie myła włosów, a kiedy weszli za nią do mieszkania, poczuła znajomy zapach. Perfumy mamy, pomyślała. Te, których używała, gdy była smutna lub zła. Miała też inne, na lepsze dni.

Kiedy znaleźli się w salonie, Vanja ciężko opadła na krzesło i pokazała palcem na Lindę, która pobieżnie została jej przedstawiona w przedpokoju.

– A ona to kto? – zapytała.

– Moja asystentka – odparł przytomnie Wallander. – Czy może nam pani opowiedzieć, co się stało?

Vanja zaczęła mówić nerwowo i nieskładnie. Miała trudności z doborem słów, sprawiała wrażenie osoby, która na co dzień nie mówi wiele. Linda stwierdziła, że zdenerwowanie kobiety jest autentyczne. Porównała je ze swoim niepokojem o Annę.

Opowieść Vanji była krótka. Jej matka Birgitta jest geografem kultury i zajmuje się dokumentowaniem starych ścieżek i dróg w południowej Szwecji, przede wszystkim w Skanii i częściach Smålandii. Od niespełna roku jest wdową. Ma czworo wnucząt, matką dwóch dziewczynek jest Vanja. To właśnie one zasiały w niej niepokój i sprawiły, że zadzwoniła na policję. Wnuczki umówiły się z Birgittą, że wpadną do niej o dwunastej. Wcześniej babcia zamierzała wybrać się na jedną ze swoich wycieczek – polowań na ścieżki – jak sama mawiała. Lecz kiedy Vanja przyprowadziła dziewczynki, Birgitty nie było w domu. Czekwały na nią dwie godziny i w końcu zawiadomiły policję.

Zdaniem Vanji Birgitta nigdy nie zawiodłaby swoich wnuczek, zatem musiało spotkać ją coś złego.

Kiedy Vanja przestała mówić, Linda usiłowała odgadnąć pierwsze pytanie ojca: „Dokąd pani matka zamierzała się udać”?

– Czy wie pani, dokąd pani Birgitta pojechała dziś rano? – zapytał.

– Nie – odparła kobieta.

– Zakładam, że wybrała się tam samochodem.

– Mama jeździ czerwoną vespą. Ten jej skuter ma chyba ze czterdzieści lat.

– Ma czerwoną czterdziestoletnią vespę? – zdziwił się Kurt Wallander.

– W tamtych czasach wszystkie vespy były czerwone. Mnie jeszcze wtedy nawet nie było na świecie, ale wiem to od mamy. Jest członkinią jakiegoś towarzystwa miłośników skuterów czy jakoś tak. W Staffanstorp.

Nie rozumiem, po co to robi. Widać, lubi zadawać się z tymi wariatami od vesp.

– Powiedziała pani, że pani Birgitta rok temu została wdową. Czy zdradzała objawy depresji?

– Nie. Jeśli sugeruje pan, że mogła popełnić samobójstwo, myli się pan.

– Niczego nie sugeruję. Czasem jednak okazuje się, że nasi najbliżsi doskonale potrafią przed nami ukrywać swoje prawdziwe emocje.

Linda wbiła w ojca wymowne spojrzenie. Kurt popatrzył na nią przelotnie. Chyba muszę z nim o tym pogadać, pomyślała. Popełniłam błąd, nie mówiąc mu o mojej drugiej samobójczej próbie. Wie tylko o tym, że podciąłam sobie żyły.

– Mama nigdy nie zrobiłaby sobie krzywdy. Z bardzo prostego powodu. Nigdy w życiu nie zafundowałaby swoim wnuczkom takiego szoku.

– Czy możliwe jest, że wybrała się do kogoś w odwiedziny?

Vanja zapaliła papierosa. Przez nieuwagę strzepnęła popiół na ubranie i na podłogę. Lindzie przyszła do głowy myśl, że ta kobieta zupełnie nie pasuje do mieszkania matki.

– Moja mama jest bardzo staroświecka. Nikomu nie składa niezapowiedzianych wizyt.

– O ile zostałem dobrze poinformowany, nie ma jej w żadnym szpitalu. Czyli najprawdopodobniej nie przytrafił jej się żaden wypadek. Czy pani Birgitta na coś choruje? Czy ma telefon komórkowy?

– Mama jest zdrowa. Prowadzi zdrowy tryb życia. Nie to, co ja. Ale jak się sprzedaje jajka, człowiek nie ma wiele ruchu.

Vanja rozłożyła ręce, jakby chciała zademonstrować niechęć do własnego ciała.

– A komórka?

– Ma telefon, ale wiecznie wyłączony, mimo że ja i siostra ciągle suszymy jej o to głowę.



W pokoju zapadło milczenie. Z sąsiedniego mieszkania słyhać było przez ścianę odgłos telewizora lub radia.

– I nie ma pani pojęcia, dokąd mogła się udać? Może jest ktoś, kto wie, nad czym ostatnio pracowała? Może prowadzi pamiętnik?

– Nie, raczej nie. Mama pracuje sama.

– Czy coś takiego zdarzyło się już wcześniej?

– Że zniknęła? Nigdy.

Kurt Wallander wyjął z kieszeni kurtki notatnik i długopis. Poprosił Vanję o pełne imię, adres i numer telefonu. Linda zauważyła, że lekko drgnął, gdy usłyszał nazwisko Jorner. Zanim podniósł wzrok znad notatek, jeszcze raz je przeczytał.

– Pani matka nazywa się Medberg. Czy Jorner to nazwisko pani męża?

– Tak, mój mąż nazywa się Hans Jorner. Nazwisko panięńskie mamy to Lundgren. Czy to ważne?

– Hans Jorner. Czy to przypadkiem nie syn dawnego dyrektora zwirowni w Limhamn?

– Tak, najmłodszy syn. A co?

– Pytam z ciekawości.

Kurt Wallander wstał, Linda zerwała się tuż po nim.

– Czy miałyby pani coś przeciwko temu, żebyśmy się tu trochę rozejrzeli? Czy pani Birgitta ma tu jakiś gabinet? – zapytał.

Vanja wskazała jedne z drzwi i zaraz potem dopadł ją atak suchotniczego kaszlu. Kurt Wallander i Linda weszli do pokoju wytapetowanego mapami. Na biurku piętrzyły się uporządkowane kupki dokumentów i teczek.

– O co ci chodziło z tym nazwiskiem? – zapytała Linda ściszoneym głosem.

– Opowiem ci później. To nieprzyjemna historia. Budzi niemiłe wspomnienia.

– Czy ona powiedziała, że handluje jajkami?

– Tak – odparł Wallander. – Widać, że naprawdę się niepokoi.

Linda podniosła z biurka jakąś kartkę. Ojciec zwrócił jej ostro uwagę.

– Możesz tu być, ale masz patrzeć i słuchać. Nie wolno ci niczego dotykać.

– Podniosłam tylko kartkę.

– O jedną za dużo.

Linda wyszła z pokoju. Była wściekła. Wiedziała, że ojciec ma rację, ale nie spodobał jej się jego ton. Skinęła na pożegnanie wciąż kaszlącej Vanji i wyszła z mieszkania. Gdy tylko znalazła się na chodniku, natychmiast pożałowała swojej dziecinnej reakcji.

Ojciec wyszedł z kamienicy dziesięć minut później.

– Co cię ugryzło? – zapytał. – Co ci się nie spodobało w moim zachowaniu?

– Nic takiego, nieważne – odparła, wzruszając ramionami.

Kurt otworzył drzwi samochodu. Wiatr wciąż mocno dmuchał. Usiedli w aucie. Wallander włożył kluczyk do stacyjki, ale nie włączył silnika.

– Widziałas, że mnie zatkało, kiedy ta okropna kobieta powiedziała, że nazywa się Jorner. A jak okazało się, że jest żoną syna starego Jornera, prawie nie mogłem się pozbierać.

Mruknął pod nosem i oparł ręce na kierownicy. Po chwili mówił dalej.

– Kiedy Krystyna i ja byliśmy mali, a ojciec malował te swoje obrazy, bywały okresy, że nie zaglądali do nas żadni domokrażcy i nikt nie kupował tych jego produkcji. Nie mieliśmy za co żyć. Wtedy mama szła do pracy, a ponieważ nie zdobyła żadnego zawodu, mogła wybierać co najwyżej między szorowaniem podłóg w fabryce albo zatrudnieniem się jako gosposia. Wybrała to drugie i tak trafiła do domu Jornerów. Stary Jorner, miał na imię Hugo, i jego żona Tyra byli naprawdę niesympatycznymi

ludźmi. Dla nich przez ostatnie pięćdziesiąt lat w społeczeństwie nic się nie zmieniło. Nadal istniała klasa panów i klasa poddanych. Najgorszy był on. Pewnego wieczoru mama wróciła do domu zapłakana. Ojciec, który normalnie nigdy specjalnie nie interesował się jej samopoczuciem, zapytał ją, co się stało. Przykucnąłem za kanapą i podsłuchiwałem. Pamiętam to, jakby zdarzyło się wczoraj. U Jornerów było jakieś przyjęcie, przyszło niewielu gości, przy stole siedziało może jakieś osiem osób. Mama im usługiwała. Kiedy podała kawę, towarzystwo było już nieco wstawione, zwłaszcza stary Jorner. Kazał mamie przynieść drabinę. Pamiętam każde jej słowo, opowiadała to ojcu z płaczem. Przyniosła drabinę. Goście siedzieli wokół stołu, a Hugo, ten stary sadysta, kazał jej na nią wejść. Zrobiła, jak chciał, a kiedy wdrapała się na górę, powiedział, żeby spojrzała na stół, bo z tej perspektywy z pewnością wreszcie zobaczy, że zapomniała dać jednemu z gości łyżeczkę. Potem kazał jej zabrać drabinę i wyjść, a ona słyszała za plecami śmiech i złośliwe toasty. Kiedy skończyła to opowiadać, jeszcze bardziej się rozplakała, zarzekając się, że już nigdy do nich nie wróci. Ojciec wpadł w szał, poszedł do szopy po siekierę i wygrażał, że zabije Jornera. Na szczęście mama go uspokoiła. Nigdy tego nie zapomnę. Miałem wtedy jakieś dziesięć, dwanaście lat. A dziś nagle natykam się na synową starego Jornera.

Gwałtownie przekręcił kluczyk w stacyjce. Linda zrozumiała, że przykre wspomnienie bardzo go poruszyło. Wyjechali ze Skurup. Linda patrzyła na wędrujące po polach cienie chmur.

– Często myślę o babci – powiedziała. – Umarła na długo, zanim się urodziłam. Zastanawiam się, jak ona wytrzymywała z takim człowiekiem jak dziadek.

Kurt parsknął śmiechem.

– Mama mawiała, że jeśli tylko natrze się go trochę solą, staje się potulny jak baranek. Nigdy się nie dowiedziałem, co miała na myśli.

Nacierają go solą? Miała anielską cierpliwość.

Nagle ostro zahamował i raptownie odbił na pobocze. Z naprzeciwwka, z ogromną prędkością minął go sportowy samochód z podniesionym dachem. Wallander zaklął.

– Właściwie powinienem go zatrzymać – powiedział.

– Więc dlaczego tego nie robisz?

– Bo coś nie daje mi spokoju.

Linda spojrzała na ojca. Wyglądał na spiętego.

– Coś mi się nie podoba w sprawie zaginięcia tej kobiety – wyjaśnił. – Jestem pewien, że wszystko, co powiedziała nam Vanja Jorner, to prawda. Jej niepokój nie był udawany. Podejrzewam, że Birgitta Medberg albo zachorowała, całkiem niespodziewanie postradała rozum i dokądś uciekła, albo spotkało ją coś złego.

– Myślisz, że mogła zostać napadnięta?

– Nie wiem. Wiem tylko, że mój wolny dzień właśnie się skończył. Odwiozę cię do domu.

– Pojadę z tobą do komendy, stamtąd wrócę do domu pieszo.

Kurt zaparkował w podziemnym garażu. Linda wyszła z budynku od tyłu i kuląc się przed porywistym wiatrem, zastanawiała się, co ze sobą począć. Była już czwarta, robiło się coraz zimniej, jakby w jednej chwili nastąpiła jesień. Ruszyła w stronę domu, lecz po chwili zmieniła zdanie i zawróciła w kierunku mieszkania Anny. Zadzwoiła do drzwi, chwilę odczekała i w końcu sama je otworzyła.

Już po paru sekundach doszła do wniosku, że coś się zmieniło. W pierwszej chwili nie wiedziała, co zwróciło jej uwagę, w końcu jednak uznała, że ktoś musiał tu być. Była pewna, choć nie umiała tego wyjaśnić. Wreszcie stwierdziła, że czegoś w mieszkaniu brakuje. Stała w drzwiach do pokoju, starając się ustalić, co wygląda inaczej. Czy czegoś brakuje,

zastanawiała się. Czy na tej ścianie coś wisiało? Podeszła do półki z książkami i przesunęła dłonią po grzbietach. Wszystko było na swoim miejscu.

Usiadła na krześle, które zazwyczaj zajmowała Anna, i rozejrzała się wkoło. *Coś się zmieniło*, powtarzała w myślach. Ale co? Wstała i podeszła do okna, aby spojrzeć z innej perspektywy. Dopiero wtedy się zorientowała. Na jednej ze ścian wisiał wcześniej w ramce za szkłem przypięty szpilką niebieski motyl, między afiszem jakiejś berlińskiej galerii a starym barometrem. Obrazek z motylem zniknął. Czy wmawiam to sobie? Pokręciła głową. Nie, ten motyl naprawdę tutaj był. Dobrze pamięta, że wisiał na ścianie, kiedy poprzednio tu była. Czy możliwe, żeby to Henrietta go zabrała? To brzmiało niedorzecznie. Linda powiesiła kurtkę na wieszaku i zaczęła dokładnie oglądać mieszkanie.

Kiedy otworzyła szafę Anny, zyskała pewność, że ktoś tu był. Brakowało części ubrań, wyglądało też na to, że zniknęła walizka. Linda dobrze zapamiętała wnętrze szafy, ponieważ Anna miała zwyczaj trzymać ją zawsze otwartą na oścież. Zajrzała do sypialni przyjaciółki kilka dni wcześniej, kiedy szukała książki telefonicznej. Teraz usiadła na łóżku, starając się zebrać myśli. Po chwili jej wzrok padł na leżący na biurku pamiętnik. Wciąż tu jest, pomyślała. To zły znak. Znak, że to nie Anna pojawiła się w mieszkaniu. Gdyby ona tu była, mogłaby zabrać ubrania, być może wzięłaby nawet tego niebieskiego motyla, ale z całą pewnością nie zostawiłaby pamiętnika. Nigdy w życiu.

Linda próbowała sobie wyobrazić, co mogło się stać. Siedząc w sypialni Anny, czuła się tak, jakby znalazła się za lustrem weneckim i zatopiła w pogrążonym w ciszy, obcym świecie. Próbowała sobie przypomnieć, czego ją uczono. W miejscu, w którym wydarzyło się coś dramatycznego, zawsze są jakieś ślady. Ale czy tu wydarzyło się coś dramatycznego?

Nigdzie nie było krwi, żadnych śladów walki, wszystko wyglądało jak zawsze, nie licząc zniknięcia ramki z motylem, walizki i części ubrań. Mimo to powinny być jakieś ślady. Nawet jeśli była tu Anna, zachowała się we własnym domu jak nieproszony gość.

Linda znowu dokładnie przebadła całe mieszkanie, nie zauważyła jednak, by coś jeszcze zniknęło lub coś się zmieniło. Potem odsłuchiwała automatyczną sekretarkę, która czerwoną lampką sygnalizowała nowe wiadomości. Było ich trzy. Zostawiamy w różnych miejscach nasz głos, pomyślała. Rozsiewamy go po całym świecie na tysiącach najróżniejszych odtwarzaczy. Jako pierwszy dzwonił dentysta, doktor Sivertsson, chciał zmienić termin corocznej wizyty kontrolnej, prosił, aby Anna zadzwoniła do jego gabinetu. Drugi nagrał się jakiś Mirre z Lund, chciał wiedzieć, czy Anna wybierze się z nimi do Båstad. Na koniec Linda usłyszała swój własny głos, wołanie, a potem kliknięcie, kiedy odłożyła słuchawkę.

Obok telefonu leżał notes z adresami. Linda znalazła w nim numer telefonu do dentysty Anny.

– Gabinet doktora Sivertssona – odezwał się kobiecy głos.

– Nazywam się Linda Wallander. Anna Westin poprosiła mnie, żebym sprawdzała jej sekretarkę w telefonie. Wyjechała na parę dni. Chciałabym się upewnić, kiedy ma u państwa ten termin.

Kobieta odłożyła na moment słuchawkę. Po chwili wróciła.

– 10 września o dziewiątej.

– A więc pewnie nie muszę jej o tym przypominać.

– Pani Anna nigdy nie opuszcza wizyt.

Linda zakończyła rozmowę i zaczęła szukać numeru telefonu do tego Mirrego. Przypomniała sobie swój zabazgrany, rozpadający się notes, który co jakiś czas musiała sklejać taśmą. Coś powstrzymywało ją przed kupnem nowego. Był dla niej jak pamiętnik, pełen przekreślonych numerów, które nie mają już żadnego znaczenia, spoczywają w ciszy na jej małym, prywatnym cmentarzu dawnych znajomości. Na moment całkiem zapomniała o Annie i odpłynęła myślami do chwili spędzonej w lesie z ojcem, do jego drzew. Pomyślała o nim z czułością, próbując sobie wyobrazić, jaki był jako dziecko. Pewnie był chłopcem z poważnymi myślami, być może zbyt poważnymi jak na swój wiek. Wiem o nim tak mało. A to, co wydaje mi się, że wiem, często okazuje się błędne. Czasem próbował mi to wytłumaczyć, ale teraz sama to widzę. Zawsze miałam go za miłego, niezbyt bystrego człowieka, choć nigdy nie odmawiałam mu uporczywości i intuicji. Teraz sama już nie wiem. Wydaje mi się, że jest dobrym policjantem. Podejrzewam też, że w głębi ducha jest bardzo sentymentalny, być może nawet snuje romantyczne marzenia i nienawidzi otaczającej go niezrozumiałej i brutalnej rzeczywistości.

Przysunęła krzesło bliżej okna i zaczęła przeglądać książkę, którą Anna ostatnio czytała. Była po angielsku, poświęcona Aleksandrowi Flemingowi i penicylinie. Linda przebiegła wzrokiem jedną stronę i doszła do wniosku, że trudno jej cokolwiek zrozumieć. Zdziwiło ją, że Anna daje sobie radę z tym tekstem. Kiedyś obie sobie obiecywały, że pojedą do Anglii podreperować swój angielski. Może zrealizowała to marzenie. Linda odłożyła książkę i znów zajrzała do notesu. Każda strona wyglądała jak tablica zapisana drobnym maczkiem na skomplikowanej lekcji matematyki.

Wszędzie pełno skreśleń, strzałek, gwiazdek. Linda uśmiechnęła się pod nosem na widok własnego starego numeru i telefonów do dwóch swoich byłych chłopaków tuż obok, o których już dawno zdążyła zapomnieć. Czego ja właściwie szukam, zadała sobie w myślach pytanie. Pewnie jakiegoś tajemnego znaku, który zostawiła mi Anna. Ale dlaczego miałyby go zostawiać w notesie z telefonami?

Wertowała go dalej, walcząc z wyrzutami sumienia, że bezprawnie wtargnęła na prywatny teren Anny. Grzebię w jej tajemnicach, myślała. I choć robię to w dobrej wierze, wciąż czuję się z tym źle. W zniszczony notatnik wetkniętych było wiele złożonych kartek. Wycinek z gazety o podróży do muzeum medycyny w Reims we Francji, parę biletów z Ystad do Lund i z powrotem.

Nagle Lindę zamurowało. Na jednej z kartek Anna napisała czerwonym tuszem „tata”, a tuż obok numer telefonu składający się z dziewiętnastu cyfr, samych jedynek i trójek. Numer, który nie istnieje, pomyślała Linda. Pewnie to numer kierunkowy do tajemnego miasta, do którego trafiają wszyscy zaginieni ludzie.

Miała ochotę zatrzasnąć notatnik, czując, że nie ma prawa grzebać w osobistych rzeczach Anny. Przeglądała go jednak dalej. Wiele numerów ją zaskoczyło. Znalazła między innymi numer do kancelarii premiera, obok widniało imię i nazwisko jej szefa. Co Anna mogła od niego chcieć, zdziwiła się Linda. Natknęła się też na numer do niejakiego Raula zamieszkałego w Madrycie. Tuż obok Anna narysowała serce, które potem mocno pokreśliła. Powinniśmy mieć kursy w teorii i praktyce z czytania cudzych notesów z adresami, podsumowała w myślach Linda.

Przejrzawszy cały notes, zwróciła uwagę na jeden numer. „Dom w Lund”, zanotowała Anna. Linda wahała się chwilę, w końcu jednak wystukała po kolei odczytane cyfry. Odpowiedział jej męski głos.

– Peter.



– Dzień dobry, szukam Anny.

– Sprawdzę, czy jest.

Linda czekała cierpliwie, w tle grała muzyka. Słyszała ją wiele razy, nie mogła sobie jednak przypomnieć nazwiska wykonawcy.

Po chwili wrócił mężczyzna o imieniu Peter.

– Nie ma jej – powiedział.

– A powiedziała, kiedy wróci?

– Nawet nie wiem, czy jest w Lund. Nie widziałem jej od dobrych paru dni. Zapytam.

Peter drugi raz odłożył słuchawkę, zaraz jednak znów się odezwał.

– Nikt jej nie widział od wielu dni.

Zanim Linda zdążyła go zapytać o adres, rozłączył się. Została z telefonem w dłoni. Ani śladu Anny, pomyślała. Nikt się nie zmartwił. Usłyszałam tylko suchy komunikat, że jej nie ma. Linda poczuła się głupio. Przypomniało jej się, jak sama czasem zniknęła. Zdarzało jej się po prostu dokądś wyjechać, a ojciec parę razy był bliski wszczęcia poszukiwań. Zawsze jednak świetnie wyczuwała, kiedy przeciągała strunę, i w odpowiednim momencie dawała o sobie znać. Dlaczego Anna nie miałyby zrobić tak samo?

Zadzwoiła do Zebry, żeby ją zapytać, czy Anna przypadkiem się nie odezwała. Zebra zaprzeczyła, Anna nie dała znaku życia. Umówiły się na następny dzień.

Linda udała się do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę. Czekaając, aż woda się zagotuje, spostrzegła wiszący na ścianie klucz. Wiedziała, do jakiego zamka pasuje. Wyłączyła kuchenkę i zeszła do piwnicy. Zabezpieczony kratą schowek Anny znajdował się na samym końcu wąskiego korytarza. Linda już kiedyś tu była, pewnego wieczoru pomogła Annie znieść na dół stary stół. Wciąż tam stał, dostrzegła go za kratą. Otworzyła kłódkę i włączyła światło. Znów poczuła się głupio. Uznałam, że Anna zniknęła,

żeby mieć coś do roboty, pomyślała. Pewnie jak tylko założę mundur i zacznę pracować, Anna się odnajdzie. To wszystko wygląda na jakąś zabawę. Jasne, że nic się nie stało. Zajrzała pod leżącą na stole stertę dywaników. Pod spodem znalazła plik starych zakurzonych czasopism. Zamknęła piwnicę i wróciła do mieszkania.

Ponownie włączyła kuchenkę i tym razem zagotowała wodę. Zaparzywszy herbatę, przeszła z kubkiem do sypialni i położyła się na łóżku, po stronie, której Anna nie używała. Już tu kiedyś spała. Pewnego wieczoru rozmawiały do późna, wypily dużo wina i Linda nie miała siły wrócić do domu. Pamiętała, że była to niespokojna noc, Anna wierciła się przez sen i gwałtownie przewracała. Linda postawiła kubek na szafce i wyciągnęła się na łóżku. Po chwili usnęła.

Po przebudzeniu nie wiedziała, gdzie jest. Spojrzała na zegarek. Spała godzinę. Herbata zdążyła ostygnąć, wypila ją jednym duszkiem, bo czuła pragnienie. Wstała i wygładziła ręką pościel. Nagle coś przykuło jej uwagę.

Minęło parę chwil, nim zrozumiała. Narzuta. Narzuta po stronie Anny. Ktoś na niej niedawno leżał – wyraźnie było widać odcisnięte kontury ciała – a potem nie wygładził nakrycia. W uporządkowanym świecie Anny było to nie do pomyślenia. Stół z nieuprzątniętymi okruszkami czy pofałdowana narzuta nie wchodziły w grę, Anna uznałaby taki nieporządek za osobistą porażkę.

Tknięta przeczuciem Linda uniosła narzutę. W pościeli leżał podkoszulek. Wyjęła go i rozprostowała. Miał rozmiar XXL, był ciemnoniebieski, z nadrukiem reklamy linii lotniczych Virgin. Powąchała go, nie pachniał Anną. Poczuła silny zapach proszku do prania lub wody po goleniu. Poza tym Anna sypiała w koszuli nocnej, na dodatek była wybredna i zawsze kupowała rzeczy najlepszej jakości. To wykluczone,

żeby Anna zaczęła sypiać w tanim podkoszulku reklamującym jakąś linię lotniczą, pomyślała.

Usiadła na brzegu łóżka i przyglądała się zagadkowemu znalezisku. W szkole policyjnej nie uczyli nas, co począć z obcą garderobą znalezioną w łóżku zaginionej przyjaciółki, rozmyślała. Zastanowiła się, co na jej miejscu zrobiłby ojciec. Czasem zdarzało mu się wyczerpująco odpowiadać na jej pytania, kiedy już zaczęła chodzić do szkoły policyjnej i widywała go w niektóre weekendy. Opowiadał jej wtedy o różnych śledztwach i zawsze przy tym podkreślał jedno. Za każdym razem, kiedy docierał na miejsce zdarzenia, powtarzał sobie jak mantrę: tu jest coś, czego nie widzę. Najważniejsze, żeby zlokalizować szczegół, którego nie widać na pierwszy rzut oka. Linda rozejrzała się po pokoju. Czego nie dostrzegam? Prawdę mówiąc, nie niepokoi mnie to, czego nie widzę, ale właśnie to, co widać wyraźnie. Wygnieciona narzuta, jakiś podkoszulek w miejscu, w którym powinna być nocna koszula.

Nagle w salonie zadzwonił telefon. Linda aż podskoczyła, wybiegła z sypialni i stanęła obok aparatu. Odebrać? Zastanawiała się. Wyciągnęła rękę, lecz zaraz ją cofnęła. Po piątym dzwonku włączyła się sekretarka. Dzwoniła Henrietta. „To ja. Twoja przyjaciółka Linda, ta, która ku mojemu zaskoczeniu zdecydowała się zostać policjantką, była u mnie wczoraj i pytała o ciebie. Tylko tyle chciałam ci powiedzieć. Daj znać, jak będziesz miała czas. Pa”.

Linda odtworzyła nagranie jeszcze raz. Głos Henrietty był całkiem spokojny. Nie usłyszała żadnych wiadomości między wierszami, żadnych oznak niepokoju. Poza krytyką, być może nawet pogardą, że jej córka ma przyjaciółkę, która jest na tyle głupia, że została gliną. Henriettę wyraźnie to irytowało. Linda była ciekawa, czy Anna myśli tak samo, czy z dezaprobatą traktuje jej wybór. Mam to gdzieś, pomyślała. Może sobie

znikać gdzie chce i na jak długo chce. Podlała kwiaty w mieszkaniu, a potem zamknęła za sobą drzwi i poszła do domu.

Ojciec wrócił koło siódmej. Linda zdążyła już przygotować kolację i zjeść. Podgrzała mu jedzenie, kiedy się przebierał. Usiadła z nim przy stole.

- No i co się stało? – zapytała.
- Pytasz o tę zaginioną kobietę?
- No tak.
- Kolorowi się tym zajmują.

Linda spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Kolorowi?

– Mamy dwóch takich kryminalnych, jeden nazywa się Svartman<sup>3</sup>, a drugi Grönkvist<sup>4</sup>. Są nowi i często pracują razem. Mówimy na nich Kolorowi. Na dodatek żona Svartmana ma na imię Rosa<sup>5</sup>. Spróbuj ustalić, co się stało z Birgittą Medberg. Nyberg obejrzy jej mieszkanie. Uznaliśmy, że to poważna sprawa. Zobaczymy.

– A ty co o tym myślisz?

Kurt odsunął pusty talerz.

– Jest w tym coś niepokojącego. Ale mogę się mylić.

– Co cię w tym niepokoi?

– Niektórzy ludzie nie powinni niespodziewanie zniknąć. A jeśli to robią, najpewniej coś im się stało. Przemawia przede mną doświadczenie.

Wstał od stołu, podszedł do kuchenki i nastawił kawę.

– Prawie dziesięć lat temu zniknęła pewna pośredniczka nieruchomości. Pamiętasz tę sprawę? Okazało się, że była bardzo religijna, należała do jakiegoś wolnego kościoła, miała małe dzieci. Kiedy mąż zgłosił jej zaginięcie, od razu uznałem, że coś musiało się stać. I tak było. Została zamordowana.

– Birgitta Medberg jest wdową, nie ma małych dzieci i raczej nie należy do żadnego kościoła. Możesz sobie wyobrazić, żeby ta jej córka była religijna?

– Dla mnie każdy może być religijny, nawet ty. Ale to nie o to chodzi. Mam na myśli, co zupełnie nieoczekiwane, czego nie można nijak przewidzieć.

Linda opowiedziała ojcu o swojej powtórnej wizycie w mieszkaniu Anny. Przedstawiła mu wszystkie szczegóły, on zaś przyglądał się jej z wyraźnie narastającą dezaprobatą.

– Nie powinnaś tego robić – powiedział, kiedy skończyła. – Jeśli coś jej się stało, niech zajmie się tym policja i prokurator.

– Przecież policja to ja.

– Jesteś aspirantką, która ma zacząć pracę w prewencji, czyli dbać o to, żeby na ulicach naszych pięknych miast oraz wiosek panował względny spokój.

– Ale to bardzo dziwne, że ona tak po prostu zniknęła.

Kurt Wallander włożył talerz i kubek po kawie do zlewozmywaka.

– Jeśli naprawdę sądzisz, że coś jej się stało, zgłoś to na policję – odparł i wyszedł z kuchni.

Linda usłyszała, że włączył telewizor w salonie. Siedziała przy stole. Drażniły go jego ironiczne uwagi. Przede wszystkim dlatego, że miał całkowitą rację.

Nie wyszła z kuchni aż do chwili, gdy uznała, że znów jest w stanie znieść jego obecności tuż obok siebie. Spał w fotelu przed telewizorem. Kiedy zaczął chrapać, zbudziła go szturchnięciem. Wzdrygnął się, podniósł rękę, jakby został napadnięty i się poddawał. Zrobiłabym dokładnie tak samo, pomyślała. To kolejne podobieństwo między nami. Ojciec poszedł do łazienki. Wykąpał się i od razu położył spać. Linda zajęła jego miejsce w fotelu i próbowała oglądać film, ale nie mogła się skoncentrować. Poszła

spać tuż przed północą. Śnił jej się Herman Mboya, który wrócił do Kenii i otworzył własną przychodnię w Nairobi.

Nagle zbudził ją dzwonek telefonu. Komórka wibrowała na stoliku, obok nocnej lampki. Odebrała, spoglądając na zegar. Kwadrans po trzeciej. W słuchawce nikt się nie odezwał, słyszała jedynie czyjś oddech. Po chwili dzwoniący się rozłączył. Nie wątpiła ani przez chwilę, że ten nocny telefon miał coś wspólnego z Anną. Otrzymała wiadomość bez słów, złożoną z paru oddechów. Był to jednak ważny sygnał.

Nie usnęła do rana. Ojciec wstał kwadrans po szóstej. Pozwoliła mu wziąć prysznic i ubrać się w spokoju, ale kiedy zaczął się krzątać w kuchni, poszła do niego. Zdziwił się, widząc ją na nogach tak wcześnie, na dodatek ubraną.

– Jadę z tobą na komendę – oznajmiła.

– Dlaczego?

– Myślałam o tym, co mi wczoraj powiedziałeś. Jeśli się martwię o Annę, powinnam zawiadomić policję. Właśnie zamierzam to zrobić. Pojadę z tobą i zgłoszę zaginięcie Anny Westin. Jestem pewna, że spotkało ją coś złego.

Linda nigdy nie umiała przewidzieć, kiedy u ojca nastąpi nagły i gwałtowny atak furii. Pamiętała z dzieciństwa strach przed jego złością, bała się zarówno ona, jak i jej matka. Tylko dziadek pozostawał obojętny i wzruszał ramionami albo też zaczynał na niego wrzeszczeć. Linda starała się odpowiednio wcześniej rozpoznawać oznakę zbliżającego się ataku – czerwoną plamkę na czole, która rozpaliała się dokładnie między brwiami. Zazwyczaj jednak dostrzegała ją, kiedy było już za późno.

Również tego ranka, gdy postanowiła swój prywatny niepokój o Annę zamienić w sprawę dla policji, jego reakcja ją zaskoczyła. Ojciec cisnął stertę papierowych serwetek na podłogę. Wypadło to nieco komicznie, bo zamiast trzasku lub choćby plaśnięcia, w kuchni rozległ się jedynie cichy furkot papieru, a serwetki zatańczyły w powietrzu. Jednak Linda poczuła znowu ten sam dziecięcy strach. W ułamku sekundy przypomniały jej się te wszystkie chwile, kiedy jako dziecko zrana zimnym potem budziła się z koszmaru, w którym wesoły uśmiech na twarzy ojca w jednej chwili zmieniał się w grymas wściekłości. Przypomniała sobie też, co kiedyś powiedziała jej matka, już po rozwodzie z ojcem: „On sam tego nie rozumie. Nie ma pojęcia, jaki terror wywołują te jego nieuzasadnione i zupełnie niespodziewane ataki furii. Myślę, że zdarzają mu się jedynie w domu. Inni postrzegają go pewnie jako przysadzistego, miłego mężczyznę, zdolnego, choć nieco upartego policjanta. Jeśli czasem ryknie na kogoś w pracy, to nie bez powodu. W domu wyłazi z niego furiat i tyran, którego się boję i jednocześnie nienawidzę”.

Linda pomyślała o słowach Mony, kiedy patrzyła na sapiącego ze złości ojca. Nie przeszło mu jeszcze, wciąż rozrzucał dokoła siebie serwetki.

– Dlaczego nie słuchasz, co do ciebie mówię? – wrzeszczał. – Jak masz być dobrą policjantką, jeśli będziesz zgłaszać zaginięcie każdej koleżanki, która nie odbiera telefonu?

– Przecież to nie tak.

Kurt Wallander cisnął resztę serwetek na podłogę. Jak dziecko, pomyślała Linda, dziecko, które nie chce jeść i zrzuca jedzenie na ziemię.

– Nie przerywaj mi! Niczego nie nauczyli cię w tej szkole?

– Nauczyli mnie podchodzić do wszystkiego z powagą. Nie wiem, czego uczyli ciebie.

– Wyśmieją cię.

– Trudno, niech mnie wyśmieją. Anna zniknęła.

Złość przeszła Kurtowi tak szybko, jak nim zawładnęła. Linda dostrzegła na jego policzku kropelki potu. Krótki atak szału, pomyślała. Zaskakująco krótki, na dodatek dużo łagodniejszy niż kiedyś. Albo brakuje mu odwagi, żeby się na mnie wściekać, albo po prostu się starzeje. Za chwilę zaczniesz mnie przeproszać.

– Przepraszam – bąknął.

Nie odpowiedziała, zabrała się do sprzątnięcia serwetek z podłogi. Dopiero kiedy wyrzucała je do kosza, zorientowała się, że serce bije jej szybciej. Już chyba zawsze będę się bała tych jego ataków szału, stwierdziła w myślach.

Ojciec ciężko opadł na krzesło, wyglądał na nieszczęśliwego.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Linda wbiła w niego wzrok, bo to, co zamierzała powiedzieć, wolała zrobić, patrząc mu w oczy.

– Chyba nie znam nikogo, komu tak bardzo przydałaby się jakaś kobieta w łóżku.

Kurt podskoczył w miejscu, jakby go ktoś uderzył. Poczerwieniał. Linda poklepała go po policzku najczulej jak potrafiła.



– Wiesz, że mam rację. Pójdę do komendy piechotą, żebyś nie musiał czuć się zażenowany. Jedź sam.

– Ale ja też chciałem się dzisiaj przejść.

– Zrób to jutro. Nie lubię, kiedy krzyczysz. Chcę mieć trochę spokoju.

Odprowadziła go wzrokiem, kiedy wychodził z mieszkania. Miała wrażenie, że paruje mu głowa. Przebrała się, bo spociła się z nerwów. Wahala się, czy mimo wszystko zgłosić zaginięcie Anny. W końcu wyszła z domu, nie podjąwszy żadnej decyzji.

Świeciło słońce i wiał porywisty wiatr. Linda stała na Mariagatan, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Zawsze dotąd szczyciła się tym, że z łatwością podejmuje decyzje. Lecz kiedy ojciec był blisko, stanowczość ją zawodziła. Pomyślała ze złością, że chciałaby jak najszybciej dostać już to mieszkanie w kamienicy za kościołem św. Marii, na które tak czeka. Nie mogę przecież w nieskończoność mieszkać u ojca, uznała.

W końcu ruszyła w stronę komendy. Gdyby Annę spotkało coś złego, Linda nigdy by sobie nie wybaczyła, że zbagatelizowała swoje przeczucie. Wówczas jej kariera policjantki dobiegłaby końca, zanim by się zaczęła.

W parku pomyślała, że kiedyś, będąc dzieckiem, przyszła tu z ojcem. To była niedziela, chyba wczesnym latem. Razem oglądali pokaz czarodzieja, który wyjmował złote monety zza uszu dzieci. Wspomnienie to jednak zasnuwał cień zdarzenia, które nastąpiło przed tym niedzielnym spacerem. Pamiętała to bardzo dokładnie. Siedziała w swoim pokoju, a rodzice się kłócili. Ich głosy co chwilę podnosiły się i opadały. Słyszała, że spierają się o pieniądze, których nie było, wiecznie ich brakowało, bo ktoś je roztrwonił. Nagle Mona krzyknęła głośno, a potem zaczęła płakać. Kiedy Linda cichutko zeszła z łóżka i uchyliła drzwi do salonu, ujrzała mamę z zakrwawionym nosem. Ojciec stał przy oknie, czerwony na twarzy. Od

razu zrozumiała, że uderzył mamę w twarz. I to tylko z powodu jakichś brakujących pieniędzy.

Zatrzymała się i, zmrużywszy oczy, spojrzała prosto w słońce. Wspomnienie sprawiło, że ścisnęło ją w gardle. Tamtego dnia stała w drzwiach i przyglądała się skłóconym rodzicom, dochodząc do wniosku, że tylko ona może rozwiązać ich problemy. Nie chciała, żeby mamie lała się z nosa krew. Zdjęła z półki swoją skarbonkę, wmaszerowała do salonu i postawiła ją na stole. Zapadła śmiertelna cisza. Linda dobrze zapamiętała swój samotny, bohaterski marsz z ceramiczną świnką.

Wciąż spoglądała na słońce, nie mogąc powstrzymać łez. Potarła oczy i zawróciła, jakby chciała oszukać wspomnienie, zmieniając trasę. Skręciła w Industrigatan i idąc, zdecydowała, że zaczeka ze zgłoszeniem zaginięcia Anny do jutra. Postanowiła, że zamiast tego jeszcze raz pójdzie do jej mieszkania. Kolejny raz, pomyślała. Jeśli ktoś był tam wczoraj wieczorem, na pewno się zorientuję.

Zadzwoiła do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Dostawszy się do środka, stanęła w przedpokoju. Baczenie rozejrzała się wokół, włączyła swój wewnętrzny radar. Nie spostrzegła niczego, żadnych śladów.

Weszła do salonu. Poczta, pomyślała. Nawet jeśli Anna nie pisywała listów ani pocztówek, coś przecież musiano jej wrzucać przez szczelinę w drzwiach. Jakieś reklamy, zawiadomienia, cokolwiek. Linda nie znalazła zupełnie nic.

Obeszła całe mieszkanie. Łóżko wyglądało tak, jak je zostawiła poprzedniego dnia. Wróciła do salonu, usiadła na krześle i starała się uporządkować myśli. Anna zniknęła trzy dni temu. O ile w ogóle zniknęła.

Linda ze złością pokręciła głową i jeszcze raz poszła do sypialni. Sięgnęła po pamiętnik. Cicho poprosiła przyjaciółkę o wybaczenie i zajrzała do wpisów sprzed trzydziestu dni. Nie znalazła niczego

niezwykłego, jedynie notatkę, że 7 i 8 sierpnia Annę bolał ząb i zapisała się na wizytę u doktora Sivertssona. Linda zmarszczyła czoło. Dobrze pamiętała te dni. 8 sierpnia wybrały się we trzy, Anna, Zebra i ona, na długi spacer do Kåseberga. Pojechały tam samochodem Anny, synek Zebry był tego dnia w wyjątkowo dobrym nastroju i niosły go na zmianę, kiedy nie miał już siły iść.

Ale czy Annę bolał wtedy ząb?, zastanawiała się.

Po raz kolejny doszła do wniosku, że w pamiętniku przyjaciółki są całkiem zaskakujące fragmenty, zupełnie jakby pisane szyfrem. Ale dlaczego? No bo co innego może znaczyć wzmianka o bolącym zębie, jeśli właśnie nie to?

Czytała dalej, starając się znaleźć różnicę w stylu. Anna co chwilę zmieniała długopis, czasem nawet w połowie zdania. Linda podejrzewała, że coś jej musiało przeszkodzić w trakcie pisania, być może dzwonek telefonu, potem gdzieś zapodziewał jej się długopis i kończyła zdanie innym. Po dłuższej chwili Linda poszła do kuchni i napiła się wody.

Odstawiła szklankę i wróciła do czytania. Kiedy przewróciła kolejną stronę, zamarła. W pierwszej chwili wydawało jej się, że to przywidzenie, że musiała coś źle zapamiętać. Przeczytała raz jeszcze. 13 sierpnia Anna zanotowała: „List od Birgitty Medberg”.

Po raz trzeci przebiegła wzrokiem notatkę, tym razem podeszła do okna i stanęła tak, żeby światło padało na kartki pamiętnika. Birgitta Medberg to dość rzadkie nazwisko, pomyślała. Odłożywszy zeszyt na parapet, zaczęła wertować książkę telefoniczną. Po chwili wiedziała już, że w tej części Skanii, którą obejmował spis numerów, jest tylko jedna osoba o tym imieniu i nazwisku. Zadzwoiła do biura numerów z pytaniem, ile tak nazywających się kobiet jest w całym kraju. Zaledwie kilka. I tylko jedna pani geograf kultury w Skanii.

Linda wróciła do lektury pamiętnika z podwójną ciekawością. Przeczytała go dokładnie, aż do dziwnego wyrazu JOMATOT. Na temat Birgitty Medberg nie znalazła nic więcej.

Najpierw jakiś list, a potem Anna znika. Kilka tygodni przed tym zniknięciem przychodzi list od Birgitty Medberg, która później też gdzieś przepada. Na dodatek jest jeszcze incydent z ojcem Anny, niespodziewanie widzianym przez nią na ulicy w Malmö, po dwudziestu czterech latach nieobecności.

Linda zaczęła szukać po całym mieszkaniu. Ten list musi gdzieś tu być. Nie prosiła już w myślach o wybaczenie, kiedy wywracała do góry nogami zawartość szuflad Anny. Ale listu nie znalazła, mimo że przeszukanie całego mieszkania zajęło jej trzy godziny. Znalazła inną korespondencję, lecz niczego od Birgitty Medberg.

Wychodząc, wzięła kluczyki do samochodu Anny. Pojechała do jednej z portowych kawiarni, zjadła kanapkę i wypła herbatę. Kiedy szła w stronę drzwi, jakiś mężczyzna w jej wieku przyjaźnie się do niej uśmiechnął. Miał na sobie ubrudzony olejem kombinezon. Minęła dłuższa chwila, nim rozpoznała w nim kolegę ze szkoły średniej. Zatrzymała się, by się przywitać, na próżno szukając w pamięci jego imienia. Podał jej dłoń, wytarłszy ją uprzednio w serwetkę.

– Żegluję – powiedział. – Mam starą łajbę z wyjątkowo opornym silnikiem. Stąd ten olej.

– Od razu cię rozpoznałam – skłamała. – Wróciłam do miasta.

– I co będziesz tu robić?

Zawahała się. Nagle przypomniało jej się, co kiedyś opowiedział jej ojciec. O sytuacjach, kiedy wolał przedstawiać się jako ktoś zupełnie inny niż policjant. *Każdy z nas ma swój drugi wymyślony zawód. Czasem uznajemy, że lepiej jest zmienić tożsamość. Martinsson bywa sprzedawcą*

*nieruchomości, Svedberg zwykle mówił, że ma koparkę i wykonuje różne prace na zlecenie. Moje drugie ja to przedstawiciel handlowy nieistniejącej kręgielni w Eslöv.*

– Postanowiłam zostać policjantką – odparła.

W tej samej chwili przypomniała sobie imię dawnego kolegi. Mężczyzna w poplamionym kombinezonie nazywał się Torbjörn. Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Myślałam, że chcesz być tapicerem.

– Tak było, ale potem zmieniłam zdanie.

Wyglądało na to, że Torbjörn spieszy się do swoich zajęć. Wyciągnął dłoń na pożegnanie.

– Ystad jest małe. Na pewno jeszcze się zobaczymy.

Linda wróciła do samochodu, który zaparkowała na tyłach budynku dawnego teatru. Ciekawe, co oni wszyscy sobie myślą, zastanawiała się. Dlaczego wróciłam tu jako policjantka? Nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

Pojechała do Skurup, zostawiła auto przy rynku i poszła pieszo do kamienicy, w której mieszkała Birgitta Medberg. Na klatce schodowej czuć było smażonym jedzeniem. Zadzwoiła do drzwi. Nikt nie otworzył. Nasłuchiwała przez chwilę, po czym uchyliła klapkę otworu na listy i zawołała do środka. Upewniwszy się, że nikogo nie ma w mieszkaniu, wyjęła wytrych. Zaczynam karierę w policji od włamywania się do cudzych mieszkań, pomyślała, pocąc się ze zdenerwowania. Wślizgnęła się do przedpokoju, czując, że serce bije jej jak oszałałe. Stała przez chwilę bez ruchu, po czym cicho obeszła całe mieszkanie. Węszyła, nie wiedząc, czego szuka, i cały czas bojąc się, że ktoś ją przyłapie. Chciała się tylko upewnić, czy między Birgittą Medberg a Anną jest jakiś związek. Czy istnieje ogniwo, które je łączy.

Już miała się poddać i wyjść, gdy na biurku pod zieloną podkładką do pisania odkryła jakąś kartkę. Była to kiepska kserokopia starej mapy, ze słabo widocznym tekstem.

Linda włączyła lampkę na biurku. Z najwyższym trudem udało jej się odcyfrować jedno słowo: Rannesholm. To zamek, pomyślała. Ale gdzie on leży? Na półce z książkami znalazła mapę Skanii. Zamek Rannesholm znajdował się niedaleko Skurup. Linda raz jeszcze rzuciła okiem na starą mapę. Mimo że rysunek był niewyraźny, udało jej się dostrzec jakieś zapiski i strzałki. Wsunęła obie mapy do kieszeni kurtki i zgasiła światło. Długo nasłuchiwała w przedpokoju, nim odważyła się ostrożnie wyjść na korytarz.

Dochodziła już czwarta po południu, kiedy wjechała na parking w pobliżu zamku Rannesholm i dwóch jezior należących do posiadłości. Co ja wyprawiam, pomyślała. Na siłę szukam przygód, żeby szybciej zleciał mi czas. Zamykając auto, stwierdziła, że zmęczył ją już ten niewidzialny mundur, chciałaby wreszcie założyć prawdziwy. Ruszyła w dół, w stronę wody. Chwilę przyglądała się parze łabędzi sunących cicho po tafli jeziora muskanej podmuchami wiatru. Z zachodu nadciągały deszczowe chmury. Zadrżała z zimna i zasunęła pod szyję zamek w kurtce. Lato dobiegało końca, wyraźnie czuło się nadchodzącą jesień. Rozejrzała się po parkingu. Był pusty, stał na nim jedynie samochód Anny. Zatrzymała się nad samym brzegiem i zaczęła rzucać kamienie do wody. Między Anną a Birgittą Medberg istnieje jakiś związek, zastanawiała się. Ale nie mam zielonego pojęcia jaki.

Cisnęła kolejny kamień do jeziora. Na razie łączy je jedno, kontynuowała rozmyślenia. Obie zniknęły. Zaginięciem jednej już zainteresowała się policja, o drugiej nie mają pojęcia.

Deszczowe chmury nadciągnęły szybciej, niż przypuszczała. Nim spadły pierwsze krople, schowała się pod dużym dębem na parkingu. Cała ta sytuacja wydała się jej nagle niedorzeczna. Już miała ruszyć biegiem do auta i wrócić do domu, gdy nagle dostrzegła coś błyszczącego w mokrych zaroślach. W pierwszej chwili pomyślała, że to rzucona na ziemię metalowa puszka lub jakiś przedmiot z plastiku. Rozchyliła gałęzie i zobaczyła przed sobą oponę. Stała przez chwilę zdumiona, potem przecisnęła się kawałek przez krzewy. Poczuła, że serce zabiło jej szybciej. Pędem pobiegła do samochodu, wyjęła z kieszeni komórkę i wystukała numer. Na szczęście tym razem, wyjątkowo, ojciec miał przy sobie telefon, na dodatek włączony.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że odezwał się nieco obcesowym tonem.

– Pod zamkiem Rannesholm. Na parkingu.

– Co tam robisz?

– Powinieneś tu przyjechać.

– Nie mogę. Zaraz zaczynamy zebranie, na którym będziemy omawiać kolejne bezsensowne wytyczne z Komendy Krajowej.

– Nie idź na zebranie. Musisz tu przyjechać. Znalazłam coś.

– Co?

– Skuter Birgitty Medberg.

W telefonie rozległo się ciężkie westchnienie.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Jak to możliwe?

– Powiem ci, kiedy przyjedziesz.

Coś zatrzeszczało w Lindy komórce i rozmowa została przerwana. Nie zadzwoniła ponownie. Wiedziała, że ojciec przyjedzie.

Deszcz przybrał na sile. Linda czekała w samochodzie. Słuchając jednym uchem audycji radiowej o chińskich różach herbacianych, rozmyślała o wszystkich poprzednich sytuacjach, kiedy czekała na ojca. O jego notorycznych spóźnieniach, gdy miał ją odebrać z lotniska lub z dworca w Malmö oraz o przypadkach, kiedy wcale nie przyjechał, a potem wciskał jej jakieś wytłumaczenia, jedno gorsze od drugiego. Linda wielokrotnie próbowała mu wytłumaczyć, jak bardzo ją to rani, że wszystko jest ważniejsze od niej. Ojciec zawsze wtedy odpowiadał, że ją doskonale rozumie, że się poprawi, że nigdy już nie będzie musiała na niego czekać. Jednakże po paru miesiącach wszystko znów było jak dawniej.

Jeden raz się zemściła. Miała wtedy dwadzieścia jeden lat, przeżywała czas romantycznych uniesień i przekonana o swoim talencie marzyła, że zostanie aktorką. Sen o scenie na szczęście szybko przeminął. Z zimną krwią uknuła jednak pewien plan. Postanowiła, że spędzą razem święta w Ystad, tylko ona i ojciec. Bez dziadka, który akurat w tamtym czasie zamieszkał z Gertrud. Przed przyjazdem długo omawiała z ojcem przez telefon szczegóły świątecznej kolacji, ustalili, że zjedzą indyka, choć nie wiedzieli, kto go przyrządzi. Linda siedziała w Sztokholmie, Kurt zaś był kiepskim, a właściwie pozbawionym entuzjazmu kucharzem.

Zamierzali świętować trzy dni, ubrać choinkę, kupić prezenty, chodzić na długie spacerunki po prawdopodobnie zaśnieżonych polach i lasach. Ojciec miał ją odebrać 24 grudnia rano z lotniska Sturup. Jednak dzień wcześniej Linda poleciała na Wyspy Kanaryjskie ze swoim ówczesnym chłopakiem Timmym, synem Argentyńczyka i szwedzkojęzycznej Finki. Dopiero następnego ranka zadzwoniła do ojca z budki telefonicznej na plaży w Las



Palmas z pytaniem, jak się z tym czuje. Wpadł w szal, przede wszystkim ze strachu o nią, lecz również dlatego, że trudno było mu zaakceptować to, co zrobiła. Linda rozplakała się w słuchawkę, czując, że szczegółowo zaplanowana zemsta obróciła się przeciwko niej. Co przyszło jej z naśladowania złych zachowań ojca? W końcu się pogodzili. Lindzie było ogromnie przykro i poprosiła Kurta o wybaczenie, on zaś przysiągł, że już nigdy nie pozwoli jej na siebie czekać. Parę dni później, odbierając ją i Timmiego z lotniska, spóźnił się dokładnie dwie godziny.

Nagle coś zamigotało za szybą. Linda włączyła wycieraczki, by lepiej widzieć. Do samochodu zbliżał się ojciec. Zaparkował naprzeciwko niej i pokonawszy krótką odległość w strugach deszczu, usiadł obok niej na miejscu pasażera. Wyglądał na zniecierpliwionego, najwyraźniej się spieszył.

– Mów – rzucił.

Linda zaczęła opowiadać mu wszystko ze szczegółami, czując, jak udziela jej się jego zdenerwowanie.

– Masz przy sobie ten pamiętnik? – przerwał jej.

– Dlaczego miałabym go zabierać? Dokładnie to było w nim napisane.

Nie zadawał jej więcej pytań. Linda mówiła dalej. Gdy skończyła, Kurt wpatrywał się w skupieniu w ściekające po szybie krople deszczu.

– Dziwnie to brzmi – powiedział.

– Sam przecież powtarzasz, że zawsze trzeba być przygotowanym na to, że może się wydarzyć coś niespodziewanego.

Kiwnął głową i spojrzał na Lindę.

– Masz pelerynę?

– Nie.

– Mam zapasową w bagażniku.

Energicznym szarpnięciem otworzył drzwi i pobiegł do swojego auta. Linda nie mogła się nadziwić, że jej zwalisty, z pozoru ociężały ojciec

potrafi się tak zwinnie poruszać. Wsiadła z samochodu i podeszła do niego. Stał przy otwartym bagażniku i zakładał pelerynę. Wyjął drugą i podał ją Lindzie. Sięgała prawie do ziemi. Na koniec wyszperał jeszcze w bagażniku czapkę z daszkiem z reklamą jakiegoś warsztatu i wcisnął ją córce na głowę. Spojrzał w niebo. Strugi deszczu spływały mu po twarzy.

– To chyba biblijny potop – powiedział. – Jeszcze nigdy nie przeżyłem takiej ulewy.

– Ja zapamiętałam z dzieciństwa, że strasznie dużo padało – odparła Linda.

Dał jej znak, żeby się pośpieszyła. Ruszyła pierwsza, poprowadziła go pod wielki dąb i rozchyliła zarośla. Usłyszała, jak ojciec dzwoni na komendę i mamrocze coś pod nosem niezadowolony, że Svartman długo nie podchodzi do telefonu. Po chwili sprawdzili numery rejestracyjne skutera. Zgadzały się. Kurt rozłączył się i schował komórkę do kieszeni.

W tym samym momencie przestało padać. Stało się to tak nagle, że w pierwszej chwili nie wiedzieli, co się dzieje. Wyglądało to zupełnie tak, jakby ktoś zakręcił kurek na planie filmowym po zrobieniu ujęcia.

– Potop zrobił sobie przerwę – powiedział Kurt. – Wygląda na to, że znalazłaś vespę Birgitty Medberg.

Linda zawahała się. W końcu wyjęła z kieszeni kserokopię mapy znalezionej w mieszkaniu zaginionej. W tej samej sekundzie zrozumiała, że to był błąd, jednak ojciec już zdążył ją zobaczyć.

– Co to jest? – zapytał.

– Mapa tego terenu.

– Skąd ją masz?

– Znalazłam ją, leżała tu, na ziemi.

Kurt wyciągnął dłoń po suchą kartkę, spoglądając na Lindę ze zdziwieniem. Nie odpowie na pytanie, które mi zaraz zada, przebiegło Lindzie przez myśl.

Nie padło pytanie, dlaczego mapa jest sucha, podczas gdy ziemia całkiem przemokła. Ojciec uważnie popatrzył na kartkę, zerknął w stronę jeziora, potem na drogę, omiótł wzrokiem parking i wyloty kończących się na nim ścieżek.

– A więc w to miejsce przyjechała – stwierdził. – To duży teren.

Linda dostrzegła, że ojciec bada wzrokiem miejsce, gdzie ukryty był skuter. Próbowwała odgadnąć jego myśli.

– Jakie pytanie powinniśmy postawić na dobry początek? – zapytał.

– Czy umyślnie schowała vespę, czy się obawiała, że ktoś ją ukradnie.

Kurt kiwnął głową.

– Jest jeszcze jedna możliwość – powiedział.

Linda od razu się domyśliła. Powinnam była odgadnąć od razu, skarciła się w myślach.

– Skuter mógł ukryć ktoś inny – oznajmiła.

Ojciec znów pokiwał głową.

Nagle na jednej ze ścieżek pojawił się pies. Zwierzak był biały w czarne cętki, Linda nie pamiętała, jak nazywa się ta rasa. Zaraz za nim z zarośli wyłoniła się jakaś kobieta ubrana w pelerynę. Szła szybkim krokiem. Przywołała psa, po chwili podbiegł do niej drugi, podobny. Dostrzegłszy Kurta i Lindę, wzięła zwierzaki na smycz. Kobieta miała po czterdzieście, była wysoką, urodziwą blondynką. Linda dostrzegła kątem oka, jak na widok pięknej kobiety jej ojciec niemal się przeobraża. Wyprostował plecy, uniósł głowę, by mniej widoczny był zwisający podbródek, wciągnął brzuch.

– Przepraszam panią – zagadnął. – Nazywam się Kurt Wallander, jestem z policji.

Kobieta obrzuciła go nieufnym spojrzeniem.

– Czy mogę zobaczyć pańską legitymację? – zapytała.

Kurt pogrzebał chwilę w portfelu, po czym w końcu wyjął z niego identyfikator. Nieznajoma dokładnie przestudiowała dokument.

– Czy coś się stało? – zapytała.

– Nie. Czy często pani spaceruje tu z psami?

– Dwa razy dziennie.

– Czyli zna pani te ścieżki?

– Dość dobrze. A o co chodzi?

Wallander zignorował pytanie kobiety.

– Czy często ktoś tędy spaceruje?

– Teraz, kiedy zbliża się jesień, niezbyt często. Wiosną i latem przychodzi tu więcej ludzi. Już niedługo będzie tu można spotkać tylko samych właścicieli psów. To przyjemny teren, psy mogą się wybiegać.

– Czy nie powinny być trzymane na smyczy? Tak napisano na tablicy informacyjnej – oznajmił Kurt, wskazując na stojący nieopodal szyld.

Kobieta spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– To po to pan tu jest? Czyha pan na kobiety spacerujące z psami bez smyczy?

– Nie. Chciałbym coś pani pokazać.

Psy szarpały się na uwięzi. Wallander rozchylił gałęzie zasłaniające czerwoną vespę.

– Widziała pani tutaj ten skuter już wcześniej? Należy do blisko sześćdziesięcioletniej kobiety o nazwisku Birgitta Medberg.

Zwierzaki pociągnęły właścicielkę w stronę skutera, najwyraźniej miały ochotę go obwąchać. Kobieta była silna i zdołała je utrzymać.

– Tak. Widziałam już ten skuter i kobietę, o której pan mówi. Wiele razy.

– Kiedy widziała ją pani ostatnio?

Nieznajoma zastanowiła się chwilę.

– Wczoraj – odparła.

Kurt posłał porozumiewawcze spojrzenie Lindzie, stojącej obok i przysłuchującej się rozmowie.

– Jest pani pewna?

– Tak *mi się wydaje*, że to było wczoraj.

– Dlaczego nie jest pani tego pewna?

– Ostatnio często ją tu widywałam.

– Od kiedy?

Kobieta znów odpowiedziała po chwili namysłu.

– Od lipca, chyba od ostatniego tygodnia lipca. Wtedy widziałam ją po raz pierwszy. Spacerowała ścieżką po drugiej stronie jeziora. Potem się na siebie natknęłyśmy i nawet chwilę rozmawiałyśmy. Opowiedziała mi, że zajmuje się odnajdywaniem starych zarośniętych ścieżek na terenie posiadłości Ranneholm. Od tego czasu ją spotykałam. Miała wiele ciekawego do powiedzenia. Ani ja, ani mój mąż nawet nie przypuszczaliśmy, że przez nasz teren przebiegał dawno temu szlak pielgrzymkowy. Mieszkamy w zamku – wyjaśniła. – Mój mąż jest maklerem giełdowym. Nazywam się Anita Tademan.

Ponownie spojrzała na vespę ukrytą w zaroślach. Nagle jej twarz przybrała bardzo poważny wyraz.

– Czy coś się tej kobiecie stało?

– Nie wiemy. Mam jeszcze jedno, bardzo ważne pytanie. Gdy widziała ją pani po raz ostatni, na której to było ścieżce?

Anita Tademan wskazała palcem za siebie.

– Na tej, którą właśnie przyszedłam. Jest najlepsza na taką deszczową pogodę. Powiedziała mi, że znalazła jakiś całkiem zarośnięty szlak pięćset metrów w głąb lasu. Obok zwałonego buka. Tam ją spotkałam.

– Dziękuję, nie mam do pani więcej pytań – odparł Kurt. – Anita Tademan, czy tak? Dobrze usłyszałem?

– Zgadza się. Powie mi pan, co się stało?

– Możliwe, że Birgitta Medberg zaginęła. Ale to jeszcze nie jest potwierdzone.

– To przykre. Taka sympatyczna kobieta.

– Czy zawsze spacerowała sama? – wtrąciła się Linda.

Zupełnie tego nie planowała, pytanie dosłownie jej się wyrwało. Ojciec spojrzał na nią zaskoczony, nie wyglądał na rozzłoszczonego.

– Nigdy nie widziałam jej w towarzystwie – odparła Anita Tademan. – Ani bezpośrednio, ani pośrednio.

– Co pani ma na myśli? – podchwycił Kurt.

– W dzisiejszych czasach kobiety raczej nie wybierają się na samotne wędrówki po odludziu. Sama nigdy nie wychodzę bez psów. Wszędzie włóczą się jacyś podejrzani osobnicy. Zeszłego roku kręcił się tu ekshibicjonista i wydaje mi się, że policja nigdy go nie złapała. Chciałabym rzecz jasna wiedzieć, co przytrafiło się Birgittie Medberg.

Pociągnęła psy i ruszyła aleją w stronę zamku. Linda i Kurt stali chwilę w milczeniu, patrząc na oddalającą się kobietę.

– Bardzo piękna – mruknął Wallander.

– To bogata snobka – odparła Linda. – Raczej nie dla ciebie.

– Nie mów tak – obruszył się Kurt. – Dobrze wiem, jak należy się zachować w towarzystwie damy. Nauczyły mnie tego i Krystyna, i Mona.

Spojrzał na zegarek, a potem popatrzył w niebo.

– Pięćset metrów. Chodźmy tam, zobaczymy, czy coś uda nam się znaleźć – zakomunikował, ruszając szybkim krokiem w stronę lasu.

Linda poszła za nim, musiała podbiec, żeby nie zostać w tyle. Wokół pachniało wilgotną ziemią. Ścieżka wiła się między głazami i wystającymi z ziemi korzeniami. Gdzieś nad nimi z gałęzi poderwał się ptak, po chwili jeszcze jeden.

To Linda odkryła zarośniętą ścieżkę. Ojciec maszerował tak szybko, że wcale nie zauważył słabo widocznego rozwidlenia. Linda zawołała go. Zawrócił i po chwili przyznał jej rację.

– Liczyłam – powiedziała. – Przeszliśmy ponad czterysta pięćdziesiąt metrów.

– Anita Tademán powiedziała, że mamy przejść pół kilometra.

– Jeśli nie liczy się każdego kroku, odległość pięciuset metrów może wydawać się taka sama, jak czterystu lub sześciuset.

– Dobrze wiem, jak się liczy odległość – odparł Kurt poirytowanym tonem.

Ruszyli przed siebie nową, ledwo widoczną dróżką. Obojgu udało się dostrzec świeże odciski butów w miękkim mchu. To ślady *jednej osoby*, pomyślała Linda.

Ścieżka zawiodła ich głęboko w gęsty las, wyglądający na zupełnie nienaruszony, po czym nagle skończyła się u szczytu wąwozu lub parowu. Wallander przykucnął i podłubał palcem w mchu. Lindzie przysłała do głowy myśl, że ojciec wygląda jak otyły szwedzki Indianin, badający w lesie jakiś ślad. Mało brakowało, a parsknęłyby śmiechem.

Zaczęli powoli schodzić do wąwozu. Lindzie utknęła między korzeniami stopa. Nagle się przewróciła. Upadając, złamała jakąś gałązkę, która trzasnęła tak głośno, jakby w lesie padł strzał. Poderwały się jakieś niewidoczne ptaki i odleciały z furkotem.

– Jesteś cała? – zapytał Kurt.

– Tak – odparła Linda, otrzepując ubranie.

Wallander odgarnął gałęzie. Linda stała tuż za nim. Zobaczyła jakiś szałas, budowlę jak z bajki, być może chatkę czarownicy, opartą tylną ścianą o stromą skałę. Z przodu widać było drzwi, tuż obok stało wkopane do połowy w ziemię zardzewiałe wiaderko. Oboje nasłuchiwali. Wokół panowała zupełna cisza, jedynie ostatnie krople deszczu uderzały o liście.

– Zaczekaj tu – polecił Kurt, podchodząc do drzwi.

W pierwszej chwili Linda nie ruszyła się z miejsca, lecz kiedy ojciec nacisnął klamkę i uchylił drzwi, podeszła. Zajrzawszy do środka, Wallander aż podskoczył, poślizgnął się i upadł na plecy. Linda odsunęła się na bok i znalazła się w miejscu, z którego widać było wnętrze szalasu. Nie dotarło do niej od razu, co widzi.

Za moment jednak zrozumiała, że odnaleźli Birgittę Medberg.

A przynajmniej jej część.



Część II

Pustka

To, co Linda ujrzała, kiedy jej ojciec upadł na plecy, widziała już kiedyś, gdy była jeszcze dzieckiem. Nagle przed oczami stanął jej znajomy obraz. Pochodził z książki, którą Mona odziedziczyła po swojej matce. Linda nigdy nie poznała babci. Księga była wielka, ciężka i bardzo stara. Zawierała opowieści biblijne. Dobrze pamiętała obrazki na cieniutkich pergaminowych kartkach. Właśnie jeden z nich przypomniał się Lindzie w tej chwili, choć rzeczywistość wyglądała trochę inaczej. Ilustracja w księdze przedstawiała brodatą męską głowę z zamkniętymi oczami ułożoną na srebrnej tacy. W tle stała kobieta w zwiewnych szatach, Salome. Obrazek ten zrobił na Lindzie ogromne wrażenie.

Możliwe, że zapamiętana w dzieciństwie ilustracja wyrwała się z zakamarków pamięci Lindy i przybrała postać kobiecej głowy, gdyż biblijny obraz nagle gdzieś umknął. Linda wpatrywała się w leżącą na glinianym klepisku odrąbaną głowę Birgitty Medberg. Tuż obok leżały splecione dłonie kobiety. Nic więcej. Reszta ciała zniknęła. Linda usłyszała za plecami postękiwanie ojca. Wstał i odepchnął ją od drzwi szałas.

– Nie wolno ci na to patrzeć! – krzyknął. – Wracaj do domu. Nie chcę, żebyś to widziała.

Z hukiem zatrzęsął drzwi. Linda była tak przerażona, że drżała na całym ciele. Po chwili zaczęła wdrapywać się na górę, dziurawiąc spodnie o gałęzie i wystające korzenie. Ojciec podążał tuż za nią. Biegli, dopóki nie znaleźli się na głównej ścieżce.

– Co tu się dzieje? – sapał Wallander. – Co tu się, u diabła, dzieje?

Zadzwoił na komendę i poprosił o wsparcie. Linda usłyszała, że ojciec podaje do słuchawki jakiś kod. Podejrzewała, że dzięki temu udaje się

utrzymać z daleka chociaż część wścibskich dziennikarzy, którzy nieustannie podsłuchują rozmowy na częstotliwościach radiowych policji. Wrócili na parking i czekali. Dźwięk pierwszych syren dobiegł ich po czternastu minutach. Czekając, nie odezwali się do siebie ani słowem. Linda była roztrzęsiona i wołała trzymać się blisko ojca. On jednak odsunął się parę kroków. Trudno jej było to zrozumieć. Równocześnie poczuła silny lęk o Annę. Coś ją łączy z tą sprawą, rozmyślała gorączkowo. Jedna z zaginionych jest już martwa, poćwiartowana. Linda odpędziła potworną myśl i przykucnęła, czując, że robi jej się niedobrze. Ojciec spojrział na nią i podszedł bliżej, jednak ona zmusiła się, by wstać, i pokręciła głową, dając mu znak, że nic jej nie jest, że to tylko chwila słabości, która minęła.

Tym razem to ona odwróciła się do niego plecami. Próbowwała uporządkować myśli. Skup się, myśl systematycznie, powoli, przede wszystkim skoncentruj się, przemawiała do siebie pod nosem. Wciąż powtarzano im to w szkole policyjnej. Wpajano im, że w każdej sytuacji, niezależnie od tego, czy chodzi o rozdzielenie bijących się pijaków, czy odwiedzenie samobójcy od dramatycznego skoku, muszą się skupić i trzeźwo myśleć. „Policjant, który nie myśli trzeźwo, jest złym policjantem”, napisała na dwóch karteczkach i przylepiła je do lustra w łazience oraz przy łóżku. Wiedziała, że to podstawowy warunek skutecznej pracy w policji. Zawsze trzeźwo myśleć. Ale jak mam to zrobić, skoro najchętniej bym się rozplakała? Wciąż widziała ten potworny widok z leśnego szałas: odrąbaną głowę i odcięte, splecione dłonie. Co gorsza, nie mogła powstrzymać rzeki czarnych myśli, powoli występującej z brzegów. Co się stało z Anną? Przed oczami Lindy przewijały się obrazy, o których wołałyby jak najszybciej zapomnieć. Głowa Anny. Dłonie Anny. Głowa Jana Chrzciciela i dłonie Anny. Głowa Anny i dłonie Birgitty Medberg.

Znów zaczęło padać. Linda podeszła do ojca i szarpnęła go za pelerynę.

– Czy teraz już dotarło do ciebie, że Annę mogło spotkać coś złego?

Kurt złapał ją mocno za ręce i odsunął od siebie.

– Uspokój się. Tam leży Birgitta Medberg, nie Anna.

– Napisała w pamiętniku, że zna tę kobietę. I też zniknęła. Nic nie rozumiesz?

– Uspokój się. Teraz najważniejszy jest spokój.

Linda posłuchała rady ojca. Choć zamiast spokoju ogarnęło ją otępienie. Syreny wyły coraz głośniej i po chwili na parking wjechało kilka radiowozów. Policjanci wysiedli z aut i założywszy kalosze i peleryny, zebrali się wokół jej ojca. Linda znalazła się poza kręgiem, ale nikt nie zaprotestował, kiedy wcisnęła się między nich. Tylko Martinsson skinął jej na powitanie. Nie kwestionował jej obecności tutaj. Uzmysłowała sobie, że w tej chwili, w tym miejscu, stojąc w deszczu na parkingu nieopodal zamku Rannesholm, odcięła pępowinę łączącą ją ze szkołą policyjną. Podążyła za grupą do lasu. Wyczuła, że ojciec jest jej autorytetem. Usłyszała w jego głosie niechęć, kiedy polecił ogrodzić cały parking, by powstrzymać *gapiów*. Użył tego właśnie słowa, jakby mówił o jakiejś konkretnej grupie ludzi. *Gapie*.

Linda szła na samym końcu, jako ostatnie ogniwo w łańcuchu. Kiedy idący przed nią technik upuścił statyw do lampy, podniosła go i zarzuciła sobie na ramię.

Wciąż myślała o Annie. Nie była w stanie odegnąć uderzających w nią z całą siłą fal niepokoju. Nie potrafiła zdobyć się na trzeźwe myślenie. Wiedziała jedynie, że powinna trzymać się grupy. W końcu ktoś, być może nawet ojciec, zrozumie, że zbrodnia, którą odkryli, nie dotyczy jedynie Birgitty Medberg, ale i Anny. Taką miała nadzieję.

Przyglądała się pracy śledczych, podczas gdy powoli zapadał zmierzch i w końcu zrobił się wieczór. Deszczowe chmury nadciągały raz po raz,

a po chwili znów przeganiał je wiatr. Ziemia wciąż była mokra. Rozstawione przy zejściu do wąwozu reflektory rzucały złowrogie cienie. Technicy utorowali sobie wąską ścieżkę do szałasu, Linda z kolei wciąż bardzo pilnowała się, by nie przeszkadzać i nie zdeptać śladów. Stawiała stopy jedynie tam, gdzie stawiali je pozostali funkcjonariusze. Co jakiś czas napotykała wzrok ojca, on jednak zdawał się jej nie widzieć. U jego boku pracowała Ann-Britt Höglund. Linda spotkała ją parokrotnie, odkąd wróciła do Ystad. Nigdy za nią specjalnie nie przepadała i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ojciec powinien trzymać się od niej z daleka. Ta kobieta nawet się z nią tego dnia nie przywitała. Linda miała świadomość, że współpraca z nią nie będzie łatwa. O ile w ogóle będzie ku temu okazja. Ann-Britt Höglund jest inspektor kryminalną, Linda zaś aspirantką, która nawet jeszcze nie zaczęła pracować, a kiedy już wreszcie zacznie, długo będzie musiała użerać się z pijanymi ludźmi na ulicach, zanim uda jej się zrobić specjalizację.

Śledząc pracę funkcjonariuszy, miała wrażenie, że ich działania są chaotyczne. Brak w nich było porządku, dyscypliny i należytej staranności. Co jakiś czas ktoś podnosił głos, najczęściej był to skory do złości Nyberg, rzucający przekleństwa pod adresem kolegów, którzy nie patrzyli pod nogi. Trzy godziny po rozpoczęciu pracy w wąwozie wyniesiono z szałasów głowę i dłonie Birgitty Medberg, zabezpieczone w foliowych torbach. Gdy je zabierano, wszyscy stanęli bez ruchu i patrzyli w milczeniu. Mimo że worki były z grubego plastiku, Linda zdołała dostrzec zarys głowy i dłoni zamordowanej kobiety.

Potem funkcjonariusze wrócili do pracy. Nyberg i jego ludzie dokładnie badali cały teren, ktoś usuwał przeszkadzające technikom gałęzie i chwasty, jeszcze inni przestawiali reflektory lub naprawiali szwankujący generator. Policjanci przychodzili i odchodzili, wciąż dzwonił czyjś telefon, a w samym środku tego zamieszania stał ojciec Lindy. Nie ruszał się, jakby

ktoś związał go niewidzialnymi sznurami. Lindzie było go żal. Nie zazdrościła mu, bo był samotny i musiał nieustannie odpowiadać na niekończące się pytania oraz podejmować trudne decyzje, by śledztwo mogło toczyć się dalej. Jest jak linoskoczek, pomyślała. Tak właśnie go widzę. Chwiejący się na linie policjant, który powinien schudnąć i uleczyć swoją samotność.

Przypomniał sobie o niej dopiero, kiedy zrobiło się już bardzo późno. Zakończywszy rozmowę telefoniczną, odwrócił się do Nyberga, który oglądał coś w świetle lampy owadobójczej. Linda również podeszła, żeby lepiej widzieć. Nyberg podał jej ojcu gumowe rękawiczki. Wallander z trudem wciągnął je na swoje duże dłonie.

– Co to jest? – zapytał.

– Jeśli jeszcze całkiem nie oślepieś, powinieneś się zorientować, że to Biblia – odburknął Nyberg.

Kurt nie przejął się złośliwą uwagą kolegi o rzadkich, sterczących we wszystkie strony włosach.

– To jest Biblia – dodał Nyberg. – Leżała na ziemi, obok dłoni ofiary. Są w niej krwawe odciski palców, ale niekoniecznie należą do niej.

– Myślisz, że to odciski sprawcy?

– Możliwe. Wszystko jest możliwe. Cały szalas jest we krwi. Cokolwiek tu się stało, musiało być przerażające. A ten, kto to zrobił, pewnie jest cały upaprany krwią.

– Znalazłeś jakąś broń? Prawdopodobne narzędzie zbrodni?

– Nie, nic takiego. Ale ta Biblia, abstrahując od krwawych odcisków palców, jest trochę dziwna.

Linda zbliżyła się jeszcze o krok. Wallander założył okulary.

– Księga Objawienia – mruknął Nyberg.

– Nie znam się na Biblii. Co jest w niej dziwnego?

Nyberg skrzywił się, nie dał się jednak naciągnąć na wykład o Piśmie Świętym.

– A kto by się znał na Biblii? – powiedział. – W każdym razie Księga Objawienia to ważny rozdział, czy jak to się tam nazywa.

Spojrzał na Lindę.

– Wiesz może? Biblia ma rozdziały?

– Nie mam pojęcia – odparła, wzruszając ramionami.

– Widzisz? – znów zwrócił się do Wallandera. – Nawet młodzież nie wie. Ale jakkolwiek to się nazywa, ktoś nabazgrał coś między wierszami. Popatrz.

Wskazał palcem na jedną ze stron. Kurt przysunął sobie Biblię bliżej oczu.

– Widzę tylko jakieś szare szlaczki między linijkami – oznajmił.

Nyberg zawołał technika o nazwisku Rosén. Po chwili przyczłapał do nich mężczyzna ubłocony po pas. Niósł dużą lupę. Wallander spróbował ponownie.

– Tak, ktoś napisał coś między wierszami. Co tu jest napisane?

– Odcyfrowałem dwie linijki – odparł Nyberg. – Wygląda na to, że ten, kto to napisał, nie jest zadowolony z treści Biblii. Zdaje się, że próbował poprawić Słowo Boże.

Wallander zdjął okulary.

– Słowo Boże? Co ty znowu wygadujesz? Nie możesz mówić normalnie?

– Zdaje mi się, że Biblia to Słowo Boże, więc jak mam inaczej mówić? Moim zdaniem to ciekawe, że ktoś siedzi i poprawia jej tekst. Czy normalny człowiek zrobiłby coś takiego? Czy taki ktoś ma kontrolę nad swoim umysłem?

– A więc szaleniec – mruknął Wallander. – A czym twoim zdaniem jest ten szalas? Mieszkaniec? Kryjówką?

Nyberg pokręcił głową.

– Za wcześnie, żeby odpowiedzieć. Chociaż, czy dla kogoś, kto się ukrywa, mieszkanie i kryjówka to nie to samo?

Wskazał ręką na las, ziejący czernią za statywami reflektorów.

– Psy przeszukują teren – powiedział. – Jeszcze nie wróciły. Koledzy mówią, że las jest tu niemal nieprzebyty. Jeśli ktoś chce się ukrywać w tych okolicach, nie znajdzie lepszego miejsca.

– Macie jakiś pomysł, kto to może być?

Technik potrząsnął głową.

– Nie znaleźliśmy żadnych ubrań, żadnych rzeczy osobistych. Nie umiemy nawet określić, czy w tym szałasie mieszkała kobieta, czy mężczyzna.

Nagle w ciemności zaszczekał pies. Zaczęło mżyć. Ann-Britt Höglund, Martinsson i Svartman nadeszli z różnych stron i zebrali się wokół Wallandera. Linda trzymała się z boku, starała się pozostać na granicy między obserwatorem a uczestnikiem.

– Podsuńcie mi jakiś pomysł – powiedział Kurt. – Co tu się stało? Wiemy, że doszło do zbrodni. Ale dlaczego? Kto mógł to zrobić? Jak Birgitta Medberg się tu znalazła? Czy umówiła się z kimś na spotkanie? Czy zabito ją tu? Gdzie jest reszta jej ciała? Podsuńcie mi jakiś pomysł.

Deszcz padał coraz mocniej. Nyberg kichnął. Zgasł jeden reflektor. Nyberg z wściekłością kopnął statyw i zaraz znów go ustawił na miejscu.

– Pomysł – powtórzył Wallander.

– Widziałem wiele okropności – odezwał się Martinsson. – Ale czegoś takiego jak to, jeszcze nigdy. Musiał to zrobić jakiś kompletny świr. Gdzie jest reszta ciała? Kto mieszkał w szałasie? Nie mamy pojęcia.

– Nyberg znalazł Biblię – powiedział Wallander. – Zdejmiemy odciski palców ze wszystkiego, co tutaj znajdziemy. W tej Biblii ktoś nabazgrał coś między wierszami. Może tu jest podpowiedź? Musimy się dowiedzieć, czy



Tademanowie przychodzili w to miejsce. Poza tym zapukamy do każdych drzwi w całej okolicy. Musimy działać szerokim frontem. Całą dobę.

Nikt się nie odezwał.

– Musimy złapać tego człowieka – dodał Kurt. – Najszybciej jak się da. Nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy, ale się boję.

Linda weszła w krąg światła. Nagle poczuła się tak, jakby znalazła się na scenie bez przygotowania.

– Ja też się boję – powiedziała.

Otaczały ją zmęczone, mokre od deszczu twarze. Tylko jej ojciec wyglądał na spiętego. Zaraz się wścieknie, pomyślała, choć czuła, że zrobiła konieczny krok.

– Ja też się boję – powtórzyła.

Zacząła opowiadać o Annie, cały czas unikając wzroku ojca. Starła się przekazać wszystkie szczegóły, nie wspominać o intuicji, podać suche fakty i na koniec przedstawić wnioski, które same się nasuwały.

– Sprawdzimy to – powiedział lodowatym tonem Wallander, kiedy skończyła.

W tej samej chwili Linda pożałowała swojej decyzji. Nie chciałam tego robić, przemawiała do niego w myślach. Robię to tylko dla Anny, nie po to, żeby cię sprowokować.

– Wiem – odparła. – Pójdę już do domu. Nic tu po mnie.

– Przecież to ty znalazłaś vespę, prawda? – odezwał się Martinsson.

Wallander kiwnął głową, a potem odwrócił się do Nyberga.

– Masz kogoś, kto może odprowadzić Lindę do auta? – zapytał.

– Sam to zrobię – odparł technik. – I tak muszę iść do kibla na parking, bo przecież tutaj, pod nosami naszych piesków, nie mogę.

Linda wspięła się po stromej ścianie wąwozu. Dopiero na górze poczuła, jak bardzo jest zmęczona i głodna. Nyberg oświetlał jej drogę. Na ścieżce spotkali policjanta z psem o zwieszonym ogonie. Między drzewami

migotały światła latarek i reflektorów. Nocny bieg na orientację, pomyślała Linda. Policjanci uganiający się za cieniami.

Kiedy dotarli do parkingu, Nyberg bąknął coś pod nosem i poszedł sobie. Gdzieś w oddali błysnął flesz aparatu. Przy taśmie ogradzającej teren Linda dostrzegła kilku policjantów w mundurach. Wsiadła do auta, powoli ruszyła. Ktoś uniósł taśmę i już po chwili była na drodze. Na poboczach zgromadziło się sporo gapiów. Stało wiele samochodów i pojedynczy ludzie, najwyraźniej czekający na to, że coś się wydarzy. Znowu poczuła, że ma na sobie niewidzialny mundur. Z drogi, szepnęła pod nosem. To miejsce poważnego przestępstwa. Nikomu nie wolno przeszkadzać nam w pracy. Jadąc, pogрузzyła się w myślach.

W szkole policyjnej nazywali siebie filmowymi policjantami. Linda wspominała liczne wieczory spędzone z kolegami przy winie, piwie i na przekomarzeniach, kto jak długo będzie musiał w przyszłości użerać się z pijakami na ulicach i przemawiać do rozsądku kieszonkowcom. W każdym zawodzie ma się jakieś marzenia, myślała wtedy. Przyszli lekarze śnią pewnie o tym, by ratować życie ofiarom wypadków. Chcą być bohaterami w zakrwawionych kitlach. Z nami jest podobnie. Chcemy założyć mundury i być twardzi, silni, niezwyciężeni.

Potrząsnęła głową, by odpędzić myśli. Jeszcze nie jestem policjantką. Jeszcze nie.

Zwolniła, zorientowawszy się, że jedzie za szybko. W tej samej chwili na drogę wyskoczył zając. Oko zwierzaka zaśnięło na moment w świetle reflektorów i Linda gwałtownie zahamowała. Szarak pobiegł dalej, więc ruszyła i ona, czując, jak mocno wali jej serce. Zrobiła kilka głębokich wdechów. W oddali dostrzegła światła zbliżających się z naprzeciwka samochodów. Zjechała na parking i wyłączyła silnik. Załaza ją ciemność. Wyjęła komórkę z kieszeni i już miała wystukać numer, kiedy nagle telefon zabrzączał. Dzwonił ojciec. Był wściekły.

– Jak śmiesz mnie oskarżać, że nie umiem wykonywać swojej roboty?

– O nic cię nie oskarżam – odparła. – Po prostu się boję, że Annę spotkało coś złego.

– To nie ma prawa się powtórzyć. Zapamiętaj to sobie. A jeśli nie, osobiście dopilnuję, żebyś w Ystad nie zagrażała miejsca na długo.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ojciec się rozłączył. Ma rację, szepnęła w duchu. Powinnam była pomyśleć, zanim się odezwałam. Zaczęła wybierać numer jego komórki, żeby go przeprosić lub chociaż powiedzieć coś na swoją obronę, lecz po chwili zrezygnowała. Wciąż jeszcze jest zły, pomyślała. Dopiero za parę godzin będzie gotów mnie wysłuchać.

Poczuła, że musi z kimś porozmawiać, więc zadzwoniła do Zebry. Było zajęte. Powoli policzyła do pięćdziesięciu i spróbowała ponownie. Znowu zajęte. Nie wiedząc właściwie dlaczego, wybrała numer Anny. I tu zajęte. Linda aż podskoczyła i za moment znowu spróbowała. Wciąż zajęte. Poczuła przypływ radości. Anna wróciła, pomyślała. Włączyła silnik, potem światła i wjechała z powrotem na drogę. Dobry Boże, powtarzała w myślach, zaraz opowiem jej o wszystkim, co się działo, i to tylko dlatego, że nie pamiętała o naszym umówionym spotkaniu.

Wysiadła z auta i spojrzała w okna mieszkania Anny. Były ciemne. Linda znów poczuła niepokój. Przecież niedawno było u niej zajęte, pomyślała. Ponownie zadzwoniła do Zebry. Tym razem przyjaciółka odebrała od razu, zupełnie jakby tylko czekała na ten telefon. Linda mówiła szybko, nieskładnie.

– To ja. Czy przed momentem rozmawiałaś z Anną?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Chyba nie sądzisz, że nie wiem, z kim rozmawiam przez telefon? Próbowałam się do mnie dodzwonić? Akurat gadałam z bratem o pożyczce, której nie zamierzam mu udzielić. On tylko umie szastać pieniędzmi. Mam na koncie cztery tysiące, to mój mały majątek. Chce je ode mnie pożyczyć, żeby załapać się na wyprawę ciężarówką do Bułgarii z jakimś towarem...

– Mam w nosie twojego brata – przerwała jej Linda. – Anna zniknęła. Nigdy wcześniej się nie zdarzyło, żeby zapomniała o umówionym terminie.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

– Mój ojciec też tak mówi. Ale ja wiem, że coś się z nią stało. Nie ma jej od trzech dni.

– Może jest w Lund?

– Nie, chociaż to bez znaczenia, gdzie ona jest. To do niej niepodobne, żeby tak zniknąć. Zdarzyło ci się kiedykolwiek, żeby nie przyszła albo nie zadzwoniła, albo żeby nie było jej w domu, kiedy umówiłyście się na rozmowę czy spotkanie?

Zebra zastanowiła się chwilę.

– Nie, rzeczywiście nie.

– No widzisz.

– Ale dlaczego jesteś tym tak zdenerwowana?

Linda o mały włos nie wygadała się o znalezionej głowie i dłoniach. W ostatniej chwili ugryzła się w język, wiedząc, że zdradzenie tych informacji osobie niewtajemniczonej byłoby śmiertelnym grzechem.

– Pewnie masz rację – powiedziała. – Niepotrzebnie tak się tym martwię.

– Wpadnij do mnie.

– Nie mam czasu.

– Coś mi się zdaje, że nie służy ci to czekanie na pracę. Robisz się dziwna. Przyjedź do mnie, pomożesz mi rozwiązać pewną zagadkę.

– Jaką?

– Zagadkę drzwi, które się zatrzasnęły.

– Nie mam czasu. Pogadaj z dozorcą.

– Za bardzo się przejmujesz. Wyluzuj.

– Spróbuję. Na razie.

Zadzwoiła do drzwi z nadzieją, że ciemne okna oznaczają jedynie to, że Anna śpi. Mieszkanie jednak znów okazało się puste, łóżko nietknięte. Linda podeszła do telefonu. Słuchawka była odłożona jak trzeba, lampka automatycznej sekretarki nie mrugała w żadnym kolorze. Usiadła, żeby raz jeszcze przeanalizować to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni. Za każdym razem kiedy przed oczami pojawiała jej się odcięta głowa, czuła mdłości. Nie wiedziała, czy gorszy jest widok głowy, czy odrąbanych dłoni. Po co kogoś pozbawiać dłoni, myślała. Odcinając głowę, zabija się. Ale dłonie? Była ciekawa, czy da się ustalić, czy dłonie odcięto, kiedy Birgitta Medberg jeszcze żyła, czy już po jej śmierci. I gdzie podziała się reszta ciała? Nagle mdłości stały się nie do przewyciężenia. Zaczęła wymiotować, ledwo zdążywszy dobiec do toalety. Potem, wykończona,

wyciągnęła się na podłodze w łazience. Pod wanną leżała gumowa kaczuszka. Linda dobrze ją pamiętała, wiedziała, kiedy Anna dostała tę zabawkę w prezencie. To było wiele lat temu.

Miały po dwanaście lub trzynaście lat. Linda nie wiedziała już, która z nich wpadła na pomysł. Postanowiły, że pojedą same do Kopenhagi. Była wiosna, obie nie mogły usiedzieć w szkole i zawierały coraz więcej paktów mających na celu wzajemne osłanianie się na wypadek wagarów. Mona zgodziła się na ten wyjazd, ojciec natomiast stanowczo jej tego zabronił. Linda do dziś pamięta, jak próbował jej obrzydzić wyprawę, opisując Kopenhagę jako brudne i nieprzyjemne miasto, pełne pułapek i niebezpieczeństw czyhających na młode dziewczęta, niewiedzące jeszcze zbyt wiele o życiu. Koniec końców, i tak pojechały, choć Linda była świadoma, że po powrocie czeka ją w domu karczemna awantura. Żeby zawczasu się zemścić, zwędziła ojcu stukoronowy banknot z portfela. Pojechały pociągiem do Malmö, a potem wsiadły na prom. Zapamiętała tę podróż jako jej i Anny pierwszy prawdziwy krok w dorosłość.

Pogoda tego dnia była w kratkę, niby słonecznie, ale wiał chłodny wiatr. Zbliżała się wiosna. Anna wygrała gumową kaczuszkę w parku rozrywki Tivoli.

Z początku wszystko układało się wspaniale. Wolność, przygoda, niewidzialne mury waliły się jeden za drugim, dokądkolwiek udały się razem. Po jakimś czasie jednak coś się zmieniło. Niebo ich niezachwianej dotąd przyjaźni zasnuło się ciemnymi chmurami. Za pierwszym razem udało im się przetrwać kryzys. Lecz kiedy potem obie zakochały się w tym samym chłopcu, walka o zachowanie przyjaźni była z góry przegrana. Niewidzialna rysa między nimi stawała się coraz szersza i rozdzieliła je wreszcie na dobre. To była zielona ławka, pomyślała Linda. Siedziałyśmy wtedy na zielonej ławce. Anna, która przez cały dzień pożyczła od niej

pieniądze, bo nie miała swoich, musiała pójść do toalety i poprosiła Lindę, by pottrzymała jej torebkę. Gdzieś w parku Tivoli grała orkiestra, trąbka przez cały czas utrzymywała się na granicy fałszu.

Linda przypomniała sobie tamten dzień, leżąc na podłodze w łazience Anny. Ogrzewanie w posadzce grzało ją w plecy. Zielona ławka i torebka Anny. Nigdy potem nie umiała sobie wytłumaczyć, co ją podkusiło, by do niej zajrzeć. Wyjęła portfel i znalazła w nim dwa banknoty stukoronowe. Nie były nawet wciśnięte do jakiegoś tajnego schowka. Patrząc na pieniądze, Linda poczuła, jak ogarnia ją rozczarowanie. W końcu odłożyła portfel na miejsce i postanowiła, że nie wspomni o tym ani słowem. Lecz kiedy Anna wróciła z toalety i poprosiła Lindę, żeby kupiła jej coś do picia, nie wytrzymała. Zaczęły na siebie krzyczeć. Linda nie pamięta już, jakich argumentów użyła wtedy jej przyjaciółka. Rozstały się i każda poszła w swoją stronę. Podczas podróży powrotnej do Malmö Anna zajęła odległe miejsce na promie, a na stacji kolejowej, kiedy czekały na pociąg do Ystad, udawały, że się nie widzą. Minęło sporo czasu, zanim znów zaczęły ze sobą rozmawiać. Nigdy nie wracały do incydentu z Kopenhagi. Bardzo starały się odbudować przyjaźń i wówczas im się to udało.

Linda podniosła się i usiadła na podłodze łazienki. W tym wszystkim chodzi o jakieś kłamstwo, pomyślała. Jestem pewna, że Henrietta coś przede mną ukrywa. A Anna kłamie, wiem to od tamtego dnia w Kopenhadze. Później też nieraz przyłapałam ją na mówieniu nieprawdy. Z drugiej strony, znam ją na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy jest ze mną szczerą. Opowieść o tym, że widziała w Malmö swojego ojca, a przynajmniej zdawało jej się, że go widziała, z całą pewnością nie była zmyślona. Lecz co za tym się kryje, rozmyślała. Czego Anna mi nie powiedziała? To, co niewypowiedziane, może okazać się największym kłamstwem.

Nagle zadzwonił jej w kieszeni telefon. Od razu się domyśliła, że to ojciec. Chcąc się przygotować na kolejny wybuch złości, wstała z podłogi, nim odebrała. Wydawał się jednak tylko zmęczony i nieco spięty. Przyszło jej na myśl, że ojciec ma wiele przeróżnych głosów, więcej niż ktokolwiek, kogo znała.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– W mieszkaniu Anny.

Milczał dłuższą chwilę. W tle dało się usłyszeć, że wciąż jeszcze jest w lesie. Wokół odzywały się jakieś głosy, rozlegało się trzeszczenie krótkofalówek, zaszczekał pies.

– Co tam robisz? – wypytywał ją dalej.

– Boję się jeszcze bardziej niż do tej pory.

Zdziwiła ją jego odpowiedź:

– Rozumiem. I właśnie dlatego dzwonię. Już jadę.

– Dokąd?

– Do mieszkania Anny. Do ciebie. Muszę jeszcze raz usłyszeć wszystko ze szczegółami. Chociaż nadal twierdzę, że niepotrzebnie się niepokoisz, postanowiłem jednak potraktować twoje słowa poważnie.

– Dlaczego uważasz, że nie powinnam się niepokoić? To przecież nienormalne, że ona tak po prostu zniknęła. Powtarzam to od samego początku. Jeśli nie zrozumiesz, że się o nią obawiam, nie zrozumiesz też, że się boję. Poza tym miała dziś zajęty telefon. Ale jej wciąż nie ma. Za to w mieszkaniu na pewno ktoś był. Jestem tego pewna.

– Dokładnie mi wszystko opowiesz, kiedy przyjadę. Jaki to adres?

Linda podała mu nazwę ulicy i numer domu.

– A co u ciebie? – zapytała.

– Nigdy nie miałem do czynienia z niczym podobnym.

– Znaleźliście ciało?



– Nie. Nie znaleźliśmy niczego. A już na pewno żadnego wyjaśnienia, co się tam właściwie stało. Zatrąbię, kiedy podjadę pod dom.

Linda wypłukała usta wodą. Chcąc pozbyć się posmaku wymiocin, użyła szczoteczki do zębów Anny. Już miała wyjść z łazienki, kiedy nagle ją tknęło, by zajrzeć do szafki. Znalazła tam coś, co wprawilo ją w zadziwienie. To zupełnie tak, jak z pamiętnikiem, pomyślała.

Anna miała na szyi egzemę. Zaledwie parę tygodni wcześniej, kiedy pewnego wieczoru siedziały u Zebry i rozmawiały o wymarzonych podróżach, Anna powiedziała, że pierwszą rzeczą, jaką zapakowałyby do podręcznego bagażu, byłaby maść utrzymująca chorobę skóry pod kontrolą. Linda dokładnie zapamiętała jej słowa. *Zawsze proszę o kilka recept na pojedyncze opakowania, żeby maść była świeża.* Tubka z lekarstwem leżała w szafce między pozostałymi lekami i kompletem szczoteczek do zębów. Anna miała obsesję na punkcie szczoteczek. Linda doliczyła się dziewiętnastu sztuk, z czego jednaście było nieużywanych. Ponownie spojrzała na tubkę z lekarstwem. To z całą pewnością ta maść, pomyślała. Anna nigdy by bez niej nie wyjechała. Nie z własnej woli. Nie zostawiłaby ani pamiętnika, ani tej maści. Zamknąwszy szafkę, Linda wyszła z łazienki. Lecz co takiego mogło się wydarzyć? Nic nie wskazywało na to, by Anna została porwana. Przynajmniej nie z mieszkania. Mogło się to stać na ulicy. Ktoś mógł ją potrącić lub wepchnąć do samochodu.

Stanęła przy oknie i czekała na przyjazd ojca. Poczula zmęczenie. Niewidzialny mundur uwierał. Przyszła jej do głowy myśl, że została oszukana. Dlaczego szkoła mnie na coś takiego nie przygotowała, zadała sobie pytanie. Czy to w ogóle możliwe, żeby przygotować przyszłego policjanta na to, co go czeka po przekroczeniu progu rzeczywistości? Przez moment miała ochotę zedrzeć z siebie mundur, którego jeszcze nie zdążyła założyć. Poczula, że decyzja o podjęciu pracy w policji była niewłaściwa

i powinna natychmiast ją zmienić, najlepiej wybrać jakiś inny wymarzony zawód. Uznała, że się do tego nie nadaje, że jest za słaba.

No bo czy ktoś mnie ostrzegł, że w każdej chwili mogę otworzyć drzwi, za którymi leży czyjaś głowa i odrąbane dłonie? Na szczęście po opróżnieniu żołądka nie czuła już mdłości.

Dłonie były splecione, pomyślała. Odrąbane, złożone do modlitwy. Pokręciła głową. Co się wydarzyło, zanim je odcięto? Jak wyglądał dramatyczny moment, kiedy niewidzialną siekierę uniosły nad nimi niewidzialne ręce? Co w ostatnich chwilach życia widziała Birgitta Medberg? Czy zajrzała w oczy oprawcy? Czy przeczuwała, co ją za chwilę spotka? A może miała szczęście i nie była świadoma, że zaraz nastąpi koniec? Linda wpatrywała się w kołyszącą się na wietrze uliczną latarnię. Wyczuwała, że w miejscu śmierci Birgitty Medberg rozegrał się straszny dramat. Splecione do modlitwy dłonie, błaganie o litość. Brutalny najwyższy kapłan z siekierą w ręce nie okazał jej łaski. Birgitta Medberg doskonale wiedziała, co ją spotka, pomyślała Linda. Wiedziała i błagała o litość.

Wreszcie ciemną ścianę budynku omiotły światła reflektorów i po chwili pod domem zatrzymał się samochód. Wallander wysiadł i przez moment bezradnie rozglądał się wokół, zanim zauważył machającą mu z okna Lindę. Zrzuciła mu klucze na chodnik i poszła otworzyć drzwi do mieszkania. Chwilę później usłyszała jego ciężkie kroki na schodach. Obudzi całą kamienicę, pomyślała. Mam ojca, który tupie jak cały oddział piechoty.

Kiedy wszedł, spostrzegła, że jest spocony i zmęczony. Miał na sobie przemoczone ubranie.

- Znajdzie się tu coś do jedzenia? – zapytał, zrzucając kalosze.
- Znajdzie.
- I jakiś ręcznik. Dasz mi?

– Łazienka jest tam. – Linda wskazała mu właściwe drzwi. – Ręczniki są na dolnej półce.

Kilka chwil później Wallander wszedł do kuchni w bokserkach i podkoszulku. Mokre ubranie oraz skarpetki rozwiesił na kaloryferze w łazience. Tymczasem Linda wyjęła jedzenie z lodówki. Wiedziała, że ojciec chce zjeść w ciszy i spokoju. Gdy była dzieckiem, odzywianie się lub rozrabianie przy stole było śmiertelnym grzechem. Mona nie wytrzymała siedzenia naprzeciwko milczącego męża, dlatego jadła śniadanie, kiedy wszyscy już sobie poszli. Linda zawsze jadła z ojcem, dzieląc z nim jego milczenie. Zdarzało się, że na moment opuszczał gazetę, najczęściej była to „Ystads Allehanda”, i robił do niej oko. Milczące poranki były świętością.

Kurt ugryzł kanapkę, przeżuwał chwilę, po czym nagle zastygł w bezruchu, z ustami pełnymi jedzenia.

– Nie powinienem był cię zabierać – wymamrotał. – To było nieodpowiedzialne. Nie powinnaś była zobaczyć tego, co znaleźliśmy w szałasie.

– Jak wam idzie?

– Nie mamy żadnego tropu ani pomysłu, co tam się mogło stać.

– A reszta ciała?

– Ani śladu. Psy niczego nie znalazły. Wiemy, że Birgitta Medberg szukała zapomnianych ścieżek w tej okolicy. Wszystko więc wskazuje na to, że odkryła szałas zupełnie przypadkiem. Ale kto w nim mieszkał? Dlaczego doszło do brutalnego zabójstwa, dlaczego ktoś poćwiartował ciało i ukrył gdzieś resztę członków?

Wallander zjadł do końca kanapkę, zrobił sobie następną, lecz zostawił ją niedojedzoną.

– Teraz mogę słuchać. Anna Westin, twoja przyjaciółka. Czym ona się zajmuje? Studiuje? Jaki kierunek?

- Medycynę. Przecież wiesz.
  - Coraz mniej polegam na własnej pamięci. Umówiłyście się na konkretny dzień i godzinę. Czy to tutaj miałyście się spotkać?
  - Tak.
  - I nie było jej w domu?
  - Nie było.
  - Czy wchodzi w grę jakieś nieporozumienie?
  - Nie.
  - Bo ona zawsze jest punktualna, tak?
  - Zawsze.
  - Wspominałaś o jej ojcu. Nie było go przez dwadzieścia cztery lata. Przez ten czas ani razu się nie odezwał. I potem nagle Anna zobaczyła go przez okno w Malmö?
- Linda szczegółowo powtórzyła opowieść przyjaciółki. Kiedy skończyła, Wallander siedział dłuższą chwilę w milczeniu.
- Pewnego dnia pojawia się zaginiony człowiek – odezwał się w końcu.
  - Dzień później znika ktoś inny, kto widział tego wcześniej zaginionego. Jeden się pojawia, drugi znika.
- Pokręcił głową. Linda powiedziała mu jeszcze o pamiętniku, tubce z maścią i odwiedzinach u matki Anny. Zauważyła, że ojciec słucha jej w skupieniu.
- Dlaczego sądzisz, że jej matka kłamała?
  - Gdyby Anna wcześniej widywała swojego ojca na ulicy, na pewno by mi o tym wspomniała.
  - Skąd ta pewność?
  - Dobrze ją znam.
  - Ludzie się zmieniają. Poza tym zawsze znamy tylko część danej osoby.
  - Czy mnie to też dotyczy?

– To dotyczy mnie, ciebie, twojej matki i Anny. Są też ludzie, których nigdy nie da się poznać do końca. Mój ojciec był tego znakomitym przykładem, to chodząca zagadka.

– Ja dobrze go poznałam.

– Wydaje ci się.

– Fakt, że wy nie mogliście się ze sobą porozumieć, nie znaczy, że dotyczyło to również mnie. Poza tym rozmawiamy o Annie.

– W końcu nie zgłosiłaś jej zaginięcia.

– Zrobiłam tak, jak kazałeś.

– Choć jeden raz.

– Opuść sobie.

– Pokaż mi ten pamiętnik.

Linda przyniosła notatnik przyjaciółki i otworzyła go na stronie, na której widniało nazwisko Birgitty Medberg.

– Czy przypominasz sobie, żeby Anna kiedykolwiek o niej wspominała?

– Nie, nigdy.

– Czy zapytałaś jej matkę o związek między Anną a tą kobietą?

– Byłam u niej, zanim znalazłam to nazwisko w pamiętniku.

Wallander wstał, poszedł do przedpokoju i po chwili wrócił ze swoim notesem. Sporządził krótką notatkę.

– Poproszę kogoś, żeby jutro z nią porozmawiał.

– Ja mogę to zrobić.

Z powrotem usiadł na krześle.

– Nie – rzucił oschle. – Nie możesz. Jeszcze nie pracujesz w policji. Poproszę Svartmanna lub kogoś innego. Już nic nie zrobisz na własną rękę.

– Dlaczego się tak wściekasz?

– Nie wściekam się. Jestem zmęczony. I zmartwiony. Nie mam pojęcia, co się wydarzyło w tym szalasie. Wiem tylko, że to okropne. Poza tym nie wiem nawet, czy to oznacza początek czegoś większego, czy koniec.

Rzucił okiem na zegarek i szybko wstał.

– Muszę tam wracać.

Zatrzymał się jednak w pół kroku, jakby nie mógł się zdecydować, czy wyjść, czy jeszcze chwilę zostać.

– Trudno mi w to uwierzyć, że to był przypadek. Że Birgitta Medberg trafiła na złą wiedźmę mieszkającą w chatce z piernika. Że można tak skończyć, zapukawszy do niewłaściwych drzwi. W szwedzkich lasach nie ma potworów, nie żyją w nich nawet trolle. Powinna była zostać przy tych swoich motylach.

Poszedł do łazienki, żeby się ubrać. Linda ruszyła za nim. Co on przed chwilą powiedział? Drzwi były otwarte na oścież.

– Co ty powiedziałeś?

– Że w szwedzkich lasach nie ma potworów.

– Nie to, później.

– Nie powiedziałem nic więcej.

– Później. Po potworach i trollach. Na sam koniec. O Birgittie Medberg.

– Że powinna była zostać przy motylach, zamiast zajmować się jakimiś ścieżkami.

– Jakich motylach?

– Ann-Britt rozmawiała z jej córką. Ktoś w końcu musiał ją poinformować, że matka nie żyje. Córka powiedziała, że Birgitta miała dużą kolekcję motyli. Sprzedała ją parę lat temu, żeby pomóc Vanji kupić mieszkanie. Teraz, kiedy matka nie żyje, Vanję dopadły wyrzuty sumienia, bo Birgitta ponoć tęskniła za swoją kolekcją. Gdy umiera ktoś bliski, ludzie czasem reagują irracjonalnie. Sam to przeżyłem po śmierci ojca. Byłem bliski płaczu, kiedy tylko sobie przypominałem, że zakładał skarpetki nie do pary.

Linda wstrzymała oddech. Kurt od razu się zorientował, że córka ma mu coś do powiedzenia.

– O co chodzi? – zapytał.

– Chodź.

Zaprowadziła go do salonu. Włączyła światło i wskazała palcem na pustą ścianę.

– Staralam się ustalić, czy od zniknięcia Anny coś się tutaj zmieniło. Już ci o tym mówiłam, ale zapomniałam powiedzieć, że coś stąd zniknęło.

– Co takiego?

– Mały obraz. A właściwie ramka z motylem za szkłem. Mam stuprocentową pewność. Motyl zniknął dzień po zaginięciu Anny.

Wallander zmarszczył czoło.

– Jesteś pewna?

– Tak – odparła. – Poza tym doskonale pamiętam, że motyl był niebieski.

Nocą Linda rozmyślała o tym, że dopiero niebieski motyl spowodował, że ojciec potraktował ją poważnie. Nie jest już dzieckiem, poza tym nie chce być traktowana jak początkująca policjantka, która być może wyjdzie na ludzi, lecz jak dorosła osoba z prawem do własnego zdania. W końcu udało jej się sprawić, że ojciec przestał myśleć o niej wyłącznie jako o swojej córce.

Rozmowa nie była długa. Zapytał ją tylko, czy ma całkowitą pewność, że ze ściany w pokoju Anny zniknęła ramka z niebieskim motylem tuż po tym, jak sama właścicielka mieszkania rozplynęła się w powietrzu. Linda nie miała najmniejszych wątpliwości. Przypomniały jej się nocne zabawy z koleżankami z czasów szkoły policyjnej, z Lilian z Arvidsjaur, nienawidzącą Sztokholmu, bo nie było w nim skuterów śnieżnych, oraz z Julią z Lund. Ćwiczyły się w sztuce zapamiętywania szczegółów. Odkrywały tabliczki z dwudziestoma paroma motywami, potem zabierały jedną z nich, żeby sprawdzić, czy piętnaście sekund to wystarczający czas na zapamiętanie ich wszystkich. Linda była w tym najlepsza. Pobiła rekord, kiedy po dziesięciu sekundach przyglądania się dziewiętnastu motywom odgadła, który został zabrany, kiedy znów je jej pokazano. Została mistrzynią spostrzegawczości.

Miała całkowitą pewność. Niebieski motyl za szybką zniknął w tym samym czasie co Anna lub zaraz po niej. To wystarczyło jej ojcu. Zadzwoił do Ann-Britt, która wciąż jeszcze była w lesie, i poprosił, żeby przyjechała. Przy okazji zapytał ją o postępy w śledztwie. Linda zdołała usłyszeć wściekły głos Nyberga, a potem Martinssona, który kichał tak głośno, że niemal rozsadzało słuchawkę. W końcu Wallander zamienił kilka



słów z Lisą Holgersson. Pani naczelnik też dołączyła do funkcjonariuszy pracujących w lesie. Po skończonej rozmowie ojciec położył komórkę na stole.

– Chcę, żeby Ann-Britt tu przyjechała – powiedział. – Jestem tak zmęczony, że nie polegam już na własnym osądzie. Czy powiedziałaś mi już wszystko, co twoim zdaniem jest ważne?

– Tak mi się wydaje.

Kurt pokręcił głową.

– Wciąż trudno mi uwierzyć, że to może być prawda. To byłby nieprawdopodobny, wręcz niemożliwy zbieg okoliczności.

– Parę dni temu powiedziałaś, że zawsze trzeba być przygotowanym na to, że wydarzy się coś całkiem niespodziewanego.

– Wygaduję dużo różnych rzeczy – odparł z namysłem. – Czy znajdzie się tu jakaś kawa?

Woda właśnie się zagotowała, kiedy na ulicy zabrzmiał klakson.

– Ona jeździ zdecydowanie za szybko – stwierdził Wallander. – Ma dwójkę dzieci. Co z nimi będzie, jeśli się zabije? Zrzuć jej klucze.

Ann-Britt Höglund złapała pęk kluczy jedną ręką i po chwili była na górze. Linda wciąż miała wrażenie, że koleżanka ojca patrzy na nią z niechęcią. Zauważyła, że Ann-Britt ma oczko w rajstopach. Była mocno umalowana. Kiedy zdążyła poprawić makijaż, zastanawiała się Linda.

– Chcesz kawy? – zapytała.

– Tak, poproszę.

Linda uważała, że to ojciec powinien zdać koleżance relację z ich rozmowy, jednak kiedy weszła do pokoju z kubkami pełnymi parującego płynu, on skinął w jej stronę.

– Najlepiej, jeśli sama jej wszystko opowiesz. Ann-Britt potrafi słuchać.

Linda zaczęła więc od samego początku, powtórzyła wszystko tak, jak zapamiętała, w końcu pokazała pamiętnik i stronę z nazwiskiem Birgitty

Medberg. Ojciec wtrącił się dopiero, kiedy wspomniała o niebieskim motylu. Dokończył za nią. Poczowała, że w tym momencie jej opowieść zmieniła się w coś, co być może stanowi wstęp do nowego śledztwa. Wallander wstał z kanapy i stuknął w ścianę, na której wcześniej wisiała ramka z motylem.

– To wszystko się ze sobą łączy – powiedział. – Dwa elementy układanki, nie, trzy. Najpierw Birgitta Medberg w pamiętniku Anny. Jedna musiała napisać do drugiej co najmniej jeden list, żadnego jednak nie udało się znaleźć. Poza tym w życiu obu pojawiają się motyle. Nie mamy pojęcia, co to wszystko oznacza. I wreszcie, obie zniknęły.

W pokoju zapadła cisza. Na ulicy rozległy się krzyki. Wrzeszczał jakiś pijany mężczyzna, po polsku albo po rosyjsku.

– Bardzo to dziwne – odezwała się Ann-Britt Höglund. – Kto najlepiej zna Annę?

– Nie wiem – odparła Linda.

– Czy ona ma jakiegoś chłopaka?

– Aktualnie nie.

– Ale miała?

– Jasne. A najlepiej zna ją chyba jej matka.

Ann-Britt ziewnęła i przeczesała sobie włosy dłonią.

– O co chodzi z tym jej ojcem, którego ponoć widziała? Dlaczego zniknął? Zrobił coś złego?

– Matka Anny twierdzi, że uciekł.

– Przed czym?

– Przed odpowiedzialnością.

– I teraz on nagle wrócił, Anna zniknęła, a Birgitta Medberg została zamordowana.

– Nie – przerwał jej Wallander. – Nie zamordowana. Zarżnięta. Ktoś odrąbał jej głowę i dłonie, a resztę ciała gdzieś ukrył. Poza tym mamy leśny

szałas, zupełnie jak w bajce, chatkę z piernika na kurzej stopce, na dodatek w zarośniętym wąwozie, w niemal nietkniętej puszczy. Martinsson dostał się do Tademanów. Makler był ponoć porządnie pijany, mimo że spał. Ciekawe. Z Anitą Tademan, którą spotkaliśmy z Lindą, Martinssonowi rozmawiało się dużo lepiej. W pobliżu zamku nie widziano żadnych dziwnych postaci, nikt nie wiedział o istnieniu szałasu. Anita zadzwoniła do chodzącego po tych lasach leśniczego. On też nie zna ani szałasu, ani żadnego wąwozu. Dziwne. Tak czy inaczej, ktokolwiek się w tym szałasie ukrywał, doskonale wiedział, jak stać się niewidzialnym i być zarazem blisko ludzi. Zakładam, że to ostatnie może być ważne. Niewidzialny, ale w pobliżu.

– W pobliżu czego? – spytała Linda.

– Nie mam pojęcia.

– Zaczniemy od matki Anny – odezwała się Ann-Britt Höglund. – Obudzimy ją teraz?

– Pojedziemy do niej z samego rana – odparł Wallander po chwili namysłu. – Na razie wystarczy nam to, co znaleźliśmy w lesie.

Lindzie zrobiło się gorąco ze złości.

– Jeśli będziemy czekać, Annę może spotkać coś złego!

– Jeżeli wyrwiemy jej matkę ze snu w środku nocy, może zapomnieć o czymś ważnym. Poza tym śmiertelnie byśmy ją wystraszyli.

Wallander wstał.

– Będzie tak, jak powiedziałem. Idź do domu i prześpij się trochę. Jutro rano pojedziesz z nami.

Wallander i Ann-Britt założyli kurtki i kalosze i po chwili zniknęli. Linda została sama. Podeszła do okna i patrzyła, jak odjeżdżają. Wiatr wiał coraz mocniej, stał się porywisty. Podmuchy nadciągały raz ze wschodu, raz z południa. Myjąc kubki, poczuła, że powinna położyć się spać. Ale jak

zasnąć? Anna zniknęła, Henrietta kłamie, w pamiętniku Anny pojawia się nazwisko Birgitty Medberg. Zaczęła przeszukiwać mieszkanie z nadzieją, że znajdzie list od tropicielki ścieżek.

Tym razem przyłożyła się do zadania. Zaglądała za ramy obrazów i odsuwała regały, by sprawdzić, czy Anna za nimi czegoś nie ukrywa. Przesuwała meble, a w pewnej chwili rozległ się dzwonek u drzwi. Zegar wskazywał kilka minut po pierwszej. Kto dobija się o tej porze, pomyślała. Otworzywszy, ujrzała mężczyznę w okularach o grubych szklach, w brązowym szlafroku oraz różowych znoszonych kapciach. Nieznajomy przedstawił się jako August Brogren.

– Co to za hałasy w środku nocy? – odezwał się poirytowanym tonem. – Jestem zmuszony upomnieć pannę Westin, by się uspokoiła.

– Bardzo przepraszam – odparła Linda. – Od tej chwili będę już cicho.

August Brogren zrobił krok wprzód.

– Słyszę jakiś obcy głos – powiedział. – Pani nie jest panną Westin. Kim pani jest?

– Jej przyjaciółką.

– Kiedy człowiek źle widzi, rozpoznaje ludzi po głosie – wyjaśnił oschle. – Panna Westin mówi łagodnym głosem, pani ostrym i szorstkim. To tak, jakby porównać miękki chleb z chrupkim pieczywem. Chyba rozumie pani, co mam na myśli.

August Brogren doczłapał do poręczy schodów i zaczął schodzić. Linda przywołała w pamięci głos Anny. Dobrze wiedziała, o co chodziło nerwowemu sąsiadowi. Zamknęła drzwi i doszła do wniosku, że powinna wrócić do domu. Nagle poczuła jednak, że chce jej się płakać. Anna nie żyje, pomyślała, Anny już nie ma. Energicznie pokręciła głową. Nie mogła sobie wyobrazić życia bez przyjaciółki. W końcu położyła kluczyki do auta na stole, zamknęła mieszkanie i poszła do domu, spacerem przez puste

miasto. Nie rozebrawszy się nawet, owinęła się kocem i położyła na nierozesłanym łóżku.

Obudziła się z gwałtownym wzdrygnięciem. Wskazówki zegara fosforyzowały w ciemności. Była za kwadrans trzecia. Spała niespełna godzinę. Co mnie wyrwało ze snu, pomyślała. Wstała i zajrzała do sypialni ojca. Jego łóżko było puste. Usiadła na kanapie w salonie. Dlaczego się obudziłam? Przypomniała sobie sen, nieokreślone niebezpieczeństwo, coś czającego się w ciemnościach, nadciągającego z góry, być może był to bezgłośnie poruszający skrzydłami ptak, który nagle zawisł nad jej głową. Przywołała w pamięci ostry jak brzytwa dziób. To ten ptak ją obudził.

Mimo że spała tak krótko, czuła się wypoczęta. Zastanawiała się, co dzieje się w lesie, w miejscu makabrycznego odkrycia. Zobaczyła w wyobraźni jaskrawe reflektory oświetlające drzewa, kręcących się w wąwozie ludzi i owady lecące do światła, które paliło im skrzydła. W końcu doszła do wniosku, że się obudziła, bo nie ma czasu na sen. Może to Anna mnie zawołała, przyszło jej na myśl. Wytężyła słuch, lecz wokół panowała zupełna cisza. Być może to głos Anny słychać było we śnie? A może ten bezgłośny ptak zawisł nie nade mną, lecz nad głową Anny? Znów spojrzała na zegarek. Za trzy minuty trzecia. Nagle stwierdziła, że to Anna wołała o pomoc. Nie zastanawiając się długo, włożyła buty, zarzuciła kurtkę i wyszła z mieszkania.

Kluczyki do samochodu Anny leżały tam, gdzie Linda je zostawiła. Aby następnym razem nie musieć posługiwać się wytrychem, zabrała zapasowe klucze do mieszkania, które znalazła w szufladzie w przedpokoju. Wsiadła do auta i wyjechała z miasta. Było dwadzieścia po trzeciej. Po jakimś czasie skręciła na północ i zaparkowała na zwirowej drodze wijącej się w obniżeniu terenu, niewidocznej z okien domu Henrietty. Wysiadłszy

z samochodu, nasłuchiwała chwilę, w końcu cicho zatrzasnęła drzwi. Noc była chłodna. Linda szczelnie otuliła się kurtką, klnąc, że nie zabrała latarki. Oddaliła się parę kroków od auta i rozejrzała wokoło. Otaczała ją ciemność, w oddali widniała jedynie łuna świateł nad Ystad. Niebo było zachmurzone, wciąż wiał porywisty wiatr.

Ruszyła przed siebie, ostrożnie, starając się iść bezszelestnie. Nie miała pojęcia, co zamierza zrobić, wiedziała jedynie, że odpowiada na wołanie Anny, ponieważ tego, kto woła o pomoc, nie należy zostawiać samego. Znów się zatrzymała i wyteżyła słuch. Nieopodal zaskrzeczał ptak. Zaczęła iść żwirową dróżką, aż w końcu znalazła się przy ścieżce wiodącej na tył domu Henrietty. W oddali dojrzała trzy okna, w których paliło się światło. Świeci się w salonie, pomyślała, czyli Henrietta pewnie nie śpi. Chociaż mogła pójść spać i zostawić włączoną lampę.

Linda wykrzywiła twarz na myśl o strachu przed ciemnością. Rok przed rozstaniem się rodziców, w domu ciągle dochodziło do awantur i Linda nie umiała usnąć w ciemności. Włączone światło traktowała jak chroniące ją zakłęcie. Minęło wiele lat, zanim pozbyła się lęku przed mrokiem. Czasem, kiedy była zdenerwowana, strach ten powracał.

Ruszyła w stronę rozświetlonych okien, ostrożnie omijając leżącą na ścieżce zardzewiałą bronę. Podeszła od strony ogrodu, zatrzymała się i znów wyteżyła słuch. Czy Henrietta siedzi przy pianinie i komponuje? Linda zbliżyła się do płotu, wspięła się na drewniane sztachety i przeskoczyła na drugą stronę. Pies, przyszło jej nagle na myśl. Henrietta ma psa. A jeśli on zacznie szczeleć? I co ja tu właściwie robię? Przecież za parę godzin ojciec, Ann-Britt Höglund i ja mamy tu przyjechać, więc po co skradam się w tych ciemnościach? Nie wiedziała, co kazało jej pojawić się w tym miejscu, czuła jedynie, że nocny koszmar był wiadomością od Anny, jej wołaniem o pomoc.

Ruszyła w stronę okien salonu. Nagle gwałtownie się zatrzymała, usłyszawszy jakieś głosy. W pierwszej chwili nie umiała określić, skąd dobiegały, zaraz jednak dostrzegła otwarte na oścież okno. Głos Anny jest łagodny, pomyślała, tak powiedział jej sąsiad. Ten, który w tej chwili słyszała, nie należał do przyjaciółki, lecz do Henrietty. Rozmawiała z jakimś mężczyzną. Linda nasłuchiwała, starając się wyostrzyć zmysły i wychwycić pojedyncze słowa. Podeszła jeszcze parę kroków i znalazła się w miejscu, z którego mogła zajrzeć do środka. Henrietta siedziała na krześle, Linda widziała jej profil. Na kanapie, plecami do okna, siedział mężczyzna. Linda podeszła jeszcze bliżej, lecz nie była w stanie usłyszeć, co mówi nieznajomy. Matka Anny opowiadała o jakiejś kompozycji, coś o dwunastu parach skrzypiec i jednej wiolonczeli, o ostatnim czuwaniu i apostolskiej muzyce. Linda nie rozumiała wiele z rozmowy. Skupiła się na tym, by nie wydać żadnego odgłosu. W końcu gdzieś tam w środku jest pies. Była ciekawa, kto jest tajemniczym gościem Henrietty i dlaczego spotkali się w nocy.

Nagle matka Anny powoli odwróciła głowę i spojrzała przez okno. Linda aż podskoczyła. Henrietta popatrzyła wprost na nią. Nie mogła mnie dostrzec, rozmyślała gorączkowo, to niemożliwe. Jednak coś w spojrzeniu Henrietty sprawiło, że Linda się wystraszyła. Obróciła się na pięcie i zaczęła biec. Po drodze zahaczyła o metalową pompę, która wydała z siebie głośnie, jękliwe skrzypnięcie. Zaczął ujadać pies.

Linda pędziła na oślep tą samą drogą, którą przyszła. Potykała się, wywracała, kaleczyła dłonie i twarz, lecz natychmiast się podnosiła i biegła dalej. Gdy przeskakiwała przez płot, usłyszała, jak otwierają się drzwi do domu. Ruszyła dalej, w stronę auta, lecz gdzieś po drodze źle skręciła i znalazła się w miejscu, którego nie rozpoznawała. Zatrzymała się zdyszana, nasłuchiwała. Henrietta nie wypuściła psa, pomyślała. Gdyby to zrobiła, już by mnie znalazł. Lindę otaczała całkowita ciemność, wokół nie

było nikogo. Trzęsa się ze strachu. Ostrożnie ruszyła z powrotem, chcąc wrócić na ścieżkę. Błądziła po omacku, nie umiając odróżnić drzew od złowrogich cieni. Potknęła się i upadła.

Kiedy wstała i zrobiła krok, lewą nogę przeszył gwałtowny ból. Poczwała, jakby ktoś wbił jej w łydkę ostry nóż. Krzyknęła, zaczęła się szamotać, lecz nie mogła się ruszyć. Przyszło jej na myśl, że ugryzło ją jakieś zwierzę. Nic jednak nie słyszała, nie wyczuwała żadnego ruchu, żadnego oddechu. Ostrożnie pomacała nogę. Jej palce natrafiły na łańcuch i jakieś żelastwo. Wtedy zrozumiała. Wpadła we wnyki. Poczwała wilgoć na dłoni, noga krwawiła. Linda wołała o pomoc, lecz nikt jej nie słyszał.



Kiedys przyśniło jej się, że umiera. Sama, ciemną zimową nocą. Jeździła na łyżwach w świetle księżyca po zamarzonej tafli leśnego jeziora. Nagle upadła i złamała nogę. Wołała, lecz nikt jej nie słyszał. Powoli zamarzała na lodzie, a kiedy serce przestawało już bić, obudziła się gwałtownie.

Przypomniał jej się ten sen, gdy bezskutecznie próbowała uwolnić nogę z wnyków. Miała nadzieję, że obejdzie się bez telefonu do ojca. Jednak żelazne szczęki ani drgnęły. Wyjęła komórkę z kieszeni i wystukała jego numer. Kiedy odebrał, wyjaśniła, gdzie jest, i poprosiła o pomoc.

- Co się stało? – zapytał.
- Wpadłam w jakąś pułapkę.
- Co to znaczy?
- Na nodze zatrzasnęło mi się jakieś żelastwo.
- Już jadę.

Linda czekała cierpliwie. Zaczęła marznąć i miała wrażenie, że czeka całą wieczność, kiedy wreszcie w oddali zamigotały światła samochodu. Auto zatrzymało się pod domem Henrietty. Linda zawołała. Po chwili otworzyły się drzwi i rozległo się szczekanie psa. Trzy postacie ruszyły w jej stronę w świetle latarki. Za moment ujrzała ojca, Henriettę i jej psa. Z tyłu, w cieniu, stał jeszcze ktoś.

– Chyba wpadłaś w stare wnyki na lisa. Kto je tu rozłożył? – spytał Wallander.

- Nie ja – odparła Henrietta. – Pewnie właściciel tej działki.
- Porozmawiamy z nim – dodał Kurt, uwalniając stopę Lindy z żelaznego uścisku. – Najlepiej będzie, jeśli od razu pojedziemy do szpitala.

Linda spróbowała stanąć na zranionej nodze. Bolała ją, ale mogła powoli iść. Nagle z cienia wyłoniła się trzecia osoba.

– Przedstawiam ci kolegę, którego jeszcze nie miałaś okazji poznać – powiedział Wallander. – To Stefan Lindman. Pracuje z nami od paru tygodni.

Linda przyjrzała się nieznanemu. Jego twarz oświetlona latarką od razu przypadła jej do gustu.

– Skąd się tu wzięłaś? – spytała Henrietta.

– Ja mogę to wyjaśnić – wtrącił się Lindman.

Linda usłyszała, że mężczyzna mówi jakimś dialektem. Skąd on może pochodzić? Czyżby z Värmlandii? Zapytała o to ojca, kiedy wsiedli do auta i ruszyli w stronę Ystad.

– Jest z regionu Västergötland – wyjaśnił. – Oni tam tak dziwnie mówią. Dla nas brzmią trochę zabawnie, wręcz trudno ich traktować serio. Najgorzej mają oni i Gotlandczycy. Najwięcej respektu potrafią sobie wyrzeshczyć mieszkańcy regionu Norbotten. Trudno powiedzieć, od czego to zależy.

– Jak on wytłumaczy Henriecie, co robiłam pod jej domem w środku nocy?

– Wymyśli coś. Teraz lepiej ty mi to wyjaśnij.

– Anna mi się przyśniła.

– A dokładnie?

– Wołała mnie. Obudziłam się i nie zastanawiając się, pojechałam do domu jej matki. Nie do końca wiedziałam, co robię, ale zobaczyłam Henriettę w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Spojrzała prosto na mnie przez okno, więc uciekłam i wtedy wpadłam w tę pułapkę.

– Przynajmniej będziesz miała nauczkę, żeby nie szwendać się po prywatnym terenie w nocy – podsumował.

– Nie dociera do ciebie, że to poważna sprawa? – krzyknęła. – Anna naprawdę zniknęła!

– Traktuję tę sprawę poważnie. Traktuję zniknięcie Anny poważnie. Traktuję poważnie wszystko, co dotyczy mojego i twojego życia. Ten motyl przesądził sprawę.

– I co w związku z tym zrobicie?

– Wszystko, co trzeba. Zajrzymy pod każdy napotkany na drodze kamień, sprawdzimy każdą informację i przesłuchamy wszystkich, których powinniśmy. Zazwyczaj kiedy porusza się jakieś małe, z pozoru nic nieznaczące kółko zębate, ono wprawia w ruch kolejne, coraz większe. Powtarzam: zrobimy wszystko, co trzeba. A teraz nie chcę już o tym rozmawiać, zanim w szpitalu nie obejrzą twojej nogi.

Oczyszczenie i opatrzenie rany zajęło godzinę. Linda i Kurt właśnie mieli wyjść ze szpitala, kiedy pojawił się Stefan Lindman. Linda dopiero teraz zobaczyła, że nowy kolega ojca ma krótko ostrzyżone włosy i niebieskie oczy.

– Powiedziałem jej, że kiepsko widzisz w ciemności – wyjaśnił, wyraźnie zadowolony z siebie. – To musiało wystarczyć jej za wyjaśnienie, dlaczego błąkałaś się po lesie w nocy.

– Widziałam u niej jakiegoś mężczyznę – odezwała się Linda.

– Henrietta Westin powiedziała, że był u niej ktoś, kto zaproponował jej zaaranżowanie muzyki do jakiegoś dramatu. Brzmiało to prawdopodobnie.

Linda włożyła kurtkę. Poczowała wyrzuty sumienia, że nakrzyczała na ojca. To objaw słabości. Nie wolno krzyczeć, zawsze należy się kontrolować. Ponieważ zachowała się głupio, chciała skierować uwagę na błędy popełniane przez innych. Najważniejsze jednak, że odczuła ulgę. Zniknięcie Anny okazało się faktem, niczego sobie nie wmówiła. O wszystkim przesądził niebieski motyl, ceną zaś był pulsujący ból w nodze.

– Stefan odwiezie cię do domu – powiedział Wallander. – Ja muszę już lecieć.

Linda poszła do toalety, żeby się uczesać. Lindman czekał na nią na korytarzu. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i był niedokładnie ogolony na jednym policzku. Lindzie się to nie spodobało. Byle jak ogoleni mężczyźni kojarzyli jej się ze wszystkim, co najgorsze. Zdecydowała, że będzie szła po jego starannie ogolonej stronie.

– I jak twoja noga? – zapytał.

– A jak sądzisz?

– Domyślam się, że boli. Wiem, jak to jest.

– Co masz na myśli?

– Ból.

– Wpadłeś kiedyś we wnyki na niedźwiedzia?

– To była pułapka na lisy. Nie, nie wpadłem.

– Więc nie wiesz, jak to jest.

Stefan przytrzymał Lindzie drzwi. Wciąż była poirytowana. Nieogolony policzek wyraźnie ją drażnił. Rozmowa się urwała. Lindman sprawiał wrażenie człowieka, który nie mówi bez potrzeby.

Linda przypomniała sobie szkołę policyjną. Była tam grupa ludzi ciągle coś mówiących oraz grupa milczących. Byli tacy, którzy z wszystkiego się śmiali, i ci, których otaczała cisza. Większość jednak zdecydowanie należała do najliczniejszej bandy rozgadanych, wciąż paplających o wszystkim osobom, które z trudem trzymały język za zębami.

Przeszli na tył szpitala. Lindman wskazał na zardzewiałego forda. Kiedy otwierał drzwi, podjechała karetka, której kierowca zbeształ Stefana, że zablokował mu podjazd.

– Odbieram ranną policjantkę – wyjaśnił Lindman, wskazując na Lindę.

Kierowca karetki kiwnął głową i odjechał.

Linda po raz kolejny poczuła, że ma na sobie niewidzialny mundur. W tej chwili bardzo przypadł jej do gustu. Usiadła w aucie.

– Jedziemy na Mariagatan – powiedział Stefan. – Twój ojciec kazał mi tam cię odwieźć. Gdzie to jest?

Linda opisała mu drogę. W samochodzie unosił się jakiś dziwny zapach.

– To farba malarska – wyjaśnił. – Remontuję stary dom w Knickarp.

Kiedy wjechali w Mariagatan, Linda pokazała mu, gdzie ma się zatrzymać. Stefan wysiadł i otworzył jej drzwi.

– Na razie – powiedział. – Chorowałem na raka. Dobrze wiem, co to ból. Nie ma znaczenia, czy powoduje go nowotwór, czy zaciskające się na nodze żelastwo.

Wsiadł do auta i odjechał. Linda odprowadziła go wzrokiem. Uświadomiła sobie, że nie zapamiętała nawet jego nazwiska.

Kiedy weszła do domu, nagle poczuła zmęczenie. Właśnie miała się położyć na kanapie, gdy zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszała głos ojca.

– Dowiedziałem się, że już jesteś w domu.

– Jak on się nazywa? Ten, który mnie przywiózł.

– Stefan.

– A nazwisko?

– Lindman. Jest chyba z Borås. Albo z Skövde. Odpocznij trochę.

– Chcę wiedzieć, co powiedziała Henrietta. Zakładam, że już z nią rozmawiałeś.

– Nie mam teraz czasu.

– Musisz mi powiedzieć, chociaż w skrócie.

– Poczekaj.

Głos w słuchawce umilkł. Linda domyśliła się, że ojciec właśnie wychodzi z komendy. Słyszała trzaskanie drzwi, jakieś głosy i dzwonki

telefonów mieszające się z warkotem włączanych silników. Po chwili ojciec znów się odezwał. Był lekko podenerwowany.

– Jesteś tam?

– Jestem.

– Będę się streszczał. Czasem mi się marzy, żeby ktoś wynalazł coś w rodzaju stenografii dla osób mówiących. Henrietta powiedziała, że nie wie, gdzie podziewa się Anna. Nie rozmawiała z nią od jakiegoś czasu, ale według niej nic nie wskazywało na to, żeby jej córka była w depresji. Nic też nie wspominała jej o ojcu, jednak Henrietta twierdzi, że to u Anny normalne, ponoć często wydaje się jej, że widuje go na ulicy. W tym się nie zgadzacie. Nie podsunęła nam żadnego tropu, nie wie też nic o Birgittie Medberg. Innymi słowy, niewiele nam ta rozmowa pomogła.

– Zauważyłeś, że ona kłamie?

– Dlaczego miałbym to zauważyć?

– Zawsze powtarzasz, że wystarczy ci spojrzeć na człowieka i od razu wiesz, czy mówi prawdę, czy nie.

– Nie wydaje mi się, żeby kłamała.

– Kłamie, jestem tego pewna.

– Muszę kończyć. Stefan, ten, który cię odwiózł do domu, spróbuje doszukać się jakiegoś związku między Anną a Birgittą Medberg. Poza tym rozesłaliśmy zdjęcie twojej przyjaciółki do wszystkich placówek. Na razie nie możemy zrobić nic więcej.

– A jak wam idzie w lesie?

– Przede wszystkim powoli. Naprawdę muszę już kończyć.

Rozmowa dobiegła końca. Linda nie chciała być sama, więc zadzwoniła do Zebry. Na szczęście syn koleżanki był akurat u jej kuzynki Titchki, Zebra siedziała więc w domu sama i też miała ochotę na towarzystwo. Linda zaprosiła ją do siebie.

– Kup jakieś jedzenie – powiedziała. – Umieram z głodu. Najlepiej w tej chińskiej knajpce przy rynku. Wiem, że to nie po drodze, ale obiecuję, że zrobię dla ciebie to samo, jeśli kiedyś wpadniesz we wnyki zastawione na grubego zwierza.

Po jedzeniu Linda streściła Zebrze wydarzenia ostatnich dni. Koleżanka słyszała w radiu o makabrycznym odkryciu policji. Ale nie podzielała obawy Lindy o Annę. Nie sądziła, by ich przyjaciółkę spotkało coś złego.

– Gdybym była bandytą i postanowiła napaść na młodą dziewczynę, na pewno nie wybrałabym Anny – powiedziała. – Nie wiesz, że ona skończyła kurs jakiejś wschodniej sztuki walki? Nie pamiętam, jak się nazywa, ale to chyba jedna z tych, w której wszystkie chwytty są dozwolone, poza zabijaniem rzecz jasna. Nikomu nie radziłabym zadzierać z Anną.

Linda żałowała, że poruszyła temat zniknięcia Anny. Rozmawiały jeszcze przez godzinę, a potem Zebra musiała pójść odebrać syna.

Linda znów została sama. Ból w nodze powoli ustępował, pokuśtykała więc do sypialni. Okno było otwarte na oścież, firanka delikatnie poruszała się na wietrze. Linda usiadła na łóżku i zaczęła analizować wydarzenia ostatniej nocy. Chciała przede wszystkim zrozumieć, dlaczego pojechała do domu Henrietty w środku nocy, ale trudno było jej się skupić. Górę brało zmęczenie.

Dzwonek do drzwi wyrwał ją z drzemki. W pierwszej chwili chciała go zignorować, zaraz jednak zmieniła zdanie, wstała i powlokła się do przedpokoju. W drzwiach stał Stefan Lindman.

– Przepraszam, jeśli cię obudziłem.

– Nie spałam – odpowiedziała Linda, patrząc kątem oka w lustro. Włosy sterczały we wszystkie strony. – Właściwie to spałam. Nie wiem, dlaczego zaprzeczyłam. Boli mnie noga.

– Przyszedłem po klucze do mieszkania Anny Westin – wyjaśnił. – Twój ojciec powiedział mi, że masz zapasowe.

– Pojadę tam z tobą.

Jej odpowiedź wyraźnie go zaskoczyła.

– Sądziłem, że boli cię noga.

– Bo to prawda. Co zamierzasz tam robić?

– Muszę sobie stworzyć pewien obraz.

– Jeśli ma to być obraz Anny, powinieneś porozmawiać ze mną.

– Lubię najpierw sam trochę pobadać teren. Potem porozmawiamy.

Linda wskazała klucze leżące na szafce w przedpokoju. Spinał je breloczek z wizerunkiem egipskiego faraona.

– Skąd jesteś? – zapytała.

– Z Kinny.

– Ojciec powiedział, że z Skövde albo z Borås.

– Pracowałem w Borås, ale doszedłem do wniosku, że pora coś zmienić.

Linda zawahała się chwilę.

– O co ci chodziło z tym rakiem?

– Chorowałem na raka. Miałem nowotwór na języku. Rokowania były dość kiepskie, ale wyzdrowiałem.

Po raz pierwszy spojrzął jej prosto w oczy.

– Oczywiście, język mam na swoim miejscu – powiedział. – Inaczej nie mógłbym mówić. Gorzej jest z włosami.

Postukał się palcem w głowę.

– Ta czupryna niebawem zniknie.

Następnie pożegnał się i zbiegł po schodach. Linda wróciła do łóżka.

*Rak na języku*, pomyślała i aż wzdrygnęła się ze strachu. Czasem odczuwała lęk przed śmiercią. Nigdy nie zapomniała, o czym myślała, balansując na barierce nad autostradą. Życie to droga pełna głębokich



czarnych dziur. Ich dno naszpikowane jest ostrymi jak igły skałami, na które można się nadziać.

Obróciła się na bok, próbując zasnąć. W tej chwili nie miała siły na rozmyślanie o czarnych dziurach. Nagle gwałtownie ocknęła się z drzemki. To miało związek ze Stefanem Lindmanem. Usiadła na łóżku i już wiedziała, co musi ustalić. Sięgnęła po komórkę i wybrała numer ojca. Było zajęte. Odebrał za trzecim razem.

– To ja – rzuciła Linda na powitanie.

– Jak się czujesz?

– Lepiej. Chcę cię o coś zapytać. Chodzi o tego mężczyznę, którego widziałam w nocy w domu Henrietty. No wiesz, tego, który chciał, żeby skomponowała dla niego muzykę. Czy powiedziała ci, jak on wygląda?

– Dlaczego miałbym ją o to pytać? Podała tylko jego nazwisko i adres. Zanotowałem jedno i drugie. O co ci chodzi?

– Zrób coś dla mnie – poprosiła. – Zadzwoń do niej i zapytaj, jakie ten mężczyzna ma włosy.

– Po co?

– Bo go widziałam.

– Dobrze, chociaż właściwie nie mam na to czasu. Zalewa nas tutaj deszcz.

– Oddzwonisz?

– Jeśli uda mi się ją złapać.

Zadzwoił po dziewiętnastu minutach.

– Peter Stigström. Chce, żeby Henrietta skomponowała muzykę do jego tekstu o porach roku w Szwecji. Ma włosy do ramion, ciemne, gdzieś przetykane siwizną. Wystarczy?

– W zupełności.

– Powiesz mi, o co chodzi, kiedy przyjdę do domu?

– To zależy, kiedy przyjdiesz.

- Niedługo. Muszę się przebrać.
- Będziesz chciał coś zjeść?
- Zjadłem tu, w lesie. W mieście jest paru Albańczyków z Kosowa, którzy mają głowę do interesów. Rozstawiają budki z jedzeniem w pobliżu miejsc przestępstw i pożarów. Nie mam pojęcia, skąd wiedzą, dokąd akurat jedziemy. Pewnie ktoś od nas przekazuje im informacje w zamian za udział w zyskach. Będę za godzinę.

Kiedy skończyli rozmawiać, Linda stała dłuższą chwilę ze słuchawką w dłoni. Myślała o mężczyźnie, którego widziała w nocy przez okno. Tył jego głowy zwrócony był dokładnie w jej stronę. Nie zobaczyła na niej śladu siwizny. Poza tym gość Henrietty był krótko ostrzyżony.

Kurt Wallander wszedł do domu w przemoczonym ubraniu i kaloszach oblepionych gliną. Przyniósł jednak dobrą wiadomość. Nyberg zadzwonił do stacji meteorologicznej i dowiedział się, że się przejaśni i przez najbliższe dwie doby nie będzie padać. Wallander przebrał się, podziękował Lindzie za troskę i sam zabrał się do przyrządzania omleta.

Linda czekała na właściwy moment, by powiedzieć mu o swoim odkryciu dotyczącym gościa Henrietty. Sama nie wiedziała, dlaczego z tym zwleka. Podejrzewała, że wciąż tkwi w niej lęk przed ojcowskimi napadami złości. Nie umiała odpowiedzieć sobie na to pytanie, po prostu czekała. Po paru chwilach, kiedy ojciec odstawił talerz, a ona właśnie opadła na krzesło naprzeciwko niego i już miała zacząć mówić, on niemal wszedł jej w słowo.

– Myślałem o tym, co powiedziałaś o moim ojcu – wypalił niespodziewanie.

– O czym?

– O tym, jaki on był. I jaki nie był. Myślę, że ty i ja znaleźliśmy zupełnie różnie. Ja szukałem w nim siebie, chyba przede wszystkim z obawą przed tym, co znajdę. Wydaje mi się też, że z wiekiem robię się do niego coraz bardziej podobny. Jeśli dożyję tylu lat, co on, kto wie, może pewnego dnia rozsiądę się w jakiejś szopie i zacznę malować głuszce i zachody słońca.

– To ci z pewnością nie grozi.

– Nie bądź taka pewna. Wiesz, rozmyślałem trochę w tym zakrwawionym szalasiu. Przypomniało mi się coś, co ojciec często opowiadał. Wspominał o pewnym nieprzyjemnym zdarzeniu, które przytrafiło mu się w młodości. Próbowałem mu wytłumaczyć, że to

niedorzeczne, tyle lat rozpamiętywać coś, co stało się pół wieku temu, ale on nie chciał słuchać. Wiesz, o czym mówię?

– Nie.

– Wylane piwo, które stało się dla niego symbolem wszystkich niesprawiedliwości tego świata. Nigdy ci o tym nie opowiadał?

– Nie.

Wallander nalał sobie wody i duszkiem opróżnił kubek, jakby chciał wzmocnić się przed opowieścią.

– Choć trudno w to uwierzyć, i on był kiedyś młody. Na dodatek nie miał jeszcze żony i chciał zwiedzić świat. Urodził się w Vikbolandet, w pobliżu Norrköping. Ojciec ciągle go bił. Doglądał inwentarza u pewnego hrabiego nazwiskiem Sigenstam. Tłukąc syna skórzanym paskiem, zrobionym własnoręcznie z końskiej skóry, próbował wypędzić z niego grzech. Kierowały nim więc pobudki religijne. Babka, której nigdy nie poznałem, musiała być mocno wystraszoną istotą i jedyne, na co potrafiła się zdobyć, to ukryć twarz w dłoniach. Widziałaś zdjęcie moich dziadków, to, które stoi na półce. Spójrz na tę kobietę. Wygląda tak, jakby chciała zniknąć z tej fotografii. To nie zdjęcie blaknie ze starości, ale ona próbuje stopić się z tłem. Ojciec uciekł z domu, kiedy miał czternaście lat, zaciągnął się do pracy na morzu, najpierw na małych kutrach, a potem na coraz większych statkach. To legendarne zdarzenie przytrafiło mu się, gdy skończył dwadzieścia lat i zszedł na ląd w Bristolu.

Strasznie wtedy chlał, szczerze mi to powiedział i dokładnie tak to określił. *Chlał*, bo z jakichś niezrozumiałych przyczyn wydawało mu się to lepsze niż zwykłe picie piwa. Ci, którzy chlali, wpadali w inną pułapkę. Nie zataczali się na ulicach i nie wdawali w bójki. Zalewanie się na umór oznaczało przynależność do swego rodzaju marynarskiej arystokracji. Nigdy nie byłem w stanie tego pojąć, a ojciec też nie potrafił mi wytłumaczyć. Kiedy we dwóch piliśmy wódkę, moim zdaniem upijał się

tak samo, jak każdy inny. Czerwieniał na twarzy, bełkotał, wpadał w złość albo się rozklejał, a najczęściej wszystko po trochu. Przyznaję, że mi tego brakuje. Tęsknię za wieczorami spędzonymi u niego w kuchni, przy flaszcze. Po jakimś czasie zawsze zaczynał śpiewać te swoje ukochane włoskie szlagiery. Jeśli ktoś słyszał go bełkoczącego *Volare*, z pewnością nigdy tego nie zapomni, zapewniam cię. Jeżeli istnieje niebo, ojciec siedzi teraz na jakiejś chmurce, rzuca ogryzkami po jabłkach w bazylikę świętego Piotra i śpiewa *Volare*.

No więc ojciec pił właśnie w portowej knajpie Bristolu i ktoś przy barze trącił jego kufel tak mocno, że go przewrócił. Na dodatek ten ktoś w ogóle go nie przeprosił. Spojrzał tylko na przewrócony kufel i zaproponował, że odkupi piwo. Z tym właśnie ojciec nie mógł się pogodzić. Zaczynał opowiadać o tym wylanym piwie i braku przeprosin w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Kiedyś byliśmy razem w urzędzie skarbowym, żeby załatwić jakieś papiery, i nagle ojciec zaczął opowiadać tę historię urzędnikowi. Ten oczywiście popatrzył na niego jak na wariata. Potrafił zablokować całą kolejkę w supermarkecie, bo nagle uznawał, że młoda kasjerka koniecznie musi wysłuchać historii sprzed pięćdziesięciu lat. Zdawało się, że jego życie dzieli się na dwa etapy – przed wylanym piwem i potem, przed brakiem przeprosin i później. Zupełnie jakby pod wpływem tego incydentu na dobre stracił wiarę w ludzi. Jakby brak tych przeprosin był gorszy od wszystkich razów, jakie otrzymał od ojca pasem z końskiej skóry. Czasem próbowałem go namówić, żeby mi wyjaśnił, a właściwie raczej sobie samemu, dlaczego przewrócony kufel i te nieszczęsne przeprosiny stały się jego największą życiową zmagą.

Zdarzało się nawet, że gwałtownie budził się w nocy, cały zlany potem, bo przyśnił mu się ten bar i rozlane piwo. To niewiarygodne, ale dla niego wszystko się na tym opierało, incydent z kuflem był kłamrą, która spinała wszystkie późniejsze przeżycia. Czasem myślę, że to zdarzenie go

uksztaltowało, że tamtego dnia zostało przesądzone, kim będzie w przyszłości. Człowiekiem, który zaszyje się w szopie i będzie malował w kółko ten sam obraz. Widocznie nie chciał mieć wiele wspólnego ze światem, w którym nikt nie przeprosza za przewrócony kufel.

Wspomniał o tym nawet podczas naszej jedynej wyprawy do Włoch. Trafił nam się uroczy wieczór w jakiejś restauracyjce nieopodal Villa Borghese. Podano nam doskonałe jedzenie, świetne wino, otaczały nas piękne kobiety, ojciec wpadł w sentymentalny nastrój, jedną z nich nawet próbował zagadnąć. Zażyczył sobie także cygaro. A potem nagle spoważniał i zaczął opowiadać o pamiętnym dniu w Bristolu. Próbowałem go uspokoić, zamówiłem grappę, ale on był uparty. Rozlane piwo i brak przeprosin. Przypomniało mi się to dziś wieczorem. Bo on przekazał mi tę opowieść, stałem się jej strażnikiem, powierzył mi ją jako część spadku, którego wcale nie chciałem otrzymać.

Wallander zamilkł i nalał sobie wody do kubka.

– Taki właśnie był mój ojciec – dodał. – Dla ciebie zapewne był kimś całkiem innym.

– Każdy z nas jest dla różnych ludzi innym człowiekiem – odezwała się Linda.

Kurt odsunął kubek i spojrzał na córkę. Nie miał już tak zmęczonych oczu, najwyraźniej opowieść o wylanym piwie dodała mu trochę energii. Zapewne właśnie tak to działa, pomyślała Linda. Doświadczenie niesprawiedliwości może dręczyć, ale potrafi też dodać sił.

W końcu opowiedziała mu o mężczyźnie, którego widziała nocą w domu Henrietty. Wygląd jego głowy nie pasował do opisu podanego przez matkę Anny. Ojciec słuchał w skupieniu. Kiedy Linda zamilkła, zapytał tylko, czy jest w stu procentach pewna tego, co widziała. Potem sięgnął po telefon i wybrał z pamięci jakiś numer. Pomylił się i wystukał jeszcze raz. Połączył

się ze Stefanem Lindmanem. Linda słuchała, jak ojciec streszcza mu jej relację i na koniec wyciąga jedyny możliwy wniosek: trzeba złożyć Henriecie Westin kolejną wizytę.

– Nie mamy czasu na kłamstwa – powiedział do słuchawki na zakończenie. – Na kłamstwa, półprawdy i zaniki pamięci.

Wyłączywszy telefon, spojrzał na Lindę.

– To niewłaściwe. I nawet nie jest konieczne, ale chcę, żebyś ze mną tam pojechała. Jeśli dasz radę.

– Pewnie, że dam – odparła z radością.

– Jak twoja noga?

– W porządku.

Zauważyła, że ojciec jej nie uwierzył.

– Czy Henrietta wie, dlaczego znalazłam się tam wtedy? To, co powiedział jej Stefan, raczej nie zabrzmiało wiarygodnie.

– Nieważne. Chcę wiedzieć, kto był u niej tamtej nocy. Możemy powiedzieć, że mamy świadka i nie jesteś nim ty.

Wyszli na ulicę, żeby poczekać na Lindmana. Meteorolodzy mieli rację: pogoda wyraźnie zaczynała się zmieniać, zamiast deszczu pojawił się suchy wiatr z południa.

– Kiedy spadnie śnieg? – spytała Linda.

Wallander spojrzał na nią z uśmiechem.

– Raczej nie jutro. Dlaczego o to pytasz?

– Bo go nie pamiętam. Chociaż się tu urodziłam i tu przeżyłam większość życia, nie pamiętam śniegu w Ystad.

– Spadnie, kiedy spadnie.

Przy krawężniku zatrzymał się samochód Stefana Lindmana. Wsiedli oboje, Linda zajęła miejsce na tylnym siedzeniu. Wallander miał problem z zapięciem pasa, luźno zwisającego obok zdezelowanego fotela.

Ruszyli w stronę Malmö. Linda patrzyła przez okno na mieniące się w słońcu, rozciągające się po lewej stronie morze. Nie chcę tu umrzeć, pomyślała. Myśl ta przyszła jej do głowy całkiem niespodziewanie, jak impuls. Nie chcę tu żyć, nie chcę być jak Zebra, samotna matka wśród tysięcy innych samotnych matek, których życie skupia się na ciągłej pogoni za pieniędzmi na opiekunkę. Nie chcę też skończyć jak ojciec, który nigdy nie znajdzie odpowiedniego dla siebie domu, psa i tak mu potrzebnej towarzyszkę życia.

– Co mówiłaś? – zapytał Kurt.

– Ja coś mówiłam? – zdziwiła się Linda.

– Mamrotałaś pod nosem. To zabrzmiało jak przekleństwo.

– Nie zauważyłam.

– Mam niezwykłą córkę – Wallander zwrócił się do Lindmana. – Klnie pod nosem i sama o tym nie wie.

Skęcili w drogę wiodącą do domu Henrietty. Na samo wspomnienie żelaznej pułapki Lindę zaboląła noga. Zapytała, co grozi człowiekowi, który ją zastawił.

– Zbladł, kiedy się dowiedział, że złapała się w nią policjantka. Dostanie wysoki mandat – odparł Wallander.

– Mam przyjaciela, inspektora kryminalnego, który nazywa się Giuseppe Larsson – zaczął Lindman.

– Skąd on pochodzi? – przerwała mu Linda.

– Z Östersund. Dostał to imię po pewnym włoskim piosenkarzu, który miał zostać jego wyśnionym ojcem.

– Jak to? – spytała, pochylając się w stronę przednich foteli. Poczła nagłą chęć pogłaskania Lindmana po twarzy.

– Jego matka wyobrażała sobie, że jego ojcem nie jest jego prawdziwy ojciec, ale występujący w lokalnym parku piosenkarz. To był jakiś Włoch.



Jak widać, nie tylko mężczyźni mają takie fantazje.

– Ciekawe, czy z Moną było podobnie – wtrącił Wallander. – Jeśli tak, miałabyś czarnego ojca, bo jej idolem był Hosh White.

– Nie Hosh, ale Josh – poprawił go Lindman.

Linda zastanowiła się, jakby to było mieć czarnego ojca.

– Giuseppe ma u siebie na ścianie stare wnyki na niedźwiedzia – mówił dalej Stefan. – Wyglądają zupełnie jak średniowieczne narzędzia tortur. Mówił mi, że jeśli złapałby się w nie człowiek, to żelastwo przekroiłoby go na pół. Słyszeliście o tym, że niedźwiedzie i lisy są w stanie odgryźć sobie łapę, żeby się wydostać z pułapki?

Lindman zaparkował i wszyscy troje wysiedli z auta. Wiał porywisty wiatr. Podeszli do domu, świeciło się w każdym oknie. Linda utykała na lewą nogę. Kiedy zbliżyli się do drzwi, zdziwiło ich, że nie szczeka pies. Lindman zapukał. Nikt nie odpowiedział, wewnątrz panowała zupełna cisza. Wallander zajrzał przez okno, tymczasem Stefan poruszył klamką. Było otwarte.

– Zawsze możemy powiedzieć, że słyszeliśmy, jak ktoś mówi „proszę” – powiedział cicho.

Weszli do środka. Linda stanęła w ciasnym przedpokoju, gdzie widok zasłaniały jej szerokie plecy obu mężczyzn. Żeby coś dostrzec, musiała wspiąć się na palce. Ale natychmiast opadła na całe stopy.

– Jest tu kto? – zawołał Wallander.

– Nie ma nikogo – odpowiedział mu Lindman.

Przeszli do salonu, który wyglądał dokładnie tak, jak opisała go Linda. Wszędzie były porozkładane nuty, jakieś kartki, gazety i kubki po kawie. Na podłodze stały psie miski. Jednak mimo pozornego chaosu i bałaganu dom wydawał się urządzony dokładnie według potrzeb jego właścicielki.

– Nie zamknęła drzwi – powiedział Lindman. – Nie ma psa. Wygląda na to, że poszła z nim na wieczorny spacer. Dajmy jej kwadrans. Jeżeli

zostawimy uchylone drzwi wejściowe, będzie wiedziała, że ma gości.

– Może zadzwonić na policję – stwierdziła Linda. – Bo pomyśli, że to złodzieje.

– Złodzieje nie zostawiają otwartych drzwi – odparł stanowczym tonem Wallander.

Rozsiadł się w najwygodniejszym fotelu, splótł dłonie na brzuchu i zamknął oczy. Lindman otworzył drzwi i zablokował je stojącym w przedpokoju kaloszem. Linda zaś sięgnęła po leżący na pianinie album z fotografiami. Zaczęła przewracać kartki, słuchając, jak ojciec jednostajnie i głośno oddycha, a Stefan podśpiewuje coś pod nosem.

Pierwsze zdjęcia pochodziły z lat siedemdziesiątych. Kolory zaczęły już blaknąć. Na jednym z nich widać było Annę przycupniętą w środku stadka kur, tuż obok ziewał kot. Linda przypomniała sobie jej opowieści o komunie nieopodal Markaryd, w której spędziła pierwsze lata życia. Na innym zdjęciu Henrietta trzymała na rękach swoją małą córeczkę. Matka Anny miała na sobie wytarte spodnie, wokół szyi zawiązaną arafatkę, a na nogach drewniaki. Kto mógł zrobić te fotografie? Zapewne Eryk Westin, zanim zniknął bez śladu.

Kiedy Stefan wrócił do salonu, podszedł do Lindy i zajrzał jej przez ramię. Opowiedziała mu w skrócie, co wiedziała o rodzicach Anny, komunie i zaginionym wytwórcy sandałów.

– To brzmi jak tytuł jednej z *Baśni tysiąca i jednej nocy* – stwierdził. – *O zaginionym wytwórcy sandałów.*

Obejrzelikolejne zdjęcia.

– Czy on jest na którymś z nich? – zapytał.

– Jedyne jego fotografie, jakie widziałam, były w mieszkaniu Anny. Zniknęły razem z nią.

Lindman zmarszczył czoło.

– Zabrała wszystkie zdjęcia, ale zostawiła pamiętnik? Dobrze pamiętam?

– Zgadza się. Chociaż właściwie nic się w tym wszystkim nie zgadza.

Dalej przeglądali album. Obrazki z kurami i ziewającym kotem zastąpiły zdjęcia mieszkania w Ystad. Ktoś sfotografował szary beton i zamarznięty plac zabaw. Anna była na tych fotografiach kilka lat starsza.

– Kiedy je zrobiono, jej ojca już dawno nie było – powiedziała Linda. – Ten, kto ją sfotografował, stał dużo bliżej. Na poprzednich zdjęciach odstęp jest wyraźnie większy.

– Pierwsze fotografie robił jej ojciec. Teraz aparat trzyma Henrietta. To masz na myśli?

– Tak.

Obejrzelali album do końca. Nigdzie nie znaleźli ani jednego zdjęcia Eryka Westina. Jedno z ostatnich przedstawiało Annę w dniu ukończenia szkoły średniej. W tle widoczna była Zebra. Linda pamiętała ten dzień, ona też musiała tam być, ale nie odnalazła siebie na fotografii.

Już miała zamknąć album, kiedy zamigotało światło w salonie. Potem nagle zgasły wszystkie lampy. W domu zapanował mrok. Kurt Wallander ocknął się raptownie.

Zalała ich ciemność. Na zewnątrz rozległo się szczekanie psa. Linda miała wrażenie, że przed domem są jacyś ludzie, nie zbliżają się jednak do niego, ale znikają, zanurzając się coraz głębiej w lesie.

Najbezpieczniej czuł się w ciemności. Nigdy nie pojął, dlaczego księża zawsze mówią o świetle, dlaczego z Bożą łaską kojarzy im się wyłącznie jasność. Czemu cud nie miałby stać się w ciemności? Czy nie trudniej jest diabłu i jego sługusom znaleźć człowieka duszę w mroku lub cieniu, zamiast w jasno oświetlonej przestrzeni, w której postaci poruszają się wolno jak piana na grzbietach morskich fal? Dla niego Bóg zawsze oznaczał bezpieczną ciemność. Czuł się tak również w tej chwili, stojąc nocą pod domem, w którym paliły się światła. Ujrzał poruszające się wewnątrz postaci. Kiedy wszystko wokół nagle zgasło i zapadł mrok, mężczyzna uznał, że to znak od samego Boga. W ciemności królestwo Pana było dużo większe niż to, które powszechnie wyobrażano sobie jako wielką jasność. Jestem jego sługą czekającym w mroku, pomyślał. Tego mroku nie rozjaśni żadne światło. Wyślę z niego w świat święte cienie, które wypełnią odczuwaną przez ludzi pustkę. Ludzie tęsknią za tym, czego nie widzą. Otworzę im oczy i wtedy zrozumieją, że prawda to obrazy skrywające się w świetle cieni. Przypomniał sobie słowa z drugiego listu świętego Jana: „Wielu bowiem pojawiło się na świecie zwodzicieli, którzy nie uznają, że Jezus Chrystus przyszedł w ciele ludzkim. Taki jest zwodzicielem i Antychrystem”<sup>6</sup>. Były one dla niego kluczem do zrozumienia.

Po spotkaniu z Jimem Jonesem i potwornościach, do jakich doszło w Gujanie, doskonale wiedział, co oznacza termin „zdrajca”. To fałszywy prorok z gładko uczesаныmi włosami, wiecznie uśmiechnięty, pokazujący śnieżnobiałe zęby, zawsze otaczający się światłem. Jim Jones bał się ciemności. Mężczyzna wyrzucał sobie, że nie przejrzał go wcześniej, nie zdemaskował fałszywego proroka, który zamiast ich prowadzić, wywiódł

ich w pole, w środek dżungli, gdzie mieli niebawem umrzeć. Zginęli wszyscy poza nim. Uznał, że Bóg, ocalając go, wybrał go do jakiegoś zadania. Przeżył, by opowiedzieć światu o fałszywym proroku. Miał szerzyć naukę o mroku, a nauka ta miała być wstępem do piątej ewangelii, którą on sam miał napisać, by dokończyć Pismo Święte. Również o tym przeczytał w liście świętego Jana: „Wiele mógłbym wam napisać, ale nie chciałem użyć karty i atramentu. Lecz mam nadzieję, że do was przybędę i osobiście z wami porozmawiam, aby radość nasza była pełna”<sup>7</sup>.

W ciemności zawsze czuł bliskość Boga. W ciągu dnia bał się, że straci Go z pola widzenia. W mroku nie było takiego ryzyka, wyraźnie czuł oddech Pana na twarzy. Oddech ten każdej nocy był inny. Mógł objawić się jako wiatr lub dyszący pies, najczęściej jednak przychodził jako delikatny zapach jakiejś nieznannej przyprawy. Również wspomnienia stawały się wyraźniejsze w ciemności. Światło tylko burzyło spokój.

Właśnie tej nocy mężczyzna po raz pierwszy pomyślał o długich latach, jakie minęły, odkąd po raz ostatni odwiedził to miejsce. Dwadzieścia cztery lata, spora część jego życia. Kiedy wyruszył w świat, był jeszcze bardzo młody. Teraz starość obejmowała już jego ciało we władanie. Coraz częściej dostrzegał jej drobne oznaki, mimo że dbał o siebie, starannie dobierał to, co jadł i pił, zażywał ruchu. Jednak starość zbliżała się nieuchronnie, nie miała zamiaru go oszczędzić. Bóg pozwala nam się zestarzeć, byśmy zrozumieli, że nasze życie spoczywa w Jego rękach – powtarzał. – Pan obdarzył nas życiem, lecz nazaczył je wielką tragedią, aby do nas dotarło, że tylko On może obdarzyć nas też łaską.

Stojąc w ciemności, mężczyzna zaczął wspominać. Od chwili, kiedy spotkał Jima Jonesa, aż do dnia, w którym wraz z nim i innymi dotarł do dżungli w Gujanie, wszystko było tak, jak sobie wymarzył. Mimo że tęsknił za tymi, których opuścił, uwierzył w zapewnienia Jima, że to sam Bóg wyznaczył mu to zadanie, nakazując mu stać się jednym z ludzi

podążających za Jonesem. Było to ważniejsze niż żona i dziecko. Mężczyzna posłuchał więc Jima i czasem mijały całe tygodnie bez tęsknoty za porzuconą rodziną. Dopiero kiedy doszło do tej potwornej tragedii, dopiero kiedy ujrzał ich wszystkich martwych, gnijących na polach i ścieżkach, przypomniał sobie o bliskich. Wówczas było już jednak za późno, on sam zbyt zagubiony, a pustka, jaką pozostawił po sobie Jim Jones, tak wielka, że nie zdołałby udźwignąć niczego poza swoim nieszczęściem.

Dobrze zapamiętał ucieczkę z Caracas, dokąd dotarł, by zabrać ukryte tam pieniądze i dokumenty. Miał nadzieję, że długa droga stanie się czymś w rodzaju pielgrzymki, podróżą przez ciemne lub spalone słońcem krainy, wciąż w innych autobusach, niezliczonych pojazdach zatrzymywanych na drodze i w ciągłych postojach z powodu awarii silnika lub przebitych opon. Jak przez mgłę przypominał sobie nazwy miejscowości i miast, które mijał, punkty kontroli granicznej, lotniska. Z Caracas pojechał autobusem do Kolumbii, do miasta Barranquilla. Wspominał długą noc gdzieś między Wenezuelą a Kolumbią, potem miasto Puerto Páez, pełne uzbrojonych ludzi, jak sępy pilnujących wszystkich, którzy przekroczyli granicę. Tamtej nocy udało mu się przekonać podejrzliwych strażników, że naprawdę nazywa się John Lifton, jak widnieje w okazanym przez niego fałszywym paszporcie, i że na pewno nie ma przy sobie żadnych pieniędzy. Potem wreszcie zasnął, głęboko i ciężko, oparłszy głowę na ramieniu starej Indianki, trzymającej na kolanach klatkę z dwiema kurami. Wcześniej nie zamienili ani słowa, jedynie kilka spojrzeń. Kobieta dojrzała w jego oczach nieszczęście i bez sprzeciwu użyczyła mu swego ramienia i pomarszczonej szyi. Śnił o tych, których kiedyś porzucił. Obudził się cały spocony. Stara Indianka nie spała, mężczyzna zajrzał jej w oczy i po chwili znów spał. Kiedy obudził się następnego dnia rano, już jej nie było. Pomacał skarpetkę wokół kostki, gruby zwitek banknotów dolarowych był na swoim miejscu.

Poczuł dziwną tęsknotę za starą kobietą, która pozwoliła mu się wyspać na swoim ramieniu. Chciał do niej wrócić, znów wesprzeć na niej głowę i doczekać tak końca swoich dni.

Z Baranquilla poleciał do Mexico City. Wybrał najtańszy bilet, co oznaczało, że musiał długo koczować na brudnym lotnisku i czekać na miejsce w samolocie. W lotniskowej toalecie zmył narosły podczas długiej podróży brud, potem kupił nową koszulę i kieszonkowe wydanie Biblii. Nie mógł się nadziwić mrowiu ludzi wokół, ich pośpiechowi, życiu, od którego odzwyczaił się, przebywając u boku Jima Jonesa. Mijając sklepik z prasą, zauważył, o czym pisano na pierwszych stronach gazet. Wszyscy zginęli, sądzono, że nikt nie przeżył. Oznaczało to, że i on jest już martwy. Choć uszedł z życiem, uznano, że jego ciało gnije w gujańskim upale, pośród dziesiątek innych.

Piątego dnia rano dostał miejsce w samolocie do Mexico City. Wciąż nie miał planu. Po opłaceniu biletu zostały mu trzy tysiące dolarów. Jeśli żyłby oszczędnie, pieniądze te wystarczyłyby mu na dość długo. Ale dokąd się udać, rozmyślał. W którym miejscu postawić pierwszy krok, żeby zbliżyć mnie on do Boga? Dokąd mam pójść, aby Bóg mnie odnalazł? Jak znaleźć wyjście z potwornej pustki, do której trafiłem? Nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Dotarłszy do Mexico City, wynajął pokój w pensjonacie i spędzał czas na odwiedzaniu różnych kościołów. Unikał dużych katedr, ponieważ tam nie znajdował Boga, którego szukał. Nie umiał Go dostrzec w mrugających sztucznymi światłkami tabernakulach, nie słyszał Jego słów w kazaniach zachłyśniętych władzą chciwych księży, sprzedających zbawienie za pieniądze, urządzających różnego rodzaju promocje Bożej Łaski. Odwiedzał małe świątynie, gdzie królowała miłość i pasja wiary, a głoszących Słowo Boże duchownych trudno było odróżnić od tych, którzy przyszedli ich słuchać. Był pewien, że to jest właściwa droga. Jim był

mistykiem, wyniosłym przywódcą, żyjącym z dala od innych. Zyskał zaufanie ludzi, a potem okazał się zdrajcą. Ukrywał się w świetle. Po tym wszystkim mężczyzna pragnął odnaleźć Boga, który zaprowadzi go w uświęconą ciemność. Wędrował więc od kościoła do kościoła, od zgromadzenia do zgromadzenia, uczestniczył w modlitwach, wraz z innymi śpiewał pieśni, lecz mimo to pustka, jaką odczuwał, zdawała się wciąż w nim narastać. Bał się, że wkrótce jej siła rozsądzi go od środka. Każdego ranka budził się coraz bardziej przekonany, że powinien wyruszyć w drogę. Nie udało mu się odnaleźć Boga w Mexico City. Czuł, że wciąż jeszcze nie trafił na właściwy ślad.

Pewnego dnia opuścił miasto i skierował się na północ. Aby zaoszczędzić na biletach, podróżował wieloma lokalnymi autobusami, nieraz pokonywał jakiś odcinek autostopem. Przekroczył granicę z Teksasem w Laredo. Wynajął pokój w najtańszym motelu, jaki udało mu się znaleźć, i przez tydzień przesiadywał w bibliotece i studiował prasę, czytając wszystko, co napisano na temat tragedii w Gujanie. Ku jego zdziwieniu okazało się, że istnieją wcześniejsi wyznawcy Świątyni Ludu, obwiniający FBI, CIA i amerykański rząd o udział w zorganizowaniu tego zbiorowego samobójstwa oraz nagonki na Jima. Czytając te słowa, mężczyzna cały oblał się potem. Dlaczego wciąż są ludzie, którzy chcą chronić zdrajcę, pomyślał. Czyżby nie dostrzegli, że zbudowali swoje życie na kłamstwie? Podczas bezsennych nocy wielokrotnie dochodził do wniosku, że powinien spisać to, co dane mu było przeżyć. Był jedynym żyjącym świadkiem. Powinienem opowiedzieć prawdę o Świątyni Ludu, rozmyślał, o Jimie, zdrajcy, który uświadomiwszy sobie, że zaczyna tracić władzę, zrzucił maskę mamiącą miłosierdziem i pokazał prawdziwą twarz – niosącą śmierć czaszkę z pustymi oczodołami. Mężczyzna kupił nawet zeszyt i zaczął sporządzać notatki. Wkrótce jednak ogarnęło go wielkie zwątpienie. Opisując prawdziwą historię Jima Jonesa, musiałby zdradzić,



kim jest. Nie mógłby dłużej podawać się za Johna Cliftona, lecz przyznać się, że ma inną narodowość oraz nazwisko. Nie wiedział, czy jest na to gotów.

Właśnie w tym czasie, kiedy przekroczył granicę z Teksasem, poważnie myślał o samobójstwie. Czuł, że jeśli rosnącej w nim pustki nie wypełni Bóg, będzie musiał zalać ją własną krwią. Ciało to przecież tylko pojemnik, rozmyślał. Zwykła skorupa. Wybrał już nawet miejsce na kolejowym nasypie, z którego zamierzał rzucić się pod pędzący w dole pociąg. Był już zdecydowany, kiedy po raz ostatni wybrał się do biblioteki, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś nowości dotyczących wydarzeń w Gujanie.

W jednej z najczęściej czytanych gazet, „Houston Chronicle”, znalazł wywiad z kobietą o nazwisku Sue-Mary Legrande. Obok tekstu było jej zdjęcie. Wyglądała na czterdziestolatkę, miała ciemne włosy i szczupłą, pociągłą twarz. Opowiadała o Jimie Jonesie, twierdziła, że zna jego sekret. Przeczytawszy wywiad, mężczyzna uznał, że Sue-Mary Legrande musi być duchowo spokrewniona z Jimem Jonesem. Często spotykała go w czasach, kiedy on rzekomo miewał swoje słynne objawienia, które potem doprowadziły do założenia Świątyni Ludu.

Znam tajemnice Jima Jonesa – twierdziła. Żadnej z nich jednak nie zdradziła. Mężczyzna długo wpatrywał się w zdjęcie kobiety. Odnosił wrażenie, że jej oczy patrzą tylko na niego. Była rozwódką, miała dorosłego syna i prowadziła niewielką firmę w Cleveland, zajmującą się sprzedażą wysyłkową. Handlowała czymś opatrzonym tajemniczą nazwą „podręczniki do samorealizacji”. Przypomniawszy sobie z lekcji geografii w szkole, że Cleveland to miasto w stanie Ohio, założone w czasie budowy kolei. Krzyżuje się tam wiele dróg, natomiast kiedyś istniały tam przede wszystkim huty żelaza, w których produkowano tory kolejowe, ciągnące się dziś po horyzont przez amerykańskie równiny. Cleveland mu odpowiadało.

Były w nim zarówno nasypy kolejowe, jak i tory. Poza tym mieszkała tam kobieta, która знаła tajemnice Jima Jonesa.

Złożył gazetę i wsunął ją do odpowiedniej przegródki, po czym, uprzejmie ukłoniwszy się miłej bibliotekarce, wyszedł z czytelni. Mimo że zbliżało się Boże Narodzenie, był bardzo ciepły dzień. Mężczyzna przystanął w cieniu drzewa. Jeśli Sue-Mary Legrande z Cleveland zdradzi mi sekret Jima Jonesa, pomyślał, być może zrozumiem, dlaczego dałem się oszukać. Wówczas nigdy już nie ulegnę podobnej słabości.

Dotarł do Cleveland pociągiem w wigilię Bożego Narodzenia, po ponad trzydziestogodzinnej podróży. Udało mu się znaleźć tani hotel w podupadłej przydworcowej dzielnicy. Najadł się do syta w chińskim sklepiku, w którym również podawano posiłki, a potem wrócił do hotelu. W recepcji stała sztuczna, migocząca świeatełkami choinka. Z telewizora dochodziły dźwięki kolęd, co chwilę przerywane blokami reklam. Nagle mężczyzna poczuł wielką złość. Jim okazał się nie tylko zdrajcą, który wydrążył mu duszę. Uświadomił sobie, że zamiast natchnąć go miłością do Boga, fałszywy prorok zostawił po sobie wielką pustkę. Jim ograbił go z jeszcze czegoś. Powtarzał, że głęboka wiara oznacza porzucenie bliskich. Ale jakież bóg każe swoim wyznawcom odepchnąć żonę i dziecko? Obecnie szukał wiary po to, by móc wrócić do tych, których porzucił. Jim go oszukał. Mężczyzna nigdy jeszcze nie czuł złości tak wielkiej, jaka ogarnęła go w tamtej chwili.

Położył się na łóżku w ciemnym pokoju. Nie jestem teraz nikim więcej jak człowiekiem w pokoju hotelowym, pomyślał. Gdybym w tej chwili zmarł albo po prostu zniknął, nikt by za mną nie tęsknił. Ktoś znalazłby w skarpecie pieniądze na opłacenie tego pokoju i mojego pogrzebu. Jeśli ktoś by je ukradł, moje ciało wrzucono by do zbiorowej mogiły dla ubogich. Być może ktoś by odkrył, że nie ma żadnego Johna Cliftona,

a jeśli nawet istnieje, wygląda całkiem inaczej. Zapewne jednak nie poświęcono by mi zbyt wiele uwagi, odłożono by moją sprawę, jak odkłada się jakiś papier, właściwie nie wiedząc dlaczego, bo przecież można by go wyrzucić od razu. Potem nie byłoby już nic. Teraz jestem tylko samotnym człowiekiem w hotelu, którego nazwy nawet nie potrafię sobie przypomnieć.

W Boże Narodzenie w Cleveland spadł śnieg. Mężczyzna zjadł u Chińczyka ciepły makaron z warzywami i ryżem, a potem długo leżał bez ruchu w hotelowym pokoju. Nazajutrz, 26 grudnia, przestał padać śnieg. Na chodnikach i ulicach leżała cienka warstwa białego puchu, termometr wskazywał trzy stopnie poniżej zera, było bezwietrznie. Tafla jeziora Erie zdawała się gładka jak jedwab. Mężczyźni udało się znaleźć w książce telefonicznej oraz na mapie dokładny adres Sue-Mary Legrande. Mieszkała na południowo-zachodnich obrzeżach miasta. Uznał, że Bóg zaplanował to tak, by on poznał ją właśnie tego dnia. Dokładnie się umył, ogolił i ubrał w to, co kupił w sklepie z używaną odzieżą jeszcze w Teksasie, zanim wyruszył na północ. Co pomyśli kobieta, która otworzy mi drzwi, zadawał sobie pytanie, stojąc przed lustrem w łazience. Ujrzy człowieka, który jeszcze nie całkiem się poddał, człowieka, który przeżył wielkie cierpienie. Potrząsnął głową, chcąc, z jednej strony, odegnąć tę myśl, z drugiej na widok swego lustrzanego odbicia. Nie wyglądam przerażająco, podsumował. Prędzej wzbudzę w niej współczucie, nic więcej.

Wyszedłszy z pokoju, udał się na dworzec, gdzie wsiadł w autobus jadący wzdłuż jeziora. Sue-Mary Legrande mieszkała przy 1024 Madison. Dotarcie na miejsce zajęło mu niecałe pół godziny. Kobieta miała dom z kamienia schowany za wysokimi drzewami. Mężczyzna zawahał się, zanim podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Sue-Mary wyglądała dokładnie tak, jak na zdjęciu w „Houston Chronicle”. Była nieco chudsza,

niż sobie wyobrażał. Spojrzała na niego uważnie, gotowa zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

– Przeżyłem – powiedział. – Nie wszyscy zginęli w Gujanie. Ja przeżyłem. Chcę wiedzieć, dlaczego on nas oszukał.

Kobieta patrzyła na niego dłuższą chwilę, a kiedy wreszcie się odezwała, nie usłyszał w jej głosie zdziwienia, właściwie żadnych uczuć.

– Wiedziałaś – odparła. – Wiedziałaś, że ktoś do mnie w końcu przyjdzie.

Otworzyła drzwi nieco szerzej i odsunęła się, by go wpuścić. Mężczyzna wszedł i został w jej domu prawie dwadzieścia lat. To dzięki niej zrozumiał, kim był prawdziwy Jim Jones, ten, którego jemu nie udało się przejrzeć. Sue-Mary opowiadała mu swym łagodnym głosem o ciemnych stronach fałszywego proroka. Jones nie był Bożym posłańcem, lecz zajął miejsce Boga. Według niej Jim dobrze wiedział, że pewnego dnia jego pycha doprowadzi go do upadku. Nigdy jednak nie zboczył z kursu, który obrał na samym początku.

– Czy Jim Jones był szaleńcem? – pytał mężczyzna.

Sue-Mary zawsze odpowiadała stanowczo, że Jim z całą pewnością nie był szalony. Miał dobre zamiary. Chciał zbudować kościół, który zgromadzi wyznawców na całym świecie. Zawiodła go własna pycha, to ona zmieniła miłość w nienawiść. Jim nigdy nie był szalony. Ktoś musi podążyć jego drogą – mówiła. – Przejąć jego zadanie. Musi to być ktoś, kto potrafi wyrzec się pychy i jednocześnie będzie bezwzględny, jeśli zajdzie taka potrzeba. Przebudzenie religijne nie odbędzie się bez przelewu krwi.

Mężczyzna został w jej domu i pomagał jej prowadzić firmę, którą Sue-Mary nazwała „Boży Klucz”. Sama opracowywała niezwykle podręczniki, mające pomagać ludziom w samorealizacji. Mężczyzna wkrótce zrozumiał, że Sue-Mary rozumiała Jima Jonesa tak dobrze, ponieważ sama była oszustką. Dokładnie czytał książki, które rozsyłali, i znajdował w nich

jedynie chaotyczny zbiór sugestywnych porad dotyczących samodzielności, okraszonych garścią cytatów, często zmienionych lub nieprawdziwych, rzekomo pochodzących z Biblii. Został z nią jednak, ponieważ go do siebie przyjęła. Potrzebował czasu, by uporać się ze swą wewnętrzną pustką i zaplanować swoje życiowe zadanie. Postanowił, że zacznie od miejsca, w którym zadanie to przerwał Jim Jones. Będzie jednak unikał pychy, nie zapominając, że religijne przebudzenie chrześcijan wymaga ofiar i krwi.

W miarę upływu czasu potworne wspomnienia z Gujany zaczęły powoli blednąć. Mężczyznę i Sue-Mary połączyła miłość, którą przez wiele lat on traktował jak łaskę, pozwalającą mu wypełnić trawiącą go od środka pustkę. W Sue-Mary dostrzegał Boga. Uznał, że w końcu dotarł na miejsce. Nigdy nie porzucił myśli o pisaniu wspomnień związanych z Jimem Jonesem. Ktoś musi napisać prawdę o oszuście i Antychryście, myślał. Wciąż to jednak odkładał.

Firma Sue-Mary działała dobrze. Zawsze mieli sporo pracy, zwłaszcza po tym, gdy ona stworzyła coś, czemu nadała nazwę „Pakiet bolesnego punktu”. Sprzedawała go za czterdzieści dziewięć dolarów, nie wliczając przesyłki. To był jej wielki sukces. W krótkim czasie bardzo się wzbogacili, wyprowadzili się z domu przy Madison i przenieśli na wieś, do dużej willi w Middleburg Heights. Syn Sue-Mary, Richard, wrócił ze studiów w Minneapolis i zamieszkał w sąsiednim domu. Był odludkiem, ale zawsze był miły. Cieszył się z tego, że nie spadł na niego obowiązek zajmowania się samotną matką.

Koniec nadszedł szybko, niespodziewanie. Pewnego dnia Sue-Mary pojechała do Cleveland. Mężczyzna sądził, że ma tam jakieś sprawy do załatwienia. Kiedy wróciła, usiadła naprzeciwko niego przy biurku i zakomunikowała, że wkrótce umrze. Wypowiedziała te słowa z niezwykłą lekkością, jakby ich przekaz oznaczał dla niej wyzwolenie.

– Mam raka i niedługo umrę – powiedziała. – Nowotwór rozprzestrzenia się w moim ciele bez żadnej kontroli. Są liczne przerzuty. Nie ma żadnej nadziei. Umrę za trzy miesiące.

Sue-Mary zmarła siedemdziesiąt siedem dni po tym, jak wróciła od lekarza i zakomunikowała mu, że jej życie niebawem dobiegnie końca. Było to wiosną 1999 roku. Ponieważ mężczyzna nigdy się z nią nie ożenił, cały majątek odziedziczył jej syn. Po pogrzebie on i Richard pojechali nad jezioro Erie i długo spacerowali. Richard chciał, żeby mężczyzna z nim został, proponował mu pracę w firmie i podział dochodów. On jednak już podjął decyzję. Trawiąca go pustka nie zniknęła, lata spędzone z Sue-Mary pozwoliły mu ją jedynie złagodzić. Miał zadanie do wykonania. Dojrzał w nim długo układany plan. Bóg zesłał mu wizję, dzięki której zrozumiał zadanie. Miał podnieść miecz i wymierzyć go prosto w trawiącą go pustkę. Pustkę, którą przez ostatnie lata ledwie dostrzegał. Nie powiedział o tym Richardowi. Poprosił go tylko o trochę pieniędzy, tyle, ile Richard może mu dać, nie narażając firmy na finansowe problemy. Potem zamierzał wyjechać. Miał misję do wykonania. Richard nie zadał mu ani jednego pytania.

Mężczyzna opuścił Cleveland 19 maja 2001 roku. Poleciał przez Nowy Jork do Kopenhagi. Późnym wieczorem 21 maja dotarł do Helsingborga. Znalazłszy się na szwedzkiej ziemi po tylu latach tułaczki, dłuższą chwilę stał bez ruchu. Poczuł, że w tym momencie ulatują mu z pamięci ostatnie strzępy wspomnień o Jimie Jonesie.

Kurt Wallander już miał zadzwonić po pogotowie energetyczne, kiedy światło znów się włączyło. Zaledwie po paru sekundach od chwili, gdy wrócił prąd, nagle wszyscy podskoczyli ze strachu. W drzwiach pojawili się Henrietta Westin i jej pies. Zwierzak radośnie doskoczył do Wallandera, brudząc mu ubranie ubłoconymi łapami. Henrietta ze złością puściła smycz i spojrzała na Lindę.

– Jakim prawem weszliście do mojego domu, kiedy mnie w nim nie ma? Nie znoszę ludzi, którzy wszędzie wtykają nos.

– Gdyby nie było przerwy w dostawie prądu, wyszlibyśmy na zewnątrz – odpowiedział jej Kurt.

Linda słyszała po głosie ojca, że lada chwila wpadnie w złość.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – rzuciła Henrietta. – Dlaczego weszliście do środka, skoro nie otworzyłam wam drzwi?

Linda coraz bardziej obawiała się wybuchu ojca.

– Chcemy się tylko dowiedzieć, co dzieje się z Anną – odparła.

Henrietta zdawała się jej nie słuchać. Chodziła po salonie, uważnie się rozglądając.

– Mam nadzieję, że niczego tu nie ruszaliście.

– Niczego nie dotykaliśmy – odezwał się Kurt. – Chcemy tylko wyjaśnić parę spraw i zaraz sobie pójdziemy.

Henrietta przystanęła i spojrzała na niego, mrużąc oczy.

– Co takiego chcecie wyjaśnić? Zamieniam się w słuch.

– Możemy usiąść?

– Nie.

Teraz nastąpi wybuch, pomyślała Linda i zamknęła oczy. Jednak Wallander zachował spokój, widząc zapewne reakcję córki.

– Musimy skontaktować się z Anną. Od paru dni nie ma jej w domu. Czy wie pani, gdzie ją znajdziemy?

– Nie.

– Czy zna pani kogoś, kto wie, gdzie ona może być?

– Linda jest jej przyjaciółką. Zapytał ją pan? A może ona nie ma czasu, żeby panu odpowiedzieć, bo spędza go na szpiegowaniu pod moim domem?

Tym razem Kurt Wallander nie wytrzymał. Henrietta Westin przekroczyła niewidzialną granicę, pomyślała Linda. Ryknął tak głośno, że pies aż się poderwał i usiadł na swoim posłaniu. Doskonale znam te wrzaski, Linda mówiła do siebie w myślach. Zostawiły głęboki ślad w moich wspomnieniach z dzieciństwa. Kto wie, być może jego wściekłość to pierwsza rzecz, o której myślę, kiedy wracam do tamtych lat?

– Albo odpowie pani na moje pytania wprost i jasno, albo zabierzemy panią do Ystad. Musimy skontaktować się z Anną, bo być może ona coś wie o Birgitcie Medberg.

Przerwał na moment, a po chwili dodał:

– Poza tym chcemy się upewnić, że nic jej nie jest.

– A co niby miało jej się stać? Studiuje w Lund. Linda wie o tym. Dlaczego nie porozmawiacie z kimś, z kim ona tam mieszka?

– Zrobimy to. Czy jest jakieś inne miejsce, dokąd mogłaby się udać?

– Nie.

– Przejdźmy zatem do pytań dotyczących mężczyzny, który panią odwiedził.

– Chodzi panu o Petera Stigströma?

– Czy może pani opisać jego fryzurę?

– Już to zrobiłam.



– Oczywiście możemy mu złożyć wizytę, ale wolałbym, żeby pani nam pomogła i odpowiedziała na moje pytanie.

– Ma długie włosy, sięgają mu do ramion. Ciemnoblond. Gdzieniedzie trochę siwe. Wystarczy?

– Czy może pani opisać jego kark?

– Mój Boże! Jeśli ma się włosy do ramion, to one zakrywają też kark!

– Jest pani tego pewna?

– Oczywiście, że tak.

– W takim razie dziękuję.

Wallander wyszedł, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. Stefan Lindman ruszył za nim, Linda natomiast stała chwilę w miejscu, nie wiedząc, co począć. Dlaczego ojciec nie skonfrontował jej zeznań z tym, co widziałam? Właśnie miała wyjść, kiedy Henrietta stanęła jej na drodze.

– Nie życzę sobie, żeby ktoś wchodził do mojego domu bez zaproszenia. Nie chcę być zmuszona zamykać drzwi, kiedy idę na spacer z psem. Zrozumiałaś?

– Zrozumiałam – odparła Linda.

Henrietta odwróciła się do niej plecami.

– Jak twoja noga? – rzuciła.

– Lepiej.

– Może kiedyś opowiesz mi, co robiłaś nocą pod moim domem.

Linda wyszła na dwór. Miała już pewność, dlaczego Henrietta nie martwi się o córkę, mimo że w okolicy doszło do brutalnego zabójstwa. Ona doskonale wie, gdzie podziewa się Anna.

Wallander i Lindman czekali na nią przy samochodzie.

– Czym ona się zajmuje? – zapytał Stefan. – Wszędzie poniewierają się nuty. Pisze piosenki?

– Komponuje muzykę, której nikt nie chce słuchać – odparł Wallander.

Spojrzał na Lindę.

– Mam rację?

– Być może.

Nagle zadzwonił telefon. Wszyscy troje zaczęli grzebać w swoich kieszeniach. Dzwoniła komórka Wallandera. Odebrał i chwilę słuchał głosu w słuchawce.

– Już jadę – mruknął.

Rozłączywszy się, wepchnął telefon z powrotem do kieszeni.

– Musimy jechać do Rannesholm – zwrócił się do Lindmana. – Wygląda na to, że ktoś widział tam jakichś ludzi szwendających się po lesie w ostatnich dniach. Po drodze podrzucimy cię do domu – zakończył, patrząc na Lindę.

Nim wsiedli do auta, zapytała, dlaczego nie zażądał od Henrietty Westin wyjaśnień dotyczących fryzury jej nocnego gościa.

– Wolę z tym poczekać – powiedział. – Czasem lepiej jest pozwolić dojrzeć pytaniu, że się tak wyrażę.

Porozmawiali chwilę o tym, dlaczego Henrietta nie niepokoi się o córkę.

– Nie ma innego wytłumaczenia – podsumował Wallander. – Ona wie, gdzie jest Anna, a my na razie możemy tylko zgadywać, dlaczego kłamie. Jeśli się postaramy, prędzej czy później wszystkiego się dowiemy. Ale teraz to nie jest najważniejsze.

Jechali do Ystad w milczeniu. Linda miała ochotę zapytać, co wydarzyło się w okolicach Rannesholm, zarazem jednak czuła, że lepiej będzie odłożyć to na później. Zatrzymali się pod domem przy Mariagatan. Wallander poprosił Lindmana, by na moment wyłączył silnik.

– Jeszcze raz powtórzę, co mówiłem wcześniej – powiedział, odwracając się do tyłu, w stronę Lindy. – Jestem przekonany, że Annie nic nie jest. Jej matka wie, gdzie ona jest i dlaczego się nie odzywa. W tej chwili nie możemy sobie pozwolić na przydzielenie kogoś do pracy nad

sprawą jej zniknięcia, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś ty pojechała do Lund i porozmawiała z kimś, kto z nią wynajmuje mieszkanie. Pod warunkiem że nie wystąpisz w roli policjantki.

Linda wysiadła z auta i pomachała im na pożegnanie. Kiedy tylko weszła do mieszkania, stanęła jak wryta. Uderzyła ją myśl, że Anna niedawno powiedziała coś znamiennego, chyba podczas ich ostatniego spotkania. Linda wytężyła wszystkie zmysły, żeby sobie przypomnieć te ważne słowa przyjaciółki. Bezskutecznie.

Nazajutrz wstała bardzo wcześnie. Ojca nie było, nie wrócił na noc. Tuż po ósmej wyszła z domu. Świeciło słońce i było niemal bezwietrznie. Nie spieszyła się, więc pojechała wzdłuż wybrzeża w stronę Trelleborga, potem skręciła na północ, w kierunku Lund. Dopiero na wysokości Anderslöv włączyła radio, żeby wysłuchać wiadomości. Nie powiedziano nic na temat Birgitty Medberg. Znalazła stację nadającą duńską muzykę dyskotekową, podgłośniła radio i docisnęła pedał gazu. Tuż przed Staffanstorp zatrzymał ją patrol drogówki. Linda głośno zakląła, ściszyła muzykę i opuściła szybę w aucie.

– Przekroczyła pani dopuszczalną prędkość o trzynaście kilometrów – oznajmił jej z triumfem policjant, zupełnie jakby przekazywał jej jakąś radosną wiadomość.

– O nie – sprzeciwiła się Linda. – Nie więcej niż o dziesięć.

– Radar nie kłamie. Jeśli chce się pani ze mną spierać, proszę bardzo, ale zapewniam panią, że wygram.

Usiadł obok, na fotelu pasażera, i skontrolował jej dokumenty.

– Dokąd się pani tak spieszy?

– Za parę dni zaczynam pracę w policji – odparła i natychmiast tego pożałowała.

Mężczyzna spojrzał na nią z uwagą.

– Nie pytałem o to, czym się pani zajmuje, ale o to, dokąd się pani tak spieszy. Nie musi pani odpowiadać. Wypiszę mandat.

Kiedy skończył pisać, wysiadł i dał jej znak, że może odjechać.

Poczuła się jak idiotka, chociaż bardziej złościło ją to, że miała pecha i dała się złapać.

Gdy dotarła do Lund, sprawdziła adres, zaparkowała samochód i poszła kupić sobie loda. Wciąż jeszcze kipiała w niej złość, że będzie musiała zapłacić mandat. Usiadła na ławce w słońcu, żeby zebrać myśli i trochę się uspokoić. Jeszcze dziewięć dni, pomyślała. Lepiej, że to stało się teraz, kiedy jeszcze nie jestem w policji.

W kieszeni zabrzączał telefon. Dzwonił ojciec.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– W Lund.

– Znalazłaś ją?

– Dopiero przyjechałam. Po drodze wlepili mi mandat.

– Za co?

– Za przekroczenie prędkości.

Wallander zaśmiał się wyraźnie rozbawiony.

– I jak ci z tym?

– O co ci chodzi?

– Pewnie poczułaś się głupio.

Linda z irytacją zmieniła temat rozmowy.

– Po co dzwonisz?

– Myślałem, że trzeba będzie cię obudzić.

– Nie trzeba, dobrze o tym wiesz. Poza tym to ty nie wróciłaś na noc.

– Spałem chwilę na zamku. Udostępnili nam parę pokoi.

– Jak wam idzie?

– Nie mam teraz czasu, żeby o tym opowiadać. Muszę kończyć.

Linda schowała komórkę do kieszeni. Po co on zadzwonił? Pewnie mnie sprawdza, pomyślała, wstając z ławki.

Dom, w którym Anna wynajmowała pokój, był dwupiętrowym drewnianym budynkiem, otoczonym niewielkim ogrodem. Zardzewiała furka ledwo trzymała się na zawiasach. Linda zadzwoniła do drzwi. Nikt nie otworzył. Zadzwoniła ponownie, tym razem pilnie nasłuchując. Nic nie zabrzęczało, dzwonek musiał być zepsuty. Zapukała więc, długo i głośno. Po paru chwilach za szybą w drzwiach dojrzała czyjś cień. Otworzył jej chłopak, na oko dwudziestoletni, o twarzy pokrytej pryszczami. Miał na sobie dzinsy, podkoszulek i duży brązowy szlafrok pełen dziur. Linda poczuła ostry zapach potu.

– Szukam Anny Westin – powiedziała.

– Nie ma jej – odparł chłopak.

– Ale mieszka tutaj, tak?

Młody mężczyzna odsunął się, aby Linda mogła wejść do środka. Kiedy go mijala, poczuła na plecach jego spojrzenie.

– Zajmuje pokój za kuchnią – wyjaśnił.

Linda niechętnie podała mu rękę na powitanie i przedstawiła się. Przeszedł ją dreszcz obrzydzenia, kiedy chłopak odwzajemnił uścisk, swoją wiotką i spoconą dłoń.

– Jestem Zachariasz – powiedział. – Nie wiem, czy zamknęła drzwi na klucz.

Kuchnia była nieposprzątana. W zlewie piętrzyły się brudne talerze, sztućce i sterty rondli. Jak ona może mieszkać w tym syfie? Linda nacisnęła klamkę. Drzwi do pokoju Anny nie były zamknięte. Zachariasz stał w progu kuchni, opierając się o framugę. Wpatrywał się w Lindę. Znow przeszedł ją dreszcz, spojrzenie chłopaka wydawało się przebiegłe.

Otworzyła drzwi do pokoju. Zahariasz cofnął się na chwilę do kuchni i założył okulary, jakby chciał przyciągnąć ją wzrokiem do siebie.

– Anna nie lubi, kiedy ktoś wchodzi do jej pokoju – powiedział.

– Jestem jej bliską przyjaciółką. Gdyby nie chciała, żebym wchodziła, zamknęłaby drzwi.

– Skąd mogę mieć pewność, że jesteś jej przyjaciółką?

Linda poczuła nieodpartą chęć wypchnięcia z kuchni tego śmierdzącego potem chłopaka. Powstrzymała się jednak. Zrezygnowała też z wejścia do pokoju.

– Kiedy ją ostatnio widziałeś?

Chłopak cofnął się o krok.

– To przesłuchanie?

– Skąd. Po prostu próbowałam się do niej dodzwonić, ale na próżno.

Chłopak wciąż się na nią gapił.

– Możemy usiąść w salonie – zaproponował.

Linda ruszyła za nim. W pokoju, który nazwał „salonem”, stały niepasujące do siebie, mocno zużyte meble. Na jednej ścianie wisiał naddarty plakat z podobizną Che Guevary, na innej kilim z wyhaftowanym napisem „Tylko tam jest jak w niebie, gdzie się czujesz u siebie”. Zachariasz usiadł przy stole, na którym rozstawiona była szachownica z pionkami. Linda zajęła miejsce naprzeciwko niego, najdalej jak się dało.

– Co studiujesz? – zapytała.

– Nie studiuję. Gram w szachy.

– Da się z tego żyć?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nie da się żyć bez tego.

– Nie wiem nawet, jak przesuwają się pionki na szachownicy.

– Jeśli chcesz, mogę cię nauczyć.

Nie, dzięki, pomyślała. Chcę stąd jak najszybciej wyjść.

– Ile osób tu mieszka?

– To zależy. Teraz akurat cztery. Margareta Olsson, studentka ekonomii, Peter Engbom, przyszły fizyk, który tymczasowo utknął na religioznawstwie, ja, który gram w szachy, no i Anna.

– Przyszła lekarka.

Reakcja chłopaka była niemal niezauważalna, lecz nie uszła jej uwadze. Był zaskoczony. Równocześnie Linda przypomniała sobie słowa Anny, których nie mogła odnaleźć w pamięci od zeszłego wieczoru.

– Kiedy ją ostatnio widziałeś?

– Mam słabą pamięć. Mogła tu być wczoraj, ale równie dobrze tydzień temu. Aktualnie skupiam się na studiowaniu wirtuozerskiego zagrania końcowego w wykonaniu Capablanki. Jeśli dałoby się transkrybować ruchy pionków szachowych na nuty, partie Capablanki zmieniłyby się w fugi albo wielkie msze.

Kolejny wariat, który zajmuje się muzyką nie do słuchania, pomyślała Linda.

– To bardzo ciekawe – powiedziała, wstając od stołu. – Czy ktoś z pozostałych lokatorów jest w domu?

– Nie, jestem sam.

Linda wróciła do kuchni. Zachariasz poszedł za nią. Linda wbiła w niego badawczy wzrok.

– Wejdę teraz do jej pokoju, czy ci się to podoba, czy nie.

– Nie sędzę, żeby była z tego zadowolona.

– Możesz spróbować mnie powstrzymać.

Zachariasz stał bez ruchu, nie przestając wpatrywać się w Lindę. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Pokój wyglądał jak służbówka, był mały i wąski. Stało w nim łóżko, niewielkie biurko i regał na książki. Linda usiadła na łóżku i rozejrzała się wokół. Zachariasz pojawił się w drzwiach, a Lindzie przyszła do głowy nagła myśl, że chłopak zaraz się na nią rzuci. Wstała i cofnęła się o krok.

Wciąż się na nią gapił. Zupełnie jakby oblażło mnie jakieś robactwo, pomyślała. Chętnie przeszukałaby szuflady biurka, ale dopóki on śledził każdy jej ruch, nie miała odwagi. Równie dobrze mogę sobie pójść, stwierdziła.

– O której przyjdą pozostali? – zapytała.

– Nie mam pojęcia.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Zachariasz cofnął się, ale nie przestał się w nią wpatrywać. Nagle się uśmiechnął, odsłaniając garnitur przeraźliwie żółtych zębów. Linda poczuła mdłości. Uznała, że musi jak najszybciej opuścić ten dom.

– Chętnie nauczę cię grać w szachy – ponowił propozycję Zachariasz.

Linda szybko przeszła do przedpokoju, otworzyła drzwi wyjściowe i stanęła na schodach. Nagle gwałtownie się odwróciła i weszła z powrotem do środka.

– Na twoim miejscu zaczęłabym od porządnej kąpieli – syknęła, odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę furtki.

Po chwili usłyszała, jak zatrzasną się za nią drzwi. Cała wyprawa na nic, pomyślała z wściekłością. Jedyne, co mi się udało, to zademonstrować własną słabość. Kopnęła furtkę, która z hukiem uderzyła o skrzynkę na listy zawieszoną na płocie. Linda rozejrzała się wokół. Drzwi do domu były zamknięte, nie dostrzegła też nikogo w oknie. Zajrzała do skrzynki. Na dnie leżały dwa listy. Jeden do Margarety Olsson, z jakiegoś biura podróży w Göteborgu, na drugim widniało ręcznie wykaligrafowane imię i nazwisko Anny. Linda najpierw się zawahała, jednak po chwili sięgnęła po list i zabrała go do samochodu. Czytałam już jej pamiętnik, pomyślała, teraz pora na listy. Robię to wyłącznie dlatego, że się o nią martwię. W kopercie tkwiła złożona na pół kartka. Rozłożywszy ją, Linda aż podskoczyła. Z listu wypadł zgnieciony i zasuszony pająk.



Tekst był niedokończony, pisany odręcznie, nikt się pod nim nie podpisał.

Obecnie przebywamy w nowym miejscu, w Lestarp, za kościołem pierwsza w lewo, potem będzie czerwony znak na starym dębie. Nigdy nie zapominajmy, że Szatan ma wielką moc. My jednak wiemy, że inny potężny anioł niebawem zstąpi z niebios, odziany w obłok...

Odłożyła list na siedzenie. Przypomniały jej się słowa Anny, których nie mogła przywołać w pamięci od zeszłego dnia. Powinnam za to podziękować szachiście, pomyślała. Wszystkich lokatorów poza Anną chłopak opisał jej, wspominając, czym się zajmują. Tylko Anna pozostała jedynie Anną. Zgodnie z wiedzą Lindy, studiowała medycynę i chciała zostać lekarzem. Słowa, które przypomniały się Lindzie, padły w rozmowie o pamiętnym dniu w Malmö, kiedy Anna zobaczyła na ulicy swojego ojca. Wspomniała, że ktoś obok niej się przewrócił i potrzebował pomocy. Powiedziała, że nie cierpi tego typu sytuacji i widoku krwi. To chyba kiepski punkt wyjścia dla przyszłego lekarza, uznała Linda. Znów spojrzała na list leżący na siedzeniu. Co to wszystko oznacza? „Inny potężny anioł niebawem zstąpi z niebios, odziany w obłok”.

Słońce świeciło mocno. Mimo że zaczął się już wrzesień, był to jeden z najcieplejszych dni lata. Linda wyjęła ze schowka mapę Skanii. Lestarp leżało między Lund a Sjöbo. Opuściła osłonę przed słońcem. To zbyt dziecinne, pomyślała. Kto wysyła list z martwym pajakiem, wypadającym z niego jak ze starego klosza lampy przy zmianie żarówki? Nie zmienia to jednak faktu, że Anna zniknęła, zatem to z pozoru dziecinne przedstawienie ma coś wspólnego z rzeczywistością. Czyżby kolejna chatka z piernika? Z odciętymi dłońmi i odrąbaną głową.

Poczuła się tak, jakby dopiero w tej chwili dotarło do niej, co zobaczyła w leśnym szałasie. Miała równocześnie wrażenie, że obraz Anny powoli zaciera jej się przed oczami, nie widziała jej już tak wyraźnie. Być może ona wcale nie studiuje medycyny, podsumowała. To niezwykle, że akurat dziś, w najcieplejszym dniu mijającego lata, nagle odkrywam, że wcale nie znam Anny Westin. Jej postać jawi mi się jak we mgle. Zupełnie jakby była odziana w obłok...

Nie podjęła żadnej decyzji, po prostu pojechała prosto do Lestarp. Tego dnia w Skanii temperatura osiągnęła trzydzieści stopni.

Dotarłszy do Lestarp, Linda zaparkowała pod kościołem. Zauważyła, że niedawno został odnowiony. Świeżo pomalowane drzwi aż lśniły w ostrych promieniach słońca. Nad wejściem wisiała czarna tablica obwiedziona złoconą ramą. Informowała, że kościół został wzniesiony w 1851 roku, za rządów króla Oskara I. Linda jak przez mgłę pamiętała opowieść dziadka o tym, że jej prapradziadek zginął na morzu w tym samym roku. Rozmyślała o tym, chodząc wokół budynku i rozglądając się za toaletą. Jej przodek utonął, kiedy żaglowiec, na którym płynął, stracił stery podczas gwałtownego sztormu i rozbił się o skały u wybrzeży Skagen. Wszyscy zginęli, a ciała wyłowiono, dopiero kiedy morze się uspokoiło. Prapradziadek został pochowany w nieoznakowanym grobowcu. Linda weszła do kościoła, a potem schodami w dół, do krypty. Jej kroki odbijały się głośnym echem. Poczowała orzeźwiający chłód. Znalazszy toaletę, otworzyła drzwi i nagle wyobraziła sobie, że zobaczy za nimi Annę. W środku jednak nikogo nie było. Przypomniała sobie słowa dziadka: „Interesują mnie tylko ważne daty. Na przykład kiedy ktoś utonął albo przyszedł na świat ktoś taki, jak ty”.

Po wyjściu z kabiny dokładnie umyła ręce, jakby chciała pozbyć się wspomnienia nieprzyjemnego uścisku dłoni śmierdzącego potem szachisty. Później chwilę przyglądała się sobie w lustrze, przeczesła włosy palcami. Ujdzie, pomyślała. Wprawdzie usta mam wąskie, nos trochę garbaty, ale za to bystre spojrzenie i zęby tak równe, że wielu mogłoby mi ich pozazdrościć. Wzdrygnęła się, wyobraziwszy sobie, że szachista próbuje ją pocałować. Wyszła z toalety i wbiegła po schodach na górę. W drzwiach napotkała starszego mężczyznę z pudełkiem świec w rękach. Przytrzymała

mu drzwi i zamiast wyjść, ruszyła za nim do środka. Mężczyzna postawił karton na stole i chwycił się za plecy.

– Bóg mógłby oszczędzić wiernemu słudze cierpienia – jęknął.

Mówił ściszym głosem. Linda natychmiast się zorientowała dlaczego. Nie byli sami. W jednej z ławek ktoś siedział, w pierwszej chwili sądziła, że to skulony mężczyzna, myliła się jednak.

– Gudrun opłakuje swoje dzieci – szepnął mężczyzna. – Przychodzi tu codziennie, przez okrągły rok. Specjalnie z myślą o niej rada parafialna postanowiła, że kościół zawsze będzie otwarty. Minęło już chyba dziewiętnaście lat.

– A co się stało? – spytała Linda.

– Miała dwóch chłopców, którzy pewnego dnia wpadli pod pociąg. To była potworna tragedia. Jeden z ratowników, który przyjechał na miejsce, żeby pozbierać to, co z nich zostało, stracił potem rozum. Tak słyszałem. Jechał z kolegą na jakąś kolejną akcję, nagle kazał mu się zatrzymać, wysiadł z auta i pobiegł do lasu. Jego ciało znaleźli dopiero po trzech latach. Gudrun będzie tu przychodzić do śmierci. Pewnie kiedyś po prostu umrze w tej ławce.

Mężczyzna podniósł pudełko ze świecami i po chwili zniknął, oddalając się w kierunku ołtarza. Linda wyszła z kościoła. Wszędzie wokół jest śmierć, pomyślała. Czyha tuż obok, próbuje mnie zwodzić. Nie znoszę kościołów, nie mam siły patrzeć na płaczące kobiety. Ale jak to się ma do decyzji, by zostać policjantką? Tak samo jak pomysł, żeby zostać lekarzem, kiedy czuje się obrzydzenie na widok krwi. A może lekarzem zostaje się z tego samego powodu, co policjantem? Z chęci sprawdzenia, czy się tej pracy podoła?

Nie przerywając rozmyślań, Linda weszła na teren cmentarza. Przyszło jej na myśl, że wędrowanie wśród nagrobków to jak spacer między regałami w bibliotece. Każdy nagrobek jest jak okładka książki. Pod

jednym z nich na przykład od dziewięćdziesięciu siedmiu lat spoczywa Johan Ludde wraz z żoną Linneą. Linnea zmarła w wieku czterdziestu jeden lat, on dożył siedemdziesięciu sześciu. Ich zadbane nagrobek, u którego stóp leżały zwiędłe resztki bukietu, skrywał jakąś konkretną historię. Krążąc wokół grobów, Linda czuła się tak, jakby przeglądała kolejne książki, czytała tytuły. Wyobraziła sobie własny nagrobek, potem ojca i wszystkich przyjaciół. Nie miała odwagi pomyśleć o płycie z nazwiskiem Birgitty Medberg.

W pewnej chwili natknęła się na leżący w trawie kamień, niemal całkiem porośnięty mchem. Kucnęła, by go trochę oczyścić. Odgarnęła mech i zalegającą w szczelinach ziemię i wreszcie ujrzała napis: „Sofia 1854–1869”. Dziewczynka o tym imieniu zmarła w wieku piętnastu lat. Czyżby i ona pewnego dnia stanęła na barierce nad przepaścią? Tylko pewnie w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc.

Ruszyła dalej, wciąż krążąc wśród grobów. Pomyślała o miejscu, które pokazał jej ojciec. Jego małym prywatnym cmentarzu, gdzie drzewa zastępują nagrobki. A jak wygląda mój prywatny cmentarz, zadała sobie w myślach pytanie. Wyobraziła go sobie na podobieństwo krajobrazu, który zobaczyła podczas pewnej wycieczki po Archipelagu Sztokholmskim. Stanął jej przed oczami jego skraj, miejsce w okolicach Möja, gdzie tu i ówdzie wynurzają się z wody małe wysepki. Każda z nich jest jak drzewo na cmentarzu ojca, pomyślała. Jedna wyspa, jeden głaz, jedna śmierć. Drogę na cmentarz wskazują błyskające w oddali latarnie.

Odwróciła się i niemal wybiegła z cmentarza. Trzeba unikać śmierci. Nie wolno wywoływać wilka z lasu. Nagle otworzyły się drzwi kościoła. Nie stanęła w nich jednak śmierć, ale ten sam starszy mężczyzna. Tym razem miał na sobie wiatrówkę i czapkę z daszkiem.

– Kim była Sofia? – spytała go Linda.

– Na naszym cmentarzu leżą cztery parafianki o tym imieniu. Dwie zmarły ze starości, jedna w połogu, w wieku trzydziestu lat, ostatnia dożyła piętnastu.

– Pytam o tę najmłodszą.

– Kiedyś wiedziałem, ale teraz już ledwo pamiętam. Chyba zmarła na gruźlicę. Miała ubogich rodziców, ojca kalekę. Byli biedni jak myszy kościelne, ale ten kamień opłacił pewien handlarz z Lestarp. Oczywiście potem krążyły plotki.

– Jakie plotki?

– Że zrobił dziewczynie dziecko, a później próbował uciszyć wyrzuty sumienia, fundując jej kamień.

Linda odprowadziła mężczyznę do samochodu.

– Zna pan imiona wszystkich zmarłych? I historię każdego? – zapytała.

– Nie, ale wielu. Poza tym proszę pamiętać, że groby się przekopuje! Pod niedawno zmarłymi leżą ci, którzy odeszli wiele lat temu. Nawet pośród umarłych są liczne pokolenia i piętra w ogrodzie ich wiecznego spoczynku. Wciąż słyszę ich szepty.

– Jak to?

– Nie wierzę w duchy, ale często słyszę szepty między nagrobkami. Uważam, że każdy powinien sam zdecydować o tym, obok kogo będzie leżał. W końcu martwym jest się na długi czas, nieprawdaż? Kto chciałby mieć u boku zrzedzącą babę? Albo jakiegoś starucha, który też ciągle gdera albo nie potrafi porządnie opowiedzieć żadnej ciekawej historii. Już ja dobrze wiem, że oni do siebie szepczą. Z nimi jest tak, jak w życiu – jedni są bardziej ciekawscy od innych.

Otworzył drzwi do samochodu i spojrział na Lindę, osłaniając dłonią oczy przed ostrym słońcem.

– Kim pani jest?

– Szukam przyjaciółki.

– To dobrze, bardzo dobrze. Szukanie przyjaciela w tak piękny dzień to dobra rzecz. Mam nadzieję, że ją pani znajdzie.

Zanim wsiadł do auta, uśmiechnął się do niej.

– Ale ja nie wierzę w duchy.

Linda patrzyła za nim chwilę, zanim nie zniknął za zakrętem.

A ja wierzę, pomyślała. Niestety fakt, że w nie wierzę, daje mi pewność, że nie istnieją.

Ruszyła ścieżką wiodącą za kościół i cmentarz. Od razu zauważyła drzewo z czerwonym znakiem i skręciła przy nim w lewo, w dróżkę prowadzącą w dół zbocza. Po kilku chwilach ujrzała stary zniszczony dom. Miał przybudówkę z pomalowanego na czerwono drewna, reszta budynku była z pobielonego wapnem kamienia. Ktoś przykrył dziury w dachu kawałkami dachówki w różnych kolorach. Linda zatrzymała się i rozejrzała. Otaczała ją zupełna cisza. Pod jabłoniemi nieopodal stał zardzewiały traktor, niemal do połowy wrosnięty w ziemię. Nagle otworzyły się drzwi. Pojawiła się w nich kobieta ubrana na biało i ruszyła prosto w stronę Lindy. Jak to możliwe? Po drodze Linda nie spotkała nikogo, a teraz stała schowana między drzewami. Kobieta jednak zmierzała w jej kierunku. Uśmiechała się. Obie były mniej więcej w tym samym wieku.

– Czy mogę pani w czymś pomóc? – zapytała. Mówiła mieszanką duńskiego i angielskiego.

– Szukam przyjaciółki – odparła Linda. – Anny Westin.

Kobieta znowu się uśmiechnęła.

– My tutaj nie używamy imion. Wejźmy do środka, może znajdzie tam pani swoją przyjaciółkę.

Łagodny głos nieznajomej sprawił, że Linda poczuła się nieswojo. Miała wrażenie, że wchodzi w jakąś pułapkę, jednak ruszyła za postacią w bieli. Kobieta otworzyła drzwi. Weszły do mrocznego, pomalowanego na biało

pomieszczenia, w którym nie było żadnych ścian działowych. Na podłodze z szerokich desek nie stały żadne meble, nie leżały dywany. Na jednej z krótszych ścian między dwoma oknami zakończonymi łukami wisiał krzyż z czarnego drewna. Pod ścianami bezpośrednio na podłodze siedzieli ludzie. Minęło kilka chwil, nim oczy Lindy oswoiły się z panującym w pomieszczeniu półmrokiem. Była to jedna z nielicznych fizycznych słabości, jakie u siebie odkryła podczas miesięcy spędzonych w szkole policyjnej. Jej oczy potrzebowały dłuższego czasu, by przyzwycząć się do zmiany światła, gdy wychodziła z ciemnego pokoju na słońce lub na odwrót. Zgłosiła się nawet do okulisty, badania jednak niczego nie wykazały, z jej oczami było wszystko w porządku, po prostu musiała pogodzić się z niewielką ułomnością.

Większość ludzi siedzących na deskach obejmowała kolana rękami. Byli w różnym wieku. Zdawało się, że nic ich ze sobą nie łączy, po prostu siedzą w jednym pomieszczeniu i milczą. Nie byli jednakowo ubrani. Jeden ostrzyżony na krótko mężczyzna miał ciemny garnitur i krawat, obok niego siedziała starsza kobieta ubrana całkiem zwyczajnie. Linda rozejrzała się po pokoju. Nigdzie nie dostrzegła Anny. Nieznajoma, która ją tu wprowadziła, spojrzała na nią pytającym wzrokiem. Linda pokręciła głową.

– Jest tu jeszcze jedno pomieszczenie – powiedziała kobieta, ruszając przed siebie.

Linda podążyła za nią. Weszły do drugiego pokoju o pomalowanych na biało drewnianych ścianach i z oknami bez okuć. Również tu pod ścianami siedzieli ludzie. Linda rozejrzała się, ale i wśród nich nie znalazła Anny. Co tu się dzieje? Co było w tym liście? Coś o aniele odzianym w obłok? Wciąż nie mogła się nadziwić, jakim sposobem została zauważona. Czyżby tego domu pilnowali ukryci wśród drzew wartownicy?

– Wyjdźmy na zewnątrz – zaproponowała Lindzie przewodniczka.



Kiedy znalazły się na dworze, kobieta poprowadziła Lindę za dom, ku kamiennym ogrodowym meblom stojącym w cieniu dużego buka. Lindę bardzo zaciekało to miejsce i ludzie, których tu zobaczyła. Czuła, że mają coś wspólnego z Anną. Zdecydowała się mówić wprost.

– Szukam Anny Westin, mojej przyjaciółki. Ona po prostu zniknęła. W jej skrzynce pocztowej znalazłam list, który zawiódł mnie tutaj. Rozumiem, że wy nie używacie imion, ale ona jest dla mnie Anną Westin.

– Proszę powiedzieć, jak ona wygląda.

Nie podoba mi się to, pomyślała Linda. Uśmiech tej kobiety, jej opanowanie i spokój są tak wymuszone, że aż przechodzą mnie dreszcze. Zupełnie jak wtedy, kiedy uścisnęłam dłoń tamtemu szachiście.

Opisała nieznajomej wygląd Anny. Kobieta nie przestawała się uśmiechać.

– Nie wydaje mi się, żebym ją tu widziała – odparła. – Czy ma pani ze sobą ten list?

– Zostawiłam go w samochodzie.

– A gdzie stoi samochód?

– Zaparkowałam go za kościołem. To czerwony golf.

List leży na siedzeniu, auto nie jest zamknięte. To niezbyt mądre z mojej strony.

Zapadła cisza. Linda czuła się coraz bardziej nieswojo.

– Co wy tu robicie? – zapytała.

– Przyjaciółka zapewne pani o nas opowiadała. Każdy z nas powinien przyprowadzać innych do naszej świątyni.

– A więc to jest świątynia?

– Oczywiście, to jest świątynia.

No jasne, pomyślała Linda z ironią. Przecież nie stara rudera, którą kiedyś zbudował, a potem zamieszkał w niej jakiś chłop, harujący w polu na własne utrzymanie.

– Jak się pani nazywa? – zapytała Linda.

– My nie używamy imion ani nazwisk – odparła kobieta. – Nasza wspólnota bierze się ze środka, z powietrza, które wspólnie wdychamy i wydychamy.

– Dziwnie to brzmi.

– Rzeczy najoczywistsze często wydają nam się niezwykle skomplikowane. Szczelina w pudle całkowicie zmienia akustykę. A jeśli odpadnie spód, nie ma już żadnej muzyki. Tak samo jest z ludźmi. Nie można żyć bez poczucia wyższego sensu.

Linda nie rozumiała odpowiedzi, jakich udzieliła jej kobieta. Nie spodobało jej się to, więc o nic więcej już nie spytała.

– Pójdę już – powiedziała, wstając z kamiennej ławy.

Ruszyła szybko przed siebie. Ani razu się nie odwróciła i zatrzymała się dopiero przy samochodzie. Jednak zamiast od razu odjechać, usiadła za kierownicą i zamyśliła się. Oślepiały ją ostre promienie słońca przebijające się przez liście drzew. Właśnie miała włączyć silnik, kiedy spostrzegła idącego ścieżką mężczyznę.

W pierwszej chwili zauważyła tylko zarys jego sylwetki, lecz kiedy wszedł w cień drzew rosnących pod murami kościoła, poczuła się tak, jakby oblało ją lodowate powietrze. Rozpoznała fryzurę i tył jego głowy, a nawet coś jeszcze. Spojrzawszy na niego przez moment, zanim znów wszedł w światło słońca, usłyszała znowu głos Anny. Jej słowa zabrzmiały wyraźnie, opisywały mężczyznę, którego Anna zobaczyła przez okno hotelu w Malmö. Ja siedzę przy innym oknie, pomyślała Linda. Przy oknie w samochodzie. I nie mogę się oprzeć wrażeniu, że mężczyzna, którego przed chwilą widziałam, jest ojcem Anny. To niedorzeczna myśl. Mimo to właśnie ona przyszła mi do głowy.

Mężczyzna zniknął w oślepiającym słońcu. Co tak naprawdę można powiedzieć o człowieku na podstawie jego fryzury i głowy widzianej od tyłu? Nie mogła się nadziwić wnioskowi, do którego doszła zaledwie parę chwil temu. Nie sposób przecież rozpoznać człowieka, którego nigdy wcześniej się nie widziało. Stare zdjęcia Anny i opis ojca, którego przyjaciółka rzekomo widziała przez okno hotelu w Malmö, nie mogły jej w tym też pomóc.

Otrząsnęła się, chcąc odegnać tę myśl, i spojrzała we wsteczne lustro. Plac przed kościołem był pusty. Czekala jeszcze parę minut, nie wiadomo na co, po czym ruszyła w stronę Lund. Choć było już popołudnie, wciąż panował upał. Zaparkowała samochód w tym samym miejscu pod domem, w którym Anna wynajmowała pokój, i nastawiła się na kolejne nieprzyjemne spotkanie z szachistą. Przeszła przez furtkę, lecz kiedy zadzwoniła do drzwi, otworzyła jej jakaś dziewczyna. Wyglądała na trochę młodszą od Lindy, miała wściekle czerwone włosy z niebieskimi pasemkami oraz łańcuszek prowadzący od dziurki w nosie do policzka. Była ubrana na czarno, w coś przypominającego kombinację skóry i plastiku. Całość dopełniały buty: jeden czarny, drugi biały.

– Nie mamy wolnych pokoi – rzuciła z irytacją w głosie. – Nawet jeśli w Stowarzyszeniu Studentów wisi ogłoszenie, jest już nieaktualne. Kto ci powiedział, że chcemy wynająć pokój?

– Nikt. Szukam Anny Westin. Jestem jej przyjaciółką, mam na imię Linda.

– Chyba jej nie ma, ale możesz sprawdzić sama.

Dziewczyna odsunęła się na bok, żeby wpuścić gościa. Linda rzuciła okiem w stronę salonu. Szachy stały na swoim miejscu, na szczęście nigdzie nie było widać szachisty.

– Byłam tu kilka godzin temu – wyjaśniła. – Ale wtedy rozmawiałam z chłopakiem.

– Możesz sobie rozmawiać, z kim chcesz – mruknęła właścicielka czerwonych włosów.

– Czy to ty jesteś Margareta Olsson?

– To mój pseudonim artystyczny.

Linda zrobiła zdziwioną minę. Dziewczyna spojrzała na nią z rozbawieniem.

– Naprawdę nazywam się Johanna von Lööf, ale wolę zwyczajne nazwiska, więc przedstawiam się jako Margareta Olsson. W tym kraju jest tylko jedna Johanna von Lööf, za to dobrych parę tysięcy Margaret Olsson. Kto chciałby być sam?

– Racja – odparła Linda. – Nie wiem, czy dobrze zapamiętałam. Studiujesz prawo?

– Nie, ekonomię.

Margareta wskazała palcem w stronę kuchni.

– Nie sprawdzisz, czy jest u siebie? – zapytała.

– Ty wiesz, że jej tam nie ma, prawda?

– Jasne, że wiem, ale nie bronię nikomu przekonać się na własne oczy.

– Mogę ci zająć chwilę?

– Mam mnóstwo czasu. Ty nie?

Usiadły w kuchni. Margareta piła herbatę, lecz nie zadała sobie trudu, by zaproponować Lindzie coś do picia.

– Ekonomia – zagaiła Linda. – To brzmi skomplikowanie.

– Bo jest. Życie jest skomplikowane. Ale ja mam plan. Chcesz posłuchać?

– Chętnie.

– Jeśli odniesiesz wrażenie, że się przechwalam albo jestem zarozumiała, będziesz miała całkowitą rację. Nikt nie wierzy, że dziewczyna z łańcuchem w nosie może mieć łeb do interesów. Już samo to zmyliło niejednego. Mój plan jest taki: będę studiowała ekonomię przez pięć lat. Potem zrobię praktykę w paru zagranicznych bankach i biurach maklerskich. Ze dwa lata, nie więcej. Na ten czas zdejmę łańcuchy, ale tylko chwilowo. Kiedy zacznę pracować na własny rachunek, znów je założę. Kto wie, może uczczę zakończenie studiów zrobieniem sobie w ciele kolejnych dziur? Zakładam, że to wszystko potrwa siedem lat. W tym czasie zbuduję własny kapitał wart parę milionów.

– Czyżby Johanna von Lööf była bogata? – spytała Linda.

– Jej ojciec stracił na spekulacjach cały tartak na wybrzeżu Norrlandii w tym samym roku, kiedy przyszła na świat. Potem było raczej do dupy. M3 w Trelleborgu, ojciec miał jakąś podłą robotę w porcie. Ale teraz mam swoje akcje, dobrze znam rynek. Kupuję i sprzedaję kiedy trzeba, zarobione pieniądze odkładam. Wystarczy posłuchać telewizora, rzucić okiem na telegazetę i się wie, jak się mają sprawy na giełdzie.

– Myślałam, że telewizję się *ogląda* – wtrąciła Linda.

– Trzeba i patrzeć, i słuchać. Inaczej nie znajdzie się tego, czego się szuka. Jestem jak ubrana na czarno jadowita ropucha, czaję się za liściem, a kiedy pojawia się kąsek, uderzam. Zgromadzenie majątku zajmie mi siedem lat plus trzy, czyli dziesięć. Wtedy uznam, że studia się opłaciły. Będę miała trzydzieści dwa lata i dam sobie spokój. Potem nie zamierzam już więcej pracować.

– Co będziesz robić?

– Zamieszkam w Szkocji i będę obserwować wschody i zachody słońca.

Linda nie była pewna, czy Margareta sobie z niej nie żartuje. Dziewczyna zdawała się czytać w jej myślach.

– Nie wierzysz mi? – zapytała. – Twoja sprawa. Możemy się spotkać za dziesięć lat i wtedy zobaczymy, kto miał rację.

– Wierzę ci.

Margareta z irytacją pokręciła głową.

– Nie, nie wierzysz. Co ty właściwie chciałaś wiedzieć?

– Szukam Anny. To moja przyjaciółka. Martwię się, że coś jej się mogło stać. Nie odzywa się od paru dni.

– I czego ode mnie oczekujesz?

– Kiedy ją ostatnio widziałaś? Dobrze ją znasz?

Odpowiedź była szybka i zaskakująca.

– Nie lubię jej. Staram się jak najmniej z nią rozmawiać.

Linda jeszcze nigdy nie słyszała, żeby ktoś nie lubił Anny. Przemknęło jej przed oczami kilka obrazów z dzieciństwa. Ona często kłóciła się z innymi dziećmi, Anna właściwie nigdy.

– Dlaczego? – zapytała.

– Uważam, że jest nadęta. Ponieważ ja jestem taka sama, zwykle czuję sympatię do osób zachowujących się jak ja. Ale ona jest inna. Ona jest wyniosła w sposób, który mnie nie przekonuje.

Margareta wstała i umyła w zlewie kubek po herbacie.

– Ale ty pewnie nie chcesz słuchać, jak ktoś źle mówi o twojej przyjaciółce.

– Każdy ma prawo do własnego zdania.

Dziewczyna wróciła na swoje miejsce przy stole.

– Jest coś jeszcze – powiedziała. – Na dodatek jest skąpa i kłamie. Nie można na niej polegać. Ani na tym, co mówi, ani że zostawi w spokoju moje mleko czy jabłka należące do kogoś innego.

– To do niej niepodobne.

– Więc musi tu mieszkać jakaś inna Anna. Ja nie lubię jej, a ona mnie. Czyli jesteśmy kwita. Poza tym staramy się nie wchodzić sobie w drogę. Ja

jadam o innych porach niż ona, a łazienki są dwie, więc właściwie się nie spotykamy.

Nagle zadzwoniła komórka Margarety. Dziewczyna odebrała i wyszła z kuchni. Linda rozmyślała o tym, co właśnie usłyszała. Była coraz bardziej przekonana, że Anna, z którą odnowiła kontakt po latach, nie jest tą samą Anną, z którą spędziła dzieciństwo. Nawet jeśli Margareta, czy też Johanna, sprawiała wrażenie osoby pełnej sprzeczności, Linda nie wątpiła, że dziewczyna powiedziała jej prawdę. Nie mam tu nic więcej do roboty, pomyślała. Anna gdzieś się zaszyła. I ma to jakieś swoje wyjaśnienie, tak samo jak fakt, że była w kontakcie z Birgittą Medberg.

Linda podniosła się z krzesła gotowa się pożegnać.

– Jesteś na mnie zła? – zapytała Margareta.

– Dlaczego miałabym być na ciebie zła? – zdziwiła się Linda.

– Bo nie lubię twojej przyjaciółki.

– Nie, nie jestem o to zła.

– To może masz ochotę posłuchać jeszcze gorszych rzeczy?

Znow usiadły przy stole. Linda czekała w napięciu.

– Wiesz, co ona studiuje? – zaczęła współlokatorka Anny.

– Medycynę, chce być lekarką.

– Też tak myślałam. Wszyscy tak myśleliśmy, ale potem od kogoś usłyszałam, że ją skreślili z listy studentów. Krążyła plotka, że oszukiwała. Nie wiem, czy to prawda, może przerwała studia z innego powodu. W każdym razie nikomu z nas o tym nie powiedziała, tylko udawała, że dalej studiuje. Wszyscy dobrze wiemy, że to nieprawda. Anna zajmuje się całkiem innymi rzeczami.

– Jakimi? – nie wytrzymała Linda.

Margareta zastanowiła się chwilę, zanim odpowiedziała.

– Od biedy mogę uznać to za jej zaletę. Jediną zaletę.

– Co takiego?

– Ona się modli.

– Modli się? – zdziwiła się Linda.

– Chyba znasz takie słowo – odparła Margareta kąśliwie. – *Modli się*. To jest to, co ludzie robią w kościele.

Linda nagle straciła cierpliwość.

– Za kogo ty się uważasz? – warknęła. – Jasne, że wiem, co to znaczy. Mówisz, że Anna się modli? Ale gdzie? Kiedy? Dlaczego?

Dziewczyna zdawała się nie przejmować wybuchem Lindy, która od razu pozazdrościła swojej rozmówczyni umiejętności zachowania spokoju.

– Myślę, że w tym akurat wypadku jest szczerza. Wyraźnie czegoś poszukuje, ale nie udaje kogoś, kim nie jest. W pewnym stopniu nawet ją rozumiem. Nie mam problemu z tym, że niektórzy ludzie dążą do wewnętrznego bogactwa z taką samą determinacją, jak ja dążę do bogactwa materialnego.

– Skąd to wszystko wiesz, skoro z nią nie rozmawiasz?

Dziewczyna pochyliła się nad stołem, w stronę Lindy.

– Podśłuchuję. Jestem typem człowieka, który zawsze skrywa się za zasłoną, żeby wszystko o wszystkim i wszystkich wiedzieć. Najgorsze jest to, że wcale nie żartuję. To ma związek z moim spojrzeniem na ekonomię. W wielkiej katedrze światowych rynków trzeba doskonale wiedzieć, pod którym filarem stanąć, żeby dotrzeć do najciekawszych informacji.

– A więc Anna ma tu kogoś, kto jest jej powiernikiem?

– Dziwne słowo, „powiernik”. Co masz na myśli? Ja nie mam żadnego, Anna Westin chyba też nie. Jeśli mam być szczerza, uważam, że jest zdrowo szurnięta. Boże uchovej, jeśli kiedykolwiek miałabym trafić do takiego lekarza. Tak myślałam, kiedy jeszcze wierzyłam w to, że ona studiuje medycynę. Anna często do nas mówi prostym, ale trochę podniosłym językiem. Wszyscy uważamy, że jej kuchenne przemowy są jak naiwne, dziecinne kazania. Moralizuje, a tego nikt z nas nie znosi. Może



z wyjątkiem naszego szachisty. Chyba sobie ubzdurał, że uda mu się ją zaciągnąć do łóżka.

– Myślisz, że mu się uda?

– Nie sędzę.

– Co to znaczy, że Anna moralizuje?

– Mówi, że nasze życie jest ubogie, że nie dbamy o duchowe bogactwo. Nie wiem do końca, w co ona wierzy. Na pewno jest chrześcijanką. Kiedyś próbowałam porozmawiać z nią o islamie. Wściekła się. Jest chrześcijanką, i to konserwatywną. Niczego więcej się nie dowiedziałam. Ale jest w niej to coś, ziarno, które wydaje się prawdziwe, i to coś dochodzi do głosu, kiedy mówi o swojej religii. Czasem słyhać przez drzwi, jak się modli. Brzmi to szczerze, uczciwie. Tylko wtedy nie kłamie, niekradnie. Myślę, że to jest prawdziwa Anna. To chyba wszystko.

Margareta zamilkła i spojrzała na Lindę.

– Coś się stało? – spytała.

Linda pokręciła głową.

– Nie wiem, być może.

– Zmartwiłam cię?

– Tak.

Margareta wstała.

– Anna Westin ma boga, który ją chroni. Przynajmniej tak mówi, właściwie się tym przechwala. Bóg i jakiś ziemski stróż, którego nazywa Gabrielem. Czy to nie imię anioła? Kiepsko to wszystko pamiętam. Tak czy inaczej, z tyloma obrońcami u boku nie powinno ją spotkać nic złego.

Dziewczyna podała Lindzie rękę na pożegnanie.

– Nie mam więcej czasu, muszę lecieć. Ty też jesteś studentką? – zapytała.

– Policjantką. A raczej za parę dni nią zostanę.

Margareta obrzuciła ją badawczym spojrzeniem.

– Będziesz w tym dobra, sądząc po liczbie pytań, jakie mi zadałaś – powiedziała.

– Znasz kogoś o imieniu Mirre? – spytała na zakończenie Linda.

– Nie.

– A wiesz może, czy Anna kogoś takiego zna? Znalazłam numer telefonu do niego w jej notesie z adresami.

– Mogę zapytać innych.

Linda podała jej numer swojej komórki i wyszła. Wciąż nie mogła pozbyć się uczucia zazdrości, jaką wzbudziła w niej Margareta Olsson, przede wszystkim swą pewnością siebie. Co takiego poza tym ma w sobie ta dziewczyna, czego ja nie mam? Nie umiała odgadnąć.

Wróciła do domu, odstawiła samochód, zrobiła zakupy i poczuła się zmęczona. Położyła się spać przed dziesiątą.

W poniedziałkowy rano obudziło ją głośne trzaśnięcie drzwi. Usiadła na łóżku całkiem rozbudzona. Była szósta. Położyła się znowu i próbowała zasnąć. Krople deszczu bębniły o parapet. Pamiętała ten odgłos z dzieciństwa. Szum deszczu za oknem, kłapanie kapci Mony i zdecydowane kroki ojca. Kiedyś odgłosy porannej krzątania pod drzwiami pokoju dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Odegnęła sentymentalne myśli i wstała.

Roleta podniosła się w górę z furkotem. Na dworze było deszczowo i szaro, a termometr za kuchennym oknem wskazywał dwanaście stopni. Pogoda znów się zmieniła. Linda zorientowała się, że ojciec zapomniał wyłączyć jeden z palników kuchenki elektrycznej. Poza tym zostawił na stole niedopitą kawę. Jest niespokojny i bardzo się spieszy, pomyślała.

Sięgnęła po gazetę i zaczęła ją przeglądać w poszukiwaniu jakichś wiadomości o wydarzeniach w lesie Rannesholm. Natknęła się na krótki wywiad z ojcem. Wyjaśniał, że jest jeszcze za wcześnie, że policja wciąż

szuka śladów, a kiedy jakieś znajdzie, będą mogli powiedzieć coś więcej. Odłożyła gazetę i wróciła do rozmyślań o Annie. Jeśli Margareta Olsson się nie myli, a nie ma żadnego powodu by sądzić, że jest inaczej, w ciągu tych kilkunastu lat, kiedy one obie nie miały ze sobą kontaktu, Anna stała się całkiem inną osobą. Ale dlaczego zniknęła? Dlaczego upiera się przy tym, że widziała swojego ojca? Dlaczego Henrietta kłamie? No i w końcu ten mężczyzna, który szedł przez plac przed kościołem w Lestarp – skąd to poczucie, że to ojciec Anny?

Istniało jeszcze jedno, rozstrzygające pytanie: jaki jest związek między Anną a Birgittą Medberg?

Lindzie trudno było uporządkować myśli. Podgrzała kawę, po czym zanotowała wszystko, co jej ostatnio przyszło do głowy. Zaraz jednak wyrwała kartkę z notesu, zmięła ją i cisnęła do kosza. Muszę pogadać z Zebra, pomyślała. Jej mogę powiedzieć wszystko, co mi chodzi po głowie. Zebra jest mądra i zawsze twardo stąpa po ziemi. Na pewno mi doradzi, co robić.

Wzięła prysznic, ubrała się i zadzwoniła do przyjaciółki do domu. Automatyczna sekretarka poprosiła ją o nagranie wiadomości. Zadzwoniła więc na komórkę, ale bez skutku. Ponieważ padał deszcz, Linda nie sądziła, by Zebra poszła na spacer z synkiem. Może wybrała się z wizytą do swojej kuzynki.

Linda czuła się zniecierpliwiona i zirytowana. Przez moment zastanawiała się, czy nie zadzwonić do ojca, może nawet do matki, byleby tylko z kimś porozmawiać. Zaraz jednak się rozmyśliła. Przede wszystkim nie chciała przeszkadzać ojcu, a rozmowa z Moną mogłaby jak zwykle trwać w nieskończoność. Tego wołała unikać. W końcu wciągnęła kalosze, zarzuciła kurtkę przeciwdeszczową i zeszła do auta. Zaczęła się już przyzwyczajać do środka lokomocji, jakim jest własny samochód. Uznała to za niebezpieczne. Bo kiedy wreszcie wróci Anna, a ojciec nie będzie

mógł pożyczyć jej auta, znów będzie musiała wszędzie chodzić piechotą. Wyjechała z miasta, ale tuż za nim zatrzymała się na stacji benzynowej, żeby zatankować. Stojący przy sąsiednim dystrybutorze mężczyzna pozdrowił ją skinieniem głowy. Wydał jej się znajomy, choć nie umiała skojarzyć, kim jest. Dopiero kiedy wpadli na siebie przy kasie, nagle ją oświeciło. Sten Widén. Ten, który ma raka i niewiele życia przed sobą.

– Linda, prawda? – zagadnął.

Jego głos brzmiał chrapliwie, Widén sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego.

– Tak, zgadza się. A ty jesteś Sten?

Mężczyzna roześmiał się, co najwyraźniej kosztowało go sporo wysiłku.

– Pamiętam cię jako małą dziewczynkę. A tu nagle proszę. Staje przede mną kobieta, na dodatek policjantka.

– Jak tam twoje konie?

Sten nie odpowiedział od razu, zaczekał, aż Linda zapłaci za paliwo. Wyszli przed stację.

– Ojciec pewnie ci mówił, jak jest. Choruję na raka i wkrótce umrę. Ostatnich koni pozbędę się w przyszłym tygodniu. Tak to wygląda. Życzę ci szczęścia – rzucił na pożegnanie, nie czekając na odpowiedź.

Wsiadł do brudnego volvo i odjechał. Linda patrzyła, jak się oddala, myśląc tylko o jednym: czuła wdzięczność, że to nie ją spotkał taki los i to nie ona musi pozbyć się ostatnich koni.

Pojechała do Lestarp i znów zaparkowała pod kościołem. Ktoś przecież musi coś wiedzieć, pomyślała. Jeśli Anny tutaj nie ma, to gdzie może się podziewać? Zarzuciła na głowę kaptur żółtej kurtki przeciwdeszczowej i ruszyła ścieżką za budynkiem. Dom wyglądał z daleka na opuszczony, a porzucony zardzewiały traktor błyszczał cały mokry od deszczu. Linda załomotała w drzwi, które natychmiast się uchyliły. Nikt jej jednak nie otworzył, po prostu było otwarte. Zawołała, ale nie uzyskała żadnej

odpowiedzi. Kiedy weszła do środka, od razu zorientowała się, że dom jest pusty. Nie było w nim żywej duszy, sprawiał wrażenie wręcz porzuconego. Zniknął nawet czarny krzyż wiszący poprzednio na ścianie. Dom wyglądał tak, jakby stał pusty od dłuższego czasu.

Linda tkwiła bez ruchu na środku wielkiego pomieszczenia. Ten mężczyzna w cieniu, pomyślała. Ten, którego wzięłam za ojca Anny. Przyszedł tu i nagle wszyscy zniknęli.

Wyszła stamtąd i pojechała do Rannesholm. Od kręcących się po okolicy policjantów dowiedziała się, że ojciec jest na zamku i ma akurat spotkanie ze współpracownikami. Poszła tam i usiadła w ogromnym holu, żeby na niego zaczekać. Rozmyślała o tym, co na zakończenie rozmowy powiedziała jej Margareta Olsson. Anna Westin nie musi się martwić, ponieważ ktoś ją ochrania. Z jednej strony Bóg, z drugiej ziemski stróż o imieniu Gabriel. Sądziła, że to bardzo ważna informacja, nie umiała jednak ocenić, dlaczego.

Linda nigdy nie przestała się dziwić, że mimo wszystkich sztywnych reguł, jakimi na co dzień kierował się jej ojciec, potrafił być zaskakująco zmienny. Jak choćby w tej chwili, gdy zobaczyła go schodzącego po szerokich schodach w zamku Rannesholm i zmierzającego wprost do niej. Jest zmęczony, pomyślała. Zmęczony, niespokojny i zły. Mimo to w doskonałym humorze. Usiadł obok niej na kanapie i ni stąd, ni zowąd opowiedział jej historię, jak pewnego dnia zostawił rękawiczki w jakiejś restauracji i w zamian zaproponowano mu zepsuty parasol. Chyba stracił rozum, przyszło jej na myśl. Lecz kiedy przyłączył się do nich Martinsson, a Wallander poszedł do toalety, kolega ojca wyjaśnił jej, że dobry humor Kurta bierze się prawdopodobnie z tego, iż jego córka wróciła do rodzinnego miasta. Martinsson zniknął, kiedy tylko ojciec wrócił. Ciężko opadł na kanapę, aż jęknęły sprężyny. Linda opowiedziała mu o spotkaniu ze Stenem Widénem.

– Ma w sobie zadziwiającą siłę, wydaje się pogodzony z losem – powiedział, kiedy skończyła. – Przypomina mi Rydberga, który oczekiwał końca z podobnym spokojem. Czasem sobie myślę, że świadomość wielkiej siły, jaką człowiek znajduje w sobie w obliczu zbliżającej się śmierci, świadomość, że jest się mocniejszym, niż się sądziło, musi być bardzo pokrzepiająca.

Przez hol przetoczyła się grupa policjantów taszczących jakiś sprzęt dla techników. Narobili mnóstwo hałasu, lecz za moment zniknęli i znów zapanował spokój.

– Jak wam idzie? – spytała ostrożnie Linda.

– Kiepsko. A raczej – powoli. Z im poważniejszą zbrodnią ma się do czynienia, tym większe jest ogólne zniecierpliwienie, mimo że wszyscy doskonale wiedzą, jak ważna jest cierpliwość i spokój. Znałem kiedyś pewnego policjanta z Malmö, nazywał się Birch. Porównywał on pracę policji z pracą lekarzy. Nigdy nie wolno poddawać się nerwom przed skomplikowaną operacją. Wtedy liczy się opanowanie i spokój. Podobnie jest z nami. Birch też już nie żyje. Utopił się w jakimś leśnym jeziorze. Pływał sam, nagle dopadł go skurcz i za moment było po wszystkim. Nikt go nawet nie usłyszał. Co za cholera go zagnała do tego jeziora. Można by sądzić, że ktoś taki jak on powinien być rozsądniejszy. Wciąż umiera tylu ludzi. Wiem, że to idiotyczna myśl, w końcu ciągle ktoś się rodzi i ktoś umiera. Tyle że teraz, kiedy człowiek jest już coraz bliżej w kolejce na tamten świat, więcej się o tym myśli. Kiedy umarł mój ojciec, poczułem się tak, jakby ktoś mnie wypchnął do pierwszego szeregu.

Zamilkł i popatrzył na swoje dłonie. Po chwili podniósł głowę i spojrzał na Lindę. Uśmiechnął się.

– O co mnie właściwie pytałaś?

– Jak wam idzie.

– Nie mamy żadnych śladów, żadnego motywu ani podejrzanego. Nie mamy pojęcia, kto mieszkał w tym szałasie.

– A ty co o tym myślisz?

– Wiesz, że nie powinnaś mnie o to pytać. Nie jest istotne, co myślę, ważne, co wiem lub co podejrzewam, ale na jakiejś konkretnej podstawie.

– Po prostu jestem ciekawa.

Wallander westchnął głośno.

– No dobrze, dla ciebie zrobię wyjątek – powiedział. – *Myślę*, że Birgitta Medberg znalazła się tam zupełnie przypadkiem. Szukała tych swoich ścieżek, być może zgubiła się i trafiła na szałas. Był tam ktoś, kto albo

wpadł w panikę, albo dostał szału i zwyczajnie ją zatłukł. Sprawę komplikuje fakt, że potem ją poćwiartował.

– Znaleźliście resztę ciała?

– Przeszukujemy jezioro, a psy obwąchują cały las. Jak dotąd, nie mamy nic. Widocznie musi to jeszcze trochę potrwać.

Kurt wyprostował się, jakby nagle sobie przypomniał, że dokądś się spieszy.

– Podejrzewam, że przysłaś mi o czymś opowiedzieć.

Linda streściła ojcu rozmowę z Margaretą Olsson i odrażającym szachistą. Opowiedziała o domu za kościołem w Lestarp, starając się nie pominąć ważnych szczegółów.

– Za dużo słów – oznajmił Wallander, kiedy skończyła. – Mogłaś streścić to lepiej, używając mniej słów.

– Uczę się. Ale rozumiesz to wszystko, co opowiedziałam?

– Tak.

– A więc nie było tak źle, myślę, że zdałam egzamin.

– Na B ze znakiem zapytania.

– Co to takiego?

– Ocena, jaką można było dostać, kiedy chodziłem do szkoły. Mniej niż B ze znakiem zapytania oznaczało brak zaliczenia.

– Co twoim zdaniem powinnam zrobić?

– Przestać się martwić. Nie słuchasz, co do ciebie mówię. Birgitta Medberg stała się ofiarą jakiegoś błędu. Błędu popełnionego przez nią samą. Przybrał on niemal biblijne znaczenie: wybrała złą drogę. Całe chrześcijaństwo pełne jest źle wybranych ścieżek, wąskich i szerokich, wyboistych i pełnych zdradliwych pułapek. O ile to wszystko dobrze oceniam, Birgitta Medberg miała po prostu wielkiego pecha. To z kolei obala wszelkie podejrzenia, że coś złego mogło spotkać również Annę. Co prawda istnieje między nimi dwiema jakiś związek, potwierdza to



pamiętnik tej drugiej, ale z pewnością nie jest to nic, co mogłoby nam w tej chwili w czymś pomóc.

Nagle podeszły do nich Ann-Britt Höglund i Lisa Holgersson. Spieszyły się. Lisa przywitała Lindę skinieniem głowy, Ann-Britt zdawała się jej nie zauważać. Kurt Wallander wstał.

– Wracaj do domu – powiedział do Lindy.

– Przydałabyś się nam już teraz – odezwała się Lisa. – Niestety, nie ma na to pieniędzy. Kiedy zaczynasz?

– W przyszły poniedziałek.

– To dobrze.

Linda patrzyła za oddalającym się ojcem i jego koleżankami. Potem wyszła z zamku. Padał deszcz. Zauważyła, że zrobiło się chłodniej, pogoda co chwilę się zmieniała, jakby nie mogąc się zdecydować. Idąc do samochodu, Linda przypomniała sobie zabawę, w jaką bawiły się z Anną w dzieciństwie. Kiedy były w domu lub na dworze, zgadywały, jaka jest temperatura. Anna była w tym dobra, prawie zawsze odgadywała najlepiej. Dotarłszy do auta, Linda zatrzymała się i zamyśliła. Dawniej zastanawiała się, skąd u Anny bierze się ta wyjątkowa zdolność odgadywania temperatury, czasem nawet podejrzewała, że przyjaciółka ją oszukuje. Ale jak miałyby to robić? Może nosiła przy sobie termometr? Muszę ją o to zapytać, stwierdziła stanowczo. Kiedy w końcu wróci, będę musiała zadać jej wiele pytań. Być może potem się okaże, że próba odzyskania utraconej przed laty przyjaźni zakończy się fiaskiem.

Wsiadła do samochodu, nie przerywając rozmyślań. Nie miała ochoty wracać do domu. Słowa ojca ją uspokoiły, zaczęła powoli dochodzić do wniosku, że Annie nic nie jest. Jednak dom za kościołem w Lestarp wciąż budził jej ciekawość. Dlaczego ci wszyscy ludzie zniknęli? Mogę przynajmniej spróbować ustalić, kto jest właścicielem tego budynku. I nie potrzebuję do tego ani niczyjego upoważnienia, ani policyjnego munduru.

Po raz kolejny pojechała do Lestarp i zaparkowała w tym samym miejscu. Drzwi do kościoła były w połowie otwarte. Zawahała się, po chwili jednak weszła do środka. W przedsionku zastała tego samego mężczyznę, z którym już wcześniej rozmawiała. Rozpoznał ją.

– Widzę, że nie może pani przestać odwiedzać naszej pięknej świątyni – powiedział z uśmiechem.

– Właściwie wróciłam, żeby o coś zapytać.

– Czy nie wszystkich nas sprowadza do kościoła to samo? Szukamy odpowiedzi na dręczące nas pytania.

– Nie o to chodzi. Mam na myśli ten dom za kościołem. Do kogo on należy?

– Miał wielu właścicieli. Kiedy byłem młody, mieszkał w nim pewien kulawy chłop. Nazywał się Johannes Pålsson. Pracował w gospodarstwie Stiby Gård, poza tym umiał wyrabiać porcelanę. Ostatnie lata życia spędził w tym domu sam. Trzymał świniaki w izbie i kury w kuchni. W tamtych czasach nikogo to nie dziwiło. Kiedy umarł, dom przeszedł w ręce kogoś, kto składował w nim zboże. Potem był handlarz końmi, a po nim, w latach sześćdziesiątych, gospodarstwo kupił ktoś, kogo nazwiska już nie pamiętam.

– A więc nie wie pan, do kogo teraz należy?

– Ostatnio ciągle kręcili się tam jacyś ludzie. Cisi i skromni. Myślę, że przychodzili tam, żeby medytować. Nigdy nikomu nie przeszkadzali. Ale o żadnym nowym właścicielu nie słyszałem. Nie da się tego sprawdzić w jakimś rejestrze nieruchomości?

Linda zastanowiła się chwilę. Co na moim miejscu zrobiłby ojciec?

– Kto zna wszystkie plotki w tej wsi? – zapytała.

Mężczyzna spojrział na nią zaskoczony.

– Chyba ja – powiedział.

– Ale oprócz pana. Jeśli jest tu ktoś, kto z pewnością wie, do kogo należy ten dom, jak pan myśli, kto to może być?

– Może Sara Edén. Nauczycielka, która mieszka w małym domku obok warsztatu samochodowego. Spędza ostatnie dni swojego życia przy telefonie. Wie wszystko o wszystkich. Czasem niestety aż za dużo. Sporo sobie dopowiada, jeśli rozumie pani, o czym mówię. Ale w zasadzie jest miła, tylko nieprawdopodobnie ciekawska.

– Co się stanie, jeśli po prostu zadzwonię do jej drzwi?

– Zrobi pani przyjemność samotnej kobiecie.

Nagle ktoś pojawił się w drzwiach kościoła. Do przedsionka weszła kobieta o imieniu Gudrun. Przechodząc, spojrzała Lindzie w oczy i zaraz zniknęła między ławkami.

– Dzień w dzień o tej samej porze – mruknął mężczyzna. – Ten sam smutek, ten sam wyraz twarzy.

Po wyjściu z kościoła Linda ruszyła w stronę pustego domu. Po paru krokach stanęła i rozejrzała się wkoło. Budynek wciąż wyglądał na opuszczony. Wróciła do samochodu, w końcu jednak postanowiła pójść pieszo, w dół, do widocznego nieopodal warsztatu, nad którym wisiał szyld „Serwis samochodów i traktorów Runego”. Obok warsztatu z jednej strony stały rozebrane na części auta, drugą część działki zasłaniał wysoki parkan. Linda domyśliła się, że stara nauczycielka, którą za moment miała odwiedzić, pewnie nie chciała oglądać przez okno tego złomu. Otworzyła furtkę i ruszyła ścieżką przez wypielęgowany ogródek. Nad jedną z rabatek pochylała się starsza kobieta. Wyprostowała się, słysząc kroki. Linda od razu wiedziała, że to właśnie Sara Edén.

– Kim pani jest? – zapytała surowym tonem staruszka.

– Nazywam się Linda Wallander. Czy mogę zadać pani parę pytań?

Nauczycielka podeszła do Lindy z motyką gotową do ciosu. Lindzie przebiegła przez głowę myśl, że na świecie są ludzie cięci na innych jak wściekłe psy.

– Dlaczego miałyby mi pani zadawać jakieś pytania? – spytała kobieta.

– Szukam przyjaciółki, która zniknęła.

Sara Edén obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Czy to nie policja powinna zajmować się takimi sprawami? Czy nie oni mają szukać zaginionych ludzi?

– Jestem policjantką.

– A zatem proszę mi pokazać legitymację. Mam do tego prawo, tak mi powiedział mój starszy brat. Przez wiele lat był dyrektorem zespołu szkół w Sztokholmie. Mimo że przez całe życie użerał się z nieznośnymi kolegami i jeszcze gorszymi uczniami, dożył stu jeden lat.

– Nie mam legitymacji – przyznała się Linda. – Zacznę pracę w policji dopiero za parę dni.

– Zakładam, że nie zmyśliłaby pani czegoś takiego. Jest pani silna?

– Dosyć.

Sara Edén wskazała stojące obok taczki wypełnione po brzegi chwastami.

– Za domem mam kompostownik, ale dziś bardzo dokuczają mi plecy. Może spałam w niewygodnej pozycji.

Linda pchnęła taczki. Były ciężkie, jednak udało jej się dotrzeć z ładunkiem do kompostownika, na który wysypała stos zielska. Staruszka niespodziewanie przybrała bardziej przyjazną minę. W małej altance stały dwa staroświeckie krzesła ogrodowe i stolik.

– Chce pani kawy? – zaproponowała kobieta.

– Tak, chętnie – odpowiedziała Linda.

– Więc muszę panią odesłać do automatu w salonie meblowym, zaraz przy drodze do Ystad. Ja nie pijam kawy. Herbaty też nie. Mogę pani za to

zapropnować wodę mineralną.

– Dziękuję, nie trzeba.

Usiadły przy stoliku. Linda z łatwością potrafiła sobie wyobrazić, że Sara Edén poświęciła całe swoje życie karierze nauczycielki. Staruszka zdawała się patrzeć na nią jak na wrogo nastawioną klasę.

– Powie pani wreszcie, o co chodzi? – mruknęła.

Linda dokładnie jej wszystko opowiedziała, na zakończenie dodając, że ostatni trop zawiódł ją do domu za kościołem. Pamiętała przy tym, żeby nie okazać niepokoju czy obawy, że Annie mogło przydarzyć się coś złego.

– Miałyśmy się spotkać – podsumowała. – Ale coś najwyraźniej poszło nie tak.

Sara Edén słuchała opowieści Lindy z rosnącym powątpiewaniem.

– I niby w czym miałabym pani pomóc? – zapytała.

– Próbuję ustalić, do kogo należy ten dom.

– Kiedyś było dokładnie wiadomo, co we wsi do kogo należy. Ale dziś, w tych niespokojnych czasach, nie sposób wiedzieć, co kto kupił, co sprzedał. Ani się człowiek obejrzy, jak się okaże, że nowym sąsiadem jest poszukiwany listem gończym bandyta.

– Sądziłam, że w tak małej społeczności ktoś z pewnością będzie się orientował.

– Słyszałam, że ostatnio koło tego domu kręciło się sporo osób. Ale z tego, co wiem, nic szczególnego się tam nie wydarzyło. O ile dobrze zrozumiałam, budynek należy do jakiejś organizacji działającej na rzecz zdrowia. Co mnie ciekawi, bo nie chcę, żeby mój brat w niebie miał satysfakcję, że nie pożyję ta długo jak on. Uważam więc na to, co jem i co robię, i nie jestem wcale tak zacofana i staromodna, żeby nie interesować się alternatywnymi metodami dbania o zdrowie. Kiedyś więc poszłam do tego domu, jakaś miła pani, mówiąca po angielsku, dała mi ulotkę. Nie pamiętam, jak nazywa się ta organizacja, ale chodziło o medytację, było

tam też coś o życiowych sokach, które mają ogromny wpływ na zdrowie człowieka.

– I nigdy tam pani nie wróciła?

– Uznałam, że to dla mnie zbyt niejasne.

– Czy ma pani jeszcze tę ulotkę?

Sara Edén wskazała głową w stronę kompostu.

– Nie sądzę, żeby coś z niej zostało. Nie tylko ludzie obracają się w proch, papier też kiedyś umiera.

Linda zastanowiła się nad kolejnym pytaniem, lecz po chwili rozmowa z emerytowaną nauczycielką wydała jej się pozbawiona sensu. Podniosła się z krzesła.

– Żadnych więcej pytań? – zdziwiła się staruszka.

– Żadnych.

Obeszły dom i stanęły przy furtce.

– Boję się jesieni – powiedziała nagle Sara Edén. – Nie lubię snujących się mgieł, deszczu i wron kraczących w łąsych koronach drzew. Jedyne, co mnie pociesza, to myśl o wiosennych kwiatach, które właśnie zaczęłam sadzić.

Linda wyszła za ogrodzenie.

– Chyba coś jeszcze pamiętam – rzuciła za nią nauczycielka.

Stanęły naprzeciwko siebie, po obu stronach furtki.

– Był tu kiedyś jakiś Norweg – dodała. – Czasem chodzę do Runego, żeby go skrzyczeć, jak hałasuje tym żelastwem w niedzielę. Chyba się mnie trochę boi. On należy do ludzi, którzy do końca życia czują respekt przed dawną nauczycielką. Po mojej interwencji hałas zwykle ustaje. Rune powiedział mi kiedyś, że odwiedził go jakiś Norweg, zatankował samochód i zapłacił banknotem tysiackoronowym. Rune nie jest przyzwyczajony do widoku takich pieniędzy. Chyba wspomniał coś wtedy, że ten Norweg jest właścicielem tamtego domu.

– A więc powinnam porozmawiać z Runem?

– Jeśli ma pani czas, żeby na niego poczekać. Jest na urlopie w Tajlandii.

Wolę nie myśleć, co on tam wyprawia.

Linda zastanowiła się chwilę.

– Norweg, mówi pani. Nie zna pani jego nazwiska?

– Nie.

– A może potrafi go pani opisać?

– Nie. Ale na pani miejscu porozmawiałabym z tym, kto prawdopodobnie sprzedał mu ten dom. Jedyne biuro nieruchomości w okolicy to agencja Dobry Dom. Może oni coś wiedzą. Mają tu swoje biuro.

Kiedy się pożegnały, Linda doszła do wniosku, że Sara Edén jest kobietą, o której chętnie dowiedziałaby się czegoś więcej. Przeszła na drugą stronę ulicy, minęła damski zakład fryzjerski i weszła do niewielkiego biura agencji. Za biurkiem siedział mężczyzna, który podniósł na nią wzrok. Wyjaśniła mu, co ją sprowadza. Agent odpowiedział natychmiast, nie zajrzał nawet do żadnych papierów.

– Wszystko się zgadza, pośredniczyliśmy w tej transakcji. Sprzedającym był pewien mieszkaniec Malmö, dentysta o nazwisku Sved, który traktował tę nieruchomość jako dom letniskowy. Najwyraźniej mu się znudziła. Zamieściliśmy ogłoszenie w „Ystads Allehanda” i w Internecie. Niebawem zjawił się u nas pewien Norweg i oznajmił, że chce obejrzeć nieruchomość. Poprosiłem naszego agenta ze Skurup, żeby zajął się klientem. Ja prowadzę biuro i nie zajmuję się bezpośrednio sprzedażą nieruchomości. Dwa dni później podpisano umowę. O ile dobrze pamiętam, klient zapłacił gotówką. Oni teraz mają sporo pieniędzy.

Ostatnie słowa mężczyzny zdradzały pewną dezaprobatę dla dobrego stanu gospodarki w sąsiedniej Norwegii. Lindę jednak bardziej interesowało nazwisko tajemniczego Norwega.

– Nie mam tu dokumentów – wyjaśnił agent. – Ale mogę zadzwonić do Skurup.

Do biura wszedł starszy mężczyzna wspierający się na dwóch laskach.

– Muszę najpierw obsłużyć pana Alfredssona – oznajmił mężczyzna za biurkiem.

Linda czekała, choć trudno było jej ukryć zniecierpliwienie. Minęła cała wieczność, nim staruszek załatwił swoją sprawę. Przytrzymała mu drzwi. Mężczyzna wreszcie zadzwonił i po minucie czekania zanotował coś na skrawku papieru. Zakończył rozmowę i podał Lindzie karteczkę. „Torgeir Langås”, przeczytała.

– Możliwe, że nazwisko pisze się przez dwa a na końcu: Langaas.

– Ma pan może jego adres?

– Pytała pani tylko o nazwisko.

Linda skinęła głową.

– Więcej dowie się pani w Skurup. Czy mogę wiedzieć, dlaczego pani się nim tak interesuje?

– Chętnie obejrzałabym ten dom, być może go kupię – skłamała, wychodząc z biura.

Szybko wróciła do auta. Wreszcie udało jej się zdobyć coś konkretnego. Jakieś nazwisko. Kiedy jednak otworzyła drzwi, od razu zauważyła, że coś jest nie tak. Paragon, który wcześniej leżał na desce rozdzielczej, teraz znajdował się pod fotelem, na dywaniku, swoje miejsce zmieniła też paczka zapalek. Zostawiłam otwarty samochód. Ktoś do niego zaglądał. Raczej nie złodziej, bo radio jest na swoim miejscu. Ale jeżeli nie złodziej, to kto? I po co?



Pierwsza myśl, która przyszła Lindzie do głowy, była całkiem niedorzeczna. To sprawka matki. To Mona przeszukała samochód, tak jak kiedyś przeszukiwała mi szuflady biurka. Linda usiadła ostrożnie za kierownicą. Przez ułamek sekundy zawahała się, przeszedł ją lodowaty dreszcz. Bomba, przemknęło jej przez głowę jak błyskawica. Coś zaraz wybuchnie i zginę. Po chwili jednak się uspokoiła. Nie ma żadnej bomby, szepnęła do siebie. Ptak pobrudził mi przednią szybę, to wszystko. Zauważyła że ktoś przesunął siedzenie, cofnął je odrobinę. Ktoś, kto tu siedział, był wyższy ode mnie, analizowała. Żeby usiąść, musiał odsunąć fotel. Zaczęła obwąchiwać wnętrze samochodu, ale nie wyczuła żadnych obcych zapachów, żadnej wody po goleniu czy nieznanymi perfum. Zajrzała w każdy zakamarek schowka. Stwierdziła, że coś się zmieniło w wyglądzie czarnego plastikowego kubka na drobne na parking, który Anna przymocowała taśmą za drążkiem zmiany biegów. Nie umiała jednak powiedzieć, co dokładnie wyglądało inaczej.

Znów pomyślała o Monie. Kiedy Linda była dzieckiem, trwała między nimi prawdziwa gra w kotka i myszkę. Nie była w stanie określić, kiedy odkryła, że matka regularnie przetrząsa jej rzeczy w poszukiwaniu skrywanych tajemnic. Mogła mieć osiem lub dziewięć lat, gdy pewnego dnia zorientowała się po powrocie ze szkoły, że jej pokój wygląda jakoś inaczej. W pierwszej chwili uznała, że pewnie tylko jej się zdaje, że czerwona bluza leżała na zielonym swetrze, a nie na odwrót. Nawet zapytała o to wprost Monę, na co ona wpadła w złość. To wzbudziło w Lindzie pierwsze podejrzenie. Potem zabawa w kotka i myszkę zaczęła się na dobre. Linda zastawiała wyrafinowane pułapki wśród swoich ubrań,

zabawek i książek. Ale matka wyraźnie wyczuła, że córka próbuje przyłapać ją na gorącym uczynku. Zasadzki musiały więc być coraz bardziej skomplikowane. Do dziś Linda ma gdzieś schowany notatnik, w którym je opisywała, a czasem nawet szkicowała, żeby nie zapomnieć tych złożonych konstrukcji, które matka miała naruszyć i w ten sposób się zdemaskować.

Długo rozglądała się po samochodzie. Była tu jakaś wścibska matka, pomyślała. Matka, która mogła być mężczyzną albo kobietą. Bywają przecież kobiecy ojcowie i męskie matki. Grzebanie w rzeczach dzieci w nadziei, że dzięki temu łatwiej zrozumie się własne życie, zdarza się częściej, niż można by przypuszczać. Wśród moich przyjaciół nie ma chyba nikogo, kto w dzieciństwie nie doświadczyłby czegoś takiego przynajmniej ze strony jednego z rodziców. Pomyślała o ojcu. Jemu nigdy się to nie zdarzyło. Czasem, gdy leżała już w łóżku w swoim pokoju, czuła, że dyskretnie zagląda przez uchylone drzwi, aby sprawdzić, czy jego córka na pewno jest w domu. Nigdy jednak nie zapuścił się w zakazane rejony jej nastoletnich tajemnic. To była domena Mony.

Schyliła się, żeby zajrzeć pod siedzenie. Wiedziała, że powinna tam leżeć niewielka szczotka, której Anna używała do czyszczenia siedzeń. Była na miejscu, ale od razu rzuciło jej się w oczy, że ktoś ją przesunął. Ponownie otworzyła schowek i dokładnie sprawdziła jego zawartość. Nic nie zginęło. Co to oznacza? Czyżby ten, kto szukał, nie znalazł niczego cennego? Skoro radio nie było dla niego atrakcyjne, musiało chodzić o coś zupełnie innego. Linda postanowiła pójść w swojej analizie krok dalej, starała się odgadnąć sposób myślenia wścibskiej matki, która tu zaglądała. Kradzież radia byłaby najprostszym sposobem zatarcia śladów węszenia. Wówczas Linda potraktowałaby to jako zwykłe włamanie, skończyłoby się tylko na złorzeczeniu na samą siebie, że nie zamknęła auta.

Mam tu do czynienia z niezbyt sprytną mamuszką, pomyślała.

Do niczego więcej nie doszła. Nie wyciągnęła żadnego wniosku, nie odpowiedziała sobie na pytanie, kto i po co złożył w aucie nieproszoną wizytę. Wysiadła, ustawiła fotel we właściwej pozycji i rozejrzała się wkoło. W tym miejscu pojawił się wcześniej jakiś mężczyzna, podsumowała w myślach. Widziałam jego fryzurę i kark, po czym uznałam, że to ojciec Anny. Potrząsnęła głową poirytowana. Anna wmówiła sobie, że widziała na ulicy swojego ojca. Kiedy sobie uświadomiła, że to tylko złudzenie, poczuła się tak zawiedziona, że wyjechała. Coś takiego zdarzało się jej już wcześniej. Znikała na jakiś czas i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Tak przynajmniej twierdziła Zebra, która pomogła Lindzie wypełnić luki, jakie powstały w czasie, gdy ona i Anna nie miały ze sobą kontaktu. Zebra wspomniała jednak, że w każdym takim przypadku przynajmniej jedna osoba wiedziała, że Anna wyjeżdża. Zawsze zostawiała jakąś wiadomość.

Kto jest teraz taką osobą, zastanawiała się Linda. To błąd, że nie umiem znaleźć tego, komu ona powierzyła swoją tajemnicę.

Linda przecięła zwirowy plac przed kościołem, rzucając okiem na wieżę, wokół której z trzepotem latały gołębie, i skierowała się znowu ścieżką w dół, w stronę opuszczonego domu. Kupił go pewien Norweg o nazwisku Torgeir Langaas, podsumowała. Zapłacił gotówką.

Obeszła budynek dokoła, popatrzyła nieobecny wzrokiem na kamienne meble pod bukiem. Obok rosły porzeczeki, czerwone i czarne. Zerwała parę kiści i zjadła. Znowu wróciły myśli o Monie. Czego ona wciąż się tak bała? Nie szperała w moich rzeczach, by zaspokoić ciekawość, robiła to z czającego się w niej strachu. Ale przed czym? Że okażę się kimś innym, niż jestem? Dziewięćolatek potrafi grać dwie role, miewa też swoje tajemnice, ale nie może kryć w sobie tak sztucznej podwójnej tożsamości, aby dla zrozumienia własnego dziecka konieczne było przeszukiwanie jego swetrów i majtek.

Do otwartego konfliktu doszło dopiero wówczas, gdy Mona znalazła pamiętnik córki i w tajemnicy go przeczytała. Linda miała wtedy trzynaście lat, a pamiętnik leżał ukryty pod poluzowanym panelem na dnie szafy. Początkowo była pewna, że jej sekrety będą tam bezpieczne, pewnego dnia jednak odkryła, że matka odnalazła kryjówkę. Kiedy Linda wróciła ze szkoły, zorientowała się, że zeszyt leży parę centymetrów dalej, niż go ostatnio włożyła. Od razu wiedziała, że jej najlepsza skrytka została zdemaskowana. Mony wtedy nie było, poszła do kogoś w odwiedziny, ale Linda jeszcze dziś pamięta, jak bardzo ją to poruszyło. W tamtej chwili szczerze nienawidziła swojej matki. Skubiąc porzeczeki, doszła teraz do wniosku, że nigdy później nie czuła tak palącej nienawiści jak wtedy, kiedy miała trzynaście lat i tak mocno zawiodła się na matce.

Wspomnienie tamtego dnia miało ciąg dalszy i swoje zakończenie. Linda postanowiła się zemścić, przyłapując Monę na gorącym uczynku. Na pierwszej pustej kartce pamiętnika napisała, że doskonale wie, że Mona go czyta i przeszukuje jej rzeczy. Następnego dnia odłożyła pamiętnik na miejsce i poszła do szkoły. W połowie drogi zmieniła zdanie i wybrała wagary, dobrze wiedząc, że i tak nie będzie mogła skupić się na lekcjach. Spędziła cały dzień, snując się po sklepach. Kiedy wróciła do domu, ze strachu oblał ją zimny pot. Matka jednak spojrzała na nią tak, jakby nic się nie wydarzyło. W nocy Linda cichutko wyjęła pamiętnik i zobaczyła, że matka dopisała parę słów pod jej ostatnim zdaniem. Nie były to przeprosiny, tylko obietnica: „Nie będę więcej czytać. Przyrzekam”.

Zerwała ostatnie porzeczeki. Nigdy o tym nie rozmawiałyśmy, pomyślała. Jestem pewna, że po tym zdarzeniu przestała szperać w moich rzeczach, choć nie mogłam być tego pewna do końca. Może po prostu robiła to dyskretniej, a może ja przestałam się tym tak przejmować. Tak czy inaczej, nie zamieniłyśmy na ten temat ani słowa.

Już miała wrócić do auta, kiedy jej uwagę przykuło coś majaczącego za dwoma wysokimi kasztanowcami. Podeszła bliżej, żeby zobaczyć. Stała jak wryta. Na ziemi leżało coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak czyjeś ciało. Postać uformowana na kształt człowieka, w ubraniu, z wyciągniętymi nogami i rozłożonymi rękami. Czuła, jak wali jej serce. Zmrużyła oczy, starając się wyostrzyć wzrok. Nie umiała ocenić, jak długo stała bez ruchu. W końcu doszła do wniosku, że to nie może być człowiek. Podeszła bliżej. W trawie leżał strach na wróble, najwyraźniej kiedyś strzegący czereśni rosnącej po drugiej stronie małego pagórka. Przewrócił się i nikt się nie pofatygował, żeby go podnieść. Wygląda jak zwłoki, pomyślała. Ciało w nadgniłych ubraniach. Jak ukrzyżowany człowiek, którego nikt nie pochował. Szkielet stracha zrobiony był z białego styropianu, ubranie natomiast dobrano przypadkowo. Górę stanowiła męska marynarka, dół długa spódnica. Widniejącą pod na poły zbutwiałym brązowym kapeluszem twarz kukły zrobiono z wypchanego sianem lnianego worka, oczy, nos i usta były namalowane.

Linda przykucnęła i bliżej przyjrzała się spódnicy. Była rudobrzowa, mniej zniszczona niż pozostała część ubrania na strachu. Nagle poczuła ukłucie w żołądku, w pierwszej chwili nawet nie była to wyraźna myśl. Anna ma taką samą spódnicę. Ale czy nie wisiała w szafie, kiedy ostatnio do niej zaglądałam? Linda nie była pewna. Wstała tak szybko, że zrobiło jej się niedobrze. Czy spódnica na strachu może należeć do Anny? Przyszło jej do głowy tylko jedno wyjaśnienie. Jeśli to jest spódnica Anny, oznacza to, że ona nie żyje.

Puściła się pędem w stronę kościoła, dopadła do samochodu, ruszyła z piskiem opon i wróciła do Ystad, łamiąc wszelkie ograniczenia prędkości. Niedbale zaparkowała pod domem Anny i wbiegła na górę. Nie wierzę w Boga, myślała gorączkowo, chyba nigdy się nie modliłam, ale teraz, dobry Boże, spraw, żeby ta nieszczęsna spódnica wisiała na swoim miejscu.

Gwałtownie otworzyła drzwi szafy. Spódnicy nie było. Zaczęła zrywać ubrania z wieszaków, sądząc, że może znajdzie ją gdzieś pod spodem. Na próżno. Zauważyła, że cała drży. Dygocze z przerażenia. Pobiegnęła do łazienki i wyrzuciła na podłogę zawartość kosza na brudną bieliznę. Tu też nie było spódnicy. Potem nagle ją zobaczyła, zwiniętą w kłębie innych ubrań w bębnie suszarki. Linda poczuła tak wielką ulgę, że usiadła na posadzce w łazience i krzyknęła na cały głos.

Gdy odetchnęła, przyjrzała się swojej twarzy w lustrze. Dostyc tego, pomyślała. Koniec z podejrzeniami, że Annę spotkało coś złego. Zamiast rozbijać się po okolicy jej samochodem, powinnam pogadać z Zebrą. Gdzieś przecież musi być ktoś, kto wie, gdzie ona się podziewa.

Wyszła na ulicę. Czy nie powinna jednak zakończyć tych swoich bezsensownych poszukiwań wizytą u agenta nieruchomości w Skurup? Nie podjąwszy właściwie żadnej decyzji, wsiadła do samochodu Anny i ruszyła na zachód.

Pośrednik nazywał się Ture Magnusson i właśnie sprzedawał jakąś nieruchomość w Trunnerup parze niemieckich emerytów. Linda musiała poczekać. Usiadła więc i zaczęła wertować katalog domów na sprzedaż. Ture Magnusson mówił fatalnie po niemiecku. Przeczytała jego nazwisko pod zdjęciem zawieszonym na ścianie. Wyglądało na to, że w biurze pracuje dwóch pośredników, ale na razie był tylko jeden. Wertowała broszurę, nie mogąc nadziwić się cenom. Zastanowiła się, co stało się z jej dawnym pragnieniem, żeby przeprowadzić się na wieś i hodować konie. Było to jej największe marzenie, które pielęgnowała, będąc nastolatką. Potem zwyczajnie się rozwiało. Teraz z trudem wyobrażała sobie życie za miastem, w otoczeniu niekończących się pól i błota, zwłaszcza jesienią i zimą, kiedy po pustkowiach szaleje lodowaty wiatr. Nawet się nie zorientowałam, że gdzieś po drodze stałam się mieszcuchem, pomyślała.

Małe Ystad jest dla mnie tylko przejściowym etapem w drodze do czegoś większego. Może to będzie Malmö, może Göteborg, a może nawet Sztokholm?

Kiedy para starszków wyszła, Ture Magnusson wstał i podszedł do Lindy, żeby się przywitać. Uśmiechnął się przyjaźnie.

– Mają różne preferencje – powiedział. – W takim wypadku to zawsze trwa dłużej. W czym mogę pani pomóc?

Linda wyjaśniła, co ją sprowadza, tym razem nie bawiąc się w policjantkę. Ture Magnusson zaczął kiwać głową, jeszcze zanim skończyła. Zdawał się pamiętać transakcję, nie musiał nawet zaglądać do dokumentów.

– Dom za kościołem w Lestarp kupił pewien Norweg. Miły człowiek, zdecydowany. Z naszego punktu widzenia był tak zwanym klientem idealnym. Zapłata gotówką, żadnych zastrzeżeń, żadnych wątpliwości.

– Jak się mogę z nim skontaktować? Ten dom bardzo mnie interesuje.

Ture Magnusson obrzucił Lindę taksującym spojrzeniem. Krzesło aż zatrzęszczało, kiedy usiadł za biurkiem. Odchylił się na nim daleko, opierając plecy o ścianę.

– Mówiąc między nami, zapłacił za ten dom o wiele za dużo. Nie powinienem o tym wspominać, proszę jednak wiedzieć, że od ręki mogę pani zaproponować co najmniej trzy miejsca, które są w znacznie lepszym stanie, ładniej położone i kosztują o niebo mniej.

– Rozumiem, ale mnie interesuje wyłącznie ten dom. Chciałabym przynajmniej zapytać tego Norwega, czy jest zainteresowany sprzedażą.

– Oczywiście – mruknął pośrednik. – „Jego imię Torgeir Langaas”.

Ostatnią frazę Ture Magnusson wyśpiewał. Linda uznała, że mężczyzna ma ładny głos. Wstał i zniknął w sąsiednim pokoju. Po chwili wrócił z otwartą teczką w dłoni.

– Torgeir Langaas – odczytał. – Nazwisko pisze się przez dwa a na końcu. Urodzony w jakimś Bærum, ma czterdzieści lat.

– Czy ma pan jego adres w Norwegii?

– Nie. On mieszka w Kopenhadze.

Pośrednik położył teczkę na biurku, żeby Linda sama mogła do niej zajrzeć. „Nedergade 12”, przeczytała.

– Jaki on był?

– Dlaczego pani o to pyta?

– Jestem ciekawa, czy według pana jest sens jechać do Kopenhagi.

Ture Magnusson znów oparł się o ścianę.

– Zawsze staram się rozumieć ludzi – powiedział. – To ważne w tej pracy. W pierwszym rzędzie musiałem nauczyć się rozpoznawać tych, którzy nigdy nie kupią żadnego domu, mimo że długo zadreńczają agentów i oglądają rozliczne nieruchomości. Torgeir Langaas był klientem, który chciał szybko dobić targu, wyczułem to, kiedy tylko przestąpił ten próg. Był niezwykle uprzejmy. Życzył sobie obejrzeć dom, więc tam pojechaliśmy, obeszliliśmy go dokoła, pan Langaas nie zadawał żadnych pytań. Potem wróciliśmy do biura, a on wyjął gotówkę z torby, którą miał przewieszoną przez ramię. To się raczej nie zdarza. Wcześniej byłem świadkiem tylko dwóch takich sytuacji. Kiedyś jeden z naszych znanych i bogatych tenisistów przyjechał do nas z torbą banknotów stukoronowych i z miejsca kupił wielkie gospodarstwo w Västra Vemmenhög. Z tego, co potem słyszałem, ani razu tam się nie pojawił. Była też starsza, bardzo ekscentryczna pani, wdowa po jakimś bogatym kaloszu. Towarzyszył jej księgowy, który wyjął pieniądze i zapłacił. Kupiła mały, brzydki dom przy drodze do Rydsgård, gdzie najwyraźniej kiedyś mieszkał jakiś jej krewny.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „wdowa po kaloszu”? – zdziwiła się Linda.



– Jej mąż miał fabrykę kaloszy w Höganäs. Ale oczywiście nie dorównywał Dunkersowi z Helsingborga.

Linda nigdy nie słyszała o żadnym Dunkersie, ale wolała już o niego nie pytać. Zapisała kopenhaski adres i zaczęła zbierać się do wyjścia. Ture Magnusson powstrzymał ją ruchem ręki.

– Kiedy teraz o nim myślę, przychodzi mi do głowy coś jeszcze – powiedział. – Wprawdzie dostrzegłem to już wtedy, ale nie przykładalem do tego szczególnej wagi, bo cała transakcja bardzo szybko dobiegła końca.

– Co to takiego?

Mężczyzna powoli pokręcił głową.

– Trudno powiedzieć. Zauważyłem, że on często się odwraca, jakby ciągle się bał, że za jego plecami pojawi się ktoś, kogo nie ma ochoty spotkać. Poza tym przez ten krótki czas, kiedy tu razem siedzieliśmy, kilkakrotnie wychodził do toalety. Kiedy wrócił z niej po raz ostatni, błyszczały mu oczy.

– Myśli pan, że płakał?

– Nie. Raczej coś zażył.

– Może pił?

– Nie było od niego czuć alkoholu.

Linda zastanowiła się, czy powinna jeszcze o coś zapytać.

– Ale w gruncie rzeczy był bardzo miły – podjął pośrednik. – Może sprzeda pani ten dom, kto wie?

– Jak wyglądał?

– Miał dość przeciętną twarz, jednak zapamiętałem jego oczy. Nie tylko dlatego, że dziwnie błyszczały. Było w nich coś przykuwającego uwagę. Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś inny pani powiedział, że jego oczy są groźne, może nawet złowrogie.

– Ale on nie sprawiał wrażenia groźnego?

– Nie, był niezwykle miły. Idealny klient. Po dobieciu z nim targu w drodze do domu kupiłem sobie butelkę dobrego wina. Chciałem uczcić dobry dzień, świetny interes niewymagający żadnego wysiłku.

Pożegnawszy się, Linda wyszła z biura. Zrobiłam kolejny krok naprzód, pomyślała. Teraz pojedę do Kopenhagi i złożę wizytę niejakiemu Torgeirowi Langaasowi, choć nie mam pojęcia po co. Może za wszelką cenę szukam potwierdzenia, że Annę nie spotkało nic złego? Że nie zniknęła, tylko dokądś wyjechała i zapomniała mi o tym powiedzieć. Wygląda na to, że robię wszystko, by tylko znaleźć sobie jakieś zajęcie, zanim wreszcie zacznę pracować.

Pojechała do Malmö. Tuż przed zjazdem w stronę Jägersro i mostu Öresund postanowiła, że zrobi sobie przerwę. Trochę klucząc, dotarła wreszcie do willi w Lindhamn, zaparkowała i weszła przez furtkę. Na podjeździe przez budynkiem stał samochód, doszła więc do wniosku, że ktoś jest w domu. Właśnie miała zadzwonić do drzwi, gdy nagle się zawahała. Sama nie wiedząc dlaczego, przeszła na tył domu i skierowała się w stronę przeszklonej werandy. Stwierdziła, że ogródek jest zadbany, rabaty wylewione, a ścieżki starannie powytyczane. Drzwi do werandy były uchylone. Wewnątrz panowała zupełna cisza, ale ktoś musiał być w domu, w przeciwnym razie byłoby zamknięte na klucz. Wiedziała, że ludzie, którym właśnie ma zamiar złożyć niezapowiedzianą wizytę, spędzają sporo czasu na sprawdzaniu zamków i zakładaniu alarmów. Weszła do środka. Od razu rozpoznała obraz wiszący nad kanapą. Jako mała dziewczynka często przed nim stała i wpatrywała się w brunatnego niedźwiedzia. Zdawało jej się, że trawi go płomień i zaraz rozpadnie się na kawałki. Nie lubiła tego malowidła ani wtedy, ani obecnie. Zapamiętała, że pojawiło się w domu, ponieważ ojciec wygrał je na jakiejś loterii i podarował je Monie na

urodziny. Linda usłyszała jakiś hałas dochodzący od strony kuchni. Ruszyła w tamtym kierunku.

Już miała głośno zawołać „cześć”, ale zatrzymała się jak wryta. Mona stała przy zlewie. Była naga i piła wódkę prosto z butelki.

Po jakimś czasie Lindzie przyszło na myśl, że w tamtej chwili stanął jej przed oczami obraz żywcem wyjęty ze wspomnień. Nie zobaczyła nagiej matki z butelką wódki w dłoni, nie zobaczyła nawet człowieka, lecz ucieleśnienie czegoś całkiem innego, co była sobie w stanie przypomnieć dopiero wówczas, gdy głęboko zaczerpnęła powietrza. Kiedyś już przeżyła podobną chwilę, choć nie chodziło wcale o nią, to nie Linda stała nago z butelką w ręce. Miała wtedy czternaście lat i był to najgorszy okres w czasie dorastania, kiedy wszystko wydawało jej się z jednej strony niemożliwe i niepojęte, z drugiej jasne jak słońce i łatwe do przewidzenia, a całe ciało wibrowało, jakby odczuwało głód za czymś nieznanym. Na dodatek wydarzyło się to w czasie, kiedy ojciec Lindy uciekał do pracy o najdziwniejszych porach, a Mona postanowiła przerwać monotonię życia gospodyni domowej i zatrudniła się w biurze jakiejś firmy spedycyjnej. Lindzie bardzo to odpowiadało, bo dzięki temu po powrocie ze szkoły zyskiwała parę godzin samotności, czasem nawet przyprowadzała do domu przyjaciół.

Z czasem stawała się coraz zuchwalsza, zdarzało się, że popołudniami urządzała w mieszkaniu nawet kameralne imprezy. Kiedy okazało się, że dysponuje wolnym mieszkaniem, zrobiła się popularna wśród rówieśników. Zawsze zanim przyszli znajomi, dzwoniła do ojca, by się upewnić, czy nie jest w drodze do domu i czy również tego dnia będzie pracował do późna. Mona nigdy nie wracała wcześniej niż między szóstą a wpół do siódmej. W tym właśnie okresie pojawił się w życiu Lindy przyjaciel o imieniu Torbjörn. Był jej pierwszym prawdziwym chłopakiem, czasem wyobrażała sobie, że Clint Eastwood wyglądał w wieku piętnastu lat dokładnie tak, jak

on. Torbjörn Rackestad był pół-Duńczykiem, a poza tym w jego żyłach płynęła krew szwedzka i indiańska, dzięki czemu miał ładną twarz i otaczała go aura niezwykłości.

To właśnie z nim Linda na poważnie zaczęła zgłębiać to, co kryło się za słowem *miłość*. Za każdym razem posuwali się o krok dalej, choć Linda zawsze na końcu protestowała. Pewnego dnia, kiedy półnaczy leżeli w jej łóżku, nagle ktoś z impetem otworzył drzwi. W progu stanęła Mona, która pokłóciła się z szefem i wcześniej wróciła do domu. Linda nawet po wielu latach oblewała się zimnym potem na myśl o tej chwili. Na widok matki dostała ataku histerycznego śmiechu. Nie wiedziała, jak zareagował Torbjörn, bo sama, zaśmiewając się, zamknęła oczy. Podejrzewała, że po prostu wstał, ubrał się i wybiegł z mieszkania.

Mona nie odezwała się ani słowem, tylko obrzuciła ich trudnym do opisanego spojrzeniem, którego Lindzie już nigdy nie udało się wymazać z pamięci. Było w nim rozczarowanie i zarazem wyraz triumfu, że w końcu udało jej się przyłapać córkę na czymś nieobliczalnym, o co zawsze ją podejrzewała. Linda nie pamiętała już, jak długo tkwiła potem w swoim pokoju. Kiedy w końcu wyszła, Mona siedziała na kanapie w salonie i paliła. Zaczęły się kłócić, wrzeszczały na siebie, Mona co chwilę wykrzykiwała słowa, które Lindzie na zawsze zapadły w pamięć: *Mam w dupie, co robicie, bylebyś nie zaszła w ciążę!* Wspominając tę awanturę, Lindzie odbijały się echem w głowie jej własne krzyki. Zapamiętała jedynie wrzask, żadnych słów, za to uczucie wstydu, wściekłości i żalu.

W samym środku kłótni w drzwiach stanął ojciec. W pierwszej chwili pomyślał, że coś się stało, że wydarzył się jakiś wypadek. Potem starał się je pogodzić, ale na koniec sam wpadł w tak wielką wściekłość, że roztrzaskał o ścianę wazon, który wspólnie z Moną dostali w prezencie ślubnym.

Takie właśnie myśli przemknęły przez głowę Lindzie, kiedy ujrzała nagą matkę z butelką. Przyszło jej też na myśl, że nie widziała jej rozebranej, odkąd przestała być małą dziewczynką. Ciało, które miała w tej chwili przed oczami, wyglądało całkiem inaczej niż to, które pamiętała. Mona przytyła i było widać dokładnie każdy zbędny kilogram. Linda mimo woli skrzywiła się z obrzydzenia, i choć trwało to zaledwie sekundę, matka zdążyła zauważyć jej grymas. Dopiero wtedy otrząsnęła się z szoku, uświadamiając sobie, w jakiej sytuacji przyłapała ją córka. Po jakimś czasie Linda doszła do wniosku, że tylko to je w tamtym momencie łączyło: obie były na to równie nieprzygotowane. Mona z hukiem postawiła flaszkę na blacie i otworzyła drzwi do lodówki, żeby się za nimi schować. Linda nie mogła się powstrzymać i zaśmiała się na widok matczynej głowy wystającej nad drzwiami chłodziarki.

– Co to za pomysł, żeby mnie nachodzić bez zapowiedzi? – krzyknęła Mona.

– Chciałam ci zrobić niespodziankę.

– Nie wiesz, że w dobrym tonie jest najpierw zadzwonić do drzwi?

– Może i tak, ale jak inaczej bym się dowiedziała, że moja matka chleje w samym środku dnia?

Mona z wściekłością zatrzęsnęła drzwiami lodówki.

– Nie chleję! – wrzasnęła.

– Widziałam, jak pociągałaś prosto z butelki.

– To woda. Chłodzę przegotowaną wodę w lodówce.

Obie równocześnie rzuciły się w stronę stojącej na blacie flaszki, matka, by ukryć prawdę, córka, żeby jej udowodnić, że kłamie. Linda była szybsza. Chwyciła butelkę i powąchała.

– To nie woda, ale czysta wódka. Idź coś na siebie zarzucić. Czy ty w ogóle wiesz, jak wyglądasz? Jeszcze chwila, a będziesz tak gruba, jak

ojciec. Chociaż widzę, że i tak jest już za późno. Ty jesteś tłusta, a on tylko gruby.

Mona wyrwała jej flaszkę z rąk. Linda odwróciła się do matki plecami.

– Idź się ubrać – rzuciła.

– Będę chodziła nago po moim domu, kiedy tylko mam na to ochotę – odburknęła.

– To nie twój dom, ale twojego golfisty.

– Ten golfista ma na imię Olof i jest moim mężem. Poza tym dom jest wspólny.

– Nieprawda. Wiem, że podpisaliście intercyzę. Jeśli się rozstaniecie, dom pozostanie jego własnością.

– Skąd o tym wiesz?

– Od dziadka.

– Co on tam wiedział, ten stary dziad.

Linda błyskawicznie odwróciła się i wymierzyła Monie słaby policzek.

– Nie waż się tak mówić o moim dziadku – warknęła.

Mona zrobiła krok w tył, zachwiała się, ale nie od siły ciosu, tylko od alkoholu, i obrzuciła Lindę wściekłym spojrzeniem.

– Jesteś taka sama jak ojciec. On mnie bił i teraz ty też to robisz.

– Idź się ubrać – powtórzyła Linda, patrząc jak matka demonstracyjne pociąga potężny łyk prosto z butelki. To nie może być prawda, pomyślała. Nie wierzę w to, co widzę. Po co ja tu wstępowałam? Dlaczego nie pojechałam prosto do Kopenhagi?

Mona zatoczyła się i upadła na ziemię. Linda schyliła się, by pomóc jej wstać, została jednak odepchnięta. Matka w końcu wgramoliła się na krzesło.

Linda przyniosła jej szlafrok z łazienki, ale Mona nie chciała go na siebie włożyć.

– Dlaczego nie chcesz się ubrać? – zapytała.

- Wszystkie ubrania są na mnie za ciasne.
- Jeśli się nie okryjesz, pójdę sobie.
- Może przynajmniej napijesz się ze mną kawy?
- Dobrze, ale pod warunkiem, że włożysz szlafrok.
- Olof lubi, kiedy chodzę nago po domu. Oboje tak chodzimy.

Czuję się jak matka własnej matki, pomyślała Linda i zdecydowanym ruchem narzuciła na Monę szlafrok. Ta nie zaprotestowała, lecz kiedy znów wyciągnęła rękę po flaszkę, Linda powstrzymała ją.

Zabrała się do parzenia kawy. Matka śledziła jej ruchy, patrząc spod na wpół przymkniętych powiek.

- Jak się miewa Kurt? – zapytała.
- Dobrze.
- Przecież on przez całe swoje życie nigdy nie czuł się dobrze.
- Teraz czuje się dobrze. Lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.
- Pewnie dlatego, że w końcu pozbył się ojca, który go nienawdził.

Linda uniosła dłoń. Mona zamilkła, unosząc ręce w przeproszającym geście.

– Nie masz pojęcia, jak mu brakuje dziadka. Nie masz zielonego pojęcia.

- Kupił sobie w końcu jakiegoś psa?
- Nie.
- Dalej zadaje się z tą Ruską?
- Baiba jest Łotyszką. Nie, rozstali się.

Mona podniosła się z krzesła, zatoczyła się, ale utrzymała na nogach. Poszła do łazienki. Linda cicho ruszyła za nią i przyłożyła ucho do drzwi. Usłyszała, że z kranu leje się woda, ale nie doszedł do niej brzęk butelki wyjmowanej z jakiejś kryjówki.

Matka wróciła do kuchni z obmytą twarzą i uczesana. Rozejrzała się za butelką, której zawartość Linda wylała tymczasem do zlewu. Nie znalazłszy



jej, Mona zadowolila się kawą. Lindę nagle ogarnęła fala współczucia dla matki. Nie chcę skończyć tak jak ona, przyszło jej na myśl. Nie zostanie węższą, znerwicowaną i zakompleksioną kobietą, która właściwie nigdy nie chciała rozstać się z mężem, ale była do tego stopnia bezwolna, że zrobiła to, na co wcale nie miała ochoty.

– Nie jestem taka na co dzień – mruknęła Mona.

– Przed chwilą powiedziałaś, że ty i Olof zawsze chodzicie nago po domu.

– Nie piję tak dużo, jak podejrzewasz.

– Niczego nie podejrzewam. Kiedyś nie piłaś wcale, a dziś nagle zobaczyłam cię nagą, pociągającą wódkę prosto z butelki, i to w środku dnia.

– Ostatnio nie najlepiej się czuję.

– Jesteś chora?

Nagle Mona się rozplakała. Linda nie wiedziała, jak się zachować. Nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała swoją matkę we łzach. Kiedyś zdarzało się, że uderzała w bezradny szloch z powodu nieudanego obiadu lub dlatego, że zapomniała o czymś bardzo ważnym. Płakała też podczas kłótni z ojcem. Tym razem jednak było inaczej. Linda postanowiła zaczekać, aż jej przejdzie. Atak hysterii minął Monie tak szybko, jak niespodziewanie się zaczął. Pociągnęła nosem i napiła się kawy.

– Przepraszam – wyszeptała.

– Lepiej mi powiedz, co się stało.

– Ale co niby miało się stać?

– Ty mi powiedz, przecież musi być jakiś powód.

– Podejrzewam, że Olof ma jakąś kobietę – wydukała w końcu Mona. – Zaprzeczaj, ale ja nauczyłam się w życiu jednego. Wiem, kiedy ktoś mnie okłamuje. Tę umiejętność zawdzięczam twojemu ojcu.

Linda poczuła nagłą potrzebę obrony Kurta.

– Nie sądzę, żeby kłamał więcej niż wszyscy. A już na pewno nie bardziej niż ja.

– Nie masz pojęcia, co mogłabym ci na ten temat opowiedzieć.

– Domyślasz się, że raczej nie jestem tym zainteresowana.

– Dlaczego jesteś taka złośliwa?

– Mówię po prostu to, co myślę.

– Akurat teraz, kiedy potrzebuję jakiejś przyjaznej duszy – mruknęła z rezygnacją Mona.

Uczucia Lindy do matki cały czas zmieniały się zupełnie jak w kalejdoskopie. Raz było to współczucie, raz złość. Nic jednak nie dorównywało intensywności doznaniu, które dopiero w tej chwili sobie uświadomiła. Nie lubię jej, pomyślała. Moja matka prosi o miłość, której nie umiem jej dać. Muszę stąd wyjść.

Odstawiła kubek na blat obok zlewu.

– Idziesz już? – zdziwiła się Mona.

– Muszę jechać do Kopenhagi.

– Po co?

– Nie mam czasu na wyjaśnienia.

– Nienawidzę Olofa za to, co mi robi.

– Jeśli chcesz, wrócę, ale pod warunkiem, że będziesz trzeźwa.

– Dlaczego jesteś dla mnie taka wredna?

– Nie jestem wredna. Zadzwoń.

– Dłużej tego nie wytrzymam.

– Więc z tym skończ. Robiłaś to już wcześniej.

– Nie musisz mi streszczać mojego życia – obruszyła się Mona.

Widząc, że matka znów się nakręca, Linda obróciła się na pięcie i wyszła z kuchni. Usłyszała za sobą jej głos: „Zostań jeszcze chwilę!”, a kiedy już zamykała za sobą drzwi, padło kolejne zdanie: „Idź i nigdy się tu już nie pokazuj!”.

Gdy wsiadła do samochodu, była zlane potem. Wredne babsko, pomyślała. Wciąż czuła złość, chociaż doskonale wiedziała, że nim dotrze do połowy mostu Öresund, negatywne emocje gdzieś się ulotnią. Powinnam być dobrą córką, szepnęła pod nosem. Powinnam zostać i wysłuchać jej skarg.

Znalazłszy wjazd na most, kupiła bilet i minęła bramkę. Jechała powoli. Czuła nadciągającą falę wyrzutów sumienia. Gdybym tylko miała rodzeństwo, pomyślała. Wtedy wszystko byłoby inaczej. A tak zawsze jestem na przegranej pozycji, bo mam dwoje rodziców i muszę sobie z nimi radzić sama. I to ja będę musiała wziąć ich do siebie, kiedy nie będą sobie już z niczym radzić. Zadrżała na tę myśl, dochodząc do wniosku, że musi o incydencie z Moną powiedzieć ojcu. Zapytać go, czy matce wcześniej zdarzało się tyle pić. Czyżby miała problem z alkoholem, którego ona nigdy nie zauważyła?

Po dotarciu na drugi brzeg porzuciła myśli o Monie. Decyzja o rozmowie z ojcem uspiła wyrzuty sumienia. Linda uznała ostatecznie, że postąpiła słusznie, zostawiając ją samą w tym stanie. I tak nie da się z nią rozmawiać, kiedy jest pijana, podsumowała. Poza tym gdybym została, tylko byśmy na siebie krzyczały.

Zjechała na pobliski parking i zatrzymała samochód. Usiadła na ławce z widokiem na cieśninę, most i majaczące we mgle wybrzeże Szwecji. Znów pograżyła się w rozmyślaniach. Moi rodzice sprawili, że dzieciństwo i cały okres dorastania wspominam jako spowity taką właśnie mgłą, stwierdziła. Najgorszy jest ojciec, świetny, choć dość ponury policjant, który kiedyś potrafił się śmiać, ale potem, z jakiegoś niejasnego powodu prawie całkiem przestał to robić. Człowiek, który nie ułożył sobie życia z żadną nową kobietą, bo nigdy nie przestał kochać Mony. Baiba to

w końcu zrozumiała, ale on nie chciał w ogóle słuchać. Powiedział jej ponoć, że na zawsze zapomniał o Monie, tymczasem od początku było wiadomo, że to nieprawda. On nigdy jej nie zapomni, Mona jest miłością jego życia. A teraz proszę, zastaję ją gołą, z butelką wódki w dłoni. Ona też porusza się po omacku w tej mgle. I ja wciąż się od niej nie wyzwoliłam, mimo że zaraz skończę trzydzieści lat.

W przypiływie złości kopnęła żwir pod stopami, podniosła kamyczek i cisnęła nim w przechadzającą się nieopodal mewę. Jedenaste przykazanie, pomyślała, najważniejsze, powinno brzmieć tak: *Nie będziesz taka jak oni*. Gdzieś za tą przeklętą mgłą jest świat, z którym już dawno stracili kontakt. Matka umiera z nudów u boku apatycznego golfisty, ojciec wegetuje, nie mając pojęcia, że już spotkał i stracił swoją wielką miłość, i teraz próbuje jakoś z tym żyć. Pewnie zawsze już będzie powtarzał, że sprawi sobie psa i kupi dom, aż kiedyś się w końcu zorientuje, że jest za późno.

Z głową pełną myśli podniosła się z ławki i wróciła do samochodu. Trzymając dłoń na klamce, całkiem niespodziewanie wybuchnęła śmiechem. Wystraszyła parę mew, które z trzepotem poderwały się do lotu. Taka właśnie jestem, stwierdziła w duchu. Z jednej strony widzę otaczającą mnie mgłę, z drugiej nie potrafię z niej wyjść. Widocznie ten labirynt ma w sobie coś pociągającego. Jednak postaram się znaleźć wyjście. Jadąc do miasta, wciąż śmiała się sama do siebie. Zaparkowała w pobliżu kanału Nyhavn. Podeszła do tablicy informacyjnej dla turystów, żeby sprawdzić, gdzie leży ulica Nedergade.

Zaczęło już zmierzchać, kiedy wreszcie dotarła na miejsce. Ulica Nedergade znajdowała się w podupadłej dzielnicy zabudowanej niemal identycznymi kamienicami. Linda od razu poczuła się nieswojo i zawahała, czy przypadkiem nie powinna przełożyć poszukiwań Torgeira Langaasa na inny dzień. Bilet na przejazd przez most był jednak drogi, nie stać jej na

powtórzenie podobnej wycieczki. Zaparkowała pod właściwym domem, zamknęła samochód i spróbowała dodać sobie odwagi, idąc stanowczym krokiem przez ulicę. Podeszła do bramy i w słabym świetle zaczęła odczytywać nazwiska lokatorów. Nagle drzwi się otworzyły i minął ją jakiś mężczyzna z blizną na twarzy. Wzdrygnął się na jej widok, widocznie nikogo się tam nie spodziewał. Zanim drzwi znów się zatrzasnęły, Linda była już w środku. Na klatce schodowej wisiał spis lokatorów, ale żaden z nich nie miał na imię Torgeir ani nie nazywał się Langaas. Na schodach pojawiła się kobieta z workiem pełnym śmieci. Była w wieku Lindy, uśmiechnęła się do niej.

– Przepraszam panią – zagadnęła ją Linda. – Szukam pana Torgeira Langaasa.

Kobieta zatrzymała się.

– Czy on mieszka w tym domu? – zapytała.

– Tak mi powiedziano.

– Jak się ten pan nazywa? Torgeir Langaas? Czy on jest Duńczykiem?

– Norwegiem.

Kobieta pokręciła głową. Linda widziała, że lokatorka naprawdę chce jej pomóc.

– Nie znam żadnego Norwega, który by tu mieszkał. Lokatorzy to paru Szwedów i kilku innych obcokrajowców, ale na pewno nie ma tu żadnego Norwega.

Nagle do kamienicy wszedł jakiś mężczyzna. Kobieta z workiem ze śmieciami spytała go, czy zna niejakiego Torgeira Langaasa. Zagadnięty pokręcił głową. Miał założony kaptur od bluzy, więc Linda nie zobaczyła jego twarzy.

– Niestety, nie umiem pani pomóc – powiedziała kobieta. – Ale niech pani spróbuje porozmawiać z panią Andersen, mieszka na drugim piętrze. Na temat lokatorów wie z nas wszystkich najwięcej.

Linda grzecznie podziękowała i ruszyła schodami w górę. Jej kroki odbijały się głośnym echem na całej klatce schodowej. Usłyszała trzaśnięcie drzwi i na moment budynek zalała głośna muzyka latynoamerykańska. Przed drzwiami pani Andersen na taborecie stał kwiatek w doniczce. Linda nacisnęła dzwonek. W przedpokoju rozległo się zajadłe szczekanie. Pani Andersen okazała się niziutką, zgarbioną staruszką. Wokół jej stóp w wytartych starych kapciach miotał się piesek, najmniejszy, jakiego Linda kiedykolwiek widziała. Podała powód swojej wizyty. Pani Andersen wskazała kościstym palcem na swoje lewe ucho.

– Głośniej – powiedziała. – Źle słyszę. Niech pani mówi głośniej.

Linda powtórzyła, tym razem prawie krzycząc. Zapytała, czy w tym domu mieszka Norweg, niejaki Torgeir Langaas.

– Jestem głucha, ale mam dobrą pamięć – zawołała w odpowiedzi staruszka. – Nie ma tu żadnego Langaasa.

– A może mieszka u kogoś innego?

– Znam wszystkich lokatorów, tych, co mają umowę, i tych, co mieszkają u kogoś kątem. Jestem tu od czterdziestu dziewięciu lat, od chwili kiedy zbudowano ten dom. Różni się tu przewijają, a ja lubię wiedzieć, kto jest moim sąsiadem.

Nagle podeszła bliżej do Lindy i wychrypiąła.

– W tym domu handluje się narkotykami. I nikt z tym nic nie robi!

Pani Andersen nalegała, by Linda wstąpiła do niej na kawę, którą miała przygotowaną w termosie. Weszły do wąskiej kuchni. Po półgodzinie Lindzie udało się wreszcie stamtąd wyrwać. Po tej niespodziewanej gościnie wiedziała już wszystko o wspaniałym mężu, jakiego kiedyś miała pani Andersen, ale niestety zmarł przedwcześnie.

Linda zeszła na parter. Muzyka latynoamerykańska całkiem ucichła, za to teraz dochodził skądś płacz dziecka. Wyszła z kamienicy i nim wkroczyła

na ulicę, rozejrzała się dokoła. Kątem oka spostrzegła, że ktoś wyłonił się z cienia tuż obok. Był to mężczyzna w kapturze sportowej bluzy. Złapał ją za włosy. Próbowwała się wyswobodzić, ale chwyt i ból były zbyt silne.

– Nie ma tu żadnego Torgeira – wysyczał napastnik. – Żadnego Torgeira Langaasa. Zapomnij o nim.

– Puść mnie! – krzyknęła Linda.

Mężczyzna puścił ją i uderzył w skroń. Cios był potężny. Upadła na chodnik, otoczona ciemnością.

Płynęła ostatkiem sił, widząc, że potężne fale zaraz ją dościgną. Nagle zobaczyła przed sobą skały, czarne, wystające z wody, ostre jak szpikulce. Uzmysłowała sobie, że zaraz się na nie nadzieje. Już prawie całkiem opadła z sił. Krzyknęła i otworzyła oczy. Poczowała pulsujący w głowie ból, dziwiąc się, dlaczego światło w sypialni jest inne. Potem ujrzała twarz ojca, pochylał się nad nią, więc doszła do wniosku, że pewnie zasnęła. Ale co ja takiego miałam dziś zrobić? Nie pamiętała.

Nagle wszystko wróciło. To nie fale ją goniły, ale przebłysk świadomości z chwili tuż przed upadkiem. Klatka schodowa, ulica, mężczyzna, który wyłonił się z cienia, groźba i uderzenie. Zadrżała. Ojciec położył jej dłoń na ramieniu.

– Już dobrze. Wszystko będzie dobrze – powiedział łagodnym tonem.

Linda rozejrzała się po pokoju. Była w szpitalu, w pomieszczeniu z przytłumionym światłem, jakimiś pikającymi urządzeniami i szumiącym wentylatorem.

– Teraz pamiętam – powiedziała. – Ale jak się tu znalazłam? Czy jestem ranna?

Spróbowała usiąść na łóżku, poruszyła rękami i nogami, chcąc się przekonać, że nie są bezwładne. Ojciec ją przytrzymał.

– Będzie lepiej, jeśli jeszcze trochę poleżysz. Byłaś nieprzytomna, ale nie masz żadnych obrażeń wewnętrznych ani wstrząśnienia mózgu.

– Skąd się tu wzięłaś? – spytała, zamykając oczy. – Opowiedz mi wszystko.

– O ile prawdą jest to, co powiedzieli mi duńscy koledzy i jeden lekarz z ostrego dyżuru w tym szpitalu, miałaś dużo szczęścia. Kiedy ten



mężczyzna cię napadł, akurat ulicą przejeżdżał patrol. Policjanci wszystko widzieli, dlatego karetka przyjechała po paru minutach. Znaleźli twoje prawo jazdy i legitymację ze szkoły policyjnej. Dotarli do mnie po półgodzinie. Przyjechałem od razu. Jest też ze mną Stefan.

Linda otworzyła oczy, ale zobaczyła jedynie ojca. Przyszła jej do głowy jakaś mętna myśl, że chyba się zakochała w Stefanie, mimo że dopiero go poznała. No nie, dochodzę do siebie po tym, jak napadł mnie jakiś bandyta, i pierwszą rzeczą, o której myślę, jest to, że się zakochałam, na dodatek za szybko.

– O czym myślisz? – zapytał Wallander.

– Gdzie jest Stefan?

– Poszedł coś zjeść. Powiedziałem mu, żeby wrócił do domu, ale nie chciał.

– Chce mi się pić.

Ojciec podał jej wodę. Linda poczuła, że całkiem wraca jej pamięć, przed oczami przewinęły jej się obrazy z chwili tuż przed napaścią.

– Co się stało z tym facetem? – zapytała.

– Złapali go.

Usiadła tak energicznie, że ojciec nie zdążył jej powstrzymać.

– Połóż się – powiedział.

– On wie, gdzie jest Anna. Chociaż nie, może tego nie wiedzieć, ale musi mieć z tym coś wspólnego.

– Uspokój się.

Linda niechętnie opadła na łóżko.

– Nie wiem, jak się nazywa. Być może to Torgeir Langaas, ale niekoniecznie. Na pewno wie coś o Annie.

Wallander przysunął taboret do łóżka i usiadł. Lida spojrzała na jego zegarek. Był kwadrans po trzeciej.

– Jest dzień czy noc? – zapytała.

– Noc.

– Ten facet mi groził. Złapał mnie za włosy i mi groził.

– Nie rozumiem, co tam robiłaś. Po co pojechałaś do Kopenhagi?

– Za długo by tłumaczyć. Najważniejsze, że on wie coś o Annie.

Przecież mógł z nią zrobić to samo. Poza tym może też mieć coś wspólnego z Birgittą Medberg.

Wallander pokręcił głową.

– Jesteś zmęczona. Lekarz powiedział, że wspomnienia mogą wracać we fragmentach i na początku mogą być trochę zamazane.

– Nie słyszysz, co do ciebie mówię? – zdenerwowała się Linda.

– Dobrze słyszę. Jak tylko lekarz zbada cię jeszcze raz, pojedziemy do domu. Ty ze mną, a Stefan weźmie twój samochód.

Linda uświadomiła sobie, do czego zmierza jej ojciec.

– Nie wierzysz mi? Ten facet mi groził!

– Wierzę, że ci groził. Sam się do tego przyznał.

– Do czego się przyznał?

– Że ci groził, żebyś mu oddała narkotyki, które, jak sądził, kupiłaś w tamtym domu.

Linda spojrzała na ojca wytrzeszczonymi oczami, starając się pojąć, co właśnie usłyszała.

– Ostrzegł mnie, żebym nigdy więcej nie wypytywała o Norwega o nazwisku Torgeir Langaas. Nie powiedział ani słowa o narkotykach.

– Powinniśmy się cieszyć, że go złapali i sprawa się wyjaśniła. Całe szczęście, że policja była na miejscu. Facetowi zostaną postawione zarzuty o napad.

– Zrozum, jemu nie chodziło o żadne prochy. Tu chodzi o Norwega, który kupił dom za kościołem w Lestarp.

Wallander zmarszczył czoło.

– Jaki znów dom? – zapytał.

– Nie zdążyłam ci o tym opowiedzieć. Byłam w Lund, w domu, w którym Anna wynajmuje pokój. Tam trafiłam na trop, który zawiódł mnie do Lestarp, do domu za tamtejszym kościołem. Po tym jak zapytałam o Annę, wszyscy stamtąd zniknęli. Jedyne, czego udało mi się później dowiedzieć, to, że ten dom kupił jakiś Norweg o nazwisku Torgeir Langaas. Zdobyłam jego adres w Kopenhadze.

Ojciec przyglądał się jej dłuższą chwilę. W końcu wyjął z kieszeni notatnik i odczytał jakieś zapiski.

– Mężczyzna, który na ciebie napadł, nazywa się Ulrik Larsen. Jeśli wierzyć naszym duńskim kolegom, Ulrik Larsen na pewno nie należy do ludzi posiadających jakiegokolwiek domy.

– Ty mnie wcale nie słuchasz? – krzyknęła Linda.

– Słucham. To do ciebie dociera, że policja złapała mężczyznę, który przyznał się do napadu i próby obrabowania cię z narkotyków, bo myślał, że je masz.

Linda z rezygnacją pokręciła głową. Poczwała pulsujący ból w lewej skroni. Dlaczego on nie chce nic zrozumieć?

– Uwierz mi, myślę logicznie. Wiem, że zostałam napadnięta, przecież dokładnie opowiedziałam ci, co się stało.

– Tak ci się *wydaje*. Ja natomiast chciałbym zrozumieć, co robiłaś w Kopenhadze. Wiem, że wcześniej byłaś u Mony i zrobiłaś jej jakąś przykrość.

Linda poczuła lodowate zimno.

– Skąd o tym wiesz?

– Zadzwoiła do mnie. Odbyliśmy bardzo nieprzyjemną rozmowę. Cały czas pociągała nosem i paplała coś niezrozumiale. Nawet pomyślałem, że jest pijana.

– Bo *była* pijana. Co ci powiedziała?

– Że na nią naskoczyłaś i nakrzyczyłaś, że mówiłaś źle o mnie i o niej. Była zdruzgotana. Ten jej golfista najwyraźniej wyjechał i nie miał jej kto pocieszyć.

– Kiedy weszłam do domu, matka stała goła w kuchni i piła wódkę prosto z butelki.

– Powiedziała, że się zakradłaś.

– Nie zakradłam się. Weszłam przez werandę. Była tak pijana, że się przewróciła. Cokolwiek ci powiedziała przez telefon, kłamała.

– Porozmawiamy o tym później.

– Dziękuję – mruknęła Linda.

– Co robiłaś w Kopenhadze?

– Przecież już powiedziałam.

Wallander pokręcił głową.

– A czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego w tutejszym areszcie siedzi jakiś facet, który próbował cię obrabować?

– Nie, nie mogę. Nie mogę też pojąć, dlaczego do ciebie nie dociera to, co mówię.

Kurt pochylił się nad Lindą.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak się poczułem, kiedy zadzwonili do mnie z Kopenhagi z wiadomością, że zostałaś napadnięta i leżysz w szpitalu? Czy w ogóle sobie to wyobrażasz?

– Przykro mi, że musiałeś się o mnie niepokoić.

– Niepokoić? Przestraszyłem się tak, jak mi się nie zdarzyło od wielu, bardzo wielu lat!

Pewnie od dnia, kiedy próbowałam popełnić samobójstwo, pomyślała. Dobrze wiedziała, że ojciec najbardziej się bał, że mogłoby ją spotkać coś złego.

– Przepraszam – powiedziała.

– Oczywiście zastanawiałem się, jak to będzie, gdy zaczniesz pracować. Pewnie zostanę znerwicowanym staruszkiem i nie zmrużę oka, kiedy będziesz na nocnym dyżurze.

Linda podjęła kolejną próbę wyjaśnienia ojcu przyczyny całego zajścia. Mówiła powoli, wyraźnie. On jednak zdawał się wciąż jej nie wierzyć.

Właśnie skończyła mówić. Gdy do sali wszedł Stefan. Miał ze sobą papierową torebkę z kanapkami. Widząc, że Linda się obudziła, przywitał ją przyjaznym skinieniem.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– W porządku – odparła.

Lindman podał jej ojcu torebkę z kanapkami. Wallander od razu zaczął jeść.

– Jakie masz auto? Mam nim wrócić do Ystad – Stefan znów zagadnął Lindę.

– To czerwony golf. Stoi krzywo zaparkowany przed tą kamienicą przy Nedergade. Obok był jakiś sklep z tytoniem, o ile dobrze pamiętam.

Stefan pomachał kluczykami samochodowymi.

– Znalazłem je w kieszeni twojej kurtki – wyjaśnił. – Zdajesz sobie sprawę, jakie miałaś szczęście? Narkomani na głodzie to chyba najgorsze, co nas może spotkać.

– To nie był żaden narkoman.

– Opowiedz Stefanowi to, co mi powiedziałaś – rzucił Wallander, przeżuwając kanapkę.

Linda powtórzyła całą historię, starając się wyrażać najjaśniej, jak się da, dokładnie tak, jak ją nauczono. Ojciec cały czas jadł kanapki, a Stefan stał po drugiej stronie łóżka i wpatrywał się w podłogę.

– To nie zgadza się z wersją naszych duńskich kolegów – odezwał się, kiedy skończyła. – Ani z zeznaniami faceta, który na ciebie napadł.

– Mówię prawdę.

Wallander dokładnie wytarł dłonie serwetką.

– Pozwól, że ujmę to inaczej – powiedział. – Niezwykle rzadko się zdarza, że ludzie przyznają się do przestępstw, których nie popełnili. Czasem tak bywa, owszem, ale naprawdę nieczęsto. A już z całą pewnością nie wśród ludzi uzależnionych od narkotyków, bo oni najbardziej boją się tego, że zostaną odcięci od dostępu do niezbędnych im do życia używek. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Linda nie odpowiedziała. W tej samej chwili do sali wszedł lekarz i zapytał, jak czuje się pacjentka.

– Może ją pan zabrać do domu – zwrócił się do Wallandera. – Ale przez kilka dni zalecam spokój i odpoczynek. Jeśli ból głowy nie minie, proszę się zgłosić do lekarza.

Linda usiadła na łóżku. Nagle przysła jej do głowy pewna myśl.

– Jak wygląda Ulrik Larsen? – zapytała.

Ani Lindman, ani Wallander go nie widzieli.

– Nie wyjdę stąd, dopóki się nie dowiem, jak on wygląda – oznajmiła Linda stanowczym tonem.

Wallander się zdenerwował.

– Czy nie sądzisz, że narobiłaś już wystarczająco dużo zamieszania? Jedziemy do domu.

– To chyba nie powinien być aż taki wielki problem. Nie możesz tego załatwić od ręki z tymi swoimi duńskimi kolegami?

Linda zorientowała się, że prawie krzyczy.

Do sali zajrzała pielęgniarka i obrzuciła ich surowym spojrzeniem.

– Proszę zwolnić łóżko – powiedziała.

Na noszach postawionych pod drzwiami leżała krwawiąca kobieta. Jednostajnie uderzała pięścią w ścianę. Wallander, Stefan i Linda przeszli do poczekalni.

– Mężczyzna, który na mnie napadł, miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Nie widziałam jego twarzy, bo miał na głowie kaptur od bluzy. Bluza była czarna albo granatowa. Poza tym miał na sobie ciemne spodnie i brązowe buty trekkingowe. Był chudy, mówił po duńsku. No i czuć było od niego cynamonem.

– Cynamonem? – zdziwił się Stefan.

– Może zjadł drożdżówkę, skąd mam wiedzieć dlaczego? – prychnęła Linda. – Zadzwońcie teraz do tych waszych duńskich kolegów i dowiedzcie się, czy facet, którego zatrzymali, wygląda jak ten opisany przeze mnie. Jak tylko się tego dowiem, dam wam spokój.

– Nie – burknął Wallander. – Jedziemy do domu.

Linda spojrzała na Lindmana, który dyskretnie skinął w jej stronę, kiedy Kurt się odwrócił.

Rozdzielili się pod szpitalem. Stefan wszedł do taksówki, żeby pojechać po czerwonego golfa, Linda natomiast zwinęła się w kłębek na tylnym siedzeniu w samochodzie ojca i ruszyli z powrotem do Ystad. W czasie jazdy zauważyła, że Kurt co jakiś czas zerka na nią we wstecznym lusterku. Minęli właśnie kolejne przesłanie, kiedy auto nagle zaczęło podskakiwać i szarpać.

Wallander zaklął i zatrzymał samochód.

– Zostań w środku – powiedział.

Wysiadł z auta, obszedł je, po czym zatrzymał się i kucnął przy prawym tylnym kole. Po chwili otworzył drzwi po stronie Lindy.

– Jednak będzie lepiej, jeśli wysiądziesz. Wygląda na to, że nie zmrużę oka przez całą noc.

Linda spojrzała na sflaczałą oponę i nagle poczuła wyrzuty sumienia.

– Przecież to nie moja wina – próbowała się bronić.

Ojciec podał jej trójkąt i poprosił, by ustawiła go na drodze w odpowiedniej odległości.

– Kto powiedział, że to twoja wina?

Nocą ruch na moście był niewielki. Czekaając, aż ojciec skończy zmieniać koło, stała w miejscu, wpatrując się w czyste niebo. Słyszała, jak Wallander przeklina i sapie. W końcu uporał się z kołem, otarł pot z czoła i wygrzebał z bagażnika do połowy opróżnioną butelkę z wodą. Potem stanął obok Lindy i spojrzał w dal, na cieśninę.

– Gdybym nie był taki zmęczony, z pewnością doceniłbym ten widok – powiedział. – To nie lada przeżycie, oglądać Sund w środku nocy. Ale teraz muszę położyć się spać.

– Dobrze, nie będziemy już więcej rozmawiać – odparła Linda. – Przynajmniej już nie tej nocy. Chcę tylko, żebyś wiedział, że nie napadł na mnie żaden narkoman. Chyba że jakiś próbował mnie obrobić po tym, jak straciłam przytomność. Przede wszystkim mi groził. Ostrzegł mnie, żebym przestała szukać mężczyzny o nazwisku Torgeir Langaas. Chcę, żebyś o tym wiedział. Sądzę, że istnieje jakiś związek między tym mężczyzną a Anną. Pojechałam do Kopenhagi, bo wciąż się o nią niepokoję. A teraz martwię się o nią jeszcze bardziej.

– Wracajmy do domu – powiedział Wallander. – Słyszę, co do mnie mówisz, i brzmi to dla mnie dziwnie. Bo fakt jest taki, że napastnika złapano na gorącym uczynku, a jego zeznania brzmią wiarygodnie.

Dalszą drogę do Ystad przebyli w milczeniu. Kiedy dotarli do domu, było prawie wpół do piątej. Kluczyki do golfa leżały na podłodze w przedpokoju, wrzucone przez szparę na listy.

– Widziałeś, żeby Stefan mijał nas na moście? – zdziwiła się Linda.

– Raczej nie, ale może on po prostu nie lubi pomagać innym kierowcom w potrzebie.

– Czy drzwi do kamienicy nie są zamykane na noc?



– Niby tak, ale zamek jest obluzowany. Najważniejsze, że odzyskałaś samochód.

– Nie jest mój, należy do Anny.

Poszła za ojcem, kiedy wszedł do kuchni i wyjął sobie z lodówki piwo.

– Jak wam idzie śledztwo? – spytała.

– Dość pytań na dzisiaj – odparł. – Jestem zbyt zmęczony. Muszę się położyć. Ty zresztą też.

Obudził ją dzwonek do drzwi. Gwałtownie usiadła na łóżku, czując, że w jednej chwili opuściła ją senność. Spojrzała na budzik. Był kwadrans po jedenastej. Wygramoliła się z pościeli i zarzuciła na siebie szlafrok. Pulsujący ból w skroni ustał. Uchyliła drzwi i wyjrzała na korytarz. W progu stał Stefan Lindman.

– Obudziłem cię, przepraszam – powiedział.

Linda zaprosiła go do środka.

– Zaczekaj na mnie w salonie. Zaraz przyjdę.

Pobiegła do łazienki. Opłukała twarz zimną wodą, umyła zęby i poprawiła sobie włosy. Kiedy weszła do pokoju, Stefan stał w otwartych drzwiach balkonowych.

– Jak się dziś czujesz? – zapytał.

– Dobrze. Chcesz kawy?

– Nie zdążę. Wpadłem tylko, żeby ci streścić rozmowę telefoniczną, jaką odbyłem jakąś godzinę temu.

Linda zrozumiała, co Lindman ma na myśli. Ucieszyła się, że uwierzył w jej wersję wydarzeń.

– I co ci powiedzieli? – spytała.

– Trochę to trwało, zanim dotarłem do odpowiedniego funkcjonariusza, ale w końcu obudziłem niejakiego Olego Hedtofta, który miał w nocy dyżur. Poza tym to on złapał faceta, który cię napadł.

Wyjął z kieszeni złożoną kartkę, rozprostował ją i spojrzał na Lindę.

– Podaj mi jeszcze raz twój rysopis Ulrika Larsena – poprosił.

– Nie wiem, czy on się tak nazywa. W każdym razie mężczyzna, który mi groził, miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, był chudy, miał czarną lub granatową bluzę z kapturem, ciemne spodnie, brązowe buty.

Stefan pokiwał głową i w zadumie przesunął palcem wskazującym i kciukiem po swoim nosie.

– Ole Hedtoft potwierdza ten rysopis. Może po prostu źle zrozumiałaś tę groźbę?

Linda pokręciła głową.

– Słyszałam wyraźnie. Ostrzegł mnie, żebym przestała szukać Torgeira Langaasa.

– Ale wszystko wskazuje na to, że zaszło jakieś nieporozumienie.

– Jakie znów nieporozumienie? – zdenerwowała się Linda. – Przecież wiem, co słyszałam. Z każdą chwilą mam coraz większą pewność, że Annę spotkało coś złego.

– Więc zgłoś to na policji. Porozmawiaj z jej matką. Dlaczego ona nic nie robi?

– Nie mam pojęcia.

– Czy to przede wszystkim nie ona powinna się martwić?

– Nie wiem, co tu się dzieje, nie pojmuję, dlaczego ona nie boi się o własną córkę, podczas gdy ja jestem pewna, że coś jej się stało.

Stefan wyszedł do przedpokoju.

– Zgłoś jej zaginięcie na policji. Pozwól nam się tym zająć.

– Ale wy właśnie nic nie robicie!

Lindman gwałtownie się zatrzymał.

– Pracujemy na okrągło przez całą dobę – odparł wyraźnie zdenerwowany. – Badamy sprawę zabójstwa, do którego doszło naprawdę.

Na dodatek to wyjątkowo paskudne morderstwo. I jak dotąd nie mamy zielonego pojęcia, dlaczego je popełniono.

– Więc dokładnie wiesz, jak się czuję – odparła Linda spokojnym głosem. – Moja przyjaciółka Anna nie odpowiada na telefony i nie otwiera, kiedy dzwonię do jej drzwi. A ja nie mam pojęcia dlaczego.

Otworzyła Stefanowi drzwi.

– Tak czy inaczej dziękuję ci, że uwierzyłeś chociaż w część tego, co powiedziałam.

– Między nami mówiąc, nie ma potrzeby relacjonować tego twojemu ojcu – rzucił Lindman na pożegnanie i zbiegł po schodach.

Linda zjadła byle jakie śniadanie, ubrała się i zadzwoniła do Zebry. Ponieważ telefon przyjaciółki nie odpowiadał, pojechała do mieszkania Anny. Tym razem nie odkryła żadnych śladów czyjejś obecności. Gdzie jesteś, zawołała w myślach. Kiedy wreszcie wrócisz, będziesz mi się gęsto tłumaczyć!

Otworzyła okno, przysunęła do niego krzesło i sięgnęła po pamiętnik Anny. Musi w nim być jakaś podpowiedź, pomyślała. Wyjaśnienie, dlaczego to wszystko się dzieje.

Zaczęła czytać. Cofnęła się o cały miesiąc. Nagle natrafiła na coś dziwnego. Na marginesie jednej ze stron widniało jakieś nazwisko, zanotowane niedbale, jakby po to, żeby nie wypadło z pamięci. Linda zmarszczyła czoło. Gdzieś je niedawno widziała lub słyszała. Zamyśliła się i odłożyła pamiętnik. Panował nieznośny upał, w oddali słychać było cichy pomruk nadciągającej burzy. Skąd ja je znam, zastanawiała się. Poszła do kuchni i zrobiła sobie kawę w nadziei, że jeśli na moment zajmie się czymś innym, coś jej się na pewno przypomni. Nic takiego się nie stało.

Dopiero kiedy wracała do domu, przypomniała sobie, gdzie je widziała. Niecałą dobę temu. Nazwisko z pamiętnika Anny widniało na domofonie

w pewnej kopenhaskiej kamienicy.

Vigsten. Linda miała pewność, że się nie myli. Takie właśnie nazwisko widziała na domofonie domu przy Nedergade. Poprzedzające je imię zaczynało się na D lub O, tego dokładnie nie pamiętała, ale nazwisko Vigsten na pewno tam było. I co ja mam teraz zrobić, pomyślała. Z każdą chwilą jestem coraz bardziej przekonana, że zdarzenie z Kopenhagi ma coś wspólnego ze zniknięciem Anny. Problem w tym, że tylko ja zdaję sobie z tego sprawę, i jak dotąd, nie udało mi się nikogo przekonać, że każdy trop wiedzie w tym kierunku. Ale o co w tym wszystkim chodzi? Znowu poczuła narastający niepokój. Jednego dnia Anna była pewna, że widziała swojego ojca, a już następnego zniknęła. Ta myśl nie dawała Lindzie spokoju. Najpierw wraca długo nieobecny ojciec, analizowała w myślach, a potem nagle znika jego córka. Mamy więc dwa zniknięcia, które w jakiś sposób się znoszą, a może uzupełniają? Czy coś je łączy? Musi o tym z kimś porozmawiać. W tej chwili nie miała nikogo poza Zebłą. Zamknęła mieszkanie, wsiadła do auta i pojechała do przyjaciółki. Spotkała ją przed domem, Zebra właśnie wybierała się na spacer z synem. Linda poszła z nimi na pobliski plac zabaw. Chłopiec pobiegł do piaskownicy, one zaś usiadły na brudnej ławce oblepionej gumą do żucia.

Przysiadły ostrożnie na samym brzegu ławki. Chłopiec z zachwytem na buzi rozrzucił piach wokół siebie. Linda zerknęła na Zebłą z zazdrością, jaka zawsze ją ogarniała w jej towarzystwie. Jej koleżanka była prześliczna. Miała w sobie coś aroganckiego i przyciągającego zarazem. Linda kiedyś bardzo chciała być taką kobietą jak Zebra. Ale ja zdecydowałam się pracować w policji, pomyślała. I teraz mam wielką nadzieję, że nie okażę się tchórzem.

– Wracając do Anny – odezwała się Zebra. – Próbowałam się do niej dodzwonić, ale nie było jej w domu. Rozmawiałaś z nią?

Linda poczuła złość.

– Czy ty też nic nie rozumiesz? – warknęła. – Anna zniknęła. Martwię się, że coś jej się stało.

– Przecież wiesz, jaka jest.

– Czyżby? Najwyraźniej nie mam pojęcia. Jaka jest?

Zebra zmarszczyła czoło.

– Dlaczego się wściekasz? – zapytała.

– Bo się o nią martwię.

– Ale co miałyby jej się stać?

Linda postanowiła opowiedzieć Zebrze wszystko ze szczegółami. Przyjaciółka wysłuchiwała jej w milczeniu. Chłopiec cały czas bawił się w piasku.

– Mogłam ci o tym powiedzieć – odezwała się, kiedy Linda skończyła. – Ja wiedziałam, że Anna jest bardzo religijna.

Linda spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Naprawdę?

– Tak.

– Mnie nigdy nic takiego nie mówiła.

– Bo spotkałyście się niedawno, po tylu latach. Poza tym Anna już taka jest, opowiada różne rzeczy różnym ludziom. Często kłamie.

– Byłam tym zaskoczona.

– Nawet w którymś momencie chciałam ci o tym powiedzieć, ale potem doszłam do wniosku, że będzie najlepiej, jeśli sama się zorientujesz. Anna jest mitomanką. Potrafi zmyślić właściwie wszystko.

– Kiedyś taka nie była.

– Ale ludzie się zmieniają, nieprawdaż?

Linda wyczuła, że ostatnia wypowiedź Zebry jest ironiczna.

– Wytrzymuję z nią, bo ma też sporo zalet – ciągnęła. – Zwykle jest w dobrym humorze, umie bawić się z dzieckiem, jest pomocna. Ale kiedy zaczyna opowiadać te swoje historie, nie wierzę w ani jedno jej słowo. Wiesz, że ostatnie Boże Narodzenie spędziła z tobą?

– Przecież byłam w Sztokholmie.

– Powiedziała, że pojechała do ciebie z wizytą. Miło spędziłyście czas, między innymi wybrałyście się na wycieczkę do Helsinek.

– Co ty mówisz?

– Tak mi powiedziała. Kłamała. Nie mam pojęcia, dlaczego i po co. Może to jakaś choroba? Albo po prostu życie wydaje jej się tak nudne, że musi je sobie jakoś ubarwić.

Linda zamilkła. Dłuższą chwilę siedziały bez słowa.

– Czyli uważasz, że kłamała, mówiąc, że widziała ojca na ulicy w Malmö? – odezwała się wreszcie Linda.

– Jestem tego pewna. To dla niej typowe, ni stąd, ni zowąd rzucić, że spotkała ojca, który pewnie już od dawna nie żyje.

– Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Już ci powiedziałam. Chciałam, żebyś sama się domyśliła.

– Więc myślisz, że nic jej się nie stało?

Zebra spojrzała na Lindę z rozbawieniem.

– A co niby miało się stać? Już wcześniej nieraz znikwała. Da znać, kiedy wróci. Opowie nam wtedy jakąś niestworzoną historię, zobaczysz.

– Czy wszystko to, co opowiada, to kłamstwo?

– Jeśli mitoman chce, żeby mu uwierzono, musi swoje kłamstwa budować na prawdziwych historiach. Wtedy kłamstwo ma szansę zostać uznane za prawdę. Oczywiście do czasu, aż wszyscy się zorientują, że nasz kłamca żyje w zmyślonym świecie.

Linda bezradnie pokręciła głową.

– A te jej studia medyczne? – bąknęła.

– Nie wierzyłam w nie ani przez chwilę – odparła Zebra.

– Więc skąd ona bierze pieniądze? Przecież musi z czegoś żyć.

– Też się nad tym zastanawiałam. Kiedyś nawet przyszło mi do głowy, że jest oszustką i żyje z naciągania ludzi. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

Chłopiec zawołał Zebra. Linda patrzyła na przyjaciółkę, która zgrabnie szła do piaskownicy. Jakiś przechodzący obok mężczyzna odwrócił się za nią.

Linda analizowała to, co przed chwilą usłyszała. To nie wyjaśnia wszystkiego, pomyślała. Rzuci światło tylko na część problemu i sprawia, że mniej niepokoję się o Annę, a właściwie niepokój zastąpiło rozczarowanie. Anna mnie oszukała. Nie podoba mi się to, że zmyśliła historię o naszej wspólnej wycieczce do Helsinek. Sporo się wyjaśniło – mruknęła pod nosem. – Sporo, ale nie wszystko.

Po chwili Zebra wróciła.

– Mówiłaś coś? – zapytała.

– Nie, nic.

– Mówiłaś do siebie, słyszałam aż przy piaskownicy.

– Chyba rozumiesz, że jestem wstrząśnięta.

– Naprawdę niczego się nie domyślałaś?

– Nie, ale najważniejsze, że teraz już wiem.

– Uważam, że powinnaś powiedzieć Annie, jak bardzo się o nią niepokoiłaś. Czasem sobie myślę, że pewnego dnia nie będę już mogła z nią wytrzymać i zażądam, żeby przestała konfabulować. Jestem pewna, że Anna wtedy się wycofa, a jej ostatnim kłamstwem będzie to, że to ja zrobiłam jej przykrość.

Chłopiec znudził się zabawą w piasku, więc zrobili kilka rund po parku.

– Kiedy zaczynasz pracę? – spytała Zebra.

– Jeszcze sześć dni – odparła Linda z westchnieniem. – Sześć dni i wreszcie będę pracować.



Kiedy się pożegnały, Linda poszła do centrum miasta, żeby wziąć pieniądze z bankomatu. Była oszczędna i nigdy nie miała obaw, że skończą jej się środki do życia. Jestem w tym podobna do ojca, pomyślała. Oboje jesteśmy oszczędni, wręcz skąpi.

Wróciwszy do domu, posprzątała mieszkanie, a potem zadzwoniła do biura nieruchomości, w którym obiecano jej znalezienie własnego lokum. Po kilku próbach udało jej się wreszcie skontaktować z agentem prowadzącym jej sprawę. Zapytała, czy możliwa będzie przeprowadzka wcześniej, niż zadeklarowała. Niestety, usłyszała negatywną odpowiedź. Położyła się na łóżku i zaczęła rozmyślać o tym, co powiedziała jej Zebra. Niepokój o Annę prawie całkiem ustąpił, pojawiło się za to poczucie rozczarowania, że sama się wszystkiego nie domyśliła. Ale czego właściwie miałam się domyślić? Jak odkrywa się fakt, że bliska osoba kłamie? Co innego, jeśli kłamstwo ma jakąś specjalną przyczynę, ale jak odgadnąć, że ktoś mówi nieprawdę, opowiadając o całkiem zwyczajnych sprawach?

Poszła do kuchni i znów zadzwoniła do Zebry.

– Zapomniałam cię o coś zapytać – wyjaśniła. – Jak to jest z tą religijnością Anny?

– Dlaczego nie zapytasz o to jej, kiedy wreszcie wróci? Anna po prostu wierzy w Boga.

– W którego boga?

– W Boga chrześcijan. Czasem chodzi do kościoła. Przynajmniej tak mówi. Modli się, tego akurat jestem pewna, bo parę razy zastałam ją na modlitwie. Pada na klęczki i żarliwie się modli.

– Czy należy do jakiegoś konkretnego zgromadzenia? Może do jakiejś sekty?

– Nie sędzę. Dlaczego tak uważasz?

– Nie wiem. Rozmawialiście o tym?

– Anna kilka razy próbowała, ale ją powstrzymałam. Bóg i ja nigdy nie mieliśmy szczególnie dobrych relacji.

Nagle w mieszkaniu Zebry rozległ się jakiś hałas, a zaraz po nim wrzask.

– No nie, uderzył się. Muszę kończyć, pa – rzuciła Zebra i odłożyła słuchawkę.

Linda wróciła do łóżka i wbiła wzrok w sufit. Na ile właściwie można poznać drugiego człowieka, rozmyślała. Wyobraziła sobie stojącą naprzeciw Annę, która nagle wydała jej się całkiem obcą osobą. Za moment ujrzała Monę, nagą, z butelką wódki w dłoni. Usiadła na łóżku. Otaczają mnie sami wariaci, westchnęła. Jedynym w miarę normalnym człowiekiem w tym towarzystwie jest ojciec.

Wyszła na balkon. Wciąż było bardzo ciepło. Niniejszym przestaję martwić się o Annę – wymamrotała pod nosem. – Zamiast tego będę się cieszyć ładną pogodą.

Sięgnęła po gazetę i przeczytała w niej krótką notatkę o śledztwie w sprawie zabójstwa Birgitty Medberg. Nie znalazła w niej niczego nowego, zawierała nawet już wcześniej cytowaną wypowiedź ojca: „Na razie nie mamy żadnych poszlak, śledztwo jest prowadzone wielotorowo i może zająć trochę czasu”. Odłożywszy gazetę, przypomniała sobie jeszcze jedno nazwisko z pamiętnika Anny. Vigsten. To już drugie nazwisko z jej notatnika, z którym się bezpośrednio zetknęłam, pomyślała. Pierwsze to Birgitta Medberg.

W końcu podjęła decyzję. Ostatni raz, postanowiła. Przejazd przez most kosztuje o wiele za dużo, ale kiedyś zażądam od Anny zwrotu pieniędzy. W ramach odszkodowania za strach, jaki mnie dręczy z jej winy.

Tym razem nie będę się szwendać po Nedergade w ciemności, myślała, jadąc przez most. Odnajdę mężczyznę o nazwisku Vigsten – o ile to

w ogóle mężczyzna – i zapytam go, czy wie, gdzie podziewa się Anna. Nie zrobię nic więcej. Potem wrócę do domu i ugotuję obiad dla ojca.

Zaparkowała w tym samym miejscu co poprzednio. Kiedy wysiadła z samochodu, ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie. Poczowała się tak, jakby dopiero w tej chwili do niej dotarło, że dzień wcześniej została tu napadnięta.

Wsiadła z powrotem do auta i zablokowała drzwi. Na ulicy panowały spokój i cisza. Teraz powoli wysiądę, bo nie widać nikogo, kto mógłby na mnie napaść. Podejdę do wejścia i znajdę nazwisko Vigsten.

Mimo że udało jej się trochę uspokoić, pędem puściła się na drugą stronę ulicy. W ostatniej chwili ominął ją rowerzysta, krzycząc coś po duńsku. Gdy nacisnęła klamkę, drzwi ustąpiły. Zauważyła nazwisko od razu: F. Vigsten, czwarte piętro. Źle zapamiętała pierwszą literę imienia. Ruszyła schodami w górę. Jaką muzykę słyszałam tu ostatnio? Latinoamerykańską? Teraz na klatce schodowej panowała cisza. Frederik Vigsten, powtórzyła w pamięci. Jeśli jakieś duńskie imię zaczyna się na F, z pewnością jest to Frederik. A jeśli to kobieta – Frederike. Dotarłszy na czwarte piętro, przystanęła na moment, żeby uspokoić oddech. Po chwili zadzwoniła do drzwi. Dzwonek zabrzmiał jak bicie zegara. Czekwała. Policzyła do dziesięciu i zadzwoniła ponownie. W tej samej chwili w drzwiach pojawił się starszy mężczyzna, łysiejący, z okularami zawieszonymi na sznurku na szyi. Obrzucił ją surowym spojrzeniem.

– Nie mogę chodzić szybciej – warknął. – Dlaczego młodzi ludzie w dzisiejszych czasach są tacy niecierpliwi?

Nie pytając Lindy, kim jest i w jakiej sprawie przychodzi, cofnął się, robiąc jej przejście w drzwiach i niemal wciągnął ją do przedpokoju.

– Musiałem zapomnieć, że mam nową uczennicę – powiedział. – Powinienem robić staranniejsze notatki. Proszę tutaj powiesić kurtkę. – Mężczyzna wskazał jej wieszak. – Czekam w pokoju.

Ruszył w głąb mieszkania, stawiając krótkie kroczki. Uczennicę? – zdziwiła się Linda. Powiesiła kurtkę i poszła za gospodarzem, który zniknął już gdzieś dalej. Mieszkanie było zaskakująco duże, Lindzie przyszło na myśl, że musiało powstać z połączenia dwóch apartamentów. W jednym z pomieszczeń stał czarny fortepian. Siwowłosa mężczyzna zatrzymał się przy małym stoliku pod oknem i wertował kalendarz.

– Nie widzę tu żadnego nowego ucznia – oznajmił. – Jak się pani nazywa?

– Nie jestem pana uczennicą – odparła Linda. – Przyszłam, żeby o coś zapytać.

– Odpowiedziałem już w życiu na całe mnóstwo pytań – powiedział mężczyzna, który, jak przypuszczała Linda, nosił nazwisko Vigsten. – A najczęściej na to, dlaczego tak ważne jest, żeby siedzieć prosto, kiedy gra się na fortepianie. Tłumaczyłem dziesiątkom uczniów, dlaczego nie każdy jest w stanie nauczyć się grać Chopina z odpowiednią dokładnością i mocą. Wyjaśniałem też niezliczonym śpiewakom operowym, że nie da się śpiewać, krzywo stojąc, ani wykonać najtrudniejszych partii, nie mając porządnych butów na nogach. I w końcu tłumaczyłem młodym pianistom, dlaczego nie mogą mieć hemoroidów. Jak się pani nazywa?

– Mam na imię Linda, nie jestem pianistką ani śpiewaczką. Przyszłam pana zapytać o coś, co nie ma nic wspólnego z muzyką.

– Więc źle pani trafiła. Znam tylko odpowiedzi na pytania związane z muzyką. Reszta świata jest dla mnie całkiem niezrozumiała.

Linda poczuła się zagubiona. Odniosła wrażenie, że stojący przed nią mężczyzna jest trochę niespełna rozumu.

– Czy nazywa się pan Frederik Vigsten? – zapytała.

– Nie Frederik, tylko Frans. Nazwisko się zgadza.

Staruszek usiadł przy fortepianie i zaczął przeglądać nuty rozłożone na pulpicie. Zachowywał się tak, jakby co chwila zapominał, że ma

niezapowiedzianego gościa.

– Znalazłam pana nazwisko w pamiętniku Anny Westin – powiedziała.

Mężczyzna zabębnił palcami w arkusz nut, wciąż zdawał się jej nie zauważać.

– Anna Westin – powtórzyła Linda, tym razem głośniej.

Frans Vigsten spojrzał na nią zaskoczony.

– Kto taki?

– Anna Westin. Szwedka.

– Kiedyś miałem sporo uczniów ze Szwecji – powiedział w zamyśleniu.

– Teraz jakby wszyscy o mnie zapomnieli.

– Proszę się skupić. Anna Westin.

– Tak wiele nazwisk – ciągnął mężczyzna. – Tyle imion. Tyle pięknych momentów, kiedy muzyka naprawdę zaczynała śpiewać. Rozumie to pani? Chodzi o to, żeby muzyka śpiewała. Niewielu to pojmuje. Stary mistrz Bach doskonale o tym wiedział. W jego muzyce śpiewa sam Bóg. Potem Mozart i Verdi, nawet ten nieznany Roman umieli sprawić, żeby muzyka śpiewała...

Vigsten nagle przerwał i spojrzał na Lindę.

– Jak się pani nazywa?

– Już mówiłam, ale chętnie powtórzę. Mam na imię Linda.

– I nie jest pani moją uczennicą? Pianistką, śpiewaczką?

– Nie.

– Pyta pani o kogoś o imieniu Anna.

– Anna Westin.

– Nie znam żadnej Anny Westin, natomiast moja żona nazywała się Vestal. Zmarła trzydzieści dziewięć lat temu. Zdaje sobie pani sprawę, co to oznacza, być wdowcem od blisko czterdziestu lat?

Wyciągnął szczupłą, poprzecinaną niebieskimi żyłami dłoń i delikatnie ujął Lindę za nadgarstek.

– Samotność – szepnął. – Nie było tak źle, póki codziennie miałem zajęcia w Królewskim Konserwatorium. Ale pewnego dnia uznali, że jestem za stary albo za bardzo trzymam się starych reguł. A ja po prostu nie mogłem tolerować niedbalstwa.

Przerwał na moment, sięgnął po leżącą między nutami łapkę na muchy i zaczął nią uderzać na oślep, polując na natrętną muchę. Zerwał się z krzesła i ścigał owada po pokoju, machając łapką, jakby dyrygował orkiestrą.

Po chwili wrócił do fortepianu. Nawet się nie zorientował, że ścigana mucha bezczelnie usiadła mu na czole.

Niewyczuwalna mucha, pomyślała Linda. Tak właśnie wygląda starość.

– Znalazłam pana nazwisko w pamiętniku przyjaciółki – powtórzyła.

Chwyciła go za dłoń. Poczowała, że palce starca, które odwzajemniły uścisk, są bardzo silne.

– Anna Westin, tak? – zapytał Frans Vigsten.

– Tak.

– Nigdy nie miałem uczennicy o tym nazwisku. Wprawdzie jestem stary i niewiele już pamiętam, ale w kwestii moich dawnych uczniów nie mylę się nigdy. Odkąd Mariana odeszła do nieba, tylko oni nadawali memu życiu sens.

Linda nie miała pomysłu, o co jeszcze mogłaby zapytać starego nauczyciela. Po chwili jednak postanowiła, że zrobi eksperyment.

– Torgeir Langaas – powiedziała. – Szukam też mężczyzny o tym nazwisku.

Jednak Vigsten znów odpłynął myślami, jedną ręką uderzając w klawisze.

– Torgeir Langaas – powtórzyła. – Jest Norwegiem.

– Miałem wielu uczniów z Norwegii. Najbardziej zapadł mi w pamięć pewien dziwny młodzieniec, niejaki Trond Ørje. Pochodził z Rauland

i śpiewał przepięknym barytonem. Niestety był tak nieśmiały, że wydobywał z siebie głos jedynie w zamkniętym studiu. To zdecydowanie najbardziej niezwykły baryton i najbardziej niezwykły człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Rozpłakał się z przerażenia, kiedy mu oznajmiłem, że jest wielkim talentem. Przedziwny człowiek. Byli też inni...

Frans Vigsten nagle wstał.

– Wiodę samotne życie. Mam tylko swoich starych mistrzów, którzy stworzyli muzykę, i te przekłete muchy. Co jakiś czas pojawia się jakiś uczeń. Poza tym drepczę w kółko i tęsknię za Marianą. Zmarła o wiele za wcześnie. Ja z kolei żyję za długo i boję się, że Mariana znudziła się już czekaniem.

Linda podniosła się z krzesła, zrozumiałwszy wreszcie, że nie uda się jej niczego dowiedzieć od starego pianisty. Fakt, że Anna mogła mieć z nim coś wspólnego wydał jej się jeszcze bardziej zaskakujący.

Wyszła z pokoju, nawet się nie pożegnawszy. W przedpokoju usłyszała, że Frans Vigsten zaczął grać. Po drodze rzuciła okiem do pozostałych pokoi. Były nieposprzątane, w całym mieszkaniu czuć było stęchlizną. Samotny mężczyzna i jego muzyka, pomyślała. Zupełnie jak dziadek i te jego obrazy. Jaka ja będę, kiedy się zestarzeję? A ojciec? A Mona, czy spędzi starość z butelką wódki?

Zdjęła swoją kurtkę z wieszaka. Dźwięki fortepianu wypełniały całe mieszkanie. Linda stała chwilę bez ruchu i patrzyła na wiszące w przedpokoju ubrania. Mieszka tu samotny stary mężczyzna, pomyślała. Zauważyła jednak kurtkę i parę butów niepasujących do gospodarza. Cofnęła się i jeszcze raz zajrzała do wszystkich pokoi. Wszędzie było pusto. Mimo to miała pewność, że Frans Vigsten nie mieszka sam. W mieszkaniu był ktoś jeszcze. Fala strachu zalała ją tak niespodziewanie, że Linda aż podskoczyła. Muzyka nagle ucichła. Linda pospiesznie wyszła

na korytarz, zbiegła po schodach, szybko przeszła na drugą stronę ulicy i odjechała z piskiem opon. Uspokoila się dopiero, kiedy była na moście.

W tej samej chwili, w której Linda wjechała na most, do sklepu zoologicznego w Ystad włamał się pewien mężczyzna. Oblał benzyną klatki z ptakami i gryzoniami. Potem rzucił na ziemię płonąca zapalke i szybko opuścił sklep. Zwierzęta stanęły w ogniu.



Część III

Cuma

Miejsca na ceremonię zawsze wybierał z niezwykłą starannością. Nauczył się tego podczas ucieczki, a raczej „samotnego wyjścia z Jonestown”, jak wolał nazywać ten czas. Wówczas szukał tylko takich miejsc na odpoczynek, gdzie mógł czuć się bezpiecznie. W tamtym okresie w jego życiu nie było ceremonii, pojawiły się dopiero później, kiedy wreszcie odnalazł Boga, który pomógł mu wypełnić rozdierającą go od środka pustkę.

To zaczęło się już po wielu latach w Cleveland spędzonych z Sue-Mary. Wtedy to nawyk szukania bezpiecznych miejsc do odpoczynku zastąpiła potrzeba znajdowania miejsc na ceremonie, które stały się nieodłączną częścią tworzonej przez niego religii. One były jak chrzcielnica, w której każdego dnia zwilżał czoło i otwierał umysł na przesłanie, jakie zsyłał mu Bóg, oraz na wskazówki do zadań, które miał w Jego imię wypełnić. Obecnie szukanie odpowiednich miejsc stało się jeszcze ważniejsze. Nie mógł sobie pozwolić na żaden błąd, w wybranych przez niego miejscach do swoich zadań mieli przygotowywać się jego pomocnicy.

Dotychczas wszystko przebiegało bez żadnych komplikacji. Aż do dnia, w którym ta nieszczęsna kobieta znalazła jedną z kryjówek i została zabita przez jego pierwszego ucznia, Torgeira.

Nigdy w pełni nie dostrzegłem słabości Torgeira, pomyślał. Ten rozpieszczony syn potężnego armatora, chłopak wyciągnięty przeze mnie z rynsztoku w Cleveland, pokazał temperament, którego nigdy nie nauczyłem się kontrolować. Okazałem mu czułość i bezbrzeżną cierpliwość. Pozwoliłem mu mówić i wysłuchałem go. Kryła się w nim

jednak dzika furia, tkwiła gdzieś głęboko, za zamkniętymi na głucho drzwiami. Przeoczyłem ją.

Próbował zmusić Torgeira, żeby wyjaśnił, dlaczego wpadł w szal na widok kobiety zbliżającej się do jego kryjówki. Wcześniej rozmawiali o tym, że coś takiego może się zdarzyć, w końcu niczego nie można wykluczyć, bo nawet na ścieżce zarośniętej od lat ktoś wreszcie mógł się pojawić. Tłumaczył mu, że powinni być przygotowani na to, że w każdej chwili stanie się coś nieoczekiwanego. Torgeir nie potrafił udzielić mu odpowiedzi. Zapytał go więc, czy dopadł go nagły strach. Torgeir również tego nie umiał wytłumaczyć. Widocznie sam tego nie pojmował, mężczyzna doszedł zatem do wniosku, że jego uczeń nie do końca powierzył mu swoje życie. Przecież postanowili, że nieoczekiwane spotkania z obcymi ludźmi w pobliżu kryjówki będą przyjazne, a po każdym takim spotkaniu znajdą sobie przy najbliższej się okazji bezpieczne schronienie w innym miejscu. Jednak Torgeir zdecydował się pójść inną drogą. W jego umyśle doszło do jakiegoś spięcia. Zamiast przyjaźni okazał tej kobiecie bezdenną nienawiść. Nie umiał potem wytłumaczyć, dlaczego sięgnął po siekierę i poćwiartował jej ciało, ani dlaczego zachował głowę i dłonie splecione jak do modlitwy. Kiedy było już po wszystkim, włożył pozostałe członki do worka, obciążył go kamieniami, rozebrał się, wypłynął na środek najbliższego jeziora i opuścił wszystko na dno.

Torgeir był silny. Tę właśnie cechę przysłego ucznia mężczyzna zauważył w pierwszej kolejności, gdy natknął się na niego w jednej z najpodlejszych dzielnic Cleveland. Miał już odejść, kiedy usłyszał, że ów biedny pojękujący człowiek coś wymamrotał. Zawrócił i pochylił się nad nim. Leżący bełkotał coś po duńsku albo po norwesku. Wówczas mężczyzna zrozumiał, że to sam Bóg postawił tego nieszczęśnika na jego drodze. Torgeir Langaas był bliski śmierci. Lekarz, który go potem zbadał

i opracował dla niego program rehabilitacyjny, powiedział to bardzo wyraźnie. W jego organizmie nie ma już więcej miejsca na alkohol czy narkotyki. Uratowała go dobra kondycja, ale wszystkie jego organy pracowały resztkami sił. Mózg być może był uszkodzony. Nie wykluczono, że Torgeir już zawsze będzie miał ogromne luki w pamięci.

Mężczyzna dobrze zapamiętał moment, kiedy natknął się na leżącego w rynsztoku człowieka. Dzień, w którym ten norweski wyrzutek spojrział na niego oczami przekrwionymi niczym u wściekłego, toczącego pianę psa. Najważniejsze jednak okazało się nie to spojrzenie, lecz słowa, które wydusił z siebie ten wrak człowieka. Zmącony umysł Torgeira Langaasa podpowiedział mu, że pochyła się nad nim sam Bóg. Potężną dłonią ścisnął kurtkę swego wybawcy i zionąc cuchnącym oddechem prosto w jego twarz, zapytał:

– Jesteś Bogiem?

Po krótkiej chwili, w której mężczyźnie zdawało się, że całe jego życie, wszystkie oczekiwania, marzenia i porażki zdawały się zbiegać w jednym, łatwym do wskazania punkcie, odpowiedział:

– Tak, jestem twoim bogiem.

Ale zaraz się zawahał. Pierwszy uczeń mógł się okazać stracony już na starcie. Ciekaw był jednak, kim jest ten nieszczęśnik? Jak się tu znalazł?

Mimo to odszedł i zostawił Torgeira Langaasa na ulicy. Wówczas nie znał jeszcze jego nazwiska, ten ludzki wrak był dla niego jedynie zapijaczonym Norwegiem, leżącym w rynsztoku najgorszej dzielnicy Cleveland. Dopiero następnego dnia górę wzięła ciekawość. Wrócił na tę samą ulicę. To było jak zstąpienie do piekieł. Wokół niego snuli się i czołgali pogubieni ludzie, nieszczęśnicy skazani na zatracenie. Zaczął szukać spotkanego dzień wcześniej człowieka. O mały włos go przy tym nie napadnięto i obrabowano, lecz w końcu pewien starzec z jątrzącą się, cuchnącą raną

w miejscu, gdzie kiedyś miał prawe oko, powiedział mu, że Norweg o wielkich dłoniach zwykle zaszywał się we wnętrzu przerdzewiałego filaru mostu, w którym szukał schronienia przed deszczem i śniegiem. Tam też mężczyzna go znalazł. Torgeir Langaas spał, chrapał, cuchnął, twarz miał pokrytą zainfekowanymi ranami. Wyjął z kieszeni jego kurtki foliową torebkę z czerwonym norweskim paszportem. Dokument stracił ważność siedem lat temu. W rubryce, w którą wpisywano zawód, widniało „skipsreder” – armator. To wzbudziło w nim jeszcze większą ciekawość, tym bardziej że w foliowej torebce oprócz paszportu znajdował się również wyciąg bankowy. Zanotował numer paszportu, wsunął dokumenty z powrotem do kieszeni śpiącego i odszedł.

Sue-Mary miała brata Jacka, który wiódł niezwykle podwójne życie. W wolnym czasie nauczał w szkółce niedzielnej, na pełny etat sprzedawał domy w jednej z najprężniej działających agencji nieruchomości w Cleveland, po godzinach zaś podrabiał dokumenty dla lokalnej hołoty. Mężczyzna odszukał go następnego dnia w szkółce i poprosił, by pomógł mu dowiedzieć się czegoś o pewnym tajemniczym Norwegu, na którego niedawno się natknął.

– Staram się pomóc jednemu z naszych braci w potrzebie – wyjaśnił.

– Dotarcie do danych paszportowych w europejskich ambasadach nie jest łatwe – odparł Jack. – Dlatego to dla mnie ciekawe wyzwanie.

– Zapłacę ci.

Jack się uśmiechnął. Miał zęby tak białe, że niemal straciły swój naturalny połysk i zamieniły się w krede.

– Nie wezmę pieniędzy od mężczyzny Sue-Mary – powiedział. – Mimo że moim zdaniem powinniście się pobrać. Grzech ani nie rośnie, ani nie maleje, jeśli trwa rok za rokiem. Zawsze jest tak samo godny potępienia.

Trzy tygodnie później Jack przyszedł z garścią niezwykłych informacji. Mężczyzna nigdy go nie pytał, jak do nich dotarł.

– Zadośćuczynieniem dla mnie jest sama satysfakcja, że udało mi się je zdobyć – powiedział. – Zwłaszcza że zdołałem złamać wszystkie kody i wdrzeć się do pilnie strzeżonych komnat Królestwa Norwegii.

Mężczyźnie na zawsze zapadła w pamięci chwila, gdy otworzył kopertę i podszedł do stojącego przy kominku fotela, w którym zwykł rozmyślać i czytać książki. Rozsiadł się w nim wygodnie i zaczął wertować papiery. Nagle wstał, włączył lampę, mimo że był środek dnia, i dokładnie przestudiował fragmentaryczną, ale mimo to zrozumiałą biografię Torgeira Langaasa.

Urodził się w Bærum w 1948 roku jako pierworodny syn armatora specjalizującego się w transporcie ropy i samochodów. Firma jego ojca powstała po spowodowanym konfliktem podziale wielkiego przedsiębiorstwa armatorskiego Refsvoldrederiet. Nie było wiadomo, skąd ojciec Torgeira, kapitan Anton Helge Langaas, który zszedł na ląd po wielu latach nauki armatorskiego fachu z perspektywy mostku kapitańskiego, zdołał zgromadzić kapitał, dzięki któremu zarząd Refsvoldrederiet zgodził się dopuścić go do swojego grona. W trakcie późniejszego konfliktu rodzina Refsvoldów rozpowszechniła plotkę, jakoby Anton Helge Langaas dorobił się na szemranych interesach z nazistowskimi Niemcami. Szeptano o siatce nielegalnych kół ratunkowych pod postacią okrętów podwodnych, wpływających nocami do zatoki La Plata, między Argentyną a Urugwajem, i wypuszczających na ląd komendantów obozów koncentracyjnych i innych zbrodniarzy wojennych. Nikt jednak nie mógł mu niczego udowodnić, poza tym rodzina Refsvoldów też miała swoje trupy w szafie.

Anton Helge Langaas ożenił się dopiero wówczas, gdy uznał, że jego przedsiębiorstwo, mające logo z zielono-czerwoną banderą z motywem latającej ryby, zdobyło wystarczająco silną pozycję na rynku oraz spory

kapitał. W geście pogardy dla tak zwanej arystokracji armatorów wybrał sobie żonę z regionu maksymalnie oddalonego od morza, dziewczynę z położonej w lesie niewielkiej wsi na wschód od Røros, w pobliżu wielkich pustkowi przechodzących w region Härjedalen. Tam właśnie znalazł młodą kobietę o imieniu Maigrim, rozwożącą pocztę do najodleglejszych wsi w okolicy. Razem z nią wybudował ogromny dom w Bærum, nieopodal Oslo, i wkrótce urodziło im się troje dzieci, najpierw Torgeir, a potem dwie dziewczynki: Anniken i Hege.

Torgeir Langaas już jako chłopiec pojął, czego ojciec od niego oczekuje. Bardzo wcześnie też zyskał pewność, że nigdy tych oczekiwań nie spełni. Nie czuł roli, jaką mu wyznaczono, nie rozumiał, o czym jest cały spektakl ani dlaczego to właśnie jego przewidziano na odtwórcę głównego bohatera. Pierwsze oznaki protestu okazał już jako nastolatek. Anton Helge Langaas prowadził z nim wojnę, która z góry była przegrana. Pewnego dnia ojciec w końcu się poddał, zrozumiał, że jedyny syn nie pójdzie w jego ślady. Uratowała go jedna z córek. Hege była podobna do ojca. Bardzo wcześnie zaczęła przejawiać wybitną umiejętność dążenia do celu i zasiadła na dyrektorskim stołku w rodzinnej firmie w wieku dwudziestu dwóch lat. Mając tyle samo lat, Torgeir, z niemal desperackim uporem, jednak ukierunkowanym na coś zupełnie innego, wstąpił na drogę, która z czasem zawiodła go na samo dno. Już wtedy zdążył uzależnić się od wielu używek i mimo że Maigrim wszelkimi sposobami próbowała postawić go z powrotem na nogi, opłacane przez nią najdroższe kliniki i terapeuci nic nie wskórali.

W końcu nadeszło wielkie załamanie. Pewnego dnia, akurat w samą wigilię Bożego Narodzenia, Torgeir najpierw rozdał rodzinie prezenty w postaci przegniłych kości, pękniętych opon i brudnych kamieni, a potem próbował podpalić siebie i resztę domowników. Uciekł, by nigdy nie

wrócić. Miał dostęp do pieniędzy i zniknął gdzieś w świecie. Kiedy dobiegł końca termin ważności jego paszportu i Torgeir go nie odnowił, zaczął go szukać Interpol. Ponieważ Torgeir już wtedy snuł się po najciemniejszych ulicach Cleveland, nikt go nigdy nie znalazł. Ukrywał fakt, że ma spore środki do życia. Zmienił bank i wszystkie swoje dane oprócz nazwiska, a w dniu, w którym spotkał mężczyznę, którego nazwał Bogiem, dysponował majątkiem wartym około pięciu milionów norweskich koron.

Większości szczegółów historii mężczyzna oczywiście nie znalazł w papierach dostarczonych mu przez Jacka. Ale wystarczyło parę wizyt przy przerdzewiałym filarze, by Torgeir Langaas otworzył się przed nim i opowiedział mu resztę. Poznawszy losy tego nieszczęśnika, mężczyzna pomógł mu się podnieść i wyjść z nędznej kryjówki, jak przystało na prawdziwego wybawiciela. Tak oto zyskał pierwszego ucznia.

Wtedy nie dostrzegłem jego słabości, pomyślał znowu mężczyzna. Drzemiącej w nim furii, która doprowadziła do tej brutalnej napaści. Torgeir wpadł w szal i poćwiartował nieznaną kobietę. Z drugiej strony w nieprzewidzianej reakcji Torgeira mężczyzna znajdował coś pozytywnego. Spalenie zwierzęcia to jedno, natomiast zabicie człowieka to już coś całkiem innego. Torgeir zaś najwyraźniej się nie zawahał. Obecnie, kiedy niedługo zostanie złożona ofiara ze zwierząt, następnym etapem będzie ofiara z ludzi.

Spotkali się na stacji kolejowej w Ystad. Torgeir przyjechał z Kopenhagi pociągiem, ponieważ zdarzało mu się tracić koncentrację, kiedy prowadził. Jego wybawca często się dziwił, jak przez te wszystkie lata spędzone w rynsztoku Torgeirowi udało się zachować zdolność logicznego myślenia i swoistą mądrość.

Torgeir dokładnie się umył, kąpiel była najważniejszym rytuałem poprzedzającym składanie ofiar. Mężczyzna wyjaśnił mu, że wszystkie tego



typu przykazania znajdują się w Biblii. Pismo Święte było ich przewodnikiem, wskazywało im drogę. Jezus często obmywał stopy i mimo tego, że nigdzie nie napisano, by kąpał się cały, przesłanie i tak było jednoznaczne: do zadania należało przystąpić, mając czyste, pachnące ciało.

Torgeir przyjechał ze swoją małą czarną walizką. Mężczyzna wiedział, co w niej jest, nie musiał o nic pytać. Jego pierwszy uczeń już dawno udowodnił, że jest odpowiedzialnym człowiekiem, a jedynym jego dotychczasowym wykroczeniem był atak na tę kobietę. To nieprzewidziane zachowanie wywołało sporo zbędnego zamieszania, media wręcz krzyczały o całym zajściu. Dlatego zadanie, które miało zostać wykonane tego dnia, przesunięto o dwie doby. Uznał, że będzie najlepiej, jeśli Torgeir spędzi ten czas w kopenhaskiej kryjówce.

Ruszyli w stronę centrum, skręcili przy poczcie i stanęli przed sklepem zoologicznym. W środku nie było klientów, a młoda ekspedientka właśnie ustawiała na półkach miski z jedzeniem dla kotów. Mężczyźni powiedli wzrokiem po klatkach ze zwierzętami. Były w nich chomiki, młode kociaki i jakieś ptaszki. Torgeir uśmiechnął się do dziewczyny, ale nic nie powiedział. Nie było potrzeby afiszować się z tym, że jest Norwegiem. Podczas gdy on rozglądał się po sklepie i planował późniejszą akcję, jego wybawiciel kupił paczuszkę karmy dla ptaków. Potem wyszli na ulicę, minęli teatr i dotarli do portu dla żaglówek. Dzień był ciepły, mimo początku września łódki wciąż wypływały, wracały i cumowały w przystani.

Druga część ceremonii zakładała bliskość wody. Kiedyś spotkali się nad brzegiem jeziora Erie i potem już zawsze szukali miejsc nad wodą, by przygotować się i omówić szczegóły czekającego ich zadania.

– Klatki stoją blisko siebie – powiedział Torgeir. – Opryskam je dwiema rękami na raz, z różnych stron, a potem rzucę zapałkę. Wszystko zajmie się ogniem w kilka sekund.

– A później?

– Zawołam: Bóg tak chce!

– A później?

– Pójdę w lewo, potem w prawo, nie będę szedł ani za szybko, ani za wolno. Zatrzymam się na rynku i sprawdzę, czy nikt mnie nie śledzi. Potem podejść do kiosku naprzeciwko szpitala i ty będziesz tam na mnie czekał.

Przerwali rozmowę, obserwując małą drewnianą żaglówkę wpływającą do portu. Jej silnik pracował bardzo głośno i buchały z niego spaliny.

– To będą ostatnie zwierzęta – odezwał się mężczyzna. – W ten sposób osiągniemy nasz pierwszy cel.

Torgeir Langaas już miał paść na kolana, ale mężczyzna powstrzymał go błyskawicznym ruchem.

– Nigdy, kiedy ktoś patrzy – upomniał go.

– Zapomniałem.

– Zachowasz spokój?

– Tak, jestem spokojny.

– Kim jestem?

– Moim ojcem, panem, wybawicielem, moim Bogiem.

– Kim ty jesteś?

– Pierwszym uczniem, znalezionym na ulicy w Cleveland i przywróconym do życia. Jestem pierwszym uczniem.

– Kim jeszcze jesteś?

– Pierwszym kapłanem.

Kiedyś byłem wytwórcą sandałów, pomyślał mężczyzna. Marzyłem o wielkich rzeczach i w końcu uciekłem. Od uczucia wstydu, porażki, kiedy sobie wreszcie uświadomiłem, że moje marzenia są dla mnie zbyt wielkie i nieosiągalne. Teraz formuję ludzi tak samo, jak kiedyś formowałem podeszwy, wkładki i skórzane paski.

Była czwarta. Przez jakiś czas spacerowali po mieście, przysiadali na ławkach. Milczeli. Nie potrzeba więcej słów, rozmyślał mężczyzna, raz po raz zerkając na Torgeira. Uczeń wyglądał na spokojnego, skoncentrowanego na swoim zadaniu.

Uszcześliwiłem tego człowieka. Wychował się w bogatym domu, był rozpieszczony, ale zarazem pomiatano nim i pozwolono mu poddać się zwątpieniu. Sprawiam mu radość, okazując mu zaufanie.

Spacerowali do siódmej. Sklep zamykano o szóstej. Mężczyzna odprowadził Torgeira na róg obok poczty. Wieczór był ciepły i na ulicy kręciło się sporo ludzi. To dobrze, stwierdził mężczyzna. W chaosie, jaki wywołał pożar, nikt nie zapamięta konkretnej twarzy.

Rozdzielili się. Mężczyzna ruszył w stronę rynku, po chwili przystanął i spojrzał za siebie. W głowie tykał mu zegar, w myślach przewijały się kolejne etapy zadania. W tej sekundzie Torgeir wyłamuje zamek w drzwiach, teraz jest w środku, zamyka za sobą drzwi i nasłuchuje. Kładzie walizkę na ziemi, wyjmuje butelki z benzyną i zapalki. Mężczyzna usłyszał huk, zdawało mu się, że za zakrętem coś zajaśniało. Za moment pojawił się dym. Obrócił się i ruszył przed siebie. Pierwsze syreny straży pożarnej usłyszał jeszcze, zanim dotarł na umówione miejsce spotkania.

Już po wszystkim, pomyślał. Wreszcie sprawimy, że wiara chrześcijańska odżyje w całej swej mocy, a ludzie na nowo dowiedzą się, jak mają żyć. Długi czas życia na pustyni w końcu dobiegł końca.

Teraz nie chodzi już o bezduszne zwierzęta, które czują tylko ból, którego i tak nie pojmują.

Przyszła pora na ludzi.

Linda wysiadła z samochodu na Mariagatan i poczuła zapach, który skojarzył jej się z Marokiem. Wspólnie z Hermanem Mboyą wybrali się tam kiedyś na tygodniowe wakacje. Zdecydowali się na najtańszą podróż, polecili czarterem i zatrzymali się w hotelu pełnym karaluchów. To właśnie wtedy Linda uświadomiła sobie, że przyszłość wcale nie rysuje się tak wyraźnie, jak sądziła. Rok później się rozstali. Herman po jakimś czasie wrócił do Afryki, ona natomiast wstąpiła na długą i krętą ścieżkę, która z czasem zawiodła ją do szkoły policyjnej.

Zapach obudził w niej wspomnienia. Poczwała dym i przypomniała sobie płonące po nocach góry śmieci w Maroku. Przecież nikt nie pali śmieci w Ystad, pomyślała. Nagle usłyszała syreny straży pożarnej i radiowozów. Dopiero wtedy zrozumiała, co to za zapach. Paliło się gdzieś w centrum miasta. Ruszyła biegiem.

Kiedy zdyszana dotarła na miejsce, budynek wciąż jeszcze płonął. Gdzie się podziała moja kondycja, pomyślała. Czuję się jak stara baba, prawie całkiem przestałam się ruszać. Zobaczyła przedzierające się przez dach wysokie płomienie. Ludzie z kamienicy zostali ewakuowani. Na chodniku stał nadpalony dziecięcy wózek. Strażacy uwijali się, próbując ochronić przed ogniem sąsiednie budynki. Linda podeszła do taśmy ogradzającej teren działań strażaków.

Tuż obok stał jej ojciec, kłócił się ze Svartmanem o jakiegoś świadka, któremu pozwolono odejść, nie przesłuchawszy go nawet.

– Nigdy nie dorwiemy tego drania, jeśli nie będziemy przestrzegać podstawowych reguł.

– Martinsson miał się tym zająć – bronił się Svartman.

– Powiedział, że dwa razy ci powtarzał, żebyś przesłuchał świadka. Teraz lepiej postaraj się znaleźć tego człowieka.

Wyraźnie rozeźlony Svartman zniknął w tłumie gapiów. Dwa rozzłoszczone samce, pomyślała Linda. Najwięcej czasu tracą na obsikiwanie swojego terenu.

Wóz strażacki podjechał tyłem do płonącego budynku i chwilę później z grubego węża trysnęła woda. Kurt Wallander odskoczył na bok. Zorientował się, że Linda stoi tuż przy nim.

– Co tu się stało? – spytała.

– Ktoś podpalił sklep zoologiczny na dole. Znów benzyna, tak samo jak w wypadku łabędzi i tego biednego cielaka.

– Macie jakieś ślady?

– Mieliśmy świadka, ale te łajzy go zgubiły.

Linda zauważyła, że ojciec aż trzęsie się ze złości. Pewnie tak będzie wyglądał jego koniec, przyszło jej nagle na myśl. Wycieńczony i wściekły z powodu jakiegoś zaniedbania w śledztwie. Tak będą wyglądały jego ostatnie kroki. Zupełnie jak powiedziała Zebra: „Każdy człowiek stara się znaleźć jak najpiękniejszy skok, by opuścić ten świat”.

– Musimy złapać tych drani – odezwał się Wallander, przerywając jej rozmyślenia.

– Mam wrażenie, że tu chodzi o coś innego.

– O co?

Kurt spojrzał na nią tak, jakby spodziewał się, że Linda zaraz mu wszystko wyjaśni.

– Nie wiem, po prostu mam przeczucie, że coś się za tym kryje.

Nagle Ann-Britt Höglund zawołała Wallandera.

Linda patrzyła chwilę za oddalającym się ojcem, wielkim mężczyzną z głową wciśniętą między ramiona. Obserwowała, jak ostrożnie omija

kałuże i dymiące kawałki czegoś czarnego, co jeszcze niedawno stanowiło część wyposażenia sklepu zoologicznego. Nieopodal stała dziewczyna z oczami czerwonymi od płaczu. To pewnie właścicielka, pomyślała Linda. A może po prostu miłośniczka zwierząt? Linda przypomniała sobie mały drewniany domek, który spłonął, kiedy była małą dziewczynką. Stało się to pewnego niedzielnego poranka, w budynku mieścił się sklep z zegarami. Dobrze pamiętała, jak strasznie było jej szkoda zegarów, których wskazówki, tarcze i mechanizmy umierały w gorących płomieniach. Zaczęła się przechadzać tam i z powrotem wzdłuż taśmy odgradzającej miejsce pożaru. Wielu ludzi stało w milczeniu i obserwowało akcję straży pożarnej. Płonące domy budzą przerażenie, przyszło jej na myśl. Uświadamiają nam, że również nasze mieszkania mogą w każdej chwili stanąć w płomieniach.

– Nie rozumiem, dlaczego mnie o to nie zapytają – odezwał się jakiś dziewczęcy głos nieopodal.

Rozejrzała się wkoło i po chwili dostrzegła dziewczynę, na oko dwudziestolatkę, opartą o ścianę kamienicy w towarzystwie koleżanki. Nagle obie się skuliły, bo obok nich przeszła chmura dymu.

– Może powinnaś sama im powiedzieć, co widziałaś – poradziła jej ta druga.

– Nie zamierzam się podlizywać policji.

Świadek, pomyślała Linda. Znalazłam zgubionego świadka. Podeszła do dziewcząt.

– Co takiego widziałaś? – zapytała.

Dziewczyna obrzuciła ją badawczym spojrzeniem. Miała wyraźnego zeza.

– Kim jesteś?

– Jestem z policji. Nazywam się Linda Wallander.

Właściwie to prawda, pomyślała.

– Jak można tak po prostu zabić te wszystkie zwierzęta? – zapytała dziewczyna. – Czy to prawda, że tam w środku był koń?

– Nie – odparła Linda. – Koni nie wolno sprzedawać w sklepach zoologicznych, bo muszą być w stajni. Koni nie trzyma się w klatkach. Powiesz mi, co widziałaś?

– Jakiegoś faceta.

– Co robił?

– Podpalił zwierzęta w środku. Szłam na pocztę, od strony teatru, miałam do wysłania kilka listów. Kiedy byłam w połowie drogi między teatrem a pocztą, zaledwie przecnicę od sklepu zoologicznego, zauważyłam, że ktoś za mną idzie. Aż podskoczyłam, bo ten ktoś szedł niemal bezszelestnie. Zwolniłam i zeszłam trochę na bok, żeby go przepuścić. Potem ruszyłam za nim. Nie wiem dlaczego, ale starałam się iść jak najciszej. Po chwili się zorientowałam, że zostawiłam listy w samochodzie. Zawróciłam, a potem znów szłam tą samą drogą.

Linda uniosła dłoń.

– Ile czasu zajęło ci dotarcie do auta i z powrotem w to miejsce? – zapytała.

– Trzy, cztery minuty. Zostawiłam samochód na parkingu za teatrem.

– Co się stało, kiedy wracałaś? Czy znów widziałaś tego mężczyznę?

– Nie.

– Zauważyłaś coś, przechodząc obok sklepu zoologicznego?

– Chyba rzuciłam okiem na wystawę, chociaż nie jestem specjalnie zainteresowana żółwiami i chomikami.

– I co zobaczyłaś?

– W środku paliło się niebieskie światło, ale ono zawsze się tam świeci.

– Skąd wiesz?

– Chodzę na pocztę parę razy w tygodniu i za każdym razem parkuję za teatrem, potem mijam sklep zoologiczny i zawsze widzę to niebieskie

światło, myślę, że ma to coś wspólnego z utrzymaniem temperatury. Ja po prostu należę do ludzi, którzy bojkotują pocztę elektroniczną i odręcznie piszę listy.

– I co było potem?

– Wysłałam listy i wracałam do samochodu. To było pewnie po kolejnych trzech minutach.

– I co stało się później? – dopytywała się Linda.

– Sklep nagle eksplodował. A przynajmniej tak to odebrałam. Właśnie przechodziłam obok, kiedy huknęło. Aż podskoczyłam ze strachu. Natychmiast zrobiło się całkiem jasno. Upadłam, a kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam, że sklep stoi w płomieniach. Zaraz po tym przebiegły obok jakieś płonące zwierzątka. To było okropne.

– I co dalej?

– Wszystko działo się bardzo szybko, ale wtedy zobaczyłam mężczyznę stojącego po drugiej stronie ulicy. Widziałam dokładnie, bo było bardzo jasno. To był ten sam facet, który wcześniej mnie mijał. Miał w ręce walizkę.

– Czy miał ją, kiedy go wcześniej widziałaś?

– Tak, zapomniałam o tym powiedzieć. To była czarna walizka. Właściwie taka torba, jak noszą lekarze.

Linda wiedziała, co dziewczyna ma na myśli.

– I co było potem?

– Zawołałam, żeby mi pomógł.

– Jesteś ranna?

– Tak wtedy myślałam. Ten huk i błysk były potworne.

– I co ten mężczyzna zrobił?

– Spojrzał na mnie i odszedł.

– W którym kierunku?

– W stronę rynku.



– Widziałaś go wcześniej?  
– Nie, nigdy.  
– Czy możesz go opisać?  
– Był wysoki i potężny. Łysy albo ostrzyżony na bardzo krótko.  
– Jak był ubrany?  
– Granatowa kurtka, ciemne spodnie. Butom przyjrzałam się wcześniej, kiedy mnie mijął, i zastanawiałam się, dlaczego idzie tak cicho. Były brązowe, na gumowej podeszwie, ale nie takie do biegania.

– Zapamiętałaś coś jeszcze?  
– Krzyknął coś.  
– Myślisz, że kogoś wołał?  
– Nie wiem.  
– Czy był tam ktoś jeszcze?  
– Nikogo nie widziałam.  
– Co ten mężczyzna krzyknął?  
– Zabrzmiało to jak „Bóg tak chce”.  
– Bóg tak chce? – zdziwiła się Linda.  
– Jestem pewna, że zawołał „bóg”, a potem coś, co przypominało „chce”. Ale wydaje mi się, że mówił z obcym akcentem. Duńskim albo norweskim. Tak, gość, który podpalił sklep, mówił chyba z norweskim akcentem.

Linda poczuła, jak przyspiesza jej puls. To musi być ten sam Norweg, pomyślała. O ile to nie jest jakiś spisek, w który zaangażowanych jest więcej osób. Ale to raczej mało prawdopodobne.

– Powiedział coś jeszcze? – zapytała.  
– Nie.  
– Jak się nazywasz?  
– Amy Lindberg.

Linda wygrzebała z kieszeni długopis i zapisała sobie na nadgarstku numer telefonu dziewczyny.

Uścisnęła jej dłoń na pożegnanie.

– Dziękuję, że mnie wysłuchałaś – powiedziała Amy Lindberg i odeszła, kierując się w stronę księgarni.

Jest sobie pewien Norweg o nazwisku Torgeir Langaas, pomyślała Linda, który z jakiegoś niezrozumiałego powodu towarzyszy mi jak złowrogi cień.

Zauważyła, że akcja gaszenia pożaru przeszła chyba w kolejną fazę. Strażacy pracowali wolniej, przypuszczała więc, że opanowali płomień. Nieopodal jej ojciec rozmawiał z dowódcą jednostki strażackiej. Kiedy Wallander spojrział w jej stronę, skuliła się, mimo że nie mógł jej dostrzec, bo stała w cieniu. Po chwili zobaczyła Lindmana, prowadzącego zapłakaną dziewczynę, którą Linda już wcześniej zauważyła. Widać, że umie się obchodzić z płaczącymi kobietami, pomyślała. Ale ja prawie nigdy nie płacę. Skończyłam z tym, kiedy dorosłam. Odprowadziła Stefana wzrokiem. Zabrał dziewczynę do radiowozu, wymienił z nią parę słów, a kiedy wsiadła do środka, zamknął za nią drzwi.

Linda analizowała rozmowę z Amy Lindberg. *Bóg tak chce*. Ale czego? Żeby spłonął sklep zoologiczny, azymane w nim zwierzęta zginęły w męczarniach? Zaczęło się od łabędzi, potem przyszła kolej na cielaka w gospodarstwie przy drodze do Malmö. A teraz cały sklep. To oczywiste, że dokonał tego ten sam sprawca, który spokojnie i nieśpiesznie odszedł z miejsca przestępstwa, wołając, że Bóg czegoś tam chce.

W środku tej tajemniczej sprawy tkwi pewien Norweg, rozmyślała dalej Linda. Poza tym mamy martwe zwierzęta, zaginionych ludzi, wskrzeszonych ojców, no i Annę, moją przyjaciółkę, która nagle zniknęła. Powiodła wzrokiem po tłumie kłębiącym się przy taśmie odgradzającej miejsce pożaru, w nadziei, że dostrzeże wśród nich Annę Westin.

W końcu podeszła do Stefana Lindmana.

– Co ty tu robisz? – zapytał.

– Jestem jednym z gapiów. Ale muszę z kimś porozmawiać.

– O czym?

– O tym pożarze.

Stefan zastanowił się chwilę.

– Wybieram się właśnie do domu, żeby coś zjeść. Możesz pojechać ze mną.

Lindman zostawił swój samochód pod hotelem Continental. Mieszkał w zachodniej części miasta w jednej z trzech kamienic, które zdawały się rzucone bez planu między kilka domów a zakład zajmujący się przetwarzaniem makulatury.

Środkowy budynek miał numer cztery. Szyba w drzwiach wejściowych była wybita, w jej miejsce wstawiono kawałek kartonu, który z kolei ktoś rozerwał kopniakiem. Linda przeczytała jakiś tekst nabazgrany flamastrem na ścianie. „Życie jest na sprzedaż. Zadzwoń do telewizji i opowiedz nam o tym”.

– Codziennie się nad tym zastanawiam – powiedział Lindman. – Dziwny tekst.

Gdzieś na parterze rozległ się histeryczny kobiecy śmiech. Stefan mieszkał na samej górze, do drzwi jego mieszkania przymocowana była żółto-czarna chorągiewka z napisem „IF Elfsborg”. Linda domyśliła się, że to klub piłkarski, chyba z Borås. Pod chorągiewką wisiała wyrwana z notesu kartka z imieniem i nazwiskiem Lindmana.

Stefan otworzył i od razu podał Lindzie wieszak, żeby powiesiła swoją kurtkę. Przeszli do salonu. Stały w nim niepasujące do siebie meble, rozłokowane tak, jakby znalazły się na swoich miejscach zupełnie przypadkiem.

– Niestety nie mam cię czym poczęstować – powiedział. – Chyba że chcesz wody albo piwa. Lodówka jest prawie pusta. To tymczasowe mieszkanie.

– Będziesz się przeprowadzał? Wspominałeś coś o Knickarp.

– Odnawiam tam dom z dużym ogrodem. Dobrze się tam czuję.

– Ja wciąż mieszkam z ojcem – mruknęła Linda. – I liczę dni do przeprowadzki.

– Masz dobrego ojca.

Linda spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Co masz na myśli?

– Dokładnie to, co powiedziałem. Masz dobrego ojca. Ja takiego nie miałem.

Na stole leżała prasa i więcej żółto-czarnych chorągiewek. Sięgnęła po jedną z gazet. „Borås Tidning”, przeczytała.

– Raczej nie tęsknię za domem – wyjaśnił Stefan. – Ale lubię wiedzieć, co mnie omija.

– Źle ci tam było?

– Kiedy dotarło do mnie, że będę żył, że pokonałem raka, nagle poczułem chęć wyrwania się stamtąd.

– Dlaczego wybrałeś Ystad?

– Życie na samym południu zawsze wydawało mi się atrakcyjne. Zwłaszcza świadomość, że ma się za plecami cały kraj. Skania leży na granicy. Nie umiem tego lepiej wyjaśnić. Dlatego tu jestem.

Lindman zamilkł. Linda nie wiedziała, jak przejść do rozmowy o pożarze. Stefan nagle podniósł się z kanapy.

– Przyniosę piwo i kanapki – powiedział.

Po chwili wrócił z dwiema pełnymi szklankami i talerzem kanapek. Jadł tylko on.

Linda zaczęła opowiadać, jak trafiła na Amy Lindberg. Streściła mu ich rozmowę. Stefan słuchał w milczeniu, nie zadawał żadnych pytań, raz tylko uniósł dłoń, dając Lindzie znak, by na moment przerwała, i odchylił klosz lampy, która świeciła mu w oczy. Nagle w pokoju poruszyła się zasłona. Linda zrozumiała, że na zewnątrz zerwał się wiatr. Przez cały dzień było duszno. Lindman spojrział w tym samym kierunku.

– Chyba nadciąga burza – powiedział. – Czuję pulsujący ból w skroniach. Mam to po matce, zawsze się sprawdza. Mój przyjaciel, policjant z Östersund, który nazywa się Giuseppe Larsson...

– Już raz o nim wspominałeś – odparła Linda.

– On zawsze powtarza, że kiedy nadciąga burza, ma straszną ochotę porządnie się napić. Szczerze mówiąc, nigdy mu w to nie wierzyłem.

– Wszystko, co ja ci opowiadam, to prawda.

Stefan kiwnął głową.

– Nie chciałem ci przerywać.

– Boję się, że stracę wątek.

Mówiła dalej, cofając się do punktu, który jej zdaniem stanowił początek całej historii. Do dnia, kiedy Anna zakomunikowała, że na ulicy w Malmö widziała swojego ojca. W tle wszystkich późniejszych wydarzeń pojawiała się tajemnicza postać Norwega o nazwisku Torgeir Langaas.

– Ktoś zabija zwierzęta – dodała na zakończenie. – Coraz więcej, odważniej, zuchwalej. O ile zuchwałość to słowo pasujące do zachowania szaleńca. Ginie też pewna kobieta, a jej ciało zostaje poćwiartowane. I w tym wszystkim znika moja przyjaciółka Anna.

– Rozumiem, że się niepokoisz – powiedział Stefan. – Powodem jest nie tylko tajemniczy ojciec Anny, ale i ktoś, kto pojawia się znikąd i krzyczy: „Bóg tak chce”. Być może celowo nie robi tego głośno, tak, żeby wszyscy słyszeli, jednak to nie zmienia faktu, że te słowa zostały wypowiedziane. Dowiedziałas się, że twoja przyjaciółka Anna jest religijna. Mamy więcej

elementów pasujących do układanki, która być może wcale nie stanowi całości, tylko sprawia takie wrażenie. Mam na myśli czyjś makabryczny pomysł splecenia dwóch odrąbanych dłoni i ułożenia ich jak do modlitwy czy też tak, by wskazywały na błaganie o litość. Wszystko, co mi opowiedziałaś, w połączeniu z tym, co sam zaobserwowałem, jasno wskazuje, że te akty przemocy mają jakiś religijny wymiar, którego do tej pory nie braliśmy pod uwagę.

Lindman opróżnił szklanekę. W oddali słychać było pomruki nadciągającej burzy.

– Jest nad Bornholmem – odezwała się Linda. – Tam często bywają burze.

– Wieje ze wschodu. To znaczy, że idzie w naszą stronę.

– Co myślisz o tym, co ci powiedziałam?

– Że to wszystko prawda. Poza tym twoja opowieść będzie miała spory wpływ na kierunek jednego z naszych śledztw.

– Którego?

– Tego dotyczącego Birgitty Medberg. Sprawę zaginięcia twojej przyjaciółki traktowaliśmy do tej pory jako coś, czemu być może trzeba się trochę przyjrzeć. Przypuszczam, że teraz będzie inaczej.

– Czy mam powody do niepokoju?

Stefan pokręcił głową.

– Nie wiem. Muszę usiąść i spokojnie spisać wszystko, co mi opowiedziałaś. Nie zaszkodzi, jeśli zrobisz to samo. Jutro przedstawię tę sprawę kolegom.

Linda zadrżała.

– Ojciec dostanie szału, kiedy się dowie, że najpierw tobie to opowiedziałam.

– Powiedz, że to dlatego, że był zajęty pożarem.

– On twierdzi, że nigdy nie ma dla niego nic ważniejszego, jeśli w grę wchodzi coś, co dotyczy mnie.

Stefan pomógł jej włożyć kurtkę. Linda znów poczuła przyływ sympatii do nowo poznanego kolegi. Zauważyła, że ma on delikatne dłonie.

Wróciła do mieszkania przy Mariagatan. Ojciec czekał na nią przy kuchennym stole. Wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumiała, że jest na nią zły. Cholerny Stefan, pomyślała. Musiał do niego zadzwonić, zanim zdążyłam dotrzeć do domu.

Usiadła naprzeciwko ojca.

– Jeśli masz zamiar się na mnie wydzierać, od razu idę się położyć. Nie, wyjdę i będę spać w samochodzie.

– Mogłaś porozmawiać ze mną – odburknął. – To dla mnie oznaka braku zaufania. Dużego braku zaufania.

– Na litość boską! Przecież zajmowałeś się spalonymi zwierzętami! Palił się cały kwartał!

– Nie powinnaś była rozmawiać z tą dziewczyną sama. Ile razy mam ci powtarzać, żebyś się do tego nie mieszała? Jeszcze nie zaczęłaś pracować.

Linda wyprostowała rękę, podciągnęła rękaw i pokazała ojcu numer telefonu Amy Lindberg.

– Zadowolony? – prychnęła. – Teraz pójdę się położyć.

– To przykre, że nie potrafisz mi okazać nawet tyle szacunku, żeby nie działać za moimi plecami.

– Za twoimi plecami? – zachnęła się Linda. – O czym ty mówisz?

– Dobrze wiesz o czym.

Linda jednym ruchem zmiotła ze stołu solniczkę i wazon z uschniętymi kwiatami. Teraz przesadził, pomyślała. Wypadła do przedpokoju, zerwała kurtkę z wieszaka i wybiegła z mieszkania. Nienawidzę go, sapła, przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu kluczyków do auta. Nienawidzę

tych jego wiecznych pretensji. Nie prześpię w tym domu już ani jednej nocy.

Opadła na siedzenie w samochodzie i próbowała się uspokoić. Siedzi tam teraz przekonany, że zaraz dopadną mnie wyrzuty sumienia, rozmyślała. Będzie tak tkwił przy tym stole, pewien, że za moment wrócę skruszona. Linda Caroline jak zwykle trochę się zezłościła, ale już tego żałuje.

– Nie wrócę tam – powiedziała głośno. – Będę spała u Zebry.

Kiedy włożyła kluczyk do stacyjki, zmieniła zdanie. Doszła do wniosku, że Zebra będzie jej zadawać pytania, dziwić się. Linda nie miała na to siły. Pojechała do mieszkania Anny. Ojciec może siedzieć sobie przy tym stole do śmierci, pomyślała.

Wetknęła klucz do zamka, przekręciła i otworzyła drzwi. W przedpokoju stała Anna i patrzyła na nią z uśmiechem.



Nie znam nikogo poza tobą, kto mógłby wpaść do mnie z wizytą o dowolnej porze, na przykład w środku nocy, jak złodziej. Chyba obudziłam cię telepatycznie. Nagle otworzyłaś oczy i stanęłaś na równe nogi, bo miałaś przeczucie, że wróciłam. Mam rację? – spytała Anna wesoło.

Linda z wrażenia upuściła klucze na ziemię. Po prostu wyslizgnęły jej się z dłoni.

– Nie rozumiem. To naprawdę ty? – zapytała.

– Tak, to ja.

– Mam się cieszyć czy odetchnąć z ulgą?

Anna zmarszczyła czoło.

– Dlaczego miałabyś poczuć ulgę?

– Nie rozumiesz, jak się o ciebie martwiłam? – odparła Linda z wyrzutem.

Anna uniosła ręce na znak, że się poddaje.

– Jestem winna, przyznaję. Mam poprosić o przebaczenie czy chcesz usłyszeć, co przez ten czas porabiałam?

– Nie musisz nic robić. Wystarczy, że jesteś.

Weszły do salonu. Linda wciąż nie mogła uwierzyć, że Anna naprawdę wróciła i jakby nigdy nic usiadła na swoim krześle. Linda kątem oka zarejestrowała, że ramki z niebieskim motylem wciąż nie ma na ścianie.

– Przyszłam tu, bo pokłóciłam się z ojcem – wyjaśniła Linda. – Pomyślałam, że prześpię się u ciebie na sofie.

– Możesz tu zostać, mimo że wróciłam.

– Przyszłam do domu zmęczona. Zmęczona i wściekła. A wiesz przecież, że ojciec i ja jesteśmy jak dwa koguty rywalizujące na jednym podwórku. Nie znosimy wzajemnej obecności, wciąż napadamy na siebie i zaczynamy się kłócić. Prawdę mówiąc, poszło o ciebie.

– O mnie? – zdziwiła się Anna.

Linda pogładziła przyjaciółkę po nagim ramieniu. Anna miała na sobie szlafrok, w którym z jakiegoś powodu odcięto rękawy. Jej skóra była zimna. Bez wątplenia to ona, pomyślała Linda, wróciła, to nie ktoś inny ubrał się w jej ciało. Anna zawsze miała zimną skórę. Linda pamiętała to jeszcze z czasów dzieciństwa, kiedy pełne strachu, że naruszają jakąś zakazaną sferę, bawiły się w zmarłych. Skóra Lindy była wtedy zawsze ciepła i zazwyczaj wilgotna od potu, Anny natomiast jeszcze zimniejsza, tak że aż przerywały zabawę, bo jej chłodna skóra napędzała im obu stracha. To wtedy padały pierwsze poważne pytania o śmierć. Linda nie pamiętała już, czy w końcu uznały ten temat za pociągający czy przerażający. Jednak od kiedy przestały się bawić w umieranie, śmierć na zawsze już pozostała dla Lindy czymś, co towarzyszy człowiekowi każdego dnia. Jak bezwonny gaz, wciąż obecny, czający się gdzieś w ukryciu.

– Zrozum, strasznie się o ciebie martwiłam – powiedziała Linda. – To do ciebie niepodobne, tak zniknąć bez słowa i nie stawiać się na umówione spotkanie.

– Ostatnio nic nie było do siebie podobne. Sądziłam, że widziałam mojego ojca. Zobaczyłam go przez okno. On wrócił.

Przerwała, wpatrując się w swoje dłonie. Lindzie przyszło na myśl, że Anna zjawiała się w taki sam sposób, w jaki zniknęła. Była spokojna, zachowywała się tak, jakby nic niezwykłego się nie wydarzyło. Dni, które spędziła poza domem, można było wyciąć z jej życia i tak jakby nigdy się nie zdarzyły.

– Co się stało? – zapytała.

– Szukałam go. Pamiętałam, że jesteśmy umówione, ale tym razem po prostu nie mogłam stawić się na umówione spotkanie. Uznałam, że mnie zrozumiesz. Zobaczyłam mojego ojca na ulicy w Malmö i nagle poczułam, że muszę go odnaleźć. Byłam tak podekscytowana, że cała dygotałam. Nie mogłam wsiąść do auta. Pojechałam pociągiem do Malmö i zaczęłam go szukać. Nie wiem, czy potrafię opisać to przeżycie, po prostu włóczyłam się po ulicach, wszędzie go wypatrując. Próbowалаm go wyczuć wszystkimi zmysłami, myślałam, że musiał gdzieś pozostawić swój zapach, jakiś dźwięk. Snułam się po mieście jak samotny zwiadowca. Moim celem było odnalezienie zaginionego przed laty ojca.

Pokonanie drogi z dworca do hotelu, z którego okna go zobaczyłam, zajęło mi parę godzin. Kiedy wreszcie dotarłam do recepcji, w fotelu, w którym tamtego dnia siedziałam, drzemała jakaś gruba kobieta. Wpadłam w złość, przekonana, że nikomu nie wolno zajmować miejsca, z którego widziałam ojca i w którym on widział mnie. Podeszłam i lekko szturchnęłam tę pochrapującą kobietę. Aż podskoczyła. Powiedziałam, że musi się przesiąść, bo obsługa hotelu zaraz będzie wymieniać meble. Spełniła moją prośbę, choć nie pojmuję, jak mogła mnie wziąć za kogoś z obsługi. Miałam na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, a moje włosy były mokre i posklejane od deszczu. Usiadłam w tym fotelu i wyjrzałam przez okno. Na zewnątrz nie było nikogo. Uznałam jednak, że jeśli posiedzę tam odpowiednio długo, ojciec na pewno się zjawi.

Anna przerwała opowieść i poszła do łazienki. W oddali wciąż rozlegały się głucho pomruki burzy. Wróciwszy, zaczęła mówić dalej:

– Siedziałam tam i siedziałam, a kiedy recepcjonistka zaczęła na mnie podejrzliwie spoglądać, wynajęłam pokój. Staralam się jednak spędzać w nim jak najmniej czasu. Aby ukryć fakt, że zależy mi wyłącznie na miejscu w tamtym fotelu, kupiłam notes i udawałam, że robię jakieś notatki. Drugiego dnia podeszła do mnie gruba kobieta. Nie zauważyłam jej.

Musiała mi się przyglądać od jakiegoś czasu i zaszła mnie od tyłu. Uznała, że jestem złodziejką. Ukradłam jej miejsce, kłamiąc, że musi się przesiąść z powodu wymiany mebli. „Jest pani złodziejką, ukradła mi pani miejsce”, dokładnie tak powiedziała. Była zdenerwowana, miałam wrażenie, że zaraz się przewróci. Pomyślałam, że mi uwierzy, jeśli powiem jej prawdę. Kto wymyśliłby kłamstwo, że zależy mu na konkretnym miejscu, bo parę dni wcześniej zobaczył z niego ojca, który zaginął ponad dwadzieścia lat temu, i teraz ma nadzieję, że znów go z niego zobaczy? Można kłamać o czymkolwiek, ale to by było już za wiele. Powiedziałam jej prawdę, a ona od razu mi uwierzyła. Nie wątpiła ani przez chwilę. Zajęła miejsce obok i powiedziała, że chętnie mi będzie towarzyszyć. Pomyślałam, że to zupełne wariactwo. Gadała bez przerwy. Jej mąż brał udział w jakiejś konferencji o męskich kapeluszach. Możesz się śmiać, mnie nie wypadało. Mówiła na serio, opisała mi wszystko w szczegółach. Wyobraź sobie, że naprawdę są ludzie, którzy spotykają się w ciasnych salach konferencyjnych i całkiem poważnie dyskutują o tym, jakie kapelusze będą modne w nadchodzącym sezonie. Paplała i paplała, zupełnie jakby odmawiała litanie do nieznanego mi kapeluszowego bóstwa. Zastanawiałam się już, czy ją udusić, czy pozbawić życia w jakiś inny sposób. W końcu jednak przestałam jej słuchać, a jej słowa pobrzmiwały gdzieś w tle jak zapach, na który nie zwraca się już uwagi. Po jakimś czasie przyszedł po nią mąż, tak samo gruby jak ona. Miał na głowie wyraźnie drogi kapelusz z szerokim rondem. Do tej pory wcale się sobie nie przedstawiliśmy. Kiedy oboje już mieli odejść, kobieta odwróciła się i powiedziała do męża: „Obok mnie siedzi młoda dama i czeka na swojego ojca. Już bardzo długo”. „Jak długo?”, zapytał mężczyzna, uchylając pięknego kapelusza. „Prawie dwadzieścia pięć lat”, odparła kobieta. Wtedy on spojrział na mnie z zadumą, ale zarazem jakby poddając mnie ocenie, chociaż również z niemałym podziwem. Przez chwilę miałam wrażenie, że hotelowy hol z tym swoim

błyszczącym bezdusznym wnętrzem i zapachem zdecydowanie zbyt skoncentrowanych środków czyszczących zamienił się w kościół. Mężczyzna nagle powiedział: „Nigdy nie można czekać za długo”. Potem włożył kapelusz i oboje wyszli z hotelu. Pomyślałam, że cała ta sytuacja jest niepojęta, absurdalna, ale przez to także całkowicie prawdziwa.

Siedziałam w tym fotelu prawie dwie doby. Co jakiś czas szłam do pokoju, żeby się przespać. W barku miałam sporo buteleczek z wódką i piwem, a także orzeszki. Nie pamiętam, żebym przez ten czas jadła i piła cokolwiek innego. W końcu doszłam do wniosku, że mój ojciec najwyraźniej nie ma ochoty wracać pod to okno. Wyszłam z hotelu, ale zachowałam pokój. Nie miałam żadnego planu, snułam się więc po ulicach, parkach, wzdłuż kanałów i po porcie. Rozmyślałam o ojcu, który kiedyś wyrwał się na wolność, jakiej nie mogła dać mu Henrietta. Dlatego uznałam, że muszę go szukać na otwartych przestrzeniach. Wiele razy zdawało mi się, że go widzę, wtedy dopadały mnie mdłości, kręciło mi się w głowie i musiałam usiąść na ławce lub oprzeć się o drzewo. Za każdym razem jednak okazywało się, że to nie on. Wreszcie tęsknota, którą tak długo w sobie nosiłam, zamieniła się w złość. Chodzę tu i tęsknię, pomyślałam, a on tylko mnie rani, pokazując się ledwie na moment i znów znikając. Zaczęłam wątpić. Skąd miałam taką pewność, że to był on? Wszystko przemawiało za tym, że to niemożliwe. Obeszłam wszystkie parki w mieście, mokłam na deszczu, cały czas rozdarta między wątpliwościami a całkowitą pewnością, że to jego widziałam. Przez ostatnie dwie doby spałam w dzień i spacerowałam nocą. Parę razy zdawało mi się, że widzę jego przemykający cień. Ostatniej nocy poszłam do parku Pildamm. Była trzecia nad ranem, a ja stanęłam na środku alejki i krzyknęłam na cały głos: Tato, gdzie jesteś? Nikt mi nie odpowiedział. Zostałam w parku do świtu i w końcu zrozumiałam, że właśnie zdałam ostatnią próbę. Próbę wytrwałości w oczekiwaniu na ojca. Weszłam we

mgłę, święcie przekonana, że uda mi się go odzyskać, i wyszłam z niej utwierdzona, że go już nie ma. Nie całkiem *nie ma*. Być może gdzieś sobie żyje, ale dla mnie stał się od tamtego dnia jedynie wspomnieniem, do którego będę od czasu do czasu wracać, jednak nie dam mu się więcej omamić. Już na niego nie czekam, przestał być dla mnie żywym człowiekiem, kimś, na kogo warto się złościć. Można powiedzieć, że dopiero teraz na dobre zniknął. I wszystko to zrozumiałam dziś rano w parku. Przez dwadzieścia cztery lata wierzyłam, że ojciec nie odszedł. Musiałam dopiero poczuć pewność, że wreszcie go odnalazłam, żeby zrozumieć, że już nigdy nie wróci.

Burza przeszła bokiem, zmierzając na zachód. Anna umilkła i znów zaczęła wpatrywać się w swoje dłonie. Linda miała wrażenie, że jej przyjaciółka ciągle liczy palce, jakby chciała się upewnić, że żadnego z nich nie brakuje. Spróbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałoby jej życie, gdyby to jej ojciec zniknął. Po chwili odeгнаła tę myśl jako całkiem niedorzeczną. On zawsze będzie tuż obok, pomyślała. Jak ogromny przygarbiony cień, raz ciepły, raz zimny i odpychający, ale wciąż krążący wokół, śledzący każdy jej ruch. Nagle przyszło jej do głowy, że popełniła wielką pomyłkę, idąc w ślady ojca. Dlaczego to zrobiłam? Przecież on mnie przygniecie swoją miłością i opiekuńczością, które powinien skierować na jakąś kobietę, a nie na własną córkę.

Potrząsnęła głową, chcąc pozbyć się kłębiących w głowie myśli. Poczula, że jest niesprawiedliwa. Nie tylko w stosunku do ojca, ale i samej siebie.

Anna oderwała wzrok od swoich palców i spojrzała na Lindę.

– Już po wszystkim – powiedziała. – Mój ojciec okazał się jedynie refleksem na okiennej szybie. Teraz już wiem, że odszedł i nigdy nie wróci. Przepraszam, że musiałaś się przeze mnie denerwować.

Linda była ciekawa, czy Anna słyszała o zabójstwie Birgitty Medberg. Dręczyło ją to. Jaka istnieje więź między jej przyjaciółką a tą kobietą, zastanawiała się. I co ją łączy z niejakim Vigstenem w Kopenhadze? Czy w jednym ze swoich pamiętników zanotowała nazwisko Torgeira Langaasa? Powinnam była je wszystkie gruntownie przejrzeć, przyszło jej nagle na myśl. W końcu to żadna różnica, czy przeczyta się sto, czy tysiąc stron czyjegoś pamiętnika. Rzut oka na pierwszą stronę jest jak złamanie woskowej pieczęci, jakimi ojciec zwykł zabezpieczać gwiazdkowe prezenty. Złamanie jej oznacza otwarcie wszystkich drzwi na oścież.

Linda nagle poczuła, że dręczy ją coś jeszcze, jakiś ślad wciąż tkwiącego w niej niepokoju. Mimo to postanowiła, że wstrzyma się z niektórymi pytaniami.

– Odwiedziłam twoją mamę – powiedziała. – Wyglądała na zupełnie spokojną. Odebrałam to jako znak, że wie, gdzie się podziewasz, tylko nie chce mi nic powiedzieć.

– Nie przyznałam się jej, że widziałam ojca na ulicy w Malmö – odparła Anna.

Linda przypomniała sobie słowa Henrietty, która utrzymywała, że Anna bardzo często widywała ojca w ten sposób. Ciekawe, kto kłamie, a kto przesadza. Uznała jednak, że w tej chwili nie jest to najważniejsze.

– Ja swoją matkę odwiedziłam wczoraj – zmieniła temat. – Chciałam jej zrobić niespodziankę. I udało się...

– Ucieszyła się?

– Niespecjalnie. Zastałam ją nagą w kuchni, jak piła wódkę prosto z butelki.

– Nie wiedziałaś, że ma problemy z alkoholem?

– Wciąż nie jestem pewna, czy rzeczywiście je ma. Każdemu się może zdarzyć picie w środku dnia.

– Pewnie masz rację – odparła Anna. – Jestem zmęczona, muszę się położyć – dodała, ziewając. – Przygotować ci posłanie na kanapie?

– Nie, pójdę do domu. Teraz, kiedy wiem, że wróciłaś, mogę spokojnie zasnąć we własnym łóżku. Chociaż pewnie znów zetnę się z ojcem z samego rana.

Linda wstała i wyszła do przedpokoju. Anna zatrzymała się w drzwiach do salonu. Burza już całkiem ucichła w oddali.

– Nie opowiedziałam ci o końcu mojej wyprawy – odezwała się. – O tym, co postanowiłam dziś rano, kiedy wreszcie do mnie dotarło, że ojciec nigdy nie wróci. Otóż zobaczyłam kogoś innego. Poszłam na dworzec, żeby złapać pociąg do Ystad. Miałam chwilę, więc wstąpiłam do baru na kawę. Nie zgadniesz, kto się do mnie przysiadł.

– Ponieważ nie mam żadnych szans się domyślić, kto mógłby to być, zakładam, że była to ta gruba kobieta.

– Dokładnie tak – uśmiechnęła się Anna. – Jej mąż stał nieopodal i pilnował starodawnej walizki, kufra właściwie. Przyszło mi na myśl, że wiozą w nim mnóstwo najróżniejszych kapeluszy, modnych w nadchodzącym sezonie. Jego gruba małżonka była cała spocona i miała wypieki. Kiedy spojrzałam na męża, grzecznie uchylił kapelusza. Pomyślałam, że wszyscy troje musimy wyglądać jak jakaś konspiracyjna szajka. Kobieta zapytała mnie, czy go spotkałam. W pierwszej chwili nie zrozumiałam, o kogo jej chodzi, w końcu byłam zmęczona i właśnie postanowiłam wymazać ojca z pamięci. Wepchnęłam go jak kulę do lufy armatniej i wystrzeliłam w krainę zapomnienia. Ale nie chciałam sprawić nieznamym przykrości, więc powiedziałam, że tak. Spotkałam ojca i wszystko poszło tak, jak się spodziewałam. Jej oczy aż się zaszklily. Wstała i na odchodnym zadała mi jeszcze jedno pytanie: „Czy mogę powiedzieć o tym mężowi? Właśnie ruszamy w powrotną drogę do



Halmstad. Spotkanie z młodą dziewczyną, która po wielu latach odnalazła swojego ojca, będzie dla nas miłym wspomnieniem”.

Nie miałam nic przeciwko temu, więc kobieta podeszła do męża i zaczęła mu coś opowiadać. Potem chwilę dyskutowali, ale nie słyszałam ich słów. Właśnie miałam wstać od stolika, kiedy ona znów do mnie podeszła. „Nawet nie wiem, jak ma pani na imię”, powiedziała. „Anna”, odparłam, odwróciłam się i poszłam na peron, nie patrząc za siebie. A teraz opowiadałam to tobie.

– Wpadnę do ciebie rano – powiedziała Linda. – Zaczniemy tam, gdzie skończyliśmy, zanim zniknęłaś.

Umówiły się na dwunastą. Linda oddała Annie kluczyki do samochodu.

– Pożyczyłam twoje auto – wyjaśniła. – Szukałam cię. Jutro zatankuję do pełna.

– Nie chcę, żebyś za cokolwiek płaciła, tylko dlatego, że się martwiłaś, że coś mi się stało.

Linda poszła piechotą do domu. Padał drobny deszcz, ale burza ominęła miasto. Ucichł też wiatr. Ulica pachniała ciepłym asfaltem. Linda zatrzymała się i wciągnęła powietrze głęboko do płuc. Wszystko jest w porządku, pomyślała. Myliłam się, Annie nic się nie stało.

Ta tkwiąca w niej do niedawna zadra, dręczący niepokój o Annę prawie zniknął. Ale nie do końca. Przypomniała sobie słowa Anny. „Otóż zobaczyłam kogoś innego”.

Następnego ranka Linda obudziła się gwałtownie. Roleta wisiała krzywo i przez szparę dostawała się odbita od dachu budynku naprzeciwko smuga porannego światła. Muskała szafkę nocną przy łóżku. Linda wyjęła dłoń spod kołdry i wsunęła ją w płamę słońca. Jak zaczyna się dzień? Od zawsze była przekonana, że każdego ranka, tuż przed przebudzeniem, przychodzi sen, który mówi jej, że już pora otworzyć oczy, że zaczyna się nowy dzień. Często bawiła się obrazami z pogranicza jawy i snu. „Kiedy sen i przebudzenie walczą o swoje”, tak nazwała ten moment wiele lat temu. Zapisała tę myśl na kartce papieru. Już później uznała, że były to słowa najbliższe poezji, jakie kiedykolwiek udało jej się wymyślić. Nadejście kolejnego dnia mogło też być gwałtownym otwarciem zamkniętych drzwi, z którymi walczyła przez całą noc. Linda miała wiele takich obrazów.

Usiadła na łóżku. Anna wróciła. Linda na chwilę wstrzymała oddech, chcąc się upewnić, że nie był to jakiś zdradziecki sen. To prawda. Zeszłego wieczoru Anna stała w przedpokoju, w szlafroku z odciętymi rękawami. Linda znów się położyła i wygodnie wyciągnęła na łóżku, zostawiając dłoń w płamie słońca. Wkrótce nadejdzie jesień, pomyślała. W tej chwili moje życie jest pełne ulotnych chwil, o których wkrótce zapomnę. Najważniejsze jednak, że za pięć dni zamienię cywilne ubranie na mundur. Prawdziwy mundur. Druga sprawa to mieszkanie, które muszę jak najszybciej znaleźć, żeby wciąż nie kłócić się z ojcem. Niebawem nadejdzie jesień i pierwsze poranki z przymrozkiem. Spojrzała na swoją dłoń w płamie światła. Nim nadejdzie mróz, wyszeptała. Czy można powiedzieć „przed mrozem”? Ciekawe.

Słyszając, jak ojciec tłucze się w łazience, nagle się roześmiała. Nie знаła nikogo innego, kto by tak hałasował w łazience. Zupełnie jakby każdego ranka toczył walkę z opornym mydłem, kranem i ręcznikami. Wstała i zarzuciła na siebie szlafrok, potem poszła do kuchni. Była siódma. Przyszło jej na myśl, że powinna zadzwonić do Zebry z wiadomością, że Anna wróciła. Jest wcześniej, więc przyjaciółka pewnie jeszcze śpi. Jej mały synek często budzi się w nocy i Zebra strasznie się wścieka, kiedy wyciąga się ją z łóżka tak wcześnie. Zamiast do niej, powinnam zadzwonić do Stefana. Albo lepiej nie. Niech się dowie od tego, który tak hałasuje w łazience.

Po chwili ojciec wszedł do kuchni, wycierając włosy ręcznikiem.

– Przepraszam za wczoraj – powiedział.

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do Lindy i pochylił głowę.

– Widać, żebym łysiał na czubku? – zapytał.

Linda przeczesła mu włosy palcami.

– Masz tu niewielki placek – odparła.

– Niech to szlag. Nie chcę być łysy.

– Dziadek pod koniec życia całkiem wyłysiał, a to przecież dziedziczne.

Jeśli obetniesz się na króciutko, będziesz wyglądał jak amerykański oficer.

– Nie chcę wyglądać jak amerykański oficer – mruknął Kurt.

– Anna wróciła – zakomunikowała nagle Linda.

Wallander miał właśnie nalać wody do czajnika, ale cofnął rękę.

– Anna Westin?

– Nie znam żadnej innej Anny, która ostatnio zniknęła. Wczoraj, kiedy się na ciebie wściekłam, pojechałam do jej mieszkania. Zamierzałam tam spać. Anna, jakby nigdy nic, stała w przedpokoju.

– I co powiedziała?

– Że pojechała do Malmö, żeby odszukać ojca. Zatrzymała się w hotelu.

– I co, znalazła go?

– Nie. W końcu do niej dotarło, że to tylko przywidzenie. Więc po prostu wróciła. To było wczoraj.

Wallander usiadł przy stole.

– A zatem spędziła parę dni w Malmö, szukając swojego ojca. Zatrzymała się w hotelu, nie mówiąc o tym nikomu, ani tobie, ani swojej matce. Czy dobrze zrozumiałem?

– Tak.

– Czy masz jakiś powód, żeby jej nie wierzyć?

– Właściwie nie.

– Więc masz czy nie masz?

– Nie mam.

Kurt nalał wody do czajnika.

– Czyli miałem rację. Nic złego jej się nie stało.

– To nie zmienia faktu, że w jej pamiętniku jest nazwisko Birgitty Medberg – broniła się Linda. – Poza tym ten Vigsten. Nie wiem, ile zdążył ci powiedzieć Lindman, kiedy wczoraj zadzwonił na mnie naskarżyć.

– Nie skarżył na ciebie. Rzeczowo mi wszystko streścił. Jeśli chodzi o solidne raportowanie, Stefan jest nowym Martinssonem. Najpóźniej jutro poproszę Annę, żeby przysłała do mnie na komendę. Zadamy jej parę pytań. Możesz jej o tym powiedzieć, ale nie wypytuj ją o Birgittę Medberg i nie prowadź żadnego prywatnego śledztwa, rozumiano?

– Teraz mówisz jak nadęty gliniarz – odparła Linda.

Ojciec spojrzał na nią zdziwiony.

– Jestem gliniarzem. Nie wiedziałaś? O wiele mnie już w życiu oskarżano, ale nigdy o to, że jestem nadęty.

Zjedli śniadanie w milczeniu, czytając „Ystads Allehanda”, każdy swoją ulubioną część gazety. Dochodziło wpół do ósmej, kiedy Wallander wstał od stołu. Zaraz jednak znowu usiadł.

– Mówiłaś coś ostatnio... – zaczął niepewnie.

Linda od razu się domyśliła, o co mu chodzi. Bawiło ją to, że ojciec jest zażenowany.

– ...że przydałoby ci się trochę seksu? – dopytała.

– O co ci właściwie chodziło?

– A jak sądzisz? Co mogłam mieć na myśli?

– Wolałbym, żebyś się nie mieszała w moje życie erotyczne.

– A masz jakieś?

– Nie twoja sprawa, zostaw je w spokoju.

– Nie obchodzi mnie, jakie stosujesz metody, żeby mieć święty spokój w swoim nieistniejącym życiu erotycznym, ale tak czy inaczej uważam, że nie powinieneś być sam. Każdy kolejny tydzień bez seksu to w twoim przypadku jeden dodatkowy kilogram. Cały ten tłuszcz, który na sobie nosisz, jest jak wielka tablica z napisem „Brakuje mi seksu”.

– Nie musisz tak krzyczeć.

– A kto niby miały nas usłyszeć?

Wallander gwałtownie wstał, jakby nagle zdecydował się na ucieczkę.

– Zapomnijmy o tej rozmowie – rzucił oschle. – Muszę już iść.

Patrzyła za nim, jak ciężko człapie do przedpokoju. Może jestem dla niego zbyt ostra? Ale jeśli ja nie powiem mu prawdy, to kto to zrobi?

Wstała i ruszyła za ojcem.

– Jak się mówi? – zapytała. – Można powiedzieć „przed mrozem” czy trzeba powiedzieć „nim nadejdzie mróz”?

– To nie to samo?

– Nie wiem, czy „przed mrozem” nie jest przypadkiem błędne.

– No to się dowiedz albo zastanów i powiedz mi, kiedy wrócę – rzucił, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

Linda nagle pomyślała o Gertrud, kobiecie, która była żoną dziadka w ostatnich latach jego życia. Obecnie mieszkała ze swoją siostrą Elwirą,

nauczycielką szwedzkiego. Linda doszła do wniosku, że ma doskonały pretekst, żeby do nich zadzwonić. Od czasu do czasu ze sobą rozmawiały, ale to zazwyczaj właśnie ona dzwoniła. Poszukała numeru telefonu w notesie. Wiedziała, że obie siostry to ranne ptaszki, jadały śniadanie już o piątej rano. Odebrała Gertrud. Jak zawsze była w doskonałym nastroju. Linda często się dziwiła, jak ta kobieta dawała sobie radę, żyjąc pod jednym dachem z ciągle wściekłym i introwertycznym człowiekiem, jakim był dziadek.

– Jesteś już policjantką? – spytała Gertrud.

– Będę nią od poniedziałku.

– Mam nadzieję, że będziesz ostrożna.

– Zawsze jestem.

– Obcięłaś się na krótko?

– Po co miałabym to robić? – zdziwiła się Linda.

– Żeby bandyci nie łapali cię za twoje ładne włosy.

– Nie musisz się o to martwić.

– Człowiek musi mieć jakieś zajęcie na stare lata. Jeśli nie pozostaje już nic innego, można się przynajmniej trochę pomartwić. Elwira i ja codziennie dajemy sobie prezenty w postaci niepokoju o siebie nawzajem. To nas pociesza.

– Właściwie to z nią chciałabym porozmawiać. Mam do niej pytanie.

– Jak miewa się ojciec?

– Jak zwykle.

– A jak mu się układa z tą kobietą z Łotwy?

– Z Baibą? Już dawno się rozstali. Nie wiedziałaś?

– Rozmawiam z Kurtem najwyżej raz w roku. I na pewno nie o jego życiu prywatnym.

– On nie ma życia prywatnego. W tym cały problem.

– Zawołam Elwirę.

Siostra Gertrud podeszła do telefonu. Linda stwierdziła, że obie mają tak podobne głosy, że z łatwością można je pomylić.

– Jak się mówi? – spytała. – „Przed mrozem” czy raczej „zanim nadejdzie mróz”?

– Wydaje mi się, że jedno i drugie jest poprawne, chociaż „zanim nadejdzie” lub „nim nadejdzie mróz” brzmi ładniej, bardziej poetycko. Zamiast „przed mrozem” można powiedzieć „przed nadejściem mrozu”. Tak też brzmi lepiej. Dlaczego pytasz?

– Obudziłam się dziś rano i pomyślałam, że wkrótce nadejdzie jesień. No i mróz.

– Możesz powiedzieć „przed mrozem”.

– No to już wiem, dziękuję za pomoc.

– Będziemy dziś zrywać czarne porzeczeki – powiedziała Elwira. – Masz rację, nadciąga jesień i pierwsze przymrozki. Te ostatnie porzeczeki są jak wspomnienie lata.

Linda zakończyła rozmowę, a potem pozbierała naczynia ze stołu. Następnie wzięła prysznic i ubrała się. Nagle zabręczał telefon. Dzwoniła Elwira.

– Chciałam tylko potwierdzić, że na pewno jest tak, jak ci powiedziałam – wyjaśniła. – Zadzwoiłam do starego znajomego, emerytowanego profesora języka szwedzkiego, który ma kontakty z Akademią Szwedzką. Powiedział mi, że teraz często się mówi „przed mrozem”, chociaż i jego zdaniem nie brzmi to ładnie. Jak widać, język się zmienia, upraszcza, według mnie traci wyrazistość i elegancję. Uważam, że słowa nie powinny być jak tępe noże. Chciałam ci to powiedzieć. A teraz wracam już do moich porzeczek.

– Jeszcze raz dziękuję za pomoc – odparła Linda.

Kiedy wybiła dziesiąta, Linda zadzwoniła do Anny.

– Upewniam się, czy wczoraj nie śniłam – rzuciła ze śmiechem na powitanie.

– Wiem, że narobiłam zamieszania, jeszcze raz cię przepraszam. Dzwoniłam do Zebry, więc ona już wie, że wróciłam.

– A Henrietta? – spytała Linda.

– Z nią porozmawiam dopiero wtedy, kiedy przyjdzie mi na to ochota. Będziesz o dwunastej?

– Pewnie. Co do minuty.

Po skończonej rozmowie Linda siedziała dłuższą chwilę ze słuchawką w dłoni. Czuła, że niepokój nie do końca ją opuścił. Gdzieś uwierała ją ta zadra, o której pomyślała zeszłego wieczoru. To jakiś sygnał, uznała. Zupełnie jak we śnie. Wyśnione wiadomości, nawet jeśli dotyczą kogoś innego, zawsze odnoszą się do nas samych. Jakim komunikatem jest tkwiący we mnie niepokój o Annę? Przecież ona wróciła, cała i zdrowa, jest taka jak zwykle. Ale wciąż są te nazwiska z jej pamiętnika. Birgitta Medberg i Vigsten. Poza tym jest jeszcze ktoś: Norweg o nazwisku Torgeir Langaas. Czyli pozostało parę pytań, które domagają się odpowiedzi. I dopóki ich nie uzyskamy, nie pozbędę się drzazgi.

Wyszła na balkon i usiadła na krześle. Powietrze było przyjemnie chłodne, świeże po nocnej burzy. Linda przeczytała w gazecie, że w okolicach Rydsgård doszło do lokalnych podtopień. Na balkonowej posadzce leżał martwy motyl. Również o motyla powinnam zapytać, pomyślała. O ramkę z niebieskim motylem.

Oparła nogi o poręcz. Jeszcze pięć dni, powtarzała w myślach, i wreszcie ten dziwny czas oczekiwania się skończy.

Nagle wpadła na pewien pomysł. Nie miała pojęcia, po co to robi, ale podeszła do telefonu i zadzwoniła do biura numerów. Zapytała o hotel należący do sieci Scandii. Zanotowała numer i wybrała go. Od razu się



połączyła. Po drugiej stronie odebrał jakiś pogodnie brzmiący mężczyzna. Linda usłyszała cień duńskiego akcentu.

– Chciałabym rozmawiać z państwa gościem, Anną Westin – powiedziała.

– Chwileczkę.

Zacząć kłamać jest bardzo łatwo, pomyślała. Następny krok będzie trudniejszy.

Wesoły głos znów odezwał się w słuchawce.

– Niestety, nie mamy nikogo o tym nazwisku.

– Pewnie musiała się już wymeldować. Wiem, że na parę dni zatrzymała się w państwa hotelu.

– Anna Westin? – dopytał mężczyzna.

– Tak.

– Chwileczkę.

Głos w słuchawce ucichł, ale prawie od razu powrócił.

– Ostatnio nie zatrzymywał się u nas nikt o nazwisku Westin. Jest pani pewna, że chodzi dokładnie o to nazwisko?

– Tak, to moja przyjaciółka. Westin, przez W.

– Sprawdzę jeszcze raz. Wagner, Wiktor, Williamsson... – mrucał mężczyzna. – Wallander...

Linda mocniej ścisnęła słuchawkę.

– Słucham? Jak brzmi ostatnie nazwisko?

– Williamsson.

– Nie, następne. Wallander?

Sympatyczny męski głos brzmiał już nieco mniej przyjaźnie.

– Myślałem, że pyta pani o osobę o nazwisku Westin.

– Jej mąż nazywa się Wallander. Może wynajęła pokój razem z nim? – zmyśliła naprędce Linda.

– Chwileczkę, już sprawdzam.

Nie do wiary, pomyślała. To nie może być prawda.

– Niestety nie – odparł po chwili mężczyzna. – Jedyne nasz niedawny gość o nazwisku Wallander to pani, która wynajęła jedynekę.

Linda zamarła.

– Halo? Jest pani tam? Halo? – usłyszała w słuchawce.

– Pewnie miała na imię Linda, mam rację? – zapytała.

– Zgadza się. Chyba nie mogę już nic więcej dla pani zrobić. Być może pani przyjaciółka wybrała jakiś inny hotel w Malmö? Poza tym nasz drugi wyśmienity hotel mieści się tuż pod Lund.

– Dziękuję.

Linda rozłączyła się i rzuciła słuchawkę. Czowała, jak osłupienie przeradza się w złość. Pomyślała, że powinna natychmiast porozmawiać z ojcem, nie chciała działać sama. Od tej chwili interesuje mnie jedynie to, pomyślała, zaciskając zęby, dlaczego Anna użyła mojego nazwiska, meldując się w hotelu w Malmö.

Podeszła do kuchennego stołu i wyrwała kartkę z notesu, na której ojciec napisał słowo „szparagi”. Przecież on nie je szparagów, pomyślała z irytacją. Miała zamiar spisać wszystkie swoje spostrzeżenia, nazwiska i wydarzenia związane ze zniknięciem Anny, gdy nagle poczuła, że nie wie, co ma notować. W końcu narysowała motyla i zaczęła kolorować go na niebiesko. Wyczerpał jej się wkład w długopisie, poszukała więc innego. Jedno skrzydełko motyla było niebieskie, drugie czarne. Oto motyl, którego nie ma, podsumowała w myślach. Zupełnie, jak ojciec Anny. To, co dzieje się naprawdę, wygląda zupełnie inaczej. Zwierzęta giną w płomieniach, ktoś morduje i ćwiartuje kobietę, a potem ja zostaję napadnięta w Kopenhadze.

O jedenastej wybrała się na spacer do portu. Zeszła nad samą wodę i usiadła na palu. Starła się znaleźć jakiś sensowny powód, dlaczego Anna

zameldowała się w hotelu pod cudzym nazwiskiem. To, że wybrała akurat moje, jest nieistotne, rozmyślała Linda. Równie dobrze mogła podać nazwisko Zebry lub jakieś zmyślane. Najważniejsze jest to, uznała, i po chwili udało jej się samą siebie do tego przekonać, że Anna z jakiegoś powodu rozpoczęła poszukiwania ojca, podając się za kogoś innego.

Przy kamienistym brzegu unosiła się na wodzie martwa kaczka. Linda w końcu wstała z drewnianego pachołka. Nie znalazła żadnego sensownego wyjaśnienia dla kłamstwa Anny. Wiedziała jednak, że ono istnieje, tylko jej nie udało się na nie wpaść. Po prostu ja nie umiem go znaleźć.

Punkt dwunasta zadzwoniła do drzwi przyjaciółki. Niepokój niemal całkiem ją opuścił. Ale zdawała sobie sprawę, że musi być czujna.

Torgeir Langaas otworzył oczy. Z każdym nowym dniem dziwił się, że wciąż jeszcze żyje. Kiedy się budził, zawsze zlewały mu się przed oczami dwa obrazy. Spoglądał sam na siebie własnym i zarazem wzrokiem tego drugiego. Mężczyzny, który pewnego dnia podniósł go z ulicy, wyrываяc ze szponów alkoholu i prochów, a potem sprawił, by ruszył drogą wiodącą do odległego, ale osiągalnego raju. Torgeir leżał w rynsztoku, cały w wymiocinach i własnym moczu, cuchnący, pozbawiony wszelkiej nadziei, że kiedykolwiek uda mu się uwolnić od wszelkich trucizn. Przebył długą drogę – od rozpieszczonego dziedzica jednego z największych w Norwegii majątków, do zapitego i uzależnionego od narkotyków ludzkiego wraku, który skończył na ulicach Cleveland. Sądził, że przyjdzie mu doczekać końca w opuszczonej bramie lub jakimś rowie, a potem zostanie pochowany w zbiorowej mogile na koszt stanu Ohio.

Leżał z otwartymi oczami, w całkiem zapomnianym przez właściciela pokoju, w mieszkaniu w kamienicy przy Nedergade. Z salonu dochodziły jednostajne dźwięki, jakie wydobywał z fortepianu stroiciel. Przychodził w każdą środę. Torgeir Langaas miał na tyle dobry słuch, by ocenić, że fachowiec ma do zrobienia zaledwie kilka drobnych poprawek. Oczami wyobraźni widział też starego Vigstena, jak siedzi na taborecie przy oknie i śledzi każdy ruch stroiciela. Torgeir Langaas wyciągnął się na łóżku. Poprzedniego wieczoru wszystko poszło tak, jak zaplanowali. Sklep zoologiczny się spalił, nie przeżyła ani jedna mysz, ani jeden chomik. Eryk wyjaśnił mu wcześniej, jak ważne jest, żeby plan się powiódł. Zwierzęta musiały zostać złożone w ofierze. Eryk zawsze powtarzał, że Bóg nie toleruje pomyłek. Człowiek, którego stworzył na swe podobieństwo, nie ma

prawa popełniać błędów, wykonując powierzone mu ważne zadania. W końcu chodziło o to, żeby dobrze przeżyć życie, przygotować się na wstąpienie do raju, jaki Bóg przygotował dla wybrańców, dla tych, którzy ponownie zejdą na ziemię, gdy nastąpi wielkie przebudzenie chrześcijan.

Każdego ranka Torgeir Langaas postępował tak, jak nauczył go Eryk. W końcu był jego pierwszym i najważniejszym uczniem. Jeszcze przez jakiś czas miał też pozostawać jego najważniejszym narzędziem. Zatem każdego dnia o poranku Torgeir musiał odnawiać przysięgę, jaką złożył sobie, Erykowi i Bogu. „Moim zadaniem jest, aby każdego dnia, z posłuszeństwa Bogu oraz mojemu Mistrzowi, wypełniać rozkazy, jakie otrzymuję, i nie wahać się spełniać zadania potrzebne ludziom, by zrozumieli, co ich czeka, jeśli wyrzekną się Pana. Jedynie przez powrót do Boga oraz posłuszeństwo słowom, jakie niebawem zaczniesz głosić na ziemi jedyny prawdziwy prorok, można doczekać ocalenia i dołączyć do grona tych, którzy pewnego dnia wrócą na ziemię”.

Leżał na łóżku ze splecionymi dłońmi, mamrocząc wersy z listu świętego Judy, których nauczył go Eryk. „Pan, który wybawił naród z Egiptu, następnie wytracił tych, którzy nie uwierzyli”<sup>8</sup>. Każdy, najmniejszy nawet pokój możesz zamienić w katedrę – powtarzał mu Eryk. – Kościół jest w tobie i wokół ciebie.

Szepcząc modlitwę, Torgeir zamknął oczy i podciągnął kołdrę pod brodę. Stroiciel ciągle uderzał w ten sam wysoki ton. Kościół jest w tobie i wokół ciebie. Te właśnie słowa poddały Torgeirowi pomysł, by znaleźć nowy typ kryjówki. Nie musiał to być szalas głęboko w lesie, jej rolę z powodzeniem mógł spełniać stary dom za kościołem w Lestarp. Bez problemu mógłby też cichcem żerować jak jakiś niewidzialny pasożytniczy organizm na własnym dziadku, który przez ostatnie lata życia mieszkał sam w domu nad jeziorem Femunden, mimo że miał demencję i niczego nie pamiętał. Kiedyś jedna z sióstr Torgeira mieszkała u niego w wakacje przez

tydzień, a on nawet tego nie zauważył. Torgeir opowiedział więc o swoim pomysle Erykowi, który odrzekł, że jeśli według niego plan ma szansę się powieść i Torgeir nie boi się zaryzykować, niech spróbuje. Frans Vigsten pojawił się właściwie znikąd. Potem Torgeir pomyślał, że to może sam Eryk sprawił, że się spotkali. Pewnego dnia wszedł do jakiejś kafejki w Nyhavn – czasem zaglądał do barów, by popatrzeć na jedzących i pijących ludzi i rozkoszować się tym, że on sam potrafi opierać się pokusom. Frans Vigsten siedział przy jednym ze stolików i popijał wino. W pewnej chwili nagle wstał, podszedł do Torgeira i spytał:

– Czy może mi pan powiedzieć, gdzie ja jestem?

Torgeir natychmiast się zorientował, że staruszek ma luki w pamięci, gdyż nie był pijany.

– W kafejce w Nyhavn.

Nieznajomy bezradnie opadł na krzesło naprzeciwko Torgeira. Dłuższą chwilę siedział w milczeniu, w końcu znowu się odezwał:

– A gdzie to jest?

– Nyhavn? W Kopenhadze.

– Zapomniałem, gdzie mieszkam.

W końcu znaleźli właściwy adres na karteczce, którą Frans Vigsten nosił w portfelu. Nedergade. Staruszek wciąż nie mógł sobie przypomnieć, że mieszka na tej ulicy.

– Pamięć mi czasem wraca, ale za moment znów gdzieś sobie idzie. Nie wiem, czy tam jest moje mieszkanie, czy stoi tylko tam mój fortepian i tam przyjmuję uczniów.

Torgeir wyprowadził staruszka na ulicę, przywołał taksówkę, obaj wsiedli do auta i pojechali na Nedergade. Nazwisko Vigsten widniało na tablicy na klatce schodowej. Torgeir poszedł za starcem, a kiedy weszli do mieszkania, poczuł zapach stęchlizny i długo niewietrzonych pomieszczeń.

– Tak, to tu mieszkam – gderał staruszek. – Tak pachnie mój przedpokój.

Następnie ruszył w głąb mieszkania i od razu zajął się czymś, zupełnie zapominając, że w przedpokoju zostawił gościa. Zanim Torgeir wyszedł, znalazł zapasowy klucz. Parę dni później wprowadził się do nieużywanego pokoju. Jak dotąd Frans Vigsten w ogóle się nie zorientował, że służy jako żywiciel dla pasożytniczej istoty, która trwa w oczekiwaniu na sygnał, kiedy wreszcie będzie mogła wstąpić do wyższego wymiaru. Spotkali się na korytarzu tylko raz. Torgeir zauważył, że w oczach staruszka dawno już zgasło wspomnienie ich spotkania w Nyhavn. Pomyślał po prostu, że to kolejny uczeń. Torgeir oznajmił mu, że nie przyszedł grać na fortepianie, ale odpowietrzyć kaloryfery. Vigsten przyjął to wyjaśnienie, zapominając o intruzie, gdy tylko odwrócił się do niego plecami.

Torgeir Langaas wpatrywał się w swoje dłonie. Były duże i silne. Najważniejsze jednak, że palce mu już nie drżały. Minęło wiele lat, odkąd został podźwignięty z rynsztoku i od tego dnia nie wypił ani kropli alkoholu ani nie sięgnął po nawet najslabszy narkotyk. Jak przez mgłę pamiętał okres powrotu do zdrowia. Był to czas groteskowych majaków trwających długie doby. Nachodziły go obrazy ponurych twarzy i jaszczurek, które spełzały ze ścian. Eryk siedział przy nim i cały czas trzymał go za rękę. Torgeir wiedział, że bez niego nigdy by tego nie przetrwał. To dzięki niemu odzyskał wiarę, ona zaś dała mu siłę, by żyć.

Usiadł na łóżku i oparł się plecami o ścianę. Wiedział, że stroiciel zaraz skończy, Vigsten odprowadzi go do przedpokoju, i kiedy tylko zamknie za nim drzwi, natychmiast o nim zapomni.

Siła, pomyślał Torgeir. Mam w sobie siłę. Przyczajam się w moich kryjówkach w oczekiwaniu na kolejne rozkazy, a po ich wypełnieniu znów usuwam się w cień. Eryk nigdy do końca nie wie, gdzie ma mnie szukać, ale kiedy tylko mnie potrzebuje, słyszę w sobie jego głos. Zawsze dokładnie wiem, kiedy mam się z nim skontaktować.

To Eryk dał mi tę siłę, rozmyślał dalej Torgeir Langaas. Dotychczas udało mi się wyzwolić z wszystkich słabości, poza jedną jedyną, niewielką. Czuł wstyd przed Erykiem, utrzymując przed nim to coś w tajemnicy. W końcu mężczyzna, który wydobył go z rynsztoku, rozmawiał z nim całkiem otwarcie. Niczego przed nim nie skrywał i od swojego ucznia wymagał tego samego. Kiedy Eryk zapytał Torgeira, czy uwolnił się już od wszelkich słabości i jakichkolwiek tajemnic, Torgeir potwierdził, choć nie była to prawda. W rzeczywistości wciąż tkwiła w nim resztką nici łączącej go z poprzednim życiem. W głębi ducha ciągle odsuwał od siebie porozumienie, które zawarli. Tego ranka, tuż po przebudzeniu, zrozumiał, że nie może już dłużej czekać. Spalenie sklepu zoologicznego było ostatnim etapem koniecznym, by Torgeir przeniósł się do wyższego wymiaru. Nie chciał dłużej tego odkładać. Jeśli wreszcie nie wyjawি Erykowi prawdy o swojej słabości, Bóg wyładuje na nim swój gniew. Kara dosięgłaby wówczas również Eryka, a ta myśl była dla Torgeira nieznośna.

Stroiciel skończył pracę, w mieszkaniu zapanowała cisza. Torgeir zaczekał, aż za fachowcem zatrzasną się drzwi. Chwilę później Frans Vigsten zaczął grać. Torgeir odgadł, że to mazurek Chopina. Starzec grał płynnie, ani razu nie zerkając na nuty. Widocznie w chaosie płaczących mu się w głowie wspomnień muzyka wciąż pozostawała na swoim miejscu. Eryk miał rację, pomyślał Torgeir. Bóg stworzył muzykę do roli największego duchowego kusiciela. Dopiero gdy zamilknie muzyka, człowiek jest gotów, by rozpocząć przygotowania do życia czekającego na niego po śmierci. Torgeir słuchał. Jak przez mgłę pamiętał pewien koncert fortepianowy w auli uniwersytetu w Oslo, na którym był jako dziecko. Ten właśnie mazurek zagrano jako drugi bis. Pamiętał również pierwszy utwór, był to *Marsz turecki* Mozarta. Na koncert zabrał go ojciec, który potem zapytał syna, czy Torgeir kiedykolwiek słyszał coś piękniejszego. Siła muzyki jest wielka, pomyślał. Bóg z ogromnym wyrafinowaniem tworzy



różnorodne pokusy. Ale kiedyś nadejdzie dzień, w którym spłonie na stosie tysiąc fortepianów. Ich struny popękają w płomieniach i muzyka ucichnie na wieki.

Wstał i ubrał się. Wyjrząwszy przez okno, zorientował się, że dzień jest pochmurny i wietrzny. Wyszedł na dwór po chwili wahania, czy założyć skórzaną kurtkę, czy długi płaszcz. Wybrał kurtkę, w której kieszeniach miał pióra gołębi i łabędzi, które zbierał, przechadzając się ulicami i nad jeziorem. Być może to zbieranie piór też jest słabością, pomyślał. Jeśli tak, Bóg na pewno mi ją wybaczy. Miał szczęście, bo kiedy znalazł się na ulicy, akurat nadszedł autobus. Wsiadł przy placu Ratuszowym i poszedł na plac przed dworcem centralnym, gdzie kupił poranną lokalną gazetę. Wiadomość o spalonym sklepie zoologicznym była na pierwszej stronie. Cytowano jakiegoś szwedzkiego policjanta: „Coś takiego może zrobić tylko człowiek chory. Chory i o sadystycznych skłonnościach”.

Eryk nauczył go, by niezależnie od okoliczności, zawsze zachowywał spokój. Jednak świadomość, że ludzie dopatrywali się w jego czynie znamion sadyzmu, wprowadziła go w złość. Zmiał gazetę i cisnął ją do kosza na śmieci. Po chwili poczuł się winny za okazaną słabość i żeby ukarać samego siebie, rzucił pijanemu żebrakowi pięćdziesiąt koron. Obdarowany mężczyzna nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście, odprowadził go zdziwionym wzrokiem i z rozdziawionymi ustami. Kiedyś wrócę i cię zabiję, pomyślał Torgeir Langaas. W imię Jezusa, w imię całego świata chrześcijańskiego zmiażdżę ci twarz jednym ciosem. Krew, która wypłynie na chodnik, będzie jak czerwony dywan, po którym wstąpimy do raj.

Była dziesiąta. Torgeir wszedł do dworcowej kawiarni i zamówił śniadanie. Eryk powiedział, że tego dnia będzie panował spokój. Poleciał mu zaszyć się w jednej ze swoich kryjówek i czekać. Może Eryk wie, że noszę w sobie słabość, rozmyślał. Być może mnie przejrzał, ale postanowił

zaczekać i przekonać się, czy znajdę w sobie tyle siły, by zerwać tę nić łączącą mnie z poprzednim życiem?

Z dawnymi czasami łączyło Torgeira coś jeszcze. Odsunął tackę z jedzeniem i wyjął z kieszeni diamentową igłę. Wiązała się z nią historia, w którą nikt nie chciał wierzyć. Nikt, z wyjątkiem Eryka. Wysłuchał opowieści Torgeira i potem powiedział: „Ludzie umierają dla tych kosztownych kamieni. Poświęcają życie, próbując się do nich dokopać w kopalniach, a kiedy niczego nie znajdują, mordują innych, by odebrać im to, czego sami nie zdołali zdobyć. Pod wpływem diamentów ludzie stają się chciwi, fałszywi i źli. Padają ofiarą ich blasku, zupełnie nie rozumiejąc, że Bóg, stwarzając diamenty, chciał im pokazać, że hart ducha i piękno są nierozzerwalne”.

Torgeir dostał tę igłę od stryja Olufa Bessuma, który opowiedział mu bardzo dziwną, choć prawdziwą historię o tym, jak sam wszedł w jej posiadanie. Oluf Bessum twierdził, że przestał pić, kiedy skończył trzydzieści lat, uganiać się za kobietami, gdy dobił pięćdziesiątki, a kłamać, gdy stuknęła mu siedemdziesiątka. Miał czterdzieści osiem lat, kiedy opowiedział Torgeirowi o igle. Na początku lat trzydziestych, będąc młodzieńcem, Oluf pracował na kutrze do połowu wielorybów. Potem zszedł na ląd w Kapsztadzie i ruszył w drogę na północ. Czasem szedł pieszo, czasem podróżował pociągiem, okazją lub zaprzężonymi w konie wozami, aż dotarł do części Afryki, w której nie było dróg, tylko niekończące się, wielkie pustkowia. W Johannesburgu wpadł pod samochód należący do syndykatu spółek De Beers wydobywających diamenty. Właściwie było to prywatne auto Ernesta Oppenheimera, który kazał położyć Olufa w prywatnym szpitalu. Potem, podczas rekonwalescencji, Oluf gościł w jednej z wielkich posiadłości Oppenheimera. Gospodarz zainteresował się młodym norweskim wielorybnikiem i zaproponował mu

pracę w firmie. Mimo że Oluf chciał kontynuować podróż na północ, zdecydował się zostać na jakiś czas.

Pewnego dżdżystego i mglistego wrześnieowego poranka w 1933 roku, dwa miesiące po wypadku, Oluf pojechał z Ernestem Oppenheimerem na małe lotnisko pod Johannesburgiem, żeby pożegnać bratanka magnata, Michaela. Młodzieniec miał udać się do Rodezji Północnej na kontrolę kilku kopalni należących do rodziny. Samolot wystartował, zatoczył łuk nad lotniskiem i właśnie miał obrać kurs na północ, kiedy wydarzyła się katastrofa. Oluf nigdy do końca nie wiedział, czy jej przyczyną był gwałtowny podmuch wiatru, czy maszyna po prostu miała awarię. Samolot obniżył lot i po chwili runął na ziemię. Zarówno pilot, major Cochrane-Patric, jak i Michael zginęli na miejscu. Oluf szybko zrozumiał, jak wielka była to tragedia dla Oppenheimera – Michael był dla niego jak syn – postanowił więc dłużej nie kłopotać rodziny. Kiedy Ernest Oppenheimer usłyszał, że Oluf chce ruszyć w dalszą drogę, dał mu na pamiątkę tę właśnie diamentową igłę. Oluf natomiast, będąc już zacnym staruszkiem, podarował ją Torgeirowi. A on zawsze nosił ją przy sobie i do tego dnia nie mógł się nadziwić, że nie zginęła ani nie została skradziona, kiedy leżał w rynsztoku w Cleveland.

Zrobił igłą rysę na blacie stolika. Czuł, że nadszedł czas, by pozbyć się ostatnich kosztowności. Wyszedł z kawiarni. Rozejrzał się po dużej hali dworcowej. Pijany mężczyzna, któremu wcześniej dał banknot, spał na ławce. Torgeir podszedł do niego na palcach i wsunął mu igłę do kieszeni. Teraz pozostało mi już tylko uwolnienie się od ostatniej słabości, pomyślał. Bóg wszystko doskonale planuje. Pan i jego sługa Eryk nie są marzycielami. Eryk wytłumaczył mi przecież, że życie każdego człowieka, cały świat, absolutnie wszystko jest zaplanowane w najmniejszym szczególe. Dostałem w darze ten dzień, bym mógł się uwolnić od ostatniej słabości i zacząć się przygotowywać.

Sylvi Rasmussen przybyła do Danii na początku lat dziewięćdziesiątych na pokładzie łodzi, która zrzuciła ładunek w postaci nielegalnych imigrantów na zachodnim wybrzeżu Jutlandii. Miała za sobą długą i potwornie męczącą podróż z Bułgarii, gdzie się urodziła. Odbyła drogę ciężarówkami, na przyczepie ciągniętej przez traktor, nawet w kontenerze, w którym zaczynało się kończyć powietrze. Wtedy nie nazywała się Sylvi Rasmussen, ale Nina Barovska. Podróż ta wpędziła ją w długi, więc kiedy wreszcie dotarła na ponure wybrzeże Danii, czekało na nią dwóch mężczyzn. Zabrali ją do jakiegoś mieszkania w Aarhus, gdzie ją bili i gwałcili przez tydzień, a kiedy wreszcie udało im się ją złamać, przewieźli ją do Kopenhagi. Została zamknięta w pokoju i zmuszona do prostytucji. Po miesiącu próbowała uciec. Została złapana, a ku przestrodze mężczyźni obcięli jej małe palce u obu dłoni. Zagrozili, że jeśli ponownie spróbuje, spotka ją cięższa kara. Nie spróbowała. Aby przetrzymać piekło, w które została wtrącona, zaczęła brać narkotyki. Miała nadzieję, że nie przyjdzie jej długo żyć.

Pewnego dnia zjawił się u niej mężczyzna o nazwisku Torgeir Langaas. Po jakimś czasie wrócił i wkrótce został jednym z jej najwierniejszych klientów. Czasem usiłowała z nim nawet rozmawiać, wprowadzić w ich krótkie, żalosne spotkania jakiś ludzki akcent. On jednak tylko kręcił głową i mruczał coś niezrozumiale. Mimo że był dla niej miły i nie robił jej krzywdy po jego wyjściu często przechodziły ją dreszcze. Było w nim coś przerażającego, otaczała go jakaś mroczna aura, akurat jego, jej najgrzeczniejszego klienta. Jego wielkie dłonie dotykały jej ciała delikatnie, jak żadne inne, mimo to bała się tego mężczyzny.

Była jedenasta, kiedy zadzwonił do drzwi jej malutkiego mieszkania. Zawsze odwiedzał ją przed południem. Chcąc oszczędzić jej chwili grozy, przeblysku świadomości, że tego wrześniowego dnia przyjdzie jej umrzeć,

zaatakował ją od tyłu, w przedpokoju, kiedy prowadziła go do sypialni. Wielkimi dłońmi złapał ją za głowę, jedną rękę położył na czole, drugą na karku, i mocno przekręcił, łamiąc jej kark. Potem zdjął z niej ubranie i położył ciało na łóżku, starając się upozorować zabójstwo na tle seksualnym. Rozejrzył się po pokoju, myśląc, że Sylvi zasłużyła na lepszy los. W innych okolicznościach chętnie zabrałby ją ze sobą do raju, ale tu decydował Eryk. Dla niego było najważniejsze, żeby uczniowie nie ulegali słabościom. Torgeir pozbył się ostatniej pokusy. Kobieta nie żyła.

Opuścił mieszkanie ze świadomością, że jest już gotowy. Czekali na niego Eryk i Bóg.

Dziadek przedstawił kiedyś Lindzie portret uciążliwego człowieka. W gruncie rzeczy wszyscy ludzie byli dla niego męczący, ale na co dzień potrafił tolerować większość z nich. Nie umiał się jednak nauczyć radzić sobie z Największymi Upierdliwcami. W świecie dziadka Lindy byli to ci, którzy przychodzili do jego pracowni i komentowali jego obrazy. Niektórym wydawało się, że zdołają go zainspirować, jeśli zaproponują, by namalował słońce nieco wyżej nad horyzontem, bo w ten sposób pejzaż uzyska lepszą harmonię. Albo żeby domalował małego liska lub innego futrzaka na pierwszym planie, na przykład w lewym dolnym rogu obrazu. Zwierzak miał ukradkiem obserwować głuszca, królującego pośrodku, w promieniach zachodzącego słońca.

– Nie podnoszę słońc – odpowiadał dziadek za każdym razem, aż w końcu delikwent odpuszczał.

Nie silił się też na logiczną argumentację, Najwięksi Upierdliwcy i tak nie słuchali. Byli nadęci i zarozumiali, poza tym z jakiejś przyczyny żywili przekonanie, że powinien im być wdzięczny za ich durne pomysły.

– Mały lisek nie leży spokojnie i nie obserwuje głuszca. Mały lisek go zjada. A jeśli nie ma odwagi, ucieka – powtarzał.

Była jednak grupa ludzi, z których uwagami dziadek musiał się liczyć. Stali oni na samym szczycie listy Największych Upierdliwców. Byli to obwoźni handlarze. Wtaczali na podwórze swoje błyszczące amerykańskie przyczepy, kupowali jego obrazy za bezcen, a potem znikali, włączając się w wieczny krwiobieg szwedzkich targowisk i przemieszczając wraz ze zmieniającą się pogodą z południa na północ i z powrotem. Potrafili zapukać do drzwi jego pracowni i oznajmić, że w tym sezonie ich zdaniem

najlepiej będą się sprzedawały półnagie, byle nie za bardzo ani nie za mało, najlepiej w sam raz, panie o ciemnej karnacji. Innym razem upierali się, że poranne słońce zaprezentuje się w pejzażu lepiej niż słońce wieczorem. Często zdarzało się, że dziadek ponurym głosem zadawał pytanie:

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego w tym roku wschód słońca jest popularniejszy niż zachód?

Nie było odpowiedzi ani prób argumentacji, ważne były jedynie grube portfele tych ludzi. Jeśli więc nie załadowali przyczep pejzażami, obojętne, czy z głuszcem, czy bez głuszca, a potem nie wręczyli dziadkowi pliku banknotów odpowiedniej grubości, zagrożony był byt całej rodziny.

– Człowiek nigdy nie ucieknie przed Największymi Upierdliwcami – mawiał dziadek. – Są śliscy jak węgorze. Próbujesz je schwytać, przytrzymać, ale one cały czas wyslizgują się z rąk. Poza tym węgorze przemieszczają się wyłącznie w ciemności, co nie oznacza, że Upierdliwcy podróżują wyłącznie nocami. Wręcz przeciwnie. Potrafią zapukać do drzwi i zacząć wygłaszać idiotyczne komentarze już o świcie. Ich ciemność jest inna, mniej dosłowna. Oni noszą ją w sobie. Nie rozumieją, jak bardzo utrudniają innym życie, wtrącając się w to, czym ci inni się zajmują. Ja nigdy nie wtrącałem się w życie innych ludzi.

Ostatnie zdanie było chyba największym kłamstwem, jakie dziadek kiedykolwiek wypowiedział. Zmarł, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że ciągle, i to bardziej niż ktokolwiek, krytykował wybory i decyzje innych, ich marzenia i dokonania. I nie chodziło bynajmniej o domalowanie jakichś tam lisków czy podnoszenie słońc, ale bezustanne wtrącanie się w życie dzieci, żeby postępowały tak, jak on chciał.

Wspomnienie uciążliwych ludzi przyszło jej do głowy dokładnie w chwili, kiedy miała zadzwonić do drzwi Anny. Zamarła z palcem w odległości kilku centymetrów od dzwonka, mając przed oczami obraz dziadka

siedzącego z brudnym kubkiem po kawie w dłoni i opowiadającego jej o jakimś nieszczęsnym człowieku, który śmiał przekroczyć próg jego pracowni. Czy Anna jest uciążliwym człowiekiem?, pomyślała. Namieszała w moim życiu i sprawiła, że się o nią denerwowałam. To niepojęte, że ona wciąż nie zdaje sobie sprawy z tego, jak niepoważnie się zachowała.

W końcu nacisnęła dzwonek. Po chwili ujrzała Annę, uśmiechniętą, ubraną w białą bluzkę, ciemne spodnie, bosą. Tego dnia przyjaciółka spięła włosy w niedbały kok tuż nad karkiem.

Linda postanowiła nie czekać. Jeśli się wstrzyma, potem wszystko będzie jeszcze trudniejsze. Powiesiła kurtkę na oparciu krzesła i powiedziała:

– Muszę ci się przyznać, że czytałam twój pamiętnik. Szukałam w nim wyjaśnienia twojego zniknięcia.

Anna aż podskoczyła.

– A więc to mnie zaniepokoiło – powiedziała. – Poczułam jakiś obcy zapach bijący z kartek.

– Przepraszam cię, ale zrobiłam to, bo bardzo się o ciebie martwiłam. Przeczytałam tylko parę ostatnich stron, nic więcej.

Czasem kłamie się po to, żeby to, co nie do końca jest prawdą, zabrzmiało sensowniej, pomyślała. Od teraz ten pamiętnik zawsze już będzie stał między nami. Anna będzie zadawać sobie pytanie, co przeczytałam, a czego nie.

Weszły do salonu. Anna stanęła przy oknie, odwrócona plecami do Lindy.

W tej właśnie chwili Linda poczuła, że wcale jej nie zna. Dzieci znają się w szczególny sposób, rozmyślała. Nie zawierają żadnych układów, jak dorośli, po prostu polegają na sobie albo nie. Często dziecięca przyjaźń kończy się w brutalny sposób. Można stać się czyimś wrogiem tak samo szybko, jak przyjacielem. Linda zrozumiała, że przyjaźń, jaka łączyła ją



z Anną w dzieciństwie i kiedy były nastolatkami, nie ma żadnej przyszłości. Próba odbudowania domu na ruinach starego musiała zakończyć się fiaskiem. Nie znała Anny. Wpatrywała się w jej plecy jak w plecy wroga, który nagle pokazał swoją prawdziwą twarz.

Zdecydowała się rzucić jej symboliczną rękawicę:

– Musisz mi odpowiedzieć na jedno pytanie – powiedziała.

Anna nie odwróciła się. Linda czekała chwilę, ale przyjaciółka nadal stała bez ruchu.

– Nie znoszę mówić do pleców.

Anna wciąż tkwiła nieporuszona. Męczący człowiek, pomyślała Linda. Jak dziadek z nimi postępował? Nie próbował chwycić węgorza, ale ciskał go w ogień, a potem patrzył, jak się wiję i umiera w płomieniach. Upierdliwcy czasem przekraczają granicę, a wtedy już nie ma dla nich litości.

– Dlaczego zameldowałaś się w hotelu w Malmö pod moim nazwiskiem?

Próbowała wyczytać coś z pleców Anny, ocierając sobie pot z szyi. To moja zmora, pomyślała, kiedy odkryła tę swoją słabość podczas pierwszych tygodni w szkole policyjnej. Są policjanci, którzy ciągle się śmieją, inni często płaczą, a ja będę się pocić.

Nagle Anna wybuchnęła śmiechem i odwróciła się do niej. Linda bacznie jej się przyjrzała, starając się zgadnąć, czy przyjaciółka naprawdę się śmieje, czy tylko udaje.

– Jak się dowiedziałaś? – spytała.

– Zadzwoiłam i zapytałam.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– O co pytałaś?

– Chyba nietrudno odgadnąć.

– W zgadywaniu jesteś lepsza niż ja.

– Zapytałam o Annę Westin, czy jeszcze tam mieszka, czy już się wymeldowała. Nie było nikogo o nazwisku Westin, była natomiast jakaś pani Wallander. Dlaczego to zrobiłaś?

– A co powiesz, jeśli usłyszysz, że nie wiem, dlaczego podałam twoje nazwisko? Być może bałam się, że ojciec się spłoszy, jeśli się dowie, że zamieszkałam w hotelu, przez którego okno przypadkiem się zobaczyliśmy. Jeśli chcesz znać prawdę, proszę bardzo: nie mam pojęcia.

Nagle zadzwonił telefon. Anna nie zamierzała odebrać, odczekały więc chwilę, aż sygnał ucichnie i włączy się sekretarka. W pokoju rozległo się świergotanie Zebry. Dzwoniła bez żadnego poważnego powodu.

– Uwielbiam ludzi, którzy nigdy nie zawracają głowy, zawsze mają mnóstwo energii i są w doskonałym humorze – odezwała się Anna.

Linda milczała. Nie myślała w tej chwili o Zebrze.

– W twoim pamiętniku jest pewne nazwisko, Birgitta Medberg. Wiesz, co się z nią stało?

– Nie – odparła Anna.

– Nie czytałaś gazet?

– Szukałam ojca.

– Została zamordowana.

Anna przyjrzała się Lindzie uważnie.

– Dlaczego? – zapytała.

– Nie wiem.

– Po co mi o tym mówisz?

– Żebyś wiedziała. Ktoś ją zabił i jak na razie sprawa nie została wyjaśniona. Policja szuka sprawcy. Ojciec prosi, żebyś przyszła do niego jutro i powiedziała, skąd znałaś tę kobietę.

Anna pokręciła głową.

– Ale dlaczego to się stało? Kto chciałby ją skrzywdzić?

Linda postanowiła nie wyjawiać żadnych szczegółów dotyczących tej brutalnej zbrodni. Wspomniała tylko, gdzie znaleziono zwłoki. Reakcja Anny, jej zdziwienie, wydawały się prawdziwe.

– Kiedy to się stało? – zapytała.

– Kilka dni temu.

– Czy będę rozmawiać z twoim tatą?

– Być może, chociaż przy śledztwie pracuje wiele innych osób.

Anna znów pokręciła głową, odeszła od okna i usiadła w fotelu.

– Skąd ją znałaś? – spytała Linda.

Anna wyglądała na zirytowaną.

– Czy to jest przesłuchanie?

– Pytam z ciekawości.

– Jeździłyśmy razem konno. Nie pamiętam, kiedy się poznałyśmy. Ktoś miał dwa fiordingi i szukał kogoś, kto by na nich czasem pojeździł. Zgłosiłam się ja i ona. Nie mogę powiedzieć, że dobrze ją znałam, właściwie nie znałam jej wcale. Niewiele mówiła. Wiem, że zajmowała się odnajdywaniem starych szlaków pielgrzymkowych. Poza tym obie interesowałyśmy się motylami. Niedawno napisała do mnie list z propozycją, żebyśmy kupiły konia na spółkę. Nigdy na niego nie odpowiedziałam. To wszystko.

Linda starała się znaleźć w słowach Anny jakieś oznaki kłamstwa, nic jednak nie zabrzmiało niewiarygodnie. To i tak nie moje zadanie, pomyślała. Będę jeździła w patrolu i zgarniała pijaków, którzy nie mogą utrzymać się na nogach. Z Anną porozmawia ojciec, nie ja. Interesuje mnie wyłącznie motyl. Ściana wciąż świeci pustką.

Anna podążyła za wzrokiem Lindy i domyśliła się, o czym myśli jej przyjaciółka. Odpowiedziała, zanim Linda zdążyła zadać pytanie.

– Zabrałam motyla, żeby dać go ojcu w prezencie, kiedy wreszcie go spotkam. Ale gdy dotarło do mnie, że miałam jakieś omamy, wrzuciłam go

do kanału.

To może być prawda, analizowała w myślach Linda. Chyba że Anna kłamie tak gładko, że nie da się już odróżnić prawdy od kłamstwa.

Znów zadzwonił telefon. Tym razem automatyczna sekretarka nagrała wiadomość od Ann-Britt Höglund. Anna spojrzała na Lindę zdziwiona, ta zaś kiwnęła głową na znak, żeby przyjaciółka odebrała. Rozmowa była krótka, odpowiedzi Anny ograniczyły się do pomruków i jednosylabowych zwrotów. Po chwili odłożyła słuchawkę i spojrzała na Lindę.

– Chcą, żebym od razu przyjechała – oznajmiła.

Linda wstała.

– Więc będzie najlepiej, jeśli to zrobisz.

– Chcę, żebyś mi towarzyszyła.

– Dlaczego?

– Będę czuła się pewniej.

Linda zawahała się.

– Nie wiem, czy powinnam. Rozumiesz, to trochę dziwna sytuacja.

– Przecież nie jestem o nic podejrzana. Kobieta, która zadzwoniła, zaprosiła mnie na rozmowę, nic więcej. A ty jesteś moją przyjaciółką i na dodatek policjantką.

– No dobrze, pojedę z tobą. Ale nie jestem pewna, czy pozwolą mi być podczas rozmowy.

Kiedy dotarły na miejsce, Ann-Britt Höglund zeszła do recepcji po Annę. Obrzuciła Lindę nieprzyjaznym spojrzeniem. Pewnie jest jedną z tych kobiet, które wolą towarzystwo młodych chłopaków z kolczykiem w uchu i nowoczesnymi poglądami, pomyślała Linda. Po chwili zauważyła nie bez satysfakcji, że policjantka nieco przybrała na wadze. Niedługo się

zamienisz w kluskę, mruknęła pod nosem złośliwie. Zastanawiam się, co ojciec w tobie widział, kiedy parę lat temu tak koło ciebie skakał.

– Chcę, żeby Linda mi towarzyszyła – odezwała się Anna.

– Nie wiem, czy mogę się na to zgodzić – odparła Ann-Britt. – Dlaczego?

– Nalegam. Chcę, żeby Linda siedziała przy mnie.

Świetnie, pomyślała Linda. Tylko tego nam brakowało.

Ann-Britt wzruszyła ramionami i spojrzała na Lindę.

– Zapytaj ojca, czy się na to zgodzi. Wiesz, gdzie go szukać – powiedziała. – Drugie drzwi po lewej, mała sala konferencyjna.

Wpuściła je do korytarza, sama zaś udała się w przeciwnym kierunku.

– Tu będziesz pracować? – spytała Anna.

– Raczej nie – odparła Linda. – Na początek będę spędzać całe dni na przednim siedzeniu. Będę jeździć w patrolu.

Drzwi do salki, które wskazała im Ann-Britt Höglund, były uchylone. Zajrzawszy do środka, Linda zobaczyła ojca kiwającego się na krześle, z kubkiem kawy w dłoni. To krzesło zaraz się pod nim załamało, pomyślała. Czy wszyscy policjanci z czasem tak tyją? Jeśli tak, zanim mnie to spotka, zwolnię się z pracy. Otworzyła drzwi na oścież. Ojciec nie zdziwił się na jej widok. Podał Annie rękę na powitanie.

– Chcę, żeby Linda mi towarzyszyła – oznajmiła Anna.

– W porządku – mruknął Wallander, rzucając okiem na korytarz. – Gdzie jest Ann-Britt?

– Nie wydaje mi się, żeby chciała być przy tej rozmowie – odparła Linda, siadając u szczytu długiego stołu, jak najdalej od ojca.

Tego dnia Linda nauczyła się czegoś ważnego o pracy policjanta. Przyczynił się do tego zarówno jej ojciec, jak i Anna. Słuchała z podziwem, jak ojciec kieruje rozmowę dokładnie w tę stronę, na której mu zależało.

Nie naciskał na Annę, ale szedł jakby z boku, uważnie słuchał jej odpowiedzi i cały czas reagował na nie pozytywnie, nawet kiedy momentami Anna sama sobie przeczyła. Zdawał się w ogóle nie spieszyć, nie pozwalał jednak, aby rozmowa wymknęła się spod kontroli. Lindzie przyszło na myśl, że Anna jest jak węgorz, którego jej ojciec powoli, metodycznie prowadzi wzdłuż rękawa sieci, aż do wejścia, skąd nie będzie już mogła wydostać się na wolność.

Anna konsekwentnie kłamała. Linda i jej ojciec zauważyli to niemal od razu, mimo że Anna starała się zredukować swoje łgarstwa do minimum. Jeden jedyny raz, kiedy schyliła się po długopis, który spadł jej na ziemię, Linda i ojciec wymienili szybkie porozumiewawcze spojrzenia.

Już potem, kiedy było po wszystkim, Linda usiadła przy kuchennym stole w mieszkaniu przy Mariagatan i starała się spisać całą rozmowę. Ojciec miał przy sobie notatnik, w którym czasem coś zapisywał, choć większość odpowiedzi magazynował w pamięci. Kiedyś, przed paroma laty, zwierzył się, że początkowo, przez lenistwo i niedbałość, robił notatki jedynie wtedy, gdy było to naprawdę konieczne. Z czasem weszło mu to w nawyk i nauczył się notować wyłącznie hasła, które później pomagały mu wszystko dokładnie odtworzyć. Dotyczyło to oczywiście rozmów nieformalnych, a nie przesłuchań, które nagrywano, starannie podając czas rozpoczęcia i zakończenia rozmowy.

Linda próbowała sobie przypomnieć, co powiedziała Anna. Po chwili zaczęła zapełniać kartki linijkami dialogu:

KW: Dziękuję, że przyszłaś. Cieszę się, że nic ci się nie stało. Linda bardzo się o ciebie niepokoiła. Ja też.

AW: Zdawało mi się, że zobaczyłam kogoś na ulicy w Malmö. Chyba nie muszę wyjaśniać, o kogo chodzi.

KW: Nie, nie musisz. Napijesz się czegoś?

AW: Poproszę o sok.

KW: Nie mamy soku. Mogę zaproponować kawę, herbatę lub wodę.

AW: W takim razie dziękuję.

Metodycznie, powoli, jakby nigdzie mu się nie spieszyło, pomyślała Linda, notując.

KW: Czy wiesz coś na temat tego, co spotkało Birgittę Medberg?

AW: Linda mi powiedziała, że została zamordowana. To straszne. Zupełnie niepojęte. Wiem też, że znaleźliście jej nazwisko w moim pamiętniku.

KW: Nie znaleźliśmy, bo niczego tam nie szukaliśmy. Linda trafiła na nie przypadkiem, próbując zrozumieć, dlaczego zniknęłaś.

AW: Nie lubię, kiedy ktoś czyta mój pamiętnik.

KW: To zrozumiałe. Tak czy inaczej, jest w nim nazwisko Birgitty Medberg. Czy tak?

AW: Tak.

KW: Staramy się odtworzyć sieć jej kontaktów i dotrzeć do ludzi z jej otoczenia. Rozmowy podobne do tej, którą teraz odbywamy, moi koledzy przeprowadzają równolegle z innymi osobami.

AW: Jeździłyśmy razem konno. Fiordingi należą do mężczyzny o nazwisku Jörlander. Ma gospodarstwo nieopodal Charlottenlund. Kiedyś był żonglerem, ale teraz cierpi na reumatyzm i nie może jeździć konno. Objeżdżaliśmy jego konie za niego.

KW: Kiedy poznałaś Birgittę Medberg?

AW: Siedem lat i trzy miesiące temu.

KW: Skąd pamiętasz to tak dokładnie?

AW: Zastanowiłam się i przypomniałam sobie. Wiedziałam, że będziecie mnie o to pytać.

KW: Jak się poznałyście?

AW: W siodle, że się tak wyrażę. Ona dowiedziała się skądś, że Jörlander potrzebuje pomocy przy koniach, ja usłyszałam o tym od kogoś

innego. Jeździłyśmy trzy razy w tygodniu, czasem dwa. Rozmawiałyśmy prawie wyłącznie o koniach.

KW: Nie spotykałyście się przy innych okazjach?

AW: Szczerze mówiąc, uważałam ją za trochę nudną. Poza tym, że interesowała się motylami.

KW: A konkretnie?

AW: Kiedyś jechałyśmy obok siebie i w trakcie rozmowy wyszło, że ona pasjonuje się motylami. Miałyśmy przynajmniej jeden ciekawy temat do rozmowy.

KW: Czy kiedykolwiek wspominała, że się czegoś boi?

AW: Nie wyglądała na taką, która czegokolwiek się boi, nie bała się nawet przejeżdżać konno przez ruchliwą szosę.

KW: A poza tym?

AW: Niczego takiego sobie nie przypominam.

KW: Czy widziałaś ją kiedyś w towarzystwie kogoś innego?

AW: Nie, zawsze przyjeżdżała sama na swoim starym skuterze.

KW: A zatem nie kontaktowałyście się poza jazdą konną?

AW: Nie, chociaż jeden raz napisała do mnie list.

W tym miejscu głos Anny lekko zadrżał, przypomniała sobie Linda. Prawie niezauważalnie, jak niewyczuwalne trzęsienie ziemi. Najwyraźniej ukrywa coś, co dotyczy jej znajomości z Birgittą Medberg. Ale co to może być? Linda przypomniała sobie widok z leśnego szałas i nagle poczuła, że znów oblewa się potem.

KW: Kiedy ostatnim razem się z nią widziałaś?

AW: Dwa tygodnie temu.

KW: W jakich okolicznościach?

AW: Na litość boską! Jeździłyśmy konno! Ile razy mam to powtarzać?

KW: Chcę tylko mieć całkowitą pewność, że wszystko się zgadza. Co się działo, kiedy byłaś w Malmö i szukałaś swojego ojca?



AW: Nie rozumiem.

KW: Kto jeździł na twoim koniu, a kto na koniu Birgitty Medberg?

AW: Jörlander ma poza nami jeszcze jakichś innych ludzi, w większości są to małe dziewczynki, o które się trochę boi, że może im się coś stać. Widocznie poprosił o pomoc jedną z nich. Niech sam wam powie.

KW: Poprosimy go o to. Czy podczas waszego ostatniego spotkania zachowywała się jakoś dziwnie, inaczej niż miała w zwyczaju?

AW: Kto? Jedna z tych dziewczynek?

KW: Birgitta Medberg, o niej rozmawiamy.

AW: Była taka jak zawsze.

KW: Czy pamiętasz, o czym rozmawialiście?

AW: Mówiłam już, że nie rozmawialiśmy wiele. O koniach, pogodzie, motylach, o niczym więcej.

Dokładnie w tej chwili, przypomniła sobie Linda, ojciec poprawił się na krześle. Zrobił to niespodziewanie. Był to jakiś psychologiczny manewr, mający na celu ostrzec Annę, żeby nie była taka pewna, że siedzący naprzeciwko niej policjant jest całkiem tępy.

KW: W twoim pamiętniku jest jeszcze jedno nazwisko. Vigsten. I adres: Nedergade, Kopenhaga.

Anna spojrzała na Lindę zdziwiona, że nie wspomniała jej o tym drugim nazwisku. Jej oczy nagle się zwężyły. No i po przyjaźni, pomyślała Linda. O ile to, co próbowałyśmy odbudować na zgliszczach, miało kiedykolwiek szansę się udać.

AW: Najwyraźniej ktoś wyczytał z mojego pamiętnika więcej, niż przypuszczałam.

KW: To nie zmienia faktu, że zanotowałaś w nim właśnie to nazwisko. Vigsten.

AW: I co z tego? Dlaczego to takie ważne?

KW: Nie wiem, czy to ważne.

AW: Czy to ma coś wspólnego z Birgittą Medberg?

KW: Być może.

AW: Vigsten to nauczyciel gry na fortepianie. Kiedyś u niego byłam i potem zapisałam jego nazwisko.

KW: Czy to wszystko?

AW: Tak.

KW: Czy pamiętasz, kiedy u niego byłaś?

AW: Jesienią 1997 roku.

KW: Tylko ten jeden raz?

AW: Tak.

KW: Czy mogę spytać, dlaczego już więcej do niego nie poszłaś?

AW: Źle mi szło.

KW: Czy on tak powiedział?

AW: Sama to powiedziałam. Nie do niego, ale do siebie.

KW: Lekcje pianina w Kopenhadze to spory wydatek. Dojazdy i cała reszta...

AW: Wszystko zależy od tego, na co chce się wydawać pieniądze.

KW: Masz zostać lekarką, czy tak?

AW: Tak.

KW: Jak ci idzie?

AW: A o co konkretnie chodzi?

KW: O studia.

AW: Raz lepiej, raz gorzej.

Nagle ojciec zmienił taktykę. Pochylił się lekko w stronę Anny i mimo że nadal zachowywał się przyjaźnie, zmienił nieco ton i odezwał się bardziej zdecydowanie:

KW: Birgitta Medberg została zamordowana w lesie, nieopodal zamku Rannesholm, w wyjątkowo brutalny sposób. Ktoś odrąbał jej dłonie i głowę. Czy przychodzi ci do głowy, kto mógłby to zrobić?

AW: Nie.

Anna była ciągle całkiem spokojna, pomyślała Linda. Chyba trochę za bardzo. Taki spokój można zachować tylko wtedy, kiedy się wie, co nastąpi za chwilę. Linda poczuła, że trochę się zapędziła, więc odegnała tę myśl. Taki wniosek jest oczywiście możliwy, uznała jednak, że wyciągnęła go zbyt pochopnie.

KW: Czy domyślasz się, dlaczego ktoś jej to zrobił?

AW: Nie.

Wtedy ojciec nieoczekiwanie zakończył spotkanie, uderzając dłońmi o stół.

KW: To wszystko. Dziękuję, że przysłaś. Ta rozmowa bardzo nam pomogła.

AW: Przecież nie powiedziałam wam nic nowego.

KW: Nie mów tak. Jeszcze raz dziękuję, że przysłaś. Być może znowu się do ciebie zgłosimy.

Odprowadził je do recepcji.

Linda zauważyła, że Anna jest spięta. Pewnie zastanawiała się, czy nie powiedziała za dużo. Odtwarzała sobie w głowie przebieg całej rozmowy. Ciekawe, co z tego wyniknie.

Odsunęła notatnik i rozprostowała plecy. Potem sięgnęła po komórkę i zadzwoniła do ojca.

– Nie mam czasu rozmawiać – usłyszała w słuchawce. – Chyba czegoś się dziś nauczyłaś.

– Zdecydowanie. Myślę, że trochę kłamała.

– Musimy wyjść z założenia, że nie powiedziała nam całej prawdy. Ciekawe dlaczego. Wiesz, co sobie myślę?

– Co?

– Myślę, że ten jej ojciec naprawdę wrócił. Pogadamy wieczorem.

Kurt Wallander przyszedł do domu po dziewiętnastej. Linda przygotowała kolację. Ledwie usiedli do stołu i ojciec zaczął wyjaśniać, dlaczego przypuszcza, że ojciec Anny wrócił, zadzwonił telefon.

Kiedy odłożył słuchawkę, Linda wiedziała już, że coś się stało.

Umówili się na parkingu w połowie drogi między Malmö a Ystad. Kiedyś, jeszcze w czasach szkolnych, Eryk przeczytał pewien wiersz, z którego zapamiętał tylko dwa słowa: przebrany Bóg. Zapadły mu w pamięć i pewnego dnia, podczas jednego z ostatnich lat spędzonych w Cleveland, kiedy zaczęło do niego docierać, jakie zadanie wyznaczył mu Pan, przypomniał sobie te słowa i podjął decyzję, jaką obierze drogę. Ci, którzy zostali wybrani, którzy byli bogami, musieli przebrać się za ludzi. Eryk Westin wpoił te dwa słowa tym, których wybrał na swoich uczniów i wojowników. „W tej świętej wojnie jesteśmy narzędziem w ręku Boga – powtarzał. – Przez cały czas musimy pozostać w ludzkim przebraniu”. Między innymi z tego powodu wybrał parking na miejsce spotkania. Również takie zwyczajne miejsce mogło zamienić się w świątynię dla tych, którzy chcieli ją tutaj zobaczyć. Ciepłe wrześnie powietrze unoszące się nad ziemią było jak potężne filary podpierające niebo – wielką błękitną kopułę.

Umówił się z nimi o trzeciej po południu. Mieli mieć na sobie zwykłe ubrania, jakby wybierali się na wycieczkę lub jakieś zorganizowane zwiedzanie. Mieli nadejść z różnych stron i na miejscu spotkania otrzymać instrukcje od Eryka, u którego boku przez cały czas stał Torgeir Langaas.

Eryk spędził ostatnie tygodnie w przyczepie, na kempingu w Höör. Wcześniej pozbył się mieszkania wynajmowanego w Helsingborgu. Używaną przyczepę kupił po korzystnej cenie w Svedala, a potem zaciągnął ją swoim starym volvo na kemping. Nie licząc spotkań z Torgeirem oraz zadań, jakie mieli do wypełnienia, prawie nie wychodził z przyczepy. Spędzał czas na modlitwie i przygotowaniach. Każdego ranka spoglądał na

swoje odbicie w małym lusterku, które służyło mu do golenia, i zadawał sobie pytanie, czy patrzą na niego oczy szaleńca. Nikt nie może okrzyknąć się prorokiem, rozmyślał, jeśli pokora nie jest decydującą częścią jego duchowej konstrukcji. Siła oznacza odwagę zadawania sobie najtrudniejszych pytań. Mimo że nigdy nie wątpił w to, że Bóg powierzył mu wielkie zadanie, uważał za konieczne, by stale się upewniać, że nie zgubi go własna pycha. Lecz oczy, które każdego ranka spoglądały na niego z lusterka, wyrażały jedynie pewność, że jest tym, za kogo się uważa. Wybrany przez Boga przywódcą. W wyznaczonym dla niego zadaniu nie było śladu szaleństwa, zostało ono dokładnie opisane w Biblii. Chrześcijaństwo ugrzęzło w bagnie obojętności, tak wycieńczając tym Boga, że potrafił już jedynie czekać, aż wreszcie znajdzie się ktoś, kto odważy się zostać Jego narzędziem i sprawi, że wszystko się zmieni.

Eryk Westin, przesiadując w przyczepie, dużo rozmyślał o Bogu. Doszedł do wniosku, że Pan jest istotą logicznie myślącą, wielkim matematykiem, pozostającym poza granicami wszystkiego, co wyobrażalne. Jest tylko jeden Bóg – tak każdą modlitwę rozpoczynał Eryk. – Jest tylko jeden Bóg i Jego syn, którego pozwoliliśmy ukrzyżować. W tym krzyżu cała nasza nadzieja. Wykonano go ze zwykłego drewna, nie ze złota ni drogocennych marmurów. Prawda tkwi w prostocie i w biedzie. Pustkę, którą w sobie nosimy, może wypełnić jedynie święta moc Pana, nigdy dobra materialne czy kosztowności, jakkolwiek by nas wabiły swoim zdradliwym blaskiem.

Ostatnie tygodnie były okresem oczekiwania, zbierania sił oraz skupienia. Każdego dnia Eryk odbywał długie rozmowy z Bogiem, podczas których utwierdził się w przekonaniu, że wybrał właściwy czas, by powrócić. Ludzie, których kiedyś porzucił, jeszcze o nim nie zapomnieli. Wciąż przecież istniał, a oni w końcu zrozumieli, dlaczego zniknął i po co teraz powrócił. Postanowił, że kiedy wreszcie będzie po wszystkim, usunie

się w cień i zacznie tam, gdzie skończył – będzie wytwarzał sandały, z córką u boku. Wszystko wróci na swoje miejsce.

Rozmyślał też wiele o Jimie Jonesie, mężczyźnie, który go zdradził, fałszywym proroku, który okazał się nikim innym, jak upadłym aniołem. Eryk wciąż jeszcze potrafił wpaść w furję na wspomnienie długich lat, jakie spędził tuż przy nim jako członek jego wspólnoty. Wspominał wędrówkę z USA do dżungli w Gujanie, pierwsze szczęśliwe dni, a potem przerażenie i potworne rozczarowanie, kiedy Jim kazał wszystkim odebrać sobie życie, a tych, którzy nie chcieli tego zrobić, sam zabił. W jego modlitwach zawsze znalazło się miejsce dla tych, którzy wtedy zginęli. Wiedział, że pewnego dnia zostaną wyzwoleni od całego zła, jakiego dokonał Jim Jones, i wstąpią do najwyższego wymiaru, gdzie czeka na nich raj oraz Bóg.

Kemping mieścił się nad jeziorem. Każdego dnia Eryk chodził dokoła niego. Wokół pachniało mchem i wilgotną zielenią. Czasem widywał łabędzie, powoli sunące na drugi brzeg. Wszystkie ofiary są po to, żeby stworzyć kolejne życie, rozmyślał. Życie i śmierć zawsze szły ze sobą w parze, dlatego właśnie on przywrócił dawne ceremonie ofiarne, jakie przeprowadzano w początkach chrześcijaństwa. Bóg myśli logicznie, jest mądry. Uśmiercanie, by pozwolić żyć, jest ważną częścią drogi, u której celu miała zniknąć pustka wypełniająca człowieka.

Pewnej nocy, kiedy nad jeziorem przetaczała się burza, Eryk Westin leżał bezsennie w przyczepie i rozmyślał o wszystkich bezbożnych religiach, jakie powstały w ciągu długiego okresu towarzyszącego rozkładowi chrześcijaństwa. Było ono jak statek, który powoli nabiera wody. Tonący okręt. Wszystkie bluźniercze religie były jak bandy piratów. Żydzi, muzułmanie, wszyscy ci, którzy wgryzali się w serca, każąc ludziom wierzyć w nieistniejących proroków i przeczyli istnieniu prawdziwego Boga.

Eryk wiedział już, że nadszedł właściwy moment. Bóg objawił mu się pod postacią płomieni trawiących skrzydła łabędzi, oczy bydłęcia i wszystkich drobnych zwierzątek, które zginęły, uwolnione ze swoich klatek. Ogień zapłonął. Nadszedł czas.

Rankiem, tego dnia, kiedy mieli spotkać się na parkingu, Eryk Westin wszedł do ciemnej wody jeziora, która zachowała jeszcze resztki letniego ciepła. Dokładnie się umył, skrócił paznokcie, ogolił zarost. Na leżącym na odludziu kempingu był całkiem sam. Odebrawszy telefon od Torgeira, cisnął aparat do wody. Potem ubrał się, zaniósł Biblię i pieniądze do auta i wyjechał na drogę. Zostało mu do zrobienia jeszcze jedno. Podпалиł przyczepę i dopiero wtedy ruszył dalej.

Było ich w sumie dwadzieścia sześcioro. Pochodzili z różnych krajów, ale wszyscy mieli wytatuowany na piersi krzyż, tuż przy sercu. Nie licząc Eryka Westina i Torgeira Langaasa, na parkingu zjawilo się siedemnastu mężczyzn i dziewięć kobiet. Mężczyźni pochodzili z Ugandy, Francji, Anglii, Hiszpanii, Węgier, Grecji, Włoch i USA. Wśród kobiet były Amerykanki, Kanadyjka oraz Brytyjka, która długo mieszkała w Danii i nauczyła się mówić po duńsku. W grupie nie było żadnego małżeństwa, żadne z nich nigdy wcześniej się nie spotkało. Eryk nawiązywał kontakty, rozpuszczając święte wici – jak mawiał. Kanadyjkę Allison poznał dzięki Torgeirowi. Allison kiedyś napisała artykuł o swojej tęsknocie za głęboką wiarą. Pismo, w którym został on wydrukowany, przypadkiem wpadło w ręce Torgeira, jeszcze przed jego upadkiem. Było w tym tekście coś, co poruszyło w nim jakąś strunę. Wyrwał kartkę i zawsze miał ją przy sobie. Natomiast Alisson, kiedy została już uczennicą Eryka, zaproponowała kontakt z mężczyzną z Maryland w USA.

Utworzenie świętego jądra chrześcijańskiej armii, którą Eryk zamierzał powołać do walki, zajęło mu cztery lata. Podróżował i spotykał się



z każdym z tych ludzi nie raz, ale po kilka razy, a potem z uwagą śledził ich rozwój. Czasem przychodziło mu na myśl, że być może nauczył się czegoś cennego od Jima Jonesa – sztuki czytania w ludziach, wyczuwania w nich wątpliwości, nawet jeśli bardzo się starali, by ich nie okazać. Eryk Westin dobrze wiedział, kiedy kandydat na ucznia przekroczył ostateczną granicę, odrzucił całe swoje dotychczasowe życie i osiągnął gotowość do wykonania zadania.

Tego dnia wszyscy spotkali się po raz pierwszy. Lekko mżyło. Eryk zaparkował na niewielkim pagórku naprzeciwko parkingu, skąd mógł przez lornetkę, obserwować powoli schodzących się na umówione miejsce uczniów. Na parkingu był Torgeir, który witał ich w jego imieniu. Tylko on wiedział, gdzie jest Eryk. Przekonał go, że atmosfera tajemniczości dodatkowo wzmocni w grupie uczniów przekonanie o świętości zadania, jakie ich czeka. Eryk obserwował więc parking z oddali. Uczestnicy spotkania stopniowo docierali na miejsce, jedni pieszo, inni samochodami, kilka osób rowerami, ktoś na motocyklu, a pozostali wyłonili się z pobliskiego lasu, jakby wcześniej rozbili tam obóz. Każdy miał przy sobie jedynie niewielki plecak. Eryk stwierdził z zadowoleniem, że pod tym względem wszyscy podporządkowali się jego poleceniom. Prosił ich, by nie zabierali zbyt wielu rzeczy, aby nie zwracać na siebie uwagi. Jego armia była grupą przebranych bogów, których nikt nie miał prawa rozpoznać.

Skierował lornetkę na twarz Torgeira Langaasa. Jego pierwszy uczeń opierał się o stojącą na parkingu tablicę informacyjną. Bez niego nic by mi się nie udało, pomyślał Eryk. Gdybym się na niego nie natknął na tamtej brudnej ulicy w Cleveland i nie zdołał zmienić ludzkiego wraka w oddanego ucznia, moja armia nie byłaby jeszcze gotowa do wymarszu. Tego ranka Torgeir zadzwonił do niego z informacją, że zakończył wszystkie przygotowania. Mieli odryglować niewidzialne wrota i ruszyć w drogę, gotowi do pierwszej bitwy.

W końcu Torgeir Langaas odwrócił twarz w jego stronę i dał Erykowi ustalony wcześniej znak, dwukrotnie przesuając palcem wskazującym po nosie. Wszystko było gotowe. Eryk schował lornetkę i ruszył w stronę parkingu. Miał do pokonania wgłębienie terenu, dzięki któremu zgromadzeni mogli go dostrzec dopiero wtedy, kiedy znalazł się już na drodze. Mieli wrażenie, że przyszedł do nich znikąd. Gdy go ujrzeli, wszyscy zamarli. Nikt nie odezwał się ani słowem. Tak ustalono.

Torgeir Langaas przyjechał na miejsce ciężarówką z przyczepą zakrytą plandeką. Przybyli załadowali na nią rowery i motocykl, a potem wszyscy weszli na pakę, zostawiwszy swoje samochody na parkingu. Prowadził Eryk, na fotelu pasażera zasiadł Torgeir. Skręcili w prawo, kierując się w stronę wybrzeża Mossby. Dotarwszy na miejsce, wszyscy wysiedli z ciężarówki i zeszli nad wodę. Torgeir niósł dwa kosze z jedzeniem. Uczestnicy spotkania usiedli na piasku bardzo blisko siebie. Z drogi wyglądali jak wycieczkowicze, którym jest trochę zimno.

Zanim zaczęli jeść, Eryk wypowiedział poprzedzające posiłek słowa.

– Bóg domaga się naszej obecności, Bóg żąda walki.

Rozpakowali kosze i zabrali się do jedzenia. Kiedy skończyli, zgodnie z poleceniem Eryka położyli się, żeby odpocząć. Tymczasem Eryk i Torgeir odeszli od grupy, nad samą wodę, by po raz ostatni przeanalizować to, co miało nastąpić. Patrzyli, jak ogromna chmura przesłania słońce.

– Niebawem nastaną węgorzowe ciemności, na których nam zależało – odezwał się Torgeir Langaas.

– Będzie tak, jak chcemy, ponieważ racja jest po naszej stronie – odparł Eryk Westin.

Czekali na plaży do zmroku, a potem znów wsiedli do ciężarówki. Było wpół do ósmej, kiedy Eryk skręcił w drogę wiodącą na wschód, do Ystad. Tuż przed Svarte odbił na północ, przeciął szosę łączącą Ystad i Malmö

i zmierzał dalej, drogą omijającą zamek Rannesholm od zachodu. Dwa kilometry przed Hurup skręcił w polną drogę, zgasił silnik i wyłączył światła. Torgeir wysiadł z ciężarówki. Eryk natomiast obserwował w bocznym lusterku dwóch młodych Amerykanów, byłego fryzjera Pietera Buchanana z New Jersey oraz drobnego przedsiębiorcę Edisona Lamberta z Des Moines, którzy zeskoczyli z przyczepy.

Eryk poczuł, jak przyspiesza mu puls. Czy coś może nam się nie powieść, pomyślał, ale natychmiast pożałował tego cichego pytania. Nie jestem głupcem, zapewnił sam siebie. Ufam Bogu, który kieruje każdym moim działaniem.

Włączył silnik i wrócił na drogę. Po chwili ciężarówkę wyprzedził motocykl, a zaraz po nim drugi. Eryk jechał dalej na północ, rzucając okiem na kościół w Hurup, do którego zmierzali Torgeir i obaj Amerykanie. Pięć kilometrów na północ od Hurup Eryk odbił w lewo, w stronę Staffanstorp. Po dziesięciu minutach jazdy znowu skręcił i zaparkował za zrujnowaną stodołą jakiegoś opuszczonego gospodarstwa. Wysiadł i polecił reszcie, żeby zeskoczyła z przyczepy.

Spojrzał na zegarek. Jak dotąd wszystko przebiegało zgodnie z planem. Szli powoli, żeby nikt się nie potknął i nie został w tyle. Niektórzy uczestnicy tajnego zadania nie byli już młodzi, jeden z nich był chory, a Brytyjka pół roku wcześniej przeszła operację usunięcia nowotworu. Eryk długo zastanawiał się, czy powinien ją zabrać. Zapytał Boga i usłyszał odpowiedź, że kobieta po to przeżyła operację, by móc uczestniczyć w tej misji. W końcu zbliżyli się do ścieżki wiodącej na tyły kościoła we Frennestad. Eryk pomacał kieszeń, upewniając się, że ma klucz do drzwi. Stanęli pod murem. Nikt się nie odzywał, Eryk słyszał tylko oddechy otaczających go ludzi. Są spokojni, pomyślał. Wszyscy oddychają spokojnie, nikt nie sapie, nikt nie jest zdenerwowany. Nawet ta, która niebawem ma umrzeć.

Znów sprawdził godzinę. Za czterdzieści trzy minuty Torgeir, Muchanan i Lambert mieli podpalić kościół w Hurup. Eryk dał grupie znak, że ruszają. Furtka w murze otaczającym świątynię poruszyła się bezszelestnie. Torgeir zaledwie dzień wcześniej naoliwił zawiasy. Szli gęsiego między pograżonymi w mroku nagrobkami. Eryk otworzył drzwi. W kościele było bardzo zimno. Włączył latarkę o przytłumionym świetle. Wszyscy, zgodnie z nakazem Eryka, usiedli w pierwszych ławkach. Ostatnia instrukcja, jaką im rozesłał, zawierała sto dwadzieścia trzy punkty, których każdy musiał nauczyć się na pamięć. Eryk nie miał najmniejszych wątpliwości, że wszyscy to zrobili.

Zapalił świece, które Torgeir ustawił przy ołtarzu, a potem omiół snopem światła twarze zebranych. Z brzegu od prawej, tuż przy kamiennej chrzcielnicy, siedziała Harriet Bolson, Amerykanka z Tulsy. Eryk nieco dłużej oświetlił jej twarz. Kobieta była całkiem spokojna. Nieznane są ścieżki Pana, pomyślał. Ale tylko dla tych, którzy nie chcą zrozumieć. Znów rzucił okiem na zegarek. Musiał pilnować czasu, bo najważniejszą częścią ceremonii była synchronizacja zdarzeń: pożaru kościoła w Hurup i tego, co miało nastąpić przed ołtarzem w tym miejscu. Ponownie spojrzał na Harriet Bolson, na jej wychudzoną, zapadniętą twarz, mimo że kobieta miała dopiero trzydzieści lat. Naznaczył ją grzech, którego się dopuściła, stwierdził w myślach. Tylko ogień jest w stanie ją oczyścić. Wyłączył latarkę i niemal po omacku obszedł filar z amboną, zmierzając w stronę ołtarza. Z plecaka wyjął linę, którą Torgeir kupił w jakimś portowym sklepie w Kopenhadze. Położył ją na ołtarzu, po czym raz jeszcze sprawdził godzinę. Wreszcie, zwróciwszy się twarzą do zebranych, dał znak, żeby wszyscy wstali. Potem kolejno przywoływał do siebie każdego z uczestników ceremonii. Pierwszemu dał jeden koniec liny.

– Jesteśmy nierozzerwalnie ze sobą złączeni – przemówił. – Od dziś, od tego wieczora, już nigdy nie będziemy potrzebowali żadnego sznura.

Połączy nas wierność Bogu i oddanie naszemu zadaniu. Nie możemy dłużej tolerować tego, że nasz świat, chrześcijański świat, pogrąża się coraz głębiej i tonie w bagnie poniżenia. Świat oczyści się w ogniu. Musimy zacząć od nas samych.

Wypowiadając ostatnie słowa, Eryk dyskretnie się przesunął i stanął naprzeciwko Harriet Bolson. Kiedy zaczął owijać jej linę wokół szyi, kobieta zrozumiała, co zaraz się stanie. Poczowała, że paraliżuje ją strach. Nie krzyczała jednak, nie protestowała. Zamknęła oczy. Dla Eryka Westina właśnie dobiegły końca długie lata oczekiwania.

Kościół w Hurup zapłonął kwadrans po dziewiątej. Kiedy samochody straży pożarnej wyruszyły w drogę, w płomieniach stanął również kościół we Frennestad. Tymczasem Eryk zdążył już odebrać Torgeira i Amerykanów. Torgeir prowadził, jadąc w stronę wcześniej przygotowanej kryjówki.

Eryk Westin został sam w ciemności. Wyszedł na pagórek leżący nieopodal kościoła we Frennestad. Stamtąd obserwował, jak straż pożarna bezskutecznie próbuje opanować płomienie. Był ciekaw, czy policja zdąży wejść do środka, zanim zawali się dach.

Patrząc na pożar, cieszył się na myśl, że jego córka wkrótce do niego dołączy.

Tamtej nocy doszczętnie spłonęły dwa skańskie kościoły. O świcie zostały z nich jedynie dymiące zgliszcza. Zawaliła się dzwonnica kościoła w Hurup. Pobliscy mieszkańcy twierdzili, że spadające dzwony wydały taki dźwięk, jakby błagały o litość. Oba kościoły znajdowały się obrębie trójkąta, który tworzyły miasteczka Staffanstorp, Anderstorp oraz Ystad.

Problemem dla policji były jednak nie tylko te dwa podpalenia. Kościelny mieszkający obok świątyni we Frennestad, który jako pierwszy wdarł się do płonącego budynku, żeby ratować drogocenne średniowieczne naczynia liturgiczne, dokonał makabrycznego odkrycia. Od tamtej pory miało go stale prześladować. Przed ołtarzem leżała trzydziestoletnia kobieta. Ktoś udusił ją grubą liną, zawiązaną wokół szyi tak mocno, że pętla niemal oderwała jej głowę. Kościelny wybiegł z nawy z krzykiem i zemdlał na schodach.

Parę minut później na miejsce dotarła jednostka straży pożarnej. Samochód właściwie zmierzał do Hurup, by pomóc interweniującym tam strażakom, ale po drodze odebrał drugie zgłoszenie. Nikt nie rozumiał, co się wydarzyło. Strażacy podejrzewali, że pierwsze zgłoszenie było fałszywe, bo czy to możliwe, żeby jednocześnie płonęły dwa różne kościoły? Dowódca przybyłej jednostki, Mats Olsson, natknąwszy się na leżącego na schodach kościelnego, wszedł do środka, by sprawdzić, czy nie ma tam jeszcze kogoś. Ponieważ był rozsądnym i doświadczonym człowiekiem, podjął decyzję, za którą później policja miała mu podziękować. Pierwszym naturalnym odruchem byłoby wyniesienie ciała, zanim kościół doszczętnie spłonie. Mats Olsson jednak wiedział, że kobieta musiała zostać zamordowana i technicy kryminalistyczni będą chcieli

przyjrzeć się miejscu zdarzenia. Nie wykluczał, że sprawcą mógł być leżący na zewnątrz człowiek, który powoli zaczął dochodzić do siebie.

Przez pierwsze kilka minut po otrzymaniu zawiadomienia w komendzie policji w Ystad panował chaos. Kurt Wallander poderwał się od kuchennego stołu w swoim mieszkaniu przy Mariagatan, pewien, że musi natychmiast pojechać do Hurup, bo przed ołtarzem leży tam jakaś martwa kobieta. Ponieważ do kolacji pił wino, zażądał, by ktoś po niego przyjechał. Gdy tylko wyszedł z kamienicy, ostro zahamował przy nim radiowóz.

Właśnie wyjeżdżali z Ystad, kiedy zadzwonił telefon. Przekazano im, że zaszła pomyłka. Kościół w Hurup płonie, natomiast martwa kobieta leży w także płonącym kościele we Frennestad. Martinsson, który prowadził samochód, ryknął na dyspozytora, żeby łaskawie wyjaśnił, ile właściwie kościołów się pali.

Kurt Wallander zachował spokój i nie odzywał się przez całą drogę. Nie dlatego, że Martinsson, jak zawsze zresztą, jechał wyjątkowo kiepsko. Rozmyślał o tym, czego już wcześniej się najbardziej obawiał: podejrzewał, że zabójstwa zwierząt są jedynie wstępem do czegoś znacznie gorszego. Szaleńcy, sataniści, sadyści, wyliczał w myślach. Nie był jednak pewien, czy obrał właściwy trop. Jadąc przez pogrążoną w ciemnościach okolicę, powoli utwierdzał się w przekonaniu, że ostatnim wydarzeniom towarzyszy jakaś logika, która na razie nie daje się dostrzec.

Kiedy zahamowali pod płonącym kościołem we Frennestad, zdążyli już się dowiedzieć, dlaczego wszczęto dwa alarmy. Niemal jednocześnie zapłonęły dwa różne kościoły. Poza tym przed ołtarzem w jednym z nich leżała martwa kobieta. Przywitali się z Matsem Olssonem, który okazał się jakimś dalekim krewnym Martinssona. Kurt zdziwił się, słysząc, że spokrewnieni ze sobą mężczyźni w tym wielkim zamieszaniu i gorącu buchającym od płonącego budynku przekazują pozdrowienia dla swoich

żon. W końcu weszli do środka. Zawsze, kiedy szli badać miejsce zdarzenia, Martinsson puszczał Wallandera przodem. Na posadzce, tuż przed ołtarzem, leżała kobieta z liną zaciśniętą na szyi. Kurt rozejrzał się wkoło, starając się szerzej spojrzeć na to miejsce. Coś mu podpowiadało, że śmierć kobiety została w jakiś szczególny sposób zainscenizowana. Odwrócił się do stojącego za nimi Olssona.

– Jak długo możemy tu bezpiecznie przebywać? – spytał.

– Nie uda nam się uratować dachu. Zawali się.

– Kiedy?

– Wkrótce.

– Ile mamy czasu?

– Dziesięć minut, nie więcej. Nie pozwolę wam tu dłużej zostać.

Wallander zrozumiał, że technicy nie zdążą dojechać na miejsce. Usiadł na kasku, który mu właśnie ktoś podał.

– Wyjdź na zewnątrz i zobacz, czy nie kręci się tam jakiś ciekawski z aparatem albo kamerą – zwrócił się do Martinssona. – Jeśli tak, skonfiskuj mu sprzęt i przynieś. Musimy to wszystko udokumentować.

Martinsson wybiegł na zewnątrz, tymczasem Wallander dokładnie przyjrzał się martwej kobiecie. Sznur był gruby, wyglądał jak lina do cumowania łódek, zaciskał się ciasną pętlą wokół jej szyi. Jego końce sterczały w przeciwnych kierunkach. Musiały to zrobić dwie osoby, pomyślał. Każda ciągnęła w swoją stronę, zupełnie jak kiedyś konie, w średniowieczu wykorzystywane do rozrywania ludzi.

Wallander spojrział na sufit, który już lizały płomienie. Wszędzie biegali ludzie i wynosili drogocenne przedmioty. Jakiś staruszek w piżamie szarpał się z jednym z elementów ołtarza, chcąc go najwyraźniej oderwać. Jest coś poruszającego w takich chwilach, pomyślał Wallander. Wzruszający jest widok ludzi starających się za wszelką cenę uratować coś, na czym im zależy.



Po chwili wrócił Martinsson, niosąc kamerę wideo.

– Rozumiesz, o co tu chodzi? – zwrócił się do niego Wallander.

– Tak mi się wydaje.

– A więc będziesz operatorem kamery. Postaraj się, żeby film był wyraźny i zawierał jak najwięcej szczegółów. Sfilmuj ją z różnych stron.

– Macie jeszcze pięć minut – odezwał się Olsson. – Ani chwili dłużej.

Wallander kucnął przy martwej kobiecie. Była blondynką i w jakiś sposób przypominała mu jego siostrę Krystynę. To wygląda na egzekucję, pomyślał. Do tej pory płonęły zwierzęta, teraz giną ludzie w płonących kościołach. Co takiego powiedziała ta Amy Lindberg? Bóg tego chce?

Szybko przeszukał kieszenie w spodniach uduszonej, ale niczego w nich nie znalazł. Rozejrzał się, nie zauważając też żadnej torebki. Już miał wstać, kiedy nagle na piersi kobiety dostrzegł kieszeń w bluzie. Była w niej kartka papieru z ręcznie zapisanym nazwiskiem i adresem. „Harriet Bolson, 5th Avenue, Tulsa.”

Wallander wstał.

– Czas minął – krzyknął Mats Olsson. – Wychodzimy.

Kazał opuścić kościół wszystkim, którzy jeszcze kręcili się w środku. Policjanci wynieśli martwą kobietę, Wallander zaś osobiście zajął się zabezpieczeniem liny. Przedmioty ocalone ze świątyni zgromadzono poza obrębem policyjnej taśmy. Obok sterty stała starsza kobieta z dużym świecznikiem w dłoni. Wokół zebrało się sporo ludzi, niektórzy płakali, wciąż przychodzili nowi.

Martinsson zadzwonił do Ystad.

– Znajdźcie mi wszystko na temat niejakiej Harriet Bolson z Tulsy w USA – rzucił do telefonu. – Szukajcie we wszystkich rejestrach, europejskich i międzynarodowych. To w tej chwili wasze najpilniejsze zadanie.

Linda nerwowo wyłączyła telewizor, sięgnęła po zapasowe kluczyki do auta, które ojciec trzymał na półce z książkami, i pobiegła na parking komendy policji.

Samochód stał w rogu placu, od razu rozpoznała ten, który był zaparkowany obok. Należał do Ann-Britt Höglund. Odruchowo wymacała w kieszeni scyzoryk. Ale tego wieczoru nie miała zamiaru przecinać niczyich opon. Hurup, powiedział ojciec, zanim odłożył słuchawkę i wybiegł. Hurup i Frennestad. Linda wsiadła do auta i wyjechała z parkingu. Zatrzymała się przy wieży ciśnień, nie mogąc znaleźć mapy w schowku. Wiedziała, gdzie leży Frennestad, nie miała jednak pojęcia, gdzie jest Hurup. Wreszcie znalazła miasteczko na mapie, zgasiła światło pod sufitem i ruszyła. W połowie drogi do Hörby skręciła w lewo i już po paru kilometrach zobaczyła płonący kościół w Hurup. Zaparkowała tak blisko, jak mogła, i podeszła do ludzi obserwujących akcję straży pożarnej. Rozejrzała się, ale nigdzie nie mogła znaleźć ojca. Na miejscu kręcili się jacyś policjanci, których nie znała. Jeśli pożar wybuchłby parę dni później, sama by pilnowała, żeby ludzie nie podchodzili zbyt blisko. Podeszła do jednego z funkcjonariuszy, przedstawiła się i zapytała, gdzie jest jej ojciec.

– Pali się jeszcze jeden kościół – wyjaśnił mężczyzna. – We Frennestad. I mają tam jakąś ofiarę.

– Czy wiadomo, jak to się stało?

– Zakładamy, że w obu przypadkach ogień został podłożony. To przecież niemożliwe, żeby tak po prostu zapaliły się dwa kościoły. Nie wiem, jak wygląda sprawa we Frennestad, powiedziano nam tylko, że zginęła tam jakaś kobieta.

Linda podziękowała i wróciła do samochodu. Już miała usiąść za kierownicą, kiedy z tyłu rozległ się potworny hałas. Podskoczyła i obróciła się, żeby zobaczyć, co się stało. Zawaliła się część dachu kościoła. W górę buchnął wielki kłęb iskier. Kto podpala kościoły, pomyślała. Nie nasunęła

jej się żadna odpowiedź, podobnie jak na analogiczne pytanie dotyczące sklepów zoologicznych.

Włączyła silnik i ruszyła w kierunku Frennestad. Również tam ujrzała płonący kościół w oddali. Myślałam, że taki widok można zobaczyć tylko na wojnie, szepnęła pod nosem. Miała jednak przed sobą kościół w płomieniach, mimo że znajdował się w spokojnej okolicy i na dodatek była leniwa końcówka lata. A może wytoczył nam wojnę jakiś niewidzialny wróg? Szybko odegnała tę nedorzeczną myśl.

Droga wiodąca do kościoła była zablokowana byle jak zaparkowanymi samochodami. Wsiadła więc i ruszyła pieszo w stronę pożaru. Zatrzymała się, gdy tylko ujrzała ojca. Rozmawiał ze strażakiem. Linda wyteżyła wzrok, żeby dostrzec, co ojciec trzyma w ręce. Wąż strażacki? Podeszła bliżej, przepychając się przez grupkę gapiów. Wtedy dopiero zauważyła, że ojciec ma w dłoni sznur. Bardzo gruby, właściwie linę lub cumę.

Tuż obok Lindy stał jakiś mężczyzna i gorączkowo mówił coś do telefonu. Przysunęła się, żeby lepiej słyszeć. Zdawał komuś relację z wydarzeń pod płonącym kościołem. Nastawiła uszu, kiedy zaczął mówić o martwej kobiecie, którą policja znalazła w środku. „Jakaś kobieta, chyba z Trosey, ale nie wiem, czy dobrze słyszałem. Dlaczego z Trosey? A skąd mam to wiedzieć? Ktoś podsłuchał, jak jeden z policjantów dzwonił i kazał komuś się wszystkiego o niej dowiedzieć. Jakaś Harriet z Trosey”. W tym momencie rozmowa dobiegła końca.

– Czy ktoś tam zginął? – spytała Linda.

Dobrze wiedziała, że są tylko dwie sytuacje, w których Szwed gotów jest nawiązać kontakt z nieznanymi. Pierwsza to paraliz śnieżny w wielkim mieście, a druga to jakiś poważny wypadek.

– Znaleźli tam martwą kobietę. Leżała przed ołtarzem – odparł mężczyzna.

– Z Trosey?

– Tak słyszałem, ale mogę się mylić. W każdym razie jeśli ktoś leży martwy na podłodze w kościele w środku nocy, z pewnością został zamordowany. Ale równie dobrze mogło to być samobójstwo. W dzisiejszych czasach ludziom coraz częściej odbija.

Linda poczuła się nagle jak hiena, jak żądny sensacji podglądacz, napawający się cudzym nieszczęściem.

Wreszcie na miejsce pożaru dotarł Nyberg, rozdrażniony jak zawsze. Mimo jego humorów, zarówno Wallander, jak i Martinsson mieli dużo szacunku dla pracy kolegi. Nyberg wkrótce miał odejść na emeryturę. Bali się więc, przede wszystkim obawiał się tego Martinsson, że nie znajdą godnego następcy. Mało kto bowiem miał podobne kwalifikacje i był tak cierpliwy.

– Pomyślałem, że będziecie chcieli to zobaczyć – odezwał się, wyciągając dłoń w ich stronę.

Trzymał w niej jakiś nieduży wisiołek. Wallander sięgnął do kieszeni po okulary. Już miał je nałożyć na nos, kiedy oderwał się jeden zausznik. Przeklął głośno, przytrzymując szkła jedną ręką.

– To wygląda jak but – stwierdził. – Wisiołek w kształcie buta.

– Ofiara miała to na szyi – wyjaśnił Nyberg. – Zakładam, że tak było, a kiedy zaciśnięto jej pętlę na szyi, zerwał się łańcuszek. Wisiołek był w jej bluzce. Patolog go znalazł.

Martinsson wziął go do ręki i odwrócił się do światła bijącego od płonącego kościoła.

– Dziwne to. Wisiołek w kształcie buta? – powiedział.

– Może to odcisk stopy – wtrącił Nyberg – albo podeszwa? Kiedyś widziałem wisiołek w kształcie marchewki. Na dodatek miał diamentową nać. Biżuteria może wyglądać przeróżnie. Tamta marchewka kosztowała czterysta tysięcy koron.

– Może nam pomóc w identyfikacji – odezwał się Kurt Wallander. – To najpilniejsza rzecz, jaką mamy teraz do zrobienia.

Nyberg oddalił się w stronę muru otaczającego cmentarz i od razu zaczął krzyczeć na ciekawskiego mężczyznę robiącego zdjęcia płonącego kościoła. Kurt Wallander i Martinsson podeszli do policyjnej taśmy.

Spostrzegli Lindę i kiwnęli na nią.

– No tak, oczywiście nie mogłaś usiedzieć w domu – odezwał się do niej ojciec. – Ale skoro już jesteś, to chodź z nami.

– Jak wam idzie? Macie coś? – spytała.

– Nie wiemy, czego szukać – odparł ojciec powoli. – Jedno jest pewne: żaden z tych kościołów nie podpalił się sam.

– Szukamy informacji o tej martwej kobiecie, Harriet Bolson – wtrącił Martinsson. – Jak tylko nasi ludzie się czegoś dowiedzą, dadzą mi znać.

– Próbuję połapać się w całym tym przedstawieniu z liną – powiedział Wallander. – Poza tym skąd w szwedzkim kościele wzięła się jakaś Amerykanka? Co to wszystko oznacza?

– Tej nocy musiały tu przyjść co najmniej trzy osoby, chociaż prawdopodobnie było ich więcej – mówił dalej Martinsson.

Wallander uciszył go gestem.

– Dlaczego więcej niż trzy? Nie wystarczy ofiara i dwóch zabójców?

– Być może, ale to nie jest pewne. Dlatego powiedziałem, że było ich co najmniej troje. Jednak równie dobrze mogło ich być więcej, niewykluczone, że dużo więcej. Są tylko dwa klucze do tego kościoła. Jeden na plebanii, a drugi u kościelnego, który znalazł ciało i zemdlał na schodach. Oba są na swoim miejscu. Zatem ten, kto się tu włamał, miał bardzo dobry wytrych albo klucz zapasowy. Może to jakieś stowarzyszenie, jakaś sekta, która wybrała to miejsce na egzekucję Harriet Bolson. Może ona czymś się im naraziła albo została złożona w ofierze? Ciekawe, czy mamy do czynienia

z satanistami, czy jakąś inną bandą pomyleńców. Na razie nic więcej nie wiemy.

– Jest coś jeszcze – wtrącił Wallander. – Karteczka z jej nazwiskiem i adresem, którą znaleźliśmy w kieszeni. Dlaczego miała przy sobie tylko to?

– Może zabójcy chcieli, żebyśmy ją od razu zidentyfikowali? Zostawili nam wiadomość.

– Musimy potwierdzić jej tożsamość – odparł Wallander. – Jeśli się okaże, że odwiedziła dentystę w naszym kraju, wtedy jest szansa, że się czegoś dowiemy.

– Robimy, co możemy – odparł Martinsson.

Wallander wyczuł, że uraził kolegę.

– Nie popędzam cię. Jak im tam idzie?

– Na razie niczego nie znaleźli.

– Ale wiedzą, że to w tej chwili najpilniejsze?

– Poprosiłem nawet Sztokholm o pomoc. Mają tam ponoć jakiegoś strasznie upierdliwego faceta, który potrafi się wszystkiego dowiedzieć.

– Jak się nazywa?

– Nie słyszałeś o Tobiasie Hjalmarssonie?

– Być może. Mam nadzieję, że gość okaże się wyjątkowo upierdliwy.

– Też na to liczę. No i jeszcze ten but. Kto nosi wisiołek w kształcie buta?

Martinsson odszedł, kręcąc głową.

Linda wstrzymała oddech.

– Co on powiedział? – spytała. – Co takiego znaleźliście?

– Karteczkę z imieniem i nazwiskiem ofiary oraz jej adresem.

– Nie, to drugie.

– Wisiołek.

– Czy coś przypomina?

– Wygląda jak podeszwa albo odcisk stopy.

– Martinsson powiedział coś innego.

– But. Dlaczego pytasz?

Linda nie odpowiedziała.

– Jaki to rodzaj buta?

– Chyba sandał.

Co jakiś czas, kiedy mocniej powiewał wiatr, rozbłyśki światła były jaśniejsze. Wokół tańczyły cienie.

– Przypomniało mi się, że ojciec Anny wytwarzał sandały, zanim zniknął. Może to ważne?

Minęła chwila, zanim Wallander pojął słowa Lindy. Powoli pokiwał głową.

– To dobrze – powiedział. – Bardzo dobrze. To może być punkt zaczepienia, którego nam tak potrzeba. Jestem ciekaw, dokąd ten trop nas zaprowadzi.

Kurt Wallander próbował skłonić Lindę, żeby pojechała do domu i położyła się spać. Ona jednak wolała mu towarzyszyć. Po jakimś czasie wsiadła do radiowozu i przespała kilka godzin na tylnym siedzeniu. Obudziła się o świcie, kiedy ojciec zapukał w szybę. Że też on nigdy nie potrafił się nauczyć budzić mnie delikatniej, pomyślała. Zawsze mocno puka albo szarpie mnie za ramię. Właściwie mnie nie budzi, tylko brutalnie wyrywa ze snu.

Kiedy wysiadła z auta, zaczęła drżeć z zimna. Poranek był bardzo chłodny. Spojrzała na resztki mgły nad polami. Kościół całkiem spłonął, zostały tylko osmalone fragmenty murów. Znad zapadniętego dachu wciąż unosił się dym. Wokół nadal stało sporo ludzi. Wszyscy milczeli, przyglądając się spalonej świątyni. Linda zauważyła starszego mężczyznę, który chodził wśród nagrobków i wycierał je z sadzy. Przypuszczała, że obraz ten już na zawsze wryje się jej w pamięć. Większość wozów strażackich zniknęła, na miejscu pozostała tylko niewielka jednostka, która kończyła dogaszanie ognia. Martinssona nie było, za to pojawił się Stefan Lindman. Podeszedł do Lindy i podał jej tekturowy kubek z kawą. Wallander stał za taśmą i rozmawiał z jakimś dziennikarzem.

– Nigdy nie mieszkałem w miejscu, w którym krajobraz wygląda tak jak tutaj – powiedział Lindman. – W moich rodzinnych stronach jest zupełnie inaczej. Tutaj Szwecja się kończy, powoli opada do morza i znika. Poza tym wszędzie ta glina, no i mgły. To dziwne okolice. Próbuję znaleźć sobie miejsce w krajobrazie, który jest mi całkiem obcy.

Mgła to mgła, a glina to glina, o co mu chodzi?, pomyślała Linda.

– Jak wam idzie z tą martwą kobietą? – spytała.



– Czekamy na wiadomość ze Stanów. Jesteśmy prawie pewni, że nie miała szwedzkiego obywatelstwa.

– Czy macie powody, by podejrzewać, że jest kimś innym niż ta, której nazwisko i adres były zapisane na kartce w kieszeni?

– Nie. Pomyśl, że zabójca zostawia w kieszeni fałszywe nazwisko ofiary, raczej nie mieści się w głowie.

Podszedł do nich Wallander, który skończył rozmowę z dziennikarzem.

– Rozmawiałem z Lisą Holgersson – powiedział. – Pomyślałem, że skoro i tak od początku towarzyszysz temu śledztwu, równie dobrze możesz się w nie zaangażować. Będę czuł się tak, jakby podskakiwała koło mnie jakaś piłeczka.

Linda poczuła, że musi się odgryźć.

– Ja przynajmniej dam radę podskakiwać – rzuciła.

Lindman wybuchnął śmiechem. Ojciec zaczerwienił się ze złości, zdołał się jednak opanować.

– Zastanów się, czy chcesz mieć dzieci – mruknął. – Będą dla ciebie tak samo wredne, jak ty dla mnie.

Nagle wszyscy troje spojrzeli na nadjeżdżający samochód. Auto zatrzymało się i wysiadł z niego Nyberg.

– Proszę, proszę – odezwał się Wallander z uśmiechem. – Oto świeżo wykąpany Nyberg, gotowy, by zacząć piękny nowy dzień. Niedługo odejdzie na emeryturę. Założę się, że umrze, jeśli zabronią mu kopania w ziemi, najlepiej po kolana w błocie.

– Wygląda zupełnie jak pies – szepnął Stefan. – Przyszło ci to kiedyś na myśl? Popatrz tylko, jak węszy. Mam wrażenie, że najchętniej poruszałby się na czworakach.

Linda uznała, że Stefan ma rację. Nyberg naprawdę wyglądał i poruszał się jak jakiś zwierz.

Kiedy Nyberg do nich podszedł, poczuli mocny zapach wody kolońskiej. Technik zdawał się nie zauważać Lindy. Wallander i Lindman mruknęli coś na powitanie i wymienili z nim kilka słów o pogodzie.

– Mamy nadzieję wkrótce się dowiedzieć, co było przyczyną pożaru. Mats Olsson powiedział, że oba kościoły najprawdopodobniej podpalono w wielu miejscach na raz. Kościelny, który wszedł do tego tutaj budynku pierwszy, twierdzi, że płomienie były uformowane w pierścień. To potwierdza teorię Olsona.

– Niczego nie znalazłem – odezwał się Nyberg. – Ale to oczywiste, że ktoś podpalił budynek.

– Jest między tymi dwoma miejscami różnica – kontynuował Wallander. – Pożar w Hurup wywołały jakieś eksplozje. Mieszkający nieopodal mężczyzna powiedział, że obudził go huk, jakby wybuchła bomba. Kościoły podpalono na różne sposoby, ale w tym samym czasie.

– Schemat jest prosty – odezwał się Lindman. – Ktoś podłożył ogień w drugim kościele, żeby odciągnąć naszą uwagę od tego zabójstwa.

– Ale dlaczego wybrali kościoły? – zapytał Wallander. – I dlaczego udusili tę nieszczęsną kobietę grubą liną? Co ty o tym myślisz? – zwrócił się niespodziewanie do Lindy.

Ta zaczerwieniła się, zaskoczona. Nie była przygotowana na jakiegokolwiek pytania.

– Myślę, że zabójca wybrał kościół, bo chciał, żeby to był kościół – odparła niepewnie. – Duszenie kogoś liną to prawdziwa tortura, ale zarazem musi to mieć jakiś związek z religią. Z powodów religijnych odcina się ludziom dłonie, kamieniuje ich, grzebie żywcem. Dlaczego nie dorzucić do tego duszenia liną?

Zanim ktokolwiek zdążył skomentować jej słowa, zadzwoniła komórka Lindmana. Odebrał, posłuchał chwilę, po czym przekazał słuchawkę Wallanderowi.

– Zaczęły spływać informacje ze Stanów – powiedział Kurt po wysłuchaniu wiadomości.

– Będę wam tam potrzebny? – spytał Nyberg.

– W razie czego, zadzwonię do ciebie – odparł Wallander, a potem zwrócił się do Lindy. – Pojedziesz z nami. O ile nie wolisz pojechać do domu, żeby trochę się przespać.

– Myślę, że znasz odpowiedź – odparła Linda.

Ojciec obrzucił ją baczny spojrzeniem.

– Pytam z troski – bąknął.

– Traktuj mnie jak policjantkę, nie jak córkę.

Jechali, nic nie mówiąc, częściowo z niewyspania, częściowo, by niepotrzebnym gadaniem nie denerwować się nawzajem.

Kiedy dotarli na komendę policji w Ystad, Kurt Wallander od razu udał się do prokuratora. Stefan Lindman dogonił Lindę przy drzwiach.

– Pamiętam mój pierwszy dzień w pracy – powiedział. – To było w Borås. Wieczór wcześniej ostro zabalowałem z kolegami, więc kiedy tylko przyszedłem na posterunek, od razu poleciałem do toalety, żeby wymiotować. Co ty zamierzasz zrobić?

– Na pewno nie to, co ty – odpowiedziała ze śmiechem.

W recepcji natknęli się na Ann-Britt Höglund, która i tym razem nie przywitała się z córką Wallandera. Linda postanowiła więc, że od tego momentu będzie koleżankę ojca traktować tak samo.

Recepcjonistka przekazała Lindzie wiadomość, że Lisa Holgersson chciała z nią rozmawiać.

– Myślisz, że zrobiłam coś nie tak? – zapytała Stefana.

– Skąd – odparł i poszedł w swoją stronę.

Lubię go, pomyślała. Z dnia na dzień coraz bardziej.

Lisa Holgersson właśnie miała wyjść z gabinetu, kiedy pojawiła się Linda.

– Kurt już pewnie ci wszystko powiedział – oznajmiła Lisa. – Chcę, żebyś włączyła się do pracy przy tym śledztwie. To doprawdy niezwykły zbieg okoliczności, że twoja przyjaciółka jest w to zaplątana.

– Nie wiemy tego na pewno – odparła Linda. – Może się tak okazać, ale na razie tego jeszcze nie wiemy.

O dziewiątej grupa policjantów zamknęła się w sali konferencyjnej. Linda zajęła miejsce, które wskazał jej ojciec, u boku Stefana. Przyglądała się Kurtowi, stojącemu u szczytu stołu i popijającemu wodę z butelki. Przyszło jej na myśl, że właśnie takim na zawsze go zapamięta. Sam u szczytu stołu, wiecznie coś popijający, z rozczochranymi włosami, gotowy do rozpoczęcia kolejnego dnia pracy nad jakimś skomplikowanym śledztwem. Wiedziała zarazem, że obraz ten jest nieco wyidealizowany, a zatem fałszywy. Potrząsnęła głową, próbując przestać myśleć o ojcu.

Zawsze uważała go za świetnego policjanta i zdolnego śledczego, ale w tej chwili, kiedy zasiadła z nim do pracy przy jednym stole, zrozumiała, że ojciec trzyma w kapeluszu wiele królików, których ona zupełnie nie zna. Zaimponowała jej nie tylko jego umiejętność zapamiętywania masy informacji, na dodatek we właściwym porządku. Słuchając go, zaczynała rozumieć, dlaczego nigdy nie miał czasu dla niej i Mony. Po prostu nie wystarczało mu już dla nich miejsca w głowie. Muszę z nim o tym porozmawiać, postanowiła. Kiedy zamkniemy to śledztwo i dowiemy się, kto stoi za tymi potwornościami, zadam mu pytanie, dlaczego wybrał pracę, a nie mamę i mnie.

Kiedy dwugodzinne zebranie dobiegło końca, Linda została w sali. Otworzyła okno i zaczęła analizować powiedziane przed chwilą słowa. Ojciec, napiwszy się wody, podsumował wszystko, co do tej pory udało im się ustalić.

Zginęły dwie kobiety. Zostały zamordowane i od nich wszystko się zaczyna. Być może to przedwczesny wniosek, ale musimy przyjąć, że za oboma zabójstwami stoi jeden sprawca lub ci sami sprawcy. Jak dotąd nie udało nam się znaleźć żadnego związku między ofiarami ani żadnego motywu, brakuje nawet podobieństw. Birgitta Medberg została zabita w szałasie, w wąwozie, w lesie Rannesholm. Drugą ofiarą jest prawdopodobnie Amerykanka, uduszona grubą liną w płonącym kościele. Potencjalne podobieństwa obu przypadków są na tyle niewielkie, że właściwie nie możemy ich nazwać podobieństwami. Poza tym zbrodniom być może towarzyszy seria innych wydarzeń. Dlatego jest tu z nami Linda.

Powoli, metodycznie, jakby wytyczając wszystkie zmysły naraz, Kurt przemierzał teren naznaczony takimi zdarzeniami, jak podpalanie łabędzi i odrąbywanie dłoni. Mówił bez przerwy przez godzinę i dwanaście minut, nie robił żadnych dygresji, aż w końcu wyciągnął wniosek.

Nie mamy pojęcia, co tak naprawdę się stało. Za zabójstwem obu kobiet, spalonymi zwierzętami i kościołami kryje się coś, do czego na razie nie potrafimy dotrzeć. Nie jesteśmy nawet w stanie określić, czy to, czego byliśmy świadkami, to koniec czy dopiero początek.

Dokładnie po tych trzech słowach: *czy dopiero początek*, minęła godzina i dwanaście minut, pomyślała Linda. Do tej pory ojciec stał. Po tych słowach, usiadł.

– Wciąż czekamy na informacje dotyczące niejkiej Harriet Bolson – dodał. – Zanim do nas dotrą, oddaję wam głos. Pozwólcie mi tylko dorzucić jeszcze jeden komentarz. Jest w tych wszystkich aktach przemocy coś, co się powtarza. Wydaje mi się, że palenie zwierząt to nie efekt działania

jakiegoś sadysty, który poczuł, że musi się wyżyć, ale jakaś forma ofiary. Wyczuwam w tym logikę szaleńca. Mamy odrąbane dłonie Birgitty Medberg, a obok nich Biblię, w której ktoś zrobił jakieś notatki. Kilkanaście godzin temu znaleziono ofiarę rytualnego mordu w kościele. Mamy informację, że mężczyzna, który prawdopodobnie podpalił sklep zoologiczny, zawołał „Bóg tego chce” lub coś podobnego. Wszystko wskazuje na jakieś religijne przesłanie. Być może to sekta, a może po prostu grupa szaleńców, ale osobiście w to wątpię. W tych brutalnych działaniach wyraźnie widać, że stoi za nimi, że się tak wyrażę, *administracja*. Podejrzewam, że to nie tylko jedna osoba. Może dwie, a może tysiąc? Dlatego chciałbym, żebyśmy dali sobie czas na otwartą dyskusję, zanim wrócimy do pracy. Jestem zdania, że zrobimy duży krok naprzód, jeśli teraz na moment się zatrzymamy.

Do dyskusji jednak nie doszło. Nagle otworzyły się drzwi sali i do środka zajrzała dziewczyna, która oznajmiła, że przysłano faks z USA z informacjami na temat Harriet Bolson. Martinson wyszedł i po chwili wrócił z plikiem kartek. Na wierzchu widniał niewyraźny portret kobiety. Kurt Wallander przytknął złamane okulary do oczu i pokiwał głową na znak, że to ona. Udużona kobieta, znaleziona w płonącym kościele, rzeczywiście okazała się Harriet Bolson.

– Mój angielski nie jest wystarczająco dobry – zakomunikował Martinsson, przekazując papiery Ann-Britt Höglund, która zaczęła czytać.

Linda miała ze sobą notes, więc od razu przystąpiła do notowania, choć właściwie nie wiedziała, po co. Została włączona do pracy nad śledztwem, ale na razie nie czuła się w nie zaangażowana. Domyślała się, że ojciec ma dla niej jakieś zadanie, o którym wkrótce jej powie.

Ann-Britt głośno oznajmiła, że amerykańska policja wykonała kawał dobrej roboty. Być może nie było to wcale takie trudne, z uwagi na fakt, że Harriet Bolson, a właściwie Harriet Jane Bolson, bo tak się naprawdę

nazywała, od 12 stycznia 1997 roku figurowała w tamtejszym policyjnym rejestrze jako *missing person*. Zaginięcie zgłosiła policji w Tulsie jej siostra. Gdy Mary Jane, siostra ofiary, przez dzień bezskutecznie próbowała się z nią skontaktować, wsiadła wreszcie w samochód i przejechała trzysta kilometrów do Tulsy, żeby sprawdzić, co dzieje się z Harriet, na co dzień pracującą jako bibliotekarka oraz sekretarka u prywatnego kolekcjonera dzieł sztuki. Dotarłszy na miejsce, zastała puste mieszkanie siostry. Harriet od kilku dni nie pokazywała się również w pracy. Zupełnie jakby wyparowała. Zarówno Mary Jane, jak i wszyscy przyjaciele zaginionej opisywali ją jako osobę sympatyczną, sumienną i obowiązkową, bez nałogów ani żadnych ciemnych stron charakteru, które mogłyby tłumaczyć jej nagłe zniknięcie. Policja w Tulsie zajęła się sprawą jak trzeba i wszczęła poszukiwania. Jednak przez cztery lata niczego nie udało im się ustalić. Harriet nie zostawiła po sobie śladów, nie dawała żadnych oznak życia, po prostu rozplynęła się w powietrzu.

– Jeden z tamtejszych funkcjonariuszy, niejaki Clark Richardson, czeka z niecierpliwością na potwierdzenie, czy nasza ofiara to rzeczywiście Harriet Jane Bolson. Chce też, żebyśmy go na bieżąco informowali.

– Możemy mu to od razu potwierdzić – odezwał się Wallander. – To na sto procent ona. Naprawdę nie mieli tam żadnej teorii, dlaczego zniknęła?

Ann-Britt ponownie przejrzała kartki.

– Była niezamężna – powiedziała. – Kiedy zaginęła, skończyła dwadzieścia sześć lat. Ona i jej siostra są córkami pastora w kościele metodystów w Cleveland w Ohio. Opisują go tu jako *wybitnego*. Wygląda na to, że miały szczęśliwe dzieciństwo, zbytnio nie zbaczały z drogi, studiowały na różnych uniwersytetach, Harriet po studiach znalazła dobrze płatną pracę u kolekcjonera. Żyła skromnie, codziennie chodziła do pracy i do kościoła w każdą niedzielę.

Ann-Britt zamilkła.

– To wszystko? – spytał Kurt, wyraźnie rozczarowany.

– To wszystko.

Pokręcił głową.

– Musimy mieć więcej – powiedział. – Potrzebujemy dodatkowych informacji. To będzie twoje zadanie – zwrócił się do Ann-Britt. – Niech ten Clark Richardson jeszcze bardziej się postara. Daj mu do zrozumienia, że to, nad czym tu pracujemy, jest obecnie najważniejszym śledztwem w całej Szwecji. Kto wie, być może do prawda – mruknął.

Dopiero w tej chwili rozpoczęła się otwarta dyskusja. Linda słuchała w napięciu. Po trzydziestu minutach jej ojciec zastukał długopisem w blat i zakończył zebranie. Wszyscy wyszli z pokoju, została tylko Linda i Kurt.

– Chcę, żebyś wyświadczyła mi przysługę – powiedział. – Porozmawiaj z Anną, spędź z nią trochę czasu, ale nie zadawaj jej żadnych pytań. Spróbuj wy badać, skąd nazwisko Birgitty Medberg wzięło się w jej pamiętniku. I tego Vigstena z Kopenhagi. Poprosiłem moich tamtejszych kolegów, żeby mu się przyjrzeni.

– Nie jemu – przerwała mu Linda. – On jest stary i ma demencję. Ale u niego mieszka ktoś jeszcze.

– To tylko podejrzenia – mruknął Wallander poirytowany. – Czy rozumiesz, o co cię proszę?

– Mam udawać, że nic wielkiego się nie stało – odparła Linda – równocześnie próbując wydobyć z Anny odpowiedzi na ważne pytania.

Ojciec pokiwał głową i wstał.

– Martwię się – powiedział. – Nie rozumiem, co tu się dzieje, i boję się tego, co być może jest jeszcze przed nami.

Spojrzał na Lindę, przelotnym gestem pogładził ją po głowie, lekko się przy tym rumieniąc, i wyszedł.



Tego samego dnia Linda zaprosiła Annę i Zebrę na kawę do kafejki w porcie. Kiedy tylko usiadły przy stoliku, zaczął padać deszcz.

Synek Zebry bawił się na podłodze autkiem. Strasznie hałasował, bo zabawce brakowało dwóch kółek. Linda spojrzała na chłopca. Czasem bywał nieznośnie wrzaskliwy i domagał się ciągłego zainteresowania, a czasem, jak tego dnia, grzecznie się bawił i zupełnie nie zwracał uwagi na otoczenie, zatopiony w sobie tylko znanym świecie, pełnym dróg, jakie musiał pokonać żółty samochód.

O tej porze dnia kawiarnia była prawie pusta. W rogu siedziało dwóch duńskich żeglarzy pochylonych nad mapą. Barmanka ziewała.

– Babskie gadanie – odezwała się nagle Zebra. – Dlaczego nigdy nie mamy na nie czasu?

– Mów – odparła Linda. – Będę cierpliwie słuchać.

– A ty? – Zebra zwróciła się do Anny. – Też mnie wysłuchasz?

– Jasne.

Zapadła cisza. Anna mieszała łyżeczką herbatę, Zebra wsunęła pod wargę porcję snusa<sup>9</sup>, Linda popijała kawę.

– Myślicie, że to wszystko? – podjęła Zebra. – Że o to chodzi w życiu?

– Co masz na myśli? – spytała Linda.

– To, co powiedziałam. Co się stało z naszymi marzeniami?

– Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek marzyła o czymś poza tym, żeby mieć dzieci – odezwała się Anna. – A przynajmniej to zawsze było twoje największe marzenie.

– Racja, ale mam na myśli wszystkie inne rzeczy. Zawsze marzyłam z rozmachem, za to chyba nigdy porządnie się nie schlałam, jak to się robi, kiedy jest się nastolatkiem. Wiecie, co mam na myśli. Że się leży, rzyga w czyjaś rabatkę i opędza od chłopaków, którzy koniecznie chcą się tobą

zaopiekować. W marzeniach niczego sobie nie żałowałam. Boże, o czym to ja nie marzyłam! Chciałam być projektantką mody, gwiazdą rocka, kapitanem na jakimś wielkim okręcie.

– Jeszcze nie jest za późno – skomentowała Linda.

Zebra podparła brodę rękami i spojrzała poważnie na przyjaciółkę.

– Oczywiście, że jest już za późno – mruknęła. – Czy ty marzyłaś, żeby zostać policjantką?

– Nigdy. Chciałam być tapicerem. Ale tego chyba nie można nazwać szalonym marzeniem.

Zebra odwróciła głowę w stronę Anny.

– A ty? – zapytała.

– Ja zawsze marzyłam o tym, żeby znaleźć w życiu sens.

– I znalazłaś go?

– Tak.

– A konkretnie?

Anna pokręciła głową.

– Nie da się tego wytłumaczyć. To indywidualna sprawa. Albo się to czuje, albo nie.

Linda zauważyła, że przyjaciółka stara się być ostrożna, uważa na słowa. Anna co jakiś czas na nią spoglądała, zupełnie jakby chciała dać jej do zrozumienia, że doskonale wie, iż jest obserwowana.

Dwaj duńscy żeglarze wstali i wyszli z kawiarni, po drodze głaszcząc po główce bawiącego się synka Zebry.

– Mało brakowało, a nie byłoby go tu dzisiaj z nami – powiedziała jego mama.

Linda spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– Byłam zdecydowana na aborcję. Do dziś czasem budzę się w środku nocy zlaną potem, kiedy mi się śni, że naprawdę poddałam się zabiegowi.

– Myślałam, że chciałaś mieć dziecko.

– Bo chciałam. Ale kiedy zaszłam w ciążę, zaczęłam się strasznie bać. Myślałam, że sobie nie poradzę.

– Masz szczęście, że tego nie zrobiłaś – odezwała się Anna.

Zebra i Linda zareagowały zdziwieniem na ton, jakim Anna wypowiedziała te słowa. Był surowy, nawet nieco agresywny. Zebra postanowiła się bronić.

– Nie wiem, czy można to tak wyrazić. Może mnie zrozumiesz, kiedy sama zajdziesz w ciążę – powiedziała.

– Jestem przeciwna aborcji – odparła Anna. – To wszystko.

– Decyzja o usunięciu ciąży nie musi być podjęta tylko i wyłącznie dlatego, że *można* to zrobić. Bywają inne powody.

– Jakie?

– Na przykład kiedy jest się za młodym albo chorym.

– Jestem przeciwna aborcji – powtórzyła Anna.

– Jestem szczęśliwa, że go mam – powiedziała Zebra, patrząc na chłopca. – Ale wcale nie żałuję ciąży, którą usunęłam piętnaście lat temu.

Linda poczuła się zaskoczona. Anna aż zeszywniała i wbiła wzrok w koleżankę.

– Na litość boską – jęknęła Zebra. – Co się tak gagicie? Miałam piętnaście lat. Co wy byście zrobiły na moim miejscu?

– Pewnie to samo – odparła Linda.

– Ja nie – odezwała się Anna. – Aborcja to grzech.

– Mówisz jak pastor.

– Mówię tylko to, co myślę.

Zebra wzruszyła ramionami.

– Chciałam jedynie, żebyśmy sobie pogadały. Bo z kim można pogadać o aborcji, jeśli nie z najlepszymi przyjaciółkami?

Anna zerwała się z miejsca.

– Muszę iść – rzuciła. – Coś mi się przypomniało.

Zniknęła za drzwiami. Linda zdziwiła się, że Anna nawet nie pożegnała się z dzieckiem.

– Co ją napadło? – zdziwiła się Zebra. – Jestem gotowa pomyśleć, że sama kiedyś usunęła ciążę i teraz nie potrafi o tym rozmawiać.

– Może tak było – odparła z namysłem Linda. – Pomyśl, co my właściwie wiemy o ludziach, których znamy? Wydaje nam się, że wiemy o nich wszystko, a potem się okazuje, że tak naprawdę jest całkiem inaczej.

Siedziały w kawiarni dłużej, niż planowały. Po wyjściu Anny rozmowa toczyła się w pogodnej atmosferze. Długo żartowały i chichotały, zupełnie jak wtedy, kiedy były nastolatkami. Potem Linda odprowadziła Zebra do domu. Rozstały się pod drzwiami jej kamienicy.

– Jak myślisz, co Anna ma zamiar zrobić? – spytała ją na pożegnanie Zebra. – Zerwie ze mną znajomość?

– Chyba dobrze wie, że dziwnie zareagowała – odparła Linda.

– Nie jestem tego pewna. Ale mam nadzieję, że masz rację.

Wróciwszy do domu, Linda położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Po chwili odpłynęła myślami. Znalazła się nad jeziorem, ruszyła w stronę wody i zobaczyła pływające łabędzie. Zadzwoiła na policję. Nagle gwałtownie się przebudziła. Niedawno słyszała, jak Martinsson polecił komuś odsłuchanie wszystkich zgłoszeń telefonicznych, jakie wpłynęły na komendę. Przecież to wszystko się nagrywa, pomyślała. To znaczy, że mają nagranie zgłoszenia o pływających łabędziach. Linda nie przypominała sobie, żeby ktokolwiek skomentował sposób, w jaki mówił dzwoniący. Jest sobie pewien Norweg o nazwisku Torgeir Langaas, analizowała. Amy Lindberg też słyszała mężczyznę mówiącego po duńsku lub po norwesku. Jeśli więc mężczyzna, który dokonał zgłoszenia, mówił z podobnym akcentem,

będziemy mieć związek między płonącymi zwierzętami a domem za kościołem w Lestarp.

Wstała z łóżka i wyszła na balkon. Była już dziesiąta, owiało ją zimne powietrze. Wkrótce nadejdzie jesień, pomyślała. I mróz. Kiedy wreszcie zacznę pracować w policji, szron będzie chrząścił pod nogami.

Nagle zadzwonił telefon. Odebrała i usłyszała w słuchawce głos ojca.

– Chciałem ci tylko przekazać, że nie przyjdę na kolację do domu.

– Przecież już dziesiąta! Już dawno powinienes być po kolacji.

– Posiedzę tu jeszcze parę godzin.

– Znalazłbyś dla mnie chwilę?

– W jakim sensie?

– Chętnie przespacerowałabym się na komendę.

– Masz coś ważnego?

– Być może.

– Mogę ci poświęcić pięć minut, nie więcej.

– Wystarczą mi dwie. Powiedz mi tylko, czy nagrywacie wszystkie telefoniczne zgłoszenia?

– Tak.

– I jak długo przechowujecie nagrania?

– Przez rok. Dlaczego pytasz?

– Powiem, jak przyjdę.

Linda dotarła na miejsce za dwadzieścia jedenasta. Ojciec wyszedł po nią do opustoszałej recepcji. W jego pokoju walały się niedopałki papierosów.

– Kto tu u ciebie był? – zdziwiła się Linda.

– Boman.

– Kto to taki?

– Prokurator.

Linda nagle sobie coś przypomniała.

– A gdzie ona się podziała?

– Kto?

– Tamta kobieta, w której się zakochałeś. Prokuratorka, czy jak to się mówi.

– To dawne dzieje. Zbłądziłem się.

– Opowiedz.

– O nie. Największe blamaże trzyma się w tajemnicy. Mamy teraz nowych prokuratorów, Boman jest jednym z nich. Tylko ja pozwalałam mu palić w moim pokoju.

– Przecież tu się nie da oddychać!

Linda otworzyła okno, strącając przy tym na ziemię jakąś porcelanową figurkę, która potłukła się na kilka kawałków.

– Przepraszam, nie chciałam – powiedziała, zabierając się do sprzątnia skorup.

Przypomniała sobie, że już kiedyś widziała tę figurkę, dawno temu. Przedstawiała czarnego byka gotowego do ataku.

– Może da się ją posklejać?

– Sam czasem miałem ochotę ją roztrzaskać. Wiążą się z nią same nieprzyjemne wspomnienia – odparł ojciec.

– Jakie?

Wallander pokręcił głową.

– Nie mam teraz na to czasu. Co chciałaś?

Linda wyjaśniła, co ją sprowadza. Jednocześnie układała kawałki porcelany na biurku.

– Masz rację – odparł ojciec, kiedy skończyła.

Wstał i dał znak, żeby za nim poszła. W korytarzu natknęli się na niosącego stertę teczek Lindmana.

– Rzuć gdzieś te papiery i chodź z nami – powiedział do niego Wallander.

Weszli do archiwum, gdzie przechowywano nagrania rozmów. Kurt przywołał dyżurnego policjanta, który przyjmował zgłoszenia.

– Interesuje mnie nagranie z 21 sierpnia – oznajmił. – Dzwonił wtedy jakiś mężczyzna z informacją, że nad jeziorem Marebo widział płonące łabędzie.

– Tego dnia mieli zmianę koledzy – wyjaśnił dyżurny, po przestudiowaniu leżącego na półce grafiku. – Undersköld i Sundin.

– Niech pan do któregoś z nich zadzwoni.

Policjant pokręcił głową.

– Undersköld jest na urlopie w Tajlandii – powiedział. – A Sundin na jakimś kursie namierzania satelitarnego w Niemczech. Ciężko będzie się z nimi skontaktować.

– A nagranie?

– Poszukam go.

Po paru chwilach wszyscy stanęli nad odtwarzaczem. Rozmowa o płonących łabędziach nagrała się między zgłoszeniem o kradzieży samochodu a informacją o jakimś pijaku domagającym się, żeby ktoś pomógł mu znaleźć matkę. Linda aż podskoczyła, kiedy usłyszała głos dzwoniącego mężczyzny. Co ciekawe bezskutecznie starał się mówić po szwedzku bez akcentu. Odtworzyli nagranie kilka razy.

Dyżurny: Dyżurny, słucham.

Mężczyzna: Chcę zgłosić, że nad jeziorem Marebo latają płonące łabędzie.

Dyżurny: Płonące łabędzie?

Mężczyzna: Tak.

Dyżurny: Mówi pan, że palą się łabędzie?

Mężczyzna: Płonące łabędzie latają nad jeziorem Marebo.

W tym miejscu mężczyzna się rozłączył. Kurt Wallander zdjął słuchawki z uszu i przekazał je Lindmanowi.



– Ten człowiek mówi z obcym akcentem. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Moim zdaniem jego język to duński.

Albo norweski, pomyślała Linda. Czy to w ogóle da się stwierdzić?

– Nie umiem powiedzieć, czy to duński – odparł Stefan, podając słuchawki Lindzie.

– To duński albo norweski – powiedziała, kiedy wysłuchiwała nagrania.

– Ustalimy to – oznajmił Wallander. – Swoją drogą uważam, że to wstyd, że o tym nagraniu musiała nam przypomnieć początkująca policjantka.

Wallander polecił dyżurnemu, żeby miał nagranie pod ręką, a potem zaprowadził Lindę i Stefana do pokoju, w którym spędzano przerwy na kawę. Przy jednym ze stolików siedziało kilku funkcjonariuszy drogówki, przy innym Nyberg w towarzystwie innych techników. Kurt Wallander nalał sobie kubek kawy i usiadł przy stoliku, na którym znajdował się telefon stacjonarny.

– Z jakiegoś powodu pamiętam numer tego telefonu – powiedział.

Podniósł słuchawkę i przyłożył ją do ucha. Ktoś po drugiej stronie odebrał, rozmowa trwała krótko. Wallander poprosił rozmówcę, żeby niezwłocznie stawiał się na komendzie. Linda wyczuła, że ten ktoś wcale nie ma na to ochoty.

– A więc wysłę radiowóz na sygnale – zagroził Kurt. – Moi chłopcy wyprowadzą cię z domu w kajdankach, co na pewno bardzo zdziwi twoich sąsiadów – rzucił i odłożył słuchawkę.

– Christian Thomassen – wyjaśnił. – Sternik na jednym z promów do Polski. Chleje i co jakiś czas wpada w ciąg, ale mamy szczęście, bo akurat dostał esperal. Jest Norwegiem, więc pomoże nam wyjaśnić tę sprawę.

Po siedemnastu minutach w drzwiach wejściowych do komendy stanął największy mężczyzna, jakiego Linda kiedykolwiek widziała. Miał

ogromne stopy, tkwiące w gigantycznych rozmiarów gumowcach, dwa metry wzrostu, brodę sięgającą do piersi i tatuaż na łysej głowie. Kiedy usiadł, Linda musiała wstać, żeby zobaczyć, co przedstawia tatuaż. Był to kompas. Christian Thomassen uśmiechnął się do niej.

– Igła wskazuje południowy zachód – powiedział. – Wtedy płynie się prosto w zachodzące słońce. Kiedy wreszcie doścignie mnie śmierć, nie będę miał wątpliwości, w którą stronę się udać.

– To moja córka – odezwał się do niego Wallander. – Pamiętasz ją?

– Być może. Nie mam pamięci do ludzi, mimo że jeszcze nie utonąłem w wódce, jak większość moich wspomnień.

Zwalisty Norweg wyciągnął dłoń i przywitał się z Lindą, która przestraszyła się, że ogromne łapsko zmiążdży jej dłoń. W tej samej chwili zauważyła, że mężczyzna mówi z podobnym akcentem, jak człowiek z nagrania.

– No to idziemy – oznajmił Wallander. – Chcę, żebyś czegoś posłuchał.

Christian Thomassen uważnie odsłuchiwał nagranie, czterokrotnie prosząc o powtórkę. Kiedy Stefan Lindman miał puścić je piąty raz, Norweg uniósł dłoń na znak, że już więcej nie trzeba.

– Ten człowiek jest Norwegiem – zakomunikował. – Nie Duńczykiem. Próbowałem zgadnąć, z której części Norwegii pochodzi, ale nie jestem w stanie wam tego powiedzieć. Możliwe, że długo mieszkał poza krajem.

– Czy mógł wiele lat mieszkać w Szwecji? – zapytał Kurt.

– Niekoniecznie.

– Ale jesteś pewien, że to Norweg?

– Mimo że od dziewiętnastu lat mieszkam w Ystad i prawie osiem z nich przechlałem, nie wyleciało mi z głowy, skąd jestem.

– Zatem bardzo dziękuję. Chcesz, żeby ktoś cię podrzucił do domu?

– Przyjechałem rowerem – odparł Christian Thomassen. – Mogę to robić tylko wtedy, kiedy nie piję, bo inaczej byłbym cały poobijany.

– Niezwykły człowiek – powiedział Wallander, kiedy zostali sami. – Ma piękny basowy głos. Gdyby nie był tak leniwy i tyle nie chlał, mógłby zrobić karierę operową. Pewnie okrzyknięto by go największym basem na świecie. Jeśli nie z powodu głosu, to na pewno dzięki posturze.

Przeszli do pokoju Wallandera. Stefan spojrział na kawałki porcelanowej figurki, ale nic nie powiedział.

– A więc mamy Norwega – powiedział z namysłem Kurt. – Możemy uznać za pewne, że łabędzie podpalił ten sam sprawca, który spalił sklep. Właściwie wiedzieliśmy o tym już wcześniej. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że on też odpowiada za podpalenie cielaka. Nie wiemy jednak, czy to on chował się w szałasie, na który natknęła się Birgitta Medberg.

– Biblia – odezwał się Lindman.

Kurt Wallander pokręcił głową.

– Jest po szwedzku. Poza tym udało nam się odcyfrować część dopisanego tekstu i on też jest po szwedzku.

W pokoju zapadła cisza. Linda czekała w napięciu. Nagle Stefan potrząsnął głową.

– Muszę się przespać – oznajmił. – Nie mogę już dłużej myśleć.

– Widzimy się jutro rano o ósmej – powiedział Wallander.

Kroki oddalającego się korytarzem Lindmana powoli ucichły. Wallander ziewnął.

– Ty też musisz się położyć – powiedziała Linda.

Ojciec przytaknął, sięgając po odłamek figurki.

– Być może dobrze się stało, że ją rozbiłaś – odezwał się z wahaniem. – Kupiłem ją ponad trzydzieści lat temu. Pewnego lata pojechałem z kolegą do Hiszpanii. Wtedy poznałem Monę, więc było to jakby moje ostatnie lato na wolności. Kupiliśmy z tym kumplem stary samochód i pojechaliśmy do Hiszpanii, żeby polować na piękne Carmencity. Chcieliśmy dotrzeć na samo południe, ale pod Barceloną auto nam padło. Zapłaciliśmy za nie

chyba pięćset koron. Porzuciliśmy grata w jakiejś wsi i wsiedliśmy w autobus do Barcelony. Z następnych dwóch tygodni niewiele pamiętam. Pytałem kolegę, ale on pamięta chyba jeszcze mniej niż ja. Piliśmy cały czas, od rana do nocy. Poza tym, że kręciły się koło nas jakieś dziwki, nie przypominam sobie, żebyśmy natknęli się na piękne Carmencity, dla których się tam wybraliśmy. Kiedy zaczęły nam się kończyć pieniądze, wróciliśmy do Szwecji autostopem. Tego byka kupiłem tuż przed wyjazdem. Po powrocie chciałem go dać Monie, ale była na mnie tak wściekła, że nigdy go nie dostała. Znalazłem go w jakimś pudle, niedługo po rozwodzie, i przyniosłem do pracy. No i teraz się rozbił. Chyba dobrze się stało.

Choć ojciec zamilkł, Linda miała wrażenie, że nie opowiedział tej historii do końca.

– Kumpel, z którym się tam wybrałem, to Sten Widén – podjął po chwili. – Teraz umiera na raka, a czarny byk właśnie się rozbił.

Linda nie wiedziała, co powiedzieć. Siedzieli w milczeniu. Próbowwała wyobrazić sobie ojca trzydzieści lat temu, jeszcze zanim przysła na świat. Wtedy pewnie więcej się śmiał, pomyślała. Całe szczęście, że nie odziedziczyłam po nim tego ponuractwa.

W końcu Wallander wstał.

– Masz rację – powiedział. – Muszę iść spać. Już prawie północ.

Nagle ktoś zapukał do drzwi i po chwili pokazał się w nich jeden z dyżurnych.

– To właśnie przyszło – powiedział funkcjonariusz, podając Wallanderowi wydruk z faksu. – Z Kopenhagi, od jakiegoś Knuda Pedersena.

– Znam go – odparł Wallander.

Kiedy policjant wyszedł, Kurt najpierw rzucił okiem na faks, zaraz jednak usiadł przy biurku i zaczął go dokładnie czytać. Linda zorientowała się, że to coś ważnego.

– Dziwne – powiedział po chwili Wallander. – Knud Pedersen, którego znam od wielu lat, jest bardzo uważnym i bystrym człowiekiem. Mają tam zabójstwo prostytutki, niejkiej Sylvii Rasmussen. Ktoś skręcił jej kark. Najciekawsze jest to, że kobieta miała związane dłonie, złożone jak do modlitwy. Nie zostały one odrąbane, ale Pedersen, który wie, czym się ostatnio zajmujemy, uznał, że powinienem o tym wiedzieć.

Wallander upuścił kartkę na biurko.

– Znów Kopenhaga – mruknął.

Linda już miała mu zadać pytanie, ale ojciec ubiegł ją, unosząc dłoń.

– Idziemy spać – zakomunikował. – Zmęczeni policjanci zawsze robią coś, co daje ściganym przewagę.

Kiedy wyszli z komendy, Wallander zaproponował spacer do domu.

– Porozmawiajmy o czymś całkiem innym – powiedział. – O czymś, co oczyści nam myśli.

Wrócili do mieszkania przy Mariagatan, nie wypowiadając po drodze ani słowa.

Za każdym razem, kiedy widział córkę, czuł się tak, jakby ziemia usuwała mu się spod nóg, zaczynał spadać i dopiero po paru minutach udawało mu się odzyskać równowagę.

Przed oczami przesuwały mu się obrazy z wcześniejszego życia. Już w Cleveland zdecydował się podzielić swoje życie na trzy etapy. Czasem myślał o nich jak o oddzielnych, odseparowanych od siebie pomieszczeniach. Pierwszym z nich był okres przed ucieczką, zanim zdecydował się wszystko porzucić. Nazywał go Czasem Pustki. Trwał on do dnia, nim nie spotkał upadłego anioła, którego wziął za Boga. Drugi etap w życiu – Czas Upadłego Anioła – obejmował lata, które poświęcił na podążanie do rajy za Jimem Jonesem. Raj miał na nich czekać w gujańskiej dżungli. W tym czasie pustkę zastąpiło przebrane za prawdę kłamstwo. W końcu nastąpił etap, w którym znajdował się obecnie – Czas Prawdy. Kulminacja tego okresu miała nastąpić wkrótce. Bóg poddał go próbie i stwierdziwszy, że mężczyzna wyszedł z niej zwycięsko, uznał go za godnego przywrócenia prawdy na ziemi.

Zwykle nosił w sobie wspomnienia poprzednich etapów życia z wielkim spokojem. Często mierzył sobie puls, dochodząc do wniosku, że pozostaje on niezmienny niezależnie od tego, w jak wielką złość zdarzało mu się czasem wpadać. „Jak zwierzę obleczone w pióra będziesz strząsał z siebie nienawiść, kłamstwo i złość”, powiedział do niego Bóg we śnie pewnej nocy. Słabość dopadała go tylko wówczas, kiedy spotykał córkę. Gdy ujrzał jej twarz, stanęły mu przed oczami również twarze innych. Przed wszystkim Marii i dziecka, którzy zostali i zgnili w parującym bagnie gujańskiej dżungli, okrzykniętym rajem przez szaleńca o nazwisku Jim

Jones. Poczuł palącą tęsknotę za wszystkimi, którzy tam zginęli, zarazem ogarnęły go wyrzuty sumienia, że nie mógł ich uratować.

Bóg zażądał tej ofiary, żeby poddać mnie próbie, pomyślał. W twarzy córki widział również oblicze Sue-Mary z Cleveland oraz twarz starca z Caracas, który zajął się jego papierami. Dopiero kiedy przemknęły mu przed oczami dwa poprzednie etapy życia, poczuł znów grunt pod stopami. „Niech wspomnienia twoje będą niczym klucz dzikich gęsi, bezszelestnie przemierzający przestworza”, powiedział mu Bóg. „Będziesz widział, jak nadciągają i jak znów odlatują. Nic już nie jest wspomnieniem”.

Spotykał się z córką w różnych miejscach i o różnych porach. Od dnia, w którym wyszedł z cienia i pozwolił, by go zobaczyła, cały czas nad nią czuwał, pilnując, żeby się od niego nie oddaliła. Często próbował robić jej niespodzianki. Kiedyś, tuż po tym, jak się odnaleźli, umył jej samochód. Kiedy indziej napisał list, który wysłał do Lund. zaproponował w nim, żeby spotkali się w kryjówce za kościołem w Lestarp. Zdarzało mu się korzystać z jej mieszkania, kiedy chciał gdzieś zadzwonić, raz nawet tam spał.

Kiedyś ją opuściłem, myślał, teraz więc muszę być tym silniejszym, żeby ona nie opuściła mnie. Liczył się z tym, że być może nie będzie chciała za nim podążyć. Wówczas znów odszedłby w cień. Jednak już po pierwszych trzech dniach zorientował się, że będzie mógł uczynić z niej jednego z wybrańców. Ostatecznie przekonał go fakt, że jakimś dziwnym trafem córka знаła kobietę, którą Torgeir zabił, kiedy natknęła się na jego kryjówkę. Wtedy zrozumiał, że czekała na niego przez wszystkie te lata, kiedy go nie było.

Tego dnia znów się umówili, tym razem w jej mieszkaniu. Córka postawiła doniczkę na parapecie w kuchennym oknie na znak, że może wejść do budynku. Kiedy sam tu przychodził, nie dbał o umówiony sygnał w postaci

doniczki, lecz po prostu otwierał drzwi kluczami, które sama mu dała. Bóg mu podpowiadał, kiedy może wejść do mieszkania córki bez ryzyka. On zaś powtarzał jej, jak ważne jest to, żeby zachowywała się normalnie w stosunku do swoich przyjaciół. Niech po tobie nie będzie widać, że coś się zmieniło – powiedział. – Wiara będzie rosła w tym ciele aż do dnia, kiedy dam znak, że może się wydostać na zewnątrz.

Za każdym razem, kiedy się z nią spotykał, robił tak, jak nauczył go Jim Jones. Była to jedyna rzecz nieprzesiąknięta nienawiścią i rozczarowaniem. Wiedział od byłego mistrza, że zawsze należy wsłuchiwać się w oddech drugiego człowieka. Dotyczyło to zwłaszcza nowych, którzy pełni byli jeszcze wątpliwości i nie do końca powierzyli swój los nowemu przywódcy.

Gdy wszedł do mieszkania córki, ona padła przed nim na kolana w przedpokoju. Położywszy dłoń na jej czole, wyszeptał słowa, które chciał jej przekazać od Boga. Drugą dłonią delikatnie wymacał tętnicę na jej szyi, żeby zbadać puls. Dziewczyna drżała, ale jej strach był już mniejszy. Zaczęła się w końcu oswajać z tym, co tak nagle zmieniło jej życie. Ukląkł naprzeciw niej.

- Jestem tu – szepnął.
- Jestem tu – odparła córka.
- Co mówi Pan?
- Bóg żąda mojej obecności.

Pogładził ją po policzku, potem oboje wstali i przeszli do kuchni, gdzie córka podała mu posiłek, o który ją wcześniej poprosił. Sałatę, razowy chleb i dwa kawałki mięsa. Jadł w milczeniu, powoli. Kiedy skończył, dziewczyna przyniosła miskę wody, obmyła mu dłonie, a potem zrobiła herbatę. On spojrzął na córkę i zapytał, jak spędziła czas od ich ostatniego spotkania. Interesowały go przede wszystkim jej przyjaciółki, szczególnie ta, która jej szukała.



Upił pierwszy łyk herbaty i wtedy córka zaczęła mówić. Od razu wyczuł, że jest trochę zdenerwowana. Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Czy coś cię niepokoi? – zapytał.

– Nie, skąd – odpowiedziała.

Nagle złapał ją za rękę i włożył jej dwa palce do gorącej herbaty. Dziewczyna aż podskoczyła, on jednak nie puścił jej tak długo, dopóki nie zyskał pewności, że będzie miała widoczne poparzenia. Zaczęła płakać, on zaś uniósł dłonie.

– Bóg żąda prawdy – powiedział. – Dobrze wiesz, że mam rację, mówiąc, że coś cię niepokoi. Muszę wiedzieć, co cię dręczy.

Córka opowiedziała mu o rozmowie z przyjaciółkami w kawiarni, kiedy synek jednej z nich bawił się na podłodze. Widział, że nie jest pewna, czy dobrze robi, mówiąc mu o tym. Wciąż ma w sobie słabość, pomyślał. Przyjaciółki są dla niej ważne. Ale nic w tym dziwnego. Zaskakujący jest raczej fakt, że tak szybko zdołałem ją zmienić.

– Dobrze zrobiłaś, opowiadając mi o tym – powiedział, kiedy skończyła.

– Uważam też, że słusznie postępujesz, szczerze okazując, że trochę się wahasz. Wątpliwości oznaczają rychłą gotowość do walki o prawdę, a nie ślepe wiary w to, co ci powiedziano. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Tak.

Przyglądał się jej długo i badawczo. Jest moją córką, pomyślał. Odziedziczyła po mnie powagę.

Został jeszcze chwilę i opowiedział jej o swoim życiu. Chciał zapełnić lukę, która powstała przez długie lata, kiedy nie było go przy niej. Wiedział, że córka nigdy nie zgodzi się za nim podążyć, jeśli jej nie przekona, że jego odejście było podyktowane nakazem Boga. To była moja pustynia, powtarzał jej nieustannie. Nie zostałem jednak zesłany na czterdzieści dni, ale na dwadzieścia cztery lata.

Wychodząc z jej mieszkania, wiedział już, że córka za nim podąży. Ponadto dała mu możliwość uczynienia tego, co najważniejsze – możliwość ukarania grzesznika. Kiedy znalazł się na ulicy, obejrzał się jeszcze za siebie. W kuchennym oknie mignęła twarz córki.

Torgeir czekał na poczcie, zgodnie z umową. Mieli zwyczaj umawiać się w miejscach publicznych. Rozmowa trwała krótko. Tuż przed pożegnaniem się Torgeir pochylił przed nim głowę. Jego puls był w normie. Eryka zawsze to dziwiło, mimo że cudem był już sam fakt, że Torgeira udało się uratować. Ten trzęsący się, złamany człowiek, podźwignięty z rynsztoku jednej z ulic w Cleveland, stał się najlepszym organizatorem i uczniem Eryka.

Po spotkaniu w urzędzie pocztowym zobaczyli się wieczorem na odludnym parkingu. Był przyjemny wieczór, niebo nieco zaciągnięte chmurami, nocą mógł spaść deszcz. Ciężarówkę zastąpił autobus, który Torgeir ukradł z parkingu jakiejś firmy z Malmö i wymienił tablice rejestracyjne. Pojechali na wschód, minęli Ystad, a potem podążali małymi drózkami w kierunku Klavestrand. Dotarwszy na miejsce, zatrzymali się przy stojącym na pagórku kościele. Najbliższy dom oddalony był o czterysta metrów, na dodatek znajdował się po drugiej stronie drogi wiodącej do Tomelilla. Zaparkowali w miejscu, w którym autobus był całkiem niewidoczny.

Torgeir otworzył drzwi do kościoła dorobionym kluczem. Posługując się osłoniętymi latarkami, ustawili drabiny przy oknach wychodzących na drogę i zakleili szyby czarnymi workami. Potem zapalili świece przy ołtarzu. Poruszali się bezszelestnie, w kościele panowała cisza.

Torgeir wszedł do zakrystii, gdzie Eryk już się przygotowywał. Powiedział swojemu mistrzowi, że wszystko gotowe.

– Każę im czekać dziś w nocy – powiedział Eryk, podając Torgeirowi linę. – Połóż ją przy ołtarzu. Lina budzi lęk, a lęk budzi wierność.

Torgeir wyszedł, zostawiając Eryka siedzącego przy stole, wpatrującego się w zapaloną świecę. Kiedy Eryk zamknął oczy, zdawało mu się, że wrócił do dżungli. Zmierzał ku niemu Jim Jones, szedł od strony swojej chaty, jedynej, w której stał generator wytwarzający prąd. Jim był zawsze starannie uczesany, miał białe zęby i uśmiech jakby przyklejony do twarzy. Prezentował się niczym piękny anioł, pomyślał Eryk. Potem się okazało, że był upadłym, czarnym aniołem, choć nie ukrywam, że do dziś przypominam sobie momenty, kiedy czułem się w jego pobliżu szczęśliwy. Nie mogę też zaprzeczyć, że to, czego nauczyłem się od Jima, a właściwie to, o czym marzyłem, że od niego otrzymam, chcę teraz przekazać tym, którzy za mną podążyli. Widziałem upadłego anioła i dobrze wiem, co mam robić.

Położył łokcie na stole i oparł głowę na dłoniach. Chciał, żeby wszyscy zebrani na niego czekali. Lina leżąca przed ołtarzem miała im przypominać o strachu, jaki budził w nich Eryk. Jeśli ścieżki Pana są niezbadane, tak samo musi zachowywać się wyznaczony przez Niego ziemski przywódca. Eryk wiedział, że Torgeir nie wejdzie już do zakrystii. Powoli zasypiał, pogrążając się w coraz głębszym śnie. Czuł się tak, jakby zstępował do podziemi, do miejsca, w które przez zimne, kamienne ściany skańskiego kościoła wnikało gorąco gujańskiej dżungli. Zasnął, myśląc o Marii i dziecku.

Była czwarta nad ranem, kiedy Eryk gwałtownie się zbudził. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje. Wstał i mocno się przeciągnął, chcąc rozruszać zesztywniałe od niewygodnej pozycji ciało. Po kilku minutach wyszedł z zakrystii. Zebrani siedzieli sztywno w pierwszych ławkach. Byli wystraszeni. Zanim zdążyli go zauważyć, zatrzymał się na

moment i spojrzął na nich. Mógłbym ich wszystkich zabić, pomyślał. Gdybym tylko chciał, na mój rozkaz odrąbaliby sobie dłonie i zaczęli je jeść. Wciąż noszę w sobie tę słabość. Są nią nie tylko wspomnienia, ale i lęk przed całkowitym zaufaniem ludziom, którzy za mną podążyli. Boję się myśli, o które ich podejrzewam, bo nie mogę ich kontrolować. Podeszedł bliżej i stanął przed ołtarzem. Tej nocy miał zamiar mówić o ptakach wędrownych, o wielkim, czekającym na zebranych w tym kościele zadaniu, które było powodem przebycia tak długiej drogi do Szwecji. Tej właśnie nocy Eryk miał wypowiedzieć słowa, które w przyszłości staną się początkiem piątej ewangelii.

Skinął na Torgeira na znak, by otworzył brązowy święty kufer stojący na posadzce, tuż przy zwiniętej linie. Skrzynia była bardzo stara i miała ozdobne okucia. Wyjąwszy coś z kufra, Torgeir podeszedł do zebranych i każdemu z nich wręczył maskę śmierci. Maski były białe, przywodziły na myśl przebranie mima, całkowicie pozbawione wyrazu radości czy smutku.

Pomysł użycia masek przyszedł Erykowi do głowy niczym objawienie pewnego popołudnia, kiedy siedział przy łożu śmierci Sue-Mary. Wpatrywał się w twarz śpiącej kobiety, której głowa zapadała się w miękkiej poduszce. Nagle zmieniła się w maskę, zastygłe białe oblicze. Bóg stworzył człowieka na swe podobieństwo, pomyślał wówczas Eryk, ale nikt nie widział twarzy Pana. Nasze życie jest jego oddechem, powietrzem, które wciągamy do płuc. Zaprawdę nikt nie zna jego oblicza. Musimy nosić białe maski, aby wygnać z siebie nas samych i w ten sposób złączyć się z Bogiem, który nas stworzył.

Patrzył, jak każdy z jego uczniów zakłada maskę. Przy każdej takiej okazji, widząc, jak podążający za nim ludzie skrywają twarze, przepełniało go uczucie siły i władzy.

Na sam koniec maskę założył Torgeir. Jedyńm, który pozostał bez przebrania, był Eryk.

Również tego nauczył się od Jima. Na samym początku ich pobytu w gujańskiej dżungli zdarzało się, że w środku nocy do Eryka przychodziła kobieta żyjąca z Jimem lub któraś z jego służących, żeby mu przekazać, że mistrz chce się z nim widzieć. Wówczas Eryk zrywał się na równe nogi, zawsze nieco wystraszony. Bał się Jima, w jego obecności czuł się mały i nic nieznaczący. Jim zwykle leżał w hamaku na werandzie swojej chaty, okryty moskitierą. Obok stało krzesło, na którym sadzał gości. W ciemnościach zaczynał snuć opowieści o tym, co ma nastąpić. Nikt nigdy nie ważył się przerwać mu monologów, które nierzadko kończyły się dopiero o wschodzie słońca. Podczas jednej z takich nocy, w okresie kiedy Eryk jeszcze kochał Jima i do głowy by mu nie przyszło, że jego mistrz nie jest prawdziwym sługą bożym, usłyszał od niego, że nauczyciel zawsze musi trzymać się z boku. Uczniowie zawsze muszą czuć jego obecność, ale on ma być jedynym, który nie ukrywa twarzy pod maską.

Eryk stanął przed zebranymi. Nareszcie nadszedł moment, na który tak długo czekał. Splótszy dłonie, prawym kciukiem dotknął wewnętrznej strony lewego nadgarstka. Puls miał w normie, wszystko było pod kontrolą. Pewnego dnia kościół ten stanie się celem pielgrzymek, pomyślał. Oto wrócili pierwsi chrześcijanie, którzy kiedyś zginęli w rzymskich katakumbach. Czas upadłych aniołów nareszcie dobiega końca. Religia, która trwała w letargu, zatruta fałszywą wiarą, krążącą w żyłach ludzi, znów budzi się do życia.

Zaczął mówić o ptakach wędrownych.

– Człowiek nie ma skrzydeł – zaznaczył – mimo to potrafi pokonywać duże odległości, zupełnie jakby latał. Przez długi czas nas tu nie było, byliśmy zmuszeni zimować w lodowatych ciemnościach, które spowiły ziemię. Światło jednak nie zgasło na dobre. Udało nam się ocalić płomień, bo zrozumieliśmy, że prawda skryła się na samym dnie tych ciemności, w najmroczniejszej jaskini. Teraz wreszcie wróciła. Jesteśmy pierwszym

kluczem wędrownych ptaków, które powróciły do domu. Wkrótce nadciągną następne, niebo wypełni się ich radosnym krzykiem i nic już nas nie powstrzyma. Przywrócimy Królestwo Boże na ziemi. Przed nami jednak czas świętej wojny, gdyż Królestwo Pana musimy odbudować od wewnątrz. Pierwszym krokiem było ujawnienie zdrajcy w naszej świątyni, następnym zniszczenie bożych domów bez Boga, które teraz należy zbudować na nowo. Wkrótce czeka nas walka z fałszywymi bogami, którzy opanowali świat. Nadszedł nasz czas. Jesteśmy gotowi, by wykonać kolejny krok.

Czekali w kościele do świtu. Torgeir stał na straży przed budynkiem, rozmyślając o tej ostatniej chwili starego świata. Gdy na horyzoncie pokazał się pierwszy promień szarego światła, Torgeir wszedł do kościoła. Zebrał wszystkie maski i zamknął je w kufrze.

8 września był dniem, który wybrał Eryk. Również ta data pochodziła ze snu: znalazł się w jakiejś opuszczonej fabryce, na ziemi stały kałuże deszczówki, wszędzie leżały gnijące liście. Na jednej ze ścian wisiał kalendarz. Kiedy Eryk się obudził, zapamiętał datę, jaką na nim zobaczył. Był to 8 września. Postanowił, że to właśnie będzie dzień, w którym to, co stare, się skończy i wszystko zacznie się od nowa.

W promieniach wschodzącego słońca obserwował blade, zaciekle twarze zebranych. Patrząc na oczy, które na mnie spoglądają, pomyślał. Widzą we mnie to, co widziałem ja, stojąc przed Jimem Jonesem. Różnica między nim a mną polega na tym, że ja naprawdę jestem tym, za kogo się podaję. Jestem wybrańcem, pasterzem. Eryk próbował dopatrzeć się w twarzach uczniów oznak zwątpienia, niczego takiego jednak nie zauważył.

Zrobił krok w przód i znów zaczął mówić.

– Nadszedł nasz czas. Ptaki wędrowne wylądowały. Nie sądziłem, że będzie nam dane się spotkać w przeddzień waszego wielkiego zadania.

Jednak tej nocy Bóg do mnie przemówił, żądając kolejnej ofiary. Podczas naszego następnego spotkania zginie jeszcze jeden grzesznik.

Podniósł z ziemi linę i uniósł ją nad głową.

– Wiemy, czego Pan od nas oczekuje – ciągnął Eryk. – Pismo uczy nas oddawać oko za oko, ząb za ząb. Ten, kto zabija, sam musi zginąć. Żadne z was nie może zwątpić. Oddech Boga jest niczym stal, wymaga, byśmy byli twardzi. Jesteśmy jak węże, które zbudziły się po długiej zimie, jak przemykające między kamieniami jaszczurki, zmieniające kolor w razie niebezpieczeństwa. Jedynie dzięki poświęceniu i hartowi ducha uda nam się pokonać pustkę drzemiącą w ludziach. Czas wielkich ciemności, upadku i bezradności nareszcie dobiegł końca.

Eryk zamilkł, doszedłszy do wniosku, że wszyscy go zrozumieli. Podążając wzdłuż ławek, dotknął pochylonych czoł oddanych mu uczniów. W końcu dał znak, by wstali i wspólnie wypowiedzieli święte słowa. Oznajmił, że słowa te zostały mu przekazane w objawieniu. W rzeczywistości przeczytał je gdzieś, kiedy był młody, uznał jednak, że uczniowie nie muszą znać prawdy. A może słowa te pochodzą ze snu, zastanowił się. Sam nie był już pewien, uznał więc, że nie ma to żadnego znaczenia.

Wyzwoleni wzniesiemy się z szumem potężnych skrzydeł.

Aby stopić się z Nim, stając się promieniem Jego świętego światła.

Wypowiedziawszy te słowa, wszyscy wyszli z kościoła. Kobieta, która popołudniem tego samego dnia przyszła posprzątać świątynię, nawet nie zorientowała się, że ktoś tam był.

Część IV  
Trzynasta wieża



Lindę obudził dzwonek telefonu. Spojrzała na budzik. Był kwadrans przed szóstą.

Usłyszała jakieś szuranie w łazience. Ojciec już wstał, ale nie słyszał telefonu. Wskoczyła z łóżka i poszła do kuchni odebrać. W słuchawce rozległ się kobiecy głos, którego nie rozpoznała.

– Czy zastałam pod tym numerem policjanta o nazwisku Wallander? – spytała nieznajoma.

– Kto pyta?

– Zastałam czy nie zastałam?

Kobieta przemawiała z typowym skańskim akcentem. Lindzie przyszło na myśl, że rozmawia z elegancką kobietą. To raczej nie jest sprzątaczką z komendy, pomyślała.

– Tak, ale w tej chwili jest zajęty – powiedziała. – Z kim mam przyjemność?

– Mówi Anita Tademan, dzwonię z zamku Rannesholm.

– Poznałyśmy się, jestem jego córką.

Kobieta nie zareagowała na słowa Lindy.

– Kiedy będę mogła z nim porozmawiać?

– Jak tylko wyjdzie z łazienki.

– To pilne.

Linda zanotowała jej numer telefonu, rozłączyła się i nastawiła kawę. Woda właśnie zaczęła wrzeć, kiedy ojciec wszedł do kuchni.

– Dzwoniła Anita Tademan. Powiedziała, że to coś pilnego.

Ojciec rzucił okiem na zegar.

– Najwyraźniej tak, skoro dzwoni o tej porze.

Linda wystukała zanotowany numer i podała mu słuchawkę.

Podczas gdy on rozmawiał, Linda bezskutecznie przetrząsała kuchenne szafki w poszukiwaniu kawy.

Nim ojciec odłożył słuchawkę, usłyszała, że podaje jakąś godzinę.

– Co chciała? – zapytała, kiedy skończył rozmawiać.

– Spotkać się ze mną.

– Po co?

– Żeby opowiedzieć coś, co usłyszała od jednego z krewnych mieszkających w domu na włościach Rannesholm. Nie chciała mówić przez telefon, woli, żebym przyjechał do zamku. Nie zgodziłem się, słyszałaś?

– Nie.

Wallander bąknął coś pod nosem i też zaczął szukać kawy.

– Nie ma – oznajmiła mu Linda.

– Czy tylko ja mam się martwić o to, żeby w tym domu było trochę kawy? – zirytował się ojciec.

Linda natychmiast wpadła w złość.

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak cudownie będę się czuć, kiedy wreszcie się stąd wyniosę. Nie powinnam się była do ciebie wprowadzać.

Wallander bezradnie rozłożył ręce.

– Może tak będzie najlepiej – powiedział. – Rodzice i dzieci w pewnym wieku nie powinni sobie wchodzić w drogę. Nie mam czasu się teraz z tobą kłócić. Ty chyba też nie.

Pijąc herbatę, czytali poranną gazetę, każde swoją część. Żadne z nich jednak nie mogło się skupić.

– Chcę, żebyś ze mną pojechała – zaproponował Wallander. – Ubierz się. Chciałbym cię mieć przy sobie.

Linda wzięła prysznic i ubrała się tak szybko, jak potrafiła. Jednak kiedy wyszła z pokoju, gotowa do wyjścia, ojca już nie było. Na marginesie gazety nabazgrał jej kilka słów. Odcyfrowała niewyraźne pismo, z którego

wynikało, że bardzo się spieszył. Jest tak samo niecierpliwy jak ja, pomyślała.

Wyjrzała przez okno. Termometr wciąż wskazywał wysoką temperaturę, plus dwadzieścia dwa stopnie. Padał deszcz. Linda truchtem dobiegła do komendy policji, czując się przy tym tak, jak w drodze do szkoły – tak samo zdenerwowana, że nie zdąży na czas.

Ojciec rozmawiał przez telefon. Kiwnął jej na znak, żeby weszła do pokoju. Usiadła na krześle dla interesantów. Odłamki porcelanowej figurki wciąż leżały na biurku. Odłożył słuchawkę i wstał.

– Chodź ze mną – powiedział.

Przeszli do pokoju Stefana Lindmana, w którym była też Ann-Britt Höglund. Stała oparta o ścianę, z kubkiem kawy w dłoni. Linda odniosła wrażenie, że koleżanka ojca po raz pierwszy zdaje się ją zauważać. Ktoś jej coś powiedział, pomyślała. Ale raczej nie ojciec. Prędzej Stefan Lindman.

– Gdzie jest Martinsson? – spytała Ann-Britt.

– Właśnie do mnie dzwonił – odparł Wallander. – Dziecko mu się rozchorowało, więc będzie trochę później. Obiecał mi, że w domu spróbuje ustalić coś więcej na temat Sylvii Rasmussen.

– Kogo? – zdziwiła się Ann-Britt.

– Po co mamy się tu tłoczyć? – Kurt zignorował jej pytanie. – Przejdźmy do salki konferencyjnej. Czy ktoś wie, gdzie podziewa się Nyberg?

– Wciąż zajmuje się pożarami kościołów.

– Wydaje mu się, że może coś jeszcze znaleźć?

Te słowa padły z ust Ann-Britt Höglund. Linda domyśliła się, że koleżanka ojca jest jedną z tych osób, które nie mogą doczekać się odejścia Nyberga na emeryturę.

Rozpoczęli naradę, która trwała trzy godziny i dziesięć minut, aż do momentu, gdy ktoś zapukał do drzwi i przekazał Wallanderowi informację, że przyszła Anita Tademán. Linda była ciekawa, po jakim czasie spotkanie dobiegłoby końca, gdyby im nie przerwano. Kiedy Wallander nagle wstał, nikt nie okazał zdziwienia ani niezadowolenia. W drodze do drzwi zatrzymał się przy krześle Lindy.

– Anna – powiedział. – Nie przestawaj się z nią spotykać, rozmawiać, uważnie jej słuchaj.

– Nie wiem, jak mam postępować, żeby mnie nie przejrzała. Domyśli się, że jej pilnuję.

– Zachowuj się tak, jak zwykle.

– Nie byłoby lepiej, gdybyś ty jeszcze raz z nią porozmawiał?

– Porozmawiam, ale nie teraz.

Kiedy Linda wyszła z komendy, deszcz już trochę ustał. Jakiś samochód zatrąbił tak blisko niej, że aż podskoczyła. Auto zahamowało z piskiem i drzwi otworzył Stefan Lindman.

– Odwiozę cię do domu – zaproponował.

– Dzięki.

W samochodzie miał włączoną płytę. Słuchał jazzu.

– Lubisz muzykę? – spytała Linda.

– Bardzo.

– Jazz?

– To Lars Gullin, saksofonista. Jeden z największych muzyków jazzowych w Szwecji. Zmarł o wiele za wcześnie.

– Nigdy o nim nie słyszałam. Poza tym nie lubię takiej muzyki.

– Na szczęście to moje auto i ja decyduję o repertuarze.

Linda miała wrażenie, że trochę go uraziła. Od razu pożałowała swoich słów. To też mam po ojcu, pomyślała. Talent do niezręcznych i nieczułych

komentarzy.

– Dokąd jedziesz? – zapytała, chcąc załagodzić sytuację.

– Do Sjöbo, do ślusarza – odparł wciąż urażony Stefan.

– Długo tam będziesz?

– Nie wiem, a co?

– Może pojechałabym z tobą, jeśli się zgodzisz.

– Jeżeli wytrzymasz tę straszną muzykę.

– Od tej chwili kocham jazz.

Napięcie między nimi zniknęło. Stefan roześmiał się i skręcił w drogę wiodącą na północ. Jechał szybko. Linda poczuła nagłą chęć, żeby go dotknąć, pogłodzić po ramieniu, policzku. Ogarnęły ją emocje, których dawno już u siebie nie zauważała. Wpadła jej nawet do głowy idiotyczna myśl, że mogliby wynająć pokój w hotelu w Sjöbo. Tam z pewnością nie ma żadnego hotelu, skarciła samą siebie w głębi duszy. Próbowwała odpędzić tę myśl, ale ta nie chciała jej opuścić. Deszcz bębnił o przednią szybę, saksofonista wygrywał niskie, szybkie dźwięki. Linda bezskutecznie próbowała doszukać się w tym jakiejś melodii.

– Jeśli jedziesz do Sjöbo, żeby pogadać ze ślusarzem, musi to mieć coś wspólnego ze śledztwem. Jednym z nich. Ile ich właściwie wszczęliście?

– W sprawie Birgitty Medberg jedno, w sprawie Harriet Bolson drugie, w sprawie spalonych zwierząt trzecie i w sprawie podpaień kościołów czwarte. Twój ojciec chce mieć w tym porządek, a prokurator na wszystko się zgodził. Na razie.

– A ten ślusarz?

– Nazywa się Håkan Holmberg i nie jest zwykłym ślusarzem. Specjalizuje się w dorabianiu zabytkowych kluczy. Kiedy usłyszał, że policja zastanawia się nad tym, jak podpalacze dostali się do kościołów, przypomniał sobie, że parę miesięcy temu wykonał kopie dwóch kluczy, które z powodzeniem mogły pasować do takich właśnie drzwi. Muszę się

dowiedzieć, czy pamięta coś jeszcze. Ma warsztat w centrum Sjöbo. Martinsson już kiedyś o nim słyszał, gość podobno dostał jakąś nagrodę za repliki starych kluczy. Poza tym sprawia wrażenie bardzo odczytanego i prowadzi letnie kursy z filozofii.

– W warsztacie?

– Ma tam jakąś większą salę. Martinsson chciał nawet kiedyś wziąć w nich udział. Podobno uczniowie spędzają połowę czasu na nauce kowalstwa artystycznego, a drugą na filozoficznych dyskusjach.

– To raczej nie dla mnie – mruknęła Linda.

– Może dla twojego ojca?

– Tym bardziej nie dla niego.

Muzyka się zmieniła. W aucie rozległa się powolna ballada. Lindzie wreszcie udało się usłyszeć melodię. Słuchając, wciąż rozmyślała o pomysle wynajęcia pokoju w hotelu. W ogóle nie chciał jej wyjść z głowy.

Dotarli do Sjöbo, zatrzymali się przed domem z czerwonej cegły. Nad wejściem wisiał szyld w kształcie wielkiego klucza.

– Chyba powinnam tu poczekać – odezwała się Linda.

– O ile dobrze zrozumiałem, już zaczęłaś pracować.

Weszli do środka. Przy palenisku kowalskim stał mężczyzna. Skinął na nich, żeby podeszli bliżej. W pomieszczeniu było gorąco. Gospodarz obcęgami wyjął z ognia kawałek rozżarzonego żelaza i zaczął w nie uderzać młotem.

– Tylko skończę ten klucz – krzyknął. – Nie można przerywać tej pracy, bo wtedy w żelazo wdaje się wątpliwość i klucz nigdy nie będzie szczęśliwy w swoim zamku.

Stefan i Linda z zafascynowaniem przyglądali się pracy kowala. W końcu ich oczom ukazał się gotowy klucz. Håkan Holmberg otarł pot z czoła i umył ręce. Wyszli na wewnętrzny dziedziniec, były tam stół

i krzesła. Na blacie stał termos z kawą i kubki. Wszyscy podali sobie dłonie na powitanie. Linda poczuła przyjemne mrowienie, kiedy Stefan przedstawił ją jako koleżankę z pracy. Gospodarz nalał im kawy i włożył na głowę stary słomkowy kapelusz. Zorientował się, że Linda z zaciekawieniem przygląda się zniszczonemu nakryciu głowy.

– To owoc jednej z moich nielicznych kradzieży – wyjaśnił. – Każdego roku wyjeżdżam za granicę. Kilka lat temu byłem w Lombardii i pewnego popołudnia znalazłem się nieopodal Mantui, gdzie chciałem spędzić parę dni, oddając cześć wielkiemu Wergiliuszowi, który urodził się w tamtych okolicach. Na jakimś polu natknąłem się na stracha na wróble. Nie pamiętam, co miał ochraniać, ale stanąłem przed nim z myślą, że po raz pierwszy w życiu mam ochotę popełnić jakieś przestępstwo. Słowem, zapragnąłem zostać złodziejem i ukradłem strachowi kapelusz. Czasem śni mi się, że stoi przede mną żywy człowiek, nie jakaś wypchana kukła. Musiał doskonale zdawać sobie sprawę, że jestem tchórzliwym kowalem, który nigdy w życiu nie ukradłby niczego żadnemu człowiekowi. Dlatego pozwolił mi zabrać ten kapelusz. Być może był to zaklęty w stracha franciszkański mnich, chcący za wszelką cenę zrobić jakiś dobry uczynek? Tak czy inaczej, popełnienie tego przestępstwa było dla mnie ogromnym przeżyciem.

Linda zerknęła na Stefana, chcąc wy badać, czy wie, kim był Wergiliusz. A Mantua? Gdzie właściwie leży? Czy to jakiś region, czy miasto? Chyba we Włoszech. Gdyby była tu z nami Zebra, na pewno by wiedziała. Potrafiła spędzać całe godziny na studiowaniu map.

– Klucze – zmienił temat Stefan. – Niech nam pan o nich opowie.

– Właściwie nie wiem, jak to się stało, że zwróciłem uwagę na te dwa spalone kościoły.

– Jak mógłby pan na to nie zwrócić uwagi? – zdziwił się Lindman. – Przecież trąbili o tym we wszystkich wiadomościach.

Håkan Holmberg, kołysząc się na krześle, sięgnął do kieszeni na piersi niebieskiego kombinezonu i wyjął z niej fajkę.

– Nie oglądam telewizji, nie słucham radia i nie czytam gazet – powiedział, zapalając fajkę. – Niektórzy ludzie robią sobie w roku parę tygodni przerwy od alkoholu. To z pewnością rozsądne. Ja natomiast przez parę tygodni w roku, niech pan je nazwie białymi albo czarnymi, całkiem odcinam się od zewnętrznego świata. Potem, kiedy kończę ten mój informacyjny celibat, zawsze się okazuje, że właściwie nie przegapiłem niczego godnego uwagi. Każdego dnia spada na nas deszcz niepotrzebnych informacji, bombardują nas nieprzydatne fakty. Kiedy się od tego odcinam, skupiam się na wiadomościach płynących ze mnie samego.

Linda była ciekawa, czy Håkan Holmberg zwykł wszystkie swoje odpowiedzi przekazywać w formie wykładów. Równocześnie musiała przyznać, że umiał mówić językiem, którego mu zazdrościła, podziwiała za wszystkie zgrabne sformułowania i słowa, po które po prostu sięgał, kiedy ich potrzebował. Stefan też nie wyglądał na zniecierpliwionego.

– A więc dowiedział się pan o tym przypadku – podsumował.

– Jeden z moich klientów przyjechał po klucz do starego kufra marynarskiego, który kiedyś znajdował się na okręcie admirałskim osiemnastowiecznej brytyjskiej floty. Opowiedział mi o pożarach i podejrzeniach policji, że podpalacze użyli podrabianych kluczy. Wtedy sobie przypomniałem, że parę miesięcy temu dorabiałem dwa klucze, których kształty mogą wskazywać na klucze do starych kościelnych drzwi. Nie twierdę, że to były właśnie *te*, ale pomyślałem, że nie zaszkodzi wam o tym powiedzieć.

– Dlaczego?

– Doświadczenie mi podpowiada, że to mogły być one. Klucze do kościelnych drzwi mają pewien określony wygląd. Poza tym niewiele jest



już w użyciu takich, które pasują do zamków wykonanych przez dawnych mistrzów. Dlatego to zgłosiłem.

– Kto je u pana zamówił?

– Mężczyzna, który przedstawił się jako Lukas.

– Tylko tyle?

– Tak. Pan Lukas. Był bardzo sympatyczny. Śpieszyło mu się, więc zapłacił porządną zaliczkę.

Lindman wyjął z kieszeni jakąś paczuszkę. Rozwinął ją i pokazał Holmbergowi dwa stare klucze. Mężczyzna od razu je rozpoznał.

– Tak, to ich kopie wykonałem na jego zlecenie.

Wstał i poszedł do kuźni.

– Nareszcie coś mamy – odezwał się Stefan do Lindy. – To dziwny człowiek, ale ma dobrą pamięć i wygląda na spostrzegawczego.

Håkan Holmberg po chwili wrócił, niosąc stary, opasły notes. Usiadł i zaczął w nim wertować.

– 12 czerwca – powiedział. – Pan Lukas zostawił mi dwa klucze i poprosił o ich dorobienie najpóźniej na dwudziestego piątego. To mało czasu, bo zwykle mam masę innej roboty, ale dobrze mi za to zapłacił. Nie gardzę pieniędzmi, bo muszę utrzymać kuźnię i chcę raz w roku wyjechać w jakieś ciekawe miejsce.

– Czy podał jakiś adres?

– Nie.

– Numer telefonu?

Holmberg obrócił notes w stronę Stefana, który wyjął komórkę i wybrał zapisany numer.

– Zgłosiła się kwiaciarnia w Bjärred – powiedział, gdy się rozłączył. – Możemy być pewni, że ona nie ma nic wspólnego z panem Lukasem. Co było potem? – ponownie zwrócił się do kowala.

Holmberg znów przewertował notes.

– To mój dziennik pokładowy – powiedział. – Co prawda kuźnia to nie statek, choć odgłos młota uderzającego w kowadło czasem przypomina mi dźwięk pracującego silnika. 25 czerwca odebrał klucze i zniknął.

– Jak panu zapłacił?

– Gotówką.

– Wypisał mu pan jakiś rachunek?

– Nie, odnotowałem tylko to zamówienie na potrzeby moich rozliczeń. Uczciwie płacę podatki, mimo że to zlecenie było idealną okazją do popełnienia drobnego oszustwa.

– Niech pan opisz tego Lukasa.

– Wysoki, jasne włosy, trochę przerzedzone nad czołem. Miły, bardzo sympatyczny. Kiedy zostawiał klucze, miał na sobie garnitur, podobnie kiedy je odbierał, ale wtedy garnitur był inny.

– Czym tu przyjechał?

– Nie widzę ulicy z warsztatu, ale zakładam, że samochodem.

Linda zauważyła, że Stefan przymierza się do następnego pytania. Domyślała się, czego będzie chciał się dowiedzieć.

– Czy może pan opisać, w jaki sposób mówił?

– Z obcym akcentem.

– Jakim?

– Nie jestem pewien, ale musiał pochodzić ze Skandynawii. Nie był to fiński, raczej też nie islandzki. Zostaje więc duński albo norweski.

– Skąd ma pan pewność, że to nie był islandzki akcent? Łatwo odróżnić fiński, ale islandzki? Ja nawet nie wiem, jak brzmi.

– Ale ja wiem. Mam piękne nagranie islandzkiego aktora Pitura Einarssona, czytającego w oryginale sagi islandzkie.

– Czy może nam pan coś jeszcze dodać o tym człowieku?

– Nie, to już wszystko.

– Czy powiedział panu, że to klucze do kościelnych drzwi?

– Twierdził, że otwierają jakieś pomieszczenia w starym zamku.

– Powiedział, jaki to zamek?

Håkan Holmberg postukał fajką o stół i zmarszczył czoło.

– Chyba wymienił jakąś nazwę, ale nic sobie nie przypominam.

Linda i Stefan czekali chwilę w milczeniu. W końcu gospodarz pokręcił głową.

– Czy to mógł być zamek Rannesholm? – odezwała się Linda.

Znów to zrobiłam, pomyślała. Pytanie po prostu jej się wymknęło.

– Zgadza się – potwierdził Holmberg. – Powiedział, że to klucze do starej gorzelnii na zamku Rannesholm. Tak, teraz sobie przypominam, tak właśnie mówił.

Lindman nagle zaczął się spieszyć. Szybko dopił kawę i wstał.

– Dziękujemy panu – rzekł. – Bardzo nam pan pomógł.

– Kiedy się wyrabia klucze, życie nie ma prawa być nudne – podsumował Holmberg z uśmiechem. – Ciągłe zamykanie czegoś i otwieranie to prawdziwe zadanie człowieka na ziemi. Setkom lat historii towarzyszy ciągłe pobrzękiwanie pęku kluczy. Każdy klucz i każda dziurka od klucza mają swoją oddzielną historię. Właśnie poznaliśmy kolejną.

Odprowadził ich do drzwi wyjściowych.

– Kim był Wergiliusz? – spytała niespodziewanie Linda.

– Mistrzem Dantego – odparł Holmberg. – Wielkim poetą.

Na pożegnanie uchylił swój poszarpany kapelusz i zniknął za drzwiami. Linda i Stefan wsiedli do samochodu.

– W naszej pracy najczęściej spotykamy ludzi wystraszonych, roztrzęsionych lub wściekłych – powiedział z namysłem Lindman. – Rzadko zdarza się ktoś taki, jak ten. Wsadzę jego akta do swojego prywatnego archiwum osób, które zamierzam powspominać, kiedy będę już stary.

Kiedy wyjeżdżali z Sjöbo, Linda zwróciła uwagę na szyld małego hotelu. Zachichotała cicho. Stefan spojrzął na nią kątem oka, lecz o nic nie zapytał. Nagle zadzwoniła mu w kieszeni komórka. Odebrał, słuchał chwilę i rozłączywszy się, nacisnął na gaz.

– Twój ojciec rozmawiał z Anitą Tademán – wyjaśnił. – Wygląda na to, że powiedziała mu coś ważnego.

– Może będzie lepiej, jeśli nie zdradzisz mi, że pojechałam z tobą do Sjöbo – zaproponowała Linda. – Na dziś przewidział dla mnie inne zadanie.

– Jakie?

– Mam się spotykać i rozmawiać z Anną.

– Jeszcze zdążysz to zrobić.

Stefan podrzucił Lindę do centrum Ystad. Kiedy tylko zadzwoniła do drzwi Anny, od razu poczuła, że coś jest nie tak. Przyjaciółka miała łzy w oczach.

– Zebra zniknęła – wychlipała. – Jej synek tak strasznie płakał, że aż przyszli sąsiedzi. Okazało się, że jest sam w domu, a Zebry nie ma.

Linda wstrzymała oddech, czując, że strach dopada ją jak nagły atak bólu. Zrozumiała, że jest blisko paskudnej prawdy, którą powinna była sama odkryć już jakiś czas temu.

Spojrzała Annie w oczy i znalazła w nich odbicie własnego lęku.

Linda czuła się oszołomiona, jednocześnie miała niemal całkowitą jasność sytuacji. Była pewna, że Zebra nigdy dobrowolnie nie zostawiłaby swojego synka bez opieki. Musiało ją spotkać coś złego. Ale co? Linda czuła, że cały czas jest bardzo blisko czegoś, czego nie może uchwycić. Męczyła ją myśl, że wszystkie te wydarzenia mają ze sobą coś wspólnego. Ojciec zawsze jej powtarzał, że musi szukać wspólnego mianownika, lecz tym razem nie potrafiła go znaleźć.

Ponieważ Anna sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zdezorientowanej niż ona, to właśnie Linda musiała wziąć się w garść. Zaprowadziła Annę do kuchni, kazała jej usiąść przy stole i wszystko dokładnie opowiedzieć. Mimo że przyjaciółka ze zdenerwowania mówiła nieskładnie, wydobyć z niej najważniejszych informacji zajęło Lindzie zaledwie parę minut.

Sąsiadka Zebry, która często zajmowała się chłopcem, usłyszała płacz dziecka. Chłopiec długo nie przestawał krzyczeć i najwyraźniej nikt go nie uspokajał. Kobieta zadzwoniła do Zebry, najpierw na komórkę, a potem do drzwi. Nikt jej nie otworzył. Na szczęście miała klucz zapasowy, więc weszła do środka i zastała chłopca samego. Przestał płakać, kiedy tylko ją zobaczył.

Sąsiadka, niejaka Aina Rosberg, nie zauważyła w mieszkaniu Zebry niczego niepokojącego. Jak zawsze panował w nim bałagan, ale nie jak po przejściu huraganu. Kobieta dokładnie tak się wyraziła, powiedziała Anna. Jak po przejściu huraganu. Potem Aina zadzwoniła do kuzynki Zebry, Titchki, ale jej też nie było w domu, więc ostatecznie zawiadomiła Annę. Tak to z nią kiedyś ustaliła Zebra: gdyby coś się działo, sąsiadka miała najpierw zadzwonić do kuzynki, a potem do Anny.

– Kiedy to wszystko się stało? – spytała Linda.

– Dwie godziny temu.

– Czy Aina Rosberg już więcej nie dzwoniła?

– Ja do niej zadzwoniłam. Zebry dalej nie ma.

Linda zastanowiła się chwilę. Najchętniej od razu porozmawiała by z ojcem, ale jednocześnie doskonale wiedziała, co jej odpowie: dwie godziny to zdecydowanie za krótko. Z pewnością znajdzie się jakieś sensowne wytłumaczenie. Tylko po co Zebra miałaby zniknąć, pomyślała.

– Jedziemy tam – oznajmiła Annie. – Chcę zobaczyć jej mieszkanie.

Przyjaciółka nie protestowała. Dziesięć minut później drzwi do domu Zebry otworzyła im Aina Rosberg.

– Gdzie ona się podziewa? – spytała podenerwowana sąsiadka. – To do niej zupełnie niepodobne. Nikt tak przecież nie robi, żadna matka nie porzuciłaby w ten sposób dziecka. Co by się stało, gdybym nie usłyszała, że on płacze?

– Z pewnością niedługo wróci – uspokoiła ją Linda. – Byłoby najlepiej, gdyby chłopiec został na ten czas u pani.

– To oczywiste, że się nim zajmę – odparła kobieta, znikając za drzwiami swojego mieszkania.

Przekroczywszy próg domu Zebry, Linda poczuła jakiś dziwny zapach. Nagle stwierdziła, że na sercu zaciska się jej lodowata obręcz. Zrozumiała, że przyjaciółkę spotkało coś złego. Nie wyszła z domu dobrowolnie.

– Czujesz ten zapach? – spytała Annę.

Ta pokręciła głową.

– Jest ostry i nieprzyjemny, jakby ktoś rozlał ocet.

– Ja nic nie czuję.

Linda usiadła w kuchni przy stole, Anna zaś na kanapie w salonie. Linda widziała ją przez otwarte drzwi. Anna zachowywała się niespokojnie,

splotła ramiona, ale cały czas pocierała sobie skórę dłońmi i szczypała ją. Linda spróbowała opanować nerwy i spokojnie się zastanowić. Wstała, podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Przywoływała w myślach Zebra, mając nadzieję, że ta zaraz zjawi się pod kamienicą. W którą stronę poszła, zastanawiała się. W prawo czy w lewo? Czy była sama? Linda wbiła wzrok w znajdujący się po drugiej stronie ulicy kiosk. W otwartych drzwiach do budki stał i palił papierosa zwalisty mężczyzna. W pewnej chwili przyszedł jakiś klient. Mężczyzna wszedł za nim do środka, a potem znów wyszedł. Linda postanowiła, że spróbuje się czegoś od niego dowiedzieć.

Anna wciąż nerwowo siedziała na kanapie. Linda poklepała ją po ramieniu.

– Zebra na pewno wkrótce wróci – powiedziała. – Z pewnością nie stało jej się nic złego. Zejdę na moment do kiosku. Zaraz wracam.

Tekst na kartce przyklepionej do kasy głosił, że wszyscy są mile widziani w „Trafice Jassara”. Linda kupiła gumę do żucia.

– W domu naprzeciwko mieszka pewna dziewczyna – zagadnęła sprzedawcę. – Ma na imię Zeba, kojarzy ją pan?

– Zebra? No pewnie. Zawsze kiedy ją widzę, daję coś jej maluchowi – odparł mężczyzna.

– Widział ją pan dzisiaj?

Sprzedawca odparł bez wahania.

– Parę godzin temu, koło dziesiątej. Mocowałem przed sklepem reklamę, którą mi zwało, a potem...

– Czy była sama? – przerwała mu Linda.

– Nie, szła z jakimś mężczyzną.

Linda poczuła, że serce zaczyna jej bić jak oszałałe.

– Widział pan go wcześniej?

Jassar na moment zamilkł, wyglądał na zdziwionego. W końcu sam zaczął zadawać pytania.

– Dlaczego pani o to pyta? Kim pani jest?

– Musiał mnie pan kiedyś widzieć, jestem przyjaciółką Zebry.

– Ale dlaczego zadaje mi pani takie dziwne pytania?

– Muszę się tego dowiedzieć.

– Czy coś się stało?

– Nie, nic. Widział pan już kiedyś tego mężczyznę?

– Nie. Przyjechał małym szarym samochodem. Był wysoki, ale zdawało mi się, że Zebra się w jego stronę pochyła.

– Jak to?

– Pochylała się, a raczej się o niego opierała. Tak jakby nie mogła iść sama.

– Może pan go opisać?

– Wysoki. Nic więcej nie pamiętam. Miał kapelusz i długi płaszcz.

– Kapelusz?

– Szary kapelusz. Albo niebieski. Płaszcz był długi i szary. Wszystko w nim było szare albo niebieskie.

– Zapamiętał pan numery rejestracyjne?

– Nie.

– Jakie to było auto?

– Nie pamiętam. Dlaczego mnie pani o to wszystko wypytuje? Przychodzi pani do mojego sklepu i przesłuchuje mnie jak policja.

– Jestem z policji – rzuciła Linda, wychodząc.

Kiedy wróciła, Anna wciąż niespokojnie wierciła się na kanapie. Na jej widok Lindę znów ogarnęło uczucie, że nie dostrzega czegoś ważnego, że ma coś tuż pod nosem, ale nie jest wystarczająco bystra, by się domyślić, co to takiego. Usiadła obok przyjaciółki.



– Powinnaś wrócić do domu – powiedziała. – Na wypadek gdyby Zebra do ciebie zadzwoniła. Ja pojedę na komendę i porozmawiam z ojcem. Podrzucisz mnie?

Nagle Anna wbiła palce w jej przedramię, tak mocno, że Linda aż podskoczyła. Po chwili równie szybko rozluźniła uchwyt. Lindzie przyszło na myśl, że to nietypowa reakcja, mimo że przyjaciółka jest zdenerwowana. Nie zaskoczyła ją sama reakcja, ale fakt, że Anna ścisnęła ją z taką siłą.

Kiedy Linda weszła do komendy, ktoś z recepcji zawołał do niej, że ojciec jest u prokuratora, w drugim skrzydle. Od razu tam ruszyła, ale zastała zamknięte drzwi. Po chwili została wpuszczona przez funkcjonariuszkę, która ją rozpoznała.

– Szuka pani ojca? – spytała. – Jest tam, w małej salce.

Wskazała palcem jedne z wielu drzwi w korytarzu. Świeciła się nad nimi czerwona lampka. Linda usiadła na krześle, żeby zaczekać. Czuła, że w głowie aż huczy jej od pytań. Nie była w stanie skupić się i przeanalizować tego, co udało jej się dotychczas ustalić, aby uporządkować elementy tej zagadkowej układanki w logiczny łańcuch zdarzeń.

Czekała już ponad dziesięć minut, kiedy zza drzwi wyłoniła się Ann-Britt Höglund, która obrzuciła Lindę pytającym spojrzeniem. Odwróciła się na pięcie w stronę pokoju.

– Masz gościa – rzuciła i poszła.

Po chwili w progu pokazał się ojciec w towarzystwie bardzo młodego prokuratora. Wallander przedstawił mu córkę. Kiedy prokurator poszedł, Linda poprosiła ojca, by na moment usiedli. Opowiedziała mu o tym, co się wydarzyło, nie starając się nawet opisywać wszystkiego ze szczegółami i chronologicznie. Kiedy skończyła, ojciec długo milczał, potem zadał jej parę pytań, przede wszystkim o relację sprzedawcy z kiosku po drugiej

stronie ulicy. Kilkakrotnie dopytywał o to, w jaki sposób Jassar opisał fakt, że Zebra „wspierała się” na mężczyźnie, który jej towarzyszył.

– Czy ona ma zwyczaj klejenia się do mężczyzn? – zapytał.

– To raczej faceci się do niej kleją. Zebra jest twarda i nie okazuje słabości, mimo że ma ich całkiem sporo.

– Jak myślisz, co tam się stało?

– Nie wiem, ale jestem pewna, że coś niedobrego.

– Uważasz, że ten mężczyzna wyprowadził ją z mieszkania wbrew jej woli?

– Być może.

– Dlaczego nie wołała o pomoc?

Linda pokręciła głową. Nie czekając na odpowiedź, Wallander wstał.

– Być może dlatego, że nie mogła krzyknąć – sam odparł na swoje pytanie.

– Więc myślisz, że się do niego nie kleiła, tylko została nafaszerowana jakimiś prochami i podpierał ją, bo nie mogła iść sama?

– Tak właśnie myślę.

Kurt ruszył prosto do swojego pokoju. Linda z trudem dotrzymywała mu kroku. Po drodze zapukał do na wpół otwartych drzwi pokoju Lindmana. Otworzył je, ale w środku nie było nikogo. Na korytarzu pojawił się Martinsson. Niósł wielkiego pluszowego niedźwiedzia.

– Co ty targasz? – zapytał Wallander poirytowanym tonem.

– To miś wyprodukowany na Tajwanie. Ma w brzuchu sporą porcję amfetaminy.

– Niech ktoś inny się tym zajmie.

– Właśnie miałem go przekazać Svartmannowi – odparł Martinsson, nie ukrywając, że też się zdenerwował.

– Spróbuj zebrać ludzi na spotkanie za pół godziny. Tylu, ilu się da.

Martinsson odszedł. Pierwszą rzeczą, którą Linda zauważyła po wejściu do pokoju ojca, były wciąż leżące na tym samym miejscu kawałki porcelanowego byka.

– Nie zamierzam go sklejać – wyjaśnił ojciec. – Ale pomyślałem sobie, że będzie tu leżał tak długo, aż cała ta zagmatwana sprawa się wyjaśni.

Pochylił się ponad biurkiem w stronę Lindy.

– Nie zapytałaś przypadkiem tego Jassara, czy słyszał, żeby ten mężczyzna coś mówił?

– Nie, nie pomyślałam o tym.

Ojciec podał jej słuchawkę telefonu.

– Zadzwoń do niego.

– Nie znam numeru.

Wystukawszy sześć cyfr, Wallander dodzwonił się do biura numerów. Potem przekazał słuchawkę Lindzie. Podała adres i poprosiła o połączenie ze sklepikiem.

Odebrał Jassar. Powiedział jej, że nie słyszał, by mężczyzna cokolwiek mówił.

– Zaczynam się poważnie martwić – dodał. – Powie mi pani, co się stało?

– Nic takiego – odparła Linda. – Dziękuję za pomoc.

Oddała słuchawkę ojcu.

– Nieznajomy nie odezwał się słowem – oznajmiła.

Wallander siedział w milczeniu, kołysał się na krześle, wpatrując się we własne dłonie. Z korytarza dochodziły głosy przechodzących osób.

– Nie podoba mi się to – odezwał się w końcu. – Sąsiadka twojej koleżanki ma rację. Nie zostawia się małego dziecka w ten sposób.

– Cały czas mam takie dziwne poczucie – powiedziała. – Wrażenie, że powinnam coś dostrzec, coś, co mam tuż pod nosem. Chodzi mi o wspólny

mianownik tych wszystkich pojedynczych wydarzeń, no wiesz, sam o tym często mówisz. Ale chyba nie jestem w stanie.

Ojciec spojrzał na nią z uwagą.

– Masz przecucie, że właściwie wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

Linda pokręciła głową z wahaniem.

– To raczej wrażenie, że wiedziałam, że coś takiego się stanie. Nie mam pojęcia, jak ci to wytłumaczyć, ale zdaje mi się, że to wcale nie Zebra zniknęła, tylko w jakiś sposób znów spotkało to Annę.

Wallander długo się jej przyglądał.

– Czy możesz spróbować mi wyjaśnić, co masz na myśli? – odezwał się wreszcie.

– Nie.

– Więc damy tobie i Zebrze jeszcze parę godzin. Jeżeli wkrótce nie wróci, a ty dalej nie będziesz umiała mi tego wyjaśnić, zaczniemy działać. Do tego czasu proszę cię, żebyś została na komendzie.

Linda ruszyła za ojcem do salki konferencyjnej. Kiedy wszyscy już dotarli na spotkanie i zamknięto drzwi, Wallander zaczął opowiadać o Zebrze. Atmosfera w pomieszczeniu była napięta.

– Zbyt wiele osób ostatnio znika – powiedział na zakończenie. – Rozpływają się w powietrzu, potem nagle zjawiają się i znowu znikają. Z jakiejś niewyjaśnionej do tej pory przyczyny wydarzenia te wydają się skupiać wokół mojej córki i jej znajomych. To rzecz jasna sprawia, że jeszcze mniej mi się to wszystko podoba.

Bawiąc się nerwowo długopisem, Kurt streścił zebrany rozmowę z Anitą Tademą. Linda na próżno próbowała się skupić. Otrząsnęła się energicznie, Lindman zerknął na nią z uśmiechem. Odwzajemniła uśmiech i znów spojrzała na ojca.

– Anita Tademán nie jest typem sympatycznej kobiety. Prędzej nazwałbym ją arogancką i nadętą przedstawicielką skańskiej klasy wyższej, która wciąż jeszcze mieszka w zamkach i włada rozległymi włościami. Dobrze zrobiła, przychodząc tutaj, bo miała naprawdę coś ważnego do powiedzenia. Jakiś jej krewny, mieszkający w pobliżu zamku, widział grupę ludzi przemierzającą się w pobliżu lasu. Liczyła około dwudziestu osób. Pojawili się nagle i równie szybko zniknęli. Mogła to być jakaś wycieczka, chociaż ich zachowanie, przede wszystkim fakt, że bardzo starali się być niewidoczni, może wskazywać na coś innego.

– Co takiego? – przerwała mu Ann-Britt Höglund.

– Tego nie wiemy, ale w tym lesie znaleźliśmy już jedną kryjówkę i została tam zamordowana kobieta.

– Przecież w tym szalasie nie zmieściłoby się dwadzieścia osób.

– Jestem tego świadomy, mimo to uważam, że to ważna informacja. W końcu zgodnie stwierdziliśmy, zwłaszcza po zabójstwie w kościele we Frennestad, że sprawców musiało być więcej niż dwóch. Nowe informacje mogą oznaczać, że jest ich jeszcze więcej.

– To nie brzmi rozsądnie – odezwał się Martinsson. – Sugerujesz, że mamy do czynienia z całą bandą morderców?

– Może to jakaś sekta? – wtrącił Lindman.

– Albo jedno i drugie – uciął Wallander. – A najprędzej coś, czego jeszcze nie udało nam się ustalić. Może się okazać, że to fałszywy trop. Nie wyciągajmy na razie żadnych wniosków. Jeszcze na to za wcześnie. Działajmy dalej zgodnie z harmonogramem, a pani Tademán na razie podziękujemy.

Kiedy przyszła kolej na Lindmana, opowiedział o spotkaniu z Håkanem Holmbergiem. Nie wspomniał ani słowem, że Linda mu towarzyszyła.

– A więc znów pojawia się człowiek, który mówi z obcym akcentem – podsumował Wallander. – To nasz norweski trop. Albo duńsko-norweski.

Ten facet pojawia się wciąż tu i tam, wyskakuje jak królik z kapelusza. Chyba możemy uznać, że klucze, które zamówił, pasowały do drzwi kościołów w Hurup i Frennestad.

– To już wiemy na pewno – odezwał się Nyberg. – Porównałem je.

W pokoju zapadła cisza.

– A więc jakiś Norweg zamówił kopie kluczy do dwóch różnych kościołów – kontynuował po dłuższej chwili Wallander. – W jednym z nich uduszono pewną Amerykankę. Kto to zrobił i dlaczego? Na te dwa pytania musimy jak najprędzej znaleźć odpowiedź.

Przerwał na moment, odwracając się w stronę Ann-Britt.

– Co nasi duńscy koledzy powiedzieli na temat tego Vigstena? – zapytał.

– Jest emerytowanym nauczycielem gry na fortepianie – odparła. – Wcześniej uczył w Królewskim Konserwatorium, był wtedy ponoć znanym i bardzo zdolnym pedagogiem. Teraz pograżył się w swoim świecie i coraz trudniej mu dbać o siebie samego. Nikt nie słyszał, żeby ktoś u niego mieszkał. Nawet on sam temu zaprzecza.

– A Larsen?

– Obstaje przy swoich wcześniejszych zeznaniach.

Zanim Wallander zaczął mówić, znów przelotnie spojrzął na córkę.

– Dobrze, skoro już o tym mowa, zostanmy przy Danii – powiedział. – Co wiemy o tej zabitej kobiecie, Sylvii Rasmussen?

Martinsson przewertował jakieś papiery.

– Zanim dotarła do Danii jako nielegalna imigrantka, nazywała się inaczej. Poza tym była uzależniona od narkotyków, słowem, przeszła całą dobrze znaną drogę wiodącą do prostytutki. Wygląda na to, że klienci i jej znajomi bardzo ją lubili. Nikt nie powiedział o niej niczego złego. Zdaje się, że w jej życiu nigdy nie wydarzyło się nic godnego uwagi, rzecz jasna oprócz tego, że okazało się ono jedną wielką tragedią.

Martinsson jeszcze raz przebiegł wzrokiem notatki, zanim je odłożył na stół.

– Nikt nie wie, kim był jej ostatni klient – dodał na zakończenie.

– Nie prowadziła żadnego dziennika? – spytał Wallander.

– Nie. W jej mieszkaniu zabezpieczyliśmy odciski palców dwunastu osób. Laboratorium je właśnie bada i dadzą nam znać, jeśli znajdą coś godnego uwagi.

Linda odniosła wrażenie, że ojciec wszystkich poganiał. Starał się od razu analizować informacje, które do niego spływały, niczego nie przyjmował obojętnie, we wszystkim doszukiwał się ukrytych, niewidocznych na pierwszy rzut oka znaczeń.

– Ta kobieta w kościele – mówił dalej Wallander. – Dostaliśmy kompletną dokumentację na jej temat od naszych uczynnych kolegów z Tulsy. Pan Richardsson przeszedł siebie samego i zdaje się, że na tym nie poprzestał. Dosłownie zasypuje nas listami i faksami. Szkoda tylko, że na razie w niczym nam to nie pomogło. Wciąż nie potrafimy wyjaśnić, skąd ta Amerykanka nagle się wzięła w jednym z naszych kościołów i została w nim uduszona.

Wreszcie skończył podsumowywać ostatnie zdarzenia i otworzył dyskusję. Linda była jedyną osobą, która nie zabrała głosu. Po trzydziestu minutach zrobili przerwę na kawę i wietrzenie sali. Lindzie powierzono zadanie pilnowania, by nie zrobił się przeciąg, lecz nagły podmuch wiatru zdmuchnął papiery Martinssona na ziemię. Schyliła się, żeby je pozbierać, i wtedy wpadło jej w ręce zdjęcie Sylvii Rasmussen. Wpatrywała się przez chwilę w twarz martwej kobiety. Było w jej oczach coś przerażającego. Linda aż się zatrzęsała na myśl o jej tragicznym losie.

Właśnie miała odłożyć kartki na stół, kiedy mimochodem przeczytała jeden z zapisków. Sylvi Rasmussen przeszła trzy zabiegi usunięcia ciąży. Wpatrując się w notatkę, Linda nagle zaczęła myśleć o dwóch duńskich

żeglarzach siedzących przy stoliku w kawiarni, małym chłopcu bawiącym się na podłodze oraz Zebrze opowiadającej jej i Annie o aborcji, której kiedyś się poddała. Przypomniała sobie gwałtowną reakcję Anny. Linda stała przy stole bez ruchu i wstrzymała oddech. Nie mogła oderwać wzroku od zdjęcia Sylvii Rasmussen.

Nagle do pokoju wszedł ojciec.

– Chyba już rozumiem – powiedziała.

– Co takiego?

– Odpowiedz mi na jedno pytanie. Chodzi o tę kobietę z Tulsy.

– Tak?

Linda pokręciła głową i wskazała palcem na drzwi.

– Zamknij je – poprosiła.

– Jesteśmy w trakcie spotkania.

– Nie mogę się skupić, kiedy wszyscy tu siedzą. Wydaje mi się, że mam coś ważnego do powiedzenia.

Wallander zrozumiał, że Linda mówi serio. Podeszedł do drzwi i je zamknął.



Po jakimś czasie Linda doszła do wniosku, że w tamtej chwili ojciec po raz pierwszy, bez cienia wahania, potraktował ją całkiem poważnie. Przynajmniej od momentu, kiedy stała się dorosłą kobietą. Będąc jeszcze dzieckiem, kiedy małżeństwo rodziców przechodziło najcięższe chwile, Linda na wpół nieświadomie, acz z całkowitą pewnością uważała, że ojciec traktuje ją całkiem serio. Potem nadszedł okres, gdy zachowywał się w stosunku do niej bardziej jak starszy brat, za którym w głębi ducha zawsze tęskniła. Jeszcze później jego zachowania bywały zmienne, często skrajnie się od siebie różniły, ale zawsze pozostawały mniej lub bardziej uciążliwe. Do tej pory wstrząsały nią dreszcze na wspomnienie scen zazdrości, które urządzał jej ojciec, gdy poznawał jej kolejnych chłopaków.

Co najmniej dwa razy zdarzyło mu się siłą wyrzucić z domu jakiegoś Bogu ducha winnego zalotnika, a pewnego wieczoru nawet obserwował ją z ukrycia, kiedy spędzała wieczór z przyjaciółmi w porcie w Ystad.

Zrozumiawszy, że Linda ma coś naprawdę ważnego do zakomunikowania, ojciec wystawił głowę za drzwi i powiedział, że dalsza część spotkania trochę się opóźni. Ktoś zaprotestował, ale Wallander po prostu zamknął drzwi.

Usiadł naprzeciwko Lindy.

– O co chciałaś mnie zapytać?

– Ta kobieta, Harriet Bolson, czy ona kiedyś poddała się aborcji? I czy zrobiła to też Birgitta Medberg? O ile się nie mylę, w pierwszym wypadku odpowiedź brzmi „tak”, w drugim „nie”.

Wallander zmarszczył czoło, robiąc najpierw zdziwioną, a zaraz po tym zniecierpliwioną minę. Sięgnął po teczkę z materiałami śledztwa i zaczął

wertować papiery z widocznie rosnącą irytacją. Po chwili odrzucił je na bok.

– Nie ma tu ani słowa o jakiegokolwiek aborcji – mruknął.

– Ale czy w tych papierach macie wszystko na temat Harriet Bolson?

– Jasne, że nie. Opis całego życia człowieka, niezależnie od tego, jak nudne by ono było, zapełniłby o wiele więcej kartek niż te, które mamy w tej teczce. Wygląda na to, że życie Harriet Bolson nie było szczególnie pasjonujące, ale jeśli kiedykolwiek podjęła tak dramatyczną decyzję, jaką jest usunięcie ciąży, nie wyczytam tego z materiałów, które przysłał nam Clark Richardson.

– A Birgitta Medberg?

– Nie mam pojęcia, jednak łatwo to będzie sprawdzić. Wystarczy zadzwonić do jej niesympatycznej córki. Chociaż nie mam pewności, czy takie rzeczy opowiada się własnym dzieciom. Nie słyszałem, żeby Mona kiedykolwiek usunęła ciążę. Tobie coś o tym wiadomo?

– Nie.

– Czy to znaczy, że nigdy tego nie zrobiła, czy nic o tym nie wiesz?

– Mama nigdy nie usunęła żadnej ciąży. Wiedziałabym o tym.

– Nic z tego nie rozumiem. Nie mam nawet pojęcia, co w tym wszystkim jest ważne.

Linda starała się skupić. Wiedziała, że opiera się tylko na przeczuciu, ale jednocześnie miała pewność, że się nie myli.

– Czy możesz spróbować ustalić, czy one przeszły ten zabieg?

– Zrobię to, jeśli mi powiesz, dlaczego to takie ważne.

Nagle coś w Lindzie pękło. Uderzyła pięściami o stół i zaczęła płakać. Nie cierpiała rozklejać się przed ojcem, właściwie nie tylko przed nim, przed kimkolwiek. Jediną osobą, której się w takich chwilach nie wstydziła, był dziadek.

– Dobrze, poproszę kogoś, żeby się tym zajął – powiedział Wallander, wstając od stołu. – Ale kiedy tu wrócę, wyjaśnisz mi, dlaczego musiałem z tego powodu przesunąć spotkanie. Zajmujemy się tu prawdziwymi zbrodniami, to nie są jakieś szkolne ćwiczenia.

W przypiływie nagłej wściekłości Linda cisnęła w ojca stojącą na stole szklaną popielniczką. Trafiła go tuż nad okiem i przecięła mu brew. Z rany natychmiast zaczęły kapać czerwone krople. Spadły na teczkę z materiałami na temat Harriet Bolson.

– Nie chciałam – powiedziała cicho Linda.

Ojciec nic nie powiedział, tylko przycisnął papierową serwetkę do czoła.

– Nie znoszę, kiedy mnie tak traktujesz – tłumaczyła się dalej.

Gdy Wallander wyszedł z pokoju, Linda pozbierała kawałki rozbitej popielniczki. Była tak zdenerwowana, że cała się trzęsła. Wiedziała, że ojciec wpadł w szal, bo żadne z nich nie znosiło upokorzeń. Niczego jednak nie żałowała.

Minął kwadrans, zanim Kurt Wallander wrócił. Na czole miał prowizoryczny opatrunek i zaschniętą strużkę krwi na policzku. Linda była przygotowana na to, że ojciec zaraz zacznie na nią wrzeszczeć. On jednak w milczeniu usiadł na krześle.

– Jak twoja brew? – zapytała.

Wallander zbył jej pytanie milczeniem.

– Ann-Britt zadzwoniła do Vanji Jorner, córki Birgitty Medberg – powiedział. – Wściekła się, kiedy usłyszała pytanie i zagroziła, że zawiadomi wieczorną prasę o żalosalnej pracy policji. Mimo to Ann-Britt zdołała wymusić na niej odpowiedź, że Birgitta Medberg z dużym prawdopodobieństwem nigdy świadomie nie poddała się zabiegowi usunięcia ciąży.

– Tak myślałam – wymamrotała Linda. – A ta druga? Ta z Tulsy?

– Ann-Britt właśnie dzwoni do Stanów. Nie mogliśmy dojść do porozumienia, która tam jest teraz godzina. Zdecydowała się zadzwonić, bo przesyłanie tych informacji faksem zajęłoby dużo więcej czasu.

Wallander dotknął plastra na czole.

– Teraz twoja kolej – powiedział.

Linda mówiła powoli, starając się panować nad drżeniem głosu, ale także po to, żeby nie pominąć żadnego szczegółu.

– W pewnej chwili stanęło mi przed oczami pięć kobiet – mówiła. – Trzy z nich nie żyją, jedna zaginęła, a trzecia też zniknęła, ale potem się odnalazła. I nagle zorientowałam się, że coś je łączy. Wychodziecie z założenia, że Birgitta Medberg zginęła, bo znalazła się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Ja też myślę, że ona nie jest częścią tego, co przynajmniej w jakimś procencie wyjaśnia wszystkie ostatnie zdarzenia. Sylvi Rasmussen została zamordowana. Z papierów, które przysły z Kopenhagi, wynika, że kilka razy usunęła ciążę. Załóżmy, że w sprawie Harriet Bolson przyjdą z USA podobne informacje. To samo dotyczy czwartej kobiety, tej aktualnie zaginionej: Zebry. Zaledwie parę dni temu zwierzyła mi się, że kiedyś usunęła ciążę. Być może właśnie to łączy je wszystkie.

Linda zamilkła i napiła się wody. Ojciec wpatrywał się w ścianę, bębniąc palcami o stół.

– I tak nic z tego nie rozumiem – powiedział.

– Jeszcze nie skończyłam. Zebra zwierzyła się nie tylko mnie, ale też Annie. Reakcja Anny była co najmniej dziwna. Zdenerwowała się tak bardzo, że obie z Zebra nie mogłyśmy się temu nadziwić. Dała nam do zrozumienia, że zdecydowanie odcina się od kobiet, które poddały się zabiegowi aborcji, chociaż moim zdaniem jej reakcja zdradzała otwartą wrogość. Po prostu wstała i wyszła. A potem, przekazując mi wiadomość

o zniknięciu Zebry, cała się trzęsła, wbiła mi paznokcie w ramię, wyglądała na przerażoną. Jak gdyby bała się nie o Zebkę, ale o siebie samą.

Linda ucichła. Ojciec znów sprawdził, czy plaster na jego czole się trzyma.

– Co masz na myśli, mówiąc, że Anna bała się o siebie?

– Nie wiem.

– Chociaż spróbuj mi to wyjaśnić.

– Mówię, jak jest. Jestem tego pewna i jednocześnie mam wątpliwości.

– Jak to możliwe?

– Nie wiem.

Wallander wbił wzrok w ścianę ponad jej głową. Linda wiedziała, że takie zachowanie u ojca oznacza dużą koncentrację.

– Chcę, żebyś opowiedziała o tym reszcie – odezwał się w końcu.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Za bardzo się denerwuję. Poza tym mogę się mylić. Może ta kobieta z Tulsy wcale nie usunęła ciąży?

– Masz godzinę, żeby się przygotować – zakomunikował Kurt, wstając.

– Nie mogę dać ci więcej czasu. Powiem reszcie.

Wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi. Linda nagle poczuła niemoc, która uniemożliwiała jej wyjście z pokoju. Ojciec mnie tu zamknął, pomyślała. Nie na klucz, ale dając mi jedynie godzinę na przygotowanie. Po chwili sięgnęła po jakiś leżący na stole notes, żeby spróbować spisać wszystkie swoje przemyślenia. Na pierwszej kartce ktoś naszkicował nagą kobietę w lubieżnej pozie. Linda ze zdziwieniem przeczytała, że to notatnik Martinssona. Właściwie nie ma w tym nic zaskakującego, przyszło jej zaraz na myśl. Nie ma nic dziwnego w tym, że ktoś, kogo się zna, poświęca czas w pracy na fantazjowanie o nagich kobietach.

Wstała i przyniosła czysty notatnik z kupki obok projektora multimedialnego. Usiadłszy na miejscu, zapisała nazwiska pięciu kobiet, a imię Zebry zakreśliła kółkiem.

Po czterdziestu pięciu minutach otworzyły się drzwi i Lindę oficjalnie zwolniono z nieformalnego więzienia. Do pokoju wmaszerowała delegacja, na której czele szedł ojciec. Machał jakąś kartką papieru.

– Harriet Bolson usunęła dwie cięższe – oznajmił.

Przytknął wciąż nienaprawione okulary do oczu i głośno odczytał:

– *We do not talk easily and openly about these matters over here. I had to rise my voice, and it helped. Yes, Sir, indeed that woman did twice what you thought. I guess it is important. Why?*<sup>10</sup>

Usiadł przy stole, reszta zrobiła to samo.

– Najważniejsze dla nas jest jedno pytanie. *Dlaczego?* Musimy to jak najprędzej ustalić. Proszę bardzo, Lindo, przedstaw wszystkim twoją teorię.

Linda wzięła głęboki oddech, a potem udało jej się, nie tracąc wątku, jeszcze raz opowiedzieć o swoich podejrzeniach. Kiedy skończyła, odezwał się ojciec.

– Sądzę, że Linda natknęła się na coś ważnego. Nie mam co do tego pewności, dlatego powinniśmy poruszać się po tym terenie z największą ostrożnością. Jest grząski. Jednak jej spostrzeżenia dają nam wreszcie coś, czego dotychczas nie mieliśmy – punkt oparcia.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju dyskretnie wślizgnęła się Lisa Holgersson. Zajęła miejsce przy stole. Kurt Wallander upuścił kartkę papieru i z wciąż uniesionymi rękami przez chwilę wyglądał tak, jakby zaraz miał zacząć dyrygować orkiestrą.

– Wydaje mi się, że mamy przed oczami coś ważnego, choć w tej chwili jeszcze nie jesteśmy w stanie dostrzec w tym całości.

Wstał i przysunął bliżej tablicę z kartkami. Kiedy przewrócił stronę, oczom wszystkim ukazał się napis „Żądamy podwyżek!”. Przez pokój przetoczyła się fala stłumionego śmiechu. Zachichotała nawet Lisa Holgersson. Wallander, uśmiechając się przyjaźnie, znów przewrócił kartkę.

– Jak wiecie, nie lubię, żeby mi przerywano. Skargi i wnioski proszę składać po zakończeniu spotkania.

– Przyniosłem pomidory – odezwał się różnym tonem Martinsson. – A Ann-Britt zgniłe jajka. Reszta użyje ostrej amunicji. Twoja córka już ci przedstawiła swoje stanowisko, o czym świadczy opatrunek na twoim czole. Wyglądasz jak Döbeln spod Jutas<sup>11</sup>.

– Jak kto? – zapytał Lindman.

– Facet, który bronił mostu w Finlandii – odparł Martinsson. – Niczego nie nauczyli cię w szkole?

– Ten, który strzegł mostu, nazywał się jakoś inaczej – wtrąciła Ann-Britt Höglund. – Czytaliśmy to w szkole, napisał to jakiś rosyjski pisarz.

– Fiński – włączyła się ku swemu własnemu zdziwieniu Linda. – Nazywał się Topelius.

– Dajcie spokój, do cholery – mruknął Wallander.

Martinsson wstał.

– Zaraz to wyjaśnimy – oznajmił, wychodząc z pokoju. – Zadzwonię do Albina, mojego brata. Jest nauczycielem.

– Moim zdaniem to nie był Sibelius – odezwała się Lisa Holgersson. – Ale ktoś o podobnie brzmiącym nazwisku.

Martinsson wrócił po paru minutach. Czekano na niego w milczeniu.

– Runeberg – zakomunikował. – Tak czy inaczej, Döbeln spod Jutas miał nad okiem wielki bandaż, w tym miałem rację.

– Ale z całą pewnością nie bronił żadnego mostu – mruknęła Ann-Britt Höglund.

W pokoju zapadła cisza.

– Dobrze więc, spróbuję podsumować to, co dotychczas ustaliliśmy – zmienił temat Wallander.

Po długiej przemowie zajął swoje miejsce przy stole.

– Popełniliśmy błąd – dodał. – Dlaczego nie poprosiliśmy sprzedawcy nieruchomości w Skurup, tego, który sprzedał dom za kościołem w Lestarp, żeby przesłuchał taśmę z nagraniem zgłoszenia o płonących łabędziach? Niech tu jak najszybciej przyjedzie. Zajmij się tym – zwrócił się do Martinssona.

Ten wstał i wyszedł. Stefan Lindman uchylił okno.

– Czy zapytaliśmy naszych norweskich kolegów o tego Torgeira Langaasa? – odezwała się Lisa Holgersson.

Wallander spojrzał na Ann-Britt Höglund.

– Tak, ale jeszcze nam nie odpowiedzieli – wyjaśniła Ann-Britt.

– Czas na jakiś wniosek – oznajmił Kurt i spojrzał na zegarek, dając wszystkim do zrozumienia, że zamierza niebawem zakończyć spotkanie. – Wiem, że na to za wcześnie, ale chcę, żebyśmy pracowali dwutorowo. Pierwsza wersja zakłada, że to wszystko się ze sobą łączy, druga, że poszczególne zdarzenia nijak się do siebie mają. Przyjmijmy, że wersja pierwsza jest dla nas ważniejsza. Mamy do czynienia z ludźmi, którzy wszystko starannie planują i których działania z pozoru wydają się czystym szaleństwem, lecz zapewne dla nich samych składają się w logiczną całość. Mamy już trzy ofiary, podpalenia, rytualne zabójstwa. Poza tym nie mogę przestać myśleć o Biblii, w której ktoś pozmieniał tekst. Łatwo jest okrzyknąć sprawcę szaleńcem, ale istnieje ryzyko, że on wcale nim nie jest. Ma dokładny plan, odpowiednio dobranych ludzi i niestety wyjątkowo brutalny sposób traktowania bliźnich. Na dodatek nie mogę oprzeć się wrażeniu, że trzeba się spieszyć, bo dramatyczne wydarzenia następują po sobie coraz szybciej. Oni mają jakiś cel, coś ich napędza. Naszym najważniejszym zadaniem jest odnalezienie Zebry i rozmowa z Anną



Westin. Chcę, żebyś ty po nią pojechała – zwrócił się do Lindy. – Przywieź ją na sympatyczną, ale niecierpiącą zwłoki rozmowę. Niech jej powodem będzie nagłe zniknięcie Zebry.

– Kto się zajmie dzieckiem? – zapytała Lindę Ann-Britt Höglund, dając jej po raz pierwszy do zrozumienia, że ją dostrzega.

– Sąsiadka, która czasem z nim zostawała.

W końcu Wallander uderzył otwartą dłonią o blat stołu, na znak, że zebranie skończone.

– Torgeir Langaas – powiedział, patrząc na Ann-Britt. – Przyciśnij naszych norweskich kolegów. Ja i reszta zajmiemy się odnalezieniem Zebry.

Po zebraniu Linda poszła z ojcem na kawę. Przez piętnaście minut nie odezwali się do siebie ani słowem. Ciszę przerwał Svartmann, który się do nich dosiadł.

– W Västerås znaleźli odciski palców pasujące do tych z Eslöv. Prawdopodobnie mają też pasujące do siebie ślady opon. To znaczy nie takie same jak w Västerås i Eslöv, ale jak w Sölvesborg i Trelleborg. Pomyślałem, że będziesz chciał o tym wiedzieć.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – odparł Wallander. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Svartman zrobił zmartwioną minę. Linda dobrze wiedziała, jak nieprzyjemny potrafi być ojciec, kiedy jest w złym humorze.

– Dynamit – wyjaśnił Svartman. – Chodzi o kradzieże dynamitu.

– Nie mam teraz czasu. Czy nie może się tym zająć ktoś inny?

– Ja się tym zajmuję. Wcześniej zażyczyłeś sobie, żeby cię o wszystkim informować.

– Naprawdę? – zdziwił się Kurt. – Zapomniałem. Ale teraz przynajmniej wiem, że coś się dzieje.

Svartman wstał i odszedł.

– O czym on mówił? – spytała Linda.

– Jakiś miesiąc temu mieliśmy zgłoszenie kradzieży dynamitu w paru miejscach naraz. Uznaliśmy, że te kradzieże są ze sobą powiązane. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się w Szwecji, żeby ktoś zwinął taką ilość środków wybuchowych w jednym czasie.

Przeszli do jego pokoju. Po dwudziestu minutach Martinsson zapukał do drzwi i od razu je otworzył. Zawahał się, kiedy zobaczył Lindę.

– Przepraszam – mruknął.

– O co chodzi? – zapytał Wallander.

– Przyjechał Ture Magnusson, żeby przesłuchać nagranie.

Linda zauważyła, że ojciec aż podskoczył na krześle. Zerwał się z miejsca, złapał ją za przedramię i pociągnął za sobą. Ture Magnusson wyglądał na zdenerwowanego. Martinsson poszedł po taśmę. Ponieważ ojciec odebrał telefon od Nyberga, z którym natychmiast zaczął się kłócić o jakieś zgubione ślady hamowania, Linda musiała zająć się sprzedawcą nieruchomości.

– Znalazła pani tego Norwega? – zapytał.

– Nie.

– Nie wiem, czy będę w stanie rozpoznać jego głos.

– Nikt tego od pana nie wymaga, ale mamy nadzieję, że tak właśnie będzie.

W tej samej chwili, w której Wallander przestał rozmawiać, znów pojawił się Martinsson. Wyglądał na zmartwionego.

– Nagranie musi być gdzieś tu – powiedział. – W archiwum nigdzie go nie ma.

– Kto je ostatnim razem odnosił? – zapytał Wallander zdenerwowanym tonem.

– Nie ja – bronił się Martinsson i zaczął szukać taśmy na półce za odtwarzaczami.

Kurt uchylił drzwi do pokoju dyżurnego i ryknął:

– Zginęło nam ważne nagranie! Czy ktoś się ruszy, żeby nam pomóc szukać?

Po chwili dołączyła do nich Ann-Britt Höglund, mimo to nikt niczego nie znalazł. Linda kątem oka obserwowwała ojca, który z każdą chwilą robił się coraz bardziej czerwony na twarzy. Jednak to nie on wybuchnął.

– Jak do kurwy nędzy mamy normalnie pracować, kiedy w archiwum giną nagrania? – krzyknął Martinsson, rzucając o ścianę instrukcją obsługi odtwarzacza, która wpadła mu w ręce. Linda miała w pewnej chwili wrażenie, że cała policja w Ystad szuka zaginionego nagrania. Kiedy po jakimś czasie okazało się, że taśma zniknęła na dobre, Linda spojrzała na ojca. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, a nawet zrezygnowanego. Wiedziała jednak, że jego nastrój niebawem się zmieni.

– Bardzo mi przykro. – Wallander zwrócił się do Ture Magnussona: – Wygląda na to, że nie znajdziemy tego nagrania, więc nie będzie pan musiał niczego porównywać.

– Czy mogę coś zaproponować? – wtrąciła się Linda.

Wahała się do ostatniej chwili, ale w końcu zdobyła się na odwagę.

– Chyba uda mi się naśladować głos z nagrania – kontynuowała. – Co prawda dzwonił mężczyzna, ale i tak mogę spróbować.

Ann Britt Höglund obrzuciła ją niechętnym spojrzeniem.

– Co ty opowiadasz? – zapytała.

Linda, gdyby tylko chciała, udzieliłaby jej długiej odpowiedzi. Kiedyś, zupełnie przypadkowo, podczas jednego z wieczorów spędzanych z koleżankami z roku, bawiła się wraz z nimi w naśladowanie popularnego szwedzkiego prezentera telewizyjnego. Choć w żaden sposób się do tego nie przygotowywała, była tak dobra, że zaimponowała całemu towarzystwu. Uznała wówczas, że to po prostu szczęście, które sprzyja początkującym. Lecz kiedy po jakimś czasie z czystej ciekawości

próbowała naśladować różne inne głosy, odkryła ze zdziwieniem, że ma do tego ogromny talent. Czasem jej się nie udawało. Niektórzy ludzie mówili tak, że nie sposób ich było naśladować. Najczęściej jednak robiła to doskonale.

– Chcę spróbować – powiedziała. – Przecież nie mamy nic do stracenia.

W tej samej chwili do pokoju wszedł Stefan Lindman i zachęcająco skinął głową.

– Skoro i tak wszyscy tu jesteśmy... – mruknął niepewnym głosem Wallander. – Niech się pan odwróci – poprosił Ture Magnussona. – Nie powinien pan patrzeć, tylko skupić się na słuchaniu. Jeśli będzie pan miał jakąkolwiek wątpliwość, proszę powiedzieć.

Tymczasem Linda ułożyła w głowie pewien plan. Nie zamierzała naśladować właściwego głosu od razu, ale dać słuchającemu trochę do myślenia.

– Kto pamięta, co mówił mężczyzna z nagrania? – zapytał Lindman.

Okazało się, że Martinsson ma najlepszą pamięć. Dokładnie powtórzył treść zgłoszenia. Linda zrobiła dokładnie tak, jak zaplanowała. Uznała, że będzie to ćwiczenie nie tylko dla Magnussona, ale dla wszystkich zebranych. Zniżyła głos i wypowiedziała zdanie z udawanym obcym akcentem.

Ture Magnusson pokręcił głową.

– Nie jestem pewien – powiedział. – Mam wrażenie, że ten głos rozpoznaję, ale nie do końca.

– Powiem to jeszcze raz – zaproponowała Linda. – Za pierwszym razem nie wyszło mi to za dobrze.

Nikt nie zaprotestował. Odtworzyła nagranie jeszcze raz, tym razem nie naśladowując głosu tak jak trzeba. Ture Magnusson znów potrząsnął głową.

– Nie wiem – przyznał. – Naprawdę nie umiem powiedzieć.

– Dobra, spróbuję ostatni raz – odparła Linda.

O to jej właśnie chodziło. Zrobiła głęboki wdech i po raz trzeci powtórzyła tekst nagrania, starając się zrobić to jak najlepiej. Kiedy zamilkła, Ture Magnusson się odwrócił.

– Tak – powiedział zaskoczony. – Tak właśnie mówił ten facet. Dokładnie tak brzmiał.

– Odgadł pan dopiero za trzecim razem – odezwała się Ann-Britt Höglund. – Ile to dla nas warte?

Lindzie nie udało się ukryć zadowolenia z siebie. Jej ojciec, który zawsze podchodził do wszystkiego z dystansem, od razu się czegoś domyślił.

– Dlaczego Magnusson rozpoznał głos dopiero za trzecim razem? – zapytał.

– Dlatego że za pierwszym i drugim specjalnie powiedziałam to trochę inaczej – wyjaśniła Linda. – Dopiero za trzecim razem naśladowałam głos z nagrania.

– Ja nie słyszałam żadnej różnicy – powiedziała Ann-Britt, patrząc na nią podejrzliwie.

– W głosie, który się naśladuje, wszystko powinno być na swoim miejscu – odparła Linda.

– To chyba najtrudniejsze – mruknął Wallander, wstając z krzesła. – Mam rację?

– Tak.

– Jest pan pewien, że to ten sam głos? – zwrócił się do Magnussona.

– Tak mi się wydaje.

– Zatem bardzo panu dziękuję.

Linda jako jedyna podała pośrednikowi rękę na pożegnanie, a potem razem z ojcem odprowadzili go do recepcji.

– Bardzo nam pan pomógł – powiedziała. – Dziękuję, że pan przyjechał.

– Jak pani to robi? Jak można tak dobrze naśladować czyjś głos? – zapytał, odchodząc. – Ten facet prawie stanął mi przed oczami.

– Teraz Anna – odezwał się ojciec. – Najwyższy czas, żebyś ją tu przywiozła.

Po paru chwilach Linda zadzwoniła do drzwi mieszkania Anny Westin. Nikt nie otworzył. Linda długo stała bez ruchu na klatce schodowej. Nagle zrozumiała, dlaczego Anna zdecydowała się znów zniknąć.

Nocą przyśnił mu się sen, który wciąż pamiętał, kiedy obudził się o świcie. Sen rozpoczął się od obrazu z czasów, kiedy Eryk był jeszcze wytwórcą sandałów. Pewnego dnia wybrał się do Malmö z Henriettą i Anną. Henrietta poszła do dentysty, a on zabrał córkę na spacer do portu. Anna napisała pozdrowienia na kartce papieru, którą zwinęli w rulon, wetknęli do butelki i wrzucili do morza. Tej nocy przyśniło mu się, że butelka z listem do niego wróciła. We śnie Eryk znalazł się znowu na kempingu nad jeziorem, gdzie spędził kilka dni w przyczepie. Wyłowił butelkę z wody i razem z Anną spróbowali odczytać słowa, które napisała jako mała dziewczynka. Jednak dla Eryka tekst był nie do odcyfrowania, litery i słowa były mu zupełnie obce.

Potem nagle sen się odmienił. Eryk siedział na brzegu innego jeziora i przez lornetkę obserwował płonące łabędzie. Kiedy ptaki wreszcie wpadły do wody jak skwierczące, spalone na czarny kolor kule, Eryk zaczął śledzić przez lornetkę dwoje ludzi. Dziwił się, bo tak naprawdę to Torgeir widział przyjaciółkę Anny, Lindę, spacerującą po plaży z ojcem. We śnie Eryk stał się więc Torgeirem.

Sen był niezwykle wyraźny. Eryk czuł, że już nic nie oddziela go od Torgeira. Mógł przejąć jego tożsamość, kiedy tylko chciał, a tamten nawet tego nie zauważał.

To właśnie on, pierwszy uczeń Eryka, miał zabrać Annę spod nieczynnej pizzerii w Sandskogen późnym popołudniem. Początkowo Eryk chciał sam ją odebrać, żeby być całkowicie pewnym, że za nim podąży. W końcu jednak doszedł do wniosku, że córka jest już od niego do tego stopnia zależna, że nie będzie stawiała oporu, chociaż nie ma pojęcia, co on

zamierza. A ponieważ nie wiedziała też, co spotkało Harriet Bolson – Eryk dał Torgeirowi wyraźne polecenie, żeby jej o niczym nie mówił – właściwie nie miała żadnego powodu, żeby nagle uciekać. Jedyne, czego Eryk się bał, to jej intuicji. Próbował ją pod tym względem rozszyfrować i po jakimś czasie doszedł do wniosku, że Anna ma intuicję niemal tak silną, jak on. W końcu jest moją córką, pomyślał. Jest czujna, ostrożna i wyczulona na różne sygnały.

Torgeir miał odebrać ją niebieskim saabem, który ukradli z długoterminowego parkingu nieopodal lotniska Sturup. Kilka dni przed kradzieżą Torgeir zanotował numery rejestracyjne dziesięciu stojących tam firmowych aut i zadzwonił do rejestru samochodowego, żeby zdobyć kontakt do ich właścicieli. Potem zadzwonił do każdego z nich i – jakby kpiąc z własnej przeszłości – podał się za armatora poszukującego szwedzkiego kapitału do inwestycji w pływające czarterowe hotele. W końcu zdecydował się na kradzież dwóch samochodów, których właściciele przebywali w najdłuższych podróżach służbowych, oraz trzeciego, należącego do jakiegoś emerytowanego dyrektora kopalni, przebywającego na trzytygodniowych wakacjach w Tajlandii.

Eryk Westin udzielił Torgeirowi dokładnych wskazówek. Chociaż się tego nie spodziewał, Annę mogło wystraszyć nagłe zniknięcie Zebry. Istniało ryzyko, że zacznie o tym rozmawiać z Lindą, która według oceny Eryka była jej najbliższą przyjaciółką. Mimo że najpierw ostrzegął Annę, a potem zabronił jej rozmawiać z kimkolwiek poza sobą. To mogłoby sprowadzić cię na złą drogę, tłumaczył. Zwłaszcza teraz, kiedy wreszcie odnalazłaś prawdę. Chociaż to jego nie było przez tyle lat, udało mu się przekonać córkę, że to ona jest synem marnotrawnym, a raczej marnotrawną córką, o której opowiada Biblia. To ona wróciła do domu, nie on. Powtarzał jej, że to, co aktualnie się dzieje, jest po prostu konieczne. Jej ojciec pociągnie do odpowiedzialności ludzi, którzy porzucili Boga



i zbudowali potężne katedry, gdzie nie oddają czci Panu, ale sobie samym, swojej własnej próżności. Dostrzegł w jej oczach błysk, który dał mu pewność, że jeśli tylko będzie miał wystarczająco dużo czasu, zdoła wyrzucić z jej serca ostatnią wątpliwość. Problem polegał na tym, że brakowało mu czasu. Przyznał się przed samym sobą, że popełnił błąd. Powinien był odszukać ją wcześniej, dużo wcześniej pokazać się jej, tak jak zrobił to na ulicy w Malmö. Musiał jednak skupić się na innych, wszystkich tych, którzy o odpowiedniej porze i we właściwych miejscach mieli otworzyć drzwi.

Postanowił, że pewnego dnia o wszystkim opowie, taki właśnie będzie jego testament. Jego słowa staną się piątą ewangelią. Kiedyś ze szczegółami opowie o tym, jak opracował plan po długich godzinach, dniach i miesiącach myślenia. Swoim przyszłym uczniom przedstawił plan jako objawienie. Uznał, że jest niezbędny, by za nim podążyli. Dowodem na prawdziwość jego słów miał być głos samego Boga. Musieli uwierzyć, że pójście za Erykiem jest poświęceniem koniecznym, by w końcu mogli znaleźć się w raju, u boku Pana. „Zamieszkacie tuż obok Niego, powtarzał im. Nasz Pan mieszka w zamku, którego mury nie są wzniesione z kamienia, ale utkane z najdelikatniejszej wełny świętych owiec. W tym zamku jest skrzydło, gdzie zamieszkacie”.

W swoich kazaniach – „bożych kampaniach”, jak je nazywał – wciąż mówił o tym, co czeka jego uczniów w przyszłości. Jediną ofiarą było szybkie pożegnanie się z dotychczasowym życiem. Ich męczeństwo miało być przywilejem, o który w przyszłości ludzie będą się bić, gdyż tylko oni poznają prawdę o świętej wojnie, jaką Eryk Westin zamierzał wypowiedzieć powszechnie panującej bezbożności.

Śmierć Harriet Bolson była dla nich najpoważniejszym testem. Eryk polecił Torgeirowi, aby uważnie śledził ich reakcje i wypatrywał tych, którzy zaczną

okazywać zwątpienie lub załamanie. Sam Eryk trzymał się z dala, oznajmiwszy swojemu pierwszemu uczniowi, że musi przejść okres oczyszczenia po tym, co się stało. Wyjaśnił, że musi pobyć sam, myć się trzy razy każdego dnia i każdej nocy, co siedem godzin dokładnie się golić i nie odzywać się do nikogo słowem, aż opuszczą go złe siły, które zawładnęły Harriet Bolson. Torgeir dzwonił do niego z różnych skradzionych komórek dwa razy dziennie. Nie zaobserwował, aby którykolwiek z uczniów wykazywał oznaki słabości. Wręcz przeciwnie: Torgeir dostrzegł u nich coraz większą niecierpliwość, potwierdzającą, że już wkrótce będą gotowi ponieść najwyższą ofiarę.

Eryk długo rozmawiał z Torgeirem przed jego wyjazdem po Annę. Poleciał mu, żeby przy jakiegokolwiek, choćby najmniejszej oznace protestu, zmusił ją, by wsiadła do samochodu. Właśnie dlatego wybrał odludne miejsce przy nieczynnej pizzerii. Bacznie przyglądał się swojemu uczniowi, kiedy ten zapewniał go, że nie zawaha się użyć przemocy. Widział, że Torgeir jednak jest trochę niezdecydowany, Eryk dostrzegł to w jego oczach. Dlatego przemawiał do niego łagodnym głosem i delikatnie położył mu dłoń na ramieniu. Zapytał swojego ucznia, co go tak niepokoi. Czyżby traktował ludzi niejednakowo, w zależności od tego, kim są? Czy nie pamięta, że Eryk wyciągnął go z rynsztoka? Dlaczego jego córka miałaby być traktowana inaczej niż wszyscy? Przecież Bóg stworzył świat, na którym wszyscy są sobie równi. To ludzie podali w wątpliwość prawa Najwyższego i zniszczyli Jego dzieło. Czyżby Torgeir nie rozumiał, że Eryk i jego uczniowie mają za zadanie przywrócić właśnie tamten świat?

Nie puścił go dopóty, dopóki nie uzyskał pewności, że jego podopieczny nie zawaha się użyć przemocy wobec Anny, gdyby było to konieczne. Eryk zaplanował, że córka, jeżeli tylko wszystko pójdzie zgodnie z planem, a ona sama okaże się tego godna, zostanie jego spadkobierczynią i następczynią.

Królestwo Boże na ziemi już nigdy nie może zostać zaniedbane i zrujnowane. Dlatego zawsze od tej pory na jego czele musi stać jakiś przywódca. W końcu sam Pan powiedział, że jego królestwo będzie królestwem dziedzicznym.

Czasem przychodziło mu na myśl, że być może Anna nie jest odpowiednią kandydatką. Wówczas musiałby postarać się o więcej dzieci i potem wybrać spośród nich to, które będzie godne, by zostać jego następcą.

Tuż przed realizacją wielkiego planu mieli trzy główne kwatery. Eryk wybrał dla siebie duży, położony na uboczu dom pod Sandhammaren, należący do emerytowanego kapitana, aktualnie przebywającego w szpitalu po złamaniu kości udowej. Drugą kwaterą było stare, wystawione na sprzedaż gospodarstwo tuż pod Tomelilla. Trzecią bazę stanowił dom za kościołem w Lestarp, który kupił Torgeir. Kwaterę tę jednak zdecydowali się porzucić, kiedy zaczęła interesować się nią policja.

Eryk nie miał pojęcia, jak Torgeir wyszukiwał opuszczone domy, których w najbliższym czasie nikt nie miał zamiaru odwiedzać. Zakładając, że pierwszy uczeń nie popełni przy tych operacjach żadnego błędu, okazywał mu wielkie zaufanie.

Kiedy Torgeir pojechał po Annę, Eryk zszedł do piwnicy, wciąż rozmyślając o tym, jak dobrego nosa miał jego uczeń do odludnie położonych kryjówek. Spełniały one absolutnie wszystkie, często zmienne oczekiwania Eryka. Ten akurat dom mieścił też dobrze izolowaną piwnicę, w której można było przez dłuższy czas kogoś przetrzymywać. Stary kapitan kazał wybudować sobie siedzibę o solidnych ścianach, a jedno z pomieszczeń piwnicznych miało drzwi z okienkiem. Kiedy Torgeir mu je pokazał, obaj doszli do wniosku, że właściciel domu urządził sobie w nim więzienną celę. Nie udało im się odgadnąć, po co to zrobił. Torgeir

sugerował, że być może jest to schron przeciwoatomowy, ale to nie wyjaśniało obecności okienka w drzwiach. Po co mu ono?

Eryk zatrzymał się i chwilę nasłuchiwał. Na samym początku, kiedy dziewczyna obudziła się z narkozy, zaczęła krzyczeć, walić pięściami w ściany i kopniakiem przewróciła wiaderko, które miało pełnić funkcję toalety. Potem, gdy przez dłuższy czas była cicho, Eryk dyskretnie zaglądał do środka. Przez cały czas siedziała skulona na łóżku. Na stole stała butelka wody i talerz z kanapkami, wciąż jednak były nietknięte, co wcale go nie dziwiło.

Również w tej chwili za drzwiami z okienkiem było cicho. Eryk podszedł do nich bezszelestnie i zajrzał do środka. Dziewczyna leżała na łóżku, twarzą do ściany, spała. Przyglądał się jej długo i stwierdził, że równomiernie oddycha. Wreszcie wrócił na górę i usiadł na werandzie, żeby poczekać na Torgeira i Annę. Miał pewien problem, który do tej pory nie doczekał się rozwiązania. Wiedział, że wkrótce będzie musiał podjąć decyzję dotyczącą Henrietty. Jak dotąd Torgeirowi i Annie udawało się ją przekonać, że wszystko jest w najlepszym porządku, ale Eryk dobrze wiedział, że Henrietta bywa zmienna i nie można na niej polegać. Zawsze taka była. Gdyby tylko mógł, zostawiłby ją przy życiu. Jeśliby jednak był zmuszony ją wyeliminować, nie zawahałby się ani chwili.

Siedział na werandzie i wpatrywał się w morze. Kiedyś kochał Henriettę. Choć było to tak dawno, że obecnie zdawało mu się niemal nierzeczywiste, miłość ta nigdy do końca w nim nie wygasła. Ale dopiero kiedy urodziła się Anna, poczuł, co to prawdziwa, głęboka miłość. Jednak mimo że pokochał ją od chwili, gdy pierwszy raz ją zobaczył, a potem nie mógł się napatrzeć, jak śpi, jak się bawi, uczucie to nie było w stanie wypełnić trawiącej go pustki, która w końcu skłoniła go do porzucenia żony i córki. Zaraz po wyjeździe był pewien, że niebawem do nich powróci. Za parę tygodni, najwyżej za miesiąc. Ale kiedy tylko dotarł do Malmö, nie

miał wątpliwości, że jego podróż dopiero się zaczyna i potrwa o wiele dłużej, a być może nawet nigdy się nie skończy. Na dworcu kolejowym przeżył chwilę wahania i omal nie zawrócił. Ostatecznie tego nie zrobił, doszedłszy do wniosku, że życie musi oznaczać coś więcej niż to, co do tej pory przeżył.

Obecnie wspominał ten okres jak wędrówkę po nieznannej pustyni. Pierwsze kroki były ucieczką, pielgrzymką bez celu. I wreszcie w dniu, w którym Eryk postanowił, że ostatecznie zrywa ze swoim dotychczasowym życiem, na jego drodze stanął pastor Jim Jones. Był jak oaza na bezkresnej pustyni. Początkowo Eryk wziął go za fatamorganę, lecz po jakimś czasie zrozumiał, że z krtani nowo poznanego człowieka bije źródłana woda. Jim często opowiadał o wodzie, według niego był to najświętszy z trunków, uświęcony bardziej niż wino. Niestety, wkrótce miało się okazać, że mimo wszystko było to wielkie złudzenie.

Po plaży przechadzali się ludzie. Jeden ze spacerowiczów prowadził psa, drugi trzymał na rękach niemowlę. Robię to dla was, zwrócił się do nich w myślach Eryk. To dla was zgromadziłem wokół siebie uczniów gotowych stać się męczennikami. Męczennikami w walce o waszą wolność. Ich ofiara wypełni trawiącą was pustkę, której istnienia być może nawet nie jesteście świadomi.

Spacerowicze wkrótce zniknęli mu z oczu. Spojrzał na morze. Wiał lekki wiatr z południowego wschodu, fale były niemal niezauważalne. Eryk wstał i poszedł do kuchni po szklankę wody. Wiedział, że do przyjazdu Torgeira i Anny ma jeszcze prawie pół godziny, wrócił więc na werandę. W oddali na horyzoncie zobaczył statek. Postanowił spożytkować czas oczekiwania na próbę rozwiązania kolejnego problemu. Chrześcijańskich męczenników było tak niewielu, że ludzie właściwie nie pamiętali o ich istnieniu. W czasie drugiej wojny światowej księża ginęli za innych w obozach koncentracyjnych, niemało było podobnych świętych mężczyzn

i kobiet. Jednak męczeństwo wymknęło się chrześcijanom z rąk, jak wiele innych ważnych spraw. Obecnie to muzułmanie nie wahali się iść na śmierć w imię najwyższych idei. Eryk oglądał na filmie wideo ich przygotowania, dokładnie studiował każdy etap decyzji o męczeńskiej śmierci – innymi słowy, najważniejszego nauczył się od wyznawców religii, której nienawidził z całego serca, od największego wroga, dla którego nie przewidział miejsca w Królestwie Bożym. Eryk dostrzegał w tym wielkie zagrożenie. Obawiał się, że ludzie z chrześcijańskiego świata wezmą nadchodzące dramatyczne wydarzenia za dzieło muzułmanów. Był świadom, że ma to swoje dobre i złe strony: zaletą miała być eksplozja nienawiści do wyznawców Allaha, wadą natomiast to, że będzie musiało minąć sporo czasu, nim ludzie zrozumieją, że powrócili chrześcijańscy męczennicy. Potem zaś będzie musiało do nich dotrzeć, że nie był to żaden jednorazowy akt, ale prawdziwy przewrót, który doprowadzi do odbudowy Królestwa Bożego na ziemi.

Spojrzał na swoje dłonie. Czasem, kiedy intensywnie rozmyślał o tym, co miało nadejść, zaczynały mu drżeć. W tej chwili nie drżały. Przez jakiś czas będę postrzegany jako kompletny szaleniec, pomyślał. Lecz kiedy pojawią się całe rzesze męczenników, ludzie zrozumieją, że tak naprawdę jestem apostołem rozsądku, którego od tak dawna oczekiwali. Nie dałbym rady bez Jima Jonesa. To on pokazał mi, jak zwalczyć własną słabość i przekonywać innych, że warto poświęcić życie dla wyższych celów. Od niego nauczyłem się, że walka o wolność i zbawienie zawsze oznacza przelew krwi i śmierć, że nie ma innej drogi i ktoś zawsze musi być pierwszy.

*Ktoś zawsze musi być pierwszy.* Tak właśnie zrobił Jezus, Bóg ostatecznie go opuścił, bo Jego syn nie zaszedł wystarczająco daleko. Jezus był słaby, rozmyślał dalej Eryk. Nie miał tyle siły co ja. Ja doprowadzę do końca to, co on pozostawił niedokończone. Królestwo Boże na ziemi stanie

się miejscem, gdzie wszystko podporządkowane będzie słowom Najwyższego. W Biblii zawarte są wszystkie reguły potrzebne ludziom do życia. Naszą świętą wojnę będziemy toczyć etapami, w pewnych odstępach czasu, i ostatecznie zwyciężymy, bo mamy broń, której nikt i nic nie pokona.

Eryk zmrużył oczy i znów spojrzał na morze. Widoczny na horyzoncie statek zmierzał na zachód. Wiatr był coraz słabszy. Eryk sprawdził godzinę. Torgeir powinien niebawem przybyć. Resztę tego dnia oraz noc Eryk miał zamiar poświęcić Annie, ponieważ czuł, że jeszcze nie odniósł całkowitego zwycięstwa nad jej wolą. Ciągłe jeszcze córka stawiała opór, mimo że jego największym dotychczasowym sukcesem było to, że zgodziła się kłamać w sprawie swojej znajomości z mężczyzną o nazwisku Vigsten, na którym pasożytował Torgeir. Anna nigdy w życiu nie miała lekcji gry na pianinie, ale chyba udało jej się zmylić przesłuchujących ją policjantów. Eryk znów poczuł złość na myśl o tym, jak bardzo źle ocenił czas, jakiego potrzebował, by ją ostatecznie przekonać. Było już jednak za późno. W końcu nie spodziewał się, że wszystko pójdzie jak z płatka. Najważniejsze jednak, żeby nic nie zaburzyło najważniejszej części planu.

Nagle usłyszał, że ktoś otworzył drzwi domu. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał. W najtrudniejszych latach swego życia poświęcił mnóstwo czasu na wyostrenie zmysłów. Dzięki ćwiczeniom udało mu się udoskonalić słuch, wzrok i węch. Czasem wyobrażał sobie własne zmysły jako dobrze naostrzone noże, przytwierdzone do pasa. Słuchał zbliżających się kroków, jednych ciężkich, które stawiał Torgeir, oraz drugich lżejszych. Wiedział już, że Anna nie stawiała oporu. Torgeir nie ciągnął jej, poruszała się sama, we własnym tempie. Przemoc nie była konieczna.

Kiedy weszli na werandę, Eryk wstał i objął córkę na powitanie. Wyczuł, że jest niespokojna, ale nie na tyle, by nie zdołał jej uspokoić.

Wiedział, że tym samym uda mu się wyrzucić z jej serca resztki sprzeciwu. Poprosił ją, by usiadła, sam zaś odprowadził Torgeira do drzwi. Przez chwilę cicho rozmawiali. Pierwszy uczeń przekazał mu dobrą wiadomość. Sprzęt leży w bezpiecznym miejscu, a ludzie czekają w dwóch pozostałych kwaterach. Nikt nie okazuje żadnych wątpliwości, jedynie zniecierpliwienie.

– To z głodu – stwierdził Torgeir. – Z głodu i pragnienia, by wreszcie wykonać zadanie.

– Niebawem wybijie pięćdziesiąta godzina – powiedział Eryk. – Muszą minąć dwie doby i dwie godziny, byśmy mogli opuścić nasze kryjówki i przystąpić do pierwszego ataku.

– Była całkiem spokojna, kiedy ją zabierałem – odparł Torgeir. – Zbadałem jej puls, był w normie.

Eryk poczuł nagły przypływ gniewu.

– Ja i tylko ja mam prawo dotykać palcem czoła i sprawdzać puls. Tobie nigdy nie wolno tego robić. Przenigdy – syknął.

Torgeir zbladł.

– Nie powinienem był tego robić.

– Nie powinienieś. Ale teraz możesz zrobić dla mnie coś, co pozwoli mi o tym zapomnieć.

– Co takiego?

– Chodzi o przyjaciółkę Anny, tę ciekawską. Zaraz porozmawiam o niej z córką i jeśli okaże się, że ta dziewczyna coś podejrzewa, będzie musiała zniknąć.

Torgeir pokiwał głową.

– Wiesz, o kim mówię? – zapytał Eryk.

– O dziewczynie, która jest córką policjanta – odparł Torgeir. – Ma na imię Linda.



Eryk dał mu znak, by się oddalił, sam zaś ruszył w stronę werandy. Anna siedziała na krześle pod ścianą. Jest podobna do mnie, pomyślał. Zawsze siada tak, żeby mieć osłonięte plecy. Obserwował ją chwilę i choć wydawała się całkiem spokojna, Eryk czuł lekki niepokój. To rozsądek, uspokajał sam siebie. Tylko nieuważni ludzie nie przywiązują wagi do własnych wątpliwości. Najczujniejszego stróża nosi się w sobie: anioła stróża i wszelkie możliwe alarmy ostrzegające przed niebezpieczeństwami. Eryk wciąż przypatrywał się Annie. Nagle córka odwróciła głowę i spojrzała w jego stronę. Cofnął się o krok i stanął za drzwiami. Czy mnie zobaczyła? Martwiło go, że Anna pod tak wieloma względami wzbudza jego niepokój. Pewnej ofiary chciałbym uniknąć, rozmyślał. Jej właśnie się boję, ale muszę być przygotowany na to, że będę musiał ją ponieść. Nawet moja własna córka nie może oczekiwać, że za każdym razem odejdzie wolna. Takie prawo nie przysługuje nikomu, poza mną.

W końcu wyszedł na werandę i usiadł naprzeciw Anny. Już miał zacząć mówić, kiedy wydarzyło się coś, czego się nie spodziewał. Właściwie była to wina starego kapitana, i to jego w pierwszej chwili Eryk przeklął. Ściany nie okazały się aż tak grube, jak myślał. Niespodziewanie pod podłogą werandy rozległo się przeraźliwe wycie. Anna zamarła. Po chwili wycie przeszło w ryk, który zabrzmiał tak, jakby jakieś dzikie zwierzę próbowało przegryźć się przez beton i wydostać na wolność.

Był to krzyk Zebry. Anna spojrzała na Eryka, człowieka, który był jej ojcem i kimś znacznie więcej. Zobaczył, że córka zagryzła dolną wargę tak mocno, że pojawiła się krew.

Eryk zrozumiał, że czekające go popołudnie i noc będą bardzo ciężkie. Nie wiedział już, czy Anna w jednej chwili opuściła go na zawsze, czy przeraźliwe wycie uwięzionej w piwnicy Zebry obudziło w niej wątpliwości tylko na moment.

Stojąc pod drzwiami do mieszkania Anny, Linda doszła wreszcie do wniosku, że powinna wyważyć je kopniakiem. Ale po co mam to robić? Co spodziewam się tam znaleźć? Przecież nie Zebkę. Tylko o nią Linda się w tej chwili martwiła. Dopiero kiedy znalazła się pod tymi drzwiami, zrozumiała, co się wydarzyło, nie umiała jednak ubrać tego w słowa. Oblał ją zimny pot. Przeszukała kieszenie, doskonale wiedząc, że oddała Annie zapasowe klucze do mieszkania. Miała tylko kluczyki do samochodu. Ale co miałabym z nimi zrobić? Dokąd pojechać? Czy samochód w ogóle stoi pod kamienicą? Zeszła na dół. Auto stało na swoim miejscu. Spróbowała się skupić i zastanowić, lecz paraliżował ją strach. Najpierw martwiła się o zaginioną Annę, która po jakimś czasie wróciła. Następnie zniknęła Zebra, więc obecnie drżała o nią. Nagle do niej dotarło, co tak naprawdę sprawia, że czuje się taka zagubiona. Punktem wyjścia wszystkiego jest Anna. Najpierw byłam przerażona, że mogło jej się przytrafić coś złego, analizowała w myślach, a teraz boję się o to, co ona może zrobić.

Kopnęła jakiś kamień tak mocno, że zabolął ją palec. Wszystko sobie wmawiam, pomyślała ze złością. Skąd mi przyszło do głowy, że Anna mogłaby zrobić Zebce krzywdę? Po chwili namysłu Linda ruszyła w stronę domu Zebry, zaraz jednak się zatrzymała, zawróciła i wsiadła do samochodu Anny. Zazwyczaj kiedy pożyczała auto, zostawiała liścik. Tym razem uznała, że nie ma na to czasu. Po prostu ruszyła z miejsca i ze zdecydowanie zbyt dużą prędkością pojechała do Zebry. Zapukawszy do sąsiadki, dowiedziała się, że kobieta poszła z małym na spacer. Nastoletnia córka kobiety rozpoznała Lindę i dała jej klucze do mieszkania przyjaciółki. Linda weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi i wciągnęła głęboko do

płuc powietrze przesycone podejrzanym zapachem. Dlaczego policja nie przeszukała mieszkania? Czy to nie jest jakiś środek odurzający?

Linda bezszelestnie poruszała się po mieszkaniu, starała się oddychać jak najciszej, jakby próbowała je oszukać, że wciąż jest puste. Zaczęła sobie wyobrazać, co się w tym miejscu zdarzyło: *ktoś obcy wszedł do środka. Zebra rzadko zamyka drzwi, więc intruz po prostu wszedł. Gdzieś tu musiał bawić się chłopiec, ale on nie opowie nam, co się stało. Zebra została odurzona i wyprowadzona z mieszkania. Chłopiec zaczął płakać i po paru minutach zjawiała się sąsiadka.*

Linda rozejrzała się wokół. Jak znaleźć ślady, rozmyślała. Widzę tylko puste mieszkanie i nie potrafię dostrzec niczego ponadto. Zmusiła się do zastanowienia i po chwili udało jej się przynajmniej zadać sobie najważniejsze pytanie: *kto może coś na ten temat wiedzieć?* W otoczeniu Zebry Linda nie znajdowała nikogo, kto byłby w stanie jej pomóc. Ponieważ nie mogła zapytać Anny, pomyślała o jej matce, Henriecie, tym bardziej że od samego początku przeczuwała, że ona coś wie. Przecież już po pierwszej wizycie u niej miałam pewność, że kłamie, pomyślała. Henrietta od początku wiedziała, gdzie podziewa się Anna, i dlatego się o nią nie niepokoiła.

Kopnęła stołek w przypiływie złości na samą siebie. Nie mogła sobie wybaczyć, że wcześniej nie zaczęła drążyć głębiej, mimo że coś przeczuwała. Palec, który już wcześniej obija o kamień, zapulsował silnym bólem. Linda wyszła z mieszkania. Po drugiej stronie ulicy Jassar zamiatał chodnik przed kioskiem.

– Znalazłaś ją? – zapytał.

– Nie. A ty przypomniałeś sobie coś jeszcze?

Mężczyzna westchnął.

– Nie, nic. Mam kiepską pamięć, ale jestem pewien, że kleiła się do tego faceta.

– Nie kleiła się – Linda poczuła nagłą chęć obrony przyjaciółki. – Była odurzona. Wydaje ci się, że się na nim uwiesiła, ale tak naprawdę nie mogła iść o własnych siłach.

Jassar zrobił zmartwioną minę.

– Możesz mieć rację – powiedział. – Ale czy takie rzeczy zdarzają się w takiej dziurze jak Ystad?

Linda ledwie dosłyszała jego słowa, bo była już po drugiej stronie ulicy, w drodze do auta, którym zamierzała pojechać do Henrietty. Właśnie włączyła silnik, kiedy zadzwoniła komórka. Zawahała się, po chwili jednak odebrała. Dzwonił Stefan. Ucieszyła się, słysząc jego głos.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– W samochodzie.

– Twój ojciec poprosił mnie, żebym zadzwonił. Zastanawia się, gdzie się podziewasz i gdzie podziewa się Anna Westin.

– Nie zastałam jej.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– A co mogę chcieć powiedzieć innego niż to, że nie było jej w domu? Nie mam pojęcia, gdzie jest, ale kiedy ją znajdę, przywiozę ją wam.

Dlaczego nie mówię mu prawdy, pomyślała. Nauczyłam się tego w domu. Od rodziców, którzy nigdy nie byli ze sobą szczerzy.

Stefan ją przejrzał.

– Wszystko u ciebie w porządku? – zapytał.

– Tak, poza tym, że nie mogę znaleźć Anny.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie.

– Nie brzmisz zbyt przekonująco. Weź pod uwagę, że jeszcze nie pracujesz w policji.

Linda wpadła w złość.

– Doskonale o tym pamiętam, bo wszyscy mi ciągle o tym przypominają!

Wyłączyła telefon i cisnęła go na siedzenie pasażera. Ruszyła z miejsca, ale kiedy znalazła się za zakrętem, ostro zahamowała i znów uruchomiła telefon. Potem pojechała do Henrietty. Idąc do jej domu, poczuła, że zerwał się zimny wiatr. Spojrzała w stronę miejsca, gdzie wpadła w pułapkę. Dalej, na horyzoncie, na jednej z dróg wijących się między polami, jakiś mężczyzna podpalał śmieci obok zaparkowanego samochodu. Podmuchy wiatru rozszarpywały smugę dymu na strzępy.

Nadchodzi jesień, pomyślała Linda. Wkrótce będzie mróz. Weszła na schodki i zadzwoniła do drzwi. Kiedy usłyszała szczekanie, zrobiła głęboki wdech i poruszyła ramionami, jakby przygotowywała się do startu w wyścigach. Po chwili w drzwiach stanęła Henrietta. Uśmiechnęła się. Linda natychmiast zrobiła się czujna. Odniosła wrażenie, że kobieta spodziewała się jej wizyty, a przynajmniej nie była nią wcale zaskoczona. Na dodatek matka Anny miała zrobiony makijaż, jakby oczekiwała gościa lub starała się ukryć, że jest bardzo blada.

– A to niespodzianka – powiedziała, odsuwając się na bok, by zrobić jej przejście.

Akurat, pomyślała Linda.

– Zawsze jesteś u mnie mile widziana. Wejdz i usiądź.

Pies obwąchał gościa, a potem położył się w swoim koszyku. Linda usłyszała jakieś westchnienie, ale rozejrzawszy się wokół, nikogo nie zauważyła. Henrietta postawiła przed Lindą termos i dwa kubki na kawę.

– Co to za odgłosy? – spytała Linda. – To ludzkie westchnienia?

– Odtwarzam właśnie jedną z moich najstarszych kompozycji. Jest z 1987 roku, to koncert na cztery wdychające głosy i perkusję. Posłuchaj!

Henrietta uniosła dłoń.

Linda wyteżyła słuch, skupiając się na kobiecych westchnieniach.

– To Anna – wyjaśniła Henrietta. – Kiedyś udało mi się ją namówić do udziału w nagraniu. Wzdycha bardzo melodyjnie, słyhać w tych dźwiękach, jak bardzo się martwi i jaka jest krucha. Kiedy mówi, w jej głosie zawsze pobrzmiwa wahanie, lecz kiedy wzdycha, niepewność gdzieś całkiem się rozplywa.

Linda słuchała w skupieniu. Doszła do wniosku, że jest coś magicznego i zarazem przyprawiającego o dreszcze w nagrywaniu ludzkich westchnień, a potem w zestawianiu ich w coś, czemu nadaje się miano muzyki.

Z rozmyślań wyrwały ją gwałtowne uderzenia w bęben. Henrietta podeszła do odtwarzacza i wyłączyła go, po czym znów usiadła naprzeciw Lindy. Pies zaczął chrapać. Dopiero pod wpływem tego dźwięku Linda powróciła znowu do rzeczywistości.

– Czy wie pani, gdzie jest Anna? – zapytała.

Henrietta najpierw przyjrzała się swoim paznokciom, a potem podniosła wzrok na Lindę, która dostrzegła w spojrzeniu kobiety wahanie. Ona wie, pomyślała. Doskonale wie, gdzie Anna się podziewa, ale z pewnością temu zaprzeczy.

– Czy wie pani, gdzie ona jest? – powtórzyła.

– Nie.

– Kiedy ostatnio pani z nią rozmawiała?

– Zadzwoiła do mnie wczoraj.

– Skąd?

– Z domu.

– Nie z komórki?

– Dobrze wiesz, że Anna nie ma komórki. Zalicza się do ludzi, którzy nie chcą być bez przerwy dostępni.

– A więc była w domu?

– Czy to jest przesłuchanie?

– Chcę tylko wiedzieć, gdzie podziewa się Anna. I co robi.

– Nie wiem, gdzie obecnie przebywa moja córka. Może jest w Lund? Studiuję medycynę, ale o tym też pewnie dobrze wiesz.

Akurat, powtórzyła w myślach Linda. Chociaż możliwe jest i to, że Henrietta nie ma pojęcia o przerwanych studiach Anny. Ale przyjemność uświadomienia jej tego zostawię sobie na później.

Linda postanowiła skierować rozmowę na inny tor.

– Zna pani Zebrę? – zapytała.

– Masz na myśli Lillę Zebę?

– Mówimy na nią Zebra. Zniknęła. Tak samo, jak wcześniej Anna.

Mimo że uważnie wpatrywała się w twarz Henrietty, nie dostrzegła żadnego grymasu, niczego, co by zdradzało, że o czymś wie. Linda poczuła się tak, jakby znalazła się na ringu i nagle celnym ciosem została powalona na deski. Kiedyś, jeszcze w szkole policyjnej, boksowała się naprawdę, dostała w twarz i na chwilę straciła świadomość. Kiedy się ocknęła, nie wiedziała, gdzie się znajduje i dlaczego siedzi na ziemi.

– Więc może po paru dniach wróci, tak samo jak Anna? – mruknęła Henrietta.

Linda nie wytrzymała i ruszyła do ataku.

– Dlaczego od samego początku nie mówiła mi pani prawdy? Przecież doskonale pani wiedziała, gdzie była Anna!

Cios okazał się celny. Na czole Henrietty pojawiły się perełki potu.

– Czy sugerujesz, że kłamię? Jeśli tak, proszę cię, żebyś opuściła mój dom. Nie życzę sobie takich gości. Niszczysz atmosferę, nie mogę pracować i moja muzyka umiera.

– Ma pani całkowitą rację. Uważam, że pani kłamię, i nie wyjdę stąd, dopóki nie usłyszę odpowiedzi na moje pytania. Muszę wiedzieć, co stało się z Zebrą. Boję się, że grozi jej niebezpieczeństwo, a Anna w jakiś sposób jest w to wszystko zamieszana. Być może pani też. Jedno jest pewne. Wie pani dużo więcej, niż pani twierdzi.

Henrietta zaczęła krzyżeć. Pies wyskoczył z koszyka, zaczął wściekle ujadać.

– Natychmiast wyjdź z mojego domu! Ja nic nie wiem!

Wstała z krzesła, podeszła do okna i otworzyła je na oścież, żeby po chwili je zamknąć i w końcu zostawić uchylone. Linda nie wiedziała, jak powinna zareagować, miała jedynie pewność, że nie może odpuścić. Henrietta, najwyraźniej już trochę uspokojona, odwróciła się i spojrzała na Lindę. Zniknęła cała jej uprzejmość.

– Przepraszam, że się uniosłam – powiedziała. – Nie lubię, kiedy ktoś mnie oskarża o kłamstwo. Nie wiem, gdzie jest Zebra. Nie rozumiem też, dlaczego twierdzisz, że Anna ma z tym coś wspólnego.

Linda wiedziała, że Henrietta jest bardzo zdenerwowana. Chyba że dobrze to udawała. Mówiła głośno, choć już nie krzychała, mimo to jej głos brzmiał dobitnie. Nie wróciła do stołu, wciąż stała przy oknie.

– Tamtego wieczoru, kiedy wpadłam w pułapkę – nie poddawała się Linda. – Z kim pani wtedy rozmawiała?

– Podglądałaś mnie?

– Może to pani nazwać, jak chce. Po co miałabym tu przyjeżdżać, jeśli nie po to, żeby się czegoś dowiedzieć? Byłam ciekawa, dlaczego nie powiedziała mi pani prawdy, kiedy pytałam o Annę.

– Mężczyzna, który mnie odwiedził, przyszedł w sprawie utworu muzycznego, nad którym razem pracujemy.

– Bzdura – odparła Linda, starając się, żeby jej głos brzmiał stanowczo. – To był ktoś inny.

– Czy znów zarzucasz mi kłamstwo?

– Wiem, że pani kłamie.

– Zawsze mówię prawdę – odburknęła Henrietta. – Natomiast czasem odpowiadam wymijająco, bo nie chcę się dzielić wszystkimi swoimi tajemnicami.



– To, co dla pani jest odpowiedzią wymijającą, dla mnie jest zwyczajnym kłamstwem. Wiem, kto tu był.

– Naprawdę? A to ciekawe – Henrietta znowu podniosła głos.

– Albo był to niejaki Torgeir Langaas, albo ojciec Anny.

Henrietta aż podskoczyła.

– Torgeir Langaas! – krzyknęła. – Ojciec Anny! Dlaczego któryś z nich miałby tu być? Nie znam żadnego Torgeira Langaasa, a ojca Anny nie widziałam od dwudziestu czterech lat. Poza tym on nie żyje, a ja nie wierzę w duchy. Jaki Torgeir Langaas? Co to za nazwisko? Nie znam nikogo takiego. Anna wmawia sobie, że widuje ojca, to tylko jej fantazje. Jest w Lund. Nie mam pojęcia, gdzie podziewa się ta wasza Zebra.

Henrietta poszła do kuchni i wróciła po chwili ze szklanką wody. Zdjęła jakieś kasety z krzesła stojącego po drugiej stronie Lindy i usiadła. Linda musiała się obrócić, żeby widzieć twarz gospodyni. Henrietta znowu się uśmiechała. Kiedy się odezwała, jej głos ponownie był łagodny, miękki, niemal delikatny.

– Przepraszam, nie chciałam na ciebie nakrzyczeć – powiedziała.

Linda przyglądała się jej z uwagą, czując, że znów zapaliło się w niej wewnętrzne ostrzegawcze światelko. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że powinna dostrzec coś, co ma tuż pod nosem. Próbowwała dopatrzyć się tego, ale bez skutku. Jednocześnie stwierdziła, że rozmowa z Henriettą nie potoczyła się tak, jak zaplanowała. Jedyne, co osiągnęła, to jeszcze większe wycofanie matki Anny. Powinni się nią zająć doświadczeni policjanci, pomyślała, przyznając się przed samą sobą do porażki i żałując, że się tego podjęła. Obawiała się, że po tym nieudanym przesłuchaniu jej ojcu lub komuś innemu, kto zostanie do tego zadania wyznaczony, jeszcze trudniej będzie wyciągnąć coś z Henrietty.

– Na jaki jeszcze temat według ciebie kłamię? – zapytała zgryźliwie gospodyni.

– Właściwie nie wierzę już w nic, co mi pani mówi. I nie wiem, jak sprawić, żeby wreszcie powiedziała mi pani prawdę. Mam tylko nadzieję, że w końcu pani zrozumie, że pytam o to wszystko wyłącznie z troski. Boję się, że Zebrę spotkało coś złego.

– Ale co miałyby jej się stać?

Linda postanowiła mówić całkiem otwarcie.

– Podejrzewam, że ktoś, być może jakaś grupa ludzi, zabija kobiety, które kiedyś poddały się aborcji. Zebra raz usunęła ciążę, podobnie jak kobieta, którą znaleziono martwą w płonącym kościele. Słyszała pani o niej?

Henrietta siedziała bez ruchu. Linda uznała to za odpowiedź twierdzącą.

– Co to ma wspólnego z Anną?

– Nie wiem, ale się boję.

– Czego się boisz?

– Że ktoś zabije Zebrę i że Anna jest w to w jakiś sposób zamieszana.

Coś zmieniło się w twarzy Henrietty, pojawił się na niej ledwie zauważalny cień, którego Linda nie umiała odczytać. Uznała, że więcej nie uda jej się osiągnąć, więc schyliła się po leżącą na podłodze kurtkę. Sięgając po nią, spojrzała na wiszące nieopodal lustro, w którym odbijała się twarz Henrietty. Kobieta nie patrzyła na Lindę, lecz gdzieś dalej, ponad nią.

Podniósłszy kurtkę, Linda kątem oka dostrzegła, w którą stronę zerka Henrietta. Patrzyła na uchylone okno. Linda wstała i zakładając kurtkę, odwróciła głowę w tę samą stronę. Choć za oknem nie było nikogo, miała pewność, że przed chwilą ktoś tam stał. Zastygła z jedną ręką w rękawie. Nagle coś sobie uświadomiła – podniesiony głos Henrietty, otwarcie okna, jakby mimochodem, w końcu wielokrotne powtarzanie nazwiska, które Linda wypowiedziała – to wszystko było po to, żeby ktoś to usłyszał. Włożyła kurtkę, nie mając odwagi spojrzeć Henriecie w oczy. Bała się, że

to, co właśnie do niej dotarło, wyraźnie odmalowuje się na jej twarzy. Szybko ruszyła do drzwi. Po drodze pogłaskała psa. Henrietta poszła za nią.

– Przykro mi, że nie mogę ci pomóc – powiedziała.

– Może pani – odparła kwaśno Linda. – Ale woli pani nic nie robić.

Otworzyła drzwi i wyszła. Kiedy znalazła się przy narożniku domu, przystanęła i rozejrzała się wkoło. Nikogo nie widać, pomyślała. Ale wiem, że ktoś mnie obserwuje. Przez cały czas mnie obserwował, a przede wszystkim słyszał całą rozmowę. Henrietta specjalnie powtarzała moje słowa, żeby ten ktoś dobrze wiedział, co wiem, co mi się wydaje i czego się boję.

Truchtem dobiegła do auta, czując, że ogarnia ją strach. Wyrzucała sobie, że znów popełniła błąd. To właśnie wtedy, kiedy stałam przy drzwiach i głaskałam psa, właśnie wtedy powinnam zadać Henriecie najpoważniejsze pytania. Zamiast to zrobić, po prostu wyszłam.

Odjechała, co chwila spoglądając we wsteczne lusterko. Po dwudziestu minutach wjechała na parking pod komendą policji w Ystad. Wiało coraz mocniej. Biegając do drzwi wejściowych, kuliała się na porywistym wietrze.

Tuż przed wejściem potknęła się i upadła na twarz, rozcinając sobie wargę. Zakręciło jej się w głowie, lecz po chwili doszła do siebie, zdołała się podnieść i machnięciem dłoni powstrzymała recepcjonistę, który biegł już z pomocą. Zorientowała się, że ma też zranioną dłoń, więc ruszyła prosto do toalety. Obmywszy twarz, odczekała chwilę, aż wargę przestanie krwawić. Kiedy wyszła z łazienki i znów znalazła się przy recepcji, natknęła się na wchodzącego do budynku Stefana. Spojrzał na nią z rozbawieniem.

– No proszę – powiedział. – Kolejny okaleczony członek rodziny Wallanderów. Twój ojciec twierdzi, że wpadł na drzwi. Jak było z tobą? Ciebie też zaatakowały? Zastanawiam się, jak będziemy na was mówić, żebyście się nam nie mylili, kiedy już zaczniesz pracować. Śliwa i Szrama?

Linda parsknęła śmiechem, wskutek czego natychmiast pękła jej rana na wardze. Cofnęła się do toalety i po chwili wróciła z zapasem papieru toaletowego. Potem razem poszli korytarzem.

– Rzuciłam w niego popielniczką – przyznała się. – To nie były żadne drzwi.

– Wiesz, podobno z własnoręcznie złowionymi rybami jest tak, że za każdym razem, kiedy się o nich opowiada, zdobycz jest coraz większa – odparł z uśmiechem Stefan. – Może tak samo jest z kontuzjami? Zaczyna się od zderzenia z drzwiami, a potem nagle okazuje się, że wzięło się udział w walce, w której odniosło się bohaterskie zwycięstwo. Na tej samej zasadzie popielniczka rzucona – możliwe, że trochę nieelegancko – przez kobietę, może się w późniejszej relacji zamienić w drzwi.

Zatrzymali się przed drzwiami do pokoju Wallandera.

– Gdzie jest Anna? – zapytał Stefan.

– Wygląda na to, że znowu zniknęła. Nigdzie nie mogę jej znaleźć.

Lindman zapukał do drzwi.

– Lepiej od razu mu o tym powiedz.

Ojciec Lindy siedział z nogami na biurku i gryzł końcówkę ołówka. Spojrzał na nich pytającym wzrokiem.

– Myślałem, że przyprowadzisz Annę – rzucił.

– Taki też miałam zamiar, ale nigdzie jej nie ma.

– Co to znaczy?

– To, co mówię. Nie zastałam jej w domu.

Wallander nie krył zniecierpliwienia, więc Linda zaczęła się już przygotowywać, by stawić mu opór. Nagle ojciec zauważył, że ma skaleczoną wargę.

– Co ci się stało?

– Przewróciłam się przed drzwiami komendy, idąc do środka.

Kurt pokręcił głową, a potem zaczął się śmiać. Choć zazwyczaj był tak ponury, że Linda wolała nie przebywać zbyt długo w jego towarzystwie, rzadkie u niego przyływy dobrego nastroju sprawiały jej wielką przyjemność. Co innego, kiedy zaczynał rechotać jak w tej chwili, chrapliwie i zdecydowanie za głośno. Zawsze kiedy byli poza domem i on zaczynał się w ten sposób śmiać, wszyscy się odwracali, żeby sprawdzić, kto wydaje takie przedziwne odgłosy.

– Co cię tak śmieszy? – zapytała.

– Twój dziadek cały czas się przewracał. Nie wiem, ile razy widziałem, jak potyka się o puszki z farbami, ramy obrazów lub jakieś inne graty, które wały się po całej pracowni. Gertrud próbowała wytyczyć mu ścieżki między tymi rupieciami. To na chwilę pomagało, ale już po paru dniach znów się o coś potykał.

– A więc mam to po nim.

Wallander rzucił ołówek na biurko i zdjął nogi z biurka.

– Dzwoniłaś do Lund? Do jej przyjaciół? Przecież Anna musi gdzieś być.

– Nigdzie jej raczej nie znajdziemy. Nie mam zamiaru do niej wydzwaniać.

– Próbowiałaś na komórkę?

– Ona nie ma komórki.

Ojciec od razu się tym zainteresował.

– Dlaczego?

– Bo nie chce jej mieć.

– A może ma jakiś inny powód?

Linda zorientowała się, że ojciec nawiązuje do rozmowy, którą odbyli parę tygodni wcześniej. Jedli kolację na balkonie, a potem siedzieli do późna i porównywali teraźniejszość z tym, co było dziesięć i dwadzieścia lat wcześniej. Ojciec twierdził, że w teraźniejszości pojawiło się coś nowego i zarazem coś z niej zniknęło. Linda miała za zadanie zgadnąć, o co mu chodzi. Od razu się domyśliła, że to, co się pojawiło, to komórki. Nie umiała natomiast odgadnąć, że tym, czego już nie ma, jest zdaniem ojca powszechne palenie papierosów.

– Przecież dziś wszyscy mają komórki – mówił dalej Wallander. – Zwłaszcza młodzi. Oprócz Anny Westin. Jak to wyjaśnisz? Jak ona to wyjaśnia?

– Nie mam pojęcia. Zdaniem Henrietty Anna nie chce być stale dla wszystkich dostępna.

Wallander zastanowił się chwilę.

– Jesteś pewna, że to prawda? Może jednak ma, tylko ty o tym nie wiesz i nie znasz numeru?

– Być może.

– No właśnie.

Sięgnął po słuchawkę i wystukał numer wewnętrzny Ann-Britt Höglund. Poprosił, żeby przyszła. Po trzydziestu sekundach Ann-Britt pojawiła się w drzwiach. Wyglądała na zmęczoną. Była nieuczczona i miała pomiętą bluzkę. Lindzie od razu przyszła na myśl Vanja Jorner. Ann-Britt nie była jednak tak gruba, jak córka Birgitty Medberg.

Ojciec poprosił koleżankę, żeby sprawdziła, czy jest zarejestrowana jakaś komórka na Annę Westin. Był trochę zły, że Ann-Britt sama na to nie wpadła.

Chwilę później policjantka wyszła z pokoju, posyłając Lindzie uśmiech, który raczej przypominał jakiś nieokreślony grymas.

– Nie lubi mnie – mruknęła Linda do ojca.

– O ile się nie mylę, ty też za nią nie przepadasz, więc jesteście kwita. Nawet w takiej małej komendzie jak nasza nie wszyscy muszą się lubić.

Wallander wstał.

– Kawy? – zaproponował.

Gdy tylko podeszli do drzwi, natknęli się na Nyberga, z którym ojciec natychmiast wdał się w nieprzyjemną rozmowę. Linda nie mogła zrozumieć, o co im chodzi. Na szczęście po chwili zjawił się Martinsson z jakąś kartką w dłoni.

– Ulrik Larsen – zwrócił się do Lindy. – Ten, który napadł na ciebie w Kopenhadze i próbował cię okraść.

– Nigdy nie napadł mnie nikt, kto próbował mnie obrabować – zaprotestowała. – Zaatakował mnie mężczyzna, który zażądał, żebym przestała wypytywać o niejakiego Torgeira Langaasa.

– Właśnie to chciałem ci powiedzieć – ciągnął Martinsson. – Otóż wyobraźcie sobie, że Ulrik Larsen wycofał swoje wcześniejsze zeznania. Problem polega na tym, że nie złożył nowych. Nie przyznaje się do tego, że ci groził, i upiera się, że nie zna żadnego Langaasa. Nasi duńscy koledzy są

pewni, że kłamie. Mimo to jak dotąd nie udało im się niczego z niego wyciągnąć.

– Czy to wszystko? – spytała Linda.

– Nie, jest coś jeszcze, ale chcę, żeby posłuchał tego Kurre.

– Nie nazywaj go tak, kiedy słyszy – szepnęła z uśmiechem. – Wiesz, że mój ojciec nie znosi, kiedy mówi się na niego Kurre.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – parsknął Martinsson. – Nie cierpi tego tak samo jak ja, kiedy ktoś mówi do mnie Marta.

– Kto cię tak nazywa?

– Moja żona, kiedy jest wściekła.

Ponieważ kłótnia Wallandera z Nybergiem właśnie dobiegła końca, Martinsson wszystko im streścił.

– Jest coś jeszcze – powiedział na zakończenie. – Moim zdaniem to jest najciekawsze. Nasi duńscy koledzy dokładnie przyjrzeni się temu Larsenowi. Nigdy nie był notowany. Wygląda na to, że ten trzydziestosiedmiolatek jest czysty jak łąza. Żonaty, ma trójkę dzieci i pracę, która rzadko kiedy przysparza problemów z policją.

– Czyli jaką? – zapytał Wallander.

– Jest pastorem.

Wszyscy spojrzeli na Martinssona z zaskoczeniem.

– Pastorem? – odezwał się Lindman. – Jakim pastorem? Przecież myśleliśmy, że to zwykły ćpun.

Martinsson przebiegł wzrokiem kartkę papieru.

– Najwyraźniej taką miał odegrać rolę. Nie da się jednak zaprzeczyć, że jest pastorem w Duńskim Kościele Narodowym, na dodatek proboszczem zgromadzenia w Gentofte. Zrobił się z tego spory szum, ponoć wszystkie lokalne gazety na pierwszych stronach wydrukowały informację o pastorce-ćpunie, który dokonał napadu.

W pokoju zapadła cisza.



– No i znowu mamy to samo – powiedział z namysłem Wallander. – Religia, kościół. Ten Ulrik Larsen może być ważny. Ktoś z nas powinien tam pojechać i wesprzeć naszych kolegów. Chcę wiedzieć, w jaki sposób tajemniczy pastor wpisuje się w całą tę niejasną układankę.

– O ile w ogóle się w nią wpisuje – mruknął Lindman.

– Oczywiście, że tak – odparł Wallander z naciskiem. – I musimy ustalić jak. Zawołaj Ann-Britt.

Zadzwoiła komórka Martinssona. Odebrał, chwilę słuchał, a potem dopił kawę z kubka, który ze sobą przyniósł.

– Norwegowie się obudzili – powiedział, kiedy się rozłączył. – Dostaliśmy jakieś materiały na temat Torgeira Langaasa.

– Zajmiemy się tym od razu – zarządził Wallander.

Martinsson poszedł po dokumenty. Na jednej z kartek widoczna była kopia niewyraźnej fotografii.

– Zrobione ponad dwadzieścia lat temu – wyjaśnił, kiedy po chwili wrócił. – Jest wysoki, ma ponad metr dziewięćdziesiąt.

Wszyscy pochylili się nad zamazanym zdjęciem. Czy widziałam go wcześniej, rozmyślała Linda. Nie miała pewności.

– Co napisali? – zapytał Kurt.

Linda spostrzegła, że ojciec z każdą chwilą staje się coraz bardziej zniecierpliwiony. Zupełnie jak ja, pomyślała. Niepokój i niecierpliwość zawsze idą w parze.

– Natrafili na informacje o nim od razu, jak tylko zaczęli szukać. Dostalibyśmy te papiery dużo szybciej, gdyby ktoś tam nie zgubił naszego listu z prośbą o potraktowanie sprawy jako pilnej. Innymi słowy, policja w Oslo ma takie same problemy jak my. U nas giną nagrania ważnych zgłoszeń, a u nich papiery. Na szczęście w końcu nam to przysłali. Prowadzili kiedyś sprawę niejakiego Torgeira Langaasa, ale została umorzona.

– Co zrobił? – zapytał Wallander.

– Nie uwierzycie.

– Mów!

– Torgeir Langaas zniknął bez śladu dziewiętnaście lat temu.

Wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni. Linda miała wrażenie, że nawet ściany wstrzymały oddech. Zerknęła na ojca, który skulił się na krześle, jakby szykował się do skoku.

– Znowu ktoś znika – powiedział. – W jakiś sposób cała ta sprawa wciąż krąży wokół zaginionych ludzi.

– I tych, którzy się potem odnajdują – wtrącił Stefan.

– Albo wstają z martwych – dodał Kurt.

Martinsson czytał dalej, tym razem trochę wolniej, jakby bał się, że między słowami czają się miny:

– Torgeir Langaas był synem i głównym spadkobiercą norweskiego armatora. Bardzo zamożnego człowieka. Pewnego dnia nagle zniknął. Nie brano pod uwagę zabójstwa czy porwania, ponieważ zostawił list zaadresowany do matki, Maigrim Langaas, w którym wyjaśnił, że nie cierpi na depresję i nie zamierza popełnić samobójstwa, ale postanowił wyjechać, tu cytuję, co napisał: „nie mogę tego już dłużej wytrzymać”.

– Czego nie mógł wytrzymać? – zdziwił się Kurt.

– Tego nie wyjaśnił. No więc zniknął, mając do dyspozycji pokaźną sumę, jakieś wypchane po brzegi konta bankowe. Rodzice najpierw uznali, że ta mała rewolucja na pewno szybko się skończy, bo kto dobrowolnie zrezygnowałby z takiego majątku? Ale kiedy od zniknięcia Torgeira minęły dwa lata, poszli z tym na policję. Jak zaprotokołowano 12 stycznia 1984 roku, w dniu złożenia przez nich zawiadomienia, syn przestał pisać listy i od czterech miesięcy nie dawał znaku życia. Poza tym opróżnił konta. To jest ostatni ślad po nim, aż do dziś. Oprócz tego mamy dopisek funkcjonariusza o nazwisku Hovard Midtstuen informujący o tym, że matka

Torgeira Langaasa zmarła w zeszłym roku, ale jego ojciec wciąż żyje, chociaż – i tu znów cytuję – „znacznie podupadł na zdrowiu, zarówno fizycznym, jak i psychicznym, po wylewie, którego doznał w maju bieżącego roku”.

Skończywszy czytać, Martinsson położył kartki na biurko.

– Jest tego więcej – powiedział. – Ale przeczytałem wam najważniejsze.

Kurt Wallander uniósł dłoń.

– Czy napisali, skąd został wysłany jego ostatni list? I kiedy dokładnie opróżnił konta? – zapytał.

Martinsson jeszcze raz przewertował papiery, ale nie znalazł w nich odpowiedzi. Wallander podniósł słuchawkę telefonu.

– Jaki jest numer do tego Midtstuen?

Po chwili wystukiwał numer, w miarę jak Martinsson dyktował mu kolejne cyfry. Pozostali czekali w napięciu. Kilka sekund później Wallander połączył się z Hovardem Midtstuenem. Zadał mu oba pytania, podał swój numer telefonu i zakończył rozmowę.

– Powiedział, że zaraz oddzwoni – wyjaśnił. – Zaczekajmy.

Norweg oddzwonił po dziewiętnastu minutach. Przez ten czas w pokoju Wallandera nikt nie odezwał się ani słowem. Kiedy zadzwoniła jego komórka, sprawdził tylko, kto dzwoni, ale nie odebrał. Lindzie przyszło na myśl, że to Nyberg. Nie wiedziała dlaczego.

Kiedy wreszcie zadzwonił Midtstuen, Wallander rzucił się na słuchawkę, drugą ręką przysuwając sobie notes i jakiś długopis. Nabazgrał coś, podziękował norweskiemu koledze i z hukiem, mającym oznaczać triumf, cisnął słuchawkę na widełki.

– Nareszcie – powiedział. – Nareszcie zaczyna się to nam składać w całość.

Potem odczytał swoje notatki: ostatni list Torgeir Langaas wysłał z Cleveland w stanie Ohio, USA, tam też opróżnił i zamknął konta

bankowe.

Wallander odłożył notes na biurko. Widział, że niektórzy nic z tego nie rozumieją. Linda dobrze wiedziała, o co mu chodzi.

– Martwa kobieta, którą znaleźliśmy w płonącym kościele, pochodziła z Tulsy, ale urodziła się w Cleveland, w Ohio.

Nadal nikt się nie odzywał.

– Wciąż nie mamy pojęcia, co tu się tak naprawdę dzieje – zaczął wyjaśniać Kurt – ale jedno jest pewne. Ta dziewczyna, przyjaciółka Lindy, Zeba, Zebra, czy jak jej tam, jest w niebezpieczeństwie. Niewykluczone, że coś grozi również jej drugiej przyjaciółce, Annie Westin.

Zamilkł na moment, ale zaraz mówił dalej.

– Może się nawet okazać, że to Anna Westin jest niebezpieczeństwem. Dlatego właśnie teraz tymi dwiema będziemy się zajmować. Są najważniejsze.

Kiedy skończyli, była już trzecia. Linda coraz bardziej się bała, myślała już tylko o Zebrze i Annie. Nagle wpadła jej do głowy myśl, którą natychmiast odegnała. Za trzy dni miała zacząć pracę w policji. Nie wiedziała, czy dałaby radę, gdyby coś stało się którejs z jej przyjaciółek.

Tego popołudnia, kiedy Torgeir pojechał po Annę, a potem przywiózł ją z opaską na oczach do kryjówki w Sandhammaren, Eryk Westin rozmyślał o wyzwaniu, jakie Bóg rzucił Abrahamowi.

Eryk urządził sobie gabinet w pracowni kapitana, w pokoiku przy kuchni, przypominającym kajutę. Było w nim duże okrągłe okno z mosiężną ramą. Eryk uchylił je na wypadek, gdyby miało się zdarzyć coś niespodziewanego i był zmuszony uciekać. Nieoczekiwane zawsze miało coś wspólnego z diabłem, który był tak samo rzeczywisty jak Bóg. Po ponad piętnastoletnich rozmyślaniach Eryk w końcu doszedł do wniosku, że Bóg nie istniałby bez swojego przeciwieństwa. Diabeł jest cieniem Boga, pomyślał i uznał, że oto objawiła mu się prawda. W snach często prowokował diabła, by mu się ukazał. Po jakimś czasie zrozumiał, że jego wygląd przecież stale się zmienia, że jest on najzdolniejszym z przebierańców, mogącym w każdej chwili przywdziać dowolną maskę. Uznał, że jednym z największych błędów, jaki popełnili autorzy i ilustratorzy Biblii, było przedstawienie diabła jako zwierzęcia, przyczajonej istoty z ogonem. Był on przecież upadłym aniołem. Aniołem, który odciął sobie skrzydła, a na ich miejscu wyrosły mu ręce i w ten sposób przybrał ludzką postać.

Szukając w pamięci, doszedł do wniosku, że diabeł objawił mu się wielokrotnie, on zaś, widząc przemykający bokiem cień, nie zorientował się, z kim ma do czynienia. Wówczas też zrozumiał, dlaczego Bóg nie chciał z nim o tym rozmawiać. Powinien był odkryć, że diabeł to świetny aktor, mogący odgrywać dowolną rolę. I odkąd on sam musiał zawsze być przygotowany na nadejście niespodziewanego, zrozumiał, dlaczego przez

ostatnie lata w Gujanie Jim Jones był tak podejrzliwy. Jim nie miał dość siły. Nigdy nie nauczył się wykorzystywać strachu w taki sposób, aby móc zbudować na nim system ochrony. Tak więc uchylone okno w kajucie kapitana było przypomnieniem o nieustającej obecności upadłego anioła.

Eryk otworzył Biblię, którą znalazł w bibliotece właściciela domu. Jego pierwsze Pismo Święte zgubił Torgeir. Miał je w szałasie, w głębi lasu, gdy nagle pojawiła się tam ta nieszczęsna kobieta. Wpadł w szal, dowiedziawszy się, że Biblia, którą zdecydował się pożyczyć Torgeirowi po długim wahaniu, wpadła w łapy policji. Rozważał nawet włamanie się do komendy i odzyskanie jej. W końcu jednak doszedł do wniosku, że to za duże ryzyko.

Mimo że trudno mu było wtedy opanować gniew, wiedział, że Torgeir jest mu potrzebny do zadań, które mają przed sobą. Pierwszy uczeń był jedynym żołnierzem w armii Eryka, którego nie dało się nikim zastąpić. Wyjaśnił mu, że nagłe pojawienie się w szałasie nieznanym kobiety to dzieło Szatana. „Diabeł jest cieniem Boga, tłumaczył mu. Cień ten czasem wyrywa się na wolność i chodzi własnymi ścieżkami w ludzkim przebraniu, czasem jest mężczyzną, czasem kobietą, dzieckiem lub starcem”. Eryk pochwalił go za zabicie kobiety, mimo że w ten sposób nie uśmiercił diabła. Bo on zawsze zdąży opuścić ciało człowieka, zanim zabierze je śmierć.

Położył Biblię na pięknym biurku z drzewa sandałowego, być może był to mahoń, Eryk nie miał pewności, i zaczął czytać fragment o tym, jak Bóg nakazał Abrahamowi, by ten zabił swego syna Izaaka, a potem, kiedy Abraham wszystko już przygotował, dając Panu do zrozumienia, że spełni jego żądanie, Bóg powstrzymał go. Eryk czuł, że obecnie znajduje się w takiej samej sytuacji jak Abraham. Co powinien zrobić ze swoją córką, kiedy ta nie okaże się tak silna, jak się spodziewał? Długo rozmyślał, nim wewnętrzny głos podpowiedział mu, co należy uczynić. Uznał, że musi być

przygotowany do złożenia najwyższej ofiary, i tylko sam Bóg mógł dać mu znak, by to uczynił, lub go powstrzymać.

Anna usłyszała głos Zebry, ponieważ Bóg chciał wystawić Eryka na kolejną próbę. Eryk śledził zachowanie córki w najmniejszych detalach, mimo że Anna, po pierwszej odruchowej reakcji, teraz bardzo się starała, by jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Eryk niemal czytał w jej myślach: najpierw ogarnęła ją wątpliwość – nie była pewna, czy słyszała krzyk człowieka, czy zwierzę – miała nadzieję, że krzyk się powtórzy i wtedy będzie mogła odgadnąć. Eryk nie rozumiał, dlaczego po prostu go nie zapytała. Byłoby to przecież zwykłe pytanie, rozmyślał. Ani niestosowne, ani nieuzasadnione. W końcu nie codziennie przyjeżdża się do obcego domu w opasce na oczach i z zatkanymi uszami, żeby nie wiedzieć, dokąd jest się wieszonym, a potem wchodzi na werandę, spod której nagle wydobywają się potępieńcze wrzaski. Anna jednak o nic nie zapytała, a Eryk po chwili namysłu doszedł do wniosku, że być może dobrze się stało, że Zebra krzyknęła. Tym samym nie było już powrotu i wkrótce się okaże, czy Anna jest godna zostać jego następczynią. Był 7 września i niebawem miało nastąpić to, co Eryk planował od ponad pięciu lat. Nie będę z nią rozmawiać, pomyślał. Wygłoszę jej kazanie, tak samo jak innym moim uczniom.

– Wyobraź sobie ołtarz – powiedział. – Niech stół przed nami będzie ołtarzem. Teraz wyobraź sobie wnętrze kościoła, niech nim będzie weranda.

– Gdzie jesteśmy? – spytała Anna.

– W domu, który jednocześnie jest świątynią.

– Dlaczego musiałam tu przyjechać z zasłoniętymi oczami?

– Dlatego, że niewiedza czasem jest tożsama z wolnością.

Chciała zadać kolejne pytanie, lecz Eryk uniósł dłoń. Anna lekko drgnęła, jakby obawiała się, że ojciec ją uderzy. Eryk zaczął opowiadać o tym, co ma nastąpić, oraz o tym, co było. Przemawiał jak zawsze,

najpierw niemal nieśmiało, robiąc długie pauzy, potem z coraz większą żarliwością.

– Armia, którą stworzyłem, każdego dnia rośnie w siłę. Pierwsze, z pozoru niezorganizowane grupy ludzi niebawem zamienią się w bataliony, bataliony utworzą pułki i dawne chorągwie symbolizujące prawdziwą twarz chrześcijaństwa znów zatrzepoczą na wietrze. Chcemy sprawić, by ludzkość na nowo pojednała się z Bogiem, i na to właśnie nadeszła pora. Pan wezwał mnie, a przecież nikt nie ma prawa odepchnąć takiego wezwania, być głuchym na głos Najwyższego. Bóg nakazał mi poprowadzić pułki do boju. Naszym zadaniem jest zburzenie murów pustki wypełniającej ludzi. Kiedyś myślałem, że będę musiał wypełnić tę pustkę własną krwią. Teraz wiem już, że Pan wyposażył nas w młoty, którymi rozbijemy kamienne ściany ludzkich dusz. Nieubłagane zbliża się czas rozpoczęcia walki, do której zostaliśmy powołani. Nasze zwycięstwo sprawi, że chrześcijaństwo znów opanuje ziemię. To my niesiemy zbawienie, nikt inny. Złamiemy każdy opór, jaki pojawi się na naszej drodze, skruszymy kamienne ściany w nas samych i wszystkich, którzy zblądzili, zmieciemy cały brud i zło, jakie kalają ziemię. Jest tylko jeden Bóg i ten właśnie Bóg wybrał nas, żebyśmy natarli na barykady wroga i jeśli trzeba, zginęli męczeńską śmiercią. Musimy być silni i walczyć w imię całej ludzkości, dla jej dobra stłumić wszystkie złe moce. Jeżeli któraś z tych mrocznych sił każe zwać się człowiekiem lub prorokiem, przyjdzie do mnie i zacznie stawiać warunki, wtedy odpowiem: Zaczekaj, aż pokażę ci, jakie warunki ja stawiam. Muszę tak odrzec, gdyż słów przekazanych przez Najwyższego nikt nie podaje w wątpliwość. Choć zawsze marzyłem o spokojnym i prostym życiu, Pan przewidział dla mnie inne zadanie. Powtórzę zatem raz jeszcze: wkrótce nadejdzie czas, kiedy otworzymy tamę i uwolnimy wodę, by oczyściła świat.



Eryk zamilkł i spojrzał na córkę, by zobaczyć jej reakcję. Potrafił czytać w ludziach jak w otwartych księgach, najlepiej, kiedy czuli się bezbronni, jak w tej chwili Anna.

– Kiedyś robiłeś sandały i byłeś moim ojcem, wiodłeś spokojne, skromne życie – powiedziała.

– Ale potem musiałem podążyć za powołaniem – odparł Eryk.

– I porzuciłeś mnie, twoją jedyną córkę.

– Nie miałem wyjścia. Zawsze jednak nosiłem cię w sercu. I wreszcie wróciłem.

Zorientował się, że Anna jest spięta. Mimo to jej następna wypowiedź go zaskoczyła. Córka prawie krzyknęła.

– Słyszałam Zebkę! Ona jest tu, na dole. To zabrzmiało tak, jakby wzywała pomocy. Przecież nie zrobiła nic złego.

– Dobrze wiesz, że to nieprawda. Sama mi o tym niedawno opowiedziałaś.

– I teraz tego żałuję.

– Ten, kto zabija drugiego człowieka, popełnia śmiertelny grzech i musi ponieść karę. Jedyna sprawiedliwość płynie prosto z Biblii.

– Zebra nikogo nie zabiła. Miała wtedy piętnaście lat. Jak miałyby dać sobie radę z dzieckiem?

– Nie powinna była ulegać pokusie.

Erykowi nie udało się uspokoić Anny. Poczłł niepokój. Jest jak Henrietta, pomyślał. Za bardzo ją przypomina, odziedziczyła po matce wszystkie słabości.

Postanowił być bardziej stanowczy. Zawarł w kazaniu wszystko, co miał Annie do powiedzenia, i w tej chwili mógł jej już tylko powiedzieć, jaki ma wybór. Nic nie było bez znaczenia, nawet obawa, jaką żywił wobec jej przyjaciółki, córki policjanta. Uznał, że wykorzysta tę obawę, wystawiając

Annę na próbę, sprawdzi jej zdolność do podejmowania decyzji i gotowość do wypełniania zadań, jakie dla niej przewidział.

– Zebnę nie spotka nic złego – powiedział.

– Więc po co trzymacie ją w tej piwnicy?

– Czeka tam na twoją decyzję.

Zauważył, że Anna jest zdezorientowana, i podziękował sobie w duchu za przeczucie, które kiedyś, gdy mieszkał jeszcze w Cleveland, skłoniło go do dokładnego przestudiowania lektur o teorii i praktyce wojny. Książki te wciąż leżały na jego biurku, a on coraz częściej odkrywał, że wiedza w nich zawarta przydaje się do konstruowania kazań. Dzięki niej mógł z neutralnej pozycji w rozmowie z córką niespodziewanie przejść do błyskawicznej ofensywy. Sprawił, że Anna poczuła się osaczona. Okazało się, że to nie jego, ale jej decyzja jest rozstrzygająca.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Boję się – jęknęła i zaczęła płakać. Cała się trzęsła. Eryk poczuł, jak ściska mu się gardło, przypomniał sobie, jak płakała, kiedy była małą dziewczynką, a on ją pocieszał. Stłumił wzruszenie i kazał jej przestać.

– Czego się boisz? – zapytał.

– Ciebie.

– Przecież wiesz, że cię kocham. Kocham też Zebnę. Przybyłem, by przygotować ziemię na powrót Boga.

Anna znowu podniosła głos.

– Nic z tego nie rozumiem! – krzyknęła.

Zanim Eryk zdążył zareagować, spod podłogi znów rozległo się wycie. Anna zerwała się z krzesła z okrzykiem „Już idę!”, ale nim zdołała dotrzeć do drzwi werandy, Eryk ją chwycił. Wyrywała się, był jednak od niej dużo silniejszy. Lata spędzone w Cleveland przeznaczył również na trening fizyczny. Ponieważ Anna nie przestawała wierzgać, uderzył ją otwartą dłonią: raz, drugi, po trzecim ciosie upadła z krwawiącym nosem. Torgeir

ostrożnie uchylił drzwi, a Eryk dał mu znak, by zszedł do piwnicy. Uczeń od razu zniknął. Eryk pomógł Annie wstać, zmusił ją, by usiadła na krześle, po czym opuszkami palców zaczął badać jej czoło. Miała przyśpieszone tętno. Eryk odwrócił się do niej plecami i zbadał swój puls, który też trochę przyśpieszył, ale tak nieznacznie, że tylko on mógł to wyczuć. Usiadł na krześle i czekał. Wiedział, że niebawem złamie opór córki. To, z czym ma teraz do czynienia, jest ostatnim zrywem, resztkami sprzeciwu. Zaatakował ją ze wszystkich stron naraz i był pewien zwycięstwa. Czekał.

– Nie chcę cię bić – odezwał się po dłuższej chwili. – Ale muszę robić to, co konieczne. Przed nami wojna z pustką, która opanowała ludzi. Wojna, która nierzadko będzie od nas wymagała zdecydowanych działań. Otaczają mnie ludzie, gotowi oddać życie. Być może i ja będę musiał to zrobić.

Anna milczała.

– Zembrę nie spotka nic złego – powtórzył. – Ale wiedz, że w życiu nic nie jest za darmo. Wszystko ma swoją cenę.

Córka spojrzała na niego z mieszaniną wściekłości i strachu. Pod nosem zastygła jej krew. Kiedy Eryk wyjaśnił jej, czego oczekuje, Anna wciąż patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Przesiadł się na krzesło bliżej córki i położył dłoń na jej dłoni. Anna drgnęła, ale nie wykonała żadnego ruchu więcej.

– Zostawię cię na godzinę – powiedział. – Nie zamknę żadnych drzwi ani okien, nikogo nie postawię na straży. Przemyśl to, co powiedziałem, i podejmij decyzję. Jestem pewien, że jeśli tylko pozwolisz na to, by Bóg pokierował twoim sercem i umysłem, na pewno zdecydujesz właściwie. Pamiętaj, że bardzo cię kocham.

Podejrzewał, że kiedy ją zostawi, ona będzie liczyła na to, że czas podpowie jej rozwiązanie. Tego też moja córka musi się jeszcze nauczyć, pomyślał. Czas przecież należy do Boga i tylko On decyduje, czy minuta trwa długo, czy krótko.

W końcu Eryk wstał, delikatnie dotknął czoła Anny, rysując na nim niewidzialny krzyż, i w milczeniu opuścił werandę.

Torgeir czekał na niego w korytarzu.

– Wystarczyło, że się jej pokazałem, i od razu ucichła – powiedział. – Już nie będzie krzyczała.

Przeszli przez ogród, kierując się w stronę sporej szopy, która służyła kapitanowi za przechowalnię sprzętu wędkarskiego. Stanęli przed jej drzwiami.

– Czy wszystko jest gotowe? – zapytał Eryk.

– Tak – odparł Torgeir, wskazując na cztery rozstawione obok szopy namioty. Podeszli do jednego, Eryk zajrzał do środka. Upewniwszy się, że wewnątrz stoją skrzynie, ułożone jedna na drugiej, kiwnął głową, a Torgeir zasunął wejście do namiotu.

– A samochody? – znów odezwał się Eryk.

– Ci, którzy mają do pokonania najdłuższe odcinki, stoją nieopodal, przy drodze. Reszta jest tam, gdzie uzgodniliśmy.

Eryk Westin spojrział na zegarek. W trakcie wielu, w dużej części mrocznych lat przygotowań, czas często mu się dłużył. W tej chwili poczuł, że wszystko nabrało tempa i musiało toczyć się zgodnie z planem.

– Czas rozpocząć odliczanie – powiedział.

Potem rzucił okiem na niebo. Od samego początku, kiedy marzył o tym dniu, wyobrażał sobie, że pogoda podkreśli dramatyzm mających nastąpić wydarzeń. Jednak 7 września 2001 roku niebo nad Sandhammaren było bezchmurne i nie wiał wiatr.

– Ile jest stopni? – zapytał.

Torgeir spojrział na zegarek, który oprócz krokomierza i kompasu miał wbudowany termometr.

– Osiem – odpowiedział.

W końcu weszli do szopy, której stare ściany wciąż jeszcze pachniały dziegciem. Oczekujący ich ludzie siedzieli na niskich drewnianych ławkach ustawionych w podkowę. Eryk postanowił wcześniej, że również tego dnia włożą białe maski na czas ceremonii. Teraz jednak zdecydował, że z tym zaczeka. Wciąż jeszcze nie wiedział, czy umrze Zebra, czy córka policjanta. Podjął decyzję, że założą maski, kiedy to się wyjaśni. Czas uciekał, a przecież Eryk nie mógł sobie pozwolić na opóźnienia. Wiedział, że Bóg nie toleruje zwłoki. Oznaczałaby ona, że ten, kto wykonuje zadanie, nie godzi się z faktem, że czasem zarządza Najwyższy, że czasu nie można wydłużyć lub skrócić.

Ci, którzy mieli przed sobą najdalszą drogę, musieli niebawem ruszyć. Dokładnie obliczyli potrzebny im czas, punkt po punkcie studiując wręczone im instrukcje i listy spraw do zrobienia. Wszystko było gotowe, nie mogli zrobić nic więcej, pozostało już tylko działanie. Jednocześnie wiedzieli, że niebezpieczeństwo zawsze czai się w cieniu. Ciemne moce, którym wypowiedzieli wojnę, zrobią wszystko, by im przeszkodzić.

Rozpoczęli ceremonię, którą Eryk nazwał „Przeznaczeniem”. Odmówili modlitwy, medytowali przez siedem świętych minut, a potem ustawili się w okrąg i wzięli za ręce. Eryk wygłosił kazanie będące powtórką tego, co wcześniej powiedział córce. Zmienił tylko zakończenie: „Czas przygotowań do świętej wojny dobiegł końca. Zaczniemy od miejsca, w którym zatrzymano się prawie dwa tysiące lat temu. Od dnia, w którym Kościół stał się kościołem, budynkiem ze ścianami, zamiast jedynie wiarą, dającą ludziom wolność. Czas skończyć z wyglądaniami znaków zwiastujących koniec świata. Zajrzyjmy do naszego wnętrza i wsłuchajmy się w głos Pana, który wybrał nas, byśmy wypełnili zadanie. Odpowiemy mu, że jesteśmy przygotowani. Krzyknijmy na cały głos, że jesteśmy gotowi skrzyżować rzekę przeszłości ze strumieniem tego, co ma po niej nadejść. Obalimy fałsz i zdradę boskiego planu. Wykorzenimy je i zamienimy

w popiół, który głucho opadnie na ziemię. Otaczająca nas rzeczywistość jest bliska upadku. Pan wybrał nas, byśmy wytyczyli drogę dla nadchodzącej przyszłości. Niczego się nie lękamy, gdyż gotowi jesteśmy ponieść największą z ofiar. Nie zawahamy się przemocą udowodnić fakt, że zostaliśmy wyznaczeni przez Najwyższego, a nie jakiegoś fałszywego proroka. Niebawem się rozdzielimy i wielu z nas prawdopodobnie już nie powróci. Spotkamy się po drugiej stronie, w wieczności, w raju. Teraz najważniejsze jest, żeby nikt z was nie odczuwał lęku. Liczy się wyłącznie stojące przed nami zadanie. Wzywam was, byście nawzajem dodawali sobie otuchy”.

Na tym ceremonia dobiegła końca. Erykowi przyszło na myśl, że otaczający ich kościół zmienił się w bazę wojskową. Torgeir postawił na środku pomieszczenia stół, a potem położył na nim stos kopert. Zawierały one ostatnie instrukcje dla zgromadzonych. Trzy grupy, które czekała najdłuższa droga, miały wyruszyć za niecałą godzinę. Oni nie wezmą udziału w ostatniej ceremonii, w ostatniej ofierze. Inna grupa, ta, która poruszała się łodzią, musiała ruszyć w drogę za kilka minut. Eryk wręczył im koperty, dotknął ich czół i zajrzał każdemu w oczy tak głęboko, jak umiał. Po chwili pierwsi uczniowie w milczeniu wyszli z szopy. Na zewnątrz czekał na nich Torgeir z drewnianymi skrzyniami oraz resztą wyposażenia, które musieli ze sobą zabrać. Punktualnie za kwadrans piąta, 7 września 2001 roku, wyruszyły w drogę pierwsze cztery grupy. Trzy z nich miały się udać prosto na północ, czwarta ruszyła na wschód od Sandhammaren.

Kiedy odjechały wszystkie samochody, a reszta zebranych udała się do kryjówek, Eryk został sam w szopie. Siedział w ciemności, ściskając w dłoni łańcuszek z wisiorkiem – połączonym sandałem, ważnym dla niego tak samo, jak krzyżyk. Zastanawiał się, czy czegoś żałuje. Gdyby tak było,

równałoby się to z wyrzeczeniem się Boga. Był przecież jedynie narzędziem, choć obdarzonym wolną wolą, zdolnością pojmowania i ostatecznie wyboru, zgody na bycie wybranym. Rozmyślał o tym, co odróżniało go od Jima. Przez pierwsze lata po katastrofie w Gujanie nie miał wystarczająco dużo siły, by zmierzyć się z tymi uczuciami, z napierającymi na niego emocjami dotyczącymi samego siebie i człowieka, który go zawiódł. Był to okres, kiedy wszystko w nim wrzało, uniemożliwiając podsumowanie i osąd wydarzeń. Wówczas oraz przez długi czas później, nie umiał nazwać uczuć, które wzbudzały w nim wspomnienie Jima. Dopiero dzięki wsparciu Sue-Mary, przede wszystkim jej cierpliwości, zdołał pojąć różnicę między samym sobą a fałszywym prorokiem. Okazała się ona banalnie prosta i zarazem rewolucyjna. W rzeczywistości pastor Jim Jones był oszustem, wcieleniem Szatana, podczas gdy Eryk poszukiwał prawdy i został wybrany przez samego Boga, by wytoczyć wojnę światu, w którym Pana zesłano do martwych kościołów, urządzano mu martwe ceremonie oraz szerzyła się wiara nieucząca ludzi szacunku do życia i radości z istnienia.

Zamknął oczy i wciągnął do płuc zapach dziegciu. Jako dziecko spędził wakacje na Olandii u pewnego rybaka, znajomego rodziców. Wspomnienie tamtego lata, najszcześniejszych dni w jego dzieciństwie, związane było właśnie z zapachem dziegciu. Wciąż pamiętał, jak nocami wymykał się z domu i biegł boso po mokrej trawie do szopy ze sprzętem rybackim, by tam, w zupełnych ciemnościach, napawać się tym ulubionym zapachem. W końcu otworzył oczy. Wiedział, że nie ma już odwrotu, którego i tak nie pragnął. Nadszedł czas działania. Wyszedł z szopy i okrężną drogą ruszył w stronę frontowego wejścia do domu. Przechodząc obok werandy, ukrył się za drzewem i spojrzał na Annę. Z ułożenia jej ciała starał się wyczytać, jaką podjęła decyzję, ale odległość była zbyt duża.

Nagle coś za nim zaszeleściło. Eryk podskoczył i szybko się odwrócił. Zobaczywszy Torgeira, poczuł falę gniewu.

– Dlaczego się skradasz? – syknął.

– Nie chciałem.

Eryk z całej siły uderzył Torgeira w twarz, tuż pod okiem. Uczeń pokornie przyjął cios i schylił głowę. Eryk szybkim gestem pogładził go po włosach, odwrócił się i ruszył w stronę domu. Wszedłszy do środka, bezszelestnie przeciął przedpokój i salon, aż znalazł się na werandzie, tuż za plecami Anny. Zorientowała się, że za nią stoi dopiero wówczas, gdy się nachylił i poczuła jego oddech na karku. Przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko córki tak blisko, że dotykał jej kolanami.

– Czy podjęłaś decyzję? – zapytał.

– Zrobię, co zechcesz.

Choć wiedział, że Anna tak zdecyduje, poczuł ulgę.

Wstał i podniósł niewielką torbę na ramię, która stała pod ścianą. Wyjął z niej nóż o wąskim ostrzu i położył go na jej kolanach, delikatnie, jakby miał w rękach małego kociaka.

– W chwili gdy się zorientujesz, że wie więcej niż powinna, pchniesz ją tym ostrzem. Nie raz, ale trzy albo cztery. Celuj w pierś, a wyjmując nóż, kieruj ostrze ku górze. Potem zadzwoń do Torgeira i pozostawaj w ukryciu, aż po ciebie przyjedziemy. Masz sześć godzin, ani chwili dłużej. Wiesz, że bardzo cię kocham. Kto kocha cię bardziej niż ja?

Już miała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Eryk zrozumiał, że w pierwszej chwili chciała wypowiedzieć imię matki.

– Bóg – szepnęła.

– Ufam ci – odparł Eryk. – Miłość Boga i moja to jedno. Żyjemy w czasach, w których narodzi się nowy świat. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Rozumiem.



Eryk zajrzał jej głęboko w oczy, wciąż nie mając pewności, czy córka jest mu w pełni oddana. Musiał jednak uwierzyć, że podjął właściwą decyzję.

Wyprowadził ją przed dom.

– Anna teraz pojedzie – zwrócił się do Torgeira.

Wsiadli we dwójkę do jednego z samochodów stojących przed budynkiem. Wcześniej jednak Eryk własnoręcznie zawiązał córce opaskę na oczach i sprawdził, czy na pewno niczego nie widzi. Na koniec wetknął jej stopery do uszu.

– Jedź naokoło – szepnął do Torgeira. – Zmyl ją, zwiększając odległość.

Kiedy samochód wreszcie się zatrzymał, było wpół do szóstej. Torgeir wyjął Annie z uszu stopery i rozwiązał opaskę, ale kazał jej policzyć do pięćdziesięciu, nim otworzy oczy.

– Bóg na ciebie patrzy – powiedział. – Nie spodobałoby się mu, gdybyś podglądała.

Pomógł jej wysiąść z auta. Anna policzyła do pięćdziesięciu i otworzyła oczy. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje, lecz po chwili zrozumiała. Stała na Mariagatan, pod drzwiami domu Lindy.

Popołudniem i wieczorem 7 września Linda raz jeszcze była świadkiem, jak jej ojciec próbuje zebrać w całość wszystkie znane im tropy, by opracować plan, który pozwoliłby na podjęcie przemyślanych kroków, a te z kolei doprowadziłyby wreszcie do przełomu w śledztwie wypatrywanego z takim utęsknieniem. Przyglądając się jego pracy, doszła do wniosku, że pochwąły, jakie często zbierał od kolegów, a czasem nawet od mediów – jeśli te akurat nie wieszały na nim psów za nieprzyjazną postawę na konferencjach prasowych – nie były przesadzone. Zrozumiała, że ma ojca, który nie tylko jest kompetentnym i doświadczonego śledczym, ale posiada też zapał do pracy i umiejętność inspirowania współpracowników. Przypomniała sobie pewne zdarzenie ze szkoły policyjnej. Ojciec jednego z kolegów grał w drużynie hokejowej, jednej z najlepszych. Linda nie znała się na tym, lecz wiedziała, że jest to naprawdę świetny zespół. Kiedyś wybrała się z tym kolegą na mecz, pozwolono im nawet przed rozpoczęciem gry, w przerwach i po jej zakończeniu wejść do szatni zawodników. Trener drużyny miał podobny talent, jaki tego dnia odkryła u swojego ojca. Mimo że po dwu tercjach jego zawodnicy przegrywali czterema bramkami, on zabronił im się poddawać, zagrzewał ich do walki. Gdy wyszli na лёд, do końca meczu prawie udało się im odwrócić wynik na swoją korzyść.

Czy mój ojciec wygra ten mecz?, rozmyślała. Czy odnajdzie Zebkę, zanim coś jej się stanie? Linda wielokrotnie była zmuszona opuścić salę, w której akurat odbywało się spotkanie lub toczyła się konferencja prasowa, żeby pójść do łazienki. Żołądek był jej najsłabszym punktem. Strach powodował u niej biegunkę. Musiała to odziedziczyć po matce, bo ojciec zdawał się mieć żołądek ze stali. Czasem nawet żartował sobie, że jego

układ pokarmowy wytwarza taki sam kwas, jak u hieny – najbardziej żrący w całym królestwie zwierząt. Mógł zjeść dosłownie wszystko i nic mu się nigdy nie działo. Słabym punktem ojca była natomiast głowa. Kiedy dokuczał mu stres, głowa bolała go nieustannie przez kilka dni i wtedy pomagały mu wyłącznie silne, wydawane na receptę tabletki.

Linda bała się, ale miała świadomość, że nie jest w tym osamotniona. Dostrzegała coś nierzeczywistego w spokoju i skupieniu, jakie panowały na komendzie policji. Próbowwała odczytać myśli otaczających ją policjantów i techników, podpatrzeć, jak pracują, jednak jedyne, co udało jej się dostrzec, to skupienie i metodyczne dążenie do celu. Dotarło do niej, że w szkole policyjnej nie powiedziano jej najważniejszego: w pracy policjanta zdarzają się sytuacje, w których najważniejsza jest umiejętność opanowania strachu. Jeśli pozwoli mu się nad sobą zapanować, wszystko ogarnie chaos.

Tuż po czwartej zauważyła, że ojciec chodzi tam i z powrotem po korytarzu, wściekły jak ranny zwierz. Za parę minut miała rozpocząć się konferencja prasowa. Co chwilę kazał Martinssonowi zaglądać do sali, żeby sprawdził, ilu dziennikarzy się zebrało i ile rozstawiono kamer, albo czy pojawiła się ta czy tamta konkretna osoba. Z tonu, jakim ojciec wydawał polecenia, Linda wywnioskowała, że wolałby nie widzieć tych osób. Obserwowała go, był bardzo niespokojny. Zupełnie jak niedźwiedź w klatce, pomyślała, jak gladiator w korytarzu prowadzącym wprost na arenę. Kiedy Lisa Holgersson wyszła z sali i dała mu znak, że trzeba zaczynać, z impetem ruszył przez drzwi. Jedyne, czego zabrakło, to głośny ryk.

Linda obserwowała trwającą pół godziny konferencję prasową, stojąc w drzwiach. Na niewielkim podium w przeciwległym końcu sali siedzieli Lisa Holgersson, Svartman oraz Kurt Wallander. Obawiała się, że jeśli ktoś zada pytanie, na które ojciec nie chce odpowiadać, on wpadnie w szal. Tak

bardzo był spięty. Wiedziała, że najbardziej stresuje go fakt, iż można by lepiej spożytkować czas stracony na konferencji. Jednak Martinsson, który wciąż stał obok Lindy, był zdania, że konferencje prasowe czasem okazują się zbawienne dla toku śledztwa, głównie dzięki informacjom, które ludzie przekazują policji, po przeczytaniu o sprawie w gazecie lub usłyszeniu czegoś w radiu.

Na szczęście Lindzie nie było dane zobaczyć, jak ojciec traci panowanie na oczach kamer. Udało mu się przetrwać konferencję dzięki lodowatemu wyobcowaniu. Tak właśnie pomyślała, określenie *lodowate wyobcowanie* wydało jej się w tej sytuacji najodpowiedniejsze. Przez cały czas miał tak poważną i surową minę, że nikt nie odważył się go zaczepić.

Mówił wyłącznie o Zebrze, pokazał jej fotografię, wyświetlono ją nawet na dużym ekranie. Czy ktoś ją widział? Każda informacja może okazać się cenna. To było dla niego najważniejsze. Zgrabnie wykręcał się od długich wyjaśnień, nie dał się wciągnąć w łańcuchy pytań. Odpowiadał krótko, ignorował pytania, na które nie chciał odpowiadać, przekazał tylko to, co najistotniejsze.

– Jesteśmy prawie pewni, że ostatnie wydarzenia łączą się w całość, której sensu jeszcze nie dostrzegamy – powiedział na zakończenie. – Mam na myśli pożary kościołów, dwie martwe kobiety i płonące zwierzęta. W tej chwili najważniejsza jest dziewczyna, której szukamy. Grozi jej niebezpieczeństwo.

Jakie niebezpieczeństwo? Kto jest niebezpieczny? Należą nam się przecież jakieś wyjaśnienia – szmer pytań niezadowolonych dziennikarzy wypełnił salę po zakończeniu konferencji prasowej. Linda zobaczyła, jak ojciec podnosi dłoń z niewidzialną tarczą, od której odbija się grad niedopowiedzianych pytań. Lisa Holgersson nie odezwała się ani słowem, wskazywała tylko dziennikarzy, którym wolno było zadać pytanie.

Svartmann natomiast szeptał Wallanderowi do ucha, podsuwając mu szczegóły, kiedy ten nie mógł sobie czegoś przypomnieć.

Wreszcie konferencja dobiegła końca. Wallander wstał z miną, jakby nie mógł już tego dłużej wytrzymać, kiwnął głową na pożegnanie i wyszedł. Dziennikarze zasypali go deszczem pytań, które on jedynie z siebie strząsnął. Potem bez słowa opuścił komendę.

– Zawsze tak robi – wyjaśnił Lindzie Martinsson. – Robi rundkę po okolicy i wraca.

Dwadzieścia minut później Wallander pojawił się na korytarzu. W kuchni czekała już zamówiona wcześniej pizza. Kurt zajrzał tam, kazał się wszystkim pośpieszyć, po drodze nawrzeszczał na sekretarkę, która nie dostarczyła mu jakichś papierów, po czym wszedł do swojego pokoju i z hukiem zatrzęsął drzwi. Siedzący obok Lindy Stefan pochylił się ku niej i szepnął jej do ucha.

– Jestem przekonany, że pewnego dnia zamknie się tam od środka i wyrzuci klucze. My zamienimy się w kamienne posągi, a kiedy minie tysiąc lat, ktoś nas być może odkopie.

Nagle do pokoju wpadła zdyszana Ann-Britt Höglund, którą Wallander wysłał na szybki rekonesans do Kopenhagi.

– Spotkałam się z tym Ulrikiem Larsenem – powiedziała, podsuwając Lindzie fotografię.

Natychmiast go rozpoznała. Był to mężczyzna, który na nią napadł i zabronił jej wypytawać o Torgeira Langaasa.

– No więc wycofał zeznania – ciągnęła Ann-Britt. – Twierdzi, że nie próbował cię obrabować, ale równocześnie zaprzecza, że ci groził, i nie podaje żadnego innego wyjaśnienia. Strasznie tam o nim głośno, a jego ostatnie kazania wzbudzają niemałą sensację.

Linda nagle spostrzegła rękę ojca, która niespodziewanie znalazła się na ramieniu Ann-Britt.

– Jaką sensację? – przerwał jej. – To może być ważne. Od kiedy się to dzieje?

Policjantka przekartkowała notes.

– Chodzi o to, co działo się w tym roku. Sensację wzbudziło to, że pastor zaczął nagle zapowiadać zbliżający się dzień sądu, mówił o kryzysie chrześcijaństwa, o braku wiary u ludzi oraz karze, która niebawem dotknie wszystkich grzeszników. Dostał za to upomnienie zarówno od rady zgromadzenia w Gentofte, jak i od biskupa. Mimo to nie zmienił treści kazań.

– Mam nadzieję, że zadałaś mu najważniejsze pytanie – mruknął Kurt.

Linda nie wiedziała, o co mu chodzi. Zrobiło jej się głupio, kiedy Ann-Britt odpowiedziała.

– Jego pogląd na aborcję? Tak, zapytałam go o to.

– I co ci powiedział?

– Nic. Nie chciał ze mną rozmawiać, ale w jednym ze swoich kazań głosił, że aborcja jest śmiertelnym grzechem, za który grozi surowa kara.

Streściła przebieg spotkania z Larsenem. Pastor najwyraźniej był w coś zamieszany, jednak na tym etapie śledztwa nie umieli jeszcze określić w co.

Ann-Britt usiadła i w tej samej chwili w drzwiach pojawił się Nyberg.

– Przyszedł teolog – oznajmił.

Linda rozejrzała się po zebranych i zdała sobie sprawę, że chyba tylko jej ojciec wie, o co chodzi.

– Poproś go tu – powiedział.

Kiedy Nyberg się oddalił, Wallander wyjaśnił, skąd pomysł z teologiem.

– Nyberg i ja zastanawialiśmy się nad Biblią znalezioną w szałasie, w którym zginęła Birgitta Medberg. Ktoś w niej coś bazgrał, robił jakieś własne dopiski, zwłaszcza w *Księdze Objawienia*, *Liście do Rzymian* i w różnych miejscach Starego Testamentu. Musimy się dowiedzieć, co to za zapiski i czy jest w nich jakaś logika. Rozmawialiśmy z komendą

krajową, ale oni nie mają żadnego eksperta. Dlatego skontaktowaliśmy się z wydziałem teologicznym na uniwersytecie w Lund. Zaraz przyjdzie do nas niejaki docent Hanke.

Ku zdziwieniu zebranych docentem Hanke okazała się młoda kobieta o długich blond włosach, w czarnych skórzanych spodniach i bluzie z głębokim dekoltem. Linda zauważyła, że ojciec się zmieszał. Pani docent obeszła stół, podając wszystkim dłoń na powitanie, a potem usiadła na krześle, które wciśnięto obok Lisy Holgersson.

– Nazywam się Sofia Hanke – powiedziała. – Napisałam doktorat o zmianie paradygmatu chrześcijaństwa w Szwecji po drugiej wojnie światowej.

Postawiła na kolanach teczkę i wyjęła z niej znaną w szafie Biblię.

– To fascynujące – kontynuowała. – Przestudiowałam tę Biblię przez szkło powiększające i udało mi się odcyfrować zapiski między wierszami. Po pierwsze, chciałabym państwu powiedzieć, że notatki sporządziła jedna osoba. Nie oceniałam tego po stylu – o ile można mówić o stylu w przypadku tak małych liter – opierałam się raczej na zawartości. Oczywiście, nie umiem odpowiedzieć na pytanie, kto to zrobił i po co, ale działaniom tej osoby przyświecała wyraźna logika.

Otworzyła notatnik i po chwili mówiła dalej.

– Podam przykład, żeby państwu wyjaśnić, o co mi chodzi. Mam nadzieję, że dobrze to wszystko zrozumiałam. *List do Rzymian*, siódmy rozdział – przerwała na moment i rozejrzała się wkoło. – Kto z państwa zna Biblię? – zapytała. – A może to nie wchodzi w podstawowe wykształcenie policjanta?

Prawie wszyscy pokręcili głowami, jedynym, który udzielił zaskakującej odpowiedzi, był Nyberg.

– Ja czytam fragment Biblii każdego wieczoru – oznajmił. – Traktuję to jako środek nasenny.

W pokoju zapanowało rozbawienie. Nawet Sofia Hanke doceniła ten dowcip.

– Rozumiem, o czym pan mówi – odparła. – Zapytałam o to z ciekawości. W siódmym rozdziale *Listu do Rzymian*, który traktuje o pogrążeniu się ludzi w grzechu, napisano: „Nie czynię bowiem dobra, którego chcę, ale czynię to zło, którego nie chcę”<sup>12</sup>. Autor dopisków przerzucił zło w miejsce dobra, mamy więc wersję: „Czynię bowiem zło, którego chcę, ale nie czynię dobra, którego nie chcę”. W ten sposób wszystko zostaje postawione na głowie. Jedną z podstawowych tez chrześcijaństwa głosi, że człowiek chce czynić dobro, ale zawsze znajduje powód, by czynić zło. Zmieniona wersja tekstu sugeruje, że człowiek po prostu chce czynić zło. Podobnie jest we wszystkich przerobionych fragmentach. Autor dopisków starał się wywrócić przesłanie Biblii do góry nogami, nadać jej nowe znaczenie. Łatwo pomyśleć, że to jakiś szaleniec, w końcu nie mało jest opowieści, zakładam, że prawdziwych, o hospitalizowanych w zakładach psychiatrycznych pacjentach, którzy całe dni, miesiące i lata poświęcają na przepisywanie lub nowe tłumaczenia Pisma Świętego. W tym jednak wypadku wydaje mi się, że nie mamy do czynienia z wariatem. W jego działaniu widać logikę, można powiedzieć, że autor zapisków próbował wyczytać z Biblii ukryte znaczenia, jakich nie da się dojrzeć podczas zwykłej lektury. On lub ona szuka więc między słowami i tłumaczy tekst na prostszy język, wyjaśnia go. Tak to rozumiem.

Pani docent zamilkła i rozejrzała się po zebranych.

– Mogę powiedzieć jeszcze więcej – dodała – ale nie wiem, czy mają państwo czas. Może będzie lepiej, jeśli odpowiem na państwa pytania.

– Logika, mówi pani – odezwał się Kurt Wallander. – Jak można się doszukać logiki w czymś, co jest kompletnym absurdem?



– Nie wszystko w tym jest absurdem. Większość tekstu jest prosta i zrozumiała.

Sofia Hanke przewróciła parę kartek w notesie.

– Między wersami Biblii jest nie tylko jej tłumaczenie i przeróbki tekstu, ale czasem coś całkiem innego, na przykład jakieś dopiski na marginesach. Oto jeden z nich: „Cała mądrość, jakiej nauczyło mnie życie, zawarta jest w słowach »Kto kocha Boga, będzie szczęśliwy«”.

Linda zauważyła, że ojciec zaczyna tracić cierpliwość.

– Ale dlaczego ten ktoś to zrobił? Dlaczego znaleźliśmy Biblię w miejscu, w którym ktoś bestialsko zamordował kobietę?

– Oczywiście, możemy mieć do czynienia z fanatyzmem religijnym.

– Niech pani mówi!

– Przychodzi mi do głowy historia pewnej dziewczyny z regionu Östergötland. Miała na imię Lena i pewnego dnia została kaznodzieją. Po jakimś czasie trafiła w końcu do domu wariatów, ale podobnych ludzi jest sporo. To fanatycy religijni, którzy albo decydują się na samotne życie, zazwyczaj życie wędrownego kaznodziei, albo otaczają się grupką wiernych wyznawców. Większość znanych nam przypadków to dobrzy, uczciwi ludzie, którzy działają w imię dobra, święcie przekonani o tym, że w imię samego Boga. Niestety, nie brakuje wśród nich oszustów, fałszywych proroków, osób szukających korzyści majątkowych lub seksualnych. W ich przypadku religia okazuje się narzędziem, pułapką na naiwnych ludzi. Oszuści są jednak w mniejszości. Większość, niezależnie od stopnia szaleństwa, działa w dobrej wierze, a sekty przez nią tworzone mają jakiś zbożny cel. Natomiast jeśli zdarza im się zrobić coś złego, zawsze znajdują usprawiedliwienie, najczęściej w odpowiedni sposób interpretując Biblię.

– Czy coś podobnego da się wyczytać z zapisków, które ma pani przed sobą?

– Właśnie to starałam się państwu wyjaśnić.

Choć rozmowa z Sofią Hanke trwała jeszcze kilka minut, Linda zauważyła, że jej ojciec krąży myślami już gdzieś indziej. Najwyraźniej analiza dopisków w porzuconej Biblii nie zdała mu się na wiele. A może się myłę, pomyślała. Próbowwała czytać w jego myślach, podobnie jak kiedyś, gdy była dzieckiem. Inaczej jednak wychodziło jej to, jeśli przebywali sam na sam, a inaczej w pokoju pełnym ludzi.

W końcu Nyberg odprowadził Sofię Hanke do wyjścia. Lisa Holgersson otworzyła okno. Po chwili Nyberg wrócił, reszta chodziła tam i z powrotem, odbierała telefony, dyskutowała, popijając kawę. Przy stole została tylko Linda i jej ojciec. Kurt spojrzął na nią nieobecny wzrokiem i po chwili znów odpłynął gdzieś myślami.

*Lodowate wyobcowanie*, znów przyszło jej na myśl to określenie, najlepsze, jakie wymyśliła, żeby opisać ojca. Ciekawe, jak on by mnie opisał. Skoro on jest zimny i wyobcowany, jaka ja jestem? Nie знаła odpowiedzi.

Pracownicy znów zaczęli zbierać się przy stole, zamknięto okno i drzwi. Lindzie przyszło na myśl, że zachowują się jak orkiestra przed rozpoczęciem koncertu. Kiedy była mała, ojciec czasem zabierał ją na koncerty do Kopenhagi. Raz wybrali się nawet do Helsingborga. Oczekiwaniu na dyrygenta towarzyszyła narastająca cisza, a kiedy już się pojawił, cisza ta trwała dalej. Właściwie nie zapadała od razu, ale była jak powolne zmierzanie w stronę absolutnego spokoju.

Przez całe długie spotkanie Linda nie odezwała się ani słowem, nikt jej też o nic nie pytał. Właściwie czuła się tak, jakby znalazła się tutaj przypadkiem, mimo że ojciec kilkakrotnie na nią spojrzął, kiedy przemawiał. Podczas gdy Birgitta Medberg była kobietą poszukującą starych, zarośniętych ścieżek, mój ojciec szuka przejezdnych dróg,

pomyślała. Choć miał w sobie głośno i szybko tykający zegar, zachowywał godny podziwu spokój. Pewnego dnia, kiedy Linda jeszcze uczyła się w szkole policyjnej, ojciec przyjechał do Sztokholmu i spotkał się z nią oraz paroma jej kolegami z roku, by opowiedzieć im o pracy w policji. Zwierzył im się wówczas, że gdy pracuje pod dużą presją, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi życie człowieka, czuje, że w klatce piersiowej, na wysokości serca, ale po prawej stronie, ma tykający zegar. Potrafił więc zachować spokój i irytował się tylko wówczas, kiedy ktoś zaczynał mówić nie na temat. Teraz ważne było tylko to, gdzie jest Zebra. Nie przerywano zebrania, mimo że co jakiś czas ktoś odbierał telefon, załatwiał jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę lub zniknął na moment i po chwili wracał z papierami albo zdjęciami, które dołączano do reszty materiałów.

– Nasza praca przypomina mi czasem spływ tratwami – powiedział Stefan, kiedy koło ósmej wieczorem został w pokoju sam na sam z Lindą. – Musimy pokonać trasę bez wywrotki, a jeśli zgubimy kogoś po drodze, musimy się cofnąć i wciągnąć go na pokład.

Było to pierwsze pełne zdanie, które ktoś wypowiedział do Lindy od początku spotkania. Sama z resztą też się nie odzywała, siedziała w milczeniu, przysłuchując się innym.

Kwadrans po ósmej przerwa w naradzie dobiegła końca i Lisa Holgersson zamknęła drzwi. Wszyscy mieli nadzieję, że od tej pory już nikt nie będzie im przeszkadzał. Linda przyglądała się ojcu, który zdjął marynarkę, podwinął rękawy niebieskiej koszuli i stanął przy tablicy z dużymi arkuszami papieru. Przewrócił kilka stron, żeby mieć na wierzchu czystą kartkę. Na środku napisał dużymi literami imię i nazwisko Zebry, a potem zakreślił je dokoła.

– Zapomnijmy na moment o Birgicie Medberg – powiedział. – Wiem, że to może mieć fatalne konsekwencje, ale z drugiej strony, nie

dopatrzyliśmy się przecież żadnego logicznego powiązania między nią a Harriet Bolson. Jednocześnie nie wykluczam, że obu zabójstw mógł dokonać ten sam sprawca lub sprawcy. Zmierzam do tego, że motyw w każdym przypadku był inny. Jeśli na moment odsuniemy na bok sprawę Birgitty Medberg, od razu zauważymy, że łatwiej jest powiązać przypadek Harriet Bolson z przypadkiem Zebry. Chodzi o aborcję. Załóżmy, że mamy do czynienia z grupą sprawców – nie wiadomo jak liczną – która z powodów religijnych wymierza sprawiedliwość kobietom, które kiedyś usunęły ciążę. Powiedziałem „załóżmy”, bo nie mamy takiej pewności. Wiemy tylko, że giną ludzie, płoną zwierzęta i kościoły. Wszystko zdradza cechy szczegółowego planowania. Harriet Bolson została zaprowadzona do kościoła we Frennestad, żeby tam zginąć, a potem spłonąć. Pożar kościoła w Hurup miał odwrócić naszą uwagę, wywołać chaos, co się zresztą udało. Minęło sporo czasu, zanim ja sam zrozumiałem, że płoną dwa różne kościoły. Ktokolwiek za tym stoi, jest niezłym strategiem.

Wallander spojrzał na zebranych, po czym usiadł na krześle.

– Załóżmy, że to wszystko jest ceremonią – kontynuował. – Ogień jest jakimś symbolem, dlatego ciągle powraca. Zwierzęta spalono w ofierze, a Harriet Bolson zabito przed ołtarzem, co może wskazywać na rytualne zabójstwo. Na jej szyi znaleźliśmy wisiołek w kształcie sandała.

Stefan przerwał mu, unosząc dłoń.

– Nie daje mi spokoju ta znaleziona kartka z jej nazwiskiem. Czy była przewidziana dla nas? A jeśli tak, to dlaczego?

– Nie wiem – odparł Kurt.

– Może to oznaczać, że mamy do czynienia z wariatem, którego bawi zabawa w kotka i myszkę z policją.

– Być może. Ale to nie jest w tej chwili najważniejsze. Obawiam się, że ci ludzie chcą zrobić z Zebrą to samo, co zrobili z Amerykanką.

W pokoju zapadła cisza.

– Znajdujemy się dokładnie w tym miejscu – ciągnął Wallander. – Nie wiemy, kto jest sprawcą, nie mamy pewności co do motywu, nie wiemy, w którą stronę się udać. Wygląda na to, że utknęliśmy.

Nikt nie zaprotestował.

– Musimy jednak pracować dalej, licząc na to, że w końcu trafimy na coś, co wskaże nam drogę. Nie mamy innego wyjścia.

Narada dobiegła końca i każdy poszedł w swoją stronę. Linda wciąż czuła się jak piąte koło u wozu, ale jednocześnie podczas spotkania sama nie miała nic do powiedzenia. Za trzy dni, w poniedziałek, 10 września, wreszcie będzie mogła odebrać mundur i rozpocząć oficjalną pracę w policji. W tej chwili myślała wyłącznie o Zebrze. Poszła do toalety. W korytarzu zabrzączał jej w kieszeni telefon. Dzwoniła Anna.

– Gdzie jesteś? – zapytała.

– W komendzie.

– Czy Zebra wróciła? Dzwoniłam do niej, ale wciąż nie odbiera.

Linda zrobiła się czujna.

– Nie, dalej jej nie ma.

– Bardzo się martwię.

– Ja też.

Linda doszła do wniosku, że głos Anny brzmi naturalnie. Nie umie aż tak dobrze udawać, pomyślała.

– Muszę z tobą pogadać – powiedziała Anna po chwili.

– Teraz nie mogę. Muszę tu jeszcze trochę zostać.

– Poświęć mi parę minut. Przyjadę do ciebie.

– Nie wpuszczą cię.

– To może do mnie wyjdiesz? Dosłownie na chwilę.

– Czy to nie może poczekać?

– Jasne, że może – mruknęła Anna, wyraźnie strapiona.

– No dobra, przyjeźdź, ale dosłownie na moment.

– Dzięki. Będę za dziesięć minut.

Linda poszła do pokoju ojca, ale nikogo tam nie zastała. Wszyscy nagle rozplynęli się w powietrzu. Zostawiła mu notatkę: „Wychodzę, żeby spotkać się z Anną. Zaraz wracam. Linda”.

Zdjęła kurtkę z wieszaka i wyszła. Na korytarzu nie spotkała nikogo. Jedyną osobą, z którą minęła się w holu, była sprzątaczką pchająca wózek ze środkami czystości. Obaj dyżurni byli zajęci rozmowami telefonicznymi, więc nikt nie widział, jak Linda opuszcza budynek.

Sprzątaczką, Łotyszka o imieniu Lija, zawsze zaczynała sprzątanie od najdalszego odcinka korytarza, na wysokości pokoju, w którym zwykle naradzali się policjanci kryminalni. Ponieważ w większości pokoi wciąż jeszcze pracowano, zaczęła od gabinetu Wallandera, w którym akurat nikogo nie było. Na podłodze pod krzesłem zobaczyła kilka kartek, którymi pan komisarz najwyraźniej nie trafił do kosza na śmieci. Lija posprzątała podłogę, wytarła kurz i wyszła z pokoju.

Linda czekała przed komendą. Było jej zimno, więc szczelnie otuliła się kurtką. Po chwili zdecydowała się podejść na źle oświetlony parking, do samochodu ojca. Sięgnąwszy do kieszeni, zorientowała się, że ma zapasowe kluczyki. Spojrzała na zegarek, minęło już więcej niż dziesięć minut. Ulica była całkiem opustoszała, nie nadjeżdżało żadne auto. Przyśpieszyła kroku, żeby się rozgrzać, truchtem przebiegła na drugą stronę ulicy, minęła wieżę ciśnień i wróciła na parking. Dlaczego jej nie ma, rozmyślała. Minął już prawie kwadrans.

Stanęła przed wejściem do komendy i rozejrzała się wkoło. Nigdzie nikogo nie było, tylko w oświetlonych oknach migwały cienie chodzących w tę i z powrotem osób. Linda znów podeszła do samochodu ojca i nagle poczuła się nieswojo. Zatrzymała się w miejscu, wyjęła słuch i obejrzała się za siebie. Wiatr szumiał w gałęziach rosnącego tuż obok drzewa, zupełnie jakby robił jej na złość. Odwróciła głowę i aż podskoczyła. Miała przed sobą Annę.

– Dlaczego się skradasz? – zapytała.

– Nie chciałam cię przestraszyć.

– Skąd się tu tak nagle wzięłaś?

Anna wskazała palcem na plac przed komendą.

– Nie słyszałam twojego samochodu.

– Przyszłam piechotą.

Linda miała wrażenie, że coś jest nie tak. Anna wydawała się spięta, miała strapioną minę.

– O czym chciałaś ze mną rozmawiać?

– Chciałam cię zapytać o Zebkę.

– Przecież powiedziałam ci przez telefon – odparła Linda, wskazując na rozświetlone okna w budynku. – Zdajesz sobie sprawę, ile ludzi teraz nad tym pracuje? Możesz mi wierzyć albo nie, ale biorę w tym udział, dlatego nie mam czasu na rozmowy.

– Przepraszam, już sobie idę.

Coś musiało się stać, pomyślała Linda. Jej wewnętrzny system alarmowy krzyczał na cały głos. Anna była wyraźnie zdenerwowana, błądziła wzrokiem i podała naprawdę kiepski powód spotkania.

– Nigdzie nie pójdziesz – odpowiedziała stanowczo Linda. – Skoro już tu jesteś, powiesz mi, po co chciałaś się spotkać.

– Przecież ci powiedziałam.

– Jeśli wiesz, co się stało z Zebłą, masz mi o tym powiedzieć, rozumiesz? Ile razy mam to powtarzać?

– Nie wiem, gdzie ona jest. Chciałam się po prostu dowiedzieć, czy coś wiecie albo czy jest jakiś trop.

– Kłamiesz.

Reakcja Anny była tak zaskakująca, że Linda w pierwszej chwili nie wiedziała, co zrobić. Przyjaciółka przeszła nagłą przemianę, popchnęła Lindę, uderzając ją w pierś, i krzyknęła:

– Nie kłamię! Ja nigdy nie kłamię! Nie masz pojęcia, co tu się dzieje!

Odwróciła się na pięcie i poszła. Linda nie zareagowała, tylko patrzyła w milczeniu, jak Anna odchodzi, z jedną ręką w kieszeni. Coś w niej trzyma, pomyślała. Trzyma, i to kurczowo, jak koło ratunkowe. Dlaczego się tak zdenerwowała? Lindzie przyszło na myśl, że powinna pobiec za nią, ale przyjaciółka była już bardzo daleko.

Linda ruszyła w stronę głośnego wejścia do komendy, lecz nagle coś sprawiło, że znowu przystanęła. Myśli tłukły jej się po głowie. Żałowała, że nie zatrzymała Anny. Koleżanka zachowywała się tak, jakby była niezrównoważona. Linda doszła do wniosku, że powinna była ją



zaprowadzić na komendę i poprosić kogoś doświadczonego, by z nią porozmawiał. W końcu powierzono jej zadanie, by trzymała się blisko Anny. Popełniłam błąd, pomyślała. Za szybko ją odepchnęłam.

Próbowała podjąć jakąś decyzję. Wahala się, czy powinna wejść do komendy, czy ruszyć w pościg za Anną. W końcu zdecydowała się na to drugie i żeby było szybciej, zamierzała w tym celu wykorzystać samochód ojca. Pojechała drogą, którą powinna pójść Anna, ale nigdzie jej nie znalazła. Po chwili wróciła tą samą trasą i wypróbowała inną, też bezskutecznie. Czyżby znów rozplynęła się w powietrzu? Linda podjechała pod dom przyjaciółki i zaparkowała samochód. W oknach mieszkania Anny świeciło się światło. Idąc do drzwi, zauważyła przypięty do bramy rower z ubłoconą i wciąż jeszcze mokrą ramą. Wprawdzie nie padał deszcz, lecz na ulicach było pełno kałuż. Linda pokręciła głową, chcąc odegnąć wewnętrzną przestrożę, by nie dzwoniła do drzwi. W końcu się jej poddała, wróciła do auta i wycofała się w cień.

Uznała, że powinna z kimś o tym porozmawiać. Wybrała numer komórki ojca, ale nie odebrał. Pewnie znów podział gdzieś telefon, pomyślała, wzdychając bezsilnie. Spróbowała zadzwonić do Lindmana, ale było zajęte, podobnie numer Martinssona. Właśnie miała na nowo spróbować połączyć się z ojcem, gdy nadjechał jakiś samochód i zaparkował tuż pod drzwiami kamienicy. Auto było granatowe lub czarne, chyba marki Volvo. Nagle w mieszkaniu przyjaciółki zgasły światła. Linda czekała w napięciu, czując, że poci jej się dłoń ściskająca komórkę. Po chwili Anna wyszła z domu i usiadła na tylnym siedzeniu w samochodzie, który natychmiast odjechał. Linda ruszyła za nimi. Jeszcze raz spróbowała zadzwonić do ojca, jednak wciąż nie odbierał. Po drodze wyprzedziła ją jadąca z dużą prędkością ciężarówka. Linda jechała za nią przez jakiś czas, co chwilę wychylając się poza linię środkową, by sprawdzić, czy ciemne

volvo nie zniknęło jej z pola widzenia. Po paru minutach śledzone auto skręciło w drogę wiodącą do Kåseberga.

Linda starała się utrzymać rozsądną odległość od samochodu, którym jechała Anna. Chciała jeszcze raz zadzwonić do ojca, ale komórka wypadła jej z ręki i wylądowała gdzieś między siedzeniami. Minęli zjazd do portu w Kåseberga i jechali dalej na wschód. Ciemne volvo odbiło z głównej drogi dopiero na wysokości Sandhammaren. Stało się to nagle, kierowca nie włączył prawego migacza. Linda minęła zjazd i zatrzymała się dopiero, kiedy pokonała pagórek i zakręt. Zawróciwszy w zatoczce przystanku, ruszyła z powrotem, jednak nie miała odwagi, żeby skręcić w tę samą drogę. Nieopodal znalazła zjazd w lewo i po chwili znalazła się na wąskiej, wyboistej dróżce, która zaraz kończyła się spróchniałą furtką. Stał za nią zardzewiały kombajn. Linda wysiadła z auta. Wiało tu mocniej niż nad morzem, więc razem z latarką wyjęła ze schowka w samochodzie czarną wełnianą czapkę. Założywszy ją, uznała, że stała się dzięki niej niewidzialna. Chciała jeszcze raz zadzwonić, ale zauważywszy, że telefon zaraz się rozładuje, wsunęła go do kieszeni i ruszyła z powrotem drogą, którą przybyła. Od skrętu, na której zniknęło jej z oczu volvo, dzieliło ją zaledwie kilkaset metrów. Szła tak szybko, że po chwili cała zlała się potem. W końcu dotarła do pograżonej w ciemnościach drogi. Zatrzymała się i wyteżyła słuch, lecz usłyszała jedynie szum wiatru i morza.

Przez ponad trzy kwadransy błądziła po okolicy i rozglądała się wśród chaotycznie rozsianych domów. Już miała zrezygnować, kiedy nagle spostrzegła stojący między drzewami ciemny samochód. W pobliżu nie wznosił się żaden budynek. Znów zaczęła nasłuchiwać, ale w tym miejscu otaczała ją cisza. Osłoniła latarkę dłonią i poświeciła do środka samochodu. Na tylnym siedzeniu, tam, gdzie siedziała Anna, leżała czarna opaska i jakieś zatyczki, prawdopodobnie stopery do uszu. Próbując odgadnąć, co to wszystko znaczy, oświetliła ziemię przed samochodem. Z miejsca, na

którym stał, wiodło kilka ścieżek, lecz jedna z nich wyglądała na częściej używaną. Lindzie znów przyszło na myśl, żeby zadzwonić do ojca, ale kiedy przypomniała sobie, że komórka ma prawie całkiem rozładowaną baterię, wysłała mu tylko wiadomość: „Jestem z Anną. Zadzwonię”. Wyłączyła latarkę i po omacku ruszyła ścieżką przed siebie, dziwiąc się, że wcale się nie boi, mimo że właśnie łamała podstawową zasadę, jakiej nauczono jej w szkole policyjnej – nigdy nie idź na akcję sama, nie ruszaj się bez wsparcia. Zawahała się i przystanęła. Może powinnam zaczekać? Jestem zupełnie jak ojciec. W głębi ducha przeczuwała, że robi to po to, żeby udowodnić ojcu, że nadaje się do pracy w policji.

Nagle dostrzegła światło między drzewami. Znów się zatrzymała i nasłuchiwała, lecz wciąż otaczał ją wyłącznie szum wiatru i morza. Zrobiła kilka kroków w stronę jasnej poświaty i po chwili dostrzegła okna jakiegoś domu. Światło paliło się w większości z nich. Budynek był oddalony od reszty zabudowań, stał na uboczu. Linda ponownie włączyła latarkę i zasłaniając strumień światła dłonią, ostrożnie ruszyła naprzód. Po kilkunastu krokach natknęła się na płot, a w nim na furtkę. Zgasila latarkę. Dotarła już tak blisko domu, że światło padające z okien oświetlało jej drogę. Budynek otoczony był dużym ogrodem. Sądząc po głośnym szumie wody, Linda wywnioskowała, że morze musi być blisko, mimo że nie mogła go dostrzec. Zastanawiała się, kto ma taki wielki dom przy samej plaży i co robi w nim Anna, o ile ją tutaj przywieziono. Nagle Lindzie zabręczał w kieszeni telefon. Podskoczyła przerażona, upuszczając latarkę. Natychmiast odebrała. Dzwonił jeden z jej kolegów ze studiów, Hans Rosquist, który obecnie pracował w Eskilstunie. Nie rozmawiali ze sobą od balu absolwentów.

– Czy dzwonię nie w porę? – zapytał.

Linda usłyszała w tle muzykę i pobrzękiwanie szkła.

– Raczej tak – szepnęła. – Zadzwoni jutro. Jestem w pracy.

– Zajmę ci tylko chwilę.

– Nie. Pogadamy jutro.

Zakończywszy rozmowę, stała chwilę z palcem na przycisku wyłączającym komórkę, na wypadek, gdyby Hans znów zadzwonił. Po dwóch minutach wsunęła telefon do kieszeni i ostrożnie przeszła przez płot. Przed domem stało kilka samochodów, a nieopodal na trawniku rozbito parę namiotów.

Nagle ktoś otworzył okno, w odległości zaledwie kilku metrów od Lindy. Szybko przykucnęła, zdążywszy dostrzec tylko jakiś cień za firanką. Słyszała głosy. Odczekawszy chwilę, zakradła się tuż pod okno. Głosy ucichły. Linda nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ktoś obserwuje ją w ciemności. Muszę stąd wiać, pomyślała. Serce waliło jej jak oszalałe. Nie powinnam była tu przyjeżdżać, a już z pewnością nie sama. Ktoś otworzył drzwi. Nie widziała gdzie, dostrzegła jedynie szeroki snop światła. Wstrzymała oddech. Po chwili musiała zaczerpnąć powietrza i poczuła w nozdrzach zapach dymu tytoniowego. Ktoś stoi w otwartych drzwiach i pali, przeszło jej przez głowę. Równocześnie przez otwarte okno znów dobiegły ją głosy.

Po paru minutach snop światła zniknął, drzwi zostały zamknięte. Linda słyszała głosy coraz wyraźniej. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że to cały czas mówi ten sam mężczyzna. Operował głosem w tak nietypowy sposób, że brzmiało to zupełnie jak rozmowa. Formułował krótkie zdania, wyraźnie akcentując ich zakończenie, po czym mówił dalej. Wyteńczyła słuch, chcąc odgadnąć, w jakim języku przemawia. Był to angielski.

Początkowo nie rozumiała, co mówi nieznajomy, do jej uszu dochodziła tylko pozbawiona sensu płatanina słów. Mężczyzna wyliczał nazwiska, nazwy miast, usłyszała Luleå, Västerås, Karlstad. Po chwili zorientowała się, że są to jakieś instrukcje, coś miało się wydarzyć w tych miejscach.

Często padała jedna konkretna godzina oraz data. Linda szybko policzyła w głowie. To, o czym była mowa, miało nastąpić za dwadzieścia sześć godzin. Głos raz brzmiał melodyjnie, raz robił się szorstki, a potem nawet świszczący, żeby w końcu znów przejść w miękki, łagodny ton.

Spróbowała sobie wyobrazić przemawiającego mężczyznę. Z trudem się powstrzymała, aby się nie podnieść i nie zajrzeć do środka. Trwała jednak bez ruchu, w niewygodnej pozycji, przyklejona do ściany budynku.

Nagle głos zaczął mówić o Bogu. Linda poczuła, jak ściska jej się żołądek. To, co właśnie słyszała, dokładnie odpowiadało podejrzeniom jej ojca. Cokolwiek tam się działo, miało to coś wspólnego z religią.

Linda nie oszukiwała się, że ma jakieś wyjście. Powinna była już dawno opuścić to miejsce i powiadomić policję. Tym bardziej że ojciec i reszta pewnie zaczęli się już zastanawiać, gdzie ona się podziewa. Jednocześnie miała świadomość, że nie może odejść w tej chwili, kiedy nieznajomy mężczyzna zaczął mówić o Bogu oraz o tym, co ma nastąpić za dwadzieścia sześć godzin. Co on opowiada? Jaki komunikat przekazuje między słowami? Mówił o wielkiej łasce, jakiej mieli dostąpić męczennicy. Ale jacy męczennicy? Gorączkowo analizowała w myślach. Kto jest męczennikiem? Miała wrażenie, że zaraz głowa jej pęknie od nawału pytań. Co tu się właściwie dzieje? I dlaczego ten człowiek przemawia tak łagodnym tonem?

Nie wiedziała, ile czasu minęło, zanim pojęła, o czym mówi mężczyzna. Być może pół godziny, może zaledwie parę minut. Stopniowo dostrzegła, że z pozoru nieskładne zdania wiążą się w sensowną całość. Od razu zaczęła się pocić, mimo że ściana budynku biła piwnicznym chłodem. Linda uświadomiła sobie, że w tym domu w Sandhammaren planuje się szaleńczy atak, nie, nie jeden atak, ale trzynaście ataków, a część ludzi w nie zamieszana wyruszyła już w drogę.

Dotarło do niej wreszcie, co znaczą w kółko powtarzane słowa: „umieścić przed ołtarzem i pod wieżą; ładunki wybuchowe; fundamenty; w narożnikach, ładunki wybuchowe”. Nagle przypomniała sobie nieprzyjemną reakcję ojca na czyjąś informację, że niedawno odnotowano rekordowo dużą liczbę przypadków kradzieży ładunków wybuchowych w Szwecji. Czyżby miały one coś wspólnego z szatańskimi planami, jakie snuto za tym oknem? Mężczyzna zmienił temat i podkreślił, jak ważne jest, by zniszczyć symbole fałszywych proroków. Z tego właśnie powodu wybrał na cel trzynaście katedr.

Linda trzęsa się z zimna i jednocześnie oblewała się potem. Miała zdrętwiałe nogi, miękkie kolana i na dodatek uświadomiła sobie, że powinna natychmiast stąd uciec i zawiadomić policję. To, co właśnie usłyszała, było tak przerażające, że ledwie mieściło się w głowie. To niemożliwe, powtarzała w myślach. Takie rzeczy nie dzieją się tu, ale w jakichś innych krajach, gdzie ludzie mają inny kolor skóry i wyznają inną wiarę. To nie może być prawda.

Powoli wyprostowała plecy. Głos w oknie ucichł. Właśnie miała ostrożnie ruszyć z miejsca, kiedy odezwał się inny mężczyzna. Linda zamarła. Nowy głos powiedział tylko: „wszystko gotowe”, ani słowa więcej. Nie zabrzmiało to jednak jak czysty szwedzki, ale jak głos z taśmy, którą odsłuchiwała u dyżurnego. Zadrżała w oczekiwaniu na dalszą wypowiedź Torgeira Langaasa, ale za oknem zapadła cisza. Linda ostrożnie cofnęła się do płotu i przeszła na drugą stronę. Nie odważywszy się włączyć latarki, szła w stronę drzew po ciemku, potykając się o kamienie.

Po dłuższej chwili zrozumiała, że się zgubiła. Zamiast znaleźć się na ścieżce, trafiła między piaszczyste wydmy. W którąkolwiek stronę się odwracała, nie dostrzegała żadnego światła poza tym padającym z płynącego po morzu statku. Zdjęła czapkę i schowała ją do kieszeni, jakby liczyła na to, że z gołą głową lepiej będzie się jej myślało. Potem, ustalając

kierunek wiatru względem położenia morza, starała się ustalić, w którą stronę powinna się udać. Ruszywszy z miejsca, wyjęła czapkę z kieszeni i znów włożyła ją na głowę.

Wiedziała, że w tej chwili liczy się czas. Nie mogła sobie pozwolić na błądzenie między wydmami. Postanowiła zadzwonić do ojca, ale z przerażeniem odkryła, że nie ma komórki. Przeszukała wszystkie kieszenie. Bezskutecznie. Czapka, pomyślała. Telefon musiał mi wypaść, kiedy wyjmowałam czapkę z kieszeni. Upadł na piasek, więc nic nie słyszałam. Oświetlając sobie drogę latarką, ruszyła z powrotem po swoich śladach. Nie znalazła komórki. Nie nadaję się do tego, jestem beznadziejna, wyrzucała sobie w duchu. Błądzą po omacku i nawet nie wiem, gdzie jestem. Zmusiła się do zachowania spokoju i ponownie spróbowała określić kierunek. Co jakiś czas zatrzymywała się i szybkim ruchem omiatała przestrzeń wokół siebie strumieniem światła latarki.

W końcu znalazła właściwą ścieżkę. Po lewej zobaczyła dom z rozświetlonymi oknami. Schyliwszy się, pobiegła prosto w stronę granatowego auta. Ogarnęło ją przyjemne uczucie wyzwolenia. Zerknęła na zegarek – kwadrans po jedenastej. Czas mijał bardzo szybko.

Dłonie pojawiły się znikąd, nagle wyłoniły się z ciemności i żelaznym uściskiem wykręciły jej ręce do tyłu. Linda nie mogła się ruszyć, czując na policzku czyjś oddech. Potem obce ręce zacisnęły się jeszcze mocniej i prosto w twarz rozbłysło światło latarki. Nie widząc napastnika, Linda doskonale wiedziała, że mężczyzna, który się jej przygląda i tak ciężko oddycha, to Torgeir Langaas.

Nadchodził świt, rozlewając na niebie szarość. Opaska, którą Lindzie zawiązano na oczach, przepuszczała trochę światła. Zrozumiała, że długa noc nareszcie dobiegła końca. Nie miała pojęcia, co się z nią stanie. Wokół panowała zupełna cisza. Zdziwiła się, że żołądek nie odmówił jej posłuszeństwa. Uznała to za idiotyczną myśl, niemniej jednak to właśnie ona jako pierwsza przyszła jej do głowy, kiedy Torgeir Langaas wykręcił jej rękę. Myśl kotłowała jej się w głowie jak brzęczący, wydający bezsensowne okrzyki budzik: „Zanim mnie zabijesz, zanim przestanę istnieć, muszę skorzystać z toalety. Jeśli żadnej tu nie ma, wypuść mnie na minutkę do lasu. Kucnę za wydmą, zawsze mam papier toaletowy w kieszeni. Potem zagrzebię kupę w piasku, jak kot”.

Rzecz jasna nie odezwała się ani słowem. Torgeir Langaas patrzył na nią również w milczeniu, światło latarki kłuło Lindę w oczy. Potem napastnik ją popchnął, założył jej na oczy opaskę i mocno zaciągnął węzeł. Upadając, Linda uderzyła głową w drzwi samochodu. Strach, który ją w tamtej chwili ogarnął, dał się porównać jedynie z lękiem, jaki odczuwała, gdy znalazła się na barierce nad autostradą, kiedy wiele lat temu niespodziewanie odkryła, że nie chce już dłużej żyć. Słyszała tylko szum wiatru i morza.

Czy Torgeir Langaas czekał przy samochodzie?, zadawała sobie w myślach pytanie. Nie znała odpowiedzi. Nie wiedziała też, ile czasu upłynęło do momentu, w którym posadzono ją na tylnym siedzeniu w aucie. Sądząc po odgłosach, odgadła, że wraz z nią wsiadły jeszcze dwie osoby, jedna za kierownicą, druga na fotelu obok. Samochód ruszył z gwałtownym szarpnięciem. Ten, kto kierował, nie umiał prowadzić lub bardzo się spieszył.



Linda próbowała odgadnąć, dokąd jadą. Dotarwszy do asfaltowej drogi, skręcili w lewo, w stronę Ystad. W pewnej chwili zdawało jej się, że przejeżdżają przez miasto. Jednak później, gdzieś na trasie do Malmö, straciła orientację i pogubiła się, wodząc palcem po niewidzialnej mapie, którą miała w głowie. Samochód wielokrotnie skręcał, zmieniał kierunek jazdy, co jakiś czas wjeżdżali na drogę szutrową, by po paru chwilach wrócić na asfalt. W końcu auto się zatrzymało, ale nikt nie otworzył drzwi. Otaczała ich cisza. Linda nie umiała ocenić, jak długo tak stali. To właśnie w tym miejscu w pewnej chwili przez materiał opaski dostrzegła poranne światło.

Nagle cisza została przerwana. Otwarto drzwi w samochodzie. Ktoś wyciągnął Lindę z auta, postawił na nogach i pociągnął za sobą, najpierw po asfalcie, a potem po piasku. W końcu dotarli do jakiegoś budynku i weszli po czterech kamiennych stopniach. Linda zdążyła poczuć, że krawędzie schodów są nierówne, najwyraźniej bardzo wytarte, więc stare. Potem otoczył ją chłód – znalazła się w zimnym pomieszczeniu, w którym wszystkie odgłosy odbijały się echem od ścian. Od razu odgadła, że jest w kościele. Strach, który osłabł trochę, otumaniony długą podróżą, uderzył ze wzmożoną siłą. Lindzie stanął przed oczami obraz, którego nie widziała, znała go tylko z opisów. Zobaczyła leżącą przed ołtarzem uduszoną Harriet Bolson.

Kazano jej iść dalej. Linda wsłuchiwała się w odgłosy własnych kroków. Kiedy wprowadzano ją do mniejszego pomieszczenia, potknęła się o próg. Potem zdjęto jej opaskę z oczu. Mrugając, rozejrzała się wokół, ale zdążyła dostrzec tylko plecy Torgeira Langaasa, który od razu wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz. Zorientowała się, że jest w zakrystii. W słabym świetle stojącej na biurku lampki dostrzegła portrety posępnych pastorów, ponurych postaci z dawnych lat. Okiennice były szczelnie zamknięte. Rozejrzała się wokół, szukając drzwi do toalety, ale poza tymi, za którymi

zniknął Torgeir Langaas, żadnych innych nie było. Choć żołądek nadal był zadziwiająco spokojny, Lindzie bardzo chciało się do toalety. Czuła, że lada chwila pęknie jej pęcherz. Dostrzegłszy na stole parę dużych kielichów, doszła do wniosku, że Bóg z pewnością jej to wybaczy, i użyła jednego z nich jako nocnika. Spojrzała na zegarek, była za kwadrans siódma, ósmy dzień września. Nad kościołem rozległ się szum samolotu, który najwyraźniej zamierzał lądować gdzieś niedaleko.

Linda przeklęła w myślach zgubiony telefon. Tu, w zakrystii, nie było żadnego. Przeszukała wszystkie szuflady i szafki, ale nie znalazła niczego przydatnego, spróbowała rozpracować zamki w oknach. Jedno z nich udało się jej otworzyć, jednak od zewnątrz blokowały je zaryglowane okiennice. Ponownie przeszukała całą zakrystię w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia, znów bezskutecznie.

Nagle otworzyły się drzwi i w progu stanął jakiś mężczyzna. Linda od razu go rozpoznała, mimo że był dużo chudszy niż na zdjęciach, które w tajemnicy pokazała jej Anna. Miał na sobie garnitur oraz granatową, zapiętą pod szyją koszulę, a włosy zaczesane do tyłu, opadające na kark. Gdy spojrzał na nią niebieskimi oczami, takimi samymi jak oczy Anny, zrozumiała, jak bardzo przyjaciółka jest podobna do ojca. Stał w cieniu i wpatrywał się w nią z przyjaznym uśmiechem.

– Nie bój się – powiedział, podchodząc do niej rozłożonymi rękami, jakby chciał jej pokazać, że jest nieuzbrojony i przybywa w pokojowych zamiarach.

Na widok jego szeroko otwartych ramion Lindzie przemknęła przez głowę niespodziewana myśl: *Anna miała broń w kieszeni, to dlatego przysłała pod komendę. Miała mnie zabić, ale nie dała rady.* Linda poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Zachwiała się, jednak nie upadła, bo Eryk Westin ją podtrzymał i pomógł jej usiąść.

– Nie bój się – powtórzył. – Przykro mi, że musiałaś czekać w samochodzie z zasłoniętymi oczami. Nie miałem wyjścia. Przykro mi również, że będziesz musiała tu spędzić jeszcze kilka godzin. Potem cię wypuścimy.

– Gdzie ja jestem?

– Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. Najważniejsze jest, żebyś już się nie bała i odpowiedziała mi na jedno pytanie.

Mężczyzna wciąż przemawiał łagodnym tonem, a jego uśmiech wyglądał na szczery. Linda poczuła się zagubiona.

– Muszę wiedzieć, ile wiesz – powiedział.

– O czym? – spytała.

Eryk Westin wbił w nią baczne spojrzenie, wciąż nie przestając się uśmiechać.

– To nie była dobra odpowiedź – odparł powoli. – Mogłem zadać pytanie jaśniej, ale nie zrobiłem tego, bo doskonale wiem, że rozumiesz, o co mi chodzi. Wczoraj wieczorem pojechałaś za Anną i znalazłaś dom nad morzem.

Linda podjęła szybką decyzję. Większość tego, co powiem, musi być prawdą, pomyślała i wytarła nos, żeby zyskać trochę czasu. Nie mam innego wyjścia, inaczej mnie przejrzy.

– Nie podeszłam do domu. Dotarłam do auta zaparkowanego między drzewami. To prawda, szukałam Anny.

Mężczyzna spoglądał na nią nieobecny wzrokiem, ale Linda wiedziała, że zastanawia się nad jej odpowiedzią. Rozpoznała jego głos. To on zeszłego wieczoru przemawiał do niewidzialnej grupy słuchaczy. Choć w tej chwili emanował łagodnością i spokojem, nie zapomniała jego złowieszczych słów.

Po chwili znów się do niej zwrócił:

– Nie podeszłaś do domu?

– Nie.

– Dlaczego śledziłaś Annę?

Żadnych więcej kłamstw, pomyślała.

– Martwię się o Zebra.

– Kto to jest?

Linda uznała, że teraz Eryk Westin kłamie, a ona udaje, że daje temu wiarę.

– To nasza wspólna przyjaciółka. Zniknęła.

– Dlaczego sądzisz, że Anna wie coś na temat jej zniknięcia?

– Była ostatnio spięta.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Być może mówisz prawdę – powiedział. – Wkrótce się tego dowiem.

Wstał, nie odrywając spojrzenia od oczu Lindy.

– Wierzysz w Boga?

Nie, pomyślała. Wiedziała jednak, jaką odpowiedź chce usłyszeć Eryk Westin.

– Wierzę – odparła.

– Niebawem dowiemy się, ile warta jest twoja wiara. Jest dokładnie tak, jak mówi Biblia: my pozostaniemy nietknięci, a ostatki naszych wrogów pochłonie pożar.

Eryk Westin podszedł do drzwi i je otworzył.

– Nie musisz tu siedzieć sama – powiedział.

Do środka weszła Zebra, a za nią Anna. Jej ojciec zniknął za drzwiami i po chwili słychać było zgrzyt obracającego się w zamku klucza. Linda wbiła zdziwiony wzrok w Zebra, a potem w Annę.

– Co ty wyprawiasz? – spytała.

– To, co muszę – odparła Anna. Mówiła spokojnym, ale wrogim tonem.

– To kompletna wariatka – odezwała się Zebra, siadając na krześle. – Kompletna wariatka.

– Tylko ten, kto zabija niewinne dzieci, zasługuje na miano wariata. To przestępstwo, za które trzeba ponieść karę.

Zebra zerwała się ze stołka, podbiegła do Lindy i wczepiła się w jej ramię.

– To wariatka! – krzyknęła. – Rozumiesz? Powiedziała, że mam ponieść karę za to, że kiedyś usunęłam ciążę.

– Pozwól mi z nią porozmawiać – odparła Linda.

– Nie da się rozmawiać z wariatami! – krzyczała dalej Zebra.

– Nie sądzę, że Anna jest wariatką – odpowiedziała tak spokojnie, jak tylko potrafiła.

Potem stanęła naprzeciwko Anny i spojrzała jej prosto w oczy, starając się przy tym uporządkować myśli. Dlaczego Eryk Westin zostawił nas same w jednym pomieszczeniu, analizowała. Czy za planem, który poznałam, czai się jakiś inny, o którego istnieniu nic nie wiem?

– Chyba nie powiesz nam, że jesteś w to zamieszana? – powiedziała.

– Mój ojciec wrócił. Przywrócił mi nadzieję, którą już prawie straciłam.

– Jaką nadzieję?

– Że życie ma sens. Że Bóg mu go nadał.

To nie może być prawda, pomyślała Linda. Dostrzegła w oczach Anny to samo, co w oczach Zebry. Strach. Anna obróciła się trochę i przekręciła głowę, żeby mieć drzwi w zasięgu wzroku. Boi się, że drzwi się otworzą, rozmyślała Linda. Jej ojciec ją przeraża.

– Czym ci zagroził? – zapytała Linda ściszonego głosem, niemal szeptem.

– Nie groził mi.

Ponieważ Anna również zaczęła szeptać, Linda podejrzewała, że Eryk Westin podsłuchuje pod drzwiami. Postanowiła to wykorzystać.

– Przestań kłamać – powiedziała głośno. – Wszystkie trzy zdołamy się stąd wydostać, jeśli wreszcie przestaniesz kłamać.

– Nie kłamie.

Wiedząc, że ma mało czasu, Linda nie chciała wdawać się w kłótnię. Jeśli Anna nie zamierzała odpowiedzieć na jakieś pytanie lub kłamała, Linda nie miała innego wyjścia, jak tylko brnąć dalej.

– Wierz sobie, w co chcesz, ale nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za ludzką śmierć. Czy ty w ogóle rozumiesz, w co się pakujesz?

– Ojciec wrócił, żeby mnie zabrać. Czekają na nas ważne zadanie.

– O czym ty mówisz? Jakie zadanie? Naprawdę chcesz, żeby spłonęło więcej kościołów i znów zginęli ludzie?

Linda zorientowała się, że Anna jest bliska załamania. Postanowiła nie odpuszczać, musiała ją przeciągnąć na swoją stronę.

– Jeśli zgodzisz się na to, żeby zabili Zebkę, już zawsze będzie cię prześladowała twarz jej małego synka. Nie zapomnisz oskarżycielskiego spojrzenia jego dziecięcych oczu. Czy tego właśnie chcesz?

Nagle w drzwiach znów zazgrzytał klucz. Linda się wystraszyła. W chwili, w której sobie uświadomiła, że jest już za późno, Anna szybkim ruchem wsunęła jej do kieszeni telefon. W drzwiach stanął Eryk Westin.

– Pożegnałaś się? – zwrócił się do córki.

– Tak – odpowiedziała. – Pożegnałam się.

Mężczyzna dotknął czoła Anny opuszkami, spojrzał na Zebkę, a potem na Lindę.

– Jeszcze chwila – powiedział. – Jeszcze parę godzin.

Raptem Zebra zerwała się z krzesła i ruszyła do drzwi. Linda zdążyła ją złapać i zmusiła, by usiadła. Przytrzymała ją, aż przyjaciółka się uspokoiła.

– Mam telefon – szepnęła. – Wydostanę nas stąd, jeśli tylko zdołasz usiedzieć w spokoju.

– Oni mnie zabiją – jęknęła Zebra.

Linda zakryła jej usta dłonią.

– Jeśli chcesz, żeby nam się udało, pomóż mi i siedź cicho.

Tym razem Zebra jej posłuchała. Lindzie tak się trzęsły ręce, że dwukrotnie wystukała zły numer. W końcu jej się udało, ale słyszała jedynie sygnał połączenia. Ojciec nie odbierał. Już miała się rozłączyć, kiedy wreszcie usłyszała jego głos. Od razu zaczął wrzeszczeć. Gdzie ona się podziewa? Czy nie zdaje sobie sprawy, jak się o nią niepokoi?

– Nie ma na to czasu – syknęła. – Posłuchaj mnie.

– Gdzie jesteś?

– Posłuchaj mnie, bądź cicho.

Streściła mu wszystkie wydarzenia od momentu, kiedy wyszła z komendy, zostawiwszy mu wiadomość na kartce. W pewnej chwili ojciec jej przerwał.

– Nie widziałem żadnej kartki, a siedziałem tu całą noc, czekając, aż wreszcie zadzwonisz.

– No to musiała się gdzieś zapodziać. Nie ma na to czasu, posłuchaj mnie – powiedziała to płaczącym tonem, więc ojciec już jej nie przerywał.

Kiedy skończyła opowiadać, usłyszała w słuchawce jego ciężki oddech. Miała wrażenie, że każde sapnięcie to trudne pytanie, na które chciał znać odpowiedź. Musiał ją poznać, by podjąć odpowiednią decyzję.

– Czy to wszystko prawda? – zapytał.

– Każde słowo. Dobrze słyszałam, co mówił ojciec Anny.

– Więc jednak to kompletni szaleńcy – sapnął poirytowany.

– Nie – zaprotestowała Linda. – To coś innego. Oni wierzą w to, co robią. Dla nich to nie jest żadne szaleństwo.

– Tak czy inaczej ogłosimy alarm we wszystkich diecezjach – odparł tonem, w którym pobrzmiwał strach. – Mamy chyba piętnaście kościołów katedralnych w kraju.

– On mówił o trzynastu – szepnęła Linda. – O trzynastu wieżach. Trzynasta wieża ma być ostatnia i będzie oznaczała rozpoczęcie wielkiego procesu oczyszczenia. Nie wiem, co to znaczy.

– A więc nie wiesz, gdzie jesteś?

– Nie, ale jestem prawie pewna, że przejechaliśmy przez Ystad. Zgadzał mi się układ rond. Na pewno nie dojechaliśmy aż do Malmö.

– Ale w którym kierunku cię wieźli?

– Nie wiem.

– Czy zwróciłaś uwagę na cokolwiek innego, kiedy siedziałaś w samochodzie?

– Jechaliśmy różnymi drogami: asfaltowymi, szutrowymi, mam wrażenie, że miejscami były to wręcz jakieś ścieżki.

– Przejechaliście przez jakiś most?

Linda zastanowiła się.

– Nie, raczej nie.

– Słyszałaś jakieś nietypowe dźwięki?

Od razu sobie przypomniała. *Samoloty*. Słyszała je wielokrotnie.

– Słyszałam samoloty. Niedaleko.

– Co to znaczy niedaleko?

– Lądują gdzieś blisko. Albo startują.

– Zaczekaj chwilę.

Linda usłyszała, jak ojciec kogoś woła.

– Spójrzmy na mapę – powiedział po chwili. – Czy słyszysz teraz jakiś samolot?

– Nie.

– Czy brzmiały jak małe, sportowe maszyny, czy duże?

– Jak samoloty pasażerskie.

– Więc musisz być gdzieś koło lotniska Sturup.

– Dobra, już mam mapę. Słyszysz coś teraz?



– Samolot? Nie, teraz jest cicho.

– Czy jesteś w stanie określić, z której strony dochodzi dźwięk?

– A jak są zlokalizowane wieże w kościołach? Na wschodzie czy zachodzie?

– Skąd mam to wiedzieć?

Wallander zawołał Martinssona, który zaraz przyszedł z pomocą.

– Wieża jest po stronie zachodniej, a chór po wschodniej. Ma to coś wspólnego ze zmartwychwstaniem.

– A więc samolot leciał z południa. Jeśli stanę twarzą na wschód, jestem prawie pewna, że leciały z południa na północ. Albo na północny zachód. Mam wrażenie, że przelatują nad samym kościołem.

Na drugim końcu linii rozległo się skrzypienie i jakieś pomruki. Linda czuła, jak pot spływa jej po czole. Zebra siedziała apatycznie, kiwając głową i rękami. Po chwili Wallander znów się odezwał:

– Zaraz porozmawiasz z kontrolerem lotów ze Sturup, Janne Lundwallem. Będę wszystko słyszał i być może wam przerwę. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Słyszę, nie jestem głupia. Pośpieszcie się.

Kurtowi drżał głos, kiedy odpowiadał.

– Wiem, ale nie możemy nic zrobić, dopóki nie ustalimy, gdzie was trzymają.

W słuchawce odezwał się obcy męski głos, pojawił się Janne Lundwall.

– Zaraz spróbujemy odgadnąć, gdzie jesteś – powiedział raźnie. – Czy słyszysz teraz jakiś samolot?

Lindę zdziwiły słowa ojca, a beztroski ton kontrolera lotów dodatkowo zwiększył jej obawy.

– Nie, nie słyszę, jest cicho.

– Właśnie sprowadzamy maszynę linii KLM. Zawołaj, jak tylko ją usłyszysz.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność. W końcu Linda usłyszała szum zbliżającego się samolotu.

– Słyszę coś – powiedziała.

– Czy stoisz twarzą na wschód?

– Tak, samolot słyhać z prawej.

– Zgadza się. Daj znać, kiedy maszyna znajdzie się tuż nad twoją głową albo przed tobą.

Nagle w zamku zazgrzytał klucz. Linda przerwała rozmowę, wyłączyła komórkę i szybko schowała ją do kieszeni. W drzwiach pojawił się Torgeir Langaas. Przyglądał się im chwilę w milczeniu, a potem znowu wyszedł, nie wypowiedziawszy ani słowa. Zebra siedziała skulona w kącie. Dopiero kiedy mężczyzna zniknął za drzwiami, Linda zorientowała się, że samolot przeleciał.

Włączywszy komórkę, wybrała numer telefonu ojca i niemal natychmiast usłyszała jego zdenerwowany głos. Boi się tak samo jak ja, pomyślała. I tak samo jak ja nie ma pojęcia, gdzie jestem. Rozmawiamy, ale nie możemy się odnaleźć.

– Co się stało? – zapytał.

– Ktoś wszedł. Mężczyzna, który nazywa się Torgeir Langaas. Musiałam wyłączyć telefon.

– Mój Boże. Porozmawiaj jeszcze raz z Lundwallem.

Następny samolot lądował za cztery minuty. Janne Lundwall powiedział, że jest to lot czarterowy z Las Palmas, opóźniony o czternaście godzin.

– Zaraz będziemy tu mieli całą masę wściekłych pasażerów – zażartował. – Czasem lepiej jest siedzieć na wieży i być od nich odizolowanym. Słyszysz coś?

Linda dała znać, kiedy usłyszała szum samolotu.

– Dobra, robimy tak samo – odparł kontroler lotów. – Daj mi sygnał, kiedy maszyna będzie nad tobą.

Samolot był coraz bliżej, ale jednocześnie komórka Lindy zaczęła dawać sygnały, że zaraz się rozładuje.

– Zaraz mi padnie telefon – powiedziała.

– Muszę wiedzieć, gdzie jesteś! – krzyknął Wallander.

Już za późno, pomyślała i zaczęła krzyczeć, na cały głos przeklinać aparat, żeby nie rozładowywał się akurat w tej chwili. Samolot był coraz bliżej, a komórka ciągle pikała. Linda krzyknęła, kiedy maszyna znalazła się tuż nad jej głową.

– No to już wiemy – odezwał się Janne Lundwall. – Mam jeszcze jedno pytanie...

Nigdy się nie dowiedziała, o co chciał ją spytać kontroler lotów. Komórka się rozładowała, więc Linda schowała ją do szafy, między szatami liturgicznymi. Miała nadzieję, że informacje, jakie zdążyła przekazać ojcu, będą wystarczające, żeby odnaleźli ją i Zebkę. Przyjaciółka spojrzała na nią.

– Wszystko będzie dobrze – uspokoiła ją Linda. – Już wiedzą, gdzie nas szukać.

Zebra nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w nią szklanym wzrokiem. Kiedy Linda do niej podeszła, przyjaciółka złapała ją za nadgarstek, wbijając jej paznokcie w skórę, że Linda zaczęła krwawić. Obie jesteście tak samo przerażone, pomyślała. Ale ja muszę udawać, że wszystko jest pod kontrolą. Muszę zmusić Zebkę, by zachowała spokój. Jeśli wpadnie w panikę, ci szaleńcy mogą skrócić czas oczekiwania. Właściwie na co oczekiwania? Jeśli to prawda, że Anna opowiedziała ojcu, że Zebra poddała się kiedyś aborcji, i jeśli to taki właśnie zabieg był przyczyną śmierci Harriet Bolson, nie ma najmniejszych wątpliwości, co się niebawem wydarzy.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęła. – Mój ojciec już po nas jedzie.

Linda nie umiała określić, jak długo czekały. Mogło to być pół godziny, być może więcej. Potem wszystko się zaczęło. Z hukiem otworzono drzwi, trzech mężczyzn złapało Zebra, dwóch Lindę. Wyciągnięto je z pomieszczenia. Wszystko działo się tak szybko, że żadna z nich nie zdążyła zaprotestować. Przytrzymujące je ręce były bardzo silne. Potem Zebra zaczęła krzyczeć. W nawie głównej czekali na nie Eryk Westin i Torgeir Langaas. W pierwszej ławce siedziały dwie kobiety i jeszcze jeden mężczyzna. Była też Anna, siedziała trochę dalej. Linda próbowała spojrzeć jej prosto w twarz, ale przyjaciółka wyglądała tak, jakby założyła maskę. Być może miała ją naprawdę? Linda nie mogła tego dostrzec. Ludzie siedzący z przodu trzymali w dłoniach białe maski.

Na widok liny w rękach Eryka Westina Lindę dopadł paralizujący strach. On zabije Zebra, pomyślała w panice. Zabije ją, a potem mnie, bo będę wszystko widziała i za dużo już wiem. Zebra wyrywała się, walczyła jak lwica.

W tej samej chwili rozległ się huk tak potężny, jakby zawaliły się ściany. Drzwi otworzyły się z trzaskiem, a okna w nawie głównej rozpadły się z brzękiem. Linda usłyszała głos mówiący coś przez megafon i rozpoznała swojego ojca. Wrzeszczał tak głośno, jakby nie dowierzał, że megafon działa. Potem w kościele zapadła zupełna cisza.

Eryk Westin zerwał się z miejsca, dopadł do Anny i zasłonił się jej ciałem. Anna próbowała się wyrwać, lecz on trzymał ją za mocno. Krzyknął do niej, by się uspokoiła, ale go nie posłuchała. Pociągnął ją w stronę otwartych drzwi. Anna cały czas się szamotała. Nagle padł strzał. Anna drgnęła, a potem upadła. Eryk Westin miał w dłoni broń. Spojrzał nieufnie na córkę, a potem wybiegł z kościoła. Nikt nie odważył się go zatrzymać.

W tej samej chwili bocznymi drzwiami wpadł do środka Wallander w asyście sporej grupy nieznanym Lindzie policjantów. Torgeir Langaas

zaczął strzelać. Linda złapała Zebra i zaciągnęła ją między ławki, gdzie przywarły do ziemi. W kościele rozpętała się strzelanina. Linda nic nie widziała. Kiedy w końcu zapadła cisza, dał się słyszeć głos Martinssona. Krzyczał, że jeden z mężczyzn zdołał wydostać się z budynku. To musi być Langaas, pomyślała.

Nagle ktoś położył jej dłoń na ramieniu. Linda podskoczyła ze strachu, chyba nawet krzyknęła, ale sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Odwróciła głowę i zobaczyła ojca.

– Musicie stąd wyjść – powiedział.

– Co z Anną? – zapytała.

Ojciec nie odpowiedział. Linda zrozumiała, że przyjaciółka nie żyje. Razem z Zebra wybiegły pochylone z kościoła. Zdążyły jeszcze zauważyć oddalający się granatowy samochód. W ślad za nim ruszyły dwa radiowozy. Usiadły na trawie po zewnętrznej stronie kościelnego muru.

– Już po wszystkim – sapnęła Linda.

– Nieprawda – odpadła Zebra. – Będzie mnie to prześladować do końca życia. Nigdy nie pozbędę się strachu, że coś nagle ściśnie mnie za gardło.

Raptem znów rozległ się strzał, a zaraz po nim dwa następne. Linda i Zebra skuliły się pod murem. Usłyszały jakieś głośnie rozkazy, potem ruszające z piskiem opon samochody z włączonymi syrenami. W końcu zapadła cisza.

Linda poleciała Zebrze, by nie ruszała się z miejsca, sama zaś ostrożnie się podniosła i spojrzała ponad murem. Wokół kościoła było mnóstwo policji, ale wszyscy stali bez ruchu. Linda miała wrażenie, że patrzy na jakiś obraz. W końcu zobaczyła ojca i podeszła do niego. Był blady, złapał ją mocno za rękę i przyciągnął do siebie.

– Obaj uciekli. Westin i Langaas. Musimy ich złapać.

Przerwał mu ktoś, kto podał mu komórkę. Wallander posłuchał chwilę, a potem bez słowa oddał telefon.

– Ciężarówka wyładowana dynamitem właśnie wjechała w katedrę w Lund. Zmiotła z drogi kamienne słupki z łańcuchami i rąbnęła prosto w lewą wieżę. Na miejscu panuje chaos. Nie wiadomo, ilu ludzi zginęło. Ale wygląda na to, że udało nam się powstrzymać kolejne ataki. Dwie osoby są zatrzymane.

– Dlaczego oni to zrobili? – jęknęła Linda.

Wallander długo się zastanawiał, nim odpowiedział.

– Dlatego że wierzą w Boga i bardzo go kochają – odparł. – Nie wydaje mi się jednak, żeby ich miłość była odwzajemniona.

Stali przez chwilę w milczeniu.

– Trudno wam było nas znaleźć? – spytała Linda. – W Skanii jest wiele kościołów.

– Właściwie nie – odparł Kurt. – Ten Lundwall prawie dokładnie nam pokazał, gdzie jesteście. Mieliśmy do wyboru dwa kościoły. Przyjechaliśmy na miejsce i zajrzeliśmy do środka przez okno.

Znowu zapadła cisza. Linda wiedziała, że ona i ojciec myślą o tym samym. Co by się stało, gdyby nie udało im się skontaktować?

– Czyj był ten telefon? – zapytał Wallander.

– Anny. Widocznie zmieniła zdanie.

Podeszli do Zebry. W tej samej chwili podjechał czarny samochód i zabrano ciało Anny.

– Nie sądzę, że zabił ją z premedytacją – odezwała się Linda. – Myślę, że strzelił niechcący.

– Złapiemy go – odparł Wallander. – Wtedy się tego dowiemy.

Zebra podniosła się z ziemi. Cała się trzęsła.

– Pojadę z nią – zaproponowała Linda. – Wiem, że prawie wszystko zrobiłam źle.

– Będę spokojniejszy, kiedy już włożysz mundur i będę miał pewność, że jeździsz w bezpiecznym radiowozie po ulicach Ystad – odparł ojciec.

– Mój telefon leży gdzieś w piasku pod Sandhammaren.

– Wyślę tam kogoś, żeby zadzwonił i go odszukał. Może piasek przemówi.

Stojący przy samochodzie Svartmann otworzył tylne drzwi i okrył wsiadającą Zebry kocem. Dziewczyna skuliła się na siedzeniu.

– Zostanę z nią jakiś czas – zaproponowała Linda.

– A jak ty się czujesz?

– Nie wiem. Jediną rzeczą, której w tej chwili jestem pewna, jest to, że w poniedziałek zaczynam pracę.

– Zaczekaj jeszcze tydzień – poradził jej ojciec. – Tak bardzo nam się teraz nie spieszy.

Linda wsiadła do auta, które po chwili odjechało. Nad ich głowami przeleciał schodzący do lądowania samolot. Linda patrzyła na krajobraz za oknem. W tej chwili najbardziej potrzebowała snu. Potem wróci do tego, co pochłaniało ją przez ostatnie tygodnie: będzie czekać na rozpoczęcie pracy. Tym razem wiedziała, że czekanie wkrótce dobiegnie końca. Już wkrótce porzuci swój niewidzialny mundur. Przyszło jej na myśl, żeby zapytać Svartmana, czy sądzi, że policji uda się złapać Eryka Westina i Torgeira Langaasa. Nie odezwała się jednak, doszedłszy do wniosku, że w tej chwili nie chce już nic więcej wiedzieć.

Później, nie teraz, pomyślała. Niech najpierw nadejdzie jesień, a potem zima. Potem zacznę znów myśleć. Oparła głowę na ramieniu Zebry i zamknęła oczy. Nagle zobaczyła twarz Eryka Westina w chwili, kiedy Anna padała na ziemię. Zrozumiała, że na twarzy mężczyzny odmalowywało się zwątpienie i bezgraniczna samotność. Był człowiekiem, który w jednej chwili stracił wszystko, co miał.

Ponownie spojrzała za okno. Twarz Eryka Westina powoli rozmywała się na tle brunatnej ziemi.

Kiedy samochód zatrzymał się na Mariagatan, Zebra spała. Linda delikatnie ją obudziła.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała. – Już po wszystkim.



Poniedziałek 10 września był w Skanii dniem zimnym i wietrznym. Linda spała źle, właściwie zasnęła dopiero o świcie. Niedługo potem obudził ją ojciec, który wszedł do pokoju i usiadł na brzegu łóżka. Zupełnie jak wtedy, kiedy byłam małą dziewczynką, pomyślała. To on zawsze siadał na moim łóżku, nigdy Mona.

Zapytał jak spała, a ona odpowiedziała zgodnie z prawdą, że źle, bo kiedy wreszcie udało jej się głęboko zasnąć, nawiedziły ją senne koszmary.

Zeszłego wieczoru zadzwoniła Lisa Holgersson i powiedziała, że Linda może jeszcze poczekać z rozpoczęciem pracy. Jeszcze tydzień – zaproponowała. Linda się nie zgodziła. Mimo ostatnich wydarzeń nie chciała odkładać tego momentu. W końcu doszły do porozumienia: Linda weźmie jeden dzień wolnego i stawi się pracy we wtorek rano.

Ojciec wstał z łóżka.

– Idę do pracy – powiedział. – Co będziesz dziś robić?

– Spotkam się z Zebłą. Ma ochotę z kimś pogadać, więc poświęcę jej trochę czasu.

Rzeczywiście spędziła cały dzień w towarzystwie Zebry, u której w domu wciąż dzwonił telefon. Nagabywali ją ciekawscy dziennikarze, za wszelką cenę chcący zrobić z nią wywiad. W końcu Linda zdecydowała, że obie schronią się w mieszkaniu przy Mariagatan. Chłopca oddały pod opiekę Ainy Rosberg. Raz za razem analizowały wszystkie wydarzenia tamtego tragicznego dnia, przede wszystkim wspominając Annę. Czy były w stanie ją zrozumieć? Czy ktokolwiek mógł to wszystko pojąć?

– Tęskniła za ojcem przez całe życie – powiedziała Linda. – Kiedy się w końcu pojawił, chciała za wszelką cenę wierzyć w to, że ma rację, do

czegokolwiek by się posunął.

Zebra przez większość czasu siedziała w milczeniu. Linda wiedziała, o czym rozmyśla przyjaciółka: o tym, że o mały włos nie zginęła, a wówczas winę za jej śmierć ponosiłaby również Anna, nie tylko Eryk Westin.

Wczesnym popołudniem zadzwonił ojciec Lindy z informacją, że Henrietta przeżyła załamanie nerwowe i odwieziono ją do szpitala. Linda przypomniała sobie westchnienia Anny zasłyszane w nagraniu jej matki. Tylko to jej zostało, pomyślała. Westchnienia martwej córki nagrane na taśmę.

– Na stole w jej domu leżał list – ciągnął Wallander. – Próbuje się w nim wytłumaczyć. Twierdzi, że nie powiedziała nic o powrocie męża, bo się bała. Ponoć Eryk jej groził, że jeśli nie zachowa milczenia, on zabije Annę, a potem ją. Nie mamy powodu twierdzić, że to nieprawda. Mimo wszystko jestem zdania, że powinna była znaleźć jakiś sposób, żeby nam o tym powiedzieć.

– Czy napisała coś o mojej ostatniej wizycie? – spytała Linda.

– Tak. Torgeir Langaas stał wtedy pod oknem. Otworzyła je, żeby udowodnić, że nie zdradza żadnych tajemnic.

– A więc ojciec Anny nasyłał Langaasa, żeby straszyć ludzi.

– Ten człowiek dobrze zna się na ludziach. Nie wolno nam o tym zapomnieć.

– Udało wam się wpaść na jakiś trop?

– Niebawem powinniśmy ich złapać, bo są wszędzie poszukiwani. Może się jednak okazać, że uda im się znaleźć dobrą kryjówkę i nowych popleczników.

– Kto chciałby bratać się z ludźmi, którzy mordują na chwałę Boga?

– Porozmawiaj o tym ze Stefanem Lindmanem. Wiesz, że ma za sobą ciężką chorobę? Zwierzył mi się, że po tym, jak wyzdrowiał, przestał

wierzyć w Boga i doszedł do wniosku, że ludźmi kierują zupełnie inne siły. Być może tak właśnie było w tym wypadku? Może oni nie wierzyli w Boga, ale w Eryka Westina?

– Musicie go złapać.

– Nie możemy wykluczać, że obaj odebrali sobie życie. Ale dopóki nie znajdziemy ciał, musimy zakładać, że żyją. Mogą mieć wiele kryjówek, zwłaszcza takich jak tamta w lesie pod zamkiem Rannesholm. Nie mamy pojęcia, ile takich miejsc Torgeir Langaas zdążył przygotować i nie dowiemy się tego, dopóki ich nie znajdziemy.

– Mimo że nie ma całej trójki, Eryka Westina i tego Langaasa, najbardziej nieobecna wydaje się Anna.

Kiedy rozmowa z ojcem dobiegła końca, Linda i Zebra zaczęły spekulować, że być może ojciec Anny zaczął już tworzyć nową sektę. Było niemal pewne, że znajdą się ludzie gotowi za nim podążyć. Jednym z nich był pastor Ulrik Larsen, który napadł na Lindę w Kopenhadze. Niewątpliwie należał do tych, którzy czekali na znak od Eryka Westina. Linda rozmyślała o tym, co powiedział jej ojciec. Nie mogła czuć się bezpiecznie dopóty, dopóki Westin i Langaas nie zostaną schwytani. Jeśli tak się nie stanie, być może pewnego dnia inna ciężarówka rozbije się o mur jakiejś katedry, tak samo jak w Lund. Minie dużo czasu, nim tamta świątynia zostanie odbudowana.

Pod wieczór, kiedy odprowadziła Zebra do domu, upewniwszy się, że przyjaciółka poradzi sobie sama, Linda poszła na spacer i usiadła na moło przy portowej kawiarni. Było zimno i wiał silny wiatr, więc schowała się w miejscu, w którym było najbardziej zacisznie. Analizowała swój stosunek do Anny. Nie wiedziała, czy odczuwa tęsknotę, czy coś zupełnie innego. Nigdy nie byłyśmy prawdziwymi przyjaciółkami, rozmyślała. Nie udało nam się odtworzyć więzi, która łączyła nas w dzieciństwie.

Ojciec wrócił z pracy wieczorem i jeszcze w drzwiach zakomunikował, że policja znalazła Torgeira Langaasa. Zginął w wypadku, rozbił się o przydrożne drzewo. Wszystko wskazywało na to, że zrobił to umyślnie. Niestety, nie było śladu po Eryku Westinie. Linda zadała sobie w myślach pytanie, czy kiedykolwiek uda jej się potwierdzić, że mężczyzna, którego widziała pod kościołem w Lestarp, był ojcem Anny. I czy to on szperał w jej samochodzie? Te pytania pozostały bez odpowiedzi.

Dreńczyła ją jeszcze jedna zagadka, ale wkrótce sama znalazła jej rozwiązanie. Chodziło o dziwny wpis w pamiętniku Anny: JOMATOT. To przecież proste, pomyślała Linda: MÓJ TATO.

Rozmawiali do późna. Policja stopniowo rozpracowywała Eryka Westina i trafiła na związek łączący go z pastorem Jimem Jonesem oraz jego sektą, której członkowie zginęli w gujańskiej dżungli. Profil Eryka Westina okazał się bardzo skomplikowany i nie dało się go do końca rozpracować. Najważniejsze, co udało się ustalić, to fakt, że ten człowiek bynajmniej nie był szaleńcem. Jego obraz samego siebie, pochodzący przede wszystkim ze „świętych fotografii”, które nosili przy sobie jego uczniowie, świadczył o tym, że mimo wszystko był pokorny. W jego rozumowaniu kryła się pewna logika, mimo że rozsądnym ludziom wydawała się pokrętna i chora. Nie był szaleńcem, lecz fanatykiem, gotowym zrobić wszystko, by oddać cześć temu, w co wierzył. Nawet zabijać ludzi, jeśli tylko uznał to za konieczne. Zamierzał usunąć wszystkich, którzy zagrozili jego wielkiemu planowi, oraz ukarać grzeszników. Usprawiedliwienia dla swoich działań szukał w Biblii. Nie robił niczego, co nie znalazłoby uzasadnienia w Piśmie Świętym.

Eryk Westin był desperatem, któremu zdawało się, że wszędzie wokół czai się zło. W pewien sposób dawało się go nawet rozumieć, ale nie sposób było usprawiedliwić jego uczynków. Aby nie dopuścić do tego, by powtórzyło się coś podobnego, aby w przyszłości sprawniej identyfikować

ludzi gotowych wysadzić się w powietrze w przekonaniu, że staną się trybem napędzającym maszynę prawdziwej wiary, nie wolno było popełnić błędu i nazywać Eryka Westina szaleńcem.

– Z całą pewnością nim nie jest – podsumował ojciec Lindy.

Nie miał już nic więcej do dodania. Wszyscy, którzy zamierzali się wysadzić w powietrze wraz z ciężarówkami, czekali na proces, a potem na deportację. Policja na całym świecie szukała Eryka Westina. Nadchodziła jesień, zimne powietrze z północnego wschodu zapowiadało nocne przymrozki.

Mieli właśnie położyć się spać, kiedy zadzwonił telefon. Kurt słuchał chwilę, a potem zadał kilka krótkich pytań. Kiedy się rozłączył, Linda nie miała ochoty pytać, kto dzwonił. W oczach ojca zaszkliły się łzy. Wyjaśnił, że zmarł Sten Widén. Zadzwoniła jego przyjaciółka, chyba ta, z którą mieszkał przez ostatnie lata. Obiecała mu, że kiedy Sten umrze, zadzwoni do Kurta Wallandera i powie mu: „Już po wszystkim, poszło dobrze”.

– Co to miało oznaczać? – zdziwiła się Linda.

– Mówiliśmy tak, kiedy byliśmy młodzi. Uznaliśmy, że śmierć można potraktować jak przeciwnika w pojedynku. Mimo że od początku wszystko jest przesądzone, należało zmęczyć śmierć, kazać jej się porządnie natrudzić, żeby miała siłę jedynie na to, by zadać ostatni cios. Postanowiliśmy, że właśnie tak będzie wyglądała śmierć dla nas obu. Każdy z nas stoczy walkę, a potem powie, że „poszło dobrze”.

Linda zauważyła, że ojciec wpadł w melancholijny nastrój.

– Chcesz porozmawiać? – zaproponowała.

– Nie – odparł. – Z żałobą po Stenie muszę sobie poradzić sam.

Siedzieli chwilę w milczeniu, a potem ojciec bez słowa wyszedł z kuchni i położył się spać. Również ta noc okazała się dla Lindy bezsenna. Rozmyślała o ludziach gotowych, by z miłości do Boga wysadzić

w powietrze kościoły. Z tego, co powiedzieli jej ojciec i Stefan Lindman, oraz z informacji wyczytanych w gazetach wynikało, że ludzie ci bynajmniej nie byli żadnymi potworami. Sprawiali wrażenie pokornych i cały czas podkreślali, że mieli dobre zamiary, że chcieli otworzyć drogę dla królestwa Bożego, które miało znów zapanować na ziemi.

Linda nie posłuchała rady ojca i nie opóźniła o tydzień przyjscia do pracy. Rankiem 11 września udała się na komendę policji. Było zimno i wietrznie. Noc pozostawiła ślady pierwszego przymrozku. Dotarwszy na miejsce, Linda przymierzyła mundur i podpisała wszystkie niezbędne papiery. Potem odbyła godzinną rozmowę z Martinssonem. Pijąc kawę, zapoznała się z pierwszym grafikiem swojej pracy. Mimo że na resztę dnia dostała wolne, nie chciała siedzieć sama w mieszkaniu przy Mariagatan. Została w komendzie.

Około trzeciej po południu wypić kawę z Nybergiem, który sam przysiadł się do jej stolika, niespodziewanie prezentując się z nieznannej jej, bardzo sympatycznej strony. Po chwili dołączył do nich Martinsson, a zaraz po nim Wallander. Martinsson włączył telewizor.

- Coś się stało w USA – powiedział.
- Co takiego? – spytała Linda.
- Nie mam pojęcia. Zaraz zobaczymy.

W telewizji nadawano raport specjalny. W pokoju pojawiało się coraz więcej osób. Kiedy rozpoczął się program, przed odbiornikiem stał już tłum.

## Epilog

### Dziewczyna na dachu

Policję zaalarmowano w piątek 23 listopada 2001 roku, tuż po siódmej wieczorem. Zgłoszenie przyjęła Linda, która tego dnia jeździła w patrolu z policjantem o nazwisku Ekman. Właśnie wracali do Ystad z interwencji w sprawie rodzinnej sprzeczki w Svarte. Nastoletnia dziewczyna wdrapała się na dach domu położonego przy zachodnim wjeździe do miasta i groziła, że skoczy. Na dodatek miała przy sobie naładowaną strzelbę. Kierujący akcją policjant chciał ściągnąć jak najwięcej radiowozów. Ekman włączył lampy i nacisnął pedał gazu.

Kiedy dotarli na miejsce, przed domem zebrał się już tłumek gapiów. Policyjne reflektory oświetlały siedzącą na dachu dziewczynę z bronią w ręce. Sundin, który miał za zadanie sprowadzić ją na dół, zdał Lindzie i Ekmanowi krótką relację. Przyjechała także straż z odpowiedniej długości drabiną. Dziewczyna zagroziła jednak, że skoczy, jeśli ktokolwiek się do niej zbliży.

Sprawa wydawała się prosta. Dziewczyna nazywała się Maria Larsson i miała szesnaście lat. Wcześniej kilkakrotnie przebywała w szpitalu z powodu problemów ze zdrowiem psychicznym. Mieszkała z matką, która nie stroniła od alkoholu. Akurat tego wieczoru coś potoczyło się źle. Maria zadzwoniła do drzwi sąsiada, a kiedy ten jej otworzył, wpadła do środka i porwała broń oraz naboje. Mężczyzna obawiał się poważnych problemów, bo jak się okazało, trzymał w domu strzelbę i amunicję, bez wymaganego zezwolenia.

Jednak w tej chwili chodziło tylko o Marię. Najpierw zagroziła, że skoczy, potem, że się zastrzeli, w końcu, że skoczy, ale wcześniej zastrzeli każdego, kto odważy się do niej zbliżyć. Jej matka była zbyt pijana, by się na cokolwiek przydać. Na dodatek istniało ryzyko, że odurzona alkoholem kobieta zacznie krzyczeć na córkę i zachęcać ją do samobójstwa.

Kilku policjantów próbowało już rozmawiać z dziewczyną przez właz znajdujący się w odległości dwudziestu metrów od rynny, przy której siedziała. Kiedy Linda przybyła na miejsce, swoich sił próbował miejscowy stary pastor. Ledwie Maria wykierowała lufę strzelby w jego kierunku, negocjator natychmiast się skrył. Na dole gorączkowo poszukiwano kogoś, kto byłby w stanie przemówić dziewczynie do rozsądku. Nikt nie miał wątpliwości, że jest na tyle zdesperowana, że nie wahałaby się spełnić swych gróźb.

Linda pożyczyła lornetkę i skierowała ją w stronę siedzącej na dachu niedoszłej samobójczynie. W chwili, w której przyjmowała zgłoszenie, przypomniały jej się chwile, kiedy balansowała na barierce nad autostradą. Zobaczywszy kiwającą się, kurczowo obejmującą strzelbę, zażawioną dziewczynę, poczuła się tak, jakby patrzyła na samą siebie. Za plecami słyszała dyskusję, jaka toczyła się między Sundinem, Ekmanem i starym pastorem. Wszyscy byli bezradni. Linda odjęła lornetkę od oczu i obróciła się do rozmawiających mężczyzn.

– Pozwólcie mi z nią porozmawiać – powiedziała.

Sundin pokręcił głową.

– Sama byłam kiedyś w podobnej sytuacji – nalegała. – Poza tym być może chętniej porozmawia z kimś, kto nie jest od niej dużo starszy.

– Nie pozwolę ci na takie ryzyko – odparł Sundin. – Nie masz wystarczającego doświadczenia, by ocenić, co w takiej sytuacji można powiedzieć, a czego nie. Ona ma naładowaną broń i wygląda na zdesperowaną. Prędzej czy później strzeli.



- Daj jej spróbować – odezwał się pastor stanowczym tonem.
- Też tak myślę – odezwał się Ekman. – Niech Linda spróbuje.

Sundin wyraźnie się wahał.

- Czy nie powinnaś najpierw zadzwonić do ojca i go zapytać?

Lindę ogarnęła furia.

– A co on ma z tym wspólnego? – syknęła. – To nie jego sprawa, ale moja. Tylko moja. I Marii Larsson.

Sundin w końcu uległ, ale zanim pozwolił jej wejść na strych i wychylić głowę przez właz, kazał jej założyć kuloodporny hełm i kamizelkę. Zostawiła kamizelkę, a hełm zdjęła, jak tylko znalazła się na drabinie. Dziewczyna usłyszała, że ktoś się zbliża, więc kiedy Linda spojrzała w jej stronę, zobaczyła wylot lufy. Ledwo się powstrzymała, żeby nie schować głowy.

- Nie waż się podejść! – krzyknęła Maria Larsson. – Bo strzelę i skoczę.

– Spokojnie – zawołała do niej Linda. – Nie ruszę się z miejsca, ale pozwól mi z tobą chwilę porozmawiać.

- A co ciekawego masz mi do powiedzenia?

- Dlaczego weszłaś na dach?

- Bo chcę umrzeć.

- Kiedyś też tego chciałam. Właśnie to chcę ci powiedzieć.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Linda czekała przez chwilę, a potem zaczęła jej opowiadać o tym, jak sama kiedyś weszła na barierkę nad autostradą, co było tego przyczyną oraz komu się w końcu udało sprowadzić ją na dół.

Maria jej wysłuchiwała, ale potem zareagowała gniewem.

– A co to ma wspólnego ze mną? Moja opowieść zakończy się tam na dole. Idź stąd. Chcę mieć święty spokój.

Linda gorączkowo zastanawiała się, co robić. Początkowo myślała, że opowiedzenie swojej historii pomoże. Zrozumiała, że była naiwna.

Widziałam, jak umiera Anna, pomyślała. Ale dużo ważniejsze jest to, że dane mi było widzieć, jak Zebra cieszy się z ocalenia.

Postanowiła, że będzie mówić dalej.

– Chcę dać ci powód, dla którego warto jest żyć – powiedziała.

– Nie ma niczego takiego.

– Podejź tu i oddaj mi broń. Zrób to dla mnie.

– Nawet mnie nie znasz.

– Nie, ale kiedyś stałam na barierce nad autostradą. Teraz często śnią mi się koszmary, że skaczę w dół i umieram.

– No właśnie. Kiedy jest się martwym, nie ma się już więcej koszmarów. Nie chcę dłużej żyć.

Rozmowa toczyła się chwilę, Linda nie umiała określić jak długo, ponieważ czas się dla niej zatrzymał, kiedy wychyliła głowę przez właz. Jednak wkrótce dziewczyna dała się wciągnąć w poważną rozmowę. Mówiła spokojniejszym i łagodniejszym tonem. To był pierwszy krok. Linda widziała, że udało jej się zawiązać wokół pasa Marii niewidzialną linę ratunkową. Nic nie było przesądzone do chwili, kiedy Linda przestała mówić i szczerze się rozplakała. Wówczas Maria postanowiła się poddać.

– Chcę, żeby wyłączyli te reflektory – powiedziała. – Nie chcę się spotykać z mamą. Będę rozmawiać z tobą, tylko z tobą. I nie chcę jeszcze schodzić na ziemię.

Linda zawahała się chwilę. Czy to jakaś pułapka, pomyślała. Czyżby dziewczyna postanowiła, że skoczy, kiedy zgasną światła?

– Dlaczego nie chcesz ze mną zejść na dół?

– Chcę być przez dziesięć minut sama.

– Dlaczego?

– Bo chcę poczuć, jak to jest, kiedy się zdecydowało dalej żyć.

Linda zeszła na dół, zgaszono reflektory. Sundin odmierzał czas. Linda czuła się tak, jakby w jednej chwili zwały się na nią wszystkie dramatyczne wydarzenia z początku września. Cieszyła się, że praca i nowe mieszkanie pochłoneły ją do tego stopnia, że nie miała czasu rozmyślać. Jeszcze ważniejsze okazało się dla niej towarzystwo Stefana Lindmana. Zaczęli się spotykać w czasie wolnym od pracy i pewnego dnia, w połowie października, Linda zdała sobie sprawę, że nie ona jedna się zakochała. Lecz akurat tego dnia, kiedy próbowała odwieść siedzącą na dachu dziewczynę od popełnienia samobójstwa, poczuła, że nadszedł moment podsumowania ostatnich wydarzeń.

Dreptała w miejscu, żeby się rozgrzać, i spoglądała w górę, na dach. Czyżby Maria Larsson się rozmyśliła? Sundin wymamrotał, że została jej jeszcze minuta. Kiedy czas minął, wóz strażacki podjechał do ściany budynku, dwóch strażaków sprowadziło dziewczynę na ziemię, a trzeci zabrał broń. Linda przekazała Sundinowi pozostałe obietnice złożone dziewczynie, nalegając, by zostały spełnione. Dlatego tylko ona stała przy wozie strażackim, kiedy sprowadzono Marię. Objęła ją, a potem nagle obie wybuchnęły głośnym płaczem. Linda nie mogła się oprzeć niezwykleму wrażeniu, że obejmuje siebie samą. Być może tak właśnie było.

Na Marię czekała karetka. Linda odprowadziła ją do samochodu i pomogła jej wsiąść. Kiedy auto ruszało, pod oponami zachrzęściła zmrożona ziemia. Złapał już mróz, pomyślała. Było parę stopni poniżej zera. Potem podeszli do niej pozostali policjanci, strażacy oraz stary pastor, by podać jej rękę i pogratulować.

Linda i Ekman zostali na miejscu, aż do odjazdu wozu strażackiego i policjantów. Zdjęto też taśmy odgradzające miejsce zdarzenia, tłumek gapiów w końcu się rozproszył. Wówczas odebrali zgłoszenie, że drogą nad morzem pędzi jakiś pijany kierowca. Ekman włączył silnik i ruszyli. Linda

zakłęła pod nosem. W tej chwili miała największą ochotę wrócić do komendy i napić się kawy.

Przerwa, podobnie jak wiele innych spraw, musiała poczekać. Pochyliła się w stronę Ekmana, by rzucić okiem na wskaźnik temperatury. Na zewnątrz były trzy stopnie poniżej zera. Do Skanii nadciągała już zima.

## Posłowie

Istnieje osoba, która w dużym stopniu przyczyniła się do powstania tej książki. Prosiła mnie, bym nie zdradzał jej nazwiska. Powiem więc tylko tyle, że jest młodą policjantką pracującą gdzieś w środkowej Szwecji. Dziękuję jej za cierpliwość i wiele mądrych spostrzeżeń.

Książka ta jest powieścią. Oznacza to, że pisząc ją, nie czułem się niczym skrupowany. Na przykład wyposażyłem centralę komendy w Ystad w aparaturę umożliwiającą nagrywanie wszystkich przychodzących do policji zgłoszeń. Podobno niebawem naprawdę dostaną tam taki sprzęt.

*Henning Mankell*

maj 2002

- 
- <sup>1</sup> Mikael Appelgren, zwany Äpplet (szw. „jabłko”) – jeden z najlepszych szwedzkich tenisistów stołowych, szczyt jego kariery przypadł na lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte XX w. (przyp. tłum.).
  - <sup>2</sup> Jan-Ove Waldner – szwedzki tenisista stołowy, uważany za jednego z najlepszych na świecie (przyp. tłum.).
  - <sup>3</sup> Svart – szw. „czarny” (przyp. tłum.).
  - <sup>4</sup> Grön – szw. „zielony” (przyp. tłum.).
  - <sup>5</sup> Rosa – szw. „różowy” (przyp. tłum.).
  - <sup>6</sup> Cytat pochodzi z *Biblii Tysiąclecia*, Pallottinum, Poznań 2003 (przyp. tłum.).
  - <sup>7</sup> Cytat pochodzi z *Biblii Tysiąclecia*, Pallottinum, Poznań 2003 (przyp. tłum.).
  - <sup>8</sup> Cytat pochodzi z *Biblii Tysiąclecia*, Pallottinum, Poznań 2003 (przyp. tłum.).
  - <sup>9</sup> Snus – popularna w Szwecji używka sporządzana na bazie tytoniu. Umieszcza się ją pod górną lub dolną wargą, skąd nikotyna przenika do krwi (przyp. tłum.).
  - <sup>10</sup> „U nas nie mówi się o tych sprawach otwarcie. Musiałem podnieść głos i dopiero to mi pomogło. Tak, Szanowny Kolego, rzeczywiście dwukrotnie poddała się podobnemu zabiegowi. Zakładam, że to dla Was ważne. Dlaczego?” (przyp. tłum.).

<sup>11</sup> Mowa o Georgu Carlu von Döbelnie, szwedzkim generale, który wślawił się męstwem podczas wojen fińsko-rosyjskich w latach 1808–1809. Generał von Döbeln jest bohaterem poematu *Döbeln vid Jutas* [„Döbeln spod Jutas”], stanowiącego część romantycznego eposu Johana Ludviga Runeberga *Fänrik Ståls sägner* [„Opowieści chorążego Staala”]. Pierwsze wydanie eposu, który powstał w latach 1848–1860, jest bogato ilustrowane. Generała von Döbelna przedstawiano z bandażem na czole (przyp. tłum.).

<sup>12</sup> Cytat pochodzi z *Biblii Tysiąclecia*, Pallottinum, Poznań 2003 (przyp. tłum.).

Przekład: Ewa Wojciechowska

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska  
Korekta: Magdalena Bugalska, Natalia Kraszewska  
Redakcja techniczna: Izabela Gołaszewska

Projekt okładki wraz ze zdjęciem: Elżbieta Chojna  
Zdjęcie autora: © Bernard Osser

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka  
Piaseczno, ul. Żółkiewskiego 7a

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17  
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[wab.com.pl](http://wab.com.pl)

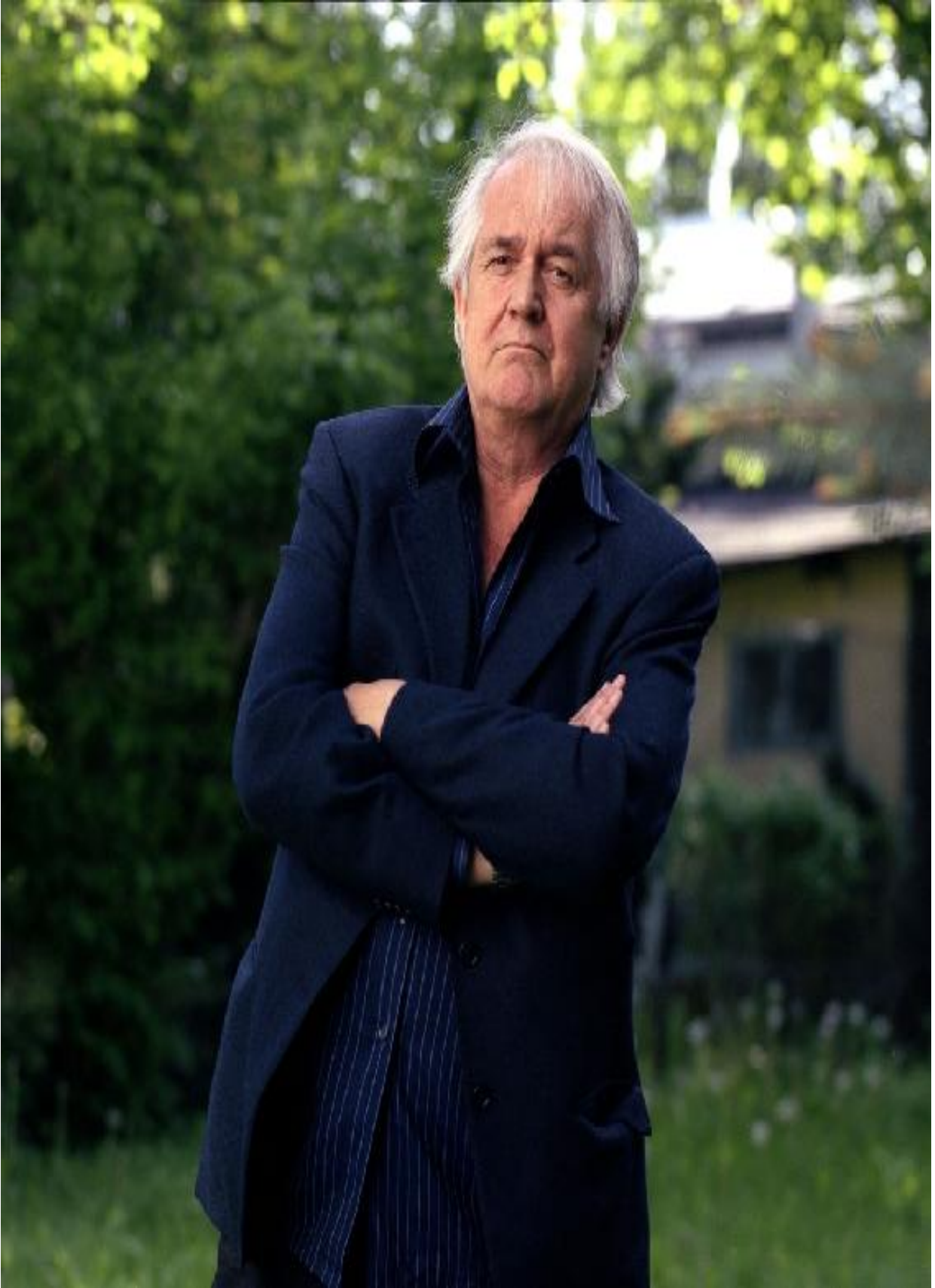
ISBN 978-83-7747-378-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Wydawnictwo W.A.B.](#)  
i Michał Nakoneczny / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow







**Henning Mankell** (ur. 1948) – jeden z najpopularniejszych pisarzy szwedzkich, dziennikarz i człowiek teatru. Stał się sławny dzięki kryminałom z komisarzem Kurtem Wallanderem. Cykl ten miał wiele ekranizacji telewizyjnych.

Książki Mankella są publikowane w czterdziestu dwu krajach i rozeszły się w milionach egzemplarzy. Nakładem W.A.B. ukazało się czternaście jego tytułów dla dorosłych, w tym powieści spoza serii o Wallanderze – *Comédia infantil* (2008), *Chińczyk* (2009), *Powrót nauczyciela tańca* (2011). W przygotowaniu są kolejne książki autora, m.in. powieść *Włoskie buty*.

Pisarz otrzymał wiele wyróżnień literackich, m.in. Europejską Nagrodę Literatury Kryminalnej „Ripper Award” (2008). Mankell odnosi sukcesy również jako twórca literatury dziecięcej i młodzieżowej, za którą został uhonorowany Nagrodą Astrid Lindgren (1996). Wydawnictwo W.A.B. opublikowało jego cykl książek o nastoletnim Joelu.